

**Henryk Sienkiewicz**

# **KRZYŻACY**

**TOM DRUGI**

Wirtualna Biblioteka Literatury Polskiej



Uniwersytet Gdański • [Polska.pl](http://Polska.pl) • NASK

Tekst pochodzi ze zbiorów  
„Wirtualnej Biblioteki Literatury Polskiej”  
Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego

## SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I.....	4
ROZDZIAŁ II.....	14
ROZDZIAŁ III.....	21
ROZDZIAŁ IV.....	28
ROZDZIAŁ V.....	31
ROZDZIAŁ VI.....	41
ROZDZIAŁ VI.....	49
ROZDZIAŁ VIII.....	57
ROZDZIAŁ IX.....	69
ROZDZIAŁ X.....	80
ROZDZIAŁ XI.....	88
ROZDZIAŁ XII.....	115
ROZDZIAŁ XIII.....	119
ROZDZIAŁ XIV.....	123
ROZDZIAŁ XV.....	132
ROZDZIAŁ XVI.....	135
ROZDZIAŁ XVII.....	140
ROZDZIAŁ XVIII.....	148
ROZDZIAŁ XIX.....	154
ROZDZIAŁ XX.....	161
ROZDZIAŁ XXI.....	167
ROZDZIAŁ XXII.....	174
ROZDZIAŁ XXIII.....	182
ROZDZIAŁ XXIV.....	192
ROZDZIAŁ XXV.....	202
ROZDZIAŁ XXVI.....	210
ROZDZIAŁ XXVII.....	217
ROZDZIAŁ XXVIII.....	222
ROZDZIAŁ XXIX.....	225
ROZDZIAŁ XXX.....	231
ROZDZIAŁ XXXI.....	240
ROZDZIAŁ XXXII.....	249
ROZDZIAŁ XXXIII.....	256
ROZDZIAŁ XXXIV.....	264
ROZDZIAŁ XXXV.....	272

---

ROZDZIAŁ XXXVI.....	276
ROZDZIAŁ XXXVII .....	279
ROZDZIAŁ XXXVIII .....	281
ROZDZIAŁ XXXIX.....	285
ROZDZIAŁ XL .....	288
ROZDZIAŁ XLI.....	293
ROZDZIAŁ XLII.....	297
ROZDZIAŁ XLIII .....	303
ROZDZIAŁ XLIV .....	307
ROZDZIAŁ XLV .....	311
ROZDZIAŁ XLVI.....	314
ROZDZIAŁ XLVII.....	318
ROZDZIAŁ XLVIII .....	323
ROZDZIAŁ XLIX.....	331
ROZDZIAŁ L .....	342
ROZDZIAŁ LI.....	345
ROZDZIAŁ LII.....	370

## ROZDZIAŁ I

Jurand, znalazłszy się na podwórzu zamkowym, nie wiedział zrazu, dokąd iść, gdyż knecht, który go przeprowadził przez bramę, opuścił go i udał się ku stajniom. Przy blankach stali wprawdzie żołdacy, to pojedynczo, to po kilku razem, ale twarze ich były tak zuchwałe, a spojrzenia tak szydercze, iż łatwo było rycerzowi odgadnąć, że mu drogi nie wskażą, a jeżeli na pytanie odpowiedzą, to chyba grubiaństwem lub zniewagą.

Niektórzy śmieli się, pokazując go sobie palcami; inni poczęli nań znów miotać śniegiem, tak samo jak dnia wczorajszego. Lecz on, spostrzegłszy drzwi większe od innych, nad którymi wykuty był w kamieniu Chrystus na krzyżu, udał się ku nim w mniemaniu, że jeśli komtur i starszyzna znajdują się w innej części zamku lub w innych izbach, to go ktoś przecie musi z błędnej drogi nawrócić.

I tak się stało. W chwili gdy Jurand zbliżył się do owych drzwi, obie ich potowy otworzyły się nagle i stanął przed nimi młodzianek z wygoloną głową jak klerycy, ale przybrany w suknię świecką, i zapytał:

– Wyście, panie, Jurand ze Spychowa?

– Jam jest.

– Pobożny komtur rozkazał mi prowadzić was. Pójdźcie za mną.

I począł go wieść przez sklepioną wielką sień ku schodom. Przy schodach jednak zatrzymał się i obrzuciwszy Juranda oczyma, znów spytał:

– Broni zaś nie macie przy sobie żadnej? Kazano mi was obszukać.

Jurand podniósł do góry oba ramiona, tak aby przewodnik mógł dobrze obejrzeć całą jego postać, i odpowiedział:

– Wczoraj oddałem wszystko.

Wówczas przewodnik zniżył głos i rzekł prawie szeptem:

– Tedy strzeżcie się gniewem wybuchnąć, boście pod mocą i przemocą.

– Aleć i pod wolą boską – odpowiedział Jurand. I to rzekłszy, spojrział uważnie na przewodnika, a spostrzegłszy w jego twarzy coś w rodzaju politowania i współczucia, rzekł:

– Uczciwość patrzy ci z oczu, pachółku. Odpowiesz mi szczerze na to, o co spytam?

– Spieszcie się, panie – rzekł przewodnik.

– Oddadzą dziecko za mnie?

A młodzieniec podniósł brwi ze zdziwieniem:

– To wasze dziecko tu jest?

– Córka.

– Owa panna w wieży przy bramie?

– Tak jest. Przyrzekli ją odesłać, jeśli im się sam oddam. Przewodnik poruszył ręką na znak, że nic nie wie, ale twarz jego wyrażała niepokój i zwątpienie. A Jurand spytał jeszcze:

– Prawda-li, że strzegą jej Szomberg i Markwart?

– Nie ma tych braci w zamku. Odbierzcie ją jednak, panie, nim starosta Danveld ozdrowieje.

Usłyszawszy to, Jurand zadrżał, ale nie było już czasu pytać o nic więcej, gdyż doszli do sali na piętrze, w której Jurand miał stanąć przed obliczem starosty szczytnieńskiego. Pachółek, otworzywszy drzwi, cofnął się na powrót ku schodom.

Rycerz ze Spychowa wszedł i znalazł się w obszernej komnacie, bardzo ciemnej, gdyż szklane, oprawne w ołów gomółki przepuszczały niewiele światła, a przy tym dzień był zimowy, chmurny. W drugim końcu komnaty palił się wprawdzie na wielkim kominie ogień, ale źle wysuszone kłody mało dawały płomienia. Dopiero po jakimś czasie, gdy oczy Juranda oswoiły się ze zmrokiem, dostrzegł w głębi stół i siedzących za nim rycerzy, a dalej za ich plecami całą gromadę zbrojnych giermków i równie zbrojnych knechtów, między którymi błazen zamkowy trzymał na łańcuchu oswojonego niedźwiedzia.

Jurand potykał się niegdyś z Danveldem, po czym widział go dwukrotnie na dworze księcia mazowieckiego jako posła, ale od tych terminów upłynęło kilka lat; poznał go jednak pomimo mroku natychmiast i po otyłości, i po twarzy, a wreszcie po tym, że siedział za stołem w pośrodku, w poręczastym krześle, mając rękę ujętą w drewniane łupki, opartą na poręczu. Po prawej jego stronie siedział stary Zygfryd de Lowe z Insburka, nieubłagany wróg polskiego plemienia w ogóle, a Juranda ze Spychowa w szczególności; po lewej młodszy bracia Gotfryd i Rotgier. Danveld zaprosił ich umyślnie, aby patrzyli na jego tryumf nad groźnym wrogiem, a zarazem nacieszyli się owocami zdrady, którą na wspólną uknuli i do której wykonania dopomogli. Siedzieli więc teraz wygodnie, przybrani w miękkie, z ciemnego sukna szaty, z lek-

kimi mieczami przy boku – radośni, pewni siebie, spoglądając na Juranda z pychą i z taką niezmierną pogardą, którą mieli zawsze w sercach dla słabszych i zwyciężonych.

Długi czas trwało milczenie, albowiem pragnęli się nasycić widokiem męża, którego przedtem po prostu się bali, a który teraz stał przed nimi ze spuszczoną na piersi głową, przybrany w zgrzebny wór pokutniczy, z powrozem u szyi, na którym wisiała pochwa miecza.

Chcieli też widocznie, by jak największa liczba ludzi widziała jego upokorzenie, gdyż przez boczne drzwi, prowadzące do innych izb, wchodził, kto chciał, i sala zappełniła się niemal do połowy zbrojnymi mężczyznami. Wszyscy patrzyli z niezmierną ciekawością na Juranda, rozmawiając głośno i czyniąc nad nim uwagi. On zaś, widząc ich, nabrął właśnie otuchy, albowiem myślał w duszy: „Gdyby Danveld nie chciał dotrzymać tego, co obiecywał, nie wzywałby tylu świadków”.

Tymczasem Danveld skinął ręką i uciszył rozmowy, po czym dał znak jednemu z giermków, ów zaś zbliżył się do Juranda i chwyciwszy dłoń za powróż otaczający jego szyję, przyciągnął go o kilka kroków bliżej do stołu.

A Danveld spojrzął z tryumfem po obecnych i rzekł:

– Patrzcie, jako moc Zakonu zwycięża złość i pychę.

– Daj tak Bóg zawsze! – odpowiedzieli obecni. Nastąpiła znów chwila milczenia, po której Danveld zwrócił się do jeńca:

– Kąsałeś Zakon jako pies zapieniony, przeto Bóg sprawił, że jako pies stoisz przed nami, z powrozem na szyi, wyglądając łaski i zmiłowania.

– Nie równaj mnie z psem, komturze – odrzekł Jurand – bo czi ujmujesz tym, którzy potykali się ze mną i z mojej ręki polegli.

Na te słowa szmer powstał między zbrojnymi Niemcami: nie wiadomo było, czy rozgniewała ich śmiałość odpowiedzi, czy uderzyła j jej słuszność.

Lecz komtur nie był rad z takiego obrotu rozmowy, więc rzekł:

– Patrzcie, oto tu jeszcze pluje nam w oczy hardością i pychą! A Jurand wyciągnął w górę dłonie jak człowiek, który niebiosy wzywa na świadki, i odrzekł, kiwając głową:

– Bóg widzi, że moja hardość została za bramą tutejszą. Bóg widzi i będzie sędził, czy hańbiąc mój stan rycerski, nie pohańbiliście się i sami. Jedną jest cześć rycerska, którą każdy, kto opasan, szanować winien.

Danveld zmarszczył brwi, ale w tej chwili błazen zamkowy począł brząkać łańcuchem, na którym trzymał niedźwiadka, i wołał:

– Kazanie! kazanie! przyjechał kaznodzieja z Mazowsza! Słuchajcie! Kazanie!

Po czym zwrócił się do Danvelda:

– Panie! – rzekł – graf Rosenheim, gdy go dzwonnik za wcześnie na kazanie dzwonieniem rozbudził, kazał mu zjeść sznur dzwoniczy od węzła do węzła; ma i ów kaznodzieja powróż na szyi – każcie mu go zjeść, nim kazania dokończy.

I to rzekłszy, począł patrzeć na komtura nieco niespokojnie, nie był bowiem pewien, czy ów roześmieje się, czy każe go za niewczesne odezwanie się wysmagać. Lecz bracia zakonni, głacy, układni, a nawet i pokorni, gdy nie poczuwali się w sile, nie znali natomiast żadnej miary wobec zwyciężonych: więc Danveld nie tylko skinął głową skomorochowi na znak, że na urągowisko pozwala, lecz i sam wybuchnął grubiaństwem tak niesłychanym, że na twarzach kilku młodszych giermków odbiło się zdumienie.

– Nie narzekaj, żeć pohańbiono – rzekł – bo choćbym cię psiarczykiem uczynił, lepszy psiarczyk zakonny niż wasz rycerz! A ośmielony błazen począł krzyczeć:

– Przynies zgrzebło, wyczesz mi niedźwiedzia, a on ci wzajem kudły łapą wyczese!

Na to tu i owdzie ozwały się śmiechy, jakiś głos zawołał spoza pleców braci zakonnych:

– Latem będziesz trzcinę na jeziorze kosił!

– I raki na ścierwo łowił! – zawołał inny. Trzeci zaś dodał:

– A teraz pocznij wrony od wisielców odganiać! Nie zbraknieć tu roboty.

Tak to oni szydzili ze straszego im niegdyś Juranda. Powoli wesołość ogarnęła zgromadzenie. Niektórzy, wyszedłszy zza stołu, poczęli zbliżać się do jeńca, opatrywać go z bliska i mówić: „Toć jest ów dzik ze Spychowa, któremu nasz komtur kły powybił; pianę pewnie ma w pysku; rad by kogo ciał, ale nie może!” Danveld i inni bracia zakonni, którzy chcieli z początku dać posłuchaniu jakiś uroczysty pozór sądu, widząc, że rzecz obróciła się inaczej, popodnosili się także z ław i pomieszali się z tymi, którzy zbliżyli się ku Jurandowi.

Nie był wprawdzie z tego rad stary Zygfryd z Insburka, ale sam komtur mu rzekł: „Rozmarszczcie się, będzie jeszcze większa uciecha!” I poczęli także oglądać Juranda, gdyż to była sposobność rzadka,

albowiem który z rycerzy lub knechtów widział go przedtem tak blisko, ten zwykle zamykał oczy potem na wieki. Więc niektórzy mówili także: „Pleczysty jest, chociaż ma kożuch pod worem; można by go grochowinami owinąć i po jarmarkach prowadzać...” Inni zaś jęli wołać o piwo, aby dzień stał im się jeszcze weselszy.

Jakoż po chwili zadzwoniły kopiaste dzbańce, a ciemna sala wypełniła się zapachem spadającej spod pokryw piany. Rozweselony komtur rzekł: „Tak właśnie dobrze, niech nie myśli, że jego pohańbienie wielka rzecz!” Więc znowu zbliżali się do niego i trącając go pod brodę konwiami, mówili: „Rad byś pił, mazurski ryju!” – a niektórzy, ulewając na dłonie, chlustali mu w oczy, on zaś stał między nimi, zahukany, zelżony, aż wreszcie ruszył ku staremu Zygfydowi i widocznie czując, że nie wytrzyma już długo, począł krzyczeć tak głośno, aby zagłuszyć gwar panujący w sali:

– Na mękę Zbawiciela i duszne zbawienie, oddajcie mi dziecko, jakście obiecali!

I chciał chwycić prawą dłoń starego komtura, lecz ów odsunął się szybko i rzekł:

– Z dała niewolniku! czego chcesz?

– Wypuściłem z jeństwa Bergowa i przyszedłem sam, boście obiecali, że za to oddacie mi dziecko, które się tu znajduje.

– Kto ci obiecywał? – spytał Danveld.

– W sumieniu i wierze ty, komturze!

– Świadców nie znajdziesz, ale za nic świadkowie, gdy chodzi o cześć i słowo.

– Na twoją cześć! Na cześć Zakonu! – zawołał Jurand.

– Tedy córka będzie ci oddana! – odpowiedział Danveld. Po czym zwrócił się do obecnych i rzekł:

– Wszystko, co go tu spotkało – niewinna to igraszka, nie w miarę jego występków i zbrodni. Ale żeśmy przyrzekli wrócić mu córkę, jeśli się stawi i upokorzy przed nami, tedy wiedzcie, że słowo Krzyżaka ma być jako słowo Boże niewzruszonym i że ową dziewczkę, którąśmy rozbójnikom odjęli, darujem teraz wolnością, a po przykładowej pokucie za grzechy przeciw Zakonowi i jemu do domu wrócić dozwolimy.

Zdziwiła niektórych taka mowa, gdyż znając Danvelda i jego dawne do Juranda urazy, nie spodziewali się po nim tej uczciwości. Więc stary Zygfyd, a z nim razem Rotgier i brat Gotfryd spoglądali na niego, podnosząc ze zdumienia brwi i marszcząc czoła, ów jednakże udał, że tych pytających spojrzeń nie widzi, i rzekł:



– Córkę ci pod strażą odesłem, ty zaś tu ostaniesz, póki straż nasza bezpiecznie nie wróci i póki okupu nie zapłacisz.

Jurand sam był nieco zdumiony, albowiem już był stracił nadzieję, by nawet dla Danusi ofiara jego mogła się na coś przydać, więc spojrział na Danvelda prawie z wdzięcznością i odpowiedział:

– Bóg ci zapłać, komturze!

– Poznaj rycerzy Chrystusa – rzekł Danveld. A na to Jurand:

– Już ci z niego wszelkie miłosierdzie! Ale żem też dziecka kęs czasu nie oglądał, pozwólże mi dziewczkę obaczyć i pobłogosławić.

– Ba, i nie inaczej jak wobec nas wszystkich, aby zaś byli świadkowie naszej wiary i łaski.

To rzekłszy, kazał przybocznemu giermkowi sprowadzić Danusie, sam zaś zbliżył się do von Lowego, Rotgiera i Gotfryda, którzy otoczywszy go, poczęli szybką i żywą rozmowę.

– Nie przeciwię się, lubo nie takiś miał zamiar – mówił stary Zygryd.

A gorący, słynny z męstwa i okrucieństwa Rotgier mówił:

– Jak to? nie tylko dziewczkę, ale i tego diabelskiego psa wypuścisz, aby znów kąsał?

– Nie tak ci jeszcze będzie kąsał! – zawołał Gotfryd.

– Ba!... zapłaci okup! – odparł niedbale Danveld.

– Choćby wszystko oddał, w rok dwa razy tyle złupi.

– Nie przeciwię się co do dziewczki – powtórzył Zygryd – ale na tego wilka nieraz jeszcze owieczki zakonne zapłaczą.

– A nasze słowo? – spytał, uśmiechając się, Danveld.

– Inaczej mówiłeś...

Danveld wzruszył ramionami.

– Mało wam było uciechy? – spytał. – Chcecie więcej? Inni zaś otoczyli znów Juranda i w poczuciu chwały, która z uczciwego postępu Danvelda spadła na wszystkich ludzi zakonnych, poczęli mu się chępić do oczu:

– A co, łamignacie! – mówił kapitan zamkowych łuczników – nie tak by postąpili twoi pogańscy bracia z chrześcijańskim naszym rycerzem!

– Krew zaś naszą toś pijał?

– A my ci za kamień chlebem...

Ale Jurand nie uważał już ni na pychę, ni na pogardę, która była w ich słowach: serce miał wezbrane a rzęsy wilgotne. Myślał, że oto za

chwile zobaczy Danusię i że zobaczy ją istotnie z ich łaski, więc spoglądał na mówiących prawie ze skruchą i wreszcie odrzekł:

– Prawda! prawda! bywałem wam ciężki, ale... nie zdrażliwy.

Wtem w drugim końcu sali jakiś głos krzyknął nagle: „Wiodą dziewczkę!” – i naraz w całej sali uczyniło się milczenie. Żołnierze rozstąpili się na obie strony, gdyż jakkolwiek żaden z nich nie widział dotąd Jurandówny, a większa ich część z powodu tajemniczości, którą Danveld otaczał swe uczynki nie wiedziała nawet nic o jej pobycie w zamku, jednakże ci, którzy wiedzieli, zdążyli już teraz szepnąć innym o przecudnej jej urodzie. Wszystkie więc oczy skierowały się z nadzwyczajną ciekawością na drzwi, przez które miała się ukazać.

Tymczasem naprzód ukazał się giermek, za nim znana wszystkim służka zakonna, ta sama, która jeździła do leśnego dworca, za nią zaś weszła przybrana biała dziewczyna, z rozpuszczonymi włosami przewiązanymi wstążką na czole.

I nagle w całej sali rozległ się na kształt grzmotu jeden ogromny wybuch śmiechu. Jurand, który w pierwszej chwili skoczył był ku córce, cofnął się nagle i stał blady jak płótno, spoglądając ze zdumieniem na spiczastą głowę, na sine usta i na nieprzytomne oczy niedojdy, którą mu oddawano jako Danusię.

– To nie moja córka! – rzekł trwożnym głosem.

– Nie twoja córka? – zawołał Danveld. – Na świętego Liboriusza z Padebornu! To albośmy nie twoją zbójom odbili, albo ci ją jakiś czarownik zmienił, bo innej nie masz w Szczytnie.

Stary Zygfryd. Rotgier i Gotfryd zamienili z sobą szybkie spojrzenia, pełne największego podziwu nad przebiegłością danvelda, ale żaden z nich nie miał czasu odezwać się, gdyż Juran począł wołać okropnym głosem:

– Jest! jest w Szczytnie! Słyszałem, jako śpiewała, słyszałem głos mojego dziecka!

Na to Danveld obrócił się do zebranych i rzekł spokojnie a dobitnie:

– Biorę was tu obecnych na świadków, a szczególnie ciebie Zygfrydzie z Insburka, i was, pobożni bracia, Rotgierze i Gotfrydzie, że wedle słowa i uczynionej obietnicy oddaję tę dziewczkę o której pobici przez nas zbójcy powiadali, jako jest córką Juranda ze Spychowa. Jeśli zaś nią nie jest – nie nasza w tym wina, ale raczej wola Pana naszego, który w ten sposób chciał wydać Juranda w nasze ręce.

Zygfyrd i dwaj młodsi bracia skłonili głowy na znak, że słyszą i będą w potrzebie świadczyli. Potem znów zamienili szybkie spojrzenia – gdyż było to więcej, niż sami mogli się spodziewać: schwytać Juranda, nie oddać mu córki, a jednak pozornie dotrzymać obietnicy, któż inny by to potrafił!

Lecz Jurand rzucił się na kolana i począł zaklinać Danvelda na wszystkie relikwie w Malborgu, a potem na prochy i głowy rodziców, by oddał mu prawdziwe jego dziecko i nie postępował jako oszust i zdrajca łamiący przysięgi i obietnice. W głosie jego tyle było rozpacz i prawdy, że niektórzy poczęli się domyślać podstępu, innym zaś przychodziło na myśl, że może naprawdę jaki czarownik odmienił postać dziewczyny.

– Bóg patrzy na twoją zdradę! – wołał Jurand. – Na rany Zbawiciela! na godzinę śmierci twojej, oddaj mi dziecko!

I wstawszy z klęczek, szedł zgięty we dwoje ku Danveldowi, jakby chciał mu objąć kolana, i oczy błyszczały mu prawie szaleństwem, a głos łamał mu się na przemian bólem, trwogą, rozpaczą i groźbą. Danveld zaś, słysząc wobec wszystkich zarzuty zdrady i oszustwa, począł parskać nozdrzami, wreszcie gniew buchnął mu na twarz jak płomień, więc chcąc do reszty zdeptać nieszczęśnika, posunął się również ku niemu i pochyliwszy się do jego ucha, szepnął przez zaciśnięte zęby:

– Jeśli ją oddam – to z moim bękartem...

Lecz w tej samej chwili Jurand ryknął jak buhaj: obie jego dłonie chwyciły Danvelda i podniosły go w górę. W sali rozległ się przeraźliwy krzyk: „Oszczędź!” – po czym ciało komtura uderzyło z tak straszną siłą o kamienną podłogę, że mózg z roztrzaskanej czaszki obryzgał bliżej stojących Zygfylda i Rotgiera.

Jurand skoczył ku bocznej ścianie, przy której stały zbroje, i porwawszy wielki dwuręczny miecz runął jak burza na skamieniałych z przerażenia Niemców.

Byli to ludzie przywykli do bitew, rzezi i krwi, a jednak upadły w nich serca tak dalece, że nawet gdy odrętwienie minęło, poczęli się cofać i pierzchać, jak stado owiec pierzcha przed wilkiem, który jednym uderzeniem kłów zabija. Sala zabrzmiała okrzykami przerażenia, tupotem nóg ludzkich, brzękiem przewracanych naczyń, wyciem pachółków, rykiem niedźwiedzia, który wyrwawszy się z rąk skomorocha, począł wdrapywać się na wysokie okno – i rozpaczliwym wołaniem o zbroje, o tarcze, o miecze i kusze. Zabłysła wreszcie broń i kilkadziesiąt ostrzy skierowało się ku Jurandowi, lecz on niebaczny na nic, na

wpół obłąkany, sam skoczył ku nim i rozpoczęła się walka dzika, niesłychana, podobniejsza do rzezi niż do orężnej rozprawy. Młody i zapalczywy brat Gotfryd pierwszy zastąpił drogę Jurandowi, lecz ów odwalił mu błyskawicą miecza głowę wraz z ręką i łopatką; za czym padł z jego ręki kapitan łuczników i ekonom zamkowy von Bracht i Anglik Hugues, który choć nie bardzo rozumiał, o co chodzi, litował się jednak nad Jurandem i jego męką, a wydobył oręż dopiero po zabiciu Danvelda. Inni, widząc straszliwą siłę i rozpętanie męża, zbili się w kupę, by razem stawić opór, ale sposób ten gorszą jeszcze sprowadził klęskę, gdyż on z włosem zjeżonym na głowie, z obłąkanymi oczyma, cały oblany krwią i krwią dyszący, rozhukany, zapamiętały, łamał, rozrywał i rozcinał strasznymi cięciami miecza tę zbitą ciżbę, waląc ludzi na podłogę spluskaną posoką, jak burza wali krze i drzewa. I przysłała znów chwila okropnej trwogi, w której zdawało się, że ten straszliwy Mazur sam jeden wytnie i wymorduje tych wszystkich ludzi i że równie jak wrzaskliwa psiarnia nie może bez pomocy strzelców pokonać srogiego odyńca, tak i ci zbrojni Niemcy do tego stopnia nie mogą się zrównać z jego potęgą i wściekłością, że walka z nim jest tylko dla nich śmiercią i zagubą.

– Rozproszyć się! otoczyć go! z tyłu razić! – krzyknął stary Zygfryd de Lowe.

Więc rozbiegli się po sali, jak rozprasza się stado szpaków na polu, na które runie z góry jastrząb krzywodzioby, lecz nie mogli go otoczyć, albowiem w szale bojowym zamiast szukać miejsca do obrony, począł ich gonić wokół ścian i kogo dognał – ten marł jakby rażony gromem. Upokorzenia, rozpacz, zawiedziona nadzieja, zmienione w jedną żądzę krwi, zdawały się mnożyć w dziesięciokrotność jego okrutną przyrodzoną siłę. Mieczem, do którego najtężsi między Krzyżaki mocarze potrzebowali obu rąk, władał jak piórem jedną. Nie szukał życia, nie szukał ocalenia, nie szukał nawet zwycięstwa, szukał pomsty, i jako ogień albo jako rzeka, która zerwawszy tamy, niszczy ślepo wszystko, co jej prądowi opór stawi, tak i on, straszliwy, zaślepiony niszczyciel – porrywał, łamał, deptał, mordował i gasił żywoty ludzkie.

Nie mogli go razić przez plecy, gdyż z początku nie mogli go dognać, a przy tym pospolici żołdacy bali się zbliżać nawet z tyłu, rozumiejąc, że gdyby się obrócił, żadna moc ludzka nie wyrwie ich śmierci. Innych chwyciło zupełne przerażenie na myśl, że zwykły mąż nie mógłby sprawić tylu klęsk i że mają do czynienia z człowiekiem, któremu jakieś nadludzkie siły w pomoc przychodzą.

Lecz stary Zygryd, a z nim brat Rotgier wpadli na galerię, która biegła ponad wielkimi oknami sali, i poczęli nawoływać innych, aby chronili się za nimi, ci zaś czynili to skwapliwie, tak że na wąskich schodkach przepychali się wzajem, pragnąc jak najprędzej dostać się na górę i stamtąd razić mocarza, z którym wszelka walka wręcz okazywała się niepodobną. Wreszcie ostatni zatrzasnął drzwi prowadzące na chór i Jurand pozostał sam na dole. Z galerii ozwały się krzyki radości, tryumfu i wnet poczęły lecieć na rycerza dębowe ciężkie zydle, ławy i żelazne kuny od pochodni. Jeden z pocisków trafił go w czoło nad brwiami i zalał mu krwią twarz. Jednocześnie rozwarły się wielkie drzwi wchodowe i przywołani przez górne okna knechci wpadli hurmem do sali, zbrojni w dzidy, halabardy, topory, kusze, w ostrokoły, drażgi, powrozy i we wszelką broń Jaką każdy mógł naprędce pochwycić.

A szalony Jurand obtarł lewą ręką krew z twarzy, aby nie ćmiła mu wzroku, zebrał się w sobie – i rzucił się na cały tłum. W sali rozległy się znów jęki, szczęk żelaza, zgrzyt zębów i przeraźliwe głosy mordowanych mężów.

## ROZDZIAŁ II

W tej samej sali wieczorem siedział za stołem stary Zygfyrd de Lowe, którzy po wójcie Danveldzie objął tymczasem zarząd Szczytna, a obok niego brat Rotgier, rycerz de Bergow, dawny jeniec Juranda, i dwaj szlachetni młodzieńcy, nowicjusze, którzy wkrótce przywdziać mieli białe płaszcze. Wicher zimowy wył za oknami, wstrząsał ołowiane osady okien, chwiały płomieniem pochodni palących się w żelaznych kunach, a kiedy niekiedy wypychał z komina kłęby dymu na salę. Między braćmi, chociaż zebrali się na radę, panowała cisza, albowiem czekali na słowo Zygfyryda, ów zaś, wsparłszy łokcie na stole i splótłszy dłonie na siwej pochylonej głowie, siedział posepny, z twarzą w cieniu i z ponurymi myślami w duszy.

– Nad czym mamy radzić? – spytał wreszcie brat Rotgier. Zygfyrd podniósł głowę, popatrzył na mówiącego i zbudziwszy się z zamyślenia, rzekł:

– Nad klęską, nad tym, co powie mistrz i kapituła, i nad tym, by z naszych uczynków nie wynikła szkoda dla Zakonu.

Po czym umilkł znów, lecz po chwili rozejrzał się naokół i poruszył nozdrzami:

– Tu czuć jeszcze krew.

– Nie, komturze – odpowiedział Rotgier – kazałem zmyć podłogę i wykadzić siarką. Tu czuć siarkę.

A Zygfyrd spojrzawszy dziwnym wzrokiem po obecnych i rzekł:

– Zmiłuj się, Duchu Światłości, nad duszą brata Danvelda i brata Gotfryda!

Oni zaś zrozumieli, że wzywał miłosierdzia boskiego nad tymi duszami i że wzywał dlatego, iż po wzmiance o siarce przyszło mu na myśl piekło, więc dreszcz przebiegł im przez kości i odrzekli wszyscy naraz:

– Amen! amen! amen!

Przez chwilę znów było słycać wycie wiatru i drganie osad okiennych.

– Gdzie ciało komtura i brata Gotfryda? – spytał starzec.

– W kaplicy; księża śpiewają nad nimi litanie.

- W trumnach już?
- W trumnach, jeno komtur głowę ma zakrytą, bo i czaszka, i twarz zmiążdżone.
- Gdzie inne trupy? i ranni?
- Trupy na śniegu, aby zeszywniały, zanim porobią trumny, a ranni opatrzeni już w szpitalu.

Zygfyrd splótł powtórnie dłonie nad głową:

– I to jeden człowiek uczynił!... Duchu Światłości, miej w swojej pieczy Zakon, gdy przyjdzie do wielkiej wojny z tym wilczym plemieniem!

Na to Rotgier podniósł wzrok w górę, jakby coś sobie przypominając, i rzekł:

– Słyszałem pod Wilnem, jako wójt sambijski mówił bratu swemu, mistrzowi: „Jeśli nie uczynisz wielkiej wojny i nie wytracisz ich tak, aby i imię nie zostało – tedy biada nam i naszemu narodowi”.

– Daj Bóg takową wojnę i spotkanie z nimi! – rzekł jeden ze szlachetnych nowicjuszów.

Zygfyrd spojrział na niego przeciągle, jak gdyby miał ochotę powiedzieć: „Mogłeś dziś spotkać się z jednym z nich” – lecz widząc drobną i młodą postać nowicjusza, a może wspomniawszy, że i sam, choć sławion z odwagi, nie chciał iść na pewną zgubę, zaniechał wymówki i zapytał:

- Który z was widział Juranda?
- Ja – odrzekł de Bergow.
- Żyje?
- Żyje, leży w tej samej sieci, w którąśmy go zaplątali. Gdy się ocknął, chcieli go knechci dobić, ale kapelan nie pozwolił.
- Dobić nie można. Człek to znaczny między swymi i byłby krzyk okrutny – odparł Zygfryd. – Niepodobna też będzie ukryć tego, co zaszło, gdyż zbyt wielu było świadków.

– Jako więc mamy mówić i co czynić? – spytał Rotgier. Zygfryd zamyślił się i wreszcie tak rzekł:

– Wy, szlachetny grafie de Bergow, jedźcie do Malborga do mistrza. Jęczęliście w niewoli u Juranda i jesteście gościem Zakonu, więc jako goście, który niekoniecznie potrzebuje mówić na stronę zakonników, tym snadniej wam uwierzą. Mówcie przeto, coście widzieli, że Danveld, odbiwszy pogranicznym łotrzykom jakąś dziewczynę i myśląc, że to dziewczka Jurandowa, dał znać o tym Jurandowi, którego też przybył do Szczytna, i... co się dalej stało – sami wiecie...

– Wybaczcie, pobożny komturze – rzekł de Bergow. – Ciężką niewolę znośłem w Spychowie i jako gość wasz rad bym zawsze świadczył za wami, ale dla pokoju sumienia mego powiedzcie mi: zali nie było prawdziwej Jurandówny w Szczytnie i zali nie zdrada Danvelda doprowadziła do szału strasznego jej rodzica?

Zygryd de Lowe zawahał się przez chwilę z odpowiedzią;

w naturze jego leżała głęboka nienawiść do polskiego plemienia, leżało okrucieństwo, którym nawet Danvelda przewyższał, i drapieżność, gdy chodziło o Zakon, i pycha, i chciwość, ale nie było w nim zamiłowania do niskich wykrętów. Największą też goryczą i zgryzotą życia jego było, że w ostatnich czasach sprawy zakonne przez niekarność i swawolę ułożyły się w ten sposób, że wykręty stały się jednym z najwalnieszszych i nieodzownych już środków zakonnego życia. Przeto pytanie de Bergowa poruszyło w nim tę najboleśniejszą stronę duszy i dopiero po długiej chwili milczenia rzekł:

– Danveld stoi przed Bogiem i Bóg go sądzi, a wy, grafie, jeśli was zapytają o domysły, tedy mówcie, co chcecie: jeśli zasie o to, co widziały oczy wasze, tedy powiedzcie, iż nim splątaliśmy siecią wściekłego męża, widzieliście dziewięciu trupów, prócz rannych na tej podłodze, a między nimi trup Danvelda, brata Gotfryda, von Brachta i Huga, i dwóch szlachetnych młodzianów... Boże, daj im wieczny odpoczynek. Amen!

– Amen! amen! – powtórzyli znów nowicjusze.

– I mówcie także – dodał Zygfryd – że jakkolwiek Danveld chciał przycisnąć nieprzyjaciela Zakonu, nikt tu jednak pierwszy miecza na Juranda nie wy dobył.

– Będę mówił jeno to, co widziały oczy moje – odrzekł de Bergow.

– Przed północą zaś bądźcie w kaplicy, gdzie i my przyjdziemy modlić się za dusze zmarłych – odpowiedział Zygfryd.

I wyciągnął do niego rękę, zarazem na znak podzięk i pożegnania, albowiem pragnął do dalszej narady pozostać tylko z bratem Rotgierem, którego miłował jak źrenicę oka i jak tylko ojciec mógł miłować jedyne go syna. W Zakonie czyniono nawet z powodu tej niezmiernie miłości różne przypuszczenia, ale nikt nic dobrze nie wiedział, zwłaszcza że rycerz, którego Rotgier uważał za ojca, żył jeszcze na swym zamczku w Niemczech i nie wypierał się tego syna nigdy.

Jakoż po odejściu Bergowa Zygfryd wyprawił również i dwóch nowicjuszków pod pozorem, aby dopilnowali roboty trumien dla pobi-



tych przez Juranda prostych knechtów, a gdy drzwi zamknęły się za nimi, zwrócił się żywo do Rotgiera i rzekł:

– Słuchaj, coć powiem: jedna jest tylko rada, aby żadna żywa dusza nie dowiedziała się nigdy, że prawdziwa Jurandówna była u nas.

– Nie będzie to trudno – odrzekł Rotgier – gdyż o tym, że ona tu jest, nie wiedział nikt prócz Danvelda, Gotfryda, nas dwóch i tej służki zakonnej, która jej dozoruje. Ludzi, którzy ją przywieźli z leśnego dworca, kazał Danveld popoić i powiesić. Byli tacy w załodze, którzy się czegoś domyślali, ale tym pomieszała w głowie owa niedojda i sami nie wiedzą teraz, czy stała się pomyłka z naszej strony, czy też jakiś czarownik naprawdę przemienił Jurandównę.

– To dobrze – rzekł Zygfryd.

– Ja zaś myślałem, szlachetny komturze, czyby, ponieważ Danveld nie żyje, nie zwalić na niego całej winy...

– I przyznać się przed całym światem, żeśmy w czasie pokoju i układów z księciem mazowieckim porwali z jego dworu wychowaną księżny i ulubioną jej dwórkę? Nie, to nie może być!... Na dworze widziano nas razem z Danveldem i wielki szpitalnik, jego krewny, wie, iżeśmy przedsiębrali zawsze wszystko razem... Gdy oskarżym Danvelda, zechce się mścić za jego pamięć...

– Radźmy nad tym – rzekł Rotgier.

– Radźmy i znajźmy dobrą radę, bo inaczej biada nam! Gdyby Jurandównę oddać, to ona sama powie, żeśmy nie od zbójów ją odebrali, jeno że ludzie, którzy ją pochwycili, zawiedli ją wprost do Szczytna.

– Tak jest.

– I nie tylko o odpowiedzialność mi chodzi. Będzie się książę skarżył królowi polskiemu i wysłańcy ich nie omieszkają krzyczeć na wszystkich dworach na nasze gwałty, na naszą zdradę, na naszą zbrodnię. Ile może być z tego szkody dla Zakonu! Sam mistrz, gdyby wiedział prawdę, powinien rozkazać nam ukryć tę dziewczkę.

– A czy i tak, gdy ona przepadnie, nie będą oskarżali nas? – zapytał Rotgier.

– Nie! Brat Danveld był człowiekiem przebiegłym. Czy pamiętasz, że postawił warunek Jurandowi, aby nie tylko sam stawił się w Szczytnie, ale by przedtem ogłosił i do księcia napisał, iż jedzie córkę od zbójów wykupywać i wie, że nie ma jej u nas.

– Prawda, ale jakże usprawiedliwim w takim razie to, co stało się w Szczytnie?

– Powiemy, iż wiedząc, że Jurand szuka dziecka, a odjąwszy zbójom jakowąś dziewczkę, która nie umiała powiedzieć, kto jest, daliśmy znać o tym Jurandowi, myśląc, że to być może jego córka, ów zaś, przybywszy, wpadł na widok tej dziewczki w szaleństwo i opętany przez złego ducha rozlał tyle krwi niewinnej, że i niejedna potyczka więcej nie kosztuje.

– Zaprawdę – odrzekł Rotgier – mówi przez was rozum i doświadczenie wieku. Złe uczynki Danvelda, choćbyśmy na niego tylko winę zwalili, zawsze by poszły na karb Zakonu. Zatem na karb nas wszystkich, kapituły i samego mistrza; tak zaś wykaże się nasza niewinność, wszystko zaś spadnie na Juranda, na złość polską i związki ich z piekielnymi mocami...

– I niech nas sędzi wówczas, kto chce: papież czy cesarz rzymski!

– Tak.

Nastała chwila milczenia, po czym brat Rotgier spytał:

– Więc co uczynim z Jurandówną?

– Radźmy.

– Dajcie ją mnie.

A Zygryd popatrzał na niego i odpowiedział:

– Nie! Słuchaj, młody bracie! Gdy chodzi o Zakon, nie folgujcie mężowi ni niewieście, ale nie folgujcie i sobie. Danvelda dosięgła ręka Boża, bo nie tylko chciał pomścić krzywdy Zakonu, ale i własnym chuciom dogodzić.

– Źle mnie sądzicie! – rzekł Rotgier.

– Nie folgujcie sobie – przerwał mu Zygryd – bo zniewieścieją w was ciała i dusze, i kolano tamtego twardego plemienia przyciśnie kiedyś pierś waszą tak, iż nie powstaniecie więcej.

I po raz trzeci wsparł posępną głowę na rękę, ale widocznie rozmawiał tylko z własnym sumieniem i o sobie tylko myślał, gdyż po chwili rzekł:

– I na mnie dużo ciąży krwi ludzkiej, dużo bólu, dużo łez... I ja, gdy chodziło o Zakon i gdym widział, że samą siłą nie wskóram, nie wahałem się szukać innych dróg; ale gdy stanę przed tym Panem, którego czczę i miłuję, rzeknę mu: „To uczyniłem dla Zakonu, a dla siebie – wybrałem jeno cierpienie”.

Po czym chwycił rękoma skronie, a głowę i oczy podniósł w górę i zawołał:

– Wyrzeczcie się rozkoszy i rozpusty, zatwardzicie wasze ciała i serca, gdyż oto widzę białość orłowych piór na powietrzu i szpony orła, czerwone od krwi krzyżackiej...

Dalsze słowa przerwało mu uderzenie wichru tak straszne że jedno okno w górze nad galerią otworzyło się z trzaskiem a cała sala nappełniła się wyciem i poświstem zawiei oraz płatkami śniegu.

– W imię Ducha Światłości! Zła to noc – rzekł stary Krzyżak.

– Noc mocy nieczystych – odrzekł Rotgier. – Ale dlaczego, panie, zamiast: w imię Boga, mówicie: „w imię Ducha Światłości”?

– Duch Światłości to Bóg – odparł starzec, po czym jakby chcąc odwrócić rozmowę, spytał:

– A przy ciebie Danvelda są księża?

– Są...

– Boże, bądź mu miłościw!

I umilkli obaj, po czym Rotgier przywołał pachołków, którym rozkazał zamknąć okno i objaśnić pochodnie, a gdy poszli precz, znów zapytał:

– Co uczynicie z Jurandówną? Weźmiecie ją stąd do Insburka?

– Wezmę ją do Insburka i uczynię z nią to, czego dobro Zakonu wymagać będzie.

– Ja zaś co mam czynić?

– Masz-li w duszy odwagę?

– Cóżem takiego uczynił, abyście mieli o tym wątpić?

– Nie wątpię, bo cię znam, a za twoje męstwo miłuję cię więcej niż kogokolwiek w świecie. Tedy jedź na dwór księcia mazowieckiego i opowiedz mu wszystko, co się tu stało, tak jakeśmy między sobą ułożyli.

– Mogęż się na pewną zgubę narażać?

– Jeśli twa zguba wyjdzie na chwałę Krzyża i Zakonu, to powinieś. Ale nie! Nie czeka cię zguba. Oni gościowi krzywdy

nie czynią: chybaby cię kto chciał pozwać, jako uczynił ów młody rycerz, który nas wszystkich pozwał... On lub kto inny, lec to przecie nie straszne...

– Daj to Bóg! mogą mnie jednak chwycić i do podziemi wtrącić.

– Nie uczynią tego. Pamiętaj, że jest list Jurandowy do księcia, a ty pojedziesz prócz tego skarżyć na Juranda. Opowiesz wiernie, co uczynił w Szczytnie, i muszą ci uwierzyć... Oto pierwsi daliśmy mu znać, że jest jakaś dziewczka, pierwsi zaprosiliśmy go, by przybył i obaczył ją, a on przyjechał, oszalał, komtura zabił, ludzi nam powytracał. Tak bę-

dziesz mówił, a oni cóż ci na to powiedzą? Jużci śmierć Danvelda rozgłosi się po całym Mazowszu. Wobec tego zaniechają skarg. Jurandówny będą oczywiście szukali, ale skoro sam Jurand pisał, że nie u nas jest, więc nie na nas padnie posąd. Trzeba nadrobić odwagą i pozamykać im paszczęki, bo i to także pomyślą, że gdybyśmy byli winni, nikt z nas nie odważyłby się przyjechać.

– Prawda. Po pogrzebie Danvelda wyruszę zaraz w drogę.

– Niech cię Bóg błogosławi, synaczku! Gdy wszystko uczynim jak należy, tedy nie tylko nie zatrzymają cię, ale się muszą wyprzeć Juranda, abyśmy zaś nie mogli rzec: Oto jak oni z nami postępują!

– I tak trzeba się będzie skarżyć na wszystkich dworach.

– Wielki szpitalnik dopilnuje tego i dla dobra Zakonu, i jako krewny Danvelda.

– Ba, ale gdyby ten diabeł spychowski wyżył i odzyskał wolność...

A Zygfyrd począł patrzeć posepnie przed siebie, następnie zaś odpowiedział z wolna i dobitnie:

– Choćby odzyskał wolność, nigdy on nie wypowie jednego słowa skargi na Zakon.

Po czym jął jeszcze nauczać Rotgiera, co ma mówić i czego żądać na mazowieckim dworze.

### ROZDZIAŁ III

Wieść o zajściu w Szczytnie przybyła jednak do Warszawy przed bratem Rotgierem i wzbudziła tam zdumienie i niepokój. Ani sam książę, ani nikt z dworu nie mógł zrozumieć, co zaszło. Przed niedawnym czasem, właśnie gdy Mikołaj z Długolasu miał jechać do Malborka z listem księcia, w którym tenże skarżył się gorzko na porwanie przez niesfornych pogranicznych komturów Danusi i niemal groźnie upominał się o niezwłoczne jej oddanie, przyszedł list od dziedzica ze Spychowa oznajmiający, że córka jego porwana została nie przez Krzyżaków, ale przez zwyczajnych zbójów nadgranicznych, i że wkrótce będzie za okup uwolniona. Wskutek tego poseł nie pojechał, nikomu bowiem ani przez głowę nie przeszło, żeby Krzyżacy wymogli takie pismo na Jurandzie pod groźbą śmierci dziecka. Trudno było i tak zrozumieć, co zaszło, gdyż warchołowie pograniczni, tak poddani księcia jak i Zakonu, czynili wzajemne na się napady latem, nie zaś zimą, gdy śniegi zdradzały ich ślady. Napadali też zwykle kupców albo dopuszczali się grabieży po wioskach, chwytając ludzi i zagarniając ich stada, by jednak ośmielili się zahaczyć samego księcia i porwać jego wychowaną, a przy tym córkę potężnego i wzbudzającego powszechną obawę rycerza, to zdawało się przechodzić wprost wiarę ludzką. Na to jednak, jak również na inne wątpliwości, był odpowiedzią list Juranda z jego własną pieczęcią i przywieziony tym razem przez człowieka, o którym wiadano, że pochodzi ze Spychowa; wobec czego wszelkie podejrzenia stały się niemożliwe, książę tylko wpadł w gniew, w którym go dawno nie widziano, i nakazał pościg opryszków na całej granicy swego księstwa, wezwawszy zarazem księcia płockiego, aby uczynił również to samo i również nie szczędził kar na zuchwalców.

A wówczas właśnie przyszła wieść o tym, co zdarzyło się w Szczytnie.

I przechodząc z ust do ust, przyszła powiększona dziesięciokrotnie. Opowiadano, iż Jurand przybywszy samosześć do zamku wpadł przez otwarte bramy i uczynił w nim rzeź taką, iż z załogi mało kto pozostał, że musiano posyłać po ratunek do pobliskich zamków, zwoływać rycerstwo i zbrojne zastępy ludu pieszego, które dopiero po dwóch

dniach oblężenia zdołały wdrzeć się na powrót do zamku i tam zgładzić Juranda zarówno jak jego towarzyszków. Mówiono też, że wojska owe wejdą prawdopodobnie teraz w granice i że wielka wojna niechybnie się rozpocznie. Książę, który wiedział, jak wiele zależy wielkiemu mistrzowi na tym, by na wypadek wojny z królem polskim siły obu księstw mazowieckich pozostały na stronie, nie wierzył tym wieściom, albowiem nietajnym mu było, że gdyby Krzyżacy rozpoczęli wojnę z nim lub z Ziemowitem płockim, żadna siła ludzka nie powstrzyma Polaków z Królestwa, mistrz zaś obawiał się tej wojny. Wiedział, że musi przyjść, ale pragnął ją odwlec, raz dlatego, że był pokojowego ducha, a po wtóre dlatego, że aby zmierzyć się z potęgą Jagiełły, trzeba było przygotować siłę, jakiej nigdy dotychczas Zakon nie wystawił i zarazem zapewnić sobie pomoc książąt i rycerstwa nie tylko w Niemczech, ale na całym Zachodzie.

Nie obawiał się więc książę wojny, chciał jednak wiedzieć, co się stało, co ma naprawdę myśleć o zajściu w Szczytnie, o zniknięciu Danusi i o tych wszystkich wieściach, które przychodziły znad granicy, więc też, jakkolwiek nie cierpiał Krzyżaków, rad był, gdy pewnego wieczora kapitan łuczników doniósł mu, że przyjechał rycerz zakonny i prosi o posłuchanie.

Przyjął go jednak wyniośle i jakkolwiek natychmiast poznał, że to jest jeden z braci, którzy byli w leśnym dworcu, udał, że go sobie nie przypomina, i zapytał, kto jest, skąd przybywa i co go do Warszawy sprowadza.

– Jestem brat Rotgier – odpowiedział Krzyżak – i przed niedawnym czasem miałem zaszczyt pochylić się do kolan waszej książęcej miłości.

– Czemu zaś bratem będąc, nie masz na sobie zakonnych znamion?

Rycerz począł tłumaczyć się, że białego płaszcz z krzyżem nie przywdział tylko dlatego, iż gdyby to był uczynił, niechybnie byłby pojman lub zabit przez mazowieckie rycerstwo: wszędzie na całym świecie, we wszystkich królestwach i księstwach, znak krzyża na płaszczu ochrania, zjednywa życzliwość i gościnność ludzką, i tylko w jednym księstwie mazowieckim krzyż na pewną zgubę naraża człowieka, który go nosi.

Lecz książę przerwał mu gniewnie:

– Nie krzyż – rzekł – bo krzyż i my całujem, jeno wasza niecnota... A jeśli was gdzie indziej lepiej przyjmują, to dlatego, że was mniej znają.

Po czym, widząc, że rycerz stropił się bardzo tymi słowy, zapytał:

– Byłeś w Szczytnie, albo-li wiesz, co się tam stało?

– Byłem w Szczytnie i wiem, co się tam stało? – odrzekł Rotgier – a przybywam tu nie jako czyjś wysłannik, ale z tej jeno przyczyny, że doświadczony i świętobliwy komtur z Insburka rzekł mi: Nasz mistrz miłuje pobożnego księcia i ufa w jego sprawiedliwość, więc gdy ja pośpieszę do Malborka, ty jedź na Mazowsze i przedstaw naszą krzywdę, nasze pohańbienie, naszą niedolę. Juźci nie pochwali sprawiedliwy pan gwałciciela pokoju i srogiego napastnika, który rozlał tyle krwi chrześcijańskiej, jakby nie Chrystusa, ale szatana był sługą.

I tu począł opowiadać wszystko, co stało się w Szczytnie: jako Jurand przez nich samych wezwany, aby zobaczył, czy dziewczyna, którą zbójcom odjęli, nie jest jego córką, zamiast wdzięcznością się wypłacić wpadł w szal; jak zabił Danvelda, brata Gotfryda, Anglika Huga, von Brachta i dwóch szlachetnych giermków, nie licząc knechtów; jak oni, pomni na przykazania boskie, nie chcąc zabijać, musieli w końcu splątać siecią straszego męża, który wówczas przeciw sobie samemu podniósł broń i poranił się okrutnie; jak wreszcie nie tylko w zamku, ale i w mieście byli ludzie, którzy wśród wichury zimowej słyszeli podczas nocy po walce straszliwe jakieś śmiechy i głosy wołające w powietrzu: „Nasz Jurand! krzywdziciel Krzyża! rozlewca krwi niewinnej! Nasz Jurand!”

I całe opowiadanie, a zwłaszcza ostatnie słowa Krzyżaka wielkie uczyniły wrażenie na wszystkich obecnych. Zdjął ich po prostu strach, czy istotnie Jurand nie wezwał w pomoc sił nieczystych – i zapadło głucho milczenie. Lecz księżna, która była obecna przy posłuchaniu i która kochając Danusię, nosiła w sercu nieutulony żal po niej, zwróciła się z niespodzianym pytaniem do Rotgiera:

– Mówicie, rycerzu – rzekła – że odbiwszy dziewczynę-niedojdę, myśleliście, iż to Jurandowa córka, i dlatego wezwaliście go do Szczytna?

– Tak, miłościwa pani – odrzekł Rotgier.

– A jakożeście mogli to myśleć, skoroście w leśnym dworze widzieli przy mnie prawdziwą Jurandównę?

Na to brat Rotgier zmieszał się, gdyż nie był przygotowany na podobne pytanie. Książę powstał i utkwiał surowy wzrok w Krzyżaku, zaś Mikołaj z Długolasu, Mrokota z Mocarzewa, Jaśko z Jagielnicy i inni rycerze mazowieccy przyskoczyli zaraz do mnicha, pytając na przemian groźnymi głosami:

– Jakożeście mogli to myśleć? Mów, Niemcze! Jako to być mogło?

A brat Rotgier ochłonął i rzekł:

– My, zakonnicy, nie podnosim oczu na niewiasty. Było w leśnym dworze przy miłościwej księżnie dwórek niemało, ale która była między nimi Jurandówna, nikt z nas nie wiedział.

– Danveld wiedział – ozwał się Mikołaj z Długolasu. – Gadał ci z nią nawet na łowach.

– Danveld stoi przed Bogiem – odparł Rotgier – i powiem o nim jeno to, że nazajutrz znaleziono rozkwitłe róże na jego trumnie, których, jako w czasie zimowym, nie mogła położyć ręka ludzka.

Znów nastąpiło milczenie.

– Skąd wiedzieliście o porwaniu Jurandówny? – zapytał książę.

– Sama bezbożność i zuchwalstwo uczynku zrobiły go rozgłośnym tu i u nas. Więc dowiedziawszy się o tym, daliśmy na msze dziękczynne, że jeno zwykła dwórka, a nie które z rodzonych dzieci waszych miłości było porwane z leśnego dworca.

– Ale to mi zawsze dziwno, żeście mogli niedojdę poczytać za córkę Juranda.

Na to brat Rotgier:

– Danveld mówił tak: „Często szatan zdradza swych sług, więc może odmienił Jurandównę”.

– Zbóje wszelako nie mogli, jako prostacy, podrobić pisma Kalebowego i pieczęci Juranda. Któż mógł to uczynić?

– Zły duch.

I znów nikt nie umiał znaleźć odpowiedzi.

Rotgier zaś począł patrzeć pilnie w oczy księciu i rzekł:

– Zaiste, są mi jako miecze w piersi te pytania, albowiem posąd w nich tkwi i podejrzenie. Ale ja, ufny w sprawiedliwość Bożą i w moc prawdy, pytam waszą książęcą mość: zali sam Jurand posądzał nas o ten uczynek, a jeśli posądzał, to czemu, nim wezwaliśmy go do Szczytna, szukał na całym pograniczu zbójów, aby od nich córkę wykupić?

– Juźci... prawda! – rzekł książę. – Choćbyś co ukrył przed ludźmi, nie ukryjesz przed Bogiem. Posądzał was w pierwszej chwili, ale potem... potem myślał co innego.

– Oto jak blask prawdy zwycięża ciemności! – rzekł Rotgier. I potoczył zwycięskim wzrokiem po sali, pomyślał bowiem, że w głowach krzyżackich więcej jest obrotności i rozumu niż w polskich i że to plemię zawsze będzie łupem i karmią Zakonu, równie jak mucha bywa łupem i karmią pająka.



Więc porzuciwszy poprzednią układność, przystąpił ku księciu i począł mówić głosem podniesionym i natarczywym:

– Nagródź nam, panie, nasze straty, nasze krzywdy, nasze łzy i naszą krew! Twoim był ten piekielnik poddanym, więc w imię Boga, z którego władza królów i książąt wypływa, w imię sprawiedliwości i Krzyża, nagródź nam nasze krzywdy i krew! A książe popatrzył na niego w zdumieniu:

– Na miły Bóg! – rzekł – czegoż ty chcesz? Jeśli Jurand wytoczył w szaleństwie waszą krew, zali ja mam za jego szaleństwa odpowiadać?

– Twoim był, panie, poddanym – rzekł Krzyżak – w twoim księstwie leżą jego ziemie, jego wsie i jego gród, w którym więził sług Zakonu; niechaj więc chociaż ta majętność, niech chociaż te ziemie i ów bezbożny kasztel staną się odtąd własnością Zakonu. Zaprawdę nie będzie to godna zapłata za tę szlachetną krew przelaną! Zaprawdę nie wskrzesi ona zmarłych, ale może choć w części uspokoi gniew Boży i zetrze niesławę, która inaczej na całe to księstwo spadnie. O, panie! Wszędzie posiada Zakon ziemie i zamki, które łaska i pobożność chrześcijańskich książąt mu nadała, jeno tu nie masz ni piędzi ziemi w jego władaniu. Niechże nasza krzywda, która o pomstę do Boga woła, choć tak nam się nagrodzi, abyśmy mogli powiedzieć, że i tu żywią ludzie mający w sercach bojaźń Bożą.

Usłyszawszy to, książe zdumiał się jeszcze więcej i dopiero po długiej chwili milczenia odrzekł:

– Rany boskie!... A wždy, jeśli ten wasz Zakon tutaj siedzi, z czyjej łaski, jeśli nie z łaski przodków moich? Małoż wam jeszcze tych krajów, ziem i miast, które do nas i do naszego kraju niegdyś należały, a które dzisiaj są wasze? Żyje przecie jeszcze dziewczka Jurandowa, gdyż nikt nam ojej śmierci nie doniósł, wy zaś już chcecie sierocie wiano zagarnąć i sierocym chlebem wasze krzywdy sobie nagrodzić?

– Panie, przyznajesz krzywdę – rzekł Rotgier – więc tak ją nagródź, jako ci twoje książęce sumienie i twoja sprawiedliwa dusza nakaze.

I znowu rad był w sercu, gdyż myślał sobie: „Teraz nie tylko nie będą skarżyli, ale będą jeszcze uradzać, jakby samym ręce umyć i z tej sprawy się wykręcić. Nikt już nic nam nie zarzuci i sława nasza będzie jako biały płaszcz zakonny – bez skazy”.

A wtem ozwał się niespodzianie głos starego Mikołaja z Długolasu:

– Pomawiają was o chciwość i Bóg wie, czy-li nie słusznie, bo oto i w tej sprawie więcej wam o zysk niż o cześć Zakonu chodzi.

– Prawda! – odrzekli chórem rycerze mazowieccy. A Krzyżak postąpił kilka kroków, podniósł dumnie głowę i mierząc ich wyniosłym wzrokiem, rzekł:

– Nie przybywam tu jako poseł, jeno jako świadek sprawy i rycerz zakonny gotów czci Zakonu krwią własną do ostatniego tchnienia bronić!... Kto by tedy, wbrew temu, co mówił sam Jurand, śmiał Zakon o uczestnictwo w porwaniu onego córki posądzać – niechaj podniesie ten rycerski zakład i niechaj zda się na sąd Boży!

To rzekłszy, rzucił przed nich rycerską rękawicę, która upadła na podłogę, oni zaś stali w głuchym milczeniu, bo choć niejednen z nich rad by był wyszczerbić miecz na krzyżackim karku, jednakże bali się sądu Bożego. Nikomu nie było tajno, że Jurand wyraźnie oświadczył, iż nie rycerze zakonni porwali mu dziecko, każdy przeto w duszy myślał, że jest słuszność, a zatem będzie i zwycięstwo po stronie Rotgiera.

Ów zaś uzuchwalił się tym bardziej i wsparłszy się w boki, zapytał:

– Jest-li taki, któren by podniósł tę rękawicę? A wtem jakiś rycerz, którego wejścia poprzednio nikt nie zauważył i który od niejakiego czasu słuchał przy drzwiach rozmowy, wystąpił na środek, podniósł rękawicę i rzekł:

– Jam ci jest!

I powiedziawszy to, rzucił swoją prosto w twarz Rotgiera, po czym jął mówić głosem, który wśród powszechnego milczenia rozlegał się jak grzmot po sali:

– Wobec Boga, wobec dostojnego księcia i wszystkiego zacnego rycerstwa tej ziemi mówię ci, Krzyżaku, że szczekasz jako pies przeciw sprawiedliwości a prawdzie – i pozywam cię w szranki na walkę pieszą alibo konną, na kopie, na topory, na krótkie alibo długie miecze – i nie na niewolę, jeno do ostatniego tchnienia, na śmierć!

W sali można by było usłyszeć przelatującą muchę. Wszystkie oczy zwróciły się na Rotgiera i na wyzywającego rycerza, którego nikt nie poznał, albowiem na głowie miał hełm, wprawdzie bez przyłbicy, ale z kolistym okapem schodzącym niżej uszu, który zakrywał zupełnie górną część twarzy, na dolną zaś rzucał cień głęboki. Krzyżak nie mniej był zdumiony od wszystkich. Pomieszanie, bladeść i wściekły gniew mignęły mu tak po twarzy, jak błyskawica miga po nocnym niebie. Schwycił dłonią łosiową rękawicę, która obsunąwszy mu się z oblicza, zahaczyła na końcu naramiennika, i zapytał:

– Ktoś jest, który wyzywasz sprawiedliwość boską? A ów odpiął sprzączkę pod brodą, zdjął hełm, spod którego ukazała się jasna, młoda głowa, i rzekł:

– Zbyszko z Bogdańca, mąż Jurandowej córki. Zdziwili się wszyscy i Rotgier wraz z innymi, gdyż nikt z nich prócz obojga księstwa, ojca Wyszonia i de Lorchego nie wiedział o ślubie Danusi, Krzyżacy zaś byli pewni, że prócz ojca nie ma Jurandówna innego przyrodzonego obrońcy, lecz w tej chwili wystąpił pan de Lorche i rzekł:

– Na moją rycerską cześć poświadczam prawdę słów jego; kto by zaś śmiał wątpić, oto moja rękojmia.

Rotgier, który nie znał, co to trwoga, i w którym serce burzyło się w tej chwili gniewem, byłby może podniósł i tę rękawicę, ale wspomniawszy, że ten, który ją rzucił, był sam przez się możliwym panem, a w dodatku krewnym hrabiego Geldrii, powstrzymał się, uczynił zaś tak tym bardziej, że sam księżę wstał i zmarszczywszy brwi, rzekł:

– Nie wolno tej rękojmi podnosić, albowiem i ja poświadczam, jako prawdę powiedział ów rycerz.

Krzyżak, usłyszawszy to, skłonił się, po czym rzekł do Zbyszka:

– Jeślić wola, to pieszo, w zamkniętych szrankach na topory.

– Jam cię już i tak wprzód pozwał – odpowiedział Zbyszko.

– Boże, daj zwycięstwo sprawiedliwości – zawołali mazowieccy rycerze.

## ROZDZIAŁ IV

O Zbyszka niepokój był na całym dworze tak między rycerstwem, jak między niewiastami, gdyż lubiono go powszechnie, wobec zaś listu Juranda nikt nie wątpił, że słuszność jest po stronie Krzyżaka. Z drugiej strony wiedziano, że Rotgier jest jednym ze sławniejszych braci w Zakonie. Giermek van Krist rozповідаł, może umyślnie, między mazowiecką szlachtą, że pan jego, nim został zbrojnym mnichem, zasiadał raz u stołu honorowego Krzyżaków, do którego to stołu dopuszczano tylko słynnych w świecie rycerzy, takich, którzy odbyli wyprawę do Ziemi Świętej albo też walczyli zwycięsko przeciw olbrzymom-smokom lub możnym czarnoksiężnikom. Słyszając takie opowiadania van Krista, a zarazem i chełpliwe zapewnienia, że pan jego nieraz potykał się z mizerykordią w jednej, a toporem lub mieczem w drugiej ręce z pięciu naraz przeciwnikami, niepokoił się Mazurowie, i poniektóry mówił: „Hej, gdyby tu był Jurand, ten dałby i takim dwóm rady, jemu nigdy się żaden Niemiec nie odjął, ale młodziankowi gorze! gdyż tamten siłą, laty i ćwiczeniem góruje”. Więc inni żalowali, że nie podnieśli rękawicy, twierdząc, że gdyby nie owa wiadomość od Juranda, niechybnie byliby to uczynili... „Ale wyroku boskiego strach...” Wymieniano też przy sposobności i dla wzajemnej pociechy nazwiska mazowieckich i w ogóle polskich rycerzy, którzy bądź na dworskich igrzyskach, bądź goniąc na ostre, liczne nad zachodnimi rycerzami odnosili zwycięstwa, przede wszystkim zaś Zawiszę z Garbowa, z którym żaden rycerz w chrześcijaństwie mierzyć się nie mógł. Lecz byli i tacy, którzy co do Zbyszka mieli także dobrą nadzieję: „Nie ułomek ci to jest – mówili – i jakośwa słyszeli, godnie już raz Niemcom porozwalał łby na udeptanej ziemi”. Lecz szczególnie skrzepiły się serca z powodu uczynku giermka Zbyszkowego, Czecha Hiawy, który w wigilię spotkania, słyszając van Krista opowiadającego o niesłychanych zwycięstwach Rotgiera, a będąc młodzianem porywczym, chwycił tegoż van Krista za brodę, zadarł mu głowę i rzekł: „Jeślić nie wstyd łgać wobec ludzi, spójrz w górę, że to i Bóg cię słyszy!” I trzymał go tak przez tyle czasu, ile trzeba na zmówienie „Ojczy nasz”, zaś ów, wreszcie uwol-

nion, zaraz jął go wypytywać o ród i dowiedziawszy się, że pochodzi z wtodyków, pozwał go także na topory.

Ucieszyli się tedy tym postępkom Mazurowie i znów niejeden mówił: „Juże tacy nie będą chramać na boisku i byle po ich stronie była prawda a Bóg, nie wyniosą zdrowych gnatów te krzyżackie macie”. Lecz właśnie Rotgier tak potrafił zasypać piaskiem oczy wszystkim, że wielu niepokoiło się o to, po której stronie prawda – i sam ksiązę podzielał ten niepokój.

Więc wieczorem przed bitką wezwał Zbyszka na rozmowę, przy której obecną była tylko księżna i zapytał:

– Pewnyżeś, że Bóg będzie z tobą? Skąd wiesz, że oni chycili Danuskę? Zali Jurand mówił ci co? Bo, ot widzisz – tu jest list Jurandowy – pismo księdza Kaleba, a jego pieczęć, i w tym liście Jurand powiada, iż wie, że to nie Krzyżacy. Co on ci mówił?

– Mówił, że to nie Krzyżacy.

– Jakoże tedy możesz życie ważyć i na sąd boski stawać? A Zbyszko umilkł, tylko przez czas jakiś drgały mu szczęki i łzy zbierały się w oczach.

– Ja nic nie wiem, miłościwy panie – rzekł: – Wyjechaliśmy stąd razem z Jurandem i po drodze przyznałem mu się do ślubu. Począł wówczas narzekać, iż to może być krzywda Boża, ale gdy mu rzekł, że to wola Boża, uspokoił się – i przebaczył. Przez całą drogę mówił, że nikt inny nie porwał Danusi, jeno Krzyżacy, a potem już ja sam nie wiem, co się stało!... Do Spychowa przyjechała ta sama niewiasta, która przywiozła dla mnie jakoweś leki do leśnego dworu, a z nią jeszcze jeden wysłannik. Zamknęli się z Jurandem i uradzali. Co mówili, też nie wiem, jeno po onej rozmowie własni słudzy nie mogli poznać Juranda, bo taki był, jakby go z truchły wyjęto. Powiedział nam: „Nie Krzyżacy”, ale Bergowa i co miał jeńców z podziemia puścił. Bóg wie dlaczego, sam zaś pojechał bez żadnego giermka ni sługi... Mówił, że jedzie do zbójów Danuskę wykupić, a mnie przykazał czekać. Ano! – czekałem. Aż tu przychodzi wiadomość ze Szczytna, że Jurand namordował Niemców i sam legł! O, miłościwy panie! Już mnie parzyła spychowska ziemia i małom nie oszalał. Ludzi wsadziłem na koń, by pomścić śmierć Jurandową, a tu ksiądz Kaleb powiada:

„Kasztelu nie weźmiesz, a wojny nie wszczynaj. Jedź do księcia, może tam co o Danusce wiedzą”. Tom i przyjechał, i właśnie trafiłem, jako ów pies szczekał o krzyżackiej krzywdzie i Jurandowym szaleństwie... Jam, panie, podniósł jego rękawicę, bom go już przedtem po-

zwał, a chociaż nie wiem nic, to jedno wiem tylko, że to łgarze są piekielni – bez wstydu, bez czci i wiary! Patrzcie, miłośnicy państwo! Toż oni zadźgali Fourcy'ego, a na mojego giermka chcieli zwalić ten uczynek. Na Boga! zadźgali go jako wołu, a potem do cię, panie, przyszli po pomstę i po zapłatę! Kto tedy przysięgnie, że nie nałgali i przedtem przed Jurandem, i teraz przed tobą, panie?... Nie wiem, nie wiem, gdzie Danuśka! alem go pozwał, bo choćby mi też i żywota stradać przyszło, wolej mi śmierć niż żywot bez mojego kochania, bez mojej najmilszej na świecie całym.

To rzekłszy, zerwał w uniesieniu pątlík z głowy, aż włosy rozsypały mu się po ramionach, i chwyciwszy je, począł szlochać ciężko. Księżna Anna Danuta, sama do głębi strapiona stratą Danusi i litując się nad jego bólem, położyła mu ręce na głowie i rzekła:

– Boże cię wspomagaj, pociesz i błogosław!

## ROZDZIAŁ V

Książę nie sprzeciwił się pojedynkowi, gdyż wedle ówczesnych obyczajów nie był w możności tego uczynić. Wymógł tylko, by Rotgier napisał list do mistrza i do Zygfyda de Lowe, że sam pierwszy rzucił rękawicę rycerzom mazowieckim, wskutek czego staje do walki z mężem Jurandówny, który zresztą już pierwej go był pozwał. Tłumaczył się też Krzyżak wielkiemu mistrzowi, że jeśli staje bez pozwolenia, to dlatego, że chodzi o cześć Zakonu i odwrócenie szpetnych podejrzeń, które by hańbę przynieść mogły, a które on, Rotgier, gotów jest zawsze własną krwią okupić. List ten wysłany był natychmiast do granicy przez jednego z pachołków rycerza, dalej zaś miał iść do Malborga pocztą, którą Krzyżacy na wiele lat przed innymi wynaleźli i zaprowadzili w swoich ziemiach.

Tymczasem na podwórzu zamkowym ubito śnieg i posypano go popiołem, aby nogi walczących nie grzęzły lub nie ślizgały się po gładkiej powierzchni. W całym zamku panował ruch nadzwyczajny. Wzruszenie tak opanowało rycerzy i dwórki, że w nocy poprzedzającej bitwę nikt nie spał. Mówiono sobie, że walka konna na kopie, a nawet na miecze, często kończy się na ranach, natomiast piesza, a zwłaszcza na straszliwe topory, zawsze bywa śmiertelna. Wszystkie serca były po stronie Zbyszka, ale właśnie im kto więcej miał przyjaźni dla niego lub dla Danusi, z tym większym niepokojem przypominał sobie, co rozpowiadano o sławie i sprawności Krzyżaka. Wiele niewiast spędziło noc w kościele, gdzie też po odbytej przed księdzem Wyszońkiem spowiedzi kajał się i Zbyszko. Mówiły więc jedna do drugiej, patrząc na jego prawie chłopięcą twarz: „Toż to jeszcze dzieciuch!... jakże mu młodą głowę pod niemiecki topór oddawać?” I tym gorliwiej modliły się dla niego o wspomóżenie. Ale gdy świtaniem podniósł się i szedł przez kaplicę, aby przywdziać zbroję w izbie zamkowej, znowu przybyło im nieco serca, gdyż głowa i twarz Zbyszka były wprawdzie chłopięce, natomiast ciało nad miarę rosłe i silne, tak iż wydawał im się chłopem na schwał, który poradzi sobie, choćby z najtęższym mężem. Bitka miała się odbyć na podwórzu zamkowym, które wokoło otaczał krużganek.

Gdy dzień uczynił się już zupełny, przybyli książę i księżna razem z dziećmi i zasiedli w środku między słupami, skąd najlepiej widać było cały podwórzec. Obok nich zajęli miejsca co przedniejsi dworzanie, szlachetne niewiasty i rycerstwo. Zapełniły się wszystkie kąty krużganku; czeladź usadowiła się za wałem, który utworzon był z wymiecionego śniegu, niektórzy poprzyczepiali się na wykuszach, a nawet na dachu. Tam prostactwo gwarzyło między sobą: „Daj Bóg, aby się nasz nie dał!”

Dzień był zimny, wilgotny, ale jasny; powietrze roilo się od kawek, które zamieszkiwały dachy i szczyty baszt, a które spłoszone niezwykle ruchem, kołowały z wielkim łopotaniem skrzydeł nad zamkiem. Mimo chłodu ludzie potnieli ze wzruszenia, a gdy ozwała się pierwsza trąba oznajmująca wejście zapaśników, wszystkie serca poczęły bić jak młoty.

Oni zaś weszli z przeciwnych stron szranków i zatrzymali się na krańcach, każdy z patrzących utił wówczas dech w piersiach,

każdy pomyślał, że oto niezadługo dwie dusze ulecą ku sądowym progom boskim a dwa trupy zostaną na śniegu – i usta coraz jagody niewiast pobladyły i posiniały na tę myśl, oczy zaś mężów wpatrzone były jak w tęczę w przeciwników, każdy bowiem pragnął z samej postawy i z uzbrojenia ich wywróżyć sobie, na czyją stronę padnie zwycięstwo.

Krzyżak przybrany był w szmelcowany błękitny pancerz, w także nabiodrza i w także hełm z podniesioną przyłbicą i ze wspaniałym pawim pióropuszem na grzebieniu. Zbyszkowi piersi, boki i grzbiet opinała pyszna mediolańska zbroja, którą był swego czasu zdobył na Fryzach. Na głowie miał hełm z okapem, nie zamknięty i bez piór, na nogach bycze skórnie. Na lewych ramionach dźwigali tarcze z herbami: na krzyżackiej była u góry szachownica, u dołu trzy lwy stojące na zadnich łapach, na Zbyszkowej – tępa podkowa. W prawicach dźwigali szerokie, straszne topory, osadzone na dębowych poczeriałych toporzyskach, dłuższych niż ramię rośłego męża. Towarzyszyli im giermkowie: Hława, zwany przez Zbyszka Głowaczem – i van Krist, obaj przybrani w ciemne żelazne blachy, obaj również z toporami i tarczami: van Krist miał w herbie krzak janowca, herb Czecha podobny był do Pomiana, z tą różnicą, że zamiast topora tkwił w byczej głowie krótki miecz do połowy w oku pogażon.

Trąba ozwała się po raz drugi, a za trzecim mieli przeciwnicy wedle umowy na się nastąpić. Dzieliła ich już teraz tylko niewielka, posy-



pana szarym popiołem przestrzeń, nad tą zaś przestrzenią unosiła się jako złowrogi ptak – śmierć. Zanim jednak dano trzeci znak, Rotgier zbliżył się ku słupom, między którymi siedzieli księżstwo, podniósł swą zakutą w stal głowę i ozwał się głosem tak donośnym, że słyszano go we wszystkich zakątkach krużganku:

– Biorę na świadka Boga, ciebie, dostojny panie, i całe rycerstwo tej ziemi, jakom nie winien tej krwi, która będzie przelana.

Na te słowa ścisnęły się znów serca, że Krzyżak tak był pewien siebie i swego zwycięstwa. Lecz Zbyszko, mając duszę prostą, zwrócił się do swego Czecha i rzekł:

– Śmierdzi mi ta krzyżacka chwalba, gdyż byłaby do rzeczy po mojej śmierci, nie zaś pókim żyw. Ma też ów samochwał pawi czub na hełmie, a ja nasamprzód takich trzy ślubowałem, a potem ile paliców u rąk. Bóg zdarzył!

– Panie... – zapytał Hława, pochylając się i nabierając w ręce nieco popiołu ze śniegiem, aby toporzysko nie ślizgało mu się w dłoniach – może da Chrystus, że prędko uwinę się z tym pruskim chmyzem, zali mi wolno będzie wówczas jeśli nie sięgnąć Krzyżaka, to przynajmniej wsadzić mu toporzysko między kolana i zwalić go na ziemię?

– Boże cię uchowaj! – zawołał żywo Zbyszko – hańbą byś okrył mnie i siebie.

A wtem zabrzmiał po raz trzeci głos trąby. Usłyszawszy to, giermkowie skoczyli jeden ku drugiemu żywo i zapalczywie, rycerze zaś posunęli się ku sobie wolniej i rozważniej, jako aż do pierwszego starcia nakazywała ich dostojność i powaga.

Mało kto zważał na giermków, ale ci z doświadczonych mężów i z czeladzi, którzy na nich patrzyli, zrozumieli od razu, jak okrutna przewaga jest po stronie Hławy. Topór chodził ciężiej w ręku Niemca, a również i ruchy jego tarczy były wolniejsze. Spod puklerza widać było jego nogi dłuższe, ale węższe i mniej sprężyste od potężnych, pokrytych obcisłym ubraniem nóg Czecha. Hława natarł też tak zapalczywie, że van Krist prawie od pierwszej chwili musiał się cofać. Zrozumiano od razu, że jeden z tych przeciwników zwał się na drugiego jak burza, że prze, naciska, razi jak piorun, drugi zaś w poczuciu, że śmierć nad nim, broni się tylko, aby jak najbardziej opóźnić okropną chwilę. Jakoż tak było istotnie. Ów samochwał, który w ogóle stawał do bitki tylko wówczas, gdy inaczej nie mógł uczynić, poznał, że zuchwałe a niebaczne słowa przywiodły go do walki ze strasznym osiłkiem, którego powinien był jak zguby unikać; więc gdy poczuł teraz, że każde z tych

uderzeń mogłoby zwalić wołu, upadło w nim zupełnie serce. Zapomniał prawie, że nie dość chwycić ciosy tarczą, ale że trzeba je także zadawać. Widział nad sobą błyski topom i myślał, że każdy z nich jest ostatni. Nadstawiając puklerz, mrużył mimo woli oczy z poczuciem trwogi i zwątpienia, czy je jeszcze otworzy. Z rzadka sam zadał cios, bez nadziei, że przeciwnika dosięże, puklerz tylko podnosił coraz wyżej nad głowę, aby ją jeszcze i jeszcze uchronić.

Wreszcie począł się męczyć, a Czech bił w niego coraz potężniej. Równie jak z rosłego chojara odszczepiają się pod toporem chłopa wióry ogromne, tak i pod razami Czecha poczęły kruszyć się i odpadać blachy ze zbroi niemieckiego giermka. Górny brzeg tarczy wygiął się i spękał, naramiennik z prawego barku stoczył się wraz z przeciętym i pokrwawionym już rzemieniem na ziemię. Van Kristowi włosy stanęły dębem na głowie – i chwyciła go trwoga śmiertelna. Uderzył jeszcze raz i drugi całą siłą ramienia w puklerz Czecha, wreszcie widząc, że wobec okrutnej siły przeciwnika nie ma dla niego ratunku i że ocalić go tylko może jakiś nadzwyczajny wysiłek, rzucił się nagle całym ciężarem zbroi i ciała pod nogi Hlawy.

Padli obaj na ziemię i zmagali się wzajem, tocząc i przewracając się po śniegu. Lecz Czech wnet wydostał się na wierzch, przez chwilę tłumił jeszcze rozpaczliwe ruchy przeciwnika, wreszcie przycisnął kolanem żelazną siatkę pokrywającą jego brzuch i wy dobył z za pasa krótką, trójgranną mizerykordię.

– Oszczędź! – wyszeptał cicho van Krist, wznosząc oczy ku oczom Czecha.

Lecz ów zamiast odpowiedzi rozciągnął się na nim, by łatwiej rękoma dostać jego szyi, i przeciąwszy rzemienną zapinkę hełmu pod brodą, pchnął nieszczęśnika dwukrotnie w gardło, kierując ostrze w dół, ku środkowi piersi.

Wówczas źrenice van Krista uciekły w głąb czaszki, ręce i nogi poczęły trzepać śnieg, jakby chciały go oczyścić z popiołu, po chwili jednak wyprężył się – i pozostał nieruchomy, wydymając tylko jeszcze pokryte czerwoną pianą wargi i krwawiąc nadzwyczaj obficie.

A Czech wstał, obtarł o suknię Niemca mizerykordię, następnie podniósł topór i wsparłszy się na nim, począł spoglądać na cięższą i upartszą bitkę swego rycerza z bratem Rotgierem.

Rycerze zachodni przywykli już byli do wygod i zbytków, podczas gdy „dziedzice” w Małopolsce i Wielkopolsce oraz na Mazowszu wiedli jeszcze życie surowe i twarde, wskutek czego nawet w obcych i

niechętnych budzili podziw krzepkością ciała i wytrzymałością na wszelki trud bądź ciągły, bądź doraźny. Pokazało się też i teraz, że Zbyszko góruje nad Krzyżakiem siłą rąk i nóg nie mniej, niż jego giermek górował nad van Kristem, ale pokazało się także, że jako młody ustępuje mu w ćwiczeniu rycerskim.

Było to dla Zbyszka rzeczą poniekąd pomyślną, iż wybrał walkę na topory, albowiem fechtunek tego rodzaju bronią był niemożliwy. Na krótkie lub długie miecze, przy których trzeba było znać cięcia, sztychy i umieć ciosy odbijać, miałby Niemiec znaczną przewagę. Lecz i tak zarówno sam Zbyszko, jak i widzowie po mchach i władaniu tarczą poznali, iż mają przed sobą męża doświadczonego i groźnego, który widocznie nie pierwszy raz staje do tego rodzaju walki. Za każdym ciosem Zbyszka Rotgier podstawiał tarczę i w chwili uderzenia cofał ją nieco, przez co rozmach, choćby największy, tracił na sile i nie mógł przeciąć ani też pokruszyć gładkiej powierzchni. Chwilami cofał się, chwilami nacierał, czyniąc to spokojnie, lubo tak szybko, że ledwie można było pochwycić oczyma jego ruchy. Zląkł się książę o Zbyszka, a twarze mężów zasepiły się, wydało im się bowiem, że Niemiec igra jakby umyślnie z przeciwnikiem. Nieraz nie podstawiał nawet tarczy, ale w chwili gdy Zbyszko uderzał, czynił pół obrotu w bok w ten sposób, że ostrze topora przecinało puste powietrze. Było to najstraszniejsze, gdyż Zbyszko mógł przy tym stracić równowagę i upaść, a wówczas zguba jego stałaby się nieuchronna. Widząc to, Czech stojący nad zarzniętym Kristem trwożył się także i mówił sobie w duszy: „Boga mi, jeśli pan padnie, huknę Niemca obuchem między łopatki, aby się też wykopyrtnął”.

Zbyszko jednak nie padał, gdyż mając w nogach siłę ogromną i rozstawiając je szeroko, mógł utrzymać na każdej całej ciężar ciała i rozmachu.

Rotgier zauważył to natychmiast i widzowie mylili się, przypuszczając, że lekceważy przeciwnika. Owszem, po pierwszych uderzeniach, gdy pomimo całej umiejętności cofania tarczy ręka prawie zdrętwiała mu pod nią, zrozumiał, że czeka go z tym młodziankiem ciężki trud i że jeśli go nie zwali dobrym pomysłem, to walka może być długą i niebezpieczną. Liczył, że po cięciu w próżnię Zbyszko mnie na śnieg, a gdy to się nie stało, począł się wprost niepokoić. Spod stalowego okapu widział zaciśnięte nozdrza i usta przeciwnika, a chwilami błyszczące oczy, i mówił sobie, że zapalczywość powinna go unieść, że się zapamięta, straci głowę i w zaślepieniu więcej będzie myślał o zada-

waniu razów niż obronie. Ale pomylił się i w tym. Zbyszko nie umiał uchylać się od ciosów półobrotom, ale nie zapomniał o tarczy i wznosząc topór, nie odsłaniał się więcej, niż należało. Widocznie uwaga jego zdwoiła się, a poznawszy doświadczenie i sprawność przeciwnika, nie tylko się nie zapamiętał, ale skupił się w sobie, stał się ostrożniejszym i w uderzeniach jego coraz straszniejszych był jakiś rozmyśl, na który nie gorąca, ale tylko zimna zawziętość zdobyć się może.

Rotgier, który niemało wojen odbył i niemało staczał bitew bądź kupą, bądź w pojedynkę, wiedział z doświadczenia, że bywają ludzie jako ptaki drapieżne stworzeni do walki i szczególnie obdarowani przez naturę, którzy jakby odgadują to wszystko, do czego inni dochodzą przez całe lata ćwiczeń, i wraz pomiarkował, że ma z jednym z takich do czynienia. Od pierwszych uderzeń zrozumiał, że w tym młodziku jest coś takiego, co jest w jastrzębiu, który w przeciwniku widzi jedynie łup swój i nie myśli o niczym więcej, tylko aby go dosięgnąć szponami. Pomimo swej siły spostrzegł się również, że nie dorównywa w niej Zbyszkowi i że jeśli wyczerpie się przedtem, niż zdoła zadać cios stanowczy, to walka z tym strasznym, choć mniej doświadczonym wyrostkiem może się stać dla niego zgubną. Pomyślawszy to, postanowił walczyć z najmniejszym możliwie wysiłkiem, przyciągnął ku sobie tarczę, ni zbyt następował, ni zbyt się cofał, ograniczył ruchy, zebrał całą moc duszy i ramienia na jeden cios stanowczy i czekał pory.

Okrutna walka przeciągała się dłużej nad zwykłą miarę. Na krążgankach zaległa cisza śmiertelna. Słyszeć było tylko czasem dźwiękliwe, a czasem głucho uderzenie ostrzy i obuchów o tarcze. I księstwom, i rycerzom, i dwórkom nieobce były podobne widowiska, a jednakże jakieś uczucie podobne do przerażenia ścisnęło jakby kleszczami wszystkie serca. Rozumiano, że tu nie chodzi o wykazanie siły, sprawności, męstwa i że większa jest w tej walce zaciekłość, większa rozpacz, większa i bardziej nieubłagana zawziętość, głębsza zemsta. Z jednej strony: straszne krzywdy, miłość i żal bez dna, z drugiej: cześć całego Zakonu i głęboka nienawiść szły na tym pobojożywie na sąd Boży.

Tymczasem pojaśniał nieco zimowy, blady ranek, przetarła się szara opona mgły i promień słońca rozświetlił błękitny pancerz Krzyżaka i srebrną mediolańską zbroję Zbyszka. W kaplicy zadzwoniono na tercję, a razem z odgłosem dzwonu całe stada kawek zerwały się z dachów zamkowych, łopocąc skrzydłami i kracząc zgiełkownie jakby z radości na widok krwi i tego trupa, który leżał już nieruchomo na śnie-

gu. Rotgier rzucił na niego w czasie walki raz i drugi oczyma i nagle uczył się ogromnie samotnym. Wszystkie oczy, które na niego patrzyły, były to oczy wrogów. Wszystkie modły, życzenia i ciche wota, które czyniły niewiasty, były po stronie Zbyszka. Prócz tego, jakkolwiek Krzyżak był zupełnie pewien, że giermek Zbyszków nie rzuci się na niego z tyłu i nie sięgnie go zdradliwie, jednakże obecność i bliskość tej groźnej postaci przejmowała go takim mimowolnym niepokojem, jakim przejmują ludzi widok wilka, niedźwiedzia lub bawołu, od którego nie przedziela ich krata. I nie mógł się temu uczuciu obronić, tym bardziej że Czech, chcąc śledzić przebieg walki, poruszał się i zmieniał miejsce, zachodząc walczącym to z boku, to z tyłu, to od czoła – pochylając przy tym głowę i przypatrując się mu złowrogo przez szpary w żelaznej przyłbicy hełmu, a czasem podnosząc nieco, jakby mimo woli, zakrwawione ostrze.

Zmęczenie poczęło wreszcie Krzyżaka ogarniać. Raz po raz zadął dwa ciosy krótkie, ale straszne, kierując je na prawe ramię Zbyszka, ten jednakże odepchnął je tarczą z taką siłą, że toporzysko zachwiało się w dłoni Rotgiera, sam zaś musiał się cofnąć nagle, aby nie upaść. I od tej pory cofał się ciągle. Wyczerpywały się zresztą nie tylko jego siły, ale zimna krew i cierpliwość. Z piersi widzów na widok jego cofania się wyrwało się kilka okrzyków jakby tryumfu, które wzbudziły w nim złość i rozpacz. Uderzenia toporów stały się coraz gęstsze. Pot zlewał czoła obu walczących, a przez zwarte zęby dobywał im się z piersi chrapliwy oddech. Patrzący przestali zachowywać się spokojnie i co chwila teraz odzywały się wołania to męskie, to niewieście: „Bij! W niego!... Sąd Boży! Kara Boża! Bóg ci pomagaj!” Księżę skinął kilka razy dłonią, by je uciszyć, ale nie mógł ich powstrzymać. Czyniło się coraz głośniejsze, gdyż dzieci poczęły tu i ówdzie płakać na krużgankach, a wreszcie przy samym boku księżny jakiś młody, łkający głos niewieści zawołał:

– Za Danuškę, Zbyszku! za Danuškę!

Zbyszko wiedział przecie, że idzie o Danusię. Był pewny, że ten Krzyżak przyłożył ręki do jej porwania, i walcząc z nim – walczył za jej krzywdy. Ale jako młody i chciwy bitew, w chwili walki myślał o samej walce. Nagle ów krzyk uprzytomnił mu jej stratę i jej niedolę. Miłość, żal i zemsta nalały mu ognia do żył. Serce zaskowyczało w nim z rozbudzonego bólu i chwycił go po prostu szal bojowy. Strasznych, podobnych do uderzeń burzy jego ciosów nie mógł już Krzyżak pochwycić ni im wydażyć. Zbyszko uderzył tarczą w jego tarczę z tak

nadludzką siłą, że ramię Niemca zdrętwiało nagle i opadło bezwładnie. Ów zaś cofnął się w trwodze i przerażeniu i przechylił się w tył, a wtem w oczach mignął mu błysk topora i ostrze spadło mu jak piorun na prawy bark.

Do uszu widzów doszedł tylko rozdzierający krzyk: „*Jesus!...*” – po czym Rotgier odstaąpił jeszcze krok i runął na wznak na ziemię.

Wnet zagrzmiało i zaroilo się na krużgankach jak w pasiece, w której pszczoły przygrzane słońcem poczynają ruszać się i szumieć. Rycerze zbiegali całymi tłumami po schodach, czeladź przeskakiwała wał śnieżny, by się trupom przypatrzeć. Wszędy rozlegały się okrzyki: „Ot, sąd Boży!... Ma Jurand dziedzica. Chwała mu i podzięka! To ci chłop do topora!” Inni zaś wołali: „Patrzcie, a dziwujcie się! Już by sam Jurand godniej nie ciał!” Jakoż utworzyła się cała gromada ciekawych naokół trupa Rotgiera, a on leżał na grzbiecie, z twarzą białą jak śnieg, z szeroko otwartymi ustami i z krwawym ramieniem, odwalonym tak strasznie od szyi aż do pachy, że ledwie się na kilku włóknach trzymało. Więc mówili znów niektórzy. „Ot, żyw był i w hardości po ziemi chodził, a teraz i palcem ci nie ruszy!” A tak mówiąc, jedni podziwiali jego wzrost, gdyż wielką przestrzeń na pobojuwisku zajmował i po śmierci wydawał się jeszcze ogromniejszy, drudzy zaś pawi pióropusz mieniący się cudnie na śniegu, a trzeci zbroję, którą na dobrą wieś oceniano. Lecz Czech Hława zbliżył się właśnie z dwoma Zbyszgowymi pacholkami, by ją zdjąć z nieboszczyka, więc ciekawi otoczyli Zbyszka, wychwalając go i wynosząc pod niebiosa, bo im się słusznie zdawało, że sława jego spadnie na całe mazowieckie i polskie rycerstwo. Tymczasem odjęto mu tarczę i topór, by mu ulżyć, a Mrokota z Mocarzewa odpiął mu i hełm, spotniałe zaś włosy przykrył czapką ze szkarłatnego sukna. Zbyszko stał jakby w osłupieniu, oddychając ciężko, z ogniem jeszcze niezgasłym w oczach, z twarzą pobladłą z wysiłku i zawziętą, drżąc nieco ze wzruszenia i trudu. Ale chwycono go pod ręce i poprowadzono do księstwa, którzy czekali nań w ogrzanej komnacie przy kominie. Tam Zbyszko klęknął przed nimi, a gdy ojciec Wyszoniek przeżegnał go i zarazem odmówił wieczny odpoczynek za dusze zmarłe, książę uściśnął za głowę młodego rycerzyka i rzekł:

– Bóg najwyższy rozsądził między wami i prowadził rękę twoją, za co niech będzie błogosławione imię Jego – amen!

Po czym, zwróciwszy się do rycerza de Lorche i do innych, dodał:

– Ciebie, obcy rycerzu, i was wszystkich obecnych biorę na świadków w tym, o czym i sam świadczę, jako się potykali wedle prawa i

obyczaju, a jako się sądy Boże wszędy odprawują, tak się też i ten odprawił po rycersku i po bożemu.

Okrzyknęli się na to zgodnym chórem miejscowi wojownicy, gdy zaś panu de Lorche przetłumaczono słowa książęce, wstał i oznajmił, że nie tylko świadczy, jako wszystko odbyło się po rycersku i po bożemu, ale gdyby nawet ktokolwiek w Malborgu lub na jakim innym dworze książęcym śmiał o tym wątpić – on, de Lorche, pozwie go natychmiast w szranki na walkę pieszą lub konną, choćby to był nie tylko zwyczajny rycerz, ale olbrzym lub czarnoksiężnik, samego Merlina magiczną siłą przewyższający.

A tymczasem księżna Anna Danuta, w chwili gdy Zbyszko z kolei objął jej nogi, mówiła, pochylając się ku niemu:

– Czemu się zaś nie radujesz? Raduj się i dziękuj Bogu, bo jeśli cię Bóg w miłosierdziu swym wyzuł z tej oberży, to cię i dalej nie opuści i do szczęśliwości doprowadzi.

A Zbyszko odrzekł:

– Jakoże mam się radować, miłościwa pani? Dał ci mi Bóg zwycięstwo i pomstę nad onym Krzyżakiem, ale Danuśkijako nie było, tak i nie ma – i nie bliżej mi do niej teraz niż przedtem.

– Najzawziętsi nieprzyjaciele, Danveld, Gotfryd i Rotgier, nie żyją – odpowiedziała księżna – a o Zygfrydzie mówią, iż sprawiedliwszy od nich, choć okrutny. Chwalże miłosierdzie boskie i za to. A mówił także pan de Lorche, że jeśli Krzyżak legnie, to on ciało jego odwiezie, a potem wraz do Malborga pojedzie i u samego wielkiego mistrza o Danuśkę się upomni. Już-ci nie ośmielą się wielkiego mistrza nie posłuchać.

– Bóg daj zdrowie panu de Lorche – rzekł Zbyszko – i ja z nim pojedę do Malborga.

A księżna przestraszyła się tych słów, jak gdyby Zbyszko rzekł, że bezbronny pójdzie między wilki, które zbierały się zimą w stada w głębokich borach Mazowska.

– Po co? – zawołała. – Na zgubę pewną? Zaraz po spotkaniu nie pomoże ci ni de Lorche, ni te listy, które Rotgier pisał przed walką. Nie zratujesz nikogo, a zgubisz siebie.

Lecz on wstał, złożył w krzyż dłonie i rzekł:

– Tak mi dopomóż Bóg, że pojedę do Malborga i choćby za morza. Tak mi błogosław, Chryste, jako jej będę szukał do ostatniego tchu w nozdrzach i jako nie ustane, póki nie zginę. Łacniej mi bić Niemców i

potykać się we zbroi niż sierocie jęczeć w podziemiu. Oj, łacniej! łacniej!

I mówił to, jak zresztą zawsze, gdy wspominał Danusię, w takim uniesieniu, w takim bólu, że aż chwilami słowa urywały mu się, tak jakby go kto chwycił za gardło. Księżna poznała, że próżno by go odwozić, że kto by go chciał powstrzymać, ten musiałby go chyba skuć i wtrącić do podziemia.

Zbyszko nie mógł jednak wyjechać natychmiast. Wolno było ówczesnemu rycerzowi nie zważać na żadne przeszkody, ale nie wolno było złamać obyczaju rycerskiego, który nakazywał, by zwycięzca w pojedynku spędził na miejscu walki cały dzień aż do następnej północy, a to dla okazania, że został panem pobojowiska, jak i dla okazania gotowości do nowej walki, gdyby ktokolwiek z krewnych lub przyjaciół zwyciężonego chciał go ponownie do niej wyzwąć. Obyczaj ten zachowywały nawet całe wojska, tracąc nieraz korzyści, jakie by pośpiech po zwycięstwie mógł przynieść. Zbyszko nie próbował nawet wyłamać się spod nieubłaganego prawa i posiliwszy się nieco, a następnie przywdziawszy zbroję, tkwił aż do północy na dziedzińcu zamkowym pod zasępionym niebem zimowym, czekając na nieprzyjaciela, który znikąd przybyć nie mógł.

O północy dopiero, gdy heroldowie obwieścili ostatecznie przy dźwięku trąb jego zwycięstwo, Mikołaj z Długolasu zawezwał go na wieczerzę, a zarazem na naradę do księcia.



## ROZDZIAŁ VI

Książę pierwszy zabrał głos na naradzie i tak mówił:

– To bieda, że nie mamy nijakiego pisma ani świadectwa przeciw komturom. Bo choć posąd nasz zdaje się słuszny i ja sam myślę, że Jurandównę oni chwycili, nie kto inny, ale co z tego? Wyprą się. A jak wielki mistrz spyta o jakowyś dowód, co mu pokażem? Ba! jeszcze list Jurandowy świadczy za nimi. Tu zwrócił się do Zbyszka:

– Powiadasz, że ten list groźbą na nim wymusili. Może być i pewnie tak jest, bo gdyby po ich stronie była sprawiedliwość, toby ci był Bóg przeciw Rotgierowi nie pomógł. Ale skoro wymusili jeden, to mogli wymusić i dwa. Może i oni mają od Juranda świadectwo, że nie winni porwania nieszczęsnej dziewczki. A w takim razie pokażą je mistrzowi – i co będzie?

– Sami przecie przyznali, miłościwy panie, że Danuškę niby zbójcom odbili i że ją mają.

– To wiem. Ale teraz powiadają, że się omylili i że to inna dziewczka, a najlepszy dowód, że sam Jurand jej się zaparł.

– Zaparł się, bo mu pokazali inną, przez co go właśnie rozjuszyli.

– Pewnie tak było, ale mogą powiedzieć, że to jeno nasze domysły.

– Ich łgarstwa – rzekł Mikołaj z Długolasu – są jakoby bór. Z brze-ga jeszcze coś widać, ale im głębiej, tym większa gęstwa, że się człek zabłąka i całkiem drogę straci.

Po czym powtórzył swoje słowa po niemiecku panu de Lorche, który rzekł:

– Sam wielki mistrz lepszy od nich, a i brat jego, choć duszę ma zuchwałą, ale na cześć rycerską czułą.

– Tak jest – odpowiedział Mikołaj. – Mistrz człowiek ludzki. Nie umie ci on hamować komturów ni kapituły i nie poradzi na to, że wszystko w Zakonie na ludzkich krzywdach stoi, ale im nierad. Jedźcie, jedźcie, rycerzu de Lorche, i opowiedzcie mu, co tu się działo. Ob-cych więcej się oni wstydzą niż nas, by zaś nie opowiadali na obcych dworach o ich zdradach i nieuczciwych postępkach. A gdy mistrz spyta was o dowody, tedy rzeknijcie mu tak: „Znać prawdę boska rzecz, a ludzka jej szukać, więc jeśli chcesz, panie, dowodów, to ich poszukaj:

każ przetrząść zamki, wybadaj ludzi, pozwól nam szukać, boć to głupstwo i bajka, że oną sierotę chwycili zbóje leśni”.

– Głupstwo i bajka – powtórzył de Lorche.

– Bo zbóje nie podnieśliby ręki na książęcy dworzec ni na Jurandowe dziecko. A gdyby wreszcie nawet ją chwycili, to dla okupu, i sami by dali znać, że ją mają.

– Wszystko to powiem – rzekł Lotaryńczyk – i de Bergowa też odzyskam. My z jednego kraju, a choć go nie znam, mówią, że i on jako wyś krewniak hrabiego Geldrii. Był w Szczytnie, niech mistrzowi opowie, co widział.

Zbyszko zrozumiał cośkolwiek z tych słów, a czego nie zrozumiał, to wytłumaczył mu Mikołaj, więc chwycił przez pól pana de Lorche i przycisnął go do piersi tak, że aż rycerz jęknął.

Książę zaś rzekł do Zbyszka:

– A ty koniecznie chcesz też jechać?

– Koniecznie, miłościwy panie. Cóż mam innego czynić? Chciałem Szczytna dobywać, choćby zębami przyszło mur gryźć, ale jakoże mi bez pozwolenstwa wojnę wszczynać?

– Kto by wojnę bez pozwolenstwa wszczął, pod katowskim by się mieczem kajał – rzekł książę.

– Juści prawo prawem – odpowiedział Zbyszko. – Ba! chciałem potem pożywać wszystkich, którzy byli w Szczytnie, ale powiadali ludzie, że Jurand narznął ich tam jak wołów, i nie wiedziałem, który żyw, a który zabit... Bo, tak mi dopomóż Bóg i Święty Krzyż, jako ja Juranda do ostatniego tchu nie opuszczę!

– To zanie mówisz i udałeś mi się – rzekł Mikołaj z Długolasu. – A żeś do Szczytna sam nie leciał, to też widać, że rozum masz, bo i głupi by się domyślił, że oni tam ni Juranda, ni jego córki nie trzymają, jeno musieli ich do innych zamków wywieźć. Bóg cię Rotgierem nagroził za to, żeś tu przyjechał.

– Ano! – rzekł książę – jako się od Rotgiera słyszało, to z tych czterech jeden tylko stary Zygfyrd żywie, a innych Bóg już pokarał albo twoją, albo Jurandową ręką. Co do Zygfyda, mniejszy od tamtych szelma, ale okrutnik może największy. Żle, że Jurand i Danuška w jego rękę, i trzeba ich prędko ratować. Aby zaś i ciebie zła przygoda nie spotkała, dam ci do mistrza list. Słuchaj jeno dobrze i rozumiej, że nie jedziesz jako poseł, jeno jako wysłannik, a ja mistrzowi piszę tak: Skoro się swego czasu na naszą osobę, potomka ich dobrodziejów, targnęli, to rzecz podobna jest, że Jurandównę chwycili, zwłaszcza mając złość

do Juranda. Proszę tedy mistrza, aby pilnie jej szukać nakazał i jeśli chce przyjaźni mojej, zaraz ci ją w ręce oddał.

Zbyszko, usłyszawszy to, rzucił się do nóg księcia i objąwszy jego kolana, począł mówić:

– A Jurand, miłościwy panie! A Jurand? Wstawcie się też za nim! Jeśli śmiertelne ma rany, niech choć u siebie na dziedzinie i przy dzieciach zamrze.

– Jest i o Jurandzie – rzekł łaskawie książę. – Ma wysłać mistrz dwóch sędziów i ja też dwóch, którzy uczynki komturów i Jurandowe wedle praw czci rycerskiej rozpatrzą. A ci zaś wybiorą jeszcze jednego, by zaś był im głową, i jako wszyscy uradzą, tak będzie.

Na tym skończyła się narada, po której Zbyszko pożegnał księcia, gdyż wnet mieli wyruszyć w drogę. Lecz przed rozejściem się doświadczony i znający Krzyżaków Mikołaj z Długolasu wziął Zbyszka na bok i zapytał:

– A onego pacholka Czecha weźmiesz z sobą do Niemców?

– Pewnie, że mnie nie odstąpi. Albo co?

– Bo mi go żal. Chłop ci jest na schwał, a zaś miarkuj, co ci rzekę: ty z Malborga zdrową głowę wyniesiesz, chyba że potykając się tam, trafisz na lepszego, ale jego zguba pewna.

– A dlaczego?

– Bo go psubraty oskarżali, że on de Fourcy'ego zadźgał. Musieli też do mistrza o jego śmierci pisać i też pewnikiem napisali, iż Czech onę krew rozlał. Tego mu w Malborgu nie darują. Czekają go sąd i pomsta, bo jakże o jego niewinności mistrza przekonasz? A przecie on także i Danveldowi ramię pokruszył, który wielkiego szpitalnika był krewny. Szkoda mi go, a powtarzam ci, że jeśli pojedzie, to po śmierć.

– Nie pojedzie po śmierć, bo go w Spychowie ostawię. Lecz stało się inaczej, gdyż zaszły powody, dla których Czech nie został w Spychowie. Zbyszko i de Lorche ruszyli wraz ze swymi pocztami nazajutrz. De Lorche, którego książę Wyszoniek rozwiązał ze ślubów względem Ulryki de Elner, jechał szczęśliwy i cały oddany rozpamiętywaniu urody Jagienki z Długolasu, więc milczący; Zbyszko zaś, nie mogąc z nim rozmawiać o Danuście także i z tej przyczyny, że nie bardzo się z sobą rozumieli, rozmawiał z Hławą, który dotąd nic o zamierzonej w dzierżawy krzyżackie wyprawie nie wiedział.

– Jedziem do Malborga – rzekł – a kiedy ja wrócę, to w mocy boskiej... Może prędko, może na wiosnę, może za rok, a może i wcale, rozumiesz?

– Rozumiem. Wasza miłość jedzie też także pewnie i dlatego, aby tamtejszych rycerzy pozywać. I chwała Bogu, boć przy każdym rycerzu jest przecie giermek.

– Nie – odrzekł Zbyszko. – Nie po to ja tam jadę, by ich pozywać, chybaby się samo zdarzyło, a ty wcale nie pojedziesz, jeno w domu, w Spychowie, zostaniesz.

Usłyszawszy to, Czech naprzód zmartwił się okrutnie i począł żałośnie narzekać, a potem nuż prosić młodego pana, by go nie ostawiał.

– Ja poprzysiągł, że waszej miłości nie opuszczę: poprzysiągł na Krzyż i na cześć. A gdyby waszą miłość jakować przygoda spotkała, jakoże pokazałbym się na oczy mojej pani w Zgorzelicach! Ja jej przysięgał, panie! więc zmiłujcie wy się nade mną, bym się nie pohańbił przed nią.

– A nie przysięgałeś jej, że mi będziesz posłuszny? – zapytał Zbyszko.

– Jakże nie! We wszystkim, jeno nie w tym, bym poszedł precz. Jeśli mnie wasza miłość odpędzi, pojedę opodał, abym w razie potrzeby był pod ręką.

– Ja cię nie odpędzam i nie odpędzę – odpowiedział Zbyszko – ale niewola by mi to była, gdybym cię nie mógł nigdzie wysłać, choćby w najdalszą drogę, ni też odczepić się od ciebie bogdaj na jeden dzień. Nie będzieszże stał bez przestanku nade mną jak kat nad dobrą duszą! A co do bitwy, jakże mi pomożesz? Nie mówię na wojnie, bo na wojnie ludzie się kupą biją, a w spotkaniu samowtór juźci się nie będziesz za mnie bił. Gdyby Rotgier był tęższy ode mnie, nie na naszym wozie byłaby jego zbroja, jeno moja na jego. A przy tym wiedz, że mi tam z tobą będzie gorzej i że mnie na niebezpieczeństwo podać możesz.

– Jak to, wasza miłość?

Więc Zbyszko począł mu opowiadać to, co słyszał od Mikołaja z Długolasu, że komturowie, nie mogąc się przyznać do zamordowania de Fourcy'ego, jego oskarżyli i będą go zemstą ścigali.

– A jeśli cię schwycą – rzekł w końcu – przecie cię im jako psom w gardle nie ostawię, przez co i sam mogę głowę nałożyć.

Zasepił się, usłyszawszy te słowa, Czech, albowiem czuł w nich prawdę; jednakże usiłował jeszcze rzecz wedle swojej chęci wykrecić.

– Toć już nie ma na świecie tych, którzy mię widzieli, bo jednych, jako mówią, stary pan ze Spychowa pobił, a Rotgiera wasza miłość.

– Widzieli cię pachołcy, którzy się opodal za nimi wlekli, i żywie ów stary Krzyżak, który pewnie w Malborgu teraz siedzi, a jeśli nie siedzi, to przyjedzie, gdyż go, da Bóg, mistrz wezwie.

Na to nie było już co odpowiedzieć, więc jechali w milczeniu aż do Spychowa. Zastali tam zupełną gotowość wojenną, gdyż stary Tolima spodziewał się, że albo Krzyżacy na gródek uderzą, albo Zbyszko, wróciwszy, poprowadzi ich na ratunek staremu panu. Straże czuwały wszędy, na przejściach przez bagniska i w samym gródku. Chłopi byli zbrojni, że zaś nie nowina im była wojna, więc czekali na Niemców z ochotą, obiecując sobie łup znamienity. W kasztelu przyjął Zbyszka i de Lorcheho ksiądz Kaleb i zaraz po wieczerzy pokazał im pergamin z pieczęcią Juranda, w którym własnoręcznie spisał ostatnią wolę rycerza ze Spychowa.

– Dyktował ci mi ją – rzekł – tej nocy, której do Szczytna ruszył. No – i nie spodziewał się wrócić.

– A czemuście nie mówili nic?

– Nie mówiłem nic, bo mi pod tajemnicą spowiedzi wyznał, co chce czynić. Wieczny odpoczynek racz mu dać. Panie, a światłość wiekuista niech mu świeci...

– Nie mówcie za niego pacierza. Żyw jeszcze. Wiem to ze słów Krzyżaka Rotgiera, z którym potykałem się na dworze księcia. Był między nami sąd Boży i zabiłem go.

– Tym bardziej Jurand nie wróci... Chybaby moc Boża!...

– Jadę z tym oto rycerzem, aby go z ich rąk wyrwać.

– To nie znasz widać krzyżackich rąk; jać je znam, gdyż nim mnie Jurand w Spychowie przygarnął, byłem piętnaście років księdzem w ich kraju. Jeden Bóg może Juranda ratować.

– I może też nam pomóc.

– Amen.

Po czym rozwinął dokument i jął go czytać. Jurand zapisywał wszystkie swe ziemie i całą majątność Danusi i jej potomstwu, w razie zaś bezpotomnej śmierci tejsze, jej mężowi, Zbyszkowi z Bogdańca. W końcu polecał tę swoją wolę opiece księżęcej:

„by zaś jeśliby co nie było wedle prawa, łaska księżęca w prawo zmieniła”. Koniec ów dodany był dlatego, że ksiądz Kaleb znał się tylko na prawie kanonicznym, a sam Jurand, zajęty wyłącznie wojną, tylko na rycerskim. Po odczytaniu dokumentu Zbyszkowi ksiądz odczytał go starszym ludziom załogi spychowskiej, którzy uznali zaraz młodego rycerza jako dziedzica i przyrzekli mu posłuszeństwo.

Myśleli też, że Zbyszko wnet ich poprowadzi na ratunek staremu panu, i radowali się, albowiem w piersiach ich były serca srogie i łakome na wojnę, a do Juranda przywiązane. Toteż smutek ogarnął ich wielki, gdy dowiedzieli się, że zostaną w domu i że pan z małym jeno poczem uda się do Malborga, i nie na wojnę, lecz na skargę. Dzielił ten ich smutek Czech Głowacz, choć z drugiej strony rad był z tak znacznego pomnożenia Zbyszkowego dobra.

– Hej! komu by była uciecha – rzekł – to staremu panu z Bogdańca! I umiałby też on tu rządzić! Co tam Bogdaniec w porównaniu z taką dziedziną!

A Zbyszka zdjęła w tej chwili nagła tęsknota do stryjca, taka, jaka zdejmowała go często, zwłaszcza zaś w trudnych i ciężkich wypadkach życia, więc zwróciwszy się do giermka, rzekł bez namysłu:

– Co masz tu po próżnicy siedzieć! Jedź do Bogdańca, list powiesz.

– Jeśli nie mam z waszą miłością iść, to już wolałbym tam jechać!  
– odrzekł uradowany pacholik.

– Wołaj mi księdza Kaleba, niech wypisze jako się patrzy wszystko, co tu było, a stryjcowi odczyta list proboszcz z Krześni albolii też opat, jeśli jest w Zgorzelicach.

Lecz powiedziawszy to, uderzył się dłonią po młodych wąsietach i dodał, mówiąc jakby sam do siebie:

– Ba! opat!...

I zaraz przed oczyma przesunęła mu się Jagienka – modrooka, ciemnowłosa, hoża jak łania, a ze łzami na rzęsach! Uczyniło mu się kłopotliwie i przez czas jakiś tarł ręką czoło, lecz wreszcie rzekł:

– Juźci, będzie ci smutno, dziewczyno, ale nie gorzej niżli mnie.

Tymczasem nadszedł ksiądz Kaleb i zaraz zasiadł do pisania. Zbyszko dyktował mu obszernie wszystko, co się zdarzyło od chwili gdy przybył do leśnego dworca. Nic nie zataił, gdyż wiedział że stary Maćko, gdy się dobrze w tych sprawach rozpatrzy, to w końcu będzie rad. Bogdańca istotnie ani porównać ze Spychowem, który był włością obszerną i bogatą, a Zbyszko wiedział że Maćkowi okrutnie zawsze o takie rzeczy chodziło.

Lecz gdy po długich mozołach list był napisany i pieczęcią zamknięty, zawołał znów Zbyszko giermka i wręczył mu go, mówiąc:

– A może ze stryjcem tu wrócisz, z czego wielce bym był rad.

Lecz Czech miał twarz także jakby zakłopotaną; marudził, z nogi na nogę przestępował i nie odchodził, póki młody rycerz

nie ozwał się:

– Masz-li co jeszcze powiedzieć, to mów.

– Chciałbym, wasza miłość... – odrzekł Czech – chciałbym ot! jeszcze zapytać, jako tam mam ludziom rozpowiadać?

– Jakim ludziom?

– Niby, nie w Bogdańcu, ale w okolicy... Bo się też z pewnością będą chcieli dowiedzieć.

Na to Zbyszko, który postanowił już nic nie ukrywać, spojrzął na niego bystro i rzekł:

– Tobie nie o ludzi chodzi, jeno o Jagienkę ze Zgorzelic. A Czech sponął, potem przybladł nieco i odpowiedział:

– O nią, panie.

– A skąd wiesz, czy się tam nie wydała za Cztana z Rogowa albo za Wilka z Brzozowej?

– Panienska nie wydała się za nikogo – odrzekł stanowczo giermek.

– Mógł jej opat rozkazać.

– Opat panienski słuha, nie ona jego.

– To czegoż chcesz? Powiadaj prawdę tak jej, jak wszystkim. Czech skłonił się i odszedł nieco zły.

– Daj Bóg – mówił sobie, myśląc o Zbyszku – by cię zapomniała. Daj jej Bóg jeszcze lepszego niż ty. Ale jeśli nie zapomniała, to też jej rzekę, żeś żeniaty, ale bez niewiasty i że bogdaj owdowiejesz, nim do łożnicy wstąpisz.

Giermek przywiązał się był jednak do Zbyszka, litował się i nad Danusią, ale Jagienkę miłował nad wszystko w świecie i od czasu, jak się przed ostatnią bitką w Ciechanowie dowiedział o małżeństwie Zbyszkowym, nosił ból i gorycz w sercu.

– Bogdaj, że wprzód owdowiejesz! – powtórzył. Lecz następnie inne, widocznie słodsze myśli poczęły mu przychodzić do głowy, gdyż schodząc ku koniom, mówił:

– Chwała Bogu, że jej choć nogi obejmę.

Tymczasem Zbyszko rwał się do drogi, gdyż trawiła go gorączka – i o ile z konieczności nie musiał zajmować się innymi sprawami, o tyle znośił po prostu męki, myśląc bez ustanku o Danusi i Jurandzie. Trzeba było jednak zostać w Spychowie chociaż na jeden nocleg, choćby dla pana de Lorche i dla przygotowań, których tak długa podróż wymagała. Sam był wreszcie utrudzon nad wszelką miarę walką, czuwaniem, drogą, bezsennością, zmartwieniem. Gdy więc noc uczyniła się bardzo późna, rzucił się na twarde Jurandowe łoże w nadziei, że choć krótki

sen go nawiedzi. Lecz nim zasnął, zapukał do niego Sanderus i skłoniwszy się, rzekł:

– Panie, ocaliliście mnie od śmierci i dobrze mi było przy was, jako dawno przedtem nie bywało. Bóg wam dał teraz włość wielką, żeście jeszcze bogatsi niż wprzódy, a i skarbiec spychowski nie pusty. Dajcie mi, panie, trzos jaki taki, a ja pójdę do Prus od zamku do zamku i choć mi tam nie bardzo bezpiecznie, może wam usłużę.

Zbyszko, który chciał go w pierwszej chwili wyrzucić z izby, zastanowił się nad tymi słowami i po chwili, wydobywszy ze stojącej wedle łoża podróżnej kalety spory worek, rzucił mu go i rzekł:

– Masz, idź! Jeśliś szelma – odrwiesz, jeśliś uczciwy – usłużysz.

– Odrwień jako szelma, panie – rzekł Sanderus – ale nie was, a usłużę poczciwie – wam.



## ROZDZIAŁ VI

Książę pierwszy zabrał głos na naradzie i tak mówił:

– To bieda, że nie mamy nijakiego pisma ani świadectwa przeciw komturom. Bo choć posąd nasz zdaje się słuszny i ja sam myślę, że Jurandównę oni chwycili, nie kto inny, ale co z tego? Wyprą się. A jak wielki mistrz spyta o jakowyś dowód, co mu pokażem? Ba! jeszcze list Jurandowy świadczy za nimi. Tu zwrócił się do Zbyszka:

– Powiadasz, że ten list groźbą na nim wymusili. Może być i pewnie tak jest, bo gdyby po ich stronie była sprawiedliwość, toby ci był Bóg przeciw Rotgierowi nie pomógł. Ale skoro wymusili jeden, to mogli wymusić i dwa. Może i oni mają od Juranda świadectwo, że nie winni porwania nieszczęsnej dziewczki. A w takim razie pokażą je mistrzowi – i co będzie?

– Sami przecie przyznali, miłościwy panie, że Danuškę niby zbójcom odbili i że ją mają.

– To wiem. Ale teraz powiadają, że się omylili i że to inna dziewczka, a najlepszy dowód, że sam Jurand jej się zaparł.

– Zaparł się, bo mu pokazali inną, przez co go właśnie rozjuszyli.

– Pewnie tak było, ale mogą powiedzieć, że to jeno nasze domysły.

– Ich łgarstwa – rzekł Mikołaj z Długolasu – są jakoby bór. Z brze-ga jeszcze coś widać, ale im głębiej, tym większa gęstwa, że się człek zabłąka i całkiem drogę straci.

Po czym powtórzył swoje słowa po niemiecku panu de Lorche, który rzekł:

– Sam wielki mistrz lepszy od nich, a i brat jego, choć duszę ma zuchwałą, ale na cześć rycerską czułą.

– Tak jest – odpowiedział Mikołaj. – Mistrz człowiek ludzki. Nie umie ci on hamować komturów ni kapituły i nie poradzi na to, że wszystko w Zakonie na ludzkich krzywdach stoi, ale im nierad. Jedźcie, jedźcie, rycerzu de Lorche, i opowiedzcie mu, co tu się działo. Ob-cych więcej się oni wstydzą niż nas, by zaś nie opowiadali na obcych dworach o ich zdradach i nieuczciwych postępkach. A gdy mistrz spyta was o dowody, tedy rzeknijcie mu tak: „Znać prawdę boska rzecz, a ludzka jej szukać, więc jeśli chcesz, panie, dowodów, to ich poszukaj:

każ przetrząść zamki, wybadaj ludzi, pozwól nam szukać, boć to głupstwo i bajka, że oną sierotę chwycili zbóje leśni”.

– Głupstwo i bajka – powtórzył de Lorche.

– Bo zbóje nie podnieśliby ręki na książęcy dworzec ni na Jurandowe dziecko. A gdyby wreszcie nawet ją chwycili, to dla okupu, i sami by dali znać, że ją mają.

– Wszystko to powiem – rzekł Lotaryńczyk – i de Bergowa też odzyskam. My z jednego kraju, a choć go nie znam, mówią, że i on jako wyś krewniak hrabiego Geldrii. Był w Szczytnie, niech mistrzowi opowie, co widział.

Zbyszko zrozumiał cośkolwiek z tych słów, a czego nie zrozumiał, to wytłumaczył mu Mikołaj, więc chwycił przez pól pana de Lorche i przycisnął go do piersi tak, że aż rycerz jęknął.

Książę zaś rzekł do Zbyszka:

– A ty koniecznie chcesz też jechać?

– Koniecznie, miłościwy panie. Cóż mam innego czynić? Chciałem Szczytna dobywać, choćby zębami przyszło mur gryźć, ale jakoże mi bez pozwolenstwa wojnę wszczynać?

– Kto by wojnę bez pozwolenstwa wszczął, pod katowskim by się mieczem kajał – rzekł książę.

– Juści prawo prawem – odpowiedział Zbyszko. – Ba! chciałem potem pożywać wszystkich, którzy byli w Szczytnie, ale powiadali ludzie, że Jurand narznął ich tam jak wołów, i nie wiedziałem, który żyw, a który zabit... Bo, tak mi dopomóż Bóg i Święty Krzyż, jako ja Juranda do ostatniego tchu nie opuszczę!

– To zanie mówisz i udałeś mi się – rzekł Mikołaj z Długolasu. – A żeś do Szczytna sam nie leciał, to też widać, że rozum masz, bo i głupi by się domyślił, że oni tam ni Juranda, ni jego córki nie trzymają, jeno musieli ich do innych zamków wywieźć. Bóg cię Rotgierem nagroził za to, żeś tu przyjechał.

– Ano! – rzekł książę – jako się od Rotgiera słyszało, to z tych czterech jeden tylko stary Zygfyrd żywie, a innych Bóg już pokarał albo twoją, albo Jurandową ręką. Co do Zygfyda, mniejszy od tamtych szelma, ale okrutnik może największy. Żle, że Jurand i Danuśka w jego rękę, i trzeba ich prędko ratować. Aby zaś i ciebie zła przygoda nie spotkała, dam ci do mistrza list. Słuchaj jeno dobrze i rozumiej, że nie jedziesz jako poseł, jeno jako wysłannik, a ja mistrzowi piszę tak: Skoro się swego czasu na naszą osobę, potomka ich dobrodziejów, targnęli, to rzecz podobna jest, że Jurandównę chwycili, zwłaszcza mając złość

do Juranda. Proszę tedy mistrza, aby pilnie jej szukać nakazał i jeśli chce przyjaźni mojej, zaraz ci ją w ręce oddał.

Zbyszko, usłyszawszy to, rzucił się do nóg księcia i objąwszy jego kolana, począł mówić:

– A Jurand, miłościwy panie! A Jurand? Wstawcie się też za nim! Jeśli śmiertelne ma rany, niech choć u siebie na dziedzinie i przy dzieciach zamrze.

– Jest i o Jurandzie – rzekł łaskawie książę. – Ma wysłać mistrz dwóch sędziów i ja też dwóch, którzy uczynki komturów i Jurandowe wedle praw czci rycerskiej rozpatrzą. A ci zaś wybiorą jeszcze jednego, by zaś był im głową, i jako wszyscy uradzą, tak będzie.

Na tym skończyła się narada, po której Zbyszko pożegnał księcia, gdyż wnet mieli wyruszyć w drogę. Lecz przed rozejściem się doświadczony i znający Krzyżaków Mikołaj z Długolasu wziął Zbyszka na bok i zapytał:

– A onego pacholka Czecha weźmiesz z sobą do Niemców?

– Pewnie, że mnie nie odstąpi. Albo co?

– Bo mi go żal. Chłop ci jest na schwał, a zaś miarkuj, co ci rzekę: ty z Malborga zdrową głowę wyniesiesz, chyba że potykając się tam, trafisz na lepszego, ale jego zguba pewna.

– A dlaczego?

– Bo go psubraty oskarżali, że on de Fourcy'ego zadźgał. Musieli też do mistrza o jego śmierci pisać i też pewnikiem napisali, iż Czech onę krew rozlał. Tego mu w Malborgu nie darują. Czekają go sąd i pomsta, bo jakże o jego niewinności mistrza przekonasz? A przecie on także i Danveldowi ramię pokruszył, który wielkiego szpitalnika był krewny. Szkoda mi go, a powtarzam ci, że jeśli pojedzie, to po śmierć.

– Nie pojedzie po śmierć, bo go w Spychowie ostawię. Lecz stało się inaczej, gdyż zaszły powody, dla których Czech nie został w Spychowie. Zbyszko i de Lorche ruszyli wraz ze swymi pocztami nazajutrz. De Lorche, którego książę Wyszoniek rozwiązał ze ślubów względem Ulryki de Elner, jechał szczęśliwy i cały oddany rozpamiętywaniu urody Jagienki z Długolasu, więc milczący; Zbyszko zaś, nie mogąc z nim rozmawiać o Danuście także i z tej przyczyny, że nie bardzo się z sobą rozumieli, rozmawiał z Hławą, który dotąd nic o zamierzonej w dzierżawy krzyżackie wyprawie nie wiedział.

– Jedziem do Malborga – rzekł – a kiedy ja wrócę, to w mocy boskiej... Może prędko, może na wiosnę, może za rok, a może i wcale, rozumiesz?

– Rozumiem. Wasza miłość jedzie też także pewnie i dlatego, aby tamtejszych rycerzy pozywać. I chwała Bogu, boć przy każdym rycerzu jest przecie giermek.

– Nie – odrzekł Zbyszko. – Nie po to ja tam jadę, by ich pozywać, chybaby się samo zdarzyło, a ty wcale nie pojedziesz, jeno w domu, w Spychowie, zostaniesz.

Usłyszawszy to, Czech naprzód zmartwił się okrutnie i począł żałośnie narzekać, a potem nuż prosić młodego pana, by go nie ostawiał.

– Ja poprzysiągł, że waszej miłości nie opuszczę: poprzysiągł na Krzyż i na cześć. A gdyby waszą miłość jakować przygoda spotkała, jakoże pokazałbym się na oczy mojej pani w Zgorzelicach! Ja jej przysięgał, panie! więc zmiłujcie wy się nade mną, bym się nie pohańbił przed nią.

– A nie przysięgałeś jej, że mi będziesz posłuszny? – zapytał Zbyszko.

– Jakże nie! We wszystkim, jeno nie w tym, bym poszedł precz. Jeśli mnie wasza miłość odpędzi, pojedę opodał, abym w razie potrzeby był pod ręką.

– Ja cię nie odpędzam i nie odpędzę – odpowiedział Zbyszko – ale niewola by mi to była, gdybym cię nie mógł nigdzie wysłać, choćby w najdalszą drogę, ni też odczepić się od ciebie bogdaj na jeden dzień. Nie będzieszże stał bez przestanku nade mną jak kat nad dobrą duszą! A co do bitwy, jakże mi pomożesz? Nie mówię na wojnie, bo na wojnie ludzie się kupą biją, a w spotkaniu samowtór juźci się nie będziesz za mnie bił. Gdyby Rotgier był tęższy ode mnie, nie na naszym wozie byłaby jego zbroja, jeno moja na jego. A przy tym wiedz, że mi tam z tobą będzie gorzej i że mnie na niebezpieczeństwo podać możesz.

– Jak to, wasza miłość?

Więc Zbyszko począł mu opowiadać to, co słyszał od Mikołaja z Długolasu, że komturowie, nie mogąc się przyznać do zamordowania de Fourcy'ego, jego oskarżyli i będą go zemstą ścigali.

– A jeśli cię schwycą – rzekł w końcu – przecie cię im jako psom w gardle nie ostawię, przez co i sam mogę głowę nałożyć.

Zasepił się, usłyszawszy te słowa, Czech, albowiem czuł w nich prawdę; jednakże usiłował jeszcze rzecz wedle swojej chęci wykrecić.

– Toć już nie ma na świecie tych, którzy mię widzieli, bo jednych, jako mówią, stary pan ze Spychowa pobił, a Rotgiera wasza miłość.

– Widzieli cię pachołcy, którzy się opodał za nimi wlekli, i żywie ów stary Krzyżak, który pewnie w Malborgu teraz siedzi, a jeśli nie siedzi, to przyjedzie, gdyż go, da Bóg, mistrz wezwie.

Na to nie było już co odpowiedzieć, więc jechali w milczeniu aż do Spychowa. Zastali tam zupełną gotowość wojenną, gdyż stary Tolima spodziewał się, że albo Krzyżacy na gródek uderzą, albo Zbyszko, wróciwszy, poprowadzi ich na ratunek staremu panu. Straże czuwały wszędy, na przejściach przez bagniska i w samym gródku. Chłopi byli zbrojni, że zaś nie nowina im była wojna, więc czekali na Niemców z ochotą, obiecując sobie łup znamienity. W kasztelu przyjął Zbyszka i de Lorcheho ksiądz Kaleb i zaraz po wieczerzy pokazał im pergamin z pieczęcią Juranda, w którym własnoręcznie spisał ostatnią wolę rycerza ze Spychowa.

– Dyktował ci mi ją – rzekł – tej nocy, której do Szczytna ruszył. No – i nie spodziewał się wrócić.

– A czemuście nie mówili nic?

– Nie mówiłem nic, bo mi pod tajemnicą spowiedzi wyznał, co chce czynić. Wieczny odpoczynek racz mu dać. Panie, a światłość wiekuista niech mu świeci...

– Nie mówcie za niego pacierza. Żyw jeszcze. Wiem to ze słów Krzyżaka Rotgiera, z którym potykałem się na dworze księcia. Był między nami sąd Boży i zabiłem go.

– Tym bardziej Jurand nie wróci... Chybaby moc Boża!...

– Jadę z tym oto rycerzem, aby go z ich rąk wyrwać.

– To nie znasz widać krzyżackich rąk; jać je znam, gdyż nim mnie Jurand w Spychowie przygarnął, byłem piętnaście років księdzem w ich kraju. Jeden Bóg może Juranda ratować.

– I może też nam pomóc.

– Amen.

Po czym rozwinął dokument i jął go czytać. Jurand zapisywał wszystkie swe ziemie i całą majątność Danusi i jej potomstwu, w razie zaś bezpotomnej śmierci tejsze, jej mężowi, Zbyszkowi z Bogdańca. W końcu polecał tę swoją wolę opiece księżęcej:

„by zaś jeśliby co nie było wedle prawa, łaska księżęca w prawo zmieniła”. Koniec ów dodany był dlatego, że ksiądz Kaleb znał się tylko na prawie kanonicznym, a sam Jurand, zajęty wyłącznie wojną, tylko na rycerskim. Po odczytaniu dokumentu Zbyszkowi ksiądz odczytał go starszym ludziom załogi spychowskiej, którzy uznali zaraz młodego rycerza jako dziedzica i przyrzekli mu posłuszeństwo.

Myśleli też, że Zbyszko wnet ich poprowadzi na ratunek staremu panu, i radowali się, albowiem w piersiach ich były serca srogie i łakome na wojnę, a do Juranda przywiązane. Toteż smutek ogarnął ich wielki, gdy dowiedzieli się, że zostaną w domu i że pan z małym jeno poczem uda się do Malborga, i nie na wojnę, lecz na skargę. Dzielił ten ich smutek Czech Głowacz, choć z drugiej strony rad był z tak znacznego pomnożenia Zbyszkowego dobra.

– Hej! komu by była uciecha – rzekł – to staremu panu z Bogdańca! I umiałby też on tu rządzić! Co tam Bogdaniec w porównaniu z taką dziedziną!

A Zbyszka zdjęła w tej chwili nagła tęsknota do stryjca, taka, jaka zdejmowała go często, zwłaszcza zaś w trudnych i ciężkich wypadkach życia, więc zwróciwszy się do giermka, rzekł bez namysłu:

– Co masz tu po próżnicy siedzieć! Jedź do Bogdańca, list powiesz.

– Jeśli nie mam z waszą miłością iść, to już wolałbym tam jechać!  
– odrzekł uradowany pacholik.

– Wołaj mi księdza Kaleba, niech wypisze jako się patrzy wszystko, co tu było, a stryjcowi odczyta list proboszcz z Krześni albolii też opat, jeśli jest w Zgorzelicach.

Lecz powiedziawszy to, uderzył się dłonią po młodych wąsietach i dodał, mówiąc jakby sam do siebie:

– Ba! opat!...

I zaraz przed oczyma przesunęła mu się Jagienka – modrooka, ciemnowłosa, hoża jak łania, a ze łzami na rzęsach! Uczyniło mu się kłopotliwie i przez czas jakiś tarł ręką czoło, lecz wreszcie rzekł:

– Juźci, będzie ci smutno, dziewczyno, ale nie gorzej niżli mnie.

Tymczasem nadszedł ksiądz Kaleb i zaraz zasiadł do pisania. Zbyszko dyktował mu obszernie wszystko, co się zdarzyło od chwili gdy przybył do leśnego dworca. Nic nie zataił, gdyż wiedział ze stary Maćko, gdy się dobrze w tych sprawach rozpatrzy, to w końcu będzie rad. Bogdańca istotnie ani porównać ze Spychowem, który był włością obszerną i bogatą, a Zbyszko wiedział że Maćkowi okrutnie zawsze o takie rzeczy chodziło.

Lecz gdy po długich mozołach list był napisany i pieczęcią zamknięty, zawołał znów Zbyszko giermka i wręczył mu go, mówiąc:

– A może ze stryjcem tu wrócisz, z czego wielce bym był rad.

Lecz Czech miał twarz także jakby zakłopotaną; marudził, z nogi na nogę przestępował i nie odchodził, póki młody rycerz

nie ozwał się:

– Masz-li co jeszcze powiedzieć, to mów.

– Chciałbym, wasza miłość... – odrzekł Czech – chciałbym ot! jeszcze zapytać, jako tam mam ludziom rozpowiadać?

– Jakim ludziom?

– Niby, nie w Bogdańcu, ale w okolicy... Bo się też z pewnością będą chcieli dowiedzieć.

Na to Zbyszko, który postanowił już nic nie ukrywać, spojrzął na niego bystro i rzekł:

– Tobie nie o ludzi chodzi, jeno o Jagienkę ze Zgorzelic. A Czech spłonał, potem przybladł nieco i odpowiedział:

– O nią, panie.

– A skąd wiesz, czy się tam nie wydała za Cztana z Rogowa albo za Wilka z Brzozowej?

– Panienska nie wydała się za nikogo – odrzekł stanowczo giermek.

– Mógł jej opat rozkazać.

– Opat panienski słuca, nie ona jego.

– To czegoż chcesz? Powiadaj prawdę tak jej, jak wszystkim. Czech skłonił się i odszedł nieco zły.

– Daj Bóg – mówił sobie, myśląc o Zbyszku – by cię zapomniała. Daj jej Bóg jeszcze lepszego niż ty. Ale jeśli nie zapomniała, to też jej rzekę, żeś żeniaty, ale bez niewiasty i że bogdaj owdowiejesz, nim do łożnicy wstąpisz.

Giermek przywiązał się był jednak do Zbyszka, litował się i nad Danusią, ale Jagienkę miłował nad wszystko w świecie i od czasu, jak się przed ostatnią bitką w Ciechanowie dowiedział o małżeństwie Zbyszkowym, nosił ból i gorycz w sercu.

– Bogdaj, że wprzód owdowiejesz! – powtórzył. Lecz następnie inne, widocznie słodsze myśli poczęły mu przychodzić do głowy, gdyż schodząc ku koniom, mówił:

– Chwała Bogu, że jej choć nogi obejmę.

Tymczasem Zbyszko rwał się do drogi, gdyż trawiła go gorączka – i o ile z konieczności nie musiał zajmować się innymi sprawami, o tyle znośił po prostu męki, myśląc bez ustanku o Danusi i Jurandzie. Trzeba było jednak zostać w Spychowie chociaż na jeden nocleg, choćby dla pana de Lorche i dla przygotowań, których tak długa podróż wymagała. Sam był wreszcie utrudzon nad wszelką miarę walką, czuwaniem, drogą, bezsennością, zmartwieniem. Gdy więc noc uczyniła się bardzo późna, rzucił się na twarde Jurandowe łoże w nadziei, że choć krótki

sen go nawiedzi. Lecz nim zasnął, zapukał do niego Sanderus i skłoniwszy się, rzekł:

– Panie, ocaliliście mnie od śmierci i dobrze mi było przy was, jako dawno przedtem nie bywało. Bóg wam dał teraz włość wielką, żeście jeszcze bogatsi niż wprzódy, a i skarbiec spychowski nie pusty. Dajcie mi, panie, trzos jaki taki, a ja pójdę do Prus od zamku do zamku i choć mi tam nie bardzo bezpiecznie, może wam usłużę.

Zbyszko, który chciał go w pierwszej chwili wyrzucić z izby, zastanowił się nad tymi słowami i po chwili, wydobywszy ze stojącej wedle łoża podróżnej kalety spory worek, rzucił mu go i rzekł:

– Masz, idź! Jeśliś szelma – odrwiesz, jeśliś uczciwy – usłużysz.

– Odrwień jako szelma, panie – rzekł Sanderus – ale nie was, a usłużę poczciwie – wam.



## ROZDZIAŁ VIII

Jakkolwiek Głowaczowi pilno było do Zgorzelic, nie mógł jednakże jechać tak prędko, jakby chciał, albowiem drogi stały się niezmiernie trudne. Po zimie ostrej, po mrozach tęgich i po śniegach tak obfitych, że chowały się pod nimi całe wsie, przyszedł wielki odwilże. Luty, wbrew swojej nazwie, nie okazał się bynajmniej lutym. Naprzód powstały mgły gęste i nieprzeniknione, potem dżdże prawie ulewne, od których w oczach tajały białe zasy, w przerwach zaś między ulewami dał wicher, taki, jaki zwykł dać w marcu, więc przerywany, nagły, któryen zganiał i rozganiał nabrzmiące chmury po niebie, a na ziemi wył po zaroślach, huczał po lasach i pożerał śniegi, pod którymi niedawno jeszcze drzemały konary i gałęzie w zimowym cichym śnie. Poczerniały też wnet bory. Na łąkach marszczyła się szeroko rozlana woda, wzbierały rzeki i strumienie. Radzi byli z takiej obfitości mokrego żywiołu tylko rybitwowie, natomiast inna wszelka ludność, trzymana jakby na uwięzi, przykryła sobie po domach i chatach. W wielu miejscach od wsi do wsi można się było dostać tylko łodzią. Nie brakło wprawdzie nigdzie grobel ani gościńców przez bagna i bory poczynionych z pni i okraglaków, ale teraz groble rozmiękły, a pnie na nizinnych miejscach pogrzezły w rozmokłych młakach i przejazd przez nie uczynił się niebezpieczny albo i wcale niepodobny. Szczególniej trudno było posuwać się Czechowi w jezierzystej Wielkopolsce, gdzie każdej wiosny roztopy bywały większe niż w innych stronach kraju, a przeto i droga, zwłaszcza dla konnych, cięższa.

Musiał też często zatrzymywać się i czekać po całych tygodniach bądź to po miasteczkach, bądź po wsiach u dziedziców, którzy zresztą przyjmowali go wraz z jego ludźmi, wedle obyczaju, gościnnie, radzi słuchając opowiadań o Krzyżakach i płacąc chlebem i solą za nowiny. Za czym wiosna dobrze już zapowiadała się na świecie i zbiegła większa część marca, zanim znalazł się w pobliżu Zgorzelic i Bogdańca.

Biło mu serce na myśl, iż niebawem ujrzy swoją panią, bo choć wiedział, że nie dostanie jej nigdy, tak jak nie dostanie i gwiazdy z nieba, jednakże wielbił ją i kochał z całej duszy. Postanowił jednak zajechać naprzód do Maćka, raz dlatego, że do niego był wysłany, a po

wtóre, że prowadził ludzi, którzy mieli zostać w Bogdańcu, Zbyszko po zabiciu Rotgiera zabrał był jego orszak wynoszący wedle przepisów zakonnych dziesięć koni i tyluż ludzi. Dwaj spomiędzy nich odwieźli ciało zabitego do Szczytna, pozostałych zaś, wiedząc, jak chciwie stary Maćko poszukuje osadników, odesłał Zbyszko z Głowaczem w darze stryjcowi.

Czech, zajechawszy do Bogdańca, nie zastał Maćka w domu; powiedziano mu, iż poszedł z psami i kuszą do boru, lecz wrócił jeszcze za dnia i dowiedziawszy się, iż znaczny jakowyś poczet bawi u niego, przyspieszył kroku, aby przyjezdnych powitać i ofiarować im gościnność. Nie poznał też zrazu Głowacza, a gdy ów pokłonił mu się i nazwał, w pierwszej chwili przeraził się okrutnie i rzuciwszy kuszę i czapkę o ziem, zawołał:

– Dla Boga! zabili mi go! gadaj, co wiesz!

– Nie zabit – odparł Czech. – W dobrym zdrowiu! Usłyszawszy to. Maćko zawstydział się nieco i począł sapać,

wreszcie odetchnął głęboko.

– Chwała Chrystusowi Panu! – rzekł. – Gdzie zaś jest?

– Do Malbarga pojechał, a mnie z nowinami tu przysłał.

– A on po co do Malbarga?

– Po żonę.

– Bój się, chłopie, ran boskich! Po jaką żonę?

– Po Jurandową córkę. Będzie o czym prawić choćby całą noc, ale pozwólcie, poczesny panie, abym też odsapnął, bom się zdrożył okrutnie, a od północks cięgiem jechałem.

Więc Maćko przestał na chwilę pytać, głównie jednak z tej przyczyny, że zdumienie odjęło mu mowę. Ochłonawszy nieco, zakrzyknął na pachołka, by dorzucił drew do ogniska i przyniósł Czechowi jeść, po czym jał chodzić po izbie, wymachiwać rękoma i mówić sam do siebie:

– Uszom nie wierzyć... Jurandowa córka... Zbyszko żonaty...

– I żonaty, i nieżonaty – rzekł Czech.

Dopierożjął z wolna opowiadać, co i jak było, a tamten słuchał chciwie, przerywając kiedy niekiedy pytaniami, bo nie wszystko było jasne w opowiadaniu Czecha. Nie wiedział na przykład dokładnie Głowacz, kiedy się Zbyszko ożenił, bo nie było żadnego wesela, twierdził jednak na pewno, że ślub był i że się to stało za przyczyną samej księżny Anny Danuty, a wydało się przed ludźmi dopiero po przyjeździe Krzyżaka Rotgiera, z którym Zbyszko, pozwawszy go na sąd Boży, potykał się wobec całego mazowieckiego dworu.

– Aa! Potykał ci się? – zawołał, błysnąwszy oczyma, z okrutnym zaciekawieniem Maćko. – No i co?

– Na dwie połowie Niemca rozwalił, a i mnie też Bóg z giermkim poszczęścił.

Maćko znów począł sapać, tym razem z zadowolenia.

– No! – rzekł – chłop to on jest nie na śmiech. Ostatni z Gradów, ale, tak mi dopomóż Bóg, nie pośledni. Juści, a wówczas z Fryzami?... Prawy wyrostek był...

Tu spojrział uważniej raz i drugi na Czecha, po czym znów:

– Ale i tyś mi się udał. I widać nie łziesz. Ja ci łgarza i przez deskę poczuje. Nic jeszcze ten giermek, bo sam mówisz, żeś nie miał wiele roboty, ale żeś tamtemu psubratu ramię skruszył, a przedtem tura zważył, to godne uczynki.

Po czym spytał nagle:

– A łup? czy także godny?

– Wzięliśmy zbroje, konie i chłopa dziesięciu, a ośmiu wam młody pan przysyła.

– Cóż z dwoma uczynił?

– Odesłał z ciałem.

– Nie mógł to księżę swoich pacholców wyprawić? Tamci już nie wrócą.

Czech uśmiechnął się na tę chciwość, z którą zresztą Maćko często się zdradzał.

– Młody pan nie potrzebuje na to teraz już zważać – rzekł. –

Spychów wielka dziedzina.

– Wielka! ba, i co? Ale jeszcze nie jego.

– Jeno czyja? Maćko aż wstał.

– Powiadaj! A przecie Jurand!

– Jurand u Krzyżaków w podziemiu i śmierć nad nim. Bóg wie, czy wyżyje, a jeśli wyżyje, czy wróci; choćby zaś wyżył i wrócił, przecie czytał ksiądz Kaleb jego testament i zapowiedział wszystkim, że dziedzicem ma być młody pan.

Na Maćku nowiny te uczyniły widocznie ogromne wrażenie, tak dalece bowiem były zarazem pomyślne i niepomyślne, że nie mógł się w nich połapać ani przyprowadzić do ładu uczuć, które na przemian nim wstrząsały. Wiadomość, że Zbyszko się ożenił, ukłuła go w pierwszej chwili boleśnie, kochał bowiem jak rodzony ojciec Jagienkę i ze wszystkich sił pragnął Zbyszka z nią skojarzyć. Ale z drugiej strony już się był przyzwyczał uważać tę rzecz za przypadek, a znów Jurandówna

przynosiła to, czego nie mogła przynieść Jagienka, bo i łaskę książęcą, i wiano, jako jedynaczka, wielokroć razy większe. Widział już Maćko w duszy Zbyszka książęcym komesem, panem na Bogdańcu i Spychowie, ba, w przyszłości i kasztelanem. Rzecz nie była niepodobna, bo mówiło się przecie w onych czasach o szlachcicu chudopachołku: „Miał ci synów dwunastu: sześciu w bitwach legło, sześciu zostało kasztelanami”. I naród, i rody były na dorobku do wielkości. Znaczne mienie mogło tylko pomóc Zbyszkowi na tej drodze, więc chciwość i pycha rodowa Maćka miały się z czego cieszyć. Nie brakło jednakże staremu powodów i do niepokoju. Sam jeździł niegdyś dla uratowania Zbyszka do Krzyżaków i przywiózł z tej podróży żelazny szczebrzuch pod żebrem, a oto teraz pojechał Zbyszko do Malbarga jakoby wilkowi w gardziel. Zali doczeka się tam żony czy śmierci? „Nie będą tam na niego mile patrzyli – pomyślał Maćko – dopiero co zatłukł im przecie znacznego rycerza, a przedtem bił w Lichtensteina, one zaś, psiajuchy, miłują zemstę”. Na tę myśl zatroskał się stary rycerz wielce. Przyszło mu też do głowy, że nie będzie także bez tego, aby Zbyszko, jako „Jest chłop prędko”, nie potykał się tam z jakim Niemcem. Ale o to mniejsza była trwoga. Najgorzej się obawiał Maćko, że go chwycą. „Chwycili starego Juranda i córkę, nie wzdragali się chwycić swego czasu samego księcia przy Złotoryi, czemu by zaś mieli Zbyszkowi pofolgować?”

Tu przyszło mu do głowy pytanie: co będzie, jeśli młodzik, choćby sam uszedł z rąk krzyżackich, wcale żony nie odnajdzie? Na razie pocieszył się Maćko myślą, że mu zostanie po niej Spychów, ale była to krótka pociecha. Chodziło staremu mocno o mienie, ale chodziło niemniej o ród, o Zbyszkowe dzieci. „Jeśli Danuśka wpadnie jako kamień w wodę i nikt nie będzie wiedział, żywa-li czy umarła, nie będzie się mógł Zbyszko z drugą żenić – i wówczas nie stanie Gradów z Bogdańca na świecie. Hej! Z Jagienką byłoby inaczej!... Moczy dołów też kwoka skrzydłami ani pies ogonem nie przykryje, a taka dziewczka co rok by rodziła bez pochybyjako ona jabłoń w sadzie”. Więc żal Maćka stał się większy od radości z nowego dziedzictwa – i z tego żalu, z niepokoju jał znowu wypytywać Czecha, jako to było z tym ślubem i kiedy było.

A Czech na to:

– Mówiłem już wam, poczesny panie, że kiedy było, nie wiem, a czego się domyślałem, na to nie przysięgnę.

– Czego się zaś domyślasz?

– Przecież ja młodego pana nie odstępowałem w krzypocie i w izbie z nim razem spałem. Raz tylko wieczór kazali mi pójść precz, a potem widziałem, jak do pana poszli: sama miłościwa, a z nią panna Jurandówna, pan de Lorche i ksiądz Wyszoniek. Dziwowałem się nawet, bo panna miała wianuszek na głowie, ałem myślałem, że Sakramenta będą panu dawać... Może to było wtedy... Pamiętam, że pan kazał, abym go przybrałem pięknie jak na wesele, ale myślałem też, że to dla przyjęcia Ciała Chrystusowego.

– A potem jakoż? ostali sami?

– I! – nie ostali sami, a choćby i ostali, pan wonczas i jeść nie mógł o swej mocy. A już byli po panienkę ludzie, niby od Juranda, i nad raniem pojechała...

– Nie widziałże jej Zbyszko od tego czasu?

– Oko ludzkie jej nie widziało. Nastąpiła chwila milczenia.

– Cóż myślisz – zapytał po chwili Maćko – oddadzą ją Krzyżacy czy nie oddadzą?

Czech począł trząść głową, po czym kiwnął ręką ze zniechęceniem.

– Wedle mojej głowy – rzekł z wolna – to ona już przepadła na wieki.

– Dlaczego? – zapytał prawie ze strachem Maćko.

– Bo gdyby mówili, że ją mają, to byłaby nadzieja. Można by się było skarżyć alibo okup zapłacić, alibo siłą ją odbić. Ale oni mówią tak: Mieliśmy jakowąś odbitą dziewczkę i daliśmy Jurandowi znać, on zaś jej nie przyznał, a za nasze serce ludzi nam tylu nabił, że i dobra potyczka więcej nie kosztuje.

– To Jurandowi pokazywali jakowąś dziewczkę?

– Mówią, że pokazywali. Bóg raczy wiedzieć. Może nieprawda, a może pokazali mu inną. To jeno prawda, że ludzi pobili i że oni gotowi przysiąc, że panny Jurandówny nigdy nie porywali. I to jest okrutnie ciężka sprawa. Choćby mistrz dał rozkaz, to rnu też odpowiedzą, że jej nie mają. I kto im dowiedzie? Tym bardziej że dworscy w Ciechanowie mówili o Jurandowym liście, w którym stoi, że ona nie u Krzyżaków.

– A może nie u Krzyżaków?

– Prosim waszą miłość!... Już jeśliby ją zbóje porwali, to przecie nie dla czego innego, jeno dla okupu. A przy tym zbóje nie potrafiliby ni listu napisać, ni pieczęci pana ze Spychowa uczynić, ni zacnego pocztu przysłać.

– Prawda jest. Ale co Krzyżakom po niej?

– A pomsta nad Jurandową krwią? Wolą oni pomstę niż miód i wino, a że przyczyny mają, to mają. Straszny im był pan ze Spychowa, a co w ostatku sił uczynił, to do reszty ich rozjadło... Mój pan też, słyszałem, na Lichtensteina rękę podnosił, Rotgiera zabił... Mnie Bóg pomógł, zem psubratu ramię skruszył. Hej!... prosim pięknie: czterech było, zatracona ich mać, a teraz ledwie jeden żywie, i to stary. My też zęby mamy, wasza miłość.

Nastąpiła znów chwila milczenia.

– Roztropny z ciebie giermek – rzekł wreszcie Maćko. – A jakoże myślisz, co z nią uczynią?

– Książę Witold – potężny książę; mówią, że i cesarz niemiecki w pas mu się kłania – a co uczynili z jego dziećmi? Mało tu u nich zamków? mało podziemi? mało studzien? mało powrozów i pętli na szyję?

– Dla Boga żywego! – zawołał Maćko.

– Daj Bóg, żeby młodego pana nie pochowali, choć z książęcym listem i panem de Lorche pojechał, którego jest pan możny i książętom pokrewny. Hej, nie chciałem ja tu jechać, bo tam łatwiej by się potykać zdarzyło. Ale mi kazał. Słyszałem, jako raz mówił do starego pana ze Spychowa: „Zaliście wy chytry? –powiada – bo ja chytrą nie wskóram nic, a z nimi tego trzeba! Oj! powiada, stryk Maćko, ten by się tu przydał”. I z tej przyczyny mnie wysłał. Ale Jurandówny to i wy, panie, nie najdziecie, bo ona może już na tamtym świecie – a przeciwko śmierci by i największa chytra nie pomoże...

Maćko zamyślił się i dopiero po długim milczeniu rzekł:

– Ha! to nie ma i rady! Przeciwko śmierci chytra nie pomoże. Ale gdybym tam pojechał, a dowiedział się choć tego, że tamtą zgładzili, to Spychów zostałby i tak Zbyszkowi, a sam mógłby tu wrócić i inną dziewczkę brać...

Tu odetchnął Maćko, jakby jakiś ciężar zrzucił z serca, a Głowacz spytał nieśmiały, cichym głosem:

– Panienkę ze Zgorzelic?...

– Ano! – odpowiedział Maćko – tym bardziej że sierota, a Cztan z Rogowa i Wilk z Brzozowej coraz gorzej na nią nastają. Lecz Czech zerwał się na równe nogi:

– Panienska sierota? Rycerz Zych?...

– To nie wiesz o niczym?

– Na miły Bóg! cóż się stało?

– Ba, prawda, jakoże masz wiedzieć, kiedyś tu prosto zajechał, a gadaliśmy jeno o Zbyszku! Sierota jest! Zych zgorzelicki po prawdzie

nigdy w domu miejsca nie przy grzał, chyba że miał gości. Inaczej zaraz mu się w Zgorzelicach cniło. Pisał ci tedy do niego opat, że jedzie w gości do księcia Przemka oświęcimskiego, i jego z sobą prosi. A Zychowi w to graj, ile że z księciem się znał i nieraz się z nim weselił. Przybywa zatem Zych do mnie i powiada tak: „Jadę do Oświęcimia, a potem do Glewic, a wy tu miejcie oko na Zgorzelice”. Mnie zaś zaraz coś tknęło i powiadam tak:

„Nie jedźcie! pilnujcie dziedziny i Jagienki, bo wiem, że Cztan z Wilkiem coś ci złego zamyślają”. A trzeba ci wiedzieć, że opat ze złości na Zbyszka chciał dla dziewczki Wilka albo Cztana, ale później, poznawszy ich obyczaj, sprął kiedyś obu lagą i ze Zgorzelic wyrzucił. I dobrze, ale nie bardzo, bo się okrutnie zawzięli. Teraz jest trochę spokoju, gdyż się wzajem poszczerbili i leżą, ale przedtem nie było i chwili pewnej. Wszystko na mojej głowie: obrona i opieka. A teraz Zbyszko znów chce, abym jechał... Jako tu będzie z Jagienką – nie wiem, ale tymczasem dopowiem ci o Zychu. Nie zważał na moje gadanie – pojechał. No i ucztowali, weselili się! Z Glewic jechali do ojca księcia Przemka, do starego Nosaka, którego w Cieszynie włada. Aż tu Jaško, książę raciborski, z nienawiści ku księciu Przemkowi zbójców pod przewodem Czecha Chrzana na nich nasadził. I książę Przemko legł, a z nim razem i Zych zgorzelicki, strzałą w tchawicę ugodzon. Opatu cepem żelaznym ogłuszyli, tak że dotychczas głową trzęsie, o świecie nie wie i mowę bodaj na zawsze utracił. No, Chrzana stary książę Nosak od pana na Zampachu kupił i tak go udręczył, że najstarsi ludzie o podobnej męce nie słyszeli – aleć ni sobie męką żalu po synu nie zmniejszył, ni Zycha nie wskrzesił, ni Jagience łez nie otarł. Ot im zabawa... Sześć niedziel temu przywieźli tu Zycha i pochowali.

– Taki tęgi pan!... – mówił z żalem Czech. – Nie byłem ci ja już pod Bolesławcem ułomek, a on i jednego pacierza ze mną się zabawił i w niewolę mię wziął. Ale taka to była niewola, żebym jej był i za wolę nie pomieniał... Dobry, zacny pan! Dajże mu. Boże, światłość wiekiustą. Hej, żal, żal! ale największy panienki, niebogi.

– Bo i szczerza nieboga. Poniektóra i matki tak nie miłuje, jako ona ojca miłowała. I do tego nieprzeznaczono jej siedzieć w Zgorzelicach. Po pogrzebie – jeszcze śniegiem nie zasypało Zychowej mogiły, już Cztan i Wilk na zgorzelicki dwór nastąpili. Szczęściem dowiedzieli się moi ludzie przedtem, więcem z parobkami w pomoc skoczył, i Bóg dał, żeśmy ich godnie sprali. Dopieroż po bitce dziewczka, kiedy to nie ułapi mnie za kolana:

„Nie mogem być Zbyszkowa, prawi, nie będem niczyja, jeno mnie od tych odmieńców ratujcie, bo, prawi, wołałabym śmierć niż ich...” To ci mówię, nie poznałbyś teraz Zgorzelic, bom z nich kasztel prawy uczynił. Następowali jeszcze dwa razy potem, ale wiera, nie mogli dać rady. Teraz na czas jakiś jest spokój, bo jakom ci rzekł, poszczerbili się wzajem, tak że żaden ni ręką, ni nogą ruszyć nie może.

Głowacz nie odrzekł na to nic, tylko, słuchając o Cztanie i Wilku, zgrzytać począł tak, jakoby kto skrzypiące drzwi otwierał i zamykał, a potem jął wycierać o uda swe potężne dłonie, w których widocznie uczuł swędzenie. Wreszcie z ust wyszło mu z trudem jedno tylko słowo:

– Zatraceny...

Lecz w tej chwili głosy jakieś ozwały się w sieni, drzwi otworzyły się nagle i do izby wbiegła pędem Jagienka, a z nią najstarszy z jej braci, czternastoletni Jaśko, podobny tak do niej jak bliźniak.

Ona, dowiedziawszy się od zgorzelickich chłopów, którzy po drodze widzieli poczet, że jakowś ludzie pod wodzą Czecha Hlawy jechali do Bogdańca, przeraziła się równie jak Maćko, a gdy powiedzieli jej jeszcze, że Zbyszka między nimi nie widziano, była niemal pewna, że stało się nieszczęście, więc przyleciała jednym tchem do Bogdańca, by się prawdy dopytać.

– Co się stało?... na miły Bóg! – poczęła wołać od proga.

– Co się miało stać? – odpowiedział Maćko. – Żyw Zbyszko i zdrowy.

Czech skoczył ku pani i klękawszy na jedno kolano, począł całować kraj jej sukni, lecz ona wcale tego nie zauważyła, gdyż usłyszawszy odpowiedź starego rycerza, odwróciła głowę od ognia w cień i dopiero po chwili, jakby przypomniawszy sobie, że trzeba się przywitać, rzekła:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

– Na wieki wieków – odpowiedział Maćko.

A ona, spostrzegłszy teraz Czecha u swych kolan, pochyliła się ku niemu.

– Radam ci, Hlawo, z duszy, ale czemuś to pana ostawił?

– Wysłał mnie, panienko miłościwa.

– Co przykazał?

– Przykazał jechać do Bogdańca.

– Do Bogdańca?... –1 co jeszcze?

– Wysłał po radę... i z pokłonem, z pozdrowieniem.



- Do Bogdańca, i tyla? No – dobrze. A sam gdzie?
- Między Krzyżaki pojechał do Malborga. Na twarzy Jagienki odbił się znów niepokój.
- Zali mu życie niemiłe? Czegóż?
- Szukać, miłościwa panienko, tego, czego nie odnajdzie.
- Wiera, nie odnajdzie! – wtrącił Maćko. – Jako ćwieka nie utwierdzisz bez młota, tako i woli ludzkiej bez boskiej.
- Cóże prawicie? – zapytała Jagienka.
- Lecz Maćko na pytanie odpowiedział takim pytaniem:
- Gadałże ci co Zbyszko o Jurandównie, bo jako słyshałem, to gadał?

Jagienka zrazu nie odpowiedziała nic i dopiero po chwili, przytłumiwszy westchnienie, odrzekła:

- Ej! gadał! A co mu wadziło gadać!
- To i dobrze, bo przez to łatwiej mi prawić – odrzekł stary. I począł jej opowiadać, co od Czecha słyshał, sam dziwiąc się, że chwilami opowiadanie przychodzi mu jakoś nieskładnie i trudno. Że jednak istotnie był człek chytry, a szło mu o to, by na wszelki wypadek nie „zlisić” Jagienki, więc mocno nastawał na to, w co zresztą sam wierzył, że Zbyszko w rzeczy nigdy nie był mężem Danusi i że ona przepadła już na wieki.

Czech przyświadczał mu kiedy niekiedy, to kiwając głową, to powtarzając: „Przez Bóg, jako żywo” lub: „Tak ono, nie inac” – dziewczyna zaś słyshała ze spuszczoneymi rzesami na jagody, o nic już nie dopytująca i tak cicha, że aż jej milczenie zaniepokoiło Maćka.

- No i cóż ty? – pytał, skończywszy opowiadanie. A ona nie odrzekła nic, tylko dwie łzy zabłyśły jej pod spuszczoneymi rzesami i stoczyły się po policzkach.

Po chwili zaś zbliżyła się do Maćka i pocałowałwszy go w rękę, rzekła:

- Niech będzie pochwalony.
- Na wieki wieków – odrzekł stary. – Tak ci to pilno do domu? Ostańże z nami.

Lecz ona nie chciała zostać, tłumacząc się, że w domu nie wydała na wieczerzę. Maćko zaś, choć wiedział, że w Zgorzelicach jest stara szlachcianka Sieciechowa, która mogłaby ją zastąpić, nie zatrzymywał jej zbyt natarczywie, rozumiejąc, że smutek nierad świeci ludziom łzami i że człowiek jest jako ryba, która, poczuwszy w sobie grot ości, chowa się jak może najgłębiej na dno.

Więc pogładził tylko dziewczynę po głowie, a następnie odprowadził ją wraz z Czechem na dziedziniec. Ale Czech wywiódł konia ze stajni, dosiadł go i pojechał za panienką.

Maćko zaś, wróciwszy, westchnął i kiwając głową, począł mruzczyć:

– Głupi ten Zbyszko to ci jest!... Aże pachnie po onej dziewce w izbie!

I rozżalił się stary w sobie. Pomyślał, że gdyby tak Zbyszko zaraz po powrocie był ją brał, to może by już do tego czasu była radość i uciecha! Zaś teraz co? Byle go wspomnieć, to wnet jej łza z oka kapnie, a chłopisko światami chodzi i będzie tam gdzieś o tyny malborskie łbem bił, póki go nie rozbije, a w chałupie pusto, jeno zbroiska ze ścian się szczyrzy. Nijaki pożytek z gospodarki, na nic zabieglivość, na nic Spychów i Bogdaniec, skoro nie będzie ich komu zostawić.

Tu gniew począł burzyć w duszy Maćka.

– Poczekaj, powsinogo – rzekł głośno – nie pojedę ja za tobą, a ty rób, co chcesz!

Lecz w tej samej chwili zdjęła go jak na złość okrutna tęsknota za Zbyszkiem. „Ba, nie pojedę – pomyślał – a w domu to zaś usiedzę? Nie usiedzę! Skaranie boskie! Bo żeby tego juchy choć raz w życiu nie obaczyć – nijak nie może być! Znowu tam jednego psubrata rozszczerpił – i łup pobrał... Inny posiwieje, nim pas zyszcze, a jego już tam książkę opasał... I słusznie, bo siła jest chwackich pachółków między szlachtą, ale takiego drugiego chyba nie ma”.

I rozczuliwszy się całkiem, począł naprzód spoglądać po zbrojach, po mieczach i po toporach, które czerniały w dymie, jakby rozważając, co z sobą brać, a co zostawić, po czym wyszedł z izby, raz dlatego, że nie mógł w niej wytrzymać, a po wtóre, by kazać wysmarować wozy i dać koniom podwójny obrok.

Na podwórku, na którym się już mroczyło, przypomniał sobie Jagienkę, która tu przed chwilą na koń siadała, i nagle zatroskał się znowu.

– Jechać, to jechać – rzekł sobie – ale kto tu będzie dziewczyny przed Cztanem i Wilkiem bronił! Bogdaj w nich piorun trzasł!...

Jagienka zaś jechała tymczasem wraz z małym Jaśkiem drogą leśną ku Zgorzelicom, a Czech włókł się w milczeniu za nimi, z sercem przepelnionym miłością i żalem... Widział przedtem łzy dziewczyny, patrzył teraz na jej ciemną postać, zaledwie widną w mroku leśnym, i odgadywał jej smutek i ból. Zdawało mu się też, że lada chwila wyciągną się po nią z pomroki i gęstwiny drapieżne ręce Wilka lub Czta –

i na tę myśl porywała go dzika żądza bitki. Żądza ta stawała się chwilkami tak nieprzeparta, że brała go ochota chwycić za topór lub miecz i razić bodaj sosny przy drodze. Czuł, że gdyby się dobrze zmachał, to by mu ulżyło. Rad by był wreszcie choć konia cwałem puścić, ale oni tam w przedzie jechali właśnie wolno, noga za nogą, nic prawie nie rozmawiając, gdyż i mały Jaśko, choć zwykle mowny, widząc po kilku próbach, że siostra nie chce rozmawiać, pogąrzył się także w milczeniu.

Lecz gdy już byli blisko Zgorzelic, żal w sercu Czecha przeważył nad gniewem na Cztana i Wilka. „Nie pożalowałbym ci ja i krwi – mówił sobie – byle cię pocieszyć, ale cóż, nieszczęsny, uczynię? Co ci powiem? Powiem chyba, że on ci się pokłonić kazał, i dajże Boże, aby ci to za pociechę starczyło”.

Tak pomyślawszy, przysunął konia do konia Jagienki:

– Panienko miłościwa...

– To jedziesz z nami? – zapytała dziewczyna, ocknąwszy się jak ze snu. – A co powiesz?

– Bom zapomniał, co mi pan kazał wam powiedzieć. Na odjeźdźnym w Spychowie zawołał mnie i powiedział tak: „Podejmij pod nogi panienkę ze Zgorzelic, bo czy w złej, czy w dobrej doli nigdy jej nie zabaczę, a za to, powiada, co dla stryjca i dla mnie uczyniła, niech jej Bóg zapłaci i w zdrowiu ją zachowa”.

– Bóg zapłać i jemu za dobre słowo – odrzekła Jagienka. Po czym dodała takim jakimś dziwnym głosem, że w Czechu stopniało serce do reszty:

– I tobie, Hlawo.

Rozmowa urwała się na czas, lecz giermek rad był z siebie i z tego, co panience powiedział, w duszy bowiem mówił sobie:

„Przynajmniej tego nie pomyśli, że ją niewdzięcznością nakarmiono”. Zaczął też zaraz wyszukiwać w swej poczciwej głowie, co by jej jeszcze znów takiego powiedzieć, i po chwili znów począł:

– Panienko...

– Co?

– To... niby... chciałem rzec, jakom i staremu panu z Bogdańca mówił, że tamta już przepadła na wieki i że on jej nigdy nie odnajdzie, choćby mu sam mistrz pomagał.

– To żona jego – odrzekła Jagienka. A Czech jął kręcić głową:

– Taka ona i żona...

Jagienka nie odpowiedziała już na to nic, lecz w domu po wieczery, gdy Jaśko i młodszy bracia spać poszli, kazała przynieść dzban miodu i zwróciwszy się do Czecha, spytała:

– A może wolałbyś spać, bom chciała krzynę ugwarzyć. Czech, choć był zdrożon, gotów był gwarzyć choćby do rana, więc poczęli rozmawiać, a raczej on opowiadał znów szczegółowo wszystkie przygody Zbyszka, Juranda, Danusi i swoje.

## ROZDZIAŁ IX

Maćko gotował się do drogi, a Jagienka nie pokazywała się w Bogdańcu przez dwa dni, spędziła je bowiem na naradach z Czechem. Spotkał ją stary rycerz dopiero dnia trzeciego, w niedzielę, w drodze do kościoła. Jechała do Krześni z bratem Jaśkiem i ze znacznym poczem zbrojnych pachołków, albowiem nie była pewna, czy Cztan i Wilk leżą jeszcze i czy nie uczynią na nią jakowejś napaści.

– Chciałam i tak wstąpić po mszy do Bogdańca – rzekła, powitawszy Maćka – bo pilną mam do was sprawę, ale możemy i zaraz o niej gadać.

To rzekłszy, wysunęła się na przodek orszaku, nie chcąc widocznie, by pachołkowie słyszeli rozmowę, a gdy Maćko znalazł się przy niej, zapytała:

– To już pewno jedziecie?

– Da Bóg, jutro, nie później.

– I do Malbarga?

– Do Malbarga albo i nie. Gdzie wypadnie.

– To posłuchajcie teraz i mnie. Długo myślałam, co mi trzeba uczynić, a teraz chcę się i was o radę spytać. Drzewiej, wiecie, póki tatulo był żyw, a opat miał moc w sobie, było co innego. Cztan i Wilk myśleli też, że jednego z nich wybiorę, i hamowali się wzajem. A teraz ostanę bez nijakiej obrony i albo będę w Zgorzelicach za ostrokołem jako w więzieniu siedzieć, albo niechybnie stanie mi się tu od nich krzywda. Sami powiedzcie, czy nie tak?

– Ba – rzekł Maćko – myślałem o tym i ja.

– I coście wymyślili?

– Nie wymyśliłem nic, ale to jeno ci muszę powiedzieć, że u nas przecie polski kraj i że za przemoc nad dziewczką okrutne są kary w statucie.

– To dobrze, ale granicę nietrudno przeskoczyć. Jużci wiem, że i Śląsk polski kraj, a wždy tam książęta sami się z sobą wadzą i na się wzajem następują. Żeby nie to, żyłby mój tatulo kochany. Nalazło tam już Niemców i burzą a krzywdy czynią, więc kto się chce między nimi skryć, to się i skryje. Pewnie, że łatwo bym się ni Cztanowi, ni Wilko-

wi nie dała, ale chodzi mi też i o braci. Nie będzie tu mnie, będzie spokój, a jeśli w Zgorzelicach ostanę, Bóg wie, co się przygodzi. Zdarzą się napaści, bitki, a Jaškowi już czternaście roków i żadna, a nie dopiero moja, moc go nie utrzyma. Ostatni raz, kiedyście to nam w pomoc przyszli, już on się rwał ku przodowi i jak Cztan prasnął w kupę buławą, mało mu o głowę nie zawadził. Hej! gadał już Jaško czeladzi, że obu tamtych pozwie na udeptaną ziemię. Nie będzie, mówię wam, ni dnia spokoju, bo i młodszych może co złego spotkać.

– Wiera! psubraty oni są, i Cztan, i Wilk – rzekł żywo Maćko – wszelako na dzieci ręki nie podniosą. Tfu! Taką rzecz chyba Krzyżak uczyni.

– Na dzieci ręki nie podniosą, ale w zgiełku albo, czego Boże broń, w razie ognia o przygodę nietrudno. Co tu gadać! Miłuje braci stara Sieciechowa jak rodzonych i opieki a zaś starunku im nie zabraknie, jeno beze mnie byłoby przezpieczniej niż ze mną.

– Może być – odrzekł Maćko.

Po czym spojrział bystro na dziewczynę:

– Czegoż ty chcesz?

A ona odrzekła przyciszonym głosem:

– Weźcie mnie z sobą.

Na to Maćko, choć nietrudno mu już było domyślić się zakończenia rozmowy, zdumiał się jednak mocno, zatrzymał konia i zawołał:

– Bój się Boga, Jagienka!

Ona zaś spuściła głowę i odrzekła jakby z nieśmiałością i zarazem smutkiem:

– Moiście wy! Jako co do mnie, wolę szczerze mówić niż taić. I Hlawa, i wy powiadacie, że Zbyszko już tamtej nigdy nie odnajdzie, a Czech gorzej się jeszcze spodziewa. Bóg mi świadek, nie życzę jej ni-jakiego zła. Niech mu ją tam, niebogę, Matka Boska strzeże i uchroni. Milsza ona była ode mnie Zbyszkowi, no i nie ma rady! taka moja dola. Ale widzicie, póki jej Zbyszko nie odnajdzie albo jeśli, jako wierzycie, nigdy nie odnajdzie, to, to...

– To co? – spytał Maćko, widząc, że dziewczka coraz się więcej miesza i zacina.

– To ja nie chcę być ni Cztanowa, ni Wilkowa, ni niczyja. Maćko odetchnął z zadowoleniem.

– Myślałem, żeś go już zabaczyła – rzekł. A ona odpowiedziała jeszcze smutniej:

– Hej!...

– To i czegoś chcesz? Jakoże mi między Krzyżaki cię brać?

– Niekoniecznie między Krzyżaki. Chciałabym teraz choć do opata, który w Sieradzu chorością złożon. Nie ma on tam jednej życzliwej duszy przy sobie, bo szpylmany pewnikiem dzbana więcej pilnują niż jego, a to przecie mój krzestny i dobrodziej. A choćby zdrow był, to też bym szukała jego opieki, bo ludzie się go boją.

– Nie będę ja się tam sprzeczał – rzekł Maćko, który w gruncie rzeczy rad był z postanowienia Jagienki, znając bowiem Krzyżaków, wierzył głęboko, że Danuśka nie wyjdzie żywa z ich rąk. – Ale to ci jeno rzekę, że w drodze z dziewczką okrutny kłopot.

– Może z inną, ale nie ze mną. Nie potykałam ja się dotychczas nigdy, ale nie nowina mi z kuszy dziać i trudy na łowach znosić. Jak trzeba, to trzeba, nie bójcie się. Wezmę szatki Jaśkowe, patlik nawłoso, kordzik przypaszę i pojedę. Jaśko, choć młodszy, ni na włos nie mniejszy, a z gęby taki ci do mnie podobny, że jak bywało, przebieraliśmy się na zapusty, to i tatuło nieboszczyk nie umiał rzec, które on, a które Ja... Obaczycie, że nie pozna mnie ni opat, ni – kto inny.

– Ni Zbyszko?

– Jeśli go obaczę...

Maćko zamyślił się przez chwilę, po czym uśmiechnął się nagle i rzekł

– A Wilk z Brzozowej i Cztan z Rogowa to chyba się powściekają!

– A niech się powściekają. Gorzej, że może za nami pojedą.

– No! nie boję się. Stary ja, ale lepiej mi pod pięść nie włożyć. I wszystkim Gradom też!... Zbyszka już przecie spróbowali.

Tak rozmawiając, dojechali do Krześni. W kościele był i stary Wilk z Brzozowej, który kiedy niekiedy rzucał posepne spojrzenia na Maćka, ale ów o to nie dbał. I z lekkim sercem powracał po mszy wraz z Jagienką do domu. Lecz gdy na rozstaju pożegnali się z sobą i gdy znalazł się sam w Bogdańcu, poczęły mu przychodzić do głowy mniej wesołe myśli. Rozumiał, że ni Zgorzelicom, ni rodzeństwu Jagienki na wypadek jej wyjazdu istotnie nic nie grozi. „Po dziewczkę by sięgali – mówił sobie – bo to jest inna rzecz, ale na sieroty albo na ich mienie ręki nie podniosą, gdyż okryliby się hańbą okrutną i kto żyw, ruszyłby przeciw nim jakoby przeciw prawdziwym wilkom. Ale Bogdaniec zostanie na łasce Bożej!... Kopce poprzesypują, stada zagarną, kmieciów odmówią!... Da Bóg, jak wrócę, to odbiję, zapowiedź poślę i do sądu pozwę, boć nie sama pięść, ale i prawo u nas rządzi... Jeno czy wrócę i

kiedy wrócę?... Strasznie się oni na mnie zawzięli, że im do dziewczki przeszkadzam, a gdy ona pojedzie za mną, to będą jeszcze zawziętsi”.

I chwycił go żal, bo już zagospodarował się był w Bogdańcu jako się patrzy, a teraz był pewien, że gdy powróci, zostanie znów pustką i zniszczenie.

„Ano! trzeba radzić” – pomyślał.

Jakoż po obiedzie kazał okulbaczyć konia, siadł na niego i pojechał wprost do Brzozowej.

Przyjechał już mrokiem. Stary Wilk siedział w przodowej izbie za dzbanem miodu, młody zaś, poszczerbion przez Cztana, leżał na pokrytej skórą ławie i pił także. Maćko wszedł niespodzianie do izby i stanął w progu z twarzą surową, wysoki, kościsty, bez zbroi, ale z tęgim kordem przy boku, oni zaś poznali go natychmiast, bo na oblicze padał mu jasny blask płomienia, i w pierwszej chwili zarówno ojciec, jak i syn zerwali się piorunem na równe nogi i skoczywszy ku ścianom, chwycili za oręż, jaki im wpadł pod rękę.

Lecz stary bywalec znający na wylot ludzi i obyczaje nie zmieszał się bynajmniej, dłonią nie sięgnął do korda, tylko wsparł się pod bok i rzekł spokojnym głosem, w którym drgało nieco szyderstwa:

– Jakoże? Taka ślachecka gościna w Brzozowej? Na te słowa tamtym opadły zaraz ręce, a po chwili stary wypuścił z brzękiem na ziemię miecz, młody – dzidę, i stali z powyciąganymi ku Maćkowi szyjami, mając twarze jeszcze złowrogie, ale już zdumione i zawstydzone. Ów zaś uśmiechnął się i rzekł:

– Pochwalony Jezus Chrystus!

– Na wieki wieków.

– I święty Jerzy.

– Służym mu.

– Po somsiedzkum przyjechał – z dobrą wolą.

– Z dobrą wolą witamy. Święta osoba gość.

Dopieroż stary Wilk skoczył ku Maćkowi, a za starym młody i obaj poczęli ścisnąć mu prawicę, a następnie usadzili na poczesnym miejscu za stołem. W mig dołożono szczap do komina, nakryto kilimkiem stół, postawiono misy pełne jadła, łagwie piwa, dzbańce miodu i poczęli jeść i pić. Młody Wilk rzucał od czasu do czasu na Maćka szczególnym wzrokiem, w którym cześć dla gościa usiłowała przezwyciężyć nienawiść do człowieka ale służył mu jednak tak pilnie, że aż pobladł ze zmęczenia, gdyż był ranny i pozbawion zwykłej siły. I ojca, i syna pali-



ła ciekawość, z czym Maćko przyjechał, żaden jednak nie zapytał go o nic, czekając, póki sam mówić nie zacznie.

Ów zaś, jako człowiek znający obyczaj, chwalił jadło, napitek i gościnność i dopiero gdy się dobrze nasycił, spojrzął przed się z powagą i rzekł:

– Zdarzy się nieraz ludziom wadzić, ba! i potykać, ale somszedzki mir nade wszystko!

– Nie masz nad mir godniejszej rzeczy – odpowiedział z równą powagą stary Wilk.

– Bywa też – rzekł znów Maćko – że gdy człeku w daleką drogę jechać trzeba, to chociaż z kim w nieprzyjaźni żył, przecie mu go żal i bez pożegnania nie chce odjechać.

– Bóg zapłać za szczere słowo.

– Nie słowo, jeno i uczynek, bom przyjechał.

– Z duszy radziemy wam. Przyjeżdżajcie choćby i co dzień.

– Bogdajem mógł i was w Bogdańcu uczcić, jako się należy ludziom znającym rycerską cześć, ale mi rychło w drogę czas.

– Na wojnę zaś alibo do jakowegoś świętego miejsca?

– Wolej by to lub tamto, ale gorzej, bo między Krzyżaki.

– Między Krzyżaki? – zakrzyknęli jednocześnie ojciec i syn.

– Tak jest! – odparł Maćko. – A kto między nich, nie będąc im przyjacielem, jedzie, temu się lepiej i z Bogiem, i z ludźmi pojednać, aby zaś nie tylko żywota, ale i wiekuistego zbawienia nie stradał.

– To aż dziw – rzekł stary Wilk. – Jeszczem też takiego człeka nie widział, który by się z nimi zetknął, a krzywdy i uciemienienia nie doznał.

– Tak jak i całe nasze królestwo! – dodał Maćko. – Ni Litwa przed krztem świętym, ni Tatarzy nie byli mu ciężsi od tych diabelskich mniichów.

– Rzetelna prawda, ale bo też wiecie: zbierało się i zbierało, póki się nie nazbierało, a teraz czas by skończyć, ot jak!

To rzekłszy, stary splunął z lekka w obie dłonie, młody zaś dodał:

– Nie może już inaczej być.

– I pewnie będzie, ale kiedy? – nie nasza w tym głowa, jeno królewska. Może prędko, może nieprędko... Bóg to wie, a tymczasem trzeba mi do nich jechać.

– A czy nie z wykupem za Zbyszka?

Na wzmiankę uczynioną przez ojca o Zbyszku twarz młodego

Wilka pobladła w jednej chwili z nienawiści i uczyniła się złowroga.

Lecz Maćko odpowiedział spokojnie:

– Może i z wykupem, ale nie za Zbyszka. Słowa te wzmogły jeszcze ciekawość obu dziedziców Brzozowej, więc stary, nie mogąc już dłużej wytrzymać, rzekł:

– Wola wasza mówić albo nie mówić, po co tam jedziecie.

– Powiem! powiem! – rzekł, kiwając głową, Maćko. – Ale pierwej powiem wam co innego. Oto, uważcie, po moim wyjeździe Bogdaniec zostanie na opiece Bożej... Drzewiej, kiedyśmy to oba ze Zbyszkiem wojowali pod księciem Witoldem, miał oko na naszą chudobę opat, ba, trochę i Zych ze Zgorzelic, a teraz nie będzie i tego. Strasznie markotno pomyśleć człowiekowi, że po próżnicy zabiegał i pracował... A przecie rozumiecie, jako to bywa: ludzi mi odmówią, granicę zaorzą, ze stąd też urwie każdy, co będzie mógł, i choćby Pan Jezus pozwolił szczęśliwie wrócić, to wrócim znów do pustki... Jeden na to sposób i jedno poratowanie: dobry sąsiad. Przeto tum przyjechał prosić was po sąsiedzku, abyście Bogdaniec w opiekę wzięli i krzywdy nie dali uczynić.

Usłyszawszy tę prośbę, spojrział stary Wilk na młodego, a młody na starego i obaj zdumieli się niepomierne. Nastąpiła chwila milczenia, gdyż na razie żaden nie zdobył się na odpowiedź. Maćko zaś podniósł do ust czarę miodu, wypił ją, po czym mówił dalej tak spokojnie i poufnie, jakby ci obaj byli mu od lat najbliższymi przyjaciółmi.

– To już powiem wam szczerze, od kogo się tu najwięcej szkód boję. Juźci nie od kogo innego, jeno od Cztana z Rogowa. Od was, choćbyśmy i w nieprzyjaźni się rozstali, nie bałbym się, a to z takiej przyczyny, żeście ludzie rycerscy, którzy do oczu nieprzyjacielowi staną, wszelako niegodnej pomsty za jego oczyma nie wywrą. Hej! z wami całkiem co innego... Co rycerz, to rycerz! Ale Cztan jest prostak, a od prostaka wszystkiego się można spodziewać, tym bardziej że jako wiecie, okrutnie on na mnie zawzięty za to, że mu do Jagienki Zychówny przeszkadzam.

– Którą dla bratanek chowacie! – wybuchnął młody Wilk. A Maćko spojrział na niego i przez chwilę trzymał go pod zimnym wzrokiem, następnie zwrócił się do starego i rzekł spokojnie:

– Wiecie, mój bratanek z jedną mazurską dziedziczką się ożenił i wiano zacne wziął.

Nastało ponowne, głębsze jeszcze milczenie; ojciec i syn patrzyli przez jakiś czas na Maćka z otwartymi ustami, na koniec starszy ozwał się:

– He! jakże to? Bo gadali... Powiedzcie?...

A Maćko, niby nie zważając na pytanie, mówił dalej:

– Dlatego właśnie trzeba mi jechać i dlatego proszę was: wejrzyjcie też od czasu do czasu na Bogdaniec i nie dajcie mi nikomu krzywdy uczynić, a zwłaszcza od najścia Cztanowego mnie ustrzeżcie, jako godni i uczciwi somszedzi!...

Przez ten czas młody Wilk, który miał rozum dość bystry, prędko pomiarkował, że skoro Zbyszko się ożenił, to Maćka lepiej jest mieć przyjacielem, albowiem i Jagienka miała do niego ufność i we wszystkim gotowa była iść za jego radą. Nagle całkiem nowe widoki otworzyły się przed oczyma młodego paliwody. „Nie dość się Maćkowi nie sprzeciwić, trzeba go jeszcze zjednać!” – rzekł sobie. Więc choć był trochę napity, wyciągnął wartko pod stołem rękę, ułapił ojca za kolano, ścisnął mocno na znak, żeby czegoś niepotrzebnego nie powiedział, sam zaś rzekł:

– Wy się Czтана nie bójcie! Oho! niechby jeno spróbował! Poszczerbił mnie on krzywę – prawda! – alem też mu za to tak ten włochaty pysk pochlastał, że go rodzona mać nie poznała. Nie bójcie się niczego! Jedźcie spokojnie. Nie zginie wam i jedna wrona z Bogdańca!

– To, widzę, zacni z was ludzie. Przrzekacie?

– Przrzekamy! – zawołali obaj.

– Na rycerską cześć?

– Na rycerską cześć.

– I na klejnot?

– I na klejnot! ba! i na krzyż! Tak nam dopomóż Bóg! Maćko uśmiechnął się z zadowoleniem, po czym rzekł:

– No, tegom się po was i spodziewał. A kiedy tak, to wam jeszcze coś rzekę... Zych, jako wiecie, mnie zdał opiekę nad dziećmi. Dlatego to Cztanowi i tobie, młodziaku, przeszkadzał, kiedyście to siłą chcieli wtargnąć do Zgorzelic. A teraz, jak będę w Malborgu albo Bóg wie gdzie, taka to będzie i opieka... Prawda, że nad sierotami jest Bóg i że takiemu, który by je chciał pokrzywdzić, nie tylko by szyję toporem ucięto, aleby go i za bezecnego ogłoszono. Wszelako markotno mi, że jadę. Okrutnie markotno. Obiecacież mi, jako i sierot Zychowych nie tylko sami nie pokrzywdzicie, ale i nikomu ich pokrzywdzić nie dacie.

– Przysięgamy! przysięgamy!

- Na rycerską cześć i na klejnot?
- Na rycerską cześć i na klejnot!
- I na krzyż także?
- I na krzyż!
- Bóg słyszał. Amen! – zakończył Maćko.

I odetchnął głęboko, bo wiedział, że takiej przysięgi dotrzymają, choćby każdy miał sobie pięści z gniewu i złości poobgryzać.

I począł się zaraz żegnać, ale oni zatrzymali go prawie przemocą. Musiał pić i pokumał się ze starym Wilkiem, młody zaś, choć zwykle po pijanemu zwady szukał, tym razem odgrażał się tylko na Cztana, a koło Maćka zabiegał tak gorliwie, jakby zaraz jutro miał dostać od niego Jagienkę. Przed północą jednak omdlał z wysiłku, a gdy go docuccono, zasnął kamieniem. Stary poszedł wkrótce za przykładem syna, tak że Maćko zostawił ich obu jak nieżywych przy stole.

Sam jednak, mając głowę nad miarę wytrzymałą, nie był pijany, tylko nieco rozochoccon, więc wracając do domu, rozmyślał prawie z radością o tym, czego dokazał.

– No! – mówił sobie. – Bogdaniec bezpieczny i Zgorzelice bezpieczne. Powściekają się z przyczyny Jagienkowej jazdy, a strzec i mojego, i jej dobra będą, bo muszą. Pan Jezus dał człeku obrotność... Jak gdzie nie można pięścią, to trzeba rozumem... Jeśli wrócę, nie bez tego będzie, żeby mnie stary w pole nie pozwał, ale mniejsza o to... Bóg by dał, żeby tak i Krzyżaków usidlić... Ale z nimi trudniej... Nasz, choć trafi się i psubrat, wszelako gdy na rycerską cześć i klejnot przysięże, to i zdzierży, a dla nich przysięga tyle, co plucie na wodę. Ale może mnie Matka Pana Chrystusowa wesprze, że przydam się na coś Zbyszkowi, jakom się teraz Zychowym dzieciom i Bogdańcowi przydało. Wtedy przyszło mu do głowy, że po prawdzie mogłaby dziewczyna nie jechać, bo dwaj Wilkowie będą jej strzegli jak żrenicy oka. Po chwili jednak porzucił tę myśl: „Wilkowie będą ją strzegli, ale za to Cztan będzie tym bardziej nastawał. Bóg wie, kto kogo zmoże, a rzecz pewna, że zdarzą się bitki i napaści, w których ucierpieć mogą Zgorzelice, Zychowe sieroty i sama nawet dziewczyna. Wilkom pilnować samego Bogdańca będzie łatwiej, a dla dziewczki lepiej w każdym razie, by była z dala od tych dwóch zabijaków i zarazem blisko bogatego opata”. Maćko nie wierzył w to, by Danusia mogła wyjść żywa z rąk krzyżackich, więc nie wyzbył się jeszcze nadziei, że gdy czasem Zbyszko wróci wdowcem, wówczas niechybnie poczuje ku Jagience wolę Bożą.

– Hej, mocny Boże! – mówił sobie – żeby tak, mając Spychów, jeszcze potem Jagienkę wziął z Moczydołami i z tym, co jej opat ostawi, nie pożałowałbym i kamienia wosku na świecę!

Na podobnych rozmyślaniach prędko zeszła mu droga z Brzozowej, jednakże przybył późną już nocą i zdziwił się, ujrawszy mocno oświecone błony okien. Parobcy też nie spali, bo zaledwie wjechał na oborę, wybiegł ku niemu stajenny.

– Goście jakowis czy co? – zapytał Maćko, zsiadając z konia.

– Jest panicz ze Zgorzelic z Czechem – odrzekł stajenny. Maćka zdziwiły te odwiedziny. Jagienka obiecała przyjechać nazajutrz do dnia i mieli zaraz ruszać. Czemu więc przyjechał Jaśko, i to tak późno. Stary rycerz pomyślał, że mogło się coś przytrafić w Zgorzelicach, i z pewnym niepokojem w duszy wszedł do domu.

Ale w izbie, w wielkim glinianym kominie, który zastąpił we dworze zwykle ułożone na środku izby ognisko, paliły się jasno i wesoło żywiczne szczyпки, a nad stołem płonęły w żelaznych kunach dwie pochodnie, przy których blasku ujrzał Maćko Jaśka, Czecha Hławę i jeszcze jednego młodego pachółka, z twarzą rumianą jak jabłuszko.

– Jakoże się miewasz, Jaśku, a co tam z Jagienką? – zapytał stary szlachcic.

– Jagienka kazała wam powiedzieć – rzekł, całując go w rękę, chłopak – że się rozmyśliła i woli zostać w doma.

– Bójcieże się Boga! a to co? jak? Cóż jej tam do głowy strzeliło?

A chłopak podniósł na niego modre oczęta i począł się śmiać.

– Czegoż się rzechoczesz?

Lecz w tej chwili Czech i drugi pachółek wybuchnęli także wesołym śmiechem.

– Widzicie! – zawołał mniemany chłopak – któż mnie pozna, skoroście wy nie poznali?

Dopieroż Maćko przypatrzył się wdzięcznej figurce uważniej i zawołał:

– W imię Ojca i Syna! Czyste zapusty! A ty tu skrzacie czego?

– Ba! czego?... Komu w drogę, temu czas!

– Miałaś przecie jutro świtaniem przyjechać?

– Jużci! Jutro świtaniem, żeby wszyscy widzieli! Jutro pomyślą w Zgorzelicach, żem u was w gościnie, i nie opatrzą się aż pojutrze. Sieciechowa i Jaśko wiedzą, ale Jaśko obiecał na rycerską cześć, że powie dopiero wtedy, gdy poczną się niepokoić. Ale nie poznaliście mnie – co?

Więc z kolei począł się Maćko śmiać.

– A niechże ci się jeszcze ta przyjrzę... Hej! okrutnie śworny z ciebie pacholik!... i osobliwy, bo z takiego można się i przychowku дочекаć... Sprawiedliwie mówię. Żeby to nie był stary – no! Ale i tak ci powiadam: waruj się, dziewczko, włazić mi

w oczy! waruj się!...

I począł jej przygrzać palcem, śmiejąc się, ale patrzył na nią z wielkim upodobaniem, albowiem takiego pachółka nigdy w życiu nie widział. Na głowie miała pątliczek jedwabny czerwony, na sobie zielony sukienny kubrak, a zaś spodeńki buchaste przy biodrach, a dalej obcisłe, w których jedna nogawiczka była barwy pątlika, druga w podłużne pasy. I z bogatym kordzikiem przy boku, z uśmiechniętą i jasną jak zorza twarzą wyglądała tak ślicznie, że oczu nie można było od niej oderwać.

– Boga mi! – mówił rozweselony Maćko. – Alibo cudne jakoweś paniątko, alibo kwiatuszek czy co?

Po czym zwrócił się do drugiego pachółka i zapytał:

– A ten tu?... pewnikiem też jaki odmieniec?

– A wždy to Sieciechówna – odrzekła Jagienka. – Nieskładnie by mi było samej między wami, bo jakże? To dlatego wzięłam z sobą Anulkę, że we dwie raźniej, i pomoc jest, i sługa. Jej też nikt nie pozna.

– Masz ci, babo, wesele! Mało było jednej, będzie dwie.

– Nie przekomarzajcie się.

– Nie przekomarzam się ja, ale przecie w dzień każdy pozna i ja, i ciebie.

– Ba! a po czym?

– Bo ci kolana k'sobie idą – i jej też.

– Dajcie spokój!...

– Jużci dam, bo mi nie pora, ale czy i Cztan z Wilkiem dadzą, Bóg wie. Wiesz ty, bąku, skąd wracam? Z Brzozowej.

– Na miły Bóg! Co też mówicie?

– Prawdę, jako i to prawda, że Wilkowie będą bronili od Cztana i Bogdańca, i Zgorzelic. No! pozwać nieprzyjaciół i pobić się z nimi łatwo, ale z nieprzyjaciół stróżów własnego dobra uczynić to nie byle cap potrafi.

Tu Maćko począł opowiadać o swoich odwiedzinach u Wilków, jak ich sobie zjednał i na hak przywiódł, a ona słuchała z wielkim zdumieniem, a gdy wreszcie skończył, rzekła:

– Chytróści to Pan Jezus wam nie poskapił, i miarkuję, że wszystko tak zawsze będzie, jak chcecie.

Lecz Maćko począł na to kiwać głową jakby ze smutkiem.

– Ej, dziewczyno, kiedy by tak wszystko było, jako ja chcę, to ty byś dawno już była gospodynią w Bogdańcu!

Na to Jagienka popatrzyła na niego czas jakiś swymi modrymi oczyma, po czym, zbliżywszy się, pocałowała go w rękę.

– Czegóż mnie boćkas? – zapytał stary.

– Nic!... Mówię jeno dobranoc, bo późno, a jutro trzeba nam do dnia ruszyć.

I zabrawszy Sieciechównę, odeszła, a Maćko zaprowadził Czecha do alkierza, gdzie ległszy na żubrzych skórach zasnęli obaj snem mocnym i krzepiącym.

## ROZDZIAŁ X

Jakkolwiek po zniszczeniu, pożodze i rzezi, którą w 1331 r. wyprawili w Sieradzu Krzyżacy, Kazimierz Wielki odbudował zrównane z ziemią miasto – nie było ono jednak zbyt świetne i nie mogło iść w porównanie z innymi grodami Królestwa. Ale Jagienka, której życie płynęło dotychczas między Zgorzelicami a Krześnią, nie posiadała się ze zdumienia i podziwu na widok murów, wież, ratusza, a zwłaszcza kościołów, o których drewniany krześnieński nie dawał najmniejszego pojęcia. W pierwszej chwili straciła tak dalece zwykłą rezolucję, że nie śmiała mówić głośno i tylko szeptem wypytywała Maćka o te wszystkie cuda, od których olśniewały jej oczy, gdy zaś stary rycerz upewniał ją, że Sieradzowi tak do Krakowa, jako zwyczajnej główni do słońca, uszom nie chciała wierzyć, albowiem wydawało się jej prostym niepodobieństwem, aby mógł istnieć drugi równie wspaniały gród na świecie.

W klasztorze przyjął ich ten sam zgrzybiały przeor, który pamiętał jeszcze z dziecinnych lat rzeź krzyżacką i który poprzednio przyjmował Zbyszka. Wiadomości o opacie sprawiły im smutek i kłopot. Mieszkał on długo w klasztorze, ale przed dwoma tygodniami wyjechał do swego przyjaciela, biskupa plockiego. Chorzał ciągle. Za dnia, z rana był przytomny, ale wieczorami tracił głowę, zrywał się, kazał sobie nakładać pancerz i pozywał na bitwę księcia Jana z Raciborza. Klerykowie waganci musieli go siłą trzymać w łożu, co nie przychodziło bez wielkich trudności, a nawet i niebezpieczeństwa. Przed dwoma dopiero tygodniami oprzytomniał całkiem i pomimo że osłabł jeszcze bardziej, kazał się zaraz wieźć do Płocka.

– Mówił, że nikomu tak nie ufa jako biskupowi plockiemu – kończył przeor – i że z jego rąk chce przyjąć Sakramenta, a przy tym i testament u niego zostawić. Przeciwialiśmy się tej podróży, jakeśmy mogli, bo był mdły bardzo, i baliśmy się, że i mili żyw nie ujedzie. Ale przeciwic mu się niełatwo, więc szpylmany wymościłi wóz i powieźli go, daj Boże, szczęśliwie.

– Gdyby był zamarł gdzieś blisko Sieradza, to bylibyście przecie słyszeli – rzekł na to Maćko.



– Bylibyśmy słyszeli – odparł staruszek – toteż tak myślím, że nie zamarł i że przynajmniej do Łęczycy ostatniej pary nie puścił, ale co się dalej mogło przygodzić, nie wiemy. Jeśli pojedziecie za nim, to się po drodze dowiecie.

Maćko zatroskał się tymi wiadomościami i udał się na naradę do Jagienki, która już przez Czecha dowiedziała się, dokąd opat wyjechał.

– Co robić? – spytał jej – i co z sobą uczynisz?

– Pojedziecie do Płocka, a ja z wami – odrzekła krótko.

– Do Płocka! – zawtórowała jej cienkim głósikiem Sieciechówna.

– Patrzcie, jako to się rządzą! tak ci od razu do Płocka jak sierpem rzucić?

– A jakoże mi samej z Sieciechówną wracać? Miałabym z wami dalej nie jechać, to lepiej było wcale nie wyjeżdżać. Zali nie myślicie, że tamci się gorzej jeszcze rozsierzili i zawzięli?

– Wilkowie cię przed Cztanem obronią.

– Boję ja się tak samo Wilkowej obrony jak Cztanowej napaści, a to też widzę, że wy się przeciwicie, byle się przeciwić, ale nieszczerze.

Maćko rzeczywiście nie sprzeciwiał się szczerze. Owszem, wołał, by Jagienka z nim jechała, niż żeby miała wracać, więc usłyszawszy jej słowa, uśmiechnął się i rzekł:

– Spódnicy się wyzbyła, to jej się rozumu zachciewa.

– Rozum nie gdzie indziej, jeno w głowie.

– Ale mnie z drogi przez Płock.

– Mówił Czech, że nie z drogi, a do Malborga to i bliżej.

– To jużście z Czechem uradzali?

– A pewnie, i powiedział jeszcze tak: jeśli, powiada, młody pan popadł w jakowe złe terminy w Malborgu, to przez księżnę Aleksandrę płocką siła można by wskórać, bo ona rodzona królewska i prócz tego, będąc osobliwszą przyjaciółką Krzyżakom, wielkie ma między nimi zachowanie.

– Prawda, jak mi Bóg miły! – zawołał Maćko. – Wszyscy o tym wiedzą i gdyby chciała dać list do mistrza, przepiecznicie byśmy jeździli po wszystkich ziemiach krzyżackich. Miłują ci oni ją, bo i ona ich miłuje... Dobra to rada i niegłupi chłop – ten Czech!

– Jeszcze i jak! – zawołała z zapalem Sieciechówna, wznosząc ku górze niebieskie oczki.

Maćko zaś zwrócił się nagle ku niej:

– A ty tu czego?

Więc dziewczyna zmieszała się okrutnie i opuściwszy długie rzęsy, zapłoniła się jak róża.

Jednakże widział Maćko, że nie ma innej rady, tylko trzeba obie dziewczyny dalej z sobą brać, że zaś i w duszy miał na to ochotę, więc nazajutrz, pożegnawszy staruszką przeora, ruszyli w dalszą podróż. Z przyczyny tajania śniegów i wezbranych wód jechali z większym trudem niż poprzednio. Po drodze dopytywali o opata i trafili na wiele dworów, plebanij, a gdzie ich nie było, to nawet i karczem, w których zatrzymywał się na noclegi. Łatwo było iść w jego tropy, gdyż rozdziałał hojne jałmużny, zakupował msze, dawał na dzwony, wspomagał podupadłe kościoły, więc niejeden dziadyga chodzący „po pytaniu”, niejeden klecha, ba. nawet i niejeden pleban wspominali go z wdzięcznością. Mówiono ogólnie, że „jechał jakoby anioł” – i modlono się za jego zdrowie, chociaż tu i ówdzie dawały się słyszeć obawy, że bliżej mu już do wiekuistego zbawienia niż do doczesnego zdrowia. W niektórych miejscach popasał dla zbytnej słabości po dwa i trzy dni. Maćkowi wydawało się też prawdopodobnym, że go dogonią.

Jednakże pomylił się w rachubie, gdyż zatrzymały ich wezbrane wody Neru i Bzury. Nie dojechawszy do Łęczycy, przez dni cztery zmuszeni byli zamieszkać w pustej karczmie, z której gospodarz wyniósł się, widocznie z obawy powodzi. Droga wiodąca od karczmy ku miastu, jakkolwiek wymoszczona pniami drzew, pogrążyła się i zakłęsała na znacznej przestrzeni w błotnistą topiel. Pacholek Maćków Wit, rodem z tych stron, słyszał coś wprawdzie o przejściu lasami, ale nie chciał podjąć się przewodnictwa, albowiem wiedział również, że w błotach łęczyckich miały swoje pielesze siły nieczyste, a mianowicie możny Boruta, który rad naprowadzał ludzi na bezdenne mokradła, a następnie tylko za cenę duszy ratował. Sama karczma miała także złą sławę i jakkolwiek w owych czasach podróżni wozili z sobą żywność, za czym nie obawiali się i głodu, przecie pobyt w takim miejscu nabawiął nawet starego Maćka niepokoju.

Nocami słyszano harce na dachu gospody, a czasem pukało coś i we drzwi. Jagienka i Sieciechówna śpiące w alkierzu, tuż koło wielkiej izby, słyszały też w ciemnościach jakoby szelest drobnych stóp po polapie, a nawet i po ścianach. Nie przerażało ich to zbyt, albowiem obie przywykły były w Zgorzelicach do skrzatów, które stary Zych nakazywał swego czasu karmić i które wedle powszechnego w tych czasach mniemania, byle im kto nie żałował okruszyn, nie bywały złośliwe. Lecz pewnej nocy rozległ się w pobliskich gąszczach głuchy i zło-

wrogi ryk, a nazajutrz odkryto ślady ogromnych racic na błocie. Mógł to być żubr albo tur, lecz Wit utrzymywał, że i Boruta, choć nosi postać ludzką, a nawet szlachecką, ma zamiast stóp racice, buty zaś, w których się pokazuje między ludzi, zdejmuje dla oszczędności na błotach. Maćko, zasłyszawszy, że można go sobie przejednać napitkiem, namyślał się przez cały dzień, czyby nie było grzechem uczynić sobie złego ducha przyjacielem, i radził się nawet w tym względzie Jagienki.

– Powiesiłbym na noc na płocie wołową mecherę pełną wina albo miodu – rzekł – i jeśli go w nocy co wypilo, to byśmy przynajmniej wiedzieli, że krąży.

– Byle mocy niebieskich przez to nie obrazić – odrzekła dziewczyna – bo nam błogosławieństwo potrzebne, abyśmy Zbyszkowi szczęśliwie poratowanie dać mogli.

– Toż i ja tego się boję, ale tak myślę, że co miód, to przecie nie dusza. Duszy nie dam, a co tam dla mocy niebieskich jedna mechera miodu znaczy!

Po czym zniżył głos i dodał:

– Że ślachcic ślachcica, choćby największego zawalidrogę, poczęstuje, to zwykła rzecz, a ludzie gadają, że on ci ślachcic.

– Kto? – zapytała Jagienka.

– Nie chcę nieczystego imienia wspominać. Jednakże tegoż wieczora zawiesił Maćko na płocie własnymi rękoma duży wołowy pęcherz, w jakich pospolicie wożono napitki – i nazajutrz okazało się, że pęcherz został do dna wypity.

Wprawdzie Czech, gdy o tym opowiadano, uśmiechał się jakoś dziwnie, ale nikt na to nie zważał, Maćko zaś rad był w duszy, albowiem spodziewał się, że gdy przyjdzie przeprawa przez błota, nie znajdą przy tym jakieś niespodziane przeszkody i wypadki.

– Chybaby nieprawdę powiadali, że zna jakowąś cześć – mówił sobie.

Przed wszystkim należało jednak zbadać, czy nie ma jakowegoś przejścia przez lasy. Mogło to być, albowiem tam, gdzie grunt utrwalał byt przez korzenie drzew i zarośli, ziemia nie rozmiękała łatwo od dżdżów. Wszelako Wit, który jako miejscowy mógł najlepiej spełnić tę czynność, na samą o niej wzmiankę począł krzyżeć: „Zabijcie, panie! nie pójdę!” Próżno mu tłumaczono, że w dzień siły nieczyste nie mają władzy. Maćko chciał sam iść, ale skończyło się na tym, że Hiawa, która była pacholek zuchwały i rad wobec ludzi, a zwłaszcza wobec dziewcząt, puszył odwagę, wziął za pas topór, w rękę kosztur i poszedł.

Poszedł do dnia i spodziewano się, że koło południa wróci, a gdy go nie było widać, poczęto się niepokoić. Próżno czeladź nasłuchiwała od strony lasu i po południu. Wit machał tylko ręką: „Nie wróci albo jeśli wróci, to gorze nam, to Bóg wie, czy nie z wilczą mordą, na wiłkołaka przemienion!” Słyszając to, bali się wszyscy; sam Maćko był nieswój, Jagienka czyniła, zwracając się ku borowi, znaki krzyża. Anulka zaś Sieciechówna próżno szukała co chwila na swych ubranych w spodeńki kolanach fartucha i nie znajdując nic, czym by mogła oczy przysłonić, przysłaniała je palcami, które wnet stawały się mokre od łez, jedna za drugą kąpiących.

Jednakże w porze wieczornego udoju, właśnie gdy słońce miało zachodzić Czech wrócił – i nie sam, jeno z jakąś ludzką postacią, którą pędził przed sobą na powrozie. Wypadli zaraz wszyscy ku niemu z okrzykami i radością, ale umilkli na widok owej postaci, która była mała, kosołapa, zarosła, czarna i przybrana w skóry wilcze.

– W imię Ojca i Syna, cożeś to za bezere sprowadził? – zawołał, ochłonawszy, Maćko.

– A co mi tam – odrzekł giermek – powiada, że człowiek i smolarz, ale czy prawda – nie wiem.

– Oj, nie człowiek to, nie człowiek! – ozwał się Wit. Lecz Maćko nakazał mu milczenie, za czym jał baczenie przypatrywać się schwytanemu i nagle rzekł:

– Przeżegnaj się! duchem mi się tu przeżegnaj!...

– Pochwalony Jezus Chrystus! – zawołał jeniec i przeżegnawszy się co prędzej, odetchnął głęboko, spojrział z większą ufnością na zgromadzonych i powtórzył:

– Pochwalony Jezus Chrystus! – bom ja też nie wiedział, czy-lim w krześcijańskich, czy w diabelskich rękach. O Jezu!...

– Nie bój się. Między krześcijany jesteś, którzy radzi mszy świętej słuchają. Cóż się zacz?

– Smolarz, panie, budnik. Jest nas siedmiu w budach z babami i dziećmi.

– Jakoż daleko stąd?

– O dziesięć stajań niespełna.

– Którędyż do miasta chadzacie?

– Mamy swoją drogę za Czarcim Wądołem.

– Za czarcim? Przeżegnaj no się jeszcze raz!

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen.

– To dobrze. A wóz tą drogą przejdzie?

– Teraz grząsko wszędy, chociaż tam nie tak jak na gościńcu, bo wądołem wiater dmie i błoto suszy. Jeno do Bud bieda, ale i do Bud znający bór pomału przeprowadzi.

– Za skojca przeprowadzisz? ba! niechby za dwa! Smolarz podjął się chętnie, wyprosiwszy jeszcze pół bochenka chleba, bo w lesie, chociaż głodem nie przymierali, ale chleba z dawna nie widzieli. Ułożono, że wyjadą nazajutrz rano, gdyż pod wieczór było „niedobrze”. O Borucie mówił Smolarz, że okrutnie czasem „burzy” w boru, ale prostactwu krzywdy nie czyni i zazdrosnym będąc o księstwo łęczyckie, innych diabłów po chrustach gania. Źle tylko spotkać się z nim w nocy, zwłaszcza gdy człek napity. W dzień i po trzeźwemu nie ma przyczyny bać się.

– A wszelakoś się bał? – rzekł Maćko.

– Bo mnie ten rycerz niespodzianie chycili z mocą taką, że myślałem, iż nie człowiek.

Więc Jagienka poczęła się śmiać, że to oni wszyscy smolarza poczytali za coś „paskudnego”, a smolarz ich. Śmiała się z nią razem i Anula Sieciechówna, aż Maćko rzekł:

– Jeszcze ci ślepiec nie obeschły po płakaniu za Hławą, a teraz się już szczerzysz?

Więc Czech spojrział na jej różaną twarz i widząc, że rzęsy ma jeszcze mokre, zapytał:

– Po mnieście płakali?

– Ej, nie! – odrzekła dziewczyna – jeno się bałam, i tyła.

– Przecieście szlachcianka, a szlachciance wstyd. Pani wasza nie taka bojąca. Cóż się wam mogło złego przygodzić w dzień i między ludźmi?

– Mnie nic, ale wam.

– A powiadacie przecie, że nie po mnieście płakali?

– Bo nie po was.

– A zaś czemu.

– Ze strachu.

– A teraz się nie boicie?

– Nie.

– A zaś czemu.

– Boście wrócili.

Na to Czech spojrział na nią z wdzięcznością, uśmiechnął się i rzekł:

– Ba, takim sposobem możnaby do jutra gadać. Okrutnieście chytrzy.

Aleją było prędzej o wszystko inne niż o chytrość posądzić i Hława, który sam był pacholek przebiegły, rozumiał to dobrze. Rozumiał również, że dziewczyna Ignie do niego z każdym dniem więcej. Sam on miłował Jagienkę, ale tak jako poddany miłuje córkę króla, więc z pokorą i czcią największą, a bez żadnej nadziei. Tymczasem podróż zbliżała go z Sieciechówną.

W czasie pochodów stary Maćko jechał zwykle w pierwszą parę z Jagienką, a on z Anulą, że zaś chłop był jak tur, a krew miał jak ukrop, więc gdy w czasie drogi spoglądał w jej jasne oczki, na płowe kosmyki włosów, które nie chciały trzymać się pod pątlikiem, na całą postać smukłą a urodziwą, a zwłaszcza na cudne, jakby utoczone nogi, obejmujące wronego podjezdka, to ciarki przechodziły go od stóp do głów. Nie mógł też się wstrzymać od coraz częstszego i coraz bardziej łakomego spoglądania na te wszystkie doskonałości i mimo woli myślał, że gdyby diabeł zmienił się w takiego pacholka, to łatwo zdołałby go przywieść na pokuszenie. A był to przy tym słodki jak miód pacholicek, zarazem tak posłuszny, że tylko w oczy patrzył, i wesół jak wróbel na dachu. Czasem dziwne myśli przychodziły Czechowi do głowy, i raz, gdy przystali z Anulą nieco w tyle, przy jucnych koniach, zwrócił się nagle do niej i rzekł:

– Wiecie? tak tu wedle was jadę jako wilk wedle jagnięcia.

A jej aż białe ząbki rozbłysły wraz od szczerzego śmiechu.

– Chcielibyście mnie zjeść? – zapytała.

– Ba! z kosteczkami!

I spojrzął na nią takim wzrokiem, że spłonęła pod nim, po czym zapadło między nimi milczenie i tylko serca biły im mocno, jemu z żądzą, jej z jakiejś słodkiej, odurzającej bojaźni.

Lecz początkowo żądza przemagała w Czechu całkiem nad tkliwością i mówiąc, iż patrzy na Anulkę jak wilk na jagnię, mówił prawdę. Dopiero tego wieczora, w którym ujrzał jej mokre od łez policzki i rzęsy, zmiękło w nim serce. Wydała mu się dobra i jakaś bliska, i jakaś swoja, że zaś i sam miał naturę uczciwą, a zarazem rycerską, nie tylko więc nie wzbił się w pychę i nie zhardział na widok tych słodkich łez, ale stał się nieśmielszy i więcej na nią uważający. Opuściła go dawna niefrasobliwość w mowie i choć jeszcze trochę dworował przy wieczery z bojaźliwości dziewczyny, ale już inaczej, i przy tym służył jej tak, jak rycerski giermek obowiązany był służyć szlachciance. Stary

Maćko, pomimo iż głównie myślał o jutrzejszej przeprawie i dalszej podróży, spostrzegł to jednak, ale pochwalił go tylko za górne obyczaje, których jak mówił, musiał przy Zbyszku na dworze mazowieckim nabrać.

Po czym, zwróciwszy się do Jagienki, dodał:

– Hej! Zbyszko!... Ten ci się choć i u króla znajdzie! Ale po owej służbie przy wieczerzy, gdy przyszło rozchodzić się na noc, Hiawa po ucałowaniu ręki Jagienki podniósł z kolei do ust i dłoń Sieciechówny, przy czym rzekł:

– Wy się nie tylko o mnie nie bójcie, ale i przy mnie niczego się nie bójcie, boja was nikomu nie dam.

Po czym mężczyźni pokładli się w przodowej izbie, zaś Jagienka z Anulą w alkierzu na jednym, ale szerokim i dobrze wymoszczonym tapczanie. Obie nie mogły jakoś prędko zasnąć, a zwłaszcza Sieciechówna kręciła się co chwila na drelichowym gieźle, więc po jakimś czasie Jagienka, przysunęła do niej głowę i poczęła szeptać:

– Anula?

– A co?

– Bo... mi się tak zdaje, że ty okrutnie nawidzisz tego Czecha... Jakże?

Ale pytanie pozostało bez odpowiedzi, więc Jagienka znów poczęła szeptać:

– Przecie ja to rozumiem... Powiadaj... Sieciechówna nie odpowiadała i teraz, tylko przywarta ustami do policzka swej pani i poczęła ją raz po raz całować.

A biednej Jagience również raz po raz westchnienia jejły podnosić pierś dziewczęcą.

– Oj, rozumiem, rozumiem! – szepnęła tak cicho, że Anula zaledwie mogła uławić uchem jej słowa.

## ROZDZIAŁ XI

Nazajutrz po nocy mglistej, miękkiej przyszedł dzień wietrzny, chwilami jasny, chwilami z powodu chmur, które gnane wiatrem cwałowały stadami po niebie – posepny. Maćko kazał poruszać tabor równo z brzaskiem. Smolarz, który podjął się przewodniczyć do Bud, twierdził, że konie wszędy przejdą, ale wozy miejscami trzeba będzie rozbierać i przenosić je częściowo, również jak i łuby z odzieżą i zapasami żywności. Nie mogło to przyjść bez wysiłku i mitręgi, ale hartowni i przywykli do trudu ludzie woleli trud największy niż gnuśny wypoczynek w pustej karczmie, z ochotą więc ruszyli w drogę. Nawet i bojaźliwy Wit, ośmielony słowy i obecnością smolarza, nie okazywał przestachu.

Zaraz za karczmą weszli w wysokopienny, niepodszyty bór, w którym przy zręcznym prowadzeniu koni można się było, nawet nie rozbierając wozów, między chojarami wykręcić. Wicher chwilami ustawał, chwilami zrywał się z mocą niesłychaną, uderzał jakby olbrzymimi skrzydłami w konary gonnych sosen, przeginał je, wykręcał, wywijał nimi niby śmigłami wiatraka, łamał; bór giął się pod tym rozpętanym tchnieniem i nawet w przerwach między jednym a drugim uderzeniem nie przestawał huczeć i grzmieć jakby z gniewu na ową napaść i przemoc. Kiedy niekiedy chmury przesłaniały całkiem blask dzienny; siekło dżdżem pomieszany ze śnieżnymi krupami i czyniło się tak ciemno, jakby nastawała wieczorna pomroka. Wit tracił wówczas znowu ducha i wołał, iż to „złe zawzięło się i przeszkadza”, ale nikt go nie słuchał, nawet trwożliwa Anula nie brała do serca jego słów, zwłaszcza że Czech był tak blisko, iż mogła strzemieniem trącić o jego strzemię, patrzył zaś przed się tak zuchwale, jakby samego diabła chciał wyzwać na rękę.

Za borem wysokopiennym zaczynał się podszyty, a potem gąszcz, przez który nie można było przejechać. Tu musieli rozebrać wozy, ale uczynili to sprawnie i w mgnieniu oka. Koła, dyszle i przodki przenieśli krzepcy pachółkowie na barkach, a także toboły i zapasy żywności. Było takiej złej drogi trzy stajania, jednakże zaledwie pod wieczór stanęli w Budach, gdzie smolarze przyjęli ich gościnnie i zapewnili, że



Czarcim Wądołem, a ściślej biorąc, wzdłuż niego, można było dostać się do miasta. Ludzie ci, zżyci z puszcza, rzadko widywali chleb i mąkę, ale nie przymierali głodem, gdyż wszelkich wędlin, a zwłaszcza wędzonych piskorzów, od których roiły się wszystkie błota, mieli w bród. Często wiali też nimi hojnie, wyciągając w zamian łakome ręce po placki. Były między nimi niewiasty i dzieci, wszystko czarne od smolisteo dymu, a był także i jeden stary chłop, przeszło stuletni, który pamiętał rzeź Łęczycy dokonaną w 1331 roku i zupełne zburzenie miasta przez Krzyżaków. Maćko, Czech i dwie dziewczyny, jakkolwiek słyszeli takie samo niemal opowiadanie przeora w Sieradzu, słuchali ciekawie i tego dziada, który siedząc przy ognisku i grzebiąc w nim, zdawał się odgrzebywać zarazem straszne wspomnienia swej młodości. Tak! w Łęczycy, równie jak w Sieradzu, nie oszczędzono nawet kościołów i księży, a krew starców, niewiast i dzieci spłynęła po nożach zdobywców. Krzyżacy, wiecznie Krzyżacy! Myśli Maćka i Jagienki ulatywały ustawicznie ku Zbyszkowi, który przebywał właśnie jakoby w paszczy wilczej, wśród wrażego plemienia nie znającego ni litości, ni praw gościnnych. Sieciechównie mdlało także serce, nie była bowiem pewna, czy w gonitwie za opatem nie przyjdzie im aż między tych okrutnych ludzi zajechać...

Lecz stary począł następnie opowiadać o bitwie pod Płowcami która zakończyła najazd krzyżacki, a w której on brał udział z cepem żelaznym w ręku jako pacholik w piechocie wystawionej przez gminę kmiecią. W tej to bitwie wyginał przecie cały niemal ród Gradów, więc Maćko znał dobrze wszelkie jej szczegóły, a jednak słuchał i teraz jak nowiny opowiadania o strasznym pogromie Niemców, gdy jak łan pod wichrem położyli się pod mieczami rycerstwa polskiego i króla Łokietka potęgą...

– Ha! Jużci pamiętam – mówił dziad. – Naszli tę ziemię, popalili grody i zamki, ba! dzieci w kolebkach rzezali, ale im przyszło na czarny koniec. Hej! godna ci była bitwa. Ano! co przymknę oczy, to ono pole widzę...

I przymknął oczy, i umilkł, z lekka tylko węgle we wiatr poruszały, póki Jagienka, nie mogąc się dalszego opowiadania doczekać, nie spytała:

– Jakoż to było?

– Jakoż to było? – powtórzył dziad. – Pole pamiętam, jakoby tam patrzył: były chruśniaki i w prawo młaka, i szmat rżyska jakoby poletko niewielgie. Ale po bitwie me było widać ni chruśniaków, ni młaki,

ni rżyska, jeno żelaziwo wszędy, miecze, topory, dzidy i zbroje piękne, jedna na drugiej, jakoby kto całą świętą ziemię nimi przykrył... Nigdy ja tyła pobitego narodu na kupie nie widział i tyła krwi ludzkiej płynącej...

Pokrzepiło się znowu tym wspomnieniem Maćkowe serce, więc rzekł:

– Prawda! Pan Jezus miłosierny! Ogarnęli oni wówczas to Królestwo jako pożoga albo zaraza. Nie tylko Sieradz i Łęczycę, ale i wiele innych miast napsowali. I co? Jest nasz naród okrutnie żywiący i moc w sobie też ma niepożyta. Choć ta i chycisz go, krzyżacki psubrace, za grzdykę, zdławić go nie podolisz, jeszcze ci zęby wybije... Bo jeno patrzcie: król Kazimierz i Sieradz, i Łęczycę tak zacnie odbudował, że lepsze są, niż były, i zjazdy się w nich po staremu odprawują, a Krzyżaków, jak ci sprali pod Płowcami, tak tam leżą i gniją. Daj Bóg zawdy taki koniec!

Stary chłop, słysząc te słowa, począł z początku kiwać głową na znak przytakiwania, lecz w końcu rzekł:

– Ponoś nie leżą i nie gniją. Kazał król nam piechocie po bitwie rowy kopać, i chłopcy też przyszli z okolicy pomagać w robocie, aże łopaty warczały. Poukładaliśmy potem Miemców w rowach i przysypali na porządek, by się z nich jakoweś choróbska nie wylęgły, ale oni tam nie ostali.

– Jak to nie ostali? Cóż im się przygodziło?

– Ja tam tego nie widział, jeno rzekę, jako ludzie potem prawili. Nastąpiła po bitwie wieja sroga, która trwała bez dwanaście niedziel, ale tylko nocami. W dzień słońko świeciło jako się patrzy, a w nocy wiaterek bez mała włosów ze łba nie zdzierał. To ci diabły całymi chmurami kotłowały się we wichurze, kaźden z widłami, i co który nadleciał, to siup widłami w ziemię i Krzyżaka se wydobył, a potem do piekła poniósł. Słyszeli we Płowcach ludziska harmider taki, jakby psi stadami wyli, ale tego nie mogli wyrozumieć, czy to Miemcy wyli ze strachu a zaś żałości, czyli też diabły z wesela. Było tego, póki księża rowów nie poświęcili i póki ziem na Nowy Rok nie zamarzała tak, że i widły nie brały.

Tu umilkł i po chwili dodał:

– Ale daj Bóg, panie rycerzu, taki koniec, jakoście mówili, bo chociaż ja tego nie dożyjem, ale tacy pacholeckowie, jako ci dwaj, dożyją i nie będą tego widzieli, na co oczy moje patrzyły.

To rzekłszy, począł przyglądać się to Jagience, to Sieciechównie i dziwić się ich cudnym twarzom, i głową kręcić.

– Nikiej mak we zbożu – rzekł. – Takich ja jeszcze nie widział. W podobny sposób przegwarzyli część nocy, potem pokładli się spać w budach na mchach miękkich jak puch, ciepłymi skórąmi pokrytych, a gdy sen mocny pokrzepił ich członki, ruszyli nazajutrz dobrze już za widna dalej. Droga wzdłuż wądołu nie była wprawdzie zbyt łatwa, ale też i nietrudna, tak że jeszcze przed zachodem słońca ujrzeli zamek łączycki. Miasto było na nowo z popiołów wzniesione, w części z czerwonej cegły, a nawet i z kamienia. Mury miało wysokie, wieżami bronne, kościoły jeszcze od sieradzkich wspanialsze. U dominikanów łatwo zasięgnęli wieści o opacie. Był, mówił, że mu lepiej, radował się nadzieją, że całkiem ozdowieje, i przed kilku dniami wyruszył w dalszą drogę. Maćkowi nie chodziło już zbyt o dośnięcie go w drodze, gdyż postanowił już wieść obie dziewczki aż do Płocka, gdzie i tak byłby je opat zawiózł, ale że mu pilno było do Zbyszka, więc zakłopotał się srodze inną nowiną: że już po opatowym wyjeździe rzeki tak wezbrały, iż całkiem nie można było jechać dalej. Dominikanie, widząc rycerza ze znacznym poczem, któren, jak mówił, do księcia Ziemowita jechał, przyjęli i podejmowali ich gościnnie, a nawet opatrzyli Maćka na drogę drewnianą, oliwną tabliczką, na której wypisana była po łacinie modlitwa do anioła Rafała, patrona podróżnych.

Przez dwa tygodnie trwał przymusowy pobyt w Łęczycy, przy czym jeden z giermków zamkowego starosty odkrył, że pachółkowie przejezdnego rycerza byli dziewczynami, i z miejsca zakochał się na umór w Jagience. Czech chciał go zaraz pozywać za to na udeptaną ziemię, ale że stało się to wigilią wyjazdu, więc Maćko odradzał mu ten postępek.

Gdy wyruszyli w dalszą ku Płockowi drogę, wiatr osuszył nieco gościńce, bo jakkolwiek przychodziły dżdże częste, ale jak zwykle wiosną trwały krótko. Były też ciepłe i duże, albowiem wiosna nastąpiła zupełna. Na polach świeciły w bruzdach jasne pasy wody, od zagonów dolatywał z powiewem mocny zapach mokrej ziemi. Bagna pokryły się kaczeńcem, w lasach zakwitły przyłaszczki – i piegże podnosiły między gałęziami świergot radosny. W serca podróżnych wstąpiła też nowa ochota i nadzieja, zwłaszcza że jechało im się dobrze i że po szesnastu dniach podróży stanęli u bram Płocka.

Ale przyjechali w nocy, gdy bramy grodu były już zamknięte, więc musieli nocować u tkacza za murami. Dziewczyny, poszedłszy spać

późno, pospały się po trudach i niewygodach długiej podróży kamiennym snem. Maćko, którego żaden trud nie mógł obalić, nie chciał ich budzić, ale sam równo z otwarciem bram poszedł do miasta, łatwo odnalazł katedrę i dom biskupi, w którym pierwszą nowiną, którą usłyszał, była wiadomość, że opat zmarł przed tygodniem.

Zmarł przed tygodniem, ale wedle ówczesnego zwyczaju odprawiano msze przy trumnie i stypy żałobne od dni sześcioro, pogrzeb zaś miał nastąpić dziś dopiero, a po nim wspominki i stypa ostatnia dla uczczenia pamięci zmarłego.

Maćko od wielkiego frasunku nawet się nie rozglądał po mieście, które zresztą znał nieco z tych czasów, gdy jeździł z listem księżny Aleksandry do mistrza – tylko wracał co prędzej do domu tkacza za murami i po drodze mówił sobie:

– Ha, zmarło mu się i wieczny odpoczynek! Nie masz na to rady we świecie, ale co ja teraz z tymi dziewczkami zrobię?

I począł się nad tym zastanawiać, czyby je lepiej u księżny Aleksandry zostawić, czy u księżny Anny Danuty, czy może do Spychowa wieźć. Bo nieraz przychodziło mu do głowy w czasie tej drogi, że gdyby się pokazało, iż Danuśka nie żyje, to nie wadziłoby, by Jagienka była blisko Zbyszka. Nie wątpił, że Zbyszko długo będzie tamtej, nad wszystkie inne umiłowanej, żałował i długo po niej płakał, ale nie wątpił też, że taka dziewczyna, tuż pod boki, zrobi swoje. Pamiętał, jak chłopaka, chociaż serce rwało mu się hen za bory i lasy na Mazowsze, ciągoty jednak brały przy Jagience. Z tych powodów i wierząc przy tym głęboko, że Danuśka przepadła, myślał nieraz, by na wypadek śmierci opata nie odsyłać nigdzie Jagienki. Ale że był nieco łąpczywy na ziemskie dobro, więc chodziło mu i o majątność po opacie. Opat gniewał się wprawdzie na nich i zapowiadał, że nic im nie zostawi, ale nuż ogarnęła go skrucha przed śmiercią? Że zapisał coś Jagience, to było pewne, bo nieraz odzywał się z tym w Zgorzelicach, więc przez Jagienkę mogłoby to i tak nie minąć Zbyszka. Chwilami brała też Maćka ochota zostać w Płocku, dowiedzieć się jak i co, i zająć się tą sprawą, ale wnet pokonywał w sobie takie myśli. „Ja tu będę – myślał – o majątność zabiegał, a mój chłopaczysko może tam do mnie z jakowego krzyżackiego podziemia ręce wyciąga i ratunku ode mnie czeka”. Była wprawdzie jedna rada: zostawić Jagienkę pod opieką księżny i biskupa z prośbą, by jej nie dali skrzywdzić, jeśli jej opat co zostawił. Ale rada ta nie całkiem podobała się Maćkowi. „Dziewczyna ma i tak – mówił sobie – wiano zacne, jeśli zaś i po opacie odziedziczy, weźmie ją który

Mazur, jak Bóg na niebie, a ona też długo nie wytrzyma, bo to jeszcze i nieboszczyk Zych powiadał, że już wtedy jako po węglach chodziła”. I zląkł się tej myśli stary rycerz, gdyż pomyślał, że w takim razie i Danusia, i Jagienka mogłyby Zbyszka ominąć, tego zaś nie chciał za nic na świecie.

– Którą mu Bóg przeznaczył, tę niech ma, ale jedną musi mieć. Postanowił też w końcu przede wszystkim ratować Zbyszka, a Jagienkę, jeśli trzeba będzie się z nią rozstać, zostawić albo w Spychowie, albo u księżny Danuty, nie zaś tu w Płocku, gdzie dwór był nierównie świetniejszy i pięknych rycerzy na nim niemało.

Obarczony tymi myślami, szedł wartkim krokiem ku domowi tkacza, aby Jagience opatową śmierć oznajmić, w duchu zaś obiecywał sobie, że jej tego od razu nie powie, gdyż niespodziana a zła wieść łatwo dech by w dziewce zaprzec i niepłodną ją potem uczynić mogła. Przybywszy do domu, zastał już obie ubrane, nawet przystrojone i wesołe jak gajówki, więc siadłszy na zydlu, zawołał na tkackich czeladników, by mu miśę grzanego piwa przynieśli, po czym nachmurzywszy surowe i bez tego oblicze, rzekł:

– Słyszysz, jako w mieście dzwonią? Zgadnijże, dlaczego dzwonią, boć przecie nie niedziela, a jutrznię przespałaś. Chciałabyś widzieć opata?

– Pewnie, żebym chciała – rzekła Jagienka.

– No, to tak go zobaczysz jak króla Ćwieka.

– Zaśby pojechał gdzie dalej?

– Jużci, że pojechał. A to nie słyszysz, że dzwonią?

– Pomer? – zawołała Jagienka.

– Zmów wieczny odpoczynek.

Więc natychmiast ukłękły obie z Sieciechówną i poczęły mówić wieczny odpoczynek dźwięcznymi jak dzwonki głosami. Po czym łyż ciurkiem jęły płynąć po twarzy Jagienki, bo bardzo kochała opata, który choć zapalczywy z ludźmi, krzywdy nie wyrządził nikomu, a dobro obu rękoma czynił, ją zaś, która była jego chrześniaczką, miłował jak córkę rodzoną. Maćko, wspomniawszy, że to był jego i Zbyszków krewny, wzruszył się także i nieco zapłakał, a dopiero gdy im część boleści łzami spłynęła, zabrał Czecha i obie dziewczyny na pogrzeb do kościoła.

Pogrzeb był wspaniały. Prowadził kondukt sam biskup Jakub z Kurdwanowa, byli wszyscy księża i wszyscy mnisi w Płocku konwenty mający, bito we wszystkie dzwony, mówiono mowy, których nikt

prócz duchownych nie rozumiał, boje mówiono po łacinie, po czym wrócili duchowni i świeccy na ucztę obfitą do biskupa.

Poszedł na nią Maćko, wziąwszy ze sobą dwóch pacholików, gdyż jako krewny zmarłego i znajomek biskupa miał wszelkie prawo. Biskup też przyjął go jako krewnego nieboszczyka chętnie i z odznaczeniem, lecz zaraz przy przywitaniu rzekł mu:

– Są tu jakoweś bory dla was Gradów z Bogdańca zapisane, ale co ostaje, a na klasztory i na opactwo nie idzie, to ma być krześniaczki jego, niejakiej Jagienki ze Zgorzelic.

Maćko, który się niewiele spodziewał, rad był i z borów, biskup zaś nie zauważył, że jeden z pacholików starego rycerza podniósł na wzmiankę o Jagience ze Zgorzelic zroszone i modre jak chabry oczy w górę i rzekł:

– Bóg mu zapłać, ale wolałabym, by żył. Więc Maćko zwrócił się i rzekł gniewnie:

– Cichaj, bo wstydu sobie narobisz.

Lecz nagle urwał, w oczach błysnęło mu zdumienie, po czym twarz uczyniła mu się sroga i wilcza, gdyż opodał od siebie, obok drzwi, przez które wchodziła właśnie księżna Aleksandra, ujrzał zgiętego w dworskiej, układnej postawie Kunona Lichtensteina, tego samego, przez którego omal nie zginął Zbyszko w Krakowie.

Jagienka w życiu nie widziała takiego Maćka: oblicze miał skurczone jak paszcza złego psa, spod wąsów błysnęły mu zęby, w jednej chwili okręcił na sobie pas i ruszył ku znieawidzonemu Krzyżakowi.

Lecz w pół drogi zatrzymał się i począł wodzić szeroką dłonią no włosach. Przypomniawszy sobie w porę, że Lichtenstein może być na dworze płockim tylko albo gościem, albo co prawdopodobniej, posłem i że gdyby chciał, nie pytając o nic, bić w niego, postąpiłby właśnie tak samo jak Zbyszko na drodze z Tyńca.

Więc mając więcej rozumu i doświadczenia od Zbyszka, pohamował się, odkręcił na powrót pas, wypogodził oblicze, poczekał, a następnie gdy księżna po przywitaniu się z Lichtensteinem zaczęła rozmawiać z księdzem Jakubem z Kurdwanowa, zbliżył się do niej i skłoniwszy się głęboko, przypomniał jej, co zaszło i że za swą dobrodziejkę ją poczytuje z przyczyny owego listu, którym go swego czasu opatrzyła.

Księżna zaledwie pamiętała jego twarz, ale przypomniała sobie z łatwością i list, i całą sprawę. Było jej także wiadomym to, co stało się na sąsiednim dworze mazowieckim; słyszała o Jurandzie, o uwięzieniu

jego córki, o małżeństwie Zbyszka i o śmiertelnym jego pojedynku z Rotgierem. Wszystko to zaciekawiało ją niezmiernie, tak jak jakaś opowieść rycerska lub jedna z takich pieśni, jakie wygłaszali u Niemców minstrele, a na Mazowszu gądkowie. Krzyżacy nie byli jej wprawdzie tak nienawistni jak żonie Janusza, Annie Danucie, zwłaszcza że chcąc ją sobie zjednać, przesadzali się dla niej w hołdach, pochlebstwach i obsypywali ją hojnie darami; lecz w tym razie serce jej było po stronie kochanków. Gotowa im była pomóc – i przy tym cieszyło ją, iż ma przed sobą człowieka, który mógł jej najdokładniej przebieg zdarzeń opowiedzieć.

Maćko zaś, który przedtem już postanowił uzyskać jakimkolwiek sposobem opiekę i protekcję wpływowej księżny, widząc, z jakim słucha zajęciem, chętnie prawił jej o nieszczęsnych losach Zbyszka i Danuśki i prawie do łez ją wzruszył, a to tym bardziej że sam niedołą bratanka lepiej niż ktokolwiek odczuwał i z całej duszy nad nią ubolewał.

– Nic rzewliwszego w życiu nie słyszałam – rzekła wreszcie księżna. – A największa żalność chwytła mnie wskrós tej przyczyny, że on już tę dziewczeczkę zaślubił, już ci była jego, a żadnej szczęśliwości nie zaznał. Wszelako – wiecie-li na pewno, że nie zaznał?

– Hej, mocny Boże! – odparł Maćko – żeby choć był zaznał, ale on ją zaślubił, obłożnie chorym będąc, wieczorem, a o świtaniu już ją wzięli!

– I myślicie, że Krzyżacy? Bo u nas powiadali o zbójach, którzy Krzyżaków zwiedli, inną dziewczeczkę im oddając. Mówili też o Jurandowym pisaniu.

– To już nie ludzkie sądy rozstrzygnęły, jeno boski. Wielki to był, prawią, rycerz ten Rotgier, który najtęższych zwyciężał, a przecież z ręki dzieciucha poległ.

– No, taki to i dzieciuch – rzekła, uśmiechając się, księżna – co mu przepieczniej w drogę nie włązić. Krzywda jest – prawda! I słusznie się krzywdujecie, a jednak z tamtych czterech trzech już nie żywie, a ten stary, który ostał, ledwie także, jako słyszałam, wydarł się śmierci.

– A Danuśka? a Jurand? – odrzekł Maćko – gdzież oni są? Bóg też wie, czy i ze Zbyszkiem co złego się nie stało, którego do Malbarga pojechał.

– Wiem, ale Krzyżacy nie całkiem tacy psubraci, jako myślicie. W Malborgu przy boku mistrza i jego brata Ulryka, który jest człowiek rycerski, nic się złego bratankowi waszemu stać nie mogło, który przecie miał pewnikiem i listy od księcia Janusza. Chyba że tam jakiego

rycerza pozwał i poległ, bo w Malborgu siła zawsze najślawniejszych rycerzy ze wszystkich stron świata przebywa.

– Ej, nie bardzo już się tam tego boję – rzekł stary rycerz. – Byle go do podziemia nie zamknęli, byle zdradą nie ubili i byle jakoweś żelaziwo miał w garści – to nie bardzo się boję. Raz tylko znalazł się od niego tęższy, którego go w szrankach rozciągnął, a to właśnie książe mazowiecki Henryk, ten, co był tu biskupem i co się w gładkiej Ryn-galle rozmiłował. Ale Zbyszko zgoła był wówczas pacholęciem. Przy tym jednego byłby on tylko jako amen w pacierzu pozwał, tego, któremu i ja ślubowałem, a którego tu jest.

To rzekłszy, pokazał oczyma na Lichtensteina, który z wojewodą płockim rozmawiał.

Lecz księżna zmarszczyła brwi i rzekła surowym, oschłym głosem, którym zawsze mówiła, gdy gniew poczynał ją chwytać:

– Ślubowaliście mu czy nie ślubowali, a to pamiętajcie, że on u nas w gościnie; kto naszym gościem chce być, powinien obyczajności przestrzegać.

– Wiem, miłościwa pani – odrzekł Maćko. – Toćżem już okręcił pas i do niegom szedł, alem się pohamował, pomyślawszy, że może posłuje.

– Bo i posłuje. A człek jest między swymi znaczny, na którego radach sam mistrz siła polega i nie byle czego mu odmówi. Bóg to może zdarzył, że go w Malborgu podczas bytności waszego bratanka nie było, ile że Lichtensteina, choć z zacnego rodu idzie, powiadają zawziętym i mściwym. Poznałże was?

– Nie bardzo mógł poznać, bo mię mało widział. Na drodze tynieckiej byliśmy w hełmach, a potem raz tylko byłem u niego w Zbyszkowej sprawie, ale wieczorem, gdyż było pilno, i raz widzieliśmy się w sądzie. Zmieniłem się na gębie od tego czasu i broda znacznie mi posędziała. Uważałem też teraz, że patrzył na mnie, ale widać jeno dlatego, że przydłużej z miłościwą panią rozmawiam, gdyż potem oczy całkiem spokojnie w inną stronę obrócił. Zbyszka toby był poznał – ale mnie zabaczył, a o moim ślubowaniu może i nie słyszał, mając o lepszych do myślenia.

– Jak to o lepszych?

– Bo jemu pono ślubowali i Zawisza z Garbowa, i Powąła z Tarczewa, i Marcin z Wrocimowic, i Paszko Złodziej, i Lis z Targowiska. Każdy z nich, miłościwa pani, i dziesięciu takim by poradził, a cóż dopiero, że ich kupa! Lepiej jemu się było nie rodzić, niżeli jeden takowy



miecz mieć nad głową. A ja nie tylko mu o ślubowaniu nie wspomnę, ale jeszcze w pouchwałość się wejść z nim postaram.

– Czemu zaś tak?

A twarz Maćka stała się naraz chytra, do głowy starego lisa podobna.

– Żeby mi jakowe pismo dał, za którym mógłbym przezpiecznie po krajach krzyżackich jeździć i Zbyszkowi w razie potrzeby dać poratowanie.

– Zali to godne czci rycerskiej? – zapytała z uśmiechem księżna.

– Godne – odrzekł stanowczym głosem Maćko. – Gdybym na ten przykład w bitwie z tyłu na niego natarł, a nie zawołał, by się obrócił, jużci bym hańbę na się ściągnął, ale czasu pokoju rozumem na hak nieprzyjaciela przywieść – tego się żaden prawy rycerz nie zasroma.

– To was poznamię – odrzekła księżna. I skinąwszy na Lichtensteina, poznała z nim Maćka, pomyślawszy, że choćby go Lichtenstein poznał, to i tak nie stałoby się nic wielkiego.

Lecz Lichtenstein nie poznał go, albowiem istotnie na drodze tyńskiej widział go w hełmie, a potem raz tylko jeden z nim rozmawiał, i to wieczorem, gdy Maćko przychodził do niego prosić go o odpuszczenie Zbyszkowej winy.

Skłonił się jednak dość dumnie, dopiero ujrzawszy za rycerzem dwóch cudnych, bogato ubranych pacholków, pomyślał, że nie byle kto takich mieć może, i twarz rozjaśniła mu się nieco, jakkolwiek nie przestał wydymać dumnie ust, co czynił zawsze, jeśli nie z panującym miał do czynienia.

A księżna rzekła, ukazując Maćka:

– Jedzie ten rycerz do Malborga i ja sama polecam go łasce wielkiego mistrza, ale on posłyszawszy o zachowaniu, jakie w Zakonie macie, pragnąłby i od was mieć pismo.

To rzekłszy, odeszła do biskupa, Lichtenstein zaś utkwiał w Maćku swe zimne, stalowe oczy i zapytał:

– Jakież powód skłania was, panie, do odwiedzenia naszej pobożnej i skromnej stolicy?

– Uczciwy powód i pobożny powód – odrzekł, wznosząc żrenice, Maćko. – Gdybyc było inaczej, nie uręczałaby za mną miłościwa księżna. Ale prócz ślubów pobożnych, chciałbym też i mistrza waszego poznać, któren pokój na ziemi czyni, a jest najślawniejszym na świecie rycerzem.

– Za kogo księżna miłościwa, pani nasza i dobrodziejka urecza, ten nie będzie narzekał na naszą ubogą gościnność; wszelako co do mistrza trudno będziecie go mogli obaczyć, bo przed miesiącem już do Gdańska wyjechał, a stamtąd miał do Królewca i dalej ku granicy ruszyć, gdyż choć miłośnik pokoju, musi przecie od zdradzieckich Witoldowych zapędów dziedziny zakonnej bronić.

Usłyszawszy to, Maćko zafrasował się tak widocznie, że Lichtenstein, przed którego oczyma nic nie mogło się ukryć, rzekł:

– Widzę, że równą mieliście chęć poznać wielkiego mistrza, jak dopełnić ślubów zakonnych.

– Miałem ci ją, miałem! – odrzekł prędko Maćko. – Więc to już wojna z Witoldem o Żmujdz, pewna?

– Sam ją rozpoczął, podając wbrew przysięgom pomoc buntownikom.

Nastała chwila milczenia.

– Ha! niech ta Bóg szczęści Zakonowi, jak na to zasługuje! – rzekł wreszcie Maćko. – Nie mogę mistrza poznać, to choć ślubów dopełnię.

Lecz wbrew tym słowom sam nie wiedział, co ma na razie począć, i z uczuciem ogromnego strapienia zadawał sobie w duszy pytanie:

„Gdzie ja mam teraz Zbyszka szukać i gdzie go odnajdę?”

Łatwo było przewidzieć, że jeśli mistrz opuścił Malborg i udał się na wojnę, to nie ma co szukać w Malborgu i Zbyszka – a w każdym razie trzeba o nim dokładniejszych wiadomości zasięgnąć. Stary Maćko zatroskał się wielce, ale że był człek prędko do rady, postanowił czasu nie tracić i zaraz nazajutrz ruszyć w dalszą drogę. Uzyskanie listu od Lichtensteina przy poparciu księżny Aleksandry, w której komtur miał nieograniczone zaufanie, przyszło mu łatwo. Otrzymał tedy polecenie do starosty w Brodnicy i do wielkiego szpitalnika w Malborgu, za które darował jednak Lichtensteinowi spory srebrny pucharek, ozdobnie wykuty we Wrocławiu, taki, jaki rycerze mieli zwyczaj stawiać napełniony winem na noc przy łożu, aby w razie bezsenności mieć pod ręką i lekarstwo na sen, i uciechę. Hojność ta Maćkowa zdziwiła nieco Czecha, który wiedział, iż stary rycerz nie był zbyt pochopny do obsypywania darami nikogo, a zwłaszcza Niemców – lecz ów rzekł:

– Uczyniłem tak, bom mu ślubowałem i potykać się z nim muszę, a ni jak by mi było nastawać na gardło człeka, który mi usługę oddał. Nie nasz to obyczaj bić w dobrodzieja...

– Ale zacnego pucharka szkoda! – odpowiedział trochę przekornie Czech.

Na to zaś Maćko:

– Nie czynię ja nic przez rozmysłu, nie bój się! Bo jeśli mi Pan Jezus miłosierny pozwoli Niemca powalić, to jużci i pucharek odzyszczę, i siła innych godnych rzeczy wraz z nim zdobędę.

Po czym jęli naradzać się obaj, a z nimi i Jagienka, co czynić dalej. Maćkowi przechodziło przez rozum, aby i ją, i Sieciechównę zostawić w Płocku pod opieką księżny Aleksandry, a to z powodu opatowego testamentu, który był złożony u biskupa. Lecz dziewczyna sprzeciwiła się temu całą siłą swej niezłomnej woli. Prawda, że sporzej by było jechać bez nich, bo nie trzeba by na noclegach osobnych izb wyszukiwać ani też oglądać się na obyczajność, na bezpieczeństwo i różne inne tego rodzaju przyczyny. Ale przecie nie po to wyjechały ze Zgorzelic, by siedzieć w Płocku. Testament, skoro jest u biskupa, to nie przepadnie, a co do nich, gdyby się pokazało, że muszą gdzie po drodze ostać, to lepiej by im było ostać się na opiece u księżny Anny, nie u Aleksandry, bo na tamtym dworze mniej nawidzą Krzyżaków, a więcej miłują Zbyszka. Rzekł wprawdzie na to Maćko, że rozum nie niewieścia rzecz i że nie przystoi dziewce „dowodzić”, tak jakby naprawdę ten rozum miała – nie sprzeciwił się jednak stanowczo, a wkrótce ustąpił całkiem, gdy Jagienka, odciągnąwszy go na bok, poczęła mówić ze łzami w oczach:

– Wiecie!... Bóg patrzy na moje serce, że co rania i co wieczora proszę go za oną Danuškę, ba i o Zbyszkową szczęśliwość! Bóg to w niebiesiech wie najlepiej! Ale i Hława, i wy powiadacie, że już ona zginęła i że żywa z krzyżackich rąk nie wyjdzie – co jeśli tak ma być, to ja...

Tu zawahała się nieco, wezbrane łzy stoczyły się jej z wolna po jagodach i skończyła po cichu:

– To ja chcę być Zbyszka blisko...

Maćka wzruszyły te łzy i słowa, jednak odrzekł:

– Jeśli tamta zginie, Zbyszko z żalości ani na cię spojrzysz.

– Ja też nie chcę, by na mnie spoglądał, jeno chcę być przy nim.

– Wiesz przecie, że ja tego samego bym chciał, co i ty; ale on w pierwszym żalu gotów cię jeszcze zwymyślać...

– Niech tam i zwymyśla – odpowiedziała ze smutnym uśmiechem.

– Ale tego nie uczyni, bo nie będzie wiedział, że to ja.

– Pozna cię.

– Nie pozna. Wyście także nie poznali. Powiecie mu, że to nie ja, jeno Jaśko, a Jaśko przecie całkiem z gęby do mnie podobny. Powiecie

mu, że urósł i tyla, a jemu nawet przez głowę nie przejdzie, by zaś to nie był Jaśko...

Na to stary rycerz wspomniał coś jeszcze o kolanach k” sobie, ale że kolana k'sobie miewali czasem i chłopaki, więc nie mogło to być przeszkodą, zwłaszcza że Jaśko miał istotnie twarz prawie taką samą, a włosy po ostatnich postrzyżynach wyrosły mu znów długie – i nosił je w pątliku, tak jak inne szlachetne pacholeta i sami rycerze. Z tych przyczyn ustąpił Maćko i poczeli mówić już o drodze. Mieli wyruszyć nazajutrz. Postanowił Maćko puścić się w krzyżackie kraje, dotrzeć do Brodnicy, tam zasięgnąć języka i gdyby mistrz był wbrew przewidywaniom Lichtensteina jeszcze w Malborgu, to jechać do Malboga, w razie zaś przeciwnym pociągnąć krzyżacką granicą w stronę Spychowa, przepytując po drodze o młodego polskiego rycerza i jego poczet. Stary rycerz spodziewał się nawet, że łatwiej się czegoś dowie o Zbyszku w Spychowie lub na dworze księcia Janusza warszawskiego niż gdzie indziej.

Jakoż nazajutrz wyruszyli. Wiosna już uczyniła się zupełna, więc rozlewy wód, a mianowicie Skrwy i Drwęcy, tamowały drogę, tak że dopiero dziesiątego dnia po opuszczeniu Płocka przejechali granicę i znaleźli się w Brodnicy. Miasteczko czyste było i porządne, ale zaraz na wstępie można było poznać twarde rządy niemieckie, albowiem ogromna murowana szubienica, wzniesiona za miastem przy drodze do Gorczenicy, ubrana była ciałami wisielców, z których jedno było kobiece. Na strażniczej wieży i na zamku powiewała chorągiew z czerwoną ręką w białym polu. Samego komtura nie zastali jednak podróżni na miejscu, albowiem pociągnął był z częścią załogi i na czele okolicznej szlachty do Malboga. Objaśnienia te dał Maćkowi stary Krzyżak, ślepy na oba oczy, który był niegdyś komturem Brodnicy, później zaś, przywiązawszy się do miejsca i zamku, przeżywał w nim ostatki żywota. Ów, gdy kapelan miejscowy przeczytał mu list Lichtensteina, przyjął Maćka gościnnie, że zaś mieszkając wśród polskiej ludności, umiał wybornie po polsku, przeto łatwo było się z nim rozmówić. Zdarzyło się też, iż przed sześciu tygodniami jeździł do Malboga, dokąd wzywano go jako doświadczonego rycerza na radę wojenną, wiedział więc, co się w stolicy działo. Zapytywany o młodego polskiego rycerza, mówił, że nazwiska nie pomni, ale że słyszał o jakimś, który naprzód budził podziw tym, że pomimo młodych lat przybył jako rycerz już pasowany, a po wtóre potykał się szczęśliwie na turnieju, który wielki mistrz urządził wedle zwyczaju dla cudzoziemskich gości przed ~~wyruszeniem na wojenną wyprawę. Powoli przypomniał sobie nawet,~~

szeniem na wojenną wyprawę. Powoli przypomniał sobie nawet, iż owego rycerza polubił i wziął w szczególną opiekę mężny i szlachetny brat mistrzów, Ulryk von Jungingen, i że dał mu żelazne listy, z którymi młodzian później odjechał podobno w stronę wschodnią. Maćko ucieszył się z tych wiadomości ogromnie, nie miał bowiem najmniejszej wątpliwości, że tym młodym rycerzem był Zbyszko. Wobec tego nie było chwilowo po co jechać do Malboga, bo jakkolwiek wielki szpitalnik lub inni pozostali tam urzędnicy zakonni i rycerze mogliby może jeszcze dokładniejszych udzielić wskazówek, jednakowoż żadną miarą nie mogli powiedzieć, gdzie na razie bawi Zbyszko. Zresztą sam Maćko wiedział najlepiej, gdzie go znaleźć, nietrudno bowiem było domyślić się, że krąży koło Szczytna albo jeżeli tam Danusi nie znalazł, czyni poszukiwania po dalszych wschodnich zamkach i komturach.

Nie tracąc więc czasu, ruszyli i oni krzyżackim krajem ku wschodowi i Szczytnu. Droga szła im sporo, gdyż gęste miasta i miasteczka połączone były gościńcami, które Krzyżacy, a raczej kupcy w miastach osiedli, w dobrym utrzymywali stanie, prawie nie gorszym niż polskie, które powstały pod opieką gospodarnej i sprężystej króla Kazimierzowej ręki. Przy tym pogoda nastąpiła cudna. Noce były gwiazdziste, dni jasne, a w porze południowego udoju powiewał ciepły, suchy wiaterek, który napełniał czerstwością i zdrowiem piersi ludzkie. Zazieleniły się zboża na polach, łąki pokryły się hojnie kwieciami, a lasy sosnowe zaczęły ronić woń żywiczną. Przez całą drogę do Lidzbarku, a stamtąd do Działdowa i dalej do Niedzborza podróżni nie widzieli ani chmurki na niebie. W Niedzborzu dopiero w nocy przyszła ulewa z grzmotami, które pierwszy raz tej wiosny słyszano, ale trwała krótko i nazajutrz rozbłysnął znów poranek przejasny, różowy, złoty i tak świetlisty, że jak okiem sięgnąć wszystko lśniło jednym bisiorem brylantów i pereł, cała zaś kraina zdawała się uśmiechać niebu i radować się z bujnego życia.

W taki to ranek wykręcili z Niedzborza ku Szczytnu. Granica mazowiecka nie była daleko i łatwo by im przyszło nawrócić do Spychowa. Była chwila nawet, że Maćko chciał to uczynić, ale rozważywszy wszystko, wolał dotrzeć wprzód do strasznego krzyżackiego gniazda, w którym tak ponuro rozstrzygnęła się część Zbyszkowych losów. Wziąwszy więc chłopą przewodnika, kazał mu prowadzić poczet ku Szczytnu, choć i przewodnik nie był konieczny, albowiem z Niedzbo-

rza szedł prosty gościniec, na którym niemieckie mile były białymi kamieniami znaczone.

Przewodnik jechał kilkadziesiąt kroków naprzód, za nim konno Maćko z Jagienką, następnie dość daleko za nimi Czech ze śliczną Sieciechówną, a dalej szły wozy otoczone przez zbrojnych pachołków. Ranek był wczesny. Różana barwa nie zeszła jeszcze ze wschodniej strony nieba, choć słońce świeciło już, zmieniając na opale krople rosy na drzewach i trawach.

– Nie boisz się jechać do Szczytna? – zapytał Maćko.

– Nie boję się – odrzekła Jagienka. – Pan Bóg nade mną, bom sierota.

– Bo tam nijakiej wiary nie dotrzymują. Najgorszy pies był ci wprawdzie ów Danveld, którego Jurand razem z Gotfrydem zgładził... Tak powiadał Czech. Drugi po Danveldzie był Rotgier, który legł od Zbyszkowego topora, ale i ten stary jest okrutnik, diabłu zaprzedan... Ludzie nic dobrze nie wiedzą, wszelako ja tak myślę, że jeśli Danuśka zginęła, to z jego ręki. Gadają, że spotkała go też jakowaś przygoda – ale księżna powiedziała mi w Płocku, że się wykręcił. Z nim to będziemy mieli w Szczytnie sprawę. Dobrze, że mamy pismo od Lichtensteina, bo jego się podobno gorzej psu braty boją niż samego mistrza... Że to, prawia, powagę ma okrutną i zachowanie wielkie, a przy tym mściwy jest. Najmniejszej krzywdy nie daruje... Bez tego pisma nie jechałby ja tak spokojnie do Szczytna.

– A ówże stary jako się zowie?

– Zygfyrd de Lowe.

– Bóg da, że damy sobie i z nim rady.

– Bóg da!

Tu Maćko roześmiał się i po chwili począł mówić:

– Powiada do mnie księżna w Płocku: „Krzywdujecie się, krzywdujecie jako baranki na wilków, a tu, powiada, z tych wilków trzech już nie żywie, bo ich niewinne baranki zdusiły”. I prawdę rzekłszy, tak to i jest...

– A Danuśka? a jej rodzic?

– To samo powiedziałem księżnie. Ale w duszy rad jestem, iż się pokazuje, jako i nas krzywdzić jest nieprzezpieczna rzecz. Juści wiemy, jak toporzysko chycić w garść i godnie nim machnąć! A co do Danuśki i Juranda, to prawda. Ja myślę tak samo jak i Czech, że ich już na świecie nie ma, ale w rzeczy to nikt dobrze nie wie... Tego Juranda też mi

żał, bo i za życia się boleści o dziewczynę najadł, i jeżeli zginął, to ciężką śmiercią.

– Co go kto przy mnie wspomni, to zaraz o tatusiu myślę, którego też na świecie nie ma – odpowiedziała Jagienka.

I tak mówiąc, podniosła zwilżone, śliczne oczy ku górze. Maćko zaś pokiwał głową i rzekł:

– W Bożym on wiecu i w światłości wiekuistej na pewno, bo lepszego od niego człowieka chyba w całym naszym królestwie nie było...

– Oj, nie było ci, nie było! – westchnęła Jagienka. Lecz dalszą rozmowę przerwał im chłop przewodnik, który powstrzymał nagle żrebca, a następnie zawrócił go, przyleciał pędem do Maćka i zawołał jakimś dziwnym, wylęknionym głosem:

– O dla Boga! Patrzcie no, panie rycerzu, kto to ku nam z pagórka idzie.

– Kto, gdzie? – zawołał Maćko.

– A owdzie! Chyba wielgolud czy co...

Maćko z Jagienka wstrzymali stępaki, spojrzeli we wskazanym przez przewodnika kierunku i istotnie oczy ich ujrzały na wyniosłości pagórka, na pół albo i więcej stajania jakowąż postać, której wymiary zdawały się znacznie przenosić zwykłe ludzkie kształty.

– Sprawiedliwie mówi, że chłop jest duży – mruknął Maćko. Potem zmarszczył się, splunął nagle w bok i rzekł:

– Na psa urok!

– Czemu zaś zaklinacie? – spytała Jagienka.

– Bom wspomniał, jako w taki sam ranek obaczyliśmy ze Zbyszkiem na drodze z Tyńca do Krakowa takiego samego niby wielkoluda. Powiadali wówczas, że to Walgierz Wdały. Ba! pokazało się, że to był pan z Taczewa, ale też nic dobrego z tego nie wypadło. Na psa urok.

– To nie rycerz, bo piechtą idzie – rzekła, wyteżając wzrok, Jagienka. – I widzę nawet, że nijakiej bronii nie ma, jeno kostur w lewej ręce dzierży...

– I maca nim przed sobą, jakby była noc – dodał Maćko.

– I ledwie się rusza. Pewnie! Ślepy chyba czy co?

– Ślepy jest, ślepy! jako żywo!

Ruszyli końmi i po jakimś czasie zatrzymali się naprzeciw dziada, który schodząc z pagórka niezmiernie powoli, szukał przed sobą kosturem drogi.

Był to starzec rzeczywiście ogromny, chociaż widziany z bliska przestał im się wydawać wielkoludem. Sprawdzili też, że był zupełnie ślepy. Zamiast oczu miał dwie czerwone jamy. Brakło mu również prawej dłoni, na miejscu której nosił węzeł uczyniony z brudnej szmaty. Białe włosy spadały mu aż na ramiona, a broda sięgała pasa.

– Nie ma chudзина ni pacholecia, ni psa i sam omackiem drogi szuka – ozwała się Jagienka. – Dla Boga, nie mogę go przecie bez pomocy ostawić. Nie wiem, czy mnie będzie rozumiał, ale przemówię do niego po naszymu.

To rzekłszy, zeskoczyła żywo ze stępaka i zatrzymawszy się tuż przed dziadem, poczęła szukać pieniędzy w skórzanej kalecie wiszącej u jej pasa.

Dziad też, usłyszawszy przed sobą tupot koński i gwar, wyciągnął przed siebie kostur i podniósł do góry głowę, jak czynią ludzie ślepi.

– Pochwalony Jezus Chrystus! – rzekła dziewczyna. – Rozumiecie, dziadku, po krześcijańsku?

Ów zaś, usłyszawszy jej słodki, młody głos, drgnął, przez twarz przeleciał mu jakiś dziwny błysk, jakby wzruszenia i rozrzewnienia, nakrył powiekami swe puste jamy oczne i nagle, rzuciwszy kostur, padł przed nią na kolana z wyciągniętymi w górę ramionami.

– Wstańcie, i tak was wspomogę. Co wam jest? – spytała ze zdziwieniem Jagienka.

Lecz on nie odpowiedział nic, tylko dwie łzy spłynęły mu po policzkach a z ust wyszedł podobny do jęku głos:

– Aa! a!

– Na miłosierdzie boskie! niemowaście czy jak?

– Aa! a!

To wygłosiwszy, podniósł dłoń: naprzód uczynił nią znak krzyża, potem jął wodzić lewą dłonią wzdłuż ust.

Jagienka, nie zrozumiawszy, spojrzała na Maćka, który rzekł:

– Chyba coś ci takiego pokazuje, jakby mu język urznęli.

– Urznęli wam język? – spytała dziewczyna.

– A! a! a! a! – powtórzył kilkakrotnie dziad, kiwając przy tym głową.

Po czym wskazał palcami na oczy, następnie wysunął prawe ramię bez dłoni, a lewą wykonał ruch do cięcia podobny.

Teraz zrozumieli go oboje.

– Kto wam to uczynił? – spytała Jagienka.

Dziad zrobił znów kilkakrotnie znak krzyża w powietrzu.



– Krzyżacy! – zakrzyknął Maćko. Starzec opuścił na znak potwierdzenia głowę na piersi. Nastąpiła chwila milczenia, tylko Maćko i Jagienka spoglądali na się z niepokojem, mieli bowiem przed sobą jawny dowód tego braku miłosierdzia i braku miary w karaniu, jakimi odznaczali się rycerze zakonni.

– Srogie rządy! – rzekł wreszcie Maćko – i ciężko go pokarali, a Bóg wie, czy słusznie. Nie dopytamy się o to. Żeby choć wiedzieć, gdzie go odwieźć, bo to musi być człek z tych okolic. Po naszymu rozumie, gdyż tu prosty naród taki jest jako i na Mazowszu.

– Rozumiecie przecie, co mówimy? – spytała Jagienka. Dziad potwierdził głową.

– A tutejsiście?

– Nie – odpowiedział na migi starzec.

– Zaś może z Mazowsza?

– Tak.

– Spod księcia Janusza?

– Tak.

– A cóżeście u Krzyżaków robili?

Starzec nie umiał odpowiedzieć, lecz twarz jego przybrała w jednej chwili wyraz tak niezmiernego bólu, że litościwe serce Jagienki zadrgało tym większym współczuciem, a nawet Maćko, chociaż nie byle co wzruszyć go mogło, rzekł:

– Pewnikiem skrzywdzili go, psubraty, może i bez jego winy. Jagienka zaś wetknęła w dłoń nędzarza kilka drobnych pieniążków.

– Słuchajcie – rzekła. – Nie opuścim was. Pojedziecie z nami na Mazowsze i w każdej wsi będziemy was pytać, czy nie wasza. Może się jako dogadamy. Wstańcie jeno teraz, boć my przecie nie święci.

Lecz on nie wstał, owszem pochylił się i objął jej nogi, jakby w opiekę się oddając i dziękując, przy czym jednak pewne zdziwienie, a nawet jakby zawód mignęły mu na obliczu. Być może, iż miarkując z głosu, sądził, iż stoi przed dziewczyną, tymczasem dłoń jego trafiła na jałowicze skórnice, jakie w podróży nosili rycerze i giermkowie.

Ona zaś rzekła:

– Tak i będzie. Przyjdą wnet nasze wozy, to sobie odpoczniecie i pożywicie się. Ale na Mazowsze nie od razu pojedziecie, bo przedtem trzeba nam do Szczytna.

Na to słowo starzec zerwał się na równe nogi. Zgroza i zdumienie odbiły mu się na twarzy. Roztworzył ramiona, jakby chcąc zagrozić

drogę, a z ust poczęły mu się wydobywać dzikie i jak gdyby pełne przerażenia dźwięki.

– Co wam? – zawołała przelekniona Jagienka. Lecz Czech, który już przedtem był z Sieciechówną nadjechał i od pewnego czasu wpatrywał się uporczywie w dziada, zwrócił się nagle do Maćka ze zmienioną twarzą i dziwnym jakimś głosem rzekł:

– Na rany boskie! pozwólcie, panie, bym do niego przemówił, bo ani wiecie, kto on może być!

Po czym, nie pytając o pozwolenie, poskoczył do dziada, położył mu ręce na barkach i jał pytać:

– Ze Szczytna idziecie?

Starzec jakby uderzony dźwiękiem jego głosu uspokoił się i skinął głową.

– A nie szukaliście tam dziecka?...

Głuchy jęk był jedyną odpowiedzią na to pytanie.

Wówczas Hława przybladł nieco, chwilę jeszcze wpatrywał się swym rysim wzrokiem w rysy starca, po czym rzekł z wolna i dobitnie:

– To wyście Jurand ze Spychowa!

– Jurand! – zakrzyknął Maćko.

Lecz Jurand zachwiał się w tej chwili i omdlał. Przebyte męki, brak pożywienia, trudy podróży obaliły go z nóg. Oto dziesiąty już dzień upływał, jak szedł tak omackiem, błędząc i szukając przed sobą kijem drogi, o głodzie, w utrudzeniu i niepewności, dokąd idzie. Nie mogąc pytać o drogę, w dzień kierował się tylko ciepłym promieni słonecznych, nocę spędzał w rowach przy gościńcu. Gdy zdarzyło mu się przechodzić przez wieś, osadę lub gdy spotykał ludzi naprzeciw idących, dłonią i głosem żebrał jałmużny, lecz rzadko kiedy wspomogła go litościwa ręka, powszechnie bowiem brano go za zbrodniarza, którego dosięgła pomsta prawa i sprawiedliwości. Od dwóch dni żywił się korą drzewną i liśćmi i już był zwątpił, czy trafi kiedykolwiek na Mazowsze – aż tu nagle otoczyły go litościwe swojackie serca i swojskie głosy, z których jeden przypomniał mu słodki głos córki – a gdy w końcu wymieniono jeszcze i jego imię, przebrała się wreszcie miara wzruszeń, serce ścisnęło mu się w piersi, myśli zakręciły się wichrem w głowie i byłby zwałił się twarzą w proch gościńca, gdyby nie podtrzymały go krzepkie ramiona Czecha.

Maćko zeskoczył z konia, po czym obaj wzięli go, ponieśli ku taborkowi, a następnie ułożyli na wymoszczonym sianem wozie. Tam Jagienka z Sieciechówną, ocuciwszy go, nakarmiły i napiły winem,

przy czym Jagienka, widząc, że nie może utrzymać kubka, sama podawała mu napój. Zaraz potem chwycił go nieprzeparty kamienny sen, z którego dopiero na trzeci dzień miał się rozbudzić.

Oni zaś złożyli tymczasem prędką doraźną naradę.

– Krótko rzekę – ozwała się Jagienka. – Nie do Szczytna teraz jechać, ale do Spychowa, by go w przepiecznym miejscu między swoimi we wszelakim starunku zostawić.

– Obacz, jak się to rządysz! – odpowiedział Maćko. – Do Spychowa trzeba go odesłać, ale niekoniecznie mamy wszyscy jechać, bo z nim może jeden wóz pójść.

– Nie rządę ja się, jeno tak mniemam, że siła możemy się od niego i o Zbyszku, i o Danuście dowiedzieć.

– A po jakimu będziesz z nim gadać, kiedy języka nie ma?

– A któż jak nie on pokazał wam, że nie ma? Widzicie, że i bez gadania dowiedzieliśmy się wszystkiego, czego nam było trzeba, a cóż dopiero, gdy się do jego pokazywania głową i rękoma wezwyczaim! Spytać go na ten przykład, czy wracał Zbyszko z Malborga do Szczytna, to jużci albo skinie głową, albo zaprzeczy. I to samo o innych rzeczach.

– Prawda jest! – zawołał Czech.

– Nie sprzecam się i ja też, że prawda – rzekł Maćko – i sam takową myśl miałem, jeno u mnie pierwsza rozwaga, a gęba potem.

To rzekłszy, kazał zawrócić taborkowi ku mazowieckiej granicy. W czasie drogi Jagienka raz po raz podjeżdżała do wozu, na którym leżał Jurand, bojąc się, aby nie zamarł we śnie.

– Nie poznałem go – mówił Maćko – ale i nie dziwota. Chłop był jak tur! Powiadali o nim Mazurowie, że on jeden między nimi mógłby się być z samym Zawiszą potykać — a teraz iście kościotrup.

– Chodziły słuchy – rzekł Czech – że go mękami zmożyli, ale poniektóry i wierzyć nie chciał, by zaś chrześcijanie tak mieli postąpić z pasowanym rycerzem, który też świętego Jerzego ma za patrona.

– Bóg dał, że go Zbyszko choć w części pomścił. No, ale patrzcie, jakowa jest między nami a nimi różnica. Prawda! Z czterech psułatów trzech już legło – ale w bitwie legli i nikt żadnemu języka w niewoli nie obrzezał ani też oczu nie wyluskiwał.

– Bóg ich pokarze – rzekła Jagienka. Lecz Maćko zwrócił się do Czecha:

– A tyś jak go uznał?

– Zrazum go też nie uznał, chociażem go później, panie, od was widział. Ale mi coś tam chodziło po głowie i im więcej mu się przypa-trywałem, tym więcej chodziło... Ba! brody nie miał ni białych włosów, możny był pan a potężny; jakoże go było w takim dziadzie uznać! Ale gdy panienka rzekła, że jedziem do Szczytna, a on wyć począł, zaraz mi się oczy otwarły.

Maćko zamyślił się.

– Ze Spy chowa trzeba by go księciu zawieść, który przecież takiej krzywdy znacznemu człowiekowi wyrządzonej płazem puścić nie może.

– Wyprą się, panie; porwali mu zdradą dziecko i wyparli się, a o panu ze Spy chowa powiedzą, że w bitwie i język, i rękę, i oczy utracił.

– Słusznie – rzekł Maćko. – Toćże oni i samego księcia swego czasu porwali. Nie może on z nimi wojować, bo nie podola, chybaby mu nasz król pomógł. Gadają ludzie i gadają o wielkiej wojnie, a tu ani małej nie ma.

– Jest z księciem Witoldem.

– Chwalić Boga, że choć ten ich za nic ma... Hej! Książę Witold to mi książę! A chytrością go też nie zmoją, bo on jeden chytrzejszy niż oni wszyscy razem. Bywało, przycisną go, psiajuchy, tak, że zguba nad nim jako miecz nad głową, a on się jako wąż wyśliźnie i zaraz ich ukąsi... Strzeż go się, gdy cię bije, ale bardziej się strzeż, gdy cię głaszcze.

– Takiż on jest ze wszystkimi?

– Nie ze wszystkimi, jeno z Krzyżaki. Z innymi dobry i hojny książę!

Tu zamyślił się Maćko, jakby chcąc lepiej sobie Witolda przypomnieć.

– Całkiem to inny człowiek niż tutejsi książęta – rzekł wreszcie. – Powinien był Zbyszko do niego się udać, bo i pod nim, i przez niego najwięcej można przeciw Krzyżakom wskórać.

Po chwili zaś dodał:

– Kto wie, czy się tam jeszcze obaj nie znajdziem, gdyż tam i pomstę można mieć najszluszniejszą.

Potem znów mówili o Jurandzie, o jego nieszczęsnym losie i niewypowiedzianych krzywdach, jakich od Krzyżaków doznał, którzy naprzód bez żadnej przyczyny zamordowali mu umiłowaną żonę, a potem, zemstą płacąc za zemstę, porwali dziecko – i samego umęczyli tak okrutnymi mękami, że i Tatarzy nie umieliby lepszych obmyślić. Maćko i Czech zgrzytali zębami na myśl, że nawet i w wypuszczeniu

go na wolność było nowe wyrachowane okrucieństwo. Stary rycerz obiecywał też sobie w duszy, że postara się wywiedzieć dobrze, jako to wszystko było, a potem zapłacić z nawiązką.

Na takich rozmowach i myślach schodziła im droga do Spychowa. Po dniu pogodnym nastąpiła noc cicha, gwieździsta, więc nie zatrzymywali się nigdzie na nocleg, trzykrotnie tylko popaśli obficie konie, po ciemku jeszcze przejechali granicę i nad ranem stanęli pod wodzą najętego przewodnika na ziemi spychowskiej. Stary Tolima trzymał widocznie tam wszystko żelazną ręką, gdyż zaledwie zapuścili się w las, wyjechało naprzeciw dwóch zbrojnych pachołków, którzy jednak widząc nie żadne wojsko, lecz niewielki poczet, nie tylko przepuścili ich bez pytania, ale przeprowadzili przez niedostępne dla nie znających miejscowości rozlewiska i moczary.

W gródku przyjęli goście Tolima i ksiądz Kaleb. Wieść, że pan przybył, przez zbożnych ludzi odwiezion, błyskawicą rozleciała się między załogą. Dopieroż gdy zobaczyli, jakim wyszedł z rąk krzyżackich – wybuchła taka burza grózb i wściekłości, że gdyby w podziemiach spychowskich znajdował się jeszcze jaki Krzyżak, żadna moc ludzka nie zdołałaby go wybawić od strasznej śmierci.

Konni „parobje” chcieli i tak zaraz siadać na koń, skoczyć ku granicy, złapać, co się da, Niemców i głowy ich rzucić pod nogi panu, ale okiełznał tę ich chęć Maćko, który wiedział, że Niemcy siedzą po miasteczkach i gródkach, a wieśniacza ludność tej samej jest krwi, jeno że pod obcą przemocą żyje. Ale ani ów rozgwar, ani okrzyki, ani skrzywienie żurawi studziennych nie zdołały rozbudzić Juranda, którego z wozu przeniesiono na skórze niedźwiedziej do jego izby na łożo. Został przy nim ksiądz Kaleb, przyjaciel od dawnych lat, a tak jak rodzony kochający, który począł błagalną modlitwę, aby Zbawiciel świata wrócił nieszczęsnemu Jurandowi i oczy, i język, i rękę.

Znużeni drogą podróżni poszli też po spożyciu rannego posiłku na spoczynek. Maćko zbudził się dobrze już z południa i kazał pachołkowi przywołać do siebie Tolimę.

I wiedząc poprzednio od Czecha, że Jurand przed wyjazdem nakazał wszystkim posłuch dla Zbyszka i że mu dziedzinę na Spychowie przez usta księdza przekazał, rzekł do starego głosem zwierzchnika:

– Jam jest stryj waszego młodego pana i póki nie wróci, moje tu będą rządy.

Tolima schylił swą siwą głowę, nieco do głowy wilczej podobną, i otoczywszy dłonią ucho, zapytał:

– To wyście, panie, szlachetny rycerz z Bogdańca?

– Tak jest – odrzekł Maćko. – Skąd o mnie wiecie?

– Bo się tu was spodziewał i pytał o was młody pan, Zbyszko. Usłyszawszy to, Maćko zerwał się na równe nogi i zapominając o swej powadze, zakrzyknął:

– Zbyszko w Spychowie?

– Był, panie; dwa dni temu wyjechał.

– Na miły Bóg! skąd przybył i dokąd pojechał?

– Przybył z Malbarga, a po drodze był w Szczytnie, dokąd zaś wyjechał, nie powiadał.

– Nie powiadał?

– Może księdzu Kalebowi powiadał.

– Hej, mocny Boże! tośmy się zminęli! – mówił, uderzając się dłońmi po udach, Maćko.

Tolima zaś otoczył dłonią i drugie ucho:

– Jako powiadacie, panie?

– Gdzie jest ksiądz Kaleb?

– U pana starszego, przy łożu.

– Przyzwijcie go! Albo nie... Sam do niego pójde.

– Przyzwę go! – rzekł stary.

I wyszedł. Lecz nim przyprowadził księdza, weszła Jagienka.

– Chodź tu! Wiesz, co jest! Dwa dni temu był tu Zbyszko.

A ona zmieniła się w jednej chwili na twarzy i nogi przybrane w obcisłe pasiaste nogawiczki zdrzwały pod nią widocznie.

– Był i pojechał? – pytała z bijącym sercem. – Dokąd?

– Dwa dni temu, a dokąd, może ksiądz wie.

– Trzeba nam za nim! – rzekła stanowczym głosem. Po chwili wszedł ksiądz Kaleb, który sądząc, że Maćko wzywa go po to, aby zapytać o Juranda, rzekł, uprzedzając pytanie:

– Śpi jeszcze.

– Słyszałem, że Zbyszko tu był? – zawołał Maćko.

– Był. Dwa dni temu wyjechał.

– Dokąd?

– Sam nie wiedział... Szukać... Pojechał ku granicy żmujdzkiej, gdzie teraz wojna.

– Na miły Bóg, powiadajcie, ojcze, co o nim wiecie!

– Wiem tyle, ilem od niego słyszał. Był w Malborgu i mozną tam opiekę pozyskał, bo brata mistrzowego, który jest pierwszym między

nimi rycerzem. Z jego rozkazania wolno było szukać Zbyszki po wszystkich zamkach.

– Juranda i Danuśki?

– Tak, ale Juranda nie szukał, bo mu powiedzieli, że nie żyje.

– Mówcie od początku.

– Zaraz, jeno odetchnę i oprzytomnieję, bo z innego świata powracam.

– Jak to z innego świata?

– Z tego świata, do którego na koniu nie zajedzie, ale na modlitwie zajedzie... i od nóg Pana Chrystusowych, u których prosiłem o zmiłowanie nad Jurandem.

– Cuduście prosili? Macieź tę moc? – zapytał z wielką ciekawością Maćko.

– Mocy nijakiej nie mam, ale ją Zbawiciel ma, którego jeśli zechce, powróci Jurandowi i oczy, i język, i rękę...

– Byle chciał, to jużci że i potrafi – odrzekł Maćko – wszelako nie o byle coście prosili.

Książ Kaleb nie odpowiedział nic, może nie dosłyszał, gdyż oczy miał jeszcze jakby nieprzytomne i istotnie widać było, iż się poprzednio całkiem w modlitwie zapamiętał.

Więc zakrył teraz twarz rękoma i czas jakiś siedział w milczeniu. Wreszcie wstrząsnął się, przetał dłońmi oczy i źrenice, po czym rzekł:

– Teraz pytajcie.

– Jakim sposobem pozyskał sobie Zbyszko wójta sambińskiego?

– Już on nie jest wójtem sambińskim...

– Mniejsza z tym... Wy miarkujcie, o co pytam, i prawcie, co wiecie.

– Pozyskał go sobie na turnieju. Ulryk rad się w szrankach potyka, potykał ci się i ze Zbyszkiem, bo było siła gości rycerskich w Malborgu i mistrz gonitwy wyprawił. Pękł Ulrykowi poprąg w siodle i łącno go mógł Zbyszko z konia zbić, ale on, to ujrzawszy, prasnął glewię o ziemię i jeszcze chwiejącego się podtrzymał.

– Hej! Ano widzisz! – zawołał Maćko, zwracając się do Jagienki. – Za to go Ulryk pokochał?

– Za to go pokochał. Nie chciał już z nim gonić na ostre ani na tępe kopie i pokochał go. Zbyszko też powiedział mu swoje utrapienia, a ów, że to o cześć rycerską jest dbający, okrutnym gniewem zapłonął i do brata swego, mistrza, Zbyszka na skargę zaprowadził. Bóg da mu za to zbawienie, bo niewielu jest między nimi, którzy miłują sprawiedli-

wość. Mówił mi też Zbyszko, że pan de Lorche wielce mu dopomógł przez to, iż go tam dla wielkiego rodu i bogactw szanują, a on zasiał we wszystkim za Zbyszkiem świadczyl.

– A co ze skargi i z onego świadectwa przyszło?

– Przyszło to, iż wielki mistrz surowie komturowi szczytnieńskiemu przykazał, aby wszystkich jeńców i więźniów, jacy są w Szczytnie, duchem do Malborga odesłał, samego Juranda nie wyjmując. Komtur co do Juranda odpisał, iż z ran umarł i tamże przy kościele jest pogrzebion. Innych jeńców odesłał, między którymi była dziewczka niedojda, ale naszej Danusi nie było.

– Wiem od giermka Hlawy – rzekł Maćko – iż Rotgier, ten, który od Zbyszka zabit, też na dworze księcia Januszowym o takiej dziewczematołce wspominał. Mówił, że ją mieli za Jurandównę, a gdy mu księżna odpowiedziała, że przecie prawą Jurandównę znali i widzieli, jako nie była matołka, rzekł: „Iście prawda, ale myślelim, że ją złe przemieniło”.

– To samo napisał komtur mistrzowi – iż ową dziewczkę nie w więzieniu, jeno na opiece mieli, woprzód ją zbójcom odjąwszy, którzy przysięgali, że to przemieniona Jurandówna.

– I mistrz uwierzył?

– Sam nie wiedział, czyli ma wierzyć, czy nie wierzyć, ale Ulryk jeszcze większym gniewem zapłonął i wymógł na bracie, aby urzędnika zakonnego ze Zbyszkiem do Szczytna posłał, co też się stało. Przyjechawszy do Szczytna, starego komtura już nie zastali, bo na wojnę z Witoldem ku wschodnim zamkom wyruszył, jeno podwójciego, któremu urzędnik kazał wszystkie sklepy i podziemia otworzyć. Za czym szukali i szukali, i nic nie znaleźli. Brali też ludzi na spytki. Jeden sam powiedział Zbyszkowi, że od kapelana można się siłą dowiedzieć, gdyż kapelan umie kata niemowę wyrozumieć. Ale kata zabrał z sobą stary komtur, a kapelan do Królewca na jakowyś duchowny *congressus* był wyjechał... Oni się tam często zjeżdżają i skargi na Krzyżaków do papieża ślą, bo i księżom chudziętom pod nimi ciężko...

– To mi jeno dziwno, że Juranda nie znaleźli! – zauważył Maćko.

– Bo go widać wprzód stary komtur wypuścił. Większa była złość w tym wypuszczeniu, niż żeby mu byli po prostu gardło wzięli. Chciało im się, żeby pocierpiał przed śmiercią tyle, ba! i więcej, niż człowiek jego stanu wytrzymać może. Ślepy, niemowa i bez prawicy – bójcie że się Boga!... Ni do domu trafić, ni o drogę alboli o chleb poprosić... Myśleli, że zamrze gdzie pod płotem z głodu albo się w jakowej wodzie



utopi... Co mu ostawili? Nic, tylko pamięć, kim był, i rozeznanie nędzy. A to przecie męka nad męki... Może tam gdzieś pod kościołem albo przy drodze siedział, a Zbyszko przejeżdżał i nie poznał go. Może i on słyszał głos Zbyszkowy, ale zawołać na niego nie mógł... Hej!... Nie mogę od słuz!... Cud Bóg uczynił, iżecie go spotkali i dlatego mniemam, że i jeszcze większy uczyni, choć Go o niego niegodne i grzeszne wargi moje proszą.

– A cóż Zbyszko więcej powiadał? Dokąd jechał? – pytał Maćko.

– Powiadał tak: „Wiem, iż była Danuška w Szczytnie, ale oni ją porwali i albo zamorzyli, albo wywieźli. Stary de Lowe, powiada, to uczynił, i tak mi dopomóż Bóg, jako wprzód nie spocznę, nim go dostanę”.

– Także powiadał? To pewno ku wschodnim komturiom wyjechał, ale tam teraz wojna.

– Wiedział, że wojna, i dlatego do kniazia Witolda pociągnął. Powiadał, iż prędzej przez niego coś przeciw Krzyżakom wskóra niż przez samego króla.

– Do kniazia Witolda! – zawołał, zrywając się. Maćko, po czym zwrócił się do Jagienki:

– Widzisz, co to rozum! Nie gadałem tego samego? Przepowiadałem jako żywo, że przyjdzie nam iść do Witolda...

– Zbyszko miał nadzieję – ozwał się ksiądz Kaleb – iż Witold do Prus wtargnie i tamtejszych zamków będzie dobywał.

– Jeśli mu dadzą czas, to i nie omieszka – odparł Maćko. – No! chwalić Boga, wiemy przynajmniej, gdzie Zbyszka szukać.

– To i trzeba nam zaraz ruszyć! – rzekła Jagienka.

– Cichaj! – zawołał Maćko. – Nie przystoi pachołkom z radami się odzywać.

To rzekłszy, spojrział na nią znacząco, jakby przypominając jej, że jest pachołkiem, a ona upamiętała się i umilkła.

Zaś Maćko pomyślał chwilę i rzekł:

– Jużci, Zbyszka teraz najdziem, bo pewnie nie gdzie indziej, tylko przy boku kniazia Witoldowym będzie, ale trzeba by raz wiedzieć, czy on ma jeszcze czego po świecie szukać prócz tych łbów krzyżackich, które ślubował?

– A jakoże to przeznac? – spytał ksiądz Kaleb.

– Żebym wiedział, że ten ksiądz szczytnieński wrócił już z synodu, tobym go chciał widzieć – odpowiedział Maćko. – Mam listy Lichtensteina i do Szczytna mogę przezpiecznie jechać.

– Nie był to ci żaden synod, jeno *congressus* – odparł ksiądz Kaleb – i kapelan dawno już musiał wrócić.

– To dobrze. Zdajcieże resztę na moją głowę... Wezmę z sobą Hlawę, dwóch pacholków z bojowymi końmi od wypadku –i pojedę.

– A potem ku Zbyszkowi? – zapytała Jagienka.

– A potem ku Zbyszkowi, ale tymczasem ty tu ostaniesz i będziesz czekać, dopóki ze Szczytna nie wrócę. Tak też myślę, że więcej nad trzy albo cztery dni nie zabawię. Twarde we mnie gnaty i trud mi nie nowina. Przedtem jeno, was, ojcie Kalebie, o pismo do szczytnieńskiego kapelana poproszę. Łacniej mi zawierzy, jeśli mu list wasz pokażę... że to zawsze jest większa między księżmi podufałość.

– Ludzie dobrze o tamtym księdzu mówią – rzekł ojciec Kaleb. –I jeżeli kto co wie, to on.

I pod wieczór wygotował list, a nazajutrz, nim słońce weszło, nie było już starego Maćka w Spychowie.

## ROZDZIAŁ XII

Jurand rozbudził się z długiego snu w obecności księdza Kaleba i zapomniawszy we śnie, co się z nim działo, a nie wiedząc, gdzie jest, począł macać łoże i ścianę, przy której łoże stało. Lecz ksiądz Kaleb chwycił go w ramiona i płacząc z rozrzewnienia, począł mówić:

– To ja! Jesteś w Spychowie! Bracie Jurandzie! Bóg cię doświadczył... aleś między swymi... zbożni ludzie odwieźli cię... Bracie Jurandzie! Bracie!!...

I przycisnąwszy go do piersi, jął całować jego czoło, jego puste oczy, i znów cisnąć do piersi, i znów całować, a ów z początku był jakby odurzony i zdawał się nic nie rozumieć, wreszcie jednak jął wodzić lewą dłonią po czole i głowie, jakby chcąc odgarnąć i rozproszyć ciężkie chmury snu i odurzenia.

– Słyszyszże ty mnie i rozumiesz? – spytał ksiądz Kaleb. Jurand dał znak głową, że słyszy, po czym dłonią sięgnął po srebrny krucyfiks, który swego czasu zdobył był na jednym możnym rycerzu niemieckim, zdjął go ze ściany, przycisnął do ust, do piersi i oddał księdzu Kalebowi. Ów zaś rzekł:

– Rozumiem cię, bracie! On ci zostaje i jako cię wywiódł z ziemi niewoli, tak ci i wszystko, coś stracił, wrócić może.

Jurand wskazał ręką ku górze na znak, że wszystko dopiero tam wróconym mu będzie, przy czym załzawiły się znów jego wykapanne oczy i ból niezmierny odbił się na jego umęczonej twarzy.

A ksiądz Kaleb, ujrzawszy ów ruch i ową boleść, zrozumiał, że Danuškajuż nie żyje, więc klęknął przy łożu i rzekł:

– Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci, niech odpoczywa w spokoju wiecznym, amen.

Na to ślepy podniósł się i siadłszy na łożu, począł kręcić głową i machać dłonią, jakby chcąc zaprzeczyć i powstrzymać księdza Kaleba, lecz nie mogli się porozumieć, gdyż w tej chwili wszedł stary Tolima, a za nim załoga gródka, karbowi, przedniejsi i starsi kmiecie spychowscy, leśnicy i rybacy, albowiem wieść o powrocie pana rozbiegła się już po całym Spychowie. Ci obejmowali mu kolana, całowali ręce i wybuchali płaczem rzewnym na widok tego kaleki i starca, który w

niczym nie przypominał dawnego groźnego Juranda, pogromiciela Krzyżaków i zwycięzcy we wszystkich spotkaniach. Lecz niektórych – tych mianowicie, co chadzali z nim na wyprawy, porywał wicher gniewu, więc oblicza im bładły i stawały się zawzięte. Po chwili poczęli się zbijać w kupy, szeptać, trącać łokciami, popychać, aż wreszcie wysunął się naprzód jeden z załogi gródkowej, a zarazem kowal spychowski, niejaki Sucharz; przystąpił do Juranda, podjął go pod nogi i rzekł:

– Jak was tu przywieźli, panie, zaraz chcieliśmy na Szczytno ruszyć, ale ów rycerz, który was przywiózł, wzbronił. Wy, panie, teraz pozwólcie, bo zaś przez pomsty nie mogę ostać. Niech tak będzie, jako drzewiej bywało. Darmoć nas nie hańbili i nie będą... Chodziliśmy do nich za waszych rządów, pójdziem i teraz, pod Tolimą alibo i bez niego. Już my Szczytno musimy dobyć i tę sobaczą krew z nich wytoczyć – tak nam dopomóż Bóg!

– Tak nam dopomóż Bóg! – powtórzyło kilkanaście głosów.

– Do Szczytna!

– Krwi nam trzeba!

I wraz płomień ogarnął zapalczywe serca mazurskie. Łby poczęły się marszczyć, oczy błyskać, tu i ówdzie ozwało się zgrzytanie zębów. Lecz po chwili głosy i zgrzytania umilkły, a oczy wszystkich wpatrzyły się w Juranda.

Owemu zaś zrazu zakwitły policzki, jakby zagrała w nim dawna zawziętość i dawna bojowa ochota. Podniósł się i znów począł szukać dłonią po ścianie. Ludziom wydało się, że szuka miecza, ale tymczasem palce jego trafiły na krzyż, który ksiądz Kaleb zawiesił był na dawnym miejscu.

Więc zdjął go po raz wtóry ze ściany, po czym twarz mu pobladła; zwrócił się ku ludziom, podniósł ku górze puste jamy oczu i wyciągnął przed się krucyfiks.

Nastało milczenie. Na dworze czynił się już wieczór. Przez otwarte okna dochodził świergot ptactwa, które układało się do snu na poddaszach gródka i w lipach rosnących na dziedzińcu. Ostatnie czerwone promienie słońca padały, przenikając do izby, na wzniesiony w górę krzyż i na białe włosy Juranda.

Kowal Sucharz popatrzał na Juranda, obejrzał się na towarzyszków, popatrzał raz, drugi, wreszcie przeżegnał się i wyszedł na palcach z izby. Za nim wyszli równie cicho inni i dopiero zatrzymawszy się na dziedzińcu, poczęli między sobą szeptać:

– No i cóż?

- Nie pójdziem czy jak?
  - Nie pozwolił!
  - Zostawuje zemstę Bogu. Widać, że się i dusza w nim zmieniła.
- I tak było rzeczywiście.

Ale tymczasem w izbie Juranda został tylko ksiądz Kaleb, stary Tolima, a z nimi Jagienka z Sieciechówną, które ujrzawszy poprzednio całą kupę zbrojnych ludzi, idącą przez dziedziniec, przyszły także zobaczyć, co się dzieje.

Jagienka, śmielsza i pewniejsza siebie od Sieciechówny, przystąpiła teraz do Juranda.

– Bóg wam dopomóż, rycerzu Jurandzie! – rzekła. – To my – my, cośmy was tu z Prus przywieźli.

A jemu na dźwięk jej młodego głosu pojaśniała twarz. Widocznie też przypomniał sobie jeszcze dokładniej wszystko, co zaszło na szczycieńskim gościńcu, bo począł dziękować, kiwając głową i kładąc kilkakrotnie dłoń na sercu. Ona zaś jęła mu opowiadać, jak go spotkali i jak poznał go Czech Hlawa, który jest giermkim rycerza Zbyszka, i jak wreszcie przywieźli go do Spychowa. Powiedziała też i o sobie, że nosi wraz z towarzyszem miecz i hełm z tarczą za rycerzem Maćkiem z Bogdańca, Zbyszkowym stryjcem, który z Bogdańca na poszukiwanie bratanka wyruszył, a teraz do Szczytna pojechał i za trzy albo cztery dni powróci znów do Spychowa.

Na wzmiankę o Szczytnie Jurand nie wpadł wprawdzie w takie uniesienie jak pierwszym razem na gościńcu, ale wielki niepokój odbił się na jego twarzy. Jagienka jednak zapewniła go, że rycerz Maćko był równie chytry jak mężny i że nikomu nie da się na hak przywieść, a prócz tego posiada listy od Lichtensteina, z którymi wszędy bezpiecznie może jechać. Słowa te uspokoiły go znacznie; znać też było, że chciał i o wiele innych rzeczy zapytać, nie mogąc zaś tego uczynić, cierpiał w duszy, co wnet spostrzegłszy, bystra dziewczyna rzekła:

– Jak częściej będziem ze sobą gwarzyć, to się wszystkiego dogadamy.

Na to on znów uśmiechnął się, wyciągnął ku niej dłoń i złożywszy ją omackiem na jej głowie, trzymał przez długą chwilę, jakby ją błogosławiąc. Wiele jej też istotnie zawdzięczał, ale prócz tego przypadła mu widocznie do serca ta młodość i to jej szczebiotanie przypominające świegot ptasi.

Jakoż od tej pory, gdy się nie modlił – co prawie po całych dniach czynił – lub gdy nie pogrążon był we śnie, szukał jej koło siebie, a gdy

jej nie było, tęsknił do jej głosu i wszelkimi sposobami starał się dać poznać księdzu Kalebowi i Tolimie, że tego wdzięcznego pacholka chce mieć przy sobie blisko.

Ona zaś przychodziła, gdyż pocziwe jej serce litowało się nad nim szczerze, a prócz tego prędzej jej schodził przy nim czas oczekiwania na Maćka, którego pobyt w Szczytnie przedłużał się jakoś dziwnie.

Miał wrócić za trzy dni, tymczasem upłynął czwarty i piąty. Szóstego pod wieczór zaniepokojona dziewczyna miała już prosić Tolimy, by wysłał ludzi na zwiady, gdy nagle ze strażniczego dębu dano znać, że jacyś jeźdźcy zbliżają się do Spychowa.

Po chwili zadudniły rzeczywiście kopyta na zwodzonym moście i na dziedziniec wjechał giermek Hława z drugim pocztowym pacholkiem. Jagienka, która już poprzednio zesła z górnej izby i czekała na podwórzu, podskoczyła ku niemu, nim zdołał zsiąść z konia.

– Gdzie Maćko? – zapytała z bijącym trwogą sercem.

– Pojechał do kniazia Witolda, a wam kazał tu ostać – odpowiedział giermek.

## ROZDZIAŁ XIII

Jagienka, dowiedziawszy się, iż ma pozostać z rozkazu Maćka w Spychowie, przez chwilę ze zdumienia, żalu i gniewu słowa nie mogła przemówić, patrzyła tylko na Czecha szeroko otwartymi oczyma, który rozumiejąc dobrze, jak niemiłą jej przynosi wiadomość, rzekł:

– Chciałbym też wam sprawę zdać z tego, cośmy w Szczytnie słyszeli, bo siła jest nowin i ważnych.

– A o Zbyszku są?

– Nie, jeno są szczytnieńskie – wiecie...

– Rozumiem! Konie niech pacholik rozkulbaczy, a wy pójdziecie za mną.

I dawszy rozkaz pacholikowi, poprowadziła Czecha z sobą na górę.

– Czemu to nas Maćko opuścił? Dlaczego mamy w Spychowie ostawać i dlaczegoście wy wrócili? – zapytała jednym tchem.

– Ja wróciłem – odrzekł Hława – bo mi rycerz Maćko kazali. Chciało mi się na wojnę, ale jak rozkaz, to rozkaz. Powiedzieli mi rycerz Maćko tak: „Wrócisz, będziesz panny zgorzelickiej pilnował i ode mnie na nowiny czekał. Być może, powiada, że ci przyjdzie ją do Zgorzelic odprowadzić, bo juźci sama nie wróci”.

– Na miły Bóg! cóż się stało? Znalazła się córka Jurandowa? Zali Maćko nie do Zbyszka, tylko po Zbyszka pojechał? Widziałeś ją? Gadałeś z nią? Czemużeś jej nie przywiózł i gdzie ona teraz?

Usłyszawszy Czech ten nawał pytań, skłonił się do kolan dziewczyny i rzekł;

– Niechże to nie będzie gniewno waszej miłości, iż na wszystko razem nie odpowiem, bo nie sposób; jeno będę kolejno na jedno po drugim odpowiadał, jeśli przeszkody nie znajdę.

– Dobrze! Znalazła się czy nie?

– Nie, ale wždy jest wiadomość pewna, że była w Szczytnie i że ją pono gdzieś ku wschodnim zamkom wywieźli.

– A my dlaczego mamy siedzieć w Spychowie?

– Ba, a jeśli się odnajdzie?... To jakoś widzi wasza miłość... Bo i prawda, że nie byłoby po co...

Jagienka zamilkła, tylko policzki jej zapłonęły.

Czech zaś rzekł:

– Myślałem i jeszcze myślę, że z tych psubrackich pazurów nie wyrwiemy jej żywej, ale wszystko w boskich rękach. Trzeba mi gadać od początku. Przyjechaliśmy do Szczytna – i dobrze. Rycerz Maćko pokazał podwójciemu pismo Lichtensteina, a podwójci, że to za młodu miecz za Kunonem nosił, pocałował pieczęć w naszych oczach, przyjął nas gościnnie i w niczym nie podejrzewał. Żeby się tak miało co chłopca w pobliżu, można by i zamek wziąć, tak nam dufał... W widzeniu się z księdzem nie było też przeszkód i gadaliśmy przez dwie noce – i dowiedzieliśmy się dziwnych rzeczy, które ksiądz od kata wiedział.

– Kat niemowa.

– Niemowa, ale księdzu umie wszystko na migi powiedzieć, a ów go tak rozumie, jakby żywym słowem do niego gadał. Dziwne to rzeczy i był w tym chyba palec Boży. Ów kat obcinał rękę Jurandowi, wyrwał mu język i wykapywał oczy. On jest taki, że gdy o męża chodzi, przed żadną męką się nie wzdrygnie, a choćby mu człeka kazali zębami rwać – i to uczyni. Ale na żadną dziewczkę nie całkiem żrzała ręki nie podniesie i na to znów żadne męki nie pomogą. A taki ci jest wskrós tej przyczyny, że sam niegdyś miał dziewczkę jedyną, którą okrutnie miłował i którą mu Krzyżacy...

Tu zaciął się Hława i nie wiedział, jak dalej mówić, co widząc, Jagienka rzekła:

– Co mi tam o katówce prawicie!

– Bo to jest do rzeczy – odpowiedział Czech. – Gdy nasz młody pan poćwiartował rycerza Rotgiera, tak stary komtur Zygfryd mało się nie wściekł. W Szczytnie gadali, że Rotgier to był jego syn, i ksiądz to potwierdził, że nigdy ojciec syna więcej nie miłował. I przez pomstę diabłu duszę zaprzedał, co kat widział! Z zabitym tak gadał jako ja z wami, a tamten to mu się z trumny śmiał, to zgrzytał, to się czarnym ozorem oblizywał z radości, że mu stary komtur pana Zbyszkową głowę przyobiecał. Ale że pana Zbyszka nie mógł wówczas dostać, więc tymczasem kazał umęczyć Juranda, a potem język jego i rękę do trumny Rotgierowi włożył, który je na surowo żreć począł...

– Straszno słuchać. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen! – rzekła Jagienka.

I podniósłszy się, dorzuciła szczepek na komin, albowiem wieczór uczynił się już zupełny.

– A jakże! – mówił dalej ława. – Nie wiem, jako to będzie na sądzie ostatecznym, bo jużci co Jurandowe, to musi do Juranda wrócić.



Ale to nie ludzki rozum. Kat tedy wszystko to widział. Więc napchawszy strzygę ludzkim mięsem, poszedł stary komtur Jurandowe dziecko mu przynieść, bo mu tamten widać szepnął, że chciałby krwią niewinną strawę popić... Ale kat, który, jako mówiłem, wszystko uczyni, jeno krzywdy wyrządzonej dziewce przenieść nie może, już przedtem się na schodach zasadził... Mówił ksiądz, że on niespełna rozumu i w rzeczy bydlę, ale to jedno rozumie – i jak trzeba, to w chytrości nikt mu nie wyrówna. Siadł ci tedy na schodach i czekał, aż tu nadchodzi komtur. Usłyszał katowe dychanie, ujrzał świecące ślepia i zląkł się, bo rozumiał, że upiór. A on komtura pięścią w kark! Myślał, że mu śpik przetrąci, tak że i znaku nie będzie, wszelako

nie zabił. Ale komtur omdlał i ze strachu zachorzał, a gdy zaś ozdrowiał, bał się już na Jurandównę porywać.

– Ale ją wywiózł.

– Wywiózł ją, a z nią zabrał i kata. Nie wiedział, że to on

Jurandówny bronił, myślał, że jakowaś siła niepojęta, zła albo dobra. A w Szczytnie wolał kata nie ostawiać. Bał się jego świadectwa czy co... Niemowa ci on jest, ale jeżeliby był sąd, to przez księdza mógł powiedzieć, co wiedział... Więc ksiądz mówił w końcu rycerzowi Maćkowi tak: „Stary Zygfryd nie zgładzi już Jurandówny, bo się boi, a choćby komu innemu kazał, to póki Diederich żyw, nie da jej; tym bardziej że już raz obronił”.

– Wiedział zaś ksiądz, dokąd ją powieźli?

– Dobrze nie wiedział, ale słyszał, że coś tam gadali o Ragnecie, który zamek niedaleko od litewskiej, czyli też żmujdzkiej granicy leży.

– A cóż na to Maćko?

– Rycerz Maćko, wysłuchawszy tego, powiedział mi nazajutrz dzień: „Jeśli tak, to ją może i znajdźmy, a mnie co ducha trzeba do Zbyszka, aby go przez Jurandównę na hak nie przywiedli, tak jak Juranda przywiedli. Niech rzekną mu, że ją oddadzą, byle sam po nią przyjechał, to i przyjedzie, a wówczas dopiero stary Zygfryd pomstę za Rotgiera na nim wyrwie, jakiej oko ludzkie nie widziało”.

– Prawda jest! prawda! – zawołała z niepokojem Jagienka. – Skoro dlatego tak się śpieszył, to i dobrze. Po chwili zaś, zwracając się do Hławy:

– W tym jeno pobłądził, że was tu odesłał. Po co nas tu w Spychowie strzec? Ustrzeże i stary Tolima, a tam Zbyszkowi byście się przydali, boście i mocni, i roztropni.

– A kto was, panienko, w razie czego do Zgorzelic odwiezie?

– W razie czego przyjedziecie tu przed nimi. Mają przez kogo innego nowinę przysłać, to prześlą przez was – i odwieziecie nas do Zgorzelic.

Czech pocałował ją w rękę i zapytał wzruszonym głosem:

– Zaś przez ten czas tu zostaniecie?

– Bóg nad sierotą! Tu ostaniem.

– I nie będzie się wam cniło? Cóż tu będziecie czynić?

– Pana Jezusa prosić, by wrócił Zbyszkowi szczęście, a wszystkich was w zdrowiu uchował.

I to rzekłszy, rozplakała się serdecznie. A giermek pochylił się znów do jej kolan:

– Tacyście właśnie – rzekł – jako anieli w niebiesiech.

## ROZDZIAŁ XIV

Ale ona obtarła łzy i zabrawszy giermka, poszła z nim do Juranda, aby mu nowiny oznajmić. Zastała go w wielkiej świetlicy z oswojoną wilczycą u nóg, siedzącego z księdzem Kalebem, z Sieciechówną i ze starym Tolimą. Miejscowy klecha, który był zarazem rybałtem, śpiewał im przy lutni pieśń o jakimś dawnym boju Jurandowym ze „sprośnymi Krzyżaki”, a oni, podparłszy rękoma głowy, słuchali w zadumie i smutku. W świetlicy widno było od księżycy. Po dniu prawie już znojnym nastął wieczór cichy, ogromnie ciepły. Okna były otwarte i w blasku miesięcznym widać było krążące po izbie chrabąszcze, które roiły się w rosnących na dziedzińcu lipach. Na kominie tliło się jednakże kilka głowni, przy których pacholik przygrzewał miód, pomieszany z winem krzepiącym i pachnącymi ziołami.

Rybałt, a raczej klecha i sługus księdza Kaleba, zaczął właśnie nową pieśń „O szczęśliwym potkaniu”:

*Jadzie Jurand, jadzie, koń pod nim cisowy...*

gdy weszła Jagienka i rzekła:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

– Na wieki wieków – odpowiedział ksiądz Kaleb. Jurand siedział na poręczastej ławie z łokciami opartymi na poręczach, usłyszawszy jednak jej głos, zwrócił się zaraz ku niej i jął witać swą białą jak mleko głową.

– Przyjechał Zbyszkowy giermek ze Szczytna – ozwała się dziewczyna – i nowiny przywiózł od księdza. Maćko już tu nie wróci, bo do kniazia Witolda pociągnął.

– Jak to nie wróci? – zapytał ojciec Kaleb.

Więc ona poczęła opowiadać wszystko, co od Czecha wiedziała, o Zygfrydzie Jak mścił się za śmierć Rotgiera, o Danuście, jak ją stary komtur chciał Rotgierowi zanieść, aby jej niewinną krew wypił, i o tym Jak ją niespodzianie kat obronił. Nie zataiła i tego, że Maćko miał teraz nadzieję, iż we dwóch ze Zbyszkiem Danusiem znajdą, odbiją ją i przywiozą do Spychowa, z której to właśnie przyczyny sam prosto do Zbyszka pojechał, a im tu zostać rozkazał.

I głos zadrżał jej w końcu jakby smutkiem albo żalem, a gdy skończyła, w świetlicy nastąpiła chwila ciszy. Tylko w lipach rosnących na dziedzińcu rozlegały się kląskania słowików, które zdawały się zalewać przez otwarte okna całą izbę. Oczy wszystkich zwróciły się na Juranda, który z zamkniętymi oczyma i przechyloną w tył głową nie dawał najmniejszego znaku życia.

– Słyszycie? – spytał go wreszcie ksiądz Kaleb.

A on przechylił jeszcze bardziej głowę, podniósł lewe ramię i palcem wskazał na niebo.

Blask księżyca padał mu wprost na twarz, na białe włosy, na wykapanie oczy, i było w tej twarzy takie męczeństwo, a zarazem takie jakieś niezmierne zdanie się na wolę Bożą, że wszystkim zdało się, iż widzą tylko duszę z cielesnych pęt wyzwoloną, która rozbratana raz na zawsze z ziemskim życiem niczego już w nim nie czeka i nie wygląda.

Więc znów nastąpiło milczenie i znów słyhać było tylko fale głosów słowicznych zalewających dziedziniec i izbę.

Ale Jagienkę ogarnęła nagle litość ogromna i jakby dziecięca miłość do tego nieszczęsnego starca, za czym idąc za pierwszym popędem, skoczyła ku niemu i chwyciwszy jego dłoń, poczęła ją całować, a zarazem polewać łzami.

– I ja sierota! – zawołała z głębi wezbranego serca – ja nie pacholek żaden, jeno Jagienka ze Zgorzelic. Maćko mnie wziął, by mnie od złych ludzi uchronić, ale teraz ostanę z wami, póki wam Bóg Danusi nie wróci.

Jurand nie okazał nawet zdziwienia, jakby już wiedział poprzednio, że była dziewczyną, tylko przygarnął i przytulił ją do piersi, a ona całując wciąż jego dłoń, mówiła dalej głosem przerywanym i łkającym:

– Ostanę z wami, a Danuśka wróci... To potem do Zgorzelic pojedę... Bóg nad sierotami! Niemcy i mnie tatusia zabiły, ale wasze kochanie żywie i wróci. Dajże to, Boże miłościwy, dajże, Matko Najświętsza, litościwa...

A ksiądz Kaleb ukląkł nagle i ozwał się uroczystym głosem:

– *Kyrie elejson!*

– *Chryste elejson!* – odpowiedział zaraz Czech i Tolima. Wszyscy poklękali, bo zrozumieli, że to jest litania, jaką odmawiano nie tylko w chwili śmierci, lecz i dla wybawienia ze śmiertelnego niebezpieczeństwa osób bliskich i drogich. Klękła Jagienka, Jurand obsunął się z ławy na kolana i chórem poczęto mówić:

– *Kyrie elejson! Chryste elejson!...*

- Ojczy z nieba, Boże – zmiłuj się nad nami!...
- Synu Odkupicielu świata, Boże – zmiłuj się nad nami...

Głosy ludzkie i wołania błagalne: „Zmiłuj się nad nami!...” mieszały się z kląskaniem słowików.

Lecz nagle chowana wilczyca podniosła się z niedźwiedziej skóry leżącej przy ławie Juranda, zbliżyła się do otwartego okna, wspięła się na ramę i zadarłszy ku księżycowi swą trójkątną paszczę, poczęła wyć z cicha i żałości.

Jakkolwiek Czech wielbił Jagienkę, a serce Ignęło mu coraz bardziej do ślicznej Sieciechówny, jednakże młoda a chrobra dusza rwała mu się przede wszystkim do wojny. Wrócił wprawdzie do Spychowa z rozkazu Maćka, gdyż był służbisty, a przy tym znajdował pewną osłodę w myśli, iż będzie obu pannom strażą i opiekunem, lecz gdy sama Jagienka rzekła mu to, co zresztą było prawdą, że im w Spychowie nic nie grozi i że jego powinność przy Zbyszku, z radością na to przystał. Maćko nie był jego bezpośrednim zwierzchnikiem, więc łatwo mógł usprawiedliwić się przed nim, że nie został w Spychowie z rozkazu prawej swojej pani, która kazała mu iść do pana Zbyszka.

Jagienka zaś uczyniła to w myśli, iż giermek tej siły i sprawności zawsze może się przydać Zbyszkowi i z niejednej toni go wybawić. Dał już przecie tego dowody podczas owych łowów książęcych, w których Zbyszko omal życia od tura nie stradał. Tym bardziej mógł być pożyteczny na wojnie, zwłaszcza takiej, jaka toczyła się na żmujdzkiej granicy. Głowaczowi było tak pilno w pole, że gdy razem z Jagienką wrócili od Juranda, podjął ją pod nogi i rzekł:

– To wolę waszej miłości zaraz się pokłonić i o dobre słowo na drogę poprosić...

– Jakże – zapytała Jagienka – dziś jeszcze chcesz jechać?

– Jutro do dnia, by konie przez noc wypoczęły. Okrutnie daleka na Zmujdz wyprawa!

– To i jedź, bo łacniej rycerza Maćka dogonisz.

– Ciężko będzie. Stary pan twardy na wszelakie trudy i o kilka dni mnie wyprzedził. Przy tym pojedzie przez Prusy, by sobie drogę skrócić, ja zaś puszcza mi muszę. Pan ma listy od Lichtensteina, które po drodze może pokazywać, ja zaś musiałbym pokazywać chyba ot co! – i tym sobie wolny przejazd czynić.

To rzekłszy, położył rękę na głównej kordzie, który miał przy boku, co widząc, Jagienka zawołała:

– A ostrożnie! Skoro jedziesz, to trzeba, byś dojechał, a nie w jakowymś podziemiu krzyżackim ostał. Ale i w puszczech dawaj na się baczenie, bo tam teraz różne złe bożki mieszkają, które tamtejszy naród czcił, nim do krześcijaństwa nie przystał. Pamiętam, jako to i rycerz Maćko, i Zbyszko opowiadali w Zgorzelicach.

– Pamiętam, ale jakoś nie boję się, bo chudziny to, nie bożeczki, i siły nijakiej nie mają. Dam ja sobie z nimi rady i z Niemcami, których napotkam też, byle wojna chciała dobrze rozgorzeć.

– A to nie rozgorzała? Powiadaj, coście o niej między Niemcami słyszeli.

Na to roztropny pacholek namarszczył brew, zastanowił się przez chwilę, po czym rzekł:

– I rozgorzała, i nie rozgorzała. Pilnie my o wszystko dopytywali, a szczególnie rycerz Maćko, którego jest chytry i objechać każdego Niemca umie. Niby to o co innego pyta, niby życzliwość udaje, z niczym się sam nie wyda, a w sedno utrafi i z każdego nowinę jakoby rybę hakiem wyciągnie. Zechce-li wasza miłość cierpliwie słuchać, to powiem. Książ Witold lat temu kilka, mając zamysły przeciw Tatarom i chcąc od niemieckiej ściany spokoju, ustąpił Niemcom Żmujdz. Była wielka przyjaźń i zgoda. Zamki im wznosić pozwolił, ba, sam pomagał. Zjeżdżali się też z mistrzem na jednej wyspie, pili, jedli i świadczyli sobie miłość. Łowy nawet w tamecznych puszczech nie były Krzyżakom wzbronione, a jak niebożęta Żmujdzini podnosili się przeciw zakonnemu panowaniu, to książ Witold Niemcom pomagał i wojska im swoje w pomoc wysyłał, o co szemrano nawet na całej Litwie, że na własną krew nastaje. Wszystko to nam podwójci w Szczytnie rozpowiadał i chwalił krzyżackie rządy na Żmujdzi, że posyłali Żmujdzinom księży, którzy ich mieli chrzczyć, i zboże w czasie głodu. Jakoż podobno posyła-li, bo wielki mistrz, którego więcej od innych ma bojaźni boskiej, kazał, ale za to zabierali im dzieci do Prus, a niewiasty sromocili w oczach mężów i braci, kto się zaś przeciwiał, to go wieszali – i stąd, panienko, jest wojna.

– A książ Witold?

– Książ długo na żmujdzkie krzywdy oczy zamykał i Krzyżaków kochał. Niedawne czasy, jak księżna, jego żona, jeździła do Prus, do samego Malborka w odwiedziny. To tam ją przyjmowali jakoby samą królową polską. A toż niedawno, niedawno! Obsypywali ci ją darami, a co było turniejów, uczt i różnych wszelakich dziwów w każdym mieście, tego by nikt nie zliczył. Myśleli ludzie, że to już na wieki miłość

między Krzyżaki a księciem Witoldem nastanie, aż tu niespodzianie odmieniło się w nim serce...

– Miarkując z tego, co nieraz i nieboszczyk tatuś, i Maćko gadali, to często się w nim serce odmienia.

– Przeciw cnotliwym nie, ale przeciw Krzyżakom często, skroś tej przyczyny, że oni sami w niczym wiary nie dotrzymują. Chcieli teraz od niego, by im zbiegów wydał, a on im powiedział, że ludzi podłego stanu wyda, a zaś wolnego nie myśli, gdyż ci, jako wolni, mają prawo żyć, gdzie chcą. Dopieroż się na siebie kwasić a listy ze skargami pisać, a wzajem się odgrażać. Zastyszawszy o tym, Żmujdzini nuż w Niemców! Załogi wycięli, zameczki poburzyli, a teraz ci i do samych Prus wpadają, zaś kniaź Witold nie tylko już ich nie hamuje, ale jeszcze się z frasunku niemieckiego śmieje i żmujdzinom pomoc po cichu posyła.

– Rozumiem – rzekła Jagienka. – Ale jeśli po cichu ich wspomaga, to jeszcze wojny nie ma.

– Jest ze Żmujdzinami, a i z Witoldem w rzeczy już jest. Idą ze wsząd Niemce bronić pogranicznych zamków, a radzi by i wielką wyprawę na Żmujdz uczynić, jeno z tym długo muszą czekać, aż do zimy, bo to jest kraj rozmokły i rycerzom nijak w nim wojować. Gdzie Żmujdzin przejdzie, tam Niemiec ulgnie, przeto zima Niemcom przyjaściółka. Ale z nastaniem mrozów ruszy się cała potęga krzyżacka, a zaś kniaź Witold pójdzie w pomoc Żmujdzinom – i pójdzie z pozwolenstwem króla polskiego, boć to przecie zwierzchni pan i nad wielkim kniazem, i nad całą Litwą.

– To może i z królem będzie wojna?

– Mówią ludzie i tam u Niemców, i tu u nas, że będzie. Żebrzą już pono Krzyżacy pomocy po wszystkich dworach i kaptury im na łbach górą jako zwyczajnie na złodziejach, boć to przecie potęga królewska nie żart, a ponoć rycerstwo polskie, byle kto Krzyżaka wspomniał, zaraz w garście popluwa.

Westchnęła na to Jagienka i rzekła:

– Zawszeć to chłopu weselej na świecie niż dziewczce, bo na ten przykład ty sobie pojedziesz na wojnę, równie jak pojechali Zbyszko i Maćko, a my tu ostaniem w Spychowie.

– Jakoż inaczej, panienko, ma być? Ostaniecie, ale we wszelkiej przepieczności. Straszne jeszcze i teraz Niemcom Jurandowe imię, com sam widział w Szczytnie, że gdy się dowiedzieli, iż jest w Spychowie, zaraz strach ich zdjął.

– To wiemy, że tu nie przyjdą, bo i bagno broni, i stary Tolima, jeno ciężko tu będzie siedzieć bez wieści.

– Jak się co przygodzi, dam znać. Wiem, że jeszcze przed naszym wyjazdem do Szczytna wybierało się stąd na wojnę z własnej woli dwóch dobrych pacholków, którym Tolima wzbronić tego nie może, bo są ślachtą z Łękawicy. Teraz pojedą razem ze mną i w razie czego zaraz którego tu pchnę z nowiną.

– Bóg zapłać. Wiedziałałam zawsze, iż rozum masz w każdej przygodzie, ale za twoje serce i za chętność ku mnie to już ci do śmierci będę wdzięczna.

Na to Czech przykląkł na jedno kolano i rzekł:

– Nie krzywdź ja, jeno dobrodziejstw u was zaznałem. Wziął ci mnie chłopięciem w jeństwo rycerz Zych pod Bolesławiem. i bez okupu wolnością obdarował, aleć mi milsza już była służba u was od wolności. Dajże mi, Boże, dla was krew rozlać, panienko moja!

– Boże cię prowadź i przyprowadź – odpowiedziała Jagienka, wyciągając ku niemu rękę.

Lecz on wolał pochylić się do jej nóg i całować stopy, aby jej cześć oddać tym większą, a potem podniósł głowę i nie wstając z klęczek, począł mówić nieśmiało i pokornie:

– Prosty ja pacholek, alem szlachcic i sługa wasz wiemy... dajcieże mi jakowy wspominek na drogę. Nie odmawiajcie mi tego! Jużci nadchodzi czas kośby wojennej, a święty Jerzy mi świadkiem, że tam w poprzódku, nie zaś w ociagu się znajdę.

– O jakież wspominek mnie prosisz? – zapytała nieco zdziwiona Jagienka.

– Przepaszcie mnie byle tam krajką na drogę, by jeśli polec mi przyjdzie, lżej mi było pod waszą przewiązką umierać.

I znów pochylił się do jej stóp, a potem ręce złożył i tak błagał ją, patrząc w jej oczy, ale na twarzy Jagienki odbił się ciężki frasunek – i po chwili odrzekła jakby z wybuchem mimowolnej goryczy:

– A mój miły! nie prośże mnie o to, bo ci nic z mojej przewiązki nie przyjdzie. Kto sam szczęśliwy, ten niech cię przepasze, bo ten ci szczęście przyniesie. A we mnie po prawdzie co jest? – Nic, jeno smutek! A zaś przede mną – nic, jeno niedola! Oj! nie napytam ja szczęścia ni tobie, ni komu, bo czego nie mam, tego i dać nie zdolę. Tak ci mi, Hlawo, źle teraz na świecie, że, że...

Tu umilkła nagle, czując, że jeśli słowo jeszcze powie, to płaczem wybuchnie, a i tak zaszyły jej jakby chmurą oczy. Czech zaś wzruszył



się ogromnie, albowiem zrozumiał, że i wracać jej było źle do Zgorzelic w pobliże drapieżnych komyszy: Cztana i Wilka, i równie źle zostawać w Spychowie, dokąd prędzej lub później zjechać mógł Zbyszko z Danusią. Zdawał sobie Hława doskonale sprawę ze wszystkiego, co dzieje się w sercu dziewczyny, że zaś nie widział żadnej rady na jej nieszczęście, więc tylko znów objął jej stopy, powtarzając:

– Hej! polec dla was! polec! A ona rzekła:

– Wstań. A na wojnę niech cię Sieciechówna przepasze albo ci jaki inny da wspominek, gdyż rada cię ona widzi od dawna.

I poczęła ją wołać, ta zaś wyszła niebawem z przyległej izby, albowiem podsłuchując poprzednio pode drzwiami, nie pokazywała się tylko przez nieśmiałość, chociaż kipiała w niej chęć pożegnania się z pięknym giermkim. Wyszła tedy zmieszana, spłoszona, z bijącym sercem, z oczyma świecącymi zarazem od łez i od senności, i spuściwszy powieki, stała tak przed nim podobna do kwiatu jabłoni, nie mogąc ni słowa przemówić.

Hława miał dla Jagienki obok najgłębszego przywiązania cześć i nabożeństwo, ale nie śmiał ani myślą posięgnąć na nią, posięgał zaś często na Sieciechównę, czując bowiem wartką krew w żyłach, nie mógł obronić się przed jej urokiem. Teraz chwyciła go tym bardziej za serce swą urodą, a zwłaszcza swym zmieszaniem i łzami, przez które przeglądało kochanie, jak przez jasną wodę strumienia przegląda złote dno.

Więc zwrócił się ku niej i rzekł:

– Wiecie! Na wojnę jadę, może i legnę. Nie żal wam mnie?

– Żal ci mi! – odpowiedziała cienkim głosikiem dziewczyna.

I zaraz poczęła sypać łzami, gdyż zawsze miała je na pogotowiu. Czech wzruszył się do ostatka i jął całować jej ręce, tłumiąc w sobie wobec Jagienki ochotę do poufalszych jeszcze pocałunków.

– Przepasz go alibo daj mu wspominek na drogę, aby się pod twoim znakiem potykał – rzekła Jagienka.

Lecz Sieciechównie niełatwo było mu coś dać, gdyż miała na sobie męski ubiór wyrostka. Poczęła szukać: ni wstążki, ni jakiegokolwiek przewiązki! Że zaś niewieście ubrania były jeszcze w łubach, nie ruszone od czasu wyjazdu ze Zgorzelic, wpadła przeto w kłopot niemały, z którego znów wyratowała ją Jagienka, radząc, by mu oddała pątliczek, który nosiła na głowie.

– Boga mi! niech będzie pątliczek! – zawołał nieco rozweselony Hlawa. – Powieszę go na hełmie – i nieszczęsna mać tego Niemca, kóren po niego sięgnie!

Więc Sieciechówna podniosła obie ręce do głowy i po chwili jasne promienie włosów rozsypały się jej po plecach i po ramionach. Hlawa zaś, widząc ją taką przetowłosą i cudną, aż zmienił się na twarzy. Policzki zapłonęły mu, a potem zaraz pobladły; wziął pątlík, ucałował go, schował w zanadrze, raz jeszcze objął kolana Jagienki, a następnie mocniej, niż było trzeba, Sieciechówny i po słowach: „Niechże tak będzie!” – wyszedł, nie mówiąc nic więcej, z izby.

A chociaż był zdrożon i niewypoczęty, nie położył się spać. Pił na umór przez całą noc z dwoma młodymi szlachcicami z Łekawicy, którzy mieli z nim jechać na Żmujdź. Nie upił się jednak – i o pierwszym brzasku był już na dziedzińcu w fortalicji, gdzie czekały gotowe do drogi konie.

W ścianie nad wozownią rozchyliło się zaraz błoniaste okno i przez szparutkę wyjrzały na dziedziniec modre oczy. Czech, który je dostrzegł, chciał iść ku nim, by pokazać pątlík przypięty na hełmie i pożegnać się raz jeszcze, ale przeszkodził mu w tym ksiądz Kaleb i stary Tolima, którzy zesłi umyślnie, aby mu udzielić rad na drogę.

– Jedź na dwór księcia Januszowy – rzekł ksiądz Kaleb. – Może i rycerz Maćko tam wstąpił. W każdym jednak razie wieści pewnych zasięgniesz, boć tam znajomków ci nie brak. Drogi też stamtąd na Litwę znajome i o przewodnika przez puszcę łatwo. Chcesz-li na pewno do pana Zbyszka dojechać, to wprost na Żmujdź nie jedź, bo tam jest przegroda pruska, jeno jedź przez Litwę. Bacz, że i Żmujdzini mogą cię zabić, nim zakrzykniesz, ktoś jest, a inna sprawa będzie, jeśli od strony kniazia Witolda przyjedziesz. Zresztą Boże błogosław tobie i obudwom tamtym rycerzom, obyście w zdrowiu wrócili i dziecko przywieźli, na którą to intencję będę każdego dnia po nieszporach aż do pierwszej gwiazdy krzyżem leżał.

– Dziękuję wam, ojczy, za błogosławieństwo – odrzekł Hlawa. – Nielatwo to ochwiarę z tamtych diabelskich rąk żywą wydobyć, ale przecie wszystko w ręku Pana Jezusowych i lepsza nadzieja niż smutek.

– Jużci lepsza, przeto jej nie tracę. Tak... żywie nadzieja, chociaż serce i trwogi niepróżne... Najgorzej, że sam Jurand, byle jej imię wspomnieć, zaraz ku niebiosom palce prostuje, jakby ją tam już widział.

– Jakoże ją może widzieć, oczu stradawszy? A ksiądz począł mówić na wpół do Czecha, na wpół do siebie:

– Bywa tak, że gdy komu ziemskie oczy zagasną, ten właśnie widzi to, czego inni dojrzeć nie potrafią. Bywa tak, bywa! Ale i to się rzecz niepodobna widzi, by Bóg dopuścił krzywdy takiego jagniątka. Bo i cóż ona choćby Krzyżakom przewiniła? Nic! A niewinne to ci było jak lelija Boża, a miłe ku ludziom, a jako ta ptaszyna polna śpiewające! Bóg dzieci miłuje i nad męką ludzką ma litość... Ba! jeśli ją zabili, to ją może i wskrzesi jako Piotrowina, któren wstawszy z grobu, długie potem roki gospodarzył... Jedź w zdrowiu i niech ręka boska was wszystkich i ją piastuje!

To rzekłszy, wrócił do kaplicy, by mszę ranną odprawić, a Czech siadł na koń, skłonił się raz jeszcze przed przytwartym błoniastym oknem – i pojechał, bo już też rozedniało zupełnie.

## ROZDZIAŁ XV

Książę Janusz i księżna wyjechali razem z częścią dworu na wiosenny potów ryb do Czerska, gdyż lubili niezmiernie to widowisko i mieli je sobie za najprzedniejszą zabawę. Dowiedział się jednak Czech od Mikołaja z Długolasu wielu rzeczy ważnych, dotyczących się zarówno spraw prywatnych, jak i wojny. Dowiedział się więc naprzód, że rycerz Maćko widocznie poniechał zamiaru jechania na Żmudź prosto przez „pruską przegrodę”, gdyż przed kilku dniami był w Warszawie, gdzie zastał jeszcze obojga księstwa. O wojnie potwierdził stary Mikołaj te wszystkie wieści, które Hława słyszał w Szczytnie. Cała Żmudź podniosła się przeciw Niemcom jak jeden mąż, a książę Witold nie tylko że już Zakonowi przeciw nieszczęsny Żmujdzinom nie pomagał, ale nie wypowiadając jeszcze mu wojny i ludząc go układami, zasilął wszelako Żmujdz pieniądze, ludźmi, końmi, zbożem. Tymczasem tak on, jak Krzyżacy ślali postów do papieża, do cesarza i do innych panów chrześcijańskich, zarzucając sobie wzajem wiarołomstwo, niewierność i zdradę. Ze strony wielkiego księcia pojechał z tymi listami mądry Mikołaj ze Rżniewa, który umiał rozplątywać nici namotane przez przebiegłość krzyżacką, dowodnie wykazując niezmiernie krzywdy krain litewskich i żmujdzkich. Tymczasem, gdy na sejmie wileńskim wzmocniły się jeszcze związki między Litwą a Polską, potruchały serca krzyżackie, łatwo było bowiem przewidzieć, że Jagiełło, jako zwierzchni pan wszystkich ziem będących pod władzą księcia Witolda, stanie w razie wojny po jego stronie. Hrabia Jan Sayn, komtur gruziędzki, i hrabia Schwartzburg, gdański, wyjechali z rozkazu mistrza do króla z zapytaniem, czego się mają od niego spodziewać. Nic im król nie rzekł, chociaż mu dary przywieźli: ściągłe krzeczoty i drogie naczynia. Więc zagrozili wojną, ale nieszczerze, gdyż dobrze wiedzieli, że mistrz i kapituła boją się w duszach strasznej Jagiełłowej potęgi i pragną odwlec dzień gniewu i klęski.

I rwały się jak nić pajęczą wszelkie układy, a rwały się zwłaszcza z Witoldem. Wieczorem po przyjeździe Hiawy przysły znów na warszawski zamek świeże nowiny. Przyjechał Bronisz z Ciasnoci, dworzannin księcia Janusza, którego on wysłał był poprzednio po wieści na Li-

twę, a z nim dwóch znacznych litewskich kniaziów z listami od Witolda i od Żmujdzinów. Nowiny były groźne. Zakon gotował się do wojny. Wzmacniano zamki, mielono prochy, krzesano kule kamienne, ściągano ku pograniczu knechtów i rycerstwo, a lżejsze oddziały jazdy i piechoty wpadały już w granice Litwy i Żmujdzi od strony Ragnety, od Gotteswerder i innych zamków brzegowych. Już po gęstwach leśnych, już w polach, już po wsiach rozlegały się okrzyki wojenne, a wieczorami ponad ciemnym morzem lasów świeciły łuny pożaru. Witold przyjął wreszcie Żmujdź w jawną opiekę, wysłał swych rządców, a wodzem zbrojnemu ludowi ustanowił słynnego z męstwa Skirwoiłę. Ów wpadał do Prus, palił, niszczył, pustoszył. Sam księżę przymknął wojsko ku Żmujdzi, niektóre zamki opatrzył, inne, jak na przykład Kowno, zniszczył, aby nie stały się oparciem Krzyżakom, i nie było już tajno nikomu, że gdy nadejdzie zima, a mróz popęta mokradła i błota, albo nawet wcześniej, jeśli lato będzie suche, pocznie się wojna wielka, która ogarnie wszystkie litewskie, żmujdzkie i pruskie krainy, gdyby zaś król w pomoc Witoldowi przybieżał, tedy musi nastąpić dzień, w którym fala niemiecka albo drugie pół świata zaleje, albolii też, odbita, cofnie się na długie wieki w dawniej zajęte łożysko.

Lecz to nie zaraz jeszcze miało nastąpić. Tymczasem po świecie rozlegał się jęk i wołanie o sprawiedliwość. Czytano list nieszczęsnego narodu w Krakowie i w Pradze, i na dworze papieskim, i w innych królestwach zachodnich. Do księcia Janusza przywieźli to otwarte pismo owi bojarzynkowie, którzy z Broniszem z Ciasnoci przybyli. Niejeden więc z Mazurów mimo woli macał korda przy boku i rozważał w duszy, czyby z własnej ochoty pod znak Witoldowy się nie zaciągnąć. Wiedzano, że rad był wielki kniaź hartownej lechickiej szlachcie, równie zażartej w boju jak litewscy i żmujdzcy bojarzynowie, a więcej ćwiczonej i lepiej zbrojnej. Niektórych popychała też i nienawiść do starych wrogów lechickiego plemienia, a innych litość. „Słuchajcie, słuchajcie! – wołali do królów, książąt i wszystkich narodów Żmujdzeni. – Wolnym ci my byli i szlachetnej krwi ludem, a Zakon chce nas w niewolników przemienić! Nie dusz on naszych szuka, lecz ziemi i dostatków. Już nędza nasza taka, że nam chyba żebrać lub rozbijać! Jako że im wodą chrztu nas obmywać, gdy sami nie mają rąk czystych! My chcemy chrztu, ale nie krwią i mieczem. i chcemy wiary, ale jeno takiej, jakiej zacni monarchowie, Jagiełło i Witold, nauczają. Słuchajcie i ratujcie nas, bo giniemy! Nie chce nas Zakon chrzcić, by nas uciemieżał łatwiej; nie księży, lecz zasie katów nam posyła. Już ule nasze, już

stada, już wszystkie płody ziemi nam zabrali; już nam ni ryby łowić, ni zwierza bić w puszczech nie wolno! Błagamy! słuchajcie, bo oto zgięli nam wolne drzewiej karki do robót nocnych przy zamkach, dzieci nam jako zakładników uwieźli, a żony i córki w oczach mężów i ojców bezczeszcza. Nam słusniej należałoby jęczeć niż mówić! Rodziny nasze ogniem popalili, panów do Prus uwieźli, wielkich ludzi:

Korkucia, Wassygina, Swolka i Sagajłę, potracili – i jako wilcy krew naszą żłopia. O, słuchajcie! Przecież my ludzie, nie zwierzęta, przeto wołamy do Ojca Świętego, by nas przez polskich biskupów chrzcić kazał, gdyż całą duszą chrztu pragniemy, ale chrztu wodą łaski, nie żywą krwią zniszczenia”.

Tak i tym podobnie skarżyli się Żmujdzini. więc gdy ich skargi i na mazowieckim dworze usłyszano, zaraz kilku rycerzy i dworzan postanowiło iść im w pomoc, rozumiejąc, że księcia Janusza nawet i pytać o pozwolenie nie trzeba, choćby z tego powodu, że księżna jest rodzoną siostrą Witolda. Zawrzały też powszechnym gniewem serca, gdy dowiedziano się od Bronisza i bojarzyneków, że wielu szlacheckich młodzianków żmujdzkich będących zakładnikami w Prusiech, nie mogąc znieść pohańbienia i okrucieństw, jakich dopuszczali się nad nimi Krzyżacy, poodbierało sobie życie.

Hława cieszył się zaś z tej ochoty mazowieckiego rycerstwa, myślał bowiem, że im więcej ludzi z Polski pociągnie do księcia Witolda, tym wojna rozgorzeje większa i tym pewniej można będzie czegoś przeciw Krzyżakom dokazać. Cieszyło go także i to, że zobaczy Zbyszka, do którego się przywiązał, i starego rycerza Maćka, o którym mniemał, że godzien widzenia przy robocie, a razem z nim nowe dzikie kraje, nieznane miasta, nie widziane dotychczas rycerstwo i wojska, wreszcie samego księcia Witolda, którego sława szeroko wówczas rozbrzmiewała po świecie.

I w tej myśli postanowił jechać „wielkimi i pilnymi drogami”, nie zatrzymując się nigdzie dłużej, niż było dla wypoczynku koniom potrzeba. Owi bojarzynkowie, którzy z Broniszem z Ciasnoci przybyli, i inni Litwini znajdujący się na dworcu księżny, świadomi dróg i przejść wszelkich, mieli prowadzić jego i ochotniczych rycerzy mazowieckich od osady do osady, od grodu do grodu i przez głuche, niezmierne puszcze, którymi większa część Mazowsza i Litwy, i Żmujdzi była pokryta.

## ROZDZIAŁ XVI

W lasach o milę na wschód za Kownem, które sam Witold zniszczył, stały główne siły Skirwoiły, przerzucając się w razie potrzeby błyskawicą z miejsca na miejsce, czyniąc szybkie wyprawy bądź to w granice pruskie, bądź na zamki i zameczki będące jeszcze w rękę krzyżackim i podsycając płomień wojny w całej kramie. Tam to znalazł wiemy giermek Zbyszka, a przy nim i Maćka, który był dopiero przed dwoma dniami przyjechał. Po przywitaniu się ze Zbyszkiem przespał Czech całą noc jak zabity i dopiero na drugi dzień wieczorem poszedł powitać starego rycerza, który będąc strudzon i zły, przyjął go gniewliwie, pytając, dlaczego wedle rozkazu w Spychowie nie został – i udobruchał się nieco dopiero wówczas, gdy ów, znalazłszy sposobną chwilę, w której Zbyszka nie było w namiocie, usprawiedliwił się przed nim wyraźnym rozkazem Jagienki.

Powiedział też, że prócz rozkazu i prócz przyrodzonej ochoty do wojny przywiodła go także w tę stronę chęć, by w razie czego pchnąć zaraz gońca z wiadomością do Spychowa. „Panienka – mówił – która ma duszę jak anioł, sama przeciw własnemu dobru modli się za Jurandównę. Ale wszystkiemu musi być koniec. Jeśli Jurandówna nie żyje, to niech Bóg da jej światłość wiekiustą, boć była jako jagnię niewinne, ale jeśli się odnajdzie, to trzeba panienkę jako najprędzej zawiadomić, aby wraz jechała precz ze Spychowa, nie zaś dopiero po powrocie Jurandówny, jakoby wypędzona, ze sromotą a wstydem”.

Maćko słuchał tego z niechęcią, powtarzając od czasu do czasu: „Nic ci do tego”. Ale Hlawa, postanowiwszy mówić otwarcie, wcale się tym nie tropił i w końcu rzekł:

– Lepiej było pannie w Zgorzelicach ostawać i na nic była ta podróż. Wmawialiśmy w niebogę, że Jurandówna już nie żywie, a może się pokazać inaczej.

– A kto opowiadał, że nie żywie, jeżeli nie ty? – zapytał z gniewem Maćko. – Trzeba było trzymać język za zębami. Ja zaś zabrałem ją, bo się bała Cztana i Wilka.

– Pozór to tylko był – odpowiedział giermek. – Mogła siedzieć w Zgorzelicach bezpiecznie, bo oni by tam sobie wzajem przeszkadzali.

Ale baliście się, panie, żeby w razie śmierci Jurandówny nie ominęła pana Zbyszka i panienka, i dlategoście ją zabrali.

– Cóż tak zhardział? Zaliś to już rycerz pasowany, nie sługa?

– Sługam ci jest, ale sługa panny, przeto dbam, aby jej hańba nie spotkała.

A Maćko zamyślił się posepnie, gdyż nie był z siebie rad. Nieraz on już sobie wyrzucał, że zabrał Jagienkę ze Zgorzelic, czuł bowiem, że w każdym razie w takim podwożeniu Jagienki Zbyszkowi była jakowaś dla niej ujma, a na wypadek, gdyby Danusia się odnalazła – więcej niż ujma. Czuł również, że w hardych słowach Czecha tkwi prawda, bo choć Jagienkę zabrał dlatego, by ją do opata odwieźć, mógł jednak, dowiedziawszy się o jego śmierci, w Płocku ją zostawić, a tymczasem on ją aż do Spychowa przywiózł, by w razie czego blisko przy Zbyszku była.

– Dyc mnie to do łba nie przyszło – rzekł jednak, chcąc siebie i Czecha stumanić – jeno sama się jechać naparła.

– Juźci się naparła, bośmy w nią wmówili, że tamtej nie ma na świecie, a że braciom bezpieczniej było bez niej niż z nią – więc i pojechała.

– Tyś wmówił! – zakrzyknął Maćko.

– Ja – i moja wina. Ale teraz musi się pokazać, jako jest. Trzeba, panie, co wskórać. Inaczej – lepiej poginiemy.

– Co tu wskórasz – rzekł z niecierpliwością Maćko – z takim wojskiem, w takiej wojnie!... Będzie-li co lepszego, to dopiero w lipcu, bo dla Niemców dwie są pory wojenne: zimą i suchym latem, a teraz to się jeno tli, nie pali. Książ Witold podobno do Krakowa pojechał królowi się opowiedzieć i pozwolenstwo a pomoc jego sobie zjednać.

– Są przecie w pobliżu zamki krzyżackie. Gdyby choć ze dwa zdobyć, znaleźlibyśmy może Jurandównę albo wiadomość ojej śmierci.

– Albo i nic.

– W tę stronę ją przecie Zygfryd wywiózł. Powiadali to nam i w Szczytnie, i wszędy, i samiśmy tak myśleli.

– A widziałeś to wojsko? Wyjdźże za namiot i spójrz. Niektórzy pałki jeno mają, a niektórzy miedziane miecze po pradziadach.

– Ba! Jako słyszałem, chłopcy do bitki dobre!

– Ale nie im z gołymi brzuchami zamków dobywać, zwłaszcza krzyżackich.

Dalszą rozmowę przerwało im przybycie Zbyszka i Skirwoiłły, który był wodzem Żmujdzinów. Był to mąż małego wzrostu, ale krzepki w



sobie i barczysty. Pierś posiadał tak wypukłą, że prawie wyglądała na garb, i niezmiernie długie, sięgające prawie do kolan ręce. W ogóle przypominał Zyndrama z Maszkowic, słynnego rycerza, którego Maćko i Zbyszko poznali swego czasu w Krakowie, miał bowiem równie ogromną głowę i takie same pałakowate nogi. Mówiono o nim także, że dobrze rozumiał się na wojnie. Wiek życia zbiegł mu w polu przeciw Tatarom, z którymi długie lata walczył na Rusi, i przeciw Niemcom, których nienawidził jak zarazy. W tych wojnach nauczył się po rusińsku, a potem na dworze Witoldowym nieco po polsku; po niemiecku umiał, a przynajmniej powtarzał tylko trzy wyrazy:

ogień, krew i śmierć. W swojej ogromnej głowie miał zawsze pełno pomysłów i podstępów wojennych, których Krzyżacy nie umieli ani przewidzieć, ani im zapobiegać – dlatego bano się go w pogranicznych komturiach.

– Mówiliśmy o wyprawie – rzekł z niezwykłym ożywieniem do Maćka Zbyszko – i dlategośmy tu przyszli, byście też swoje doświadczone zdanie rzekli.

Maćko usadził Skirwoiłę na sosnowym pniaku pokrytym niedźwiedzią skórą, następnie kazał przynieść czeladzi stągiewkę miodu, z której poczęli czerpać rycerze blaszankami i pić, gdy zaś pokrzepili się godnie, dopiero Maćko zapytał:

– Chcecie wyprawę uczynić albo co?

– Zamki Niemcom okurzyć...

– Któren?

– Ragnetę albo Nowe Kowno.

– Ragnetę – rzekł Zbyszko. – Cztery dni temu byliśmy pod Nowym Kownem i pobili nas.

– To właśnie – rzekł Skirwoiło.

– Jakże to?

– Dobrze.

– Poczekajcie – rzekł Maćko – bo ja tutejszej krainy nie znam. Gdzie jest Nowe Kowno, a gdzie Ragneta?

– Stąd do Starego Kowna niespełna mila – odpowiedział Zbyszko – a od Starego do Nowego też mila. Zamek jest na wyspie. Onegdaj chcieliśmy się przeprawić, ale pobili nas u przeprawy. Ścigali ci nas pół dnia, aż utailiśmy się w tych lasach, a wojsko tak się rozproszyło, że niektórzy dopiero dziś nad ranem się znaleźli.

– A Ragneta?

Skirwoiło wyciągnął swe długie jak gałąź ramię na północ i rzekł:

– Daleko! daleko...

– Właśnie dlatego, że daleko! – odparł Zbyszko. – Spokój tam wokoło, bo co było zbrojnych ludzi z tej strony granicy, to ściągnęło ku nam. Nie spodziewają się tam teraz Niemcy żadnej napaści, więc na ubezpieczonych uderzym.

– Słusznie prawi – rzekł Skirwoiło. Maćko zaś spytał:

– Zali myślicie, że będzie można i zamku dobyć?

Na to Skirwoiło potrząsnął głową na znak przeczenia, a Zbyszko odpowiedział:

– Zamek mocny, więc chyba by wypadkiem. Ale krainę spustoszym, wsie i miasta popalim, spyżę poniszczym, a co nade wszystko jeńców nabierzemy, między którymi mogą być ludzie znaczni, a takich chętnie Krzyżacy wykupują albowiem też wymieniają...

Tu zwrócił się do Skirwoiły:

– Samiście, kniaziu, przyznali, że słusznie prawię, a teraz rozważcie jeno: Nowe Kowno na wyspie. Ni tam wsi nie poburzym, ni stad nie zagarniem, ni jeńców nie nabierzem. I przecie dopiero co nas tam pobili. Ej! pójdźmy lepiej tam, gdzie się nas teraz nie spodziewają.

– Kto pobije, ten się napaści najmniej spodziewa – mruknął Skirwoiło.

Lecz tu zabrał głos Maćko – i począł popierać zdanie Zbyszkowe, zrozumiał bowiem, że młodzianek ma większą nadzieję dowiedzieć się czegoś pod Ragneta niż pod Nowym Kownem – i że pod Ragneta łatwiej będzie przede wszystkim schwytać jakiego znacznego jeńca, który by mógł posłużyć na wymianę. Mniemał także, że w każdym razie lepiej jest iść dalej i wychynąć niespodzianie w kraj mniej strzeżony niż porywać się na wyspę od przyrodzenia obronną, a strzeżoną prócz tego przez silny zamek i zwycięską załogę.

Jako zaś człek doświadczony w wojnie, mówił jasno i przytaczał tak walne powody, że każdego mógł przekonać. Tamci słuchali go też uważnie. Skirwoiło poruszał kiedy niekiedy wzniesionymi brwiami jakby na znak przytakiwania, chwilami pomrukiwał: „Słusznie prawi!” – wreszcie wsunął swą ogromną głowę między szerokie ramiona, tak że wyglądał całkiem jak garbaty, i zamyślił się głęboko.

Lecz po pewnym czasie wstał – i nic nie mówiąc, począł się żegnąć.

– A jakoże, kniaziu, będzie? – spytał go Maćko – dokąd ruszmy?

Ów zaś rzekł krótko:

– Pod Nowe Kowno.

I wyszedł z namiotu.

Maćko i Czech spoglądali czas jakiś ze zdziwieniem na Zbyszka, po czym stary rycerz uderzył się dłońmi po udach i zawołał:

– Tfu! cóż to za pień!... To niby słucha, słucha, a potem swoje. Żal gęby drzeć!...

– Słyszałem ci ja o nim, że taki jest – odrzekł Zbyszko – a po prawdzie, to i cały tu naród uporczywy jako mało który. Cudzego zdania wysłucha, a potem jakoby kto na wiatr dmuchał.

– To czego pyta?

– Bośmy pasowani rycerze i dlatego żeby każdą rzecz na dwie strony rozważyć. Ale głupi on nie jest.

– Pod Nowym Kownem też może najmniej się nas spodziewają – zauważył Czech – właśnie dlatego, że dopiero co was pobili. W tym miał ci on słusność.

– Pójdźmy obaczyć tych ludzi, którym ja przywodzę – rzekł Zbyszko, któremu duszno było w namiocie – trzeba im zapowiedzieć, aby zaś byli gotowi.

I wyszli. Na dworze noc już zapadła zupełna, chmurna i ciemna, rozświecona tylko przez ogniska, przy których siedzieli Żmujdzini.

## ROZDZIAŁ XVII

Dla Maćka i dla Zbyszka, którzy służąc poprzednio u Witolda, natrzyli się do syta litewskim i żmudzkim wojownikom, widok obozowiska nie przedstawiał nic nowego; ale Czech patrzył na nich z ciekawością, rozważając sobie zarazem w umyśle, czego od takich ludzi można w bitwie oczekiwać, i porównywając ich z polskim i z niemieckim rycerstwem. Obóz stał w nizinie otoczonej borem i bagnami, zatem ubezpieczon zupełnie od napadu, albowiem żadne inne wojsko nie zdołałoby przebrnąć przez owe zdradliwe mokradła. Sama nizina, na której stały szałas, była także grząska i błotnista, lecz oni, nakrzesawszy jodłowych i sosnowych gałęzi, przyrzucili ją nimi tak grubo, że spoczywali jakby na najsuchszym miejscu. Kniaziowi Skirwoille sklecono naprędce coś w rodzaju „numy”, czyli chaty litewskiej z ziemi i drewnianych nie ociosanych bierwion, dla znaczniejszych ludzi uwito z gałęzi kilkadziesiąt szałasów, pospolici zaś wojownicy siedzieli koło ognisk, pod gołym niebem, mając ochronę przeciw zmianom pogody i dżdżom tylko w kozuchach i skórach, które na nagim ciele nosili. W obozie nikt nie spał jeszcze, albowiem ludzie, nie mając po ostatniej porażce nic do roboty, sypiali we dnie. Niektórzy siedzieli lub leżeli wokół jasnych ognisk podsycanych suszem i gałęzmi jałowca, inni grzebali w przygasłych już i zasutych popiołem watrzyskach, od których rozchodził się zapach pieczonej rzepy, zwykłego pokarmu Litwinów, i swąd przypalonych mięs. Między ogniskami widniały stopy broni poskładane blisko, tak aby w danym razie łatwo było każdemu za swój oręż pochwycić. Hława przypatrywał się z ciekawością oszczepom o grotach wąskich i długich, wykutych z hartownego żelaza, kiścieniom uczynionym z młodych dąbczaków, w które ponabijano krzemieni lub gwoździ, okszom o trzonkach krótkich, podobnym do polskich toporów, którymi posługiwali się jezdni, i okszom o trzonkach tak niemal długich jak u berdyszów, którymi walczyli piesi. Trafiały się między nimi i miedziane, pochodzące z dawnych czasów, kiedy żelazo w małym jeszcze było użyciu w tych zapadłych stronach. Niektóre miecze były również z miedzi, ale większość z dobrej, dostarczanej z Nowogrodu, stali. Czech brał w rękę oszczepy, miecze, oksze, smoli-

ste, prażone w ogniu łuki i przy blasku płomienia badał ich doskonałość. Koni niewiele było przy ogniskach, gdyż stada pasły się opodal w lasach i na łąkach pod strażą czujnych koniuchów, ale że znaczniejsi bojarowie chcieli mieć swoje rumaki na zawołanie, przeto było ich w obozie kilkadziesiąt, które niewolnicy pańscy karmili z ręki u toku. Hławę zdumiewały kudłate ciała tych rumaków, nadzwyczaj drobnych, o potężnych karkach i w ogóle tak dziwnych, że zachodni rycerze poczytywali je za jakieś całkiem odmienne zwierzęta leśne, więcej do jednorożców niż do prawdziwych koni podobne.

– Na nic tu wielkie, bojowe ogiery – mówił doświadczony Maćko, wspominając swoje dawne służby u Witolda – bo wielki zaraz w młakach ugrzęźnie, a tutejszy chmyz przejdzie wszędy, tak prawie jako i człowiek.

– Ale w polu – odrzekł Czech – tutejsze wielkim niemieckim nie dostoją.

– Juźci nie dostoją. Za to nie ucieknie Niemiec przed Żmujdzinem ani też go nie zgoni, bo te są tak właśnie ścigłe albo i ściglejsze niż tatarskie.

– A wszelako dziwno mi to jest, bo com widział jeńców Tatarów, których rycerz Zych do Zgorzelic przyprowadził, to chłopcy były nieduże i takiego byle koń udźwignie, a to lud rosły.

Lud zaś istotnie był dorodny. Przy blasku ognia widać było spod skór i kozuchów szerokie piersi i tęgie ramiona. Chłop w chłopą suchy był, ale kościsty i długi, w ogóle zaś wzrostem ludzie ci przewyższali mieszkańców innych krain litewskich, albowiem siedzieli na ziemiach lepszych i obfitszych, w których głody, trapiące kiedy niekiedy Litwę, rzadziej dawały się we znaki. Natomiast dzikością przewyższali jeszcze Litwinów. W Wilnie był dwór wielkoksiążęcy, do Wilna ściągali księża ze Wschodu i Zachodu, przychodziły poselstwa, napływał kupiec zagraniczny, przez co mieszkani miasta i okolicy oswajał się nieco z obczyzną; tu cudzoziemiec zjawiał się tylko pod postacią Krzyżaka lub Mieczowego Kawalera, niosących w głuche leśne osady ogień, niewolę i chrzest z krwi, więc wszystko tu było grubsze, surowsze i bardziej do dawnych czasów zbliżone, bardziej przeciw nowościom zawzięte; starszy obyczaj, starszy tryb wojowania, a i pogaństwo uporczywsze, dlatego że czci Krzyża nauczał nie łagodny zwiastun Dobrej Nowiny z miłością apostoła, lecz zbrojny niemiecki mnich z duszą kata.

Skirwoiło i znaczniejsi kniazie a bojarzyny byli już chrześcijanami, albowiem poszli za przykładem Jagiełły i Witolda. Inni, nawet naj-

prostszy i najdzikszy wojownik, nosił w piersiach głuche poczucie, że nadchodzi śmierć i skon dawnemu światu, dawnej ich wierze. I gotowi byli pochylić głowy przed Krzyżem, byle tego Krzyża nie wznosiły niemieckie nienawistne ręce. „My prosimy chrztu – wołali do wszystkich ksiąząt i narodów – lecz wspomnijcie, że ludzie jesteśmy, nie zwierzęta, które można darować, kupić i sprzedać”. Tymczasem, gdy dawna wiara gasła, jak gaśnie ognisko, do którego nikt drewna nie przyrzuci, a od nowej odwracały się serca właśnie dlatego, że wmuszała ją niemiecka przemoc, rodziła się w ich duszach pustka, niepokój i żal po przeszłości, i głęboki smutek. Czech, który od dziecka zrosł się z wesołym gwarem żołnierskim, z pieśniami i szumną muzyką, widział po raz pierwszy w życiu obóz tak cichy i posepny. Ledwie gdzieś, przy dalszych od Skirwoiłłowej numy ogniskach, słychać było odgłos fujarki lub piszczałki, albo słowa przyciszonej pieśni, którą śpiewał „burtinik”. Wojownicy słuchali z pochylonymi głowami i oczyma utkwionymi w zarzewie. Niektórzy siedzieli w kucki wedle ognia, mając łokcie wsparte na kolanach, a twarze ukryte w dłoniach, okryci skórą, podobni do drapieżnych zwierząt leśnych. Lecz gdy podnosili ku przechodzącym rycerzom głowy, blask płomienia oświecał twarze łagodne i niebieskie źrenice, wcale nie srogie ni drapieżne, ale tak raczej patrzące, jak patrzą smutne i pokrzywdzone dzieci. Na krańcach obozowiska leżeli na mchach ranni, których zdołano unieść z ostatniej bitwy. Wróżbicy, tak zwani „łabdarysy” i „sejtonowie”, mruzczyli nad nimi zaklęcia lub opatrywali ich rany, przykładając na nie znane sobie zioła gojące, a oni leżeli w milczeniu, znosząc cierpliwie ból i mękę. Z głębin leśnych, od strony polan i łągów, dochodziło poświstywanie koniuchów, kiedy niekiedy podnosił się wiatr, przysłaniając dymami obozowisko i napełniając szumem bór ciemny. Ale noc czyniła się coraz późniejsza, więc ogniska poczęły mdleć i gasnąć i cisza zapadła jeszcze większa, potęgując owe wrażenie smutku i jakby pogńębienia.

Zbyszko wydał rozkazy gotowości ludziom, którym przywołał i z którymi łatwo mógł się rozmówić, albowiem była między nimi garść Polocczan, po czym zwrócił się do swego giermka i rzekł:

- Napatrzyłeś się do woli, a teraz czas wrócić pod namiot.
- Już się napatrzyłem – odpowiedział giermek – ale nie bardzo rad z tego, com widział, bo zaraz znać, że to pobici ludzie.
- Dwa razy: cztery dni temu przy zamku i onegdaj u przeprawy. A teraz chce się Skirwoille trzeci raz tam iść, by trzeciej porażki doznać.

– Jakże, to on nie rozumie, że z takim wojskiem przeciw Niemcom nie wskóra? Powiadał mi to już rycerz Maćko, a teraz i sam miarkuję, że liche to muszą być i do bitki pacholki.

– |I w tym się mylisz, bo to lud chrobry jak mało który w świecie. Jeno się kupą bezładną biją, a Niemcy w szyku. Jeśli się uda szyk rozewać, to częściej Żmujdzin Niemca niż Niemiec Żmujdzina położy. Ba, ale tamci to wiedzą i tak się zwierają, że jako ściana stoją.

– A już o zamków dobywaniu to pewnie nie ma co i myśleć – rzekł Czech.

– Boć nijakiego sprzętu do tego nie ma – odpowiedział Zbyszko. – Sprzęt ma książ Witold i póki ku nam nie nadciągnie, nie ugryzęm żadnego zamku, chybaby trafunkiem albo zdradą.

Tak rozmawiając, doszli do namiotu, przed którym płonął duży, podsycany przez czeladź ogień, a w nim kopcily się przygotowane przez czeladź mięsiwa. W namiocie chłodno było i wilgotno, więc rycerze, a z nimi i Hlawa, pokładli się przed ogniem na skórach.

Za czym, posiliwszy się, próbowali zasnąć, lecz nie mogli, Maćko przewracał się z boku na bok, a następnie ujrzawszy, że Zbyszko siedzi przed płomieniem, otoczywszy ramionami kolana, zapytał:

– Słuchaj! Dlaczegoś ty radził iść daleko pod Ragnetę, nie tu blisko pod ten Gotteswerder? Co masz w tym?

– Bo tak mi coś do duszy gada, że Danuška jest w Ragnecie – i tam się mniej strzegą niż tu.

– Nie było czasu się rozgadać, bom i sam był utrudzon, i tyś ludzi po boru po kłęsce zbierał. Ale teraz mówże, jako jest: chcesz-li ty zawsze tej dziewczki szukać?

– Dyć to nie żadna dziewczka, jeno moja niewiasta – odpowiedział Zbyszko.

Nastało milczenie, albowiem Maćko rozumiał dobrze, że nie masz na to odpowiedzi. Gdyby Danuška była dotychczas panną Jurandówną, byłby niechybnie stary rycerz namawiał bratanka, by jej poniechał, ale wobec świętości sakramentu poszukiwanie stawało się prostą powinnością i Maćko nie byłby nawet zadawał takiego pytania, gdyby nie to, że nie będąc obecny ni na ślubie, ni na weselu, mimowiednie uważał Jurandównę zawsze za dziewczkę.

– Juźci! – rzekł po chwili. – Ale o com przez te dwa dni miał czas się spytać, tom się spytał, i rzekłeś mi, że nic nie wiesz.

– Bo nic nie wiem, jeno to, że chyba gniew boski jest nade mną.

Wtem Hława przypadniósł się z niedźwiedziej skóry, siadł i nastawiwszy uszu, począł słuchać pilnie a ciekawie. A Maćko rzekł:

– Pókić sen nie zmorzy, gadaj: coś widział, coś robił i coś wskórał w Malborgu?

Zbyszko odgarnął włosy, które dawno nie podcinane z przodu, spadały mu aż na brwi, chwilę posiedział w milczeniu, po czym jął mówić:

– Dałby Bóg, abym ja tyle mógł wiedzieć o mojej Danuśce, ile wiem o Malborgu. Pytacie, com tam widział? Widziałem potęgę krzyżacką niezmierną, przez wszystkich królów i przez wszystkie narody wspomaganą, z którą nie wiem, czyli kto w świecie mierzyć się zdoła. Widziałem zamek, jakiego chyba i sam cesarz rzymski nie ma. Widziałem skarby nieprzebrane, widziałem zbroje, widziałem mrowie orężnych mnichów, rycerzy i knechtów – i relikwie jakby u Ojca Świętego w Rzymie, i mówię wam, że aże dusza zdrewniała we mnie, bom sobie pomyślał: gdzie się tam komu na nich porywać? kto ich zmoże? kto się im oprze? kogo ich siła nie przełamie?

– Nas! zatracona ich mać! – zawołał, nie mogąc wytrzymać, Hława.

Maćkowi dziwne wydały się także słowa Zbyszka, więc choć chciało mu się poznać wszystkie przygody młodzianka, jednakże przerwał mu i rzekł:

– A toś zapomniał o Wilnie? A mało to razy zderzaliśmy się z nimi tarczą o tarcz i łbem o łeb! A toś zabaczył, jako im niesporo bywało ku nam – i jak na zatwardziałość naszą narzekali: że to nie dość było konia zapocić i kopię pokruszyć, jeno trza było cudze gardło wziąć albo swoje dać! Byli tam przecie i goście, którzy nas pozywali – a wszyscy z hańbą odeszli. Cóżes to tak zmiękł?

– Nie zmięklełm ja, bom się i w Malborgu potykał, gdzie też i na ostre gonili. Ale wy ich wszystkiej potęgi nie znacie. Lecz stary rozgniewał się.

– A ty znasz-li całą moc polską? Widziałeś wszystkie chorągwie w kupie? Nie widziałeś. A ich potęga na krzywdzie ludzkiej i na zdradzie stoi, bo tam i piędzi ziemi nie ma, która by była ich. Przyjęli ci ich książęta nasi, jak się ubogiego w dom przyjmuje – i obdarowali, a oni, porósłszy w moc, pokąsali tę rękę, co ich żywiła, jako psi bezecni i wściekli. Ziemię zagarnęli, miasta zdradą pobrali i ot ich moc! Ale choćby wszyscy królowie świata szli im w pomoc – nadejdzie dzień sądu i pomsty.

– Skoroście mi kazali gadać, com widział, a teraz się gniewacie, to wolej zaniecham – rzekł Zbyszko.



Maćko zaś sapał przez jakiś czas gniewnie, po chwili jednak uspokoił się i rzekł:

– Albo to raz tak bywa! Stoi ci w lesie chojar jako wieża sroga, myślałbyś, że wiek wieków postoi, a stukniesz w niego godnie obuchem, to ci się pustką obezwie. I próchno się w nim sypie. Taka to i krzyżacka moc! Ale jam ci kazał gadać, coś robił i coś wskórał. Gonileś tam na ostre – powiadasz?

– Goniłem. Hardo i niewdzięcznie ci mnie tam z początku przyjęli, bo było im już wiadomo, że się z Rotgierem potykał. Może i przygodziłoby mi się coś złego, jeno że z listem od księcia przyjechał i pan Lorche, którego oni szanują, od ich złości mnie bronił. Ale potem przyszły uczty i gonitwy, w których Pan Jezus mi pobłogosławił. Toście słyszeli, że mnie brat mistrzów Ulryk pokochał – i dał mi rozkaz od samego mistrza na piśmie, aby mi Danuškę wydali?

– Powiadali nam ludzie – rzekł Maćko – że popręg mu pękł przy siedle, co ty, widzący, nie chciałeś na niego uderzać.

– Jużci, podniosłem kopię w górę, a on mnie od tej pory pokochał. Hej, miły Boże! srogie mi pisma dali, z którymi mogłem od zamku do zamku jeździć i szukać. Już myślałem, że koniec mojej biedy i mego frasunku – a teraz ot, tu siedzę, w dzikiej stronie, bez rady nijakiej, w strapieniu i smutku, a co dzień ci mi gorzej i tęskniej...

Tu umilkł na chwilę, po czym rzucił z całej mocy wiórem w ogień, aż iskry posypały się z płonących głowni, i rzekł:

– Bo jeśli ta nieboga jęczy tu gdzie w jakim zamku, a myśli, że jej zahaczył, to niechby mnie nagła śmierć nie minęła!

I tyle w nim się widocznie zapiekło zniecierpliwienia i bólu, że jął znów rzucać wiórami w ogień jak gdyby nagłym, ślepym bólem uniesion, a oni zdumieli się bardzo, nie przypuszczali bowiem, żeby tak kochał Danuškę.

– Pohamuj się? – zawołał Maćko. – Jakoże było z onym glejtem? Zali komturowie nie chcieli rozkazów mistrza słuchać?

– Pohamujcie się, panie – rzekł Czech – Bóg was pocieszy – może wkrótce.

Zbyszkowi zaś łzy błysły w źrenicach, ale uspokoił się nieco i rzekł:

– Otwierali odmienne zamki i więzienia. Byłem wszędzie, szukałem! Aż wybuchła ta wojna – i w Gierdawach powiedział mi wójt von Heideck, że wojenne prawo inne i że glejty wydane w czasie pokoju nic

nie znaczą. Pozwałem go zaraz, ale nie stanął i z zamku mnie wyżenąć kazał.

– A w innych? – spytał Maćko.

– Wszędy to samo. W Królewcu komtur, który jest zwierzchnikiem gierdawskiego wójta, nie chciał nawet czytać mistrzowego pisma, mówiąc, że wojna, wojną – i głowę, póki cała, kazał mi precz unosić. Pytałem i gdzie indziej – wszędy to samo.

– To teraz rozumiem – rzekł stary rycerz. – Widząc, że nic nie wskórasz, wolałeś tu przyjść, gdzie chociaż pomsta może się zdarzyć.

– Tak jest – odpowiedział Zbyszko. – Myślałem także, że jeńców nabierzem i może zamków kilka ogarniem; ale oni nie umieją zamków zdobywać.

– Hej, przyjdzie sam książę Witold, to będzie inaczej.

– Daj go Bóg.

– Przyjdzie. Słyszałem na mazowieckim dworze, że przyjdzie, a może i król z nim razem z całą potęgą polską.

Lecz dalszą rozmowę przerwało im przyjście Skirwoiły, który wychylił się niespodzianie z cienia i rzekł:

– W pochód ruszamy.

Usłyszawszy to, rycerze powstali *żywo* na nogi, Skirwoiło zaś zbliżył ku ich twarzom swoją ogromną głowę i rzekł przyciszonym głosem:

– Są nowiny: idą do Nowego Kowna posiłki. Dwóch rycerzy prowadzi knechtów, bydło i spyżę. Zaskoczym im.

– To przejdziem Niemen? – zapytał Zbyszko.

– Tak. Wiem bród.

– A w zamku wiedzą o posiłkach.

– Wiedzą i wyjdą im na spotkanie, ale na tych uderzycie wy. I począł im objaśniać, gdzie mają się zasadzić, tak aby niespodzianie uderzyć na tych, którzy pokwapią się z zamku. Chodziło mu o to, by jednocześnie stoczyć dwie bitwy i pomścić ostatnie porażki, co mogło się udać tym łatwiej, że po świeżym zwycięstwie nieprzyjaciel czuł się zupełnie bezpieczny. Więc wskazał im miejsce i czas, w którym mieli tam zdążyć, a resztę zdał na ich męstwo i przemyślność. Oni zaś uradowali się w sercach, gdyż zaraz poznali, że mówi do nich wojownik doświadczony i sprawny. Skończywszy, kazał im iść za sobą i wrócił do swej numy, w której czekali już na niego książę i bojarzyna setnicy. Tam powtórzył rozkazy, wydał nowe, a wreszcie podniósłszy do

ust piszczałkę, wyrzeźbioną z wilczej kości, wydał donośny i przeraźliwy świst, który usłyszano od jednego do drugiego końca obozu.

Na ów odgłos zakotłowało się coś wedle przygasłych ognisk;

tu i ówdzie poczęły strzelać iskry, potem błysnęły płomyki, które rosły i wznęły się z każdą chwilą, a przy ich blasku widać było dzikie postacie wojowników zbierające się koło stosów z bronią. Bór zadrgał i zbudził się. Po chwili z głębin poczęły dochodzić wołania koniuchów pędzących stada ku obozowi.

## ROZDZIAŁ XVIII

Doszli rankiem do Niewiaży i przeprawili się: kto konno, kto przy ogonie końskim, kto na pęku łóz. Poszło to tak prędko, że aż Maćko, Zbyszko, Hława i ci z Mazurów, którzy przyszli na ochotnika, dziwili się sprawności tego ludu i teraz dopiero zrozumieli, dlaczego ni bory, ni bagna, ni rzeki nie mogły powstrzymać wypraw litewskich. Wyszędłszy z wody, żaden nie zewlókł odzieży, nie zrzucił kozucha ni wilczury, jeno suszyli się, nadstawiając grzbiety słońcu, aż dymiło się z nich jak ze smolarni – i po małym wypoczynku ruszyli śpiesznym pochodem na północ. Ciemnym wieczorem dotarli do Niemna. I tu przeprawa, jako przez rzekę wielką a do tego nabrzmiałą wiosennymi wodami, nie była łatwą. Bród, o którym wiedział Skirwoiło, zmienił się miejscami w topiel, tak że konie musiały pływać więcej niż na ćwierć stajania. Dwóch ludzi uniósł prąd tuż przy boku Zbyszka i Czecha, którzy na próżno chcieli ich ratować, albowiem z powodu ciemności i wzburzonej wody rychło stracili ich z oczu, oni zaś nie śmieli wołać o ratunek, ponieważ poprzednio wódz wydał rozkaz, aby przeprawa odbyła się w jak najgłębszym milczeniu. Jednakże wszyscy inni dotarli szczęśliwie do drugiego brzegu, na którym przesiedzieli bez ognia do rana.

O pierwszym brzasku całe wojsko rozdzieliło się na dwa oddziały. Z jednym Skirwoiło poszedł w głąb kraju na spotkanie owych rycerzy prowadzących posiłki do Gotteswerder, drugi powiódł Zbyszko wstecz ku wyspie, aby zaskoczyć ludziom zamkowym, którzy naprzeciw tamtym wyjść chcieli. Dzień czynił się w górze jasny i pogodny, ale na dole bór, łągi i krze przysłonione były gęstym, białawym oparem, który całkiem zakrywał dal. Była to dla Zbyszka i jego ludzi okoliczność pomyślna, albowiem Niemcy ciągnący od zamku nie mogli ich z dala dojrzeć i w porę cofnąć się przed bitwą. Młody rycerz rad był z tego niezmiernie i tak mówił do jadącego obok Maćka:

– Pierwej uderzym się o siebie, niż się w takim tumanie zobaczymy, daj Bóg tylko, aby nie zrzedniał choć do południa.

To rzekłszy, poskoczył naprzód, by wydać setnikom jadącym na przodzie rozkazy, niebawem jednak wrócił i rzekł:

– Niezadługo trafim na gościniec idący od przewozu przed wyspą do środka kraju. Tam się w gęstwinie położym i będziem na nich czekać.

– Skąd wiesz o gościńcu? – zapytał Maćko.

– Od chłopów tutejszych, których mam między ludźmi kilkunastu. Oni to wszędy nas prowadzą.

A jak daleko od zamku i od wyspy przypadniesz?

– W mili.

– To dobrze, bo gdyby było bliżej, mogliby z zamku knechtów w pomoc pchnąć, a tak – nie tylko nie nadażą, ale i krzyku nie usłyszą.

– Jużci, że o tym pomyślałem.

– Pomyślałeś o jednym, pomyślże i o drugim: jeśli to wierne chłopcy, wyślij ich dwóch albo trzech naprzód, aby który pierwszy obaczy Niemców, zaraz dawał nam znać, że idą.

– Ba, już i to zrobione!

– Tedy jeszcze ci coś powiem. Każ stu albo dwustu ludziom, zaraz jak tylko bitka się zacznie, nie mieszać się do niej, jeno skoczyć i przeciąć drogę od wyspy.

– Pierwsza rzecz! – odpowiedział Zbyszko – ale już i takie rozkazy wydane. Wpadną Niemce jakoby w potrzask albo jako w oklepce!

Usłyszawszy to, Maćko spojrział na bratanka życzliwym okiem, rad był bowiem, że Zbyszko mimo wczesnych lat życia tak dobrze wojnę rozumiał, więc uśmiechnął się i mruknął:

– Nasza prawa krew!

Lecz giermek Hława uradowany był w duszy jeszcze bardziej od Maćka, gdyż nie było dla niego większej nad bitwę rozkoszy.

– Nie wiem – rzekł – jak ci nasi ludzie będą się potykali, ale idą cicho, sprawnie i ochotę znać po nich okrutną. Jeżeli ów Skirwoiłło dobrze wszystko wymędrował, to żywa noga nie powinna wyjść ze skrzętu.

– Da Bóg, mało się ich wymknie – odpowiedział Zbyszko. – Ale kazałem jak najwięcej jeńców brać, a gdyby trafił się między nimi rycerz albo brat zakonny, to już koniecznie nie zabijać.

– A czemu to, panie? – spytał Czech. Zbyszko zaś odrzekł:

– Pilnujcie i wy, aby tak było. Rycerz, jeśli z gości, to włóczy się po miastach, po zamkach, siła ludzi widuje i siła nowin słyszy, a jeśli zakonny, to jeszcze więcej. Toć Bogiem a prawdą po to ja tu przyjechałem, żeby kogoś znaczniejszego pochwyć i zamianę uczynić. Jedna mi ta droga ostała... jeżeli jeszcze ostała.

To rzekłszy, dał ostrogi koniowi i znów wysunął się na czoło oddziału, aby wydać ostatnie rozporządzenia i uciec razem od smutnych myśli, na które brakło i czasu, albowiem miejsce na zasadzkę wybrane nie było już zbyt odległe.

– Czemu to młody pan tuszy, że jego niewiastka jeszcze żyje i że się w tych stronach znajduje? – spytał Czech.

– Bo jeśli jej Zygfryd od razu w Szczytnie w pierwszym zapędzie nie zamordował – odparł Maćko – to sprawiedliwie można się spodziewać, że jeszcze żywa. A jeśliby ją był zamordował, toby szczytnieński ksiądz nie był nam takich rzeczy rozpowiadał, które przecie i Zbyszko słyszał. Ciężka to rzecz nawet dla największego okrutnika podnieść rękę na niewiastę bezbronną, ba! na dziecko niewinne.

– Ciężka, ale nie dla Krzyżaka. A księcia Witoldowe dzieci?

– Prawda jest, że wilcze oni serca mają, wszelako i to prawda, że w Szczytnie jej nie zgładził, a że sam w tę stronę pociągnął, więc może i ją w którymś zamku ukrył.

– Hej! żeby się to tak udało tę wyspę i ten zamek ubiec!

– Spójrzj jeno na tych ludzi – rzekł Maćko.

– Pewnie! pewnie! ale mam ci ja jedną myśl, którą młodemu panu powiem.

– Choćbyś miał i dziesięć, dzidami murów nie rozwalisz. To powiedziawszy, ukazał Maćko na szeregi dzid, w które większa część wojowników była uzbrojona, po czym zapytał:

– Widziałeś kiedy takie wojsko?

A Czech rzeczywiście nic podobnego nie widział. Przed nim jechał gęsty zastęp wojowników i jechał bezładnie, bo w boru i wśród krzów trudno się było trzymać szeregów. Zresztą piesi pomieszani byli z konnymi i by nadażyć krokom końskim, trzymali się grzyw, kulbak i ogonów. Barki wojowników pokryte były skórą wilków, rysiów i niedźwiedzi, z głów sterczały to kły dzicze, to rogi jelenie, to kosmate uszy, tak że gdyby nie broń stercząca w górę i nie smoliste łuki i kobiałki ze strzałami na plecach, patrzącym z tyłu mogłoby się wydać, zwłaszcza we mgle, że to całe gromady dzikich leśnych bestii wyruszyły z głębi leśnych mateczników – i ciągną gdzieś na wyraj gnane żądzą krwi lub głodem. Było w tym coś strasznego, a zarazem tak niezwykłego, jak gdyby się patrzyło na ów dziw zwany gomon, w czasie którego, jak wierzy prostactwo, zrywają się i idą przed się zwierzęta, a nawet kamienie i krzaki.

Toteż na ów widok jeden z owych włodyczków z Łękawicy, którzy przybyli z Czechem, zbliżył się do niego, przeżegnał się i rzekł:

– W imię Ojca i Syna! Dyć ze stadem prawych wilków idziem, nie z ludźmi.

Hława zaś, choć sam pierwszy raz podobne wojsko oglądał, odrzekł jako doświadczony człowiek, który wszystko przeznał i niczemu się nie dziwi:

– Wilcy stadem w zimie chadzają, ale krzyżacka jucha smakuje i na wiosnę.

A rzeczywiście była już wiosna – maj! Leszczyna, którą bór był podszyty, pokryła się jasną zielenią. Z mchów puszystych a miękkich, po których stapały bez szelestu nogi wojowników, wydobywały się białe i sinawe sasanki oraz młode jagodzisko i ząbkowana paproć. Zmoczony obfitymi dżdżami drzewa pachniały wilgotną korą, a z leśnego podłoża biła surowa woń opadłego igliwia i próchna. Słońce grało tęczę na zwieszonych wśród liści kroplach i ptactwo głośliło się w górze radośnie.

Oni szli coraz prędzej, bo Zbyszko przynaglał. Po chwili przyjechał znów na tyły oddziału, gdzie był Maćko z Czechem i mazurskimi ochotnikami. Nadzieja dobrej bitki widocznie ożywiła go znacznie, bo w twarzy nie miał zwykłej troski i oczy świeciły mu po dawnemu.

– Nuże! – zawołał. – W przodku nam teraz iść, nie w ociążu! I powiódł ich na czoło oddziału.

– Słyszycie – rzekł jeszcze – może zaskoczym Niemców niespodzianie; ale jeśli co wymiarkują i w szyku zdołają stanąć, to juźci pierwsi uderzym, bo zbroja na nas godniejsza i miecze lepsze!

– Tak ono i będzie! – rzekł Maćko.

Inni zaś osadzili się mocniej w kulbakach, jakby już zaraz mieli uderzyć. Ten i ów nabrał w piersi powietrza i zmacał, czy kord łatwo z pochew wychodzi.

Zbyszko powtórzył im jeszcze raz, aby jeśli wśród pieszych knechtów znajdą się rycerze lub bracia w białych płaszczach na zbroi, nie zabijać ich, jeno w niewolę brać, po czym skoczył znów do przewodników i po chwili zatrzymał oddział.

Przyszli do gościńca, który od przystani leżącej naprzeciw wyspy biegł w głąb kraju. Właściwie nie był to jeszcze prawdziwy gościniec, ale raczej szlak niedawno przez lasy przetarty i wyrównany tylko o tyle, aby wojska i wozy od biedy mogły przejść po nim. Z obu stron wznosił się wysokopienny bór, a po obu brzegach piętrzyły się pości-

nane dla otwarcia drogi pnie starych sosen. Leszczynowe podszycie było miejscami tak gęste, że przesłaniało całkiem głąb leśną. Wybrał przy tym Zbyszko miejsce na zakręcie, aby nadchodzący, nie mogąc nic dojrzeć z dala, nie mieli czasu albo cofnąć się w porę, albo ustawić w bojowym szyku. Tam zajął oba boki szlaku i kazał czekać nieprzyjaciela.

Zżyci z borem i z leśną wojną Żmujdzini przypadli tak sprawnie za kłody, za wykroty, za leszczynowe krze i kępy młodej jedliny – jakby ich ziemia pochłoneła. Człowiek się nie ozwał, koń nie parsknął. Od czasu do czasu koło zaczajonych ludzi przeciągał to drobny, to gruby zwierz leśny i dopiero niemal otarłszy się o nich, rzucał się z przerażeniem i fukiem w bok. Chwilami zrywał się powiew i napełniał bór szumem uroczystym i poważnym, chwilami cichnął, a wówczas słychać było tylko odległe kukanie kukulek i bliskie kucie dzięciołów.

Żmujdzini słuchali z radością tych odgłosów, albowiem szczególnie dzięcioł był dla nich zwiastunem dobrej wróżby. Było zaś owych ptaków pełno w tym boru i kowanie dochodziło ze wszystkich stron, usilne, szybkie, podobne jakby do pracy ludzkiej. Rzekłbyś, wszystkie tam miały swe kuźnie i od wczesnego rana zabrały się do gorliwej roboty. Maćkowi i Mazurom zdawało się, że słyszą cieśłów pobijających krokwie na nowym domu, i przypomniały im się strony rodzinne.

Lecz czas upływał i dłużył się, a tymczasem nic nie było słychać prócz szumu leśnego i głosów ptactwa. Mgła leżąca na dole zrzędła, słońce podniosło się znacznie i jęło przygrzewać, a oni leżeli ciągle. Wreszcie Hława, któremu znudziło się oczekiwanie i milczenie, pochylił się do ucha Zbyszka i począł szeptać:

– Panie... Jeśli, da Bóg, żaden z psubratów nie ujdzie, czybyśmy nie mogli nocą pociągnąć pod zamek, przeprowić się i zdobyć go niespodzianie?

– A to myślisz, że tam łodzi nie strzegą i hasła nie mają?

– Strzegą i mają – odszepnął Czech – ale jeńcy pod nożem hasło powiedzą, ba! sami się po niemiecku do nich obezwą. Byle na wyspę się dostać, to sam zamek...

Tu przerwał, gdyż Zbyszko położył mu nagle dłoń na ustach, albowiem z gościńca doszło krakanie kruka.

– Cichaj! – rzekł – to znak!

Jakoż we dwa pacierze później na szlaku zjawił się Żmujdzin na małym kudłatym koniu, którego kopyta obwiniete były w skórę barania, tak aby nie wydawały tętentu i nie zostawiały śladów na błocie.



Jadąc, rozglądał się bystro na obie strony i nagle usłyszawszy z gąszczy odpowiedź na krakanie, nurknął w las, a po chwili był już przy Zbyszku.

– Idą!...– rzekł.

## ROZDZIAŁ XIX

Zbyszko począł wypytywać śpiesznie, jak idą, ile jest jazdy, ilu knechtów pieszych, a przede wszystkim, jak daleko się jeszcze znajdują. Z odpowiedzi Żmujdzina dowiedział się, że oddział nie przynosi stu pięćdziesięciu wojowników, z tych pięćdziesięciu konnych, pod wodzą nie Krzyżaka, lecz jakiegoś świeckiego rycerza, że idą w szyku, prowadząc za sobą puste wozy, a na nich zapas kół, że przed oddziałem idzie w odległości dwóch strzeleń z łuku „straża” złożona z ośmiu ludzi, która zjeżdża często gęsto z gościńca i bada bór i gąszcza, a na koniec, że znajdują się o ćwierć mili.

Zbyszko nie bardzo był rad, że idą w szyku. Wiedział z doświadczenia, jak trudno jest w takim razie rozerwać sfornych Niemców i jak taka „kupia” umie bronić się, cofając, i ciąć na kształt osaczonego przez psy odyńca. Natomiast ucieszyła go wiadomość, iż są nie dalej niż o ćwierć mili, wymiarkował bowiem z tego, że ów zastęp ludzi, których poprzednio wysłał, zajął już byt tyły Niemcom, i że w razie ich klęski nie przepuści żadnej żywej duszy. Co do czaty idącej w przodzie oddziału, niewiele z niej sobie robił, gdyż spodziewając się z góry, że tak będzie, rozkazał już poprzednio swym Żmujdzinom albo przepuścić ową straż spokojnie, albo też, gdyby ludzie z niej chcieli badać wnętrza bom, wyłowić ich po cichu co do jednego.

Lecz to ostatnie polecenie okazało się zbyt cichym. Podjazd nadciągnął niebawem. Ukryci pod wykrotami bliżej gościńca Żmujdzini widzieli doskonale tych knechtów, jak stanawszy na skrócie, poczęli z sobą rozmawiać. Naczelnik, tęgi, rudobrody Niemiec, nakazawszy im znakiem milczenia, począł następnie nasłuchiwać. Przez chwilę widać było, że waha się, czyby nie zjechać w bór, wreszcie, słysząc tylko kowanie dzięciołów, widocznie pomyślał, iż ptactwo nie pracowałoby tak swobodnie, gdyby w lesie był kto ukryty, więc machnął ręką i powiódł oddział dalej.

Zbyszko przeczekał, póki nie znikli za następnym skrótem, po czym zbliżył się cicho do samego gościńca na czele ciężej zbrojnych mężów. Był między nimi Maćko, Czech, dwóch włodyków z Łękawicy, trzech młodych rycerzy spod Ciechanowa i kilkunastu znacznie-

szych, lepiej zbrojnych bojarów żmujdzkich. Dalsze ukrywanie się nie było już zbyt potrzebne, miał więc Zbyszko zamiar, zaraz gdy zjawią się Niemcy, wysunąć się na środek szlaku, skoczyć, uderzyć w nich i rozerwać. Gdyby to się udało i gdyby walka ogólna zamieniła się na szereg pojedynczych, mógł już być pewien, że Żmujdzini poradzą sobie z Niemcami.

I znów nastąpiła chwila ciszy, którą mącił tylko zwykły gwar leśny. Ale wkrótce do uszu wojowników doszły od wschodniej strony gościńca i głosy ludzkie. Zrazu pomieszane i dość odległe, stopniowo stawały się coraz bliższe i wyraźniejsze.

Zbyszko w tej samej chwili wyprowadził swój oddział na środek gościńca i ustawił go w klin. Sam stał na czele, mając za sobą bezpośrednio Maćka i Czecha. W następnym szeregu stało trzech ludzi, w następnym czterech. Zbrojni byli wszyscy dobrze: brakło im wprawdzie potężnych „drzew”, czyli kopii rycerskich, gdyż te stawały się w leśnych pochodach wielką zawadą;

natomiast mieli w ręku krótkie i lżejsze dzidy żmujdzkie do pierwszego natarcia, a miecze i topory przy siodłach do walki w ścisku.

Hława nastawił pilnie uszy, posłuchał, a następnie szepnął do Maćka:

– Śpiewają, zatracona ich mać!

– Ale mi to dziwno, że tam bór zamyka się przed nami i że ich nie widać dotąd – odpowiedział Maćko.

Na to Zbyszko, który już dalsze skrywanie się, a nawet ciche mówienie uważał za zbyt szkodliwe, odwrócił się i rzekł:

– Bo gościnniec idzie wedle strumienia i przez to często się zakręca. Obaczmy się niespodzianie, ale to lepiej.

– A wesoło ci jakoś śpiewają! – powtórzył Czech. Istotnie zaś Niemcy śpiewali wcale niepobożną pieśń, co łatwo było z samej nuty wymiarkować. Wsłuchawszy się, można również było odróżnić, że śpiewa nie więcej niż kilkunastu ludzi, a tylko jeden wyraz powtarzają wszyscy, który też wyraz rozlegał się jak grzmot po lesie.

I tak sobie szli ku śmierci, weseli i pełni ochoty.

– Wnet już ich ujrzymy – rzekł Maćko.

Przy czym twarz zmierzchła mu nagle i nabrała jakiegoś wilczego wyrazu, gdyż dusza w nim była nieużyta i zawzięta, a prócz tego nie odplacił dotychczas za ów postrzał z kuszy, który otrzymał wtedy, gdy dla ratowania Zbyszka wyprawił się z listem siostry Witoldowej do mistrza.

Więc teraz poczęło się w nim burzyć serce, a zaś żądza pomsty oblała go jak ukrop.

„Nie będzie temu dobrze, któren się z nim pierwszy szepi” – pomyślał Hława, rzuciwszy okiem na starego rycerza.

Tymczasem powiew przyniósł wyraźnie okrzyk, który powtarzali wszyscy chórem: „Tandaradei! tandaradei!” – i wraz Czech usłyszał słowa znajomej sobie pieśni:

*Bi den rosen er wol mac  
tandaradei!  
merken wa mir 'z houbet lac...*

Wtem pieśń urwała się, albowiem po obu stronach szlaku rozległo się krakanie tak gwarne i rozgłośnie, jakby w tym zakątku lasu odbywał się sejm kruków. Niemców zadziwiło jednak

to, skąd się mogło wziąć ich tyle i dlaczego wszystkie głosy odzywają się z ziemi, nie zaś z wierzchołków drzew. Pierwszy szereg knechtów ukazał się właśnie na skręcie i stanął jak wryty na widok nieznanym, stojących naprzeciw jeźdźców.

A Zbyszko w tej samej chwili pochylił się w siodle, uderzył konia ostrogami i skoczył:

– W nich!

Za nim skoczyli inni. Z obu stron boru podniósł się straszliwy okrzyk żmujdzkich wojowników. Około dwustu kroków dzieliło Zbyszkowych ludzi od Niemców, którzy w mgnieniu oka pochylili las dzid ku jeźdźcom, podczas gdy dalsze szeregi zwróciły się z równą szybkością czołem ku obu stronom lasu, aby bronić się od napaści z boków. Byliby podziwiali ową sprawność polscy rycerze, gdyby znaleźli czas na podziw i gdyby konie nie niosły ich w największym pędzie ku błyszczącym, nastawionym grotom.

Pomyślnym dla Zbyszka wypadkiem jazda niemiecka znajdowała się z tyłu oddziału przy wozach. Ruszyła ona wprawdzie zaraz ku swojej piechocie, ale ani przejechać przez nią, ani jej ominąć, a tym samym i zasłonić od pierwszego uderzenia nie mogła. Otoczyło przy tym ją samą mrowie Żmujdzinów, którzy poczęli się wysypywać z gąszczów jak jadowity rój os, których gniazdo niebaczny podróżny nogą potrafi. Zbyszko uderzył się tymczasem razem ze swoimi ludźmi o piechotę.

I uderzył bez skutku. Niemcy, powbijawszy tylne końce ciężkich włóczni i berdyszów w ziemię, trzymali je tak równo i krzepko, że lekkie mierzyny żmujdzkie przełamać tego muru nie mogły. Maćków koń, cięty berdyszem w goleń, wspiał się na tylne nogi, a następnie zarył

nozdrzami w ziemię. Przez chwilę śmierć zawisła nad starym rycerzem, lecz on, świadom wszelkiej bitwy i doświadczony w przygodach, wypuścił nogi ze strzemion, chwycił potężną dłonią za ostrze niemieckiej dzidy, która zamiast pogrzyść się w jego piersiach posłużyła mu tym samym jako oparcie, za czym zerwał się, uskoczył między konie i dobywszy miecza, począł nacierać nim na dzidy i berdysze, równie jak drapieżny krzeczot naciera zajadłe na stado długodziobych żurawi.

Zbyszko, gdy koń jego powstrzymany w zapędzie siadł prawie całkiem na zadzie, podparł się dzirytem – i złamał go, więc jął się także miecza. Czech, który wierzył nade wszystko w topór, rzucił nim w kupę Niemców – i chwilowo pozostał bezbronny. Jeden z włodyków z Łękawicy zginął, drugiego ogarnął na ten widok szal wściekłości, tak iż począł wyć jak wilk i wspinając skrwawionego konia, parł na oślep w środek zastępu. Bojarowie żmujdzcy siekli brzeszczotami po grotach i drzewcach, spoza których spoglądały twarze knechtów jakby przejęte zdziwieniem i zarazem jakby pokurczone przez upór i zawziętość. Lecz stało się, że szyk nie został rozerwany. Żmujdzini też, którzy uderzyli z boków, odskoczyli zrazu od Niemców jak od jeża. Wrócili wprawdzie niebawem z większą jeszcze natarczywością, ale wskórać nie mogli.

Niektórzy powdrapywali się w mgnieniu oka na przydrożne chojary i poczęli szyć z luków w środek knechtów, których dowódca, spostrzegłszy to, wydał rozkaz cofania się ku swojej jeździe. Kusznicy niemieccy jęli się też odstrzeliwać, więc od czasu do czasu niejeden ukryty między gałęziami sosny Żmujdzin spadał jak dojrzała szyszka na ziemię i konając, darł rękoma mchy leśne lub rzucał się na kształt wyjętej z wody ryby. Otoczeni ze wszystkich stron Niemcy nie mogli wprawdzie liczyć na zwycięstwo, widząc jednak skuteczność obrony, mniemali, że może choć garść ich zdoła się wycofać z pogromu i dostać się na powrót do rzeki.

Żadnemu nie przyszło na myśl poddać się, gdyż sami, nie oszczędzając jeńców, wiedzieli, że nie mogą rachować na litość przywiedzionego do rozpacz i zbuntowanego ludu. Cofali się więc w milczeniu chłop przy chłopie, ramię przy ramieniu, to podnosząc, to zniżając włócznie i berdysze, tnąc, bodąc, rażąc z kusz, o ile zamęt bitwy na to pozwalał, i zbliżając się ciągle ku swojej jeździe, która walczyła na śmierć i życie z innymi zastępami nieprzyjaciół.

Wtem stało się coś niespodzianego, co rozstrzygnęło losy uporczywej bitwy. Oto ów włodyka z Łękawicy, którego pochwycił szal po śmierci brata, pochylił się, nie zsiadając z konia, i podniósł ciało z zie-

mi, pragnąc widocznie zabezpieczyć od stratowania i złożyć gdzieś tymczasem w spokojnym miejscu, aby łatwiej odnaleźć je po bitwie. Ale w tej samej chwili nowa fala wściekłości napłynęła mu do głowy i odjęła zupełnie przytomność, albowiem zamiast zjechać z drogi uderzył na knechtów i rzucił trupa na ostrza włóczni, które utkwivszy w jego piersiach, brzuchu i biodrach, pochylili się pod ciężarem, nim zaś knechci zdołali je wydobyć, szalenie runął przerwą w szeregi, przewracając ludzi jak burza.

W mgnieniu oka dziesiątki rąk wyciągnęły się ku niemu, dziesiątki włóczni przebiły bok konia, ale tymczasem szeregi zwichrzyły się i zanim przyszły do sprawy, wpadł naprzód jeden z bojarów żmujdzkich, który najbliżej się znajdował, po nim Zbyszko, po nim Czech, i straszliwy zamęt powiększał się z każdą chwilą. Inni bojarowie chwycili również za ciała poległych i poczęli je rzucać na ostrza: z boków natarli znów Żmujdzini. Cały sforny dotychczas zastęp zakolebał się, zatrząsł jak dom, w którym pękają ściany, rozszczerzył się jak drzewo pod klinem i wreszcie prysnął.

Bitwa zmieniła się w jednej chwili w rzeź. Długie dzidy niemieckie i berdysze stały się w ścisku nieużyteczne. Natomiast brzeszczoty konnych zgrzytały po czaszkach i karkach. Konie wpierały się w gęstwą ludzką, przewracając i tratując nieszczęsnych knechtów. Jeźdźcom łatwo było ciąć z góry, cięli więc bez odetchnienia i spoczynku. Z boków drogi wysypywały się coraz nowe gromady dzikich wojowników w wilczych skórach i z wilczą żądzą krwi w piersiach. Wycie ich głużyło błagalne głosy o litość i jęki konających. Zwycięzeni rzucali broń; niektórzy usiłowali wymknąć się do lasu; niektórzy, udając zabitych, padali na ziemię; niektórzy stali prosto, mając twarze blade jak śnieg i zmrużone oczy; inni modlili się; jeden, któremu umysł pomieszał się widocznie z przerażenia, począł grać na piszczałce, przy czym uśmiechał się, podnosząc w górę oczy, póki maczuga żmujdzka nie strzaskała mu głowy. Bór przestał szumieć, jakby się przeląkł śmierci.

Stopniała wreszcie garść krzyżacka. Czasem tylko w gąszczach zabrzmiał odgłos krótkiej walki lub przeraźliwy krzyk rozpacz. Zbyszko i Maćko, a za nimi wszyscy konni, skoczyli teraz ku jeździe.

Ta zaś broniła się jeszcze, ustawiona kręgiem, tak zawsze bowiem bronili się Niemcy, gdy nieprzyjaciel zdołał ich przeważną siłą otoczyć. Jeźdźcy, siedząc na dobrych koniach i w zbrojach lepszych od piechurów, walczyli mężnie i z godnym podziwu uporem. Nie było między nimi żadnego białego płaszcza, jeno przeważnie średnia i drob-

niejsza szlachta pruska, która miała obowiązek stawać do wojny na rozkaz Zakonu. Konie ich po większej części były także zbrojne, niektóre w kropierze, a wszystkie w żelazne naczółki z osadzonym w środku stalowym rogiem. Dowództwo nad nimi dzierżył wysoki, smukły rycerz w ciemnobłękitnym pancerzu i w takimże hełmie z zapuszczoną przyłbicą.

Z głębin leśnych padała na nich ulewa strzał, ale groty odbijały się bezskutecznie od naczółków, od pancerzy i hartownych naramienników. Wał pieszych i jezdnych Żmujdzinów otaczał ich z bliska, lecz oni bronili się, tnąc i bodąc długimi mieczami tak zażarcie, iż przed kopytami końskimi leżał wieniec trupów. Pierwsze szeregi napastników chciały się cofać i – parte z tyłu – nie mogły. Na ogół uczynił się ścisk i zamęt. Oczy olśniewały od migotania włóczni, od błysków mieczów. Konie poczęły kwiczeć, kąsać i wierzgać. Przypadli bojarzynie żmujdzcy, przypadł Zbyszko i Czech, i Mazurowie. Pod ich potężnymi ciosami poczęła się „kupia” chwiać i kołysać jak bór pod wichrem, oni zaś, na podobieństwo drwali rąbiących gęstwinę leśną, posuwali się z wolna naprzód w trudzie i znoju.

Lecz Maćko kazał zbierać na pobojuwisku długie berdysze niemieckie i uzbroiwszy nimi blisko trzydziestu dzikich wojowników, począł przeciskać się przez skrzęt ku Niemcom. Dotarwszy, krzyknął: „Konie po nogach!” – i wnet okazał się skutek straszliwy. Rycerze niemieccy nie mogli dosięgnąć mieczami jego ludzi, a tym czasem berdysze poczęły kruszyć okrutnie golenie końskie. Poznał wówczas błękitny rycerz, że nadchodzi koniec bitwy i że pozostaje tylko albo przebić się przez ten zastęp, który odcinał drogę powrotną, albo zginąć.

Wybrał to pierwsze – i w mgnieniu oka z jego rozkazu ława rycerzy zwróciła się czołem w stronę, z której nadeszła. Żmujdzini wnet wsiedli im na karki, atoli Niemcy, zarzuciwszy na plecy tarcze i tnąc od przodu i na boki, rozerwali otaczający ich pierścień, rozpuścili konie i poczęli gnać na kształt huraganu ku wschodowi. Skoczył im na spotkanie ów oddział, który właśnie nadjeżdżał do bitwy, lecz zgniecion przez przewagę zbroić i koni padł w jednej chwili pokotem jak łan zboża pod wichrem. Droga do zamku była wolna, ale ocalenie dalekie i niepewne, albowiem konie żmujdzkie ściągłejsze były od niemieckich. Błękitny rycerz zrozumiał to doskonale.

„Biada! – rzekł sobie w duszy – nie uratuje się z nich nikt, chyba że własną krwią okupię ich ratunek”.

I pomyślawszy to, począł krzyczeć na najbliższych, aby wstrzymali konie, sam zaś zatoczył koło – i nie bacząc, czy ktokolwiek posłuchał jego wezwania, zwrócił się czołem ku nieprzyjacielowi.

Zbyszko biegł pierwszy, więc uderzył go Niemiec w zakrywający oblicze okap od hełmu, ale go nie strzaskał i twarzy nie uszkodził. Wówczas Zbyszko zamiast odpowiedzieć cięciem na cięcie chwycił rycerza w pól, związał się z nim i pragnąc koniecznie wziąć go żywcem, usiłował wyciągnąć z siodła. Ale strzemię pękło mu od zbytniego parcia i spadli obaj na ziemię. Przez chwilę tarzali się, walcząc rękoma i nogami, wnet jednak niezwykle krzepki młodzian pokonał przeciwnika i przygniótłszy mu brzuch kolanami, trzymał pod sobą, jak wilk trzyma psa, który ośmielił się stawić mu w gęstwinie czoło.

I trzymał niepotrzebnie, gdyż Niemiec zemdłał. Tymczasem nadbiegli Maćko i Czech, których dostrzegłszy, Zbyszko począł wołać:

– Bywaj i wiąż! Znaczny to jakiś rycerz – i pasowany! Czech zeskokczył z konia, ale widząc bezwładność rycerza, nie związał go, natomiast rozbroił, odpiął naramienniki, odjął pas z wiszącą przy nim mizerykordią, poprzecinał rzemienie podtrzymujące hełm i – wreszcie zabrał się do śrub zamykających przyłbicę.

Lecz zaledwie spojrział w twarz rycerza, zerwał się i zawołał:

– Panie! panie! patrzcie tu jeno!

– De Lorche! – zakrzyknął Zbyszko. A de Lorche leżał z bladą, spotniałą twarzą i z zamkniętymi oczyma, bez ruchu, do trupa podobny.



## ROZDZIAŁ XX

Zbyszko kazał go włożyć na jeden ze zdobycznych wozów, naładowanych nowymi kołami i osiami dla owej wyprawy, która ciągnęła zamkowi w pomoc. Sam przesiadł się na innego konia i ruszyli razem z Maćkiem w dalszą pogoń za pierzchającymi Niemcami. Nie była to pogoń zbyt trudna, albowiem konie niemieckie złe były do ucieczki, zwłaszcza na znacznie rozmiękłym od wiosennych deszczów szlaku. Szczególnie Maćko, mając pod sobą ściągłą a lekką klacz po zabitym włodyce z Łękawicy, minął po kilku stajach wszystkich niemal Żmujdzinów i wnet potem dojechał pierwszego rajtara. Wezwał go wprawdzie, wedle rycerskiego zwyczaju, żeby albo się oddał w niewolę, albo zawrócił do walki, ale gdy ów, udając głuchego, cisnął nawet tarczę dla ulżenia koniowi i pochyliwszy się, bódł mu ostrogami boki, ciął go okrutnie stary rycerz szerokim toporem między łopatki – i zwałił z konia.

I tak mścił się na uciekających za ów zdradziecki postrzał, który niegdyś otrzymał, a oni zaś biegli przed nim na kształt stada jeleni, mając w sercu trwogę nieznośną, a w duszy chęć nie do walki ni do obrony, jeno do ucieczki przed strasznym mężem. Kilku wpadło w bór, ale jeden ulgnał przy ruczaju i tego zdusili powrozem Żmujdzini. Za pozostałymi całe gromady rzuciły się w gąszcza, w których wnet rozpoczęły się dzikie łowy, pełne wrzasków, okrzyków i nawoływań. Brzmiały nimi długo głębiny kniei, dopóki wszystkich nie pochwymano. Za czym stary rycerz z Bogdańca, a z nim Zbyszko i Czech wrócili na pierwsze pobojuwisko, na którym leżeli wycięci piesi knechtowie. Trupy ich były już poobdzierane do naga, a niektóre poszpecone okrutnie rękoma mściwych Żmujdzinów. Zwycięstwo było znaczne i lud upojon radością. Po ostatniej klęsce Skirwoiły pod samym Gotteswerder już zniechęcenie poczęło było ogarniać żmujdzkie serca, zwłaszcza że przyobiecane przez Witolda posiłki nie przychodziły tak prędko, jak się ich spodziewano; teraz jednakże odżyła nadzieja i zapał rozgorzał na nowo, właśnie jak płomień, gdy nowych na węgle dREW dorzucisz.

Zbyt wielu było poległych i Żmujdzinów, i Niemców, by ich grześć, lecz Zbyszko kazał wykopać dzidami doły dla dwóch włody-

ków z Łękawicy, którzy głównie przyczynili się do zwycięstwa, i pochować ich pod sosnami, na których korze wyciosał mieczem krzyże. Po czym, przykazawszy Czechowi pilnować pana de Lorche, który wciąż był nieprzytomny, ruszył ludzi i szedł śpiesznie tym samym szlakiem ku Skirwoille, aby na wszelki wypadek podać mu pomoc skuteczną.

Lecz po długim pochodzie trafił na puste już pobojuwisko, zasypane jak i poprzednie trupami Żmujdzinów i Niemców. Łatwo zrozumiał Zbyszko, że groźny Skirwoiło musiał też odnieść znaczne zwycięstwo, gdyby bowiem został rozbity, spotkaliby ciągnących ku zamkowi Niemców. Lecz zwycięstwo musiało być krwawe, gdyż dalej poza właściwym polem bitwy leżały jeszcze gęsto ciała poległych. Doświadczony Maćko wywnioskował z tego, że część Niemców zdołała się nawet wycofać z pogromu.

Czy Skirwoiło ścigał ich, czy nie, trudno było odgadnąć, gdyż ślady były błędne i zatarte jedne przez drugie. Wywnioskował jednakże również Maćko, że bitwa odbyła się dość dawno, wcześniej może od Zbyszkowej, albowiem trupy były poczerniałe i wzdęte, a niektóre nadzarte już przez wilki, które pierzchały w gąszcz za zbliżeniem się zbrojnych mężów..

Wobec tego postanowił Zbyszko nie czekać na Skirwoiłę i wrócić na dawne bezpieczne obozowisko. Przybywszy późną nocą, znalazł już tam żmujdzkiego wodza, który przyciągnął nieco wcześniej. Ponurą zwykle twarz jego rozświecała tym razem złowroga radość. Zaraz począł rozpytywać o bitwę, a dowiedziawszy się o zwycięstwie, rzekł głosem do krakania kruka podobnym:

– Z ciebiem rad i z siebiem rad. Nieprędko przyjdą posiłki, a jeśli kniaź wielki nadejdzie, będzie też rad, bo zamek będzie nasz.

– Kogoś wziął z jeńców? – spytał Zbyszko.

– Płóć jeno, żadnej szczuki. Była jedna, było dwie, ale uszły. Zębate szczuki! Ludzi nacięły i uszły!

– Mnie Bóg zdarzył jednego – odrzekł młodzian. – Można to rycerz i znamienity, chociaż świecki – gość!

A straszny Żmujdzin objął się za szyję rękoma, po czym prawicą uczynił gest, jakby pokazując idący w górę od szyi powróż.

– Będzie mu tak! – rzekł. – Tak jako i innym... tak. Na to Zbyszko zmarszczył brwi.

– Nie będzie mu ani tak, ani inak, gdyż to mój jeniec i przyjaciel. Razem nas książę Janusz pasował i jednym palcem tknąć ci go nie dam.

– Nie dasz?

– Nie dam.

I poczęli patrzeć sobie w oczy, marszcząc brwi. Zdawało się, że obaj wybuchną, lecz Zbyszko, nie chcąc kłótni ze starym wodzem, którego cenił i szanował, a mając przy tym serce rozkołysane wypadkami dnia, chwycił go nagle za szyję, przycisnął do piersi i zawołał:

– Zali chciałbyś mi go wydrzeć, a z nim i nadzieję ostatnią? Za co mnie krzywdzisz?

Skirwoiło nie bronił się uściskom, a wreszcie, wysunawszy głowę z ramion Zbyszka, począł spoglądać na niego spode łba i sapać.

– No – rzekł po chwili milczenia – jutro każę moich jeńców powieścić, ale jeśli ci który był potrzebny, to ci go też daruję.

Po czym uściskali się po raz wtóry i rozeszli w dobrej zgodzie ku wielkiemu zadowoleniu Maćka, który rzekł:

– Złością widać z nim nic nie wskórasz, ale dobrocią możesz go jako wosk ugnieść.

– Taki to już naród – odpowiedział Zbyszko – jeno Niemce o tym nie wiedzą.

I to rzekłszy, kazał przywieść przed ognisko pana de Lorche, który wypoczywał w szałasie; jakoż po chwili przyprowadził go Czech, rozbrojonego, bez hełmu, jeno w skórzanym kaftanie, na którym wyciśnięte były pręgi od pancerza, i w czerwonej miękkiej mycce na głowie. De Lorche wiedział już przez giermka, czym jest jeńcem, ale właśnie dlatego przyszedł chłodny, dumny, z twarzą, na której przy blasku płomienia można było czytać upór i wzgardę.

– Dziękuj Bogu – rzekł mu Zbyszko – iż cię podał w moje ręce, bo nic ci ode mnie nie grozi.

I wyciągnął ku niemu przyjaźnie dłoń, lecz de Lorche ani się poruszył.

– Nie podaję ręki rycerzom, którzy cześć rycerską pohańbili, z Saracenami przeciw chrześcijanom walcząc.

Jeden z obecnych Mazurów przełożył jego słowa, których znaczenia Zbyszko i tak się zresztą domyślił. Więc w pierwszej chwili zagołowała się w nim krew jak ukrop.

– Głupcze! – krzyknął, chwytając mimo woli za rękojęść mizerykordii.

A de Lorche podniósł głowę.

– Zabij mnie – rzekł – wiem, iż wy nie szczędzicie jeńców.

– A wy ich szczędzicie? – zawołał, nie mogąc znieść spokojnie takich stów, Mazur. – A to nie powiesiliście na brzegu wyspy wszystkich, których ujęliście w poprzedniej bitwie? Dlatego i Skirwoiło wieśsza waszych.

– Tak uczyniono – odrzekł de Lorche – ale to byli poganie. Jednakże widać było jakby pewien wstyd w jego odpowiedzi i nietrudno było odgadnąć, że w duszy takiego uczynku nie pochwałał.

Tymczasem Zbyszko ochłonął i ze spokojną powagą rzekł:

– De Lorche! Z jednych rąk dostaliśmy pasy i ostrogi; znasz mnie też i wiesz, że cześć rycerska nad życie i szczęście mi milsza – przeto słuchaj, co ci pod przysięgą na świętego Jerzego powiem: wielu z tych ludzi nie od wczoraj przyjęło chrzest, a ci, którzy nie są jeszcze chrześcijanami, jak do zbawienia wyciągają ręce do Krzyża, ale zali wiesz, kto im przeszkody czyni, do zbawienia nie dopuszcza i chrztu broni?

Mazur przetłumaczył w lot Zbyszkowe słowa, więc de Lorche spojrział pytającym wzrokiem w twarz młodzianka.

A ów zaś rzekł:

– Niemce!

– Nie może być! – zakrzyknął geldryjski rycerz.

– Na włócznię i na ostrogi świętego Jerzego, Niemce! Bo gdyby tu Krzyż zapanował, utraciliby pozór do najazdów, do panowania nad tą ziemią i do gnębienia tego nieszczęsnego ludu. Tyś ich przecie poznał, de Lorche, i wiesz najlepiej, zali sprawiedliwe są ich uczynki.

– Alem mniemał, że grzechy gładzą, z pogany walcząc i do chrztu ich nakłaniając.

– Chrzczą ci oni ich mieczem i krwią, nie wodą zbawienia. Czytaj jeno tę kartę, a wraz poznasz, czy nie ty to właśnie krzywdzicielom, drapieżnikom i starościcom piekielnym przeciw wierze i miłości chrześcijańskiej służysz.

To rzekłszy, podał mu list Żmujdzinów do królów i książąt, który bardzo był wszędy upowszechnion, a de Lorche wziął go i zaczął przebiegać oczyma przy blasku ognia.

I przebiegł prędko, albowiem nie była mu obcą trudna sztuka czytania, za czym zdumiał się niepomiernie i rzekł:

– Zali to wszystko prawda?

– Tak mnie i tobie dopomóż Bóg, któren najlepiej widzi, że nie własnej ja tu tylko sprawie, ale i sprawiedliwości służę.

De Lorche zamilkł na chwilę, po czym rzekł:

– Jeńcem twoim jestem.

– Daj rękę – odpowiedział Zbyszko. – Bratem moim jesteś, nie jeńcem.

Więc podali sobie prawice i zasiedli do wspólnej wieszery, którą Czech kazał przygotować pachołkom. Podczas posiłku de Lorche dowiedział się z nie mniejszym zdumieniem, że Zbyszko mimo listów nie odzyskał Danusi i że komturowie zaprzeczyli ważności giejtom z powodu wybuchu wojny.

– To teraz rozumiem, dlaczegoś tu jest – rzekł do Zbyszka – i dziękuję Bogu, że ci mnie jeńcem oddał, bo tak myślę, że za mnie oddadzą ci zakonni rycerze, kogo zechcesz, gdyż inaczej wielki byłby krzyk na Zachodzie, albowiem z możnego rodu pochodzę...

Tu uderzył się nagle dłonią w myckę i zawołał:

– Na wszystkie relikwie z Akwizgranu! Toż na czele posiłków, które nadciągały do Gotteswerder, stali Arnold von Baden i stary Zygfryd von Lowe. Wiemy to z listów, które do zamku przysły. Zali ich nie wzięto w niewolę?

– Nie! – rzekł, zrywając się, Zbyszko. – Nikogo ze znaczniejszych! ale prze Bóg! wielką mi nowinę powiadasz. Prze Bóg! są inni jeńce, od których dowiem się, nim ich powieszają, czyli nie było jakiej niewiasty przy Zygfrydzie.

I począł wołać na pachołków, aby świecili mu łuczywem, i biegł w stronę, gdzie byli pobrani przez Skirwoiłłę jeńce. De Lorche, Maćko i Czech biegli z nim razem.

– Słuchaj! – mówił mu po drodze Geldryjczyk. – Puścisz mnie na słowo i sam w całych Prusiech będę jej szukał, a gdy ją znajdę, wrócę do ciebie i wówczas mnie na nią wymienisz.

– Jeżeli żywa! jeżeli żywa! – odrzekł Zbyszko. Ale tymczasem pobiegli do ławy Skirwoiłłowych jeńców. Jedni z nich leżeli na wznak, drudzy stali przy pniach, okrutnie przykrępowani do nich łykiem. Łuczywo jasno oświecało głowę Zbyszka, więc wszystkie oczy nieszczęślików zwróciły się ku niemu.

Wtem z głębi zawołał jakiś donośny, pełen przerażenia głos:

– Panie mój i obrońco, ratuj mnie!

Zbyszko porwał z rąk pachołka parę płonących szczepów, skoczył z nimi do drzewa, spod którego dochodził głos, i podniósłszy je w górę, zawołał:

– Sanderus!

– Sanderus! – powtórzył ze zdumieniem Czech.

A ów, nie mogąc poruszyć skrępowanymi rękoma, wyciągnął szyję i jął znowu wołać:

– Miłosierdzia!... wiem, gdzie jest córka Juranda!... ratujcie mnie!

## ROZDZIAŁ XXI

Pachołkowie rozwiązali go zaraz, lecz on, mając członki zdętwiałe, upadł na ziemię, a gdy go podniesiono, począł mdleć raz po raz, gdyż był i srodze poturbowan. Próżno z rozkazu Zbyszka zawiedziono go przed ognisko, dano jeść i pić, natarto sadłem, a następnie okryto ciepło skórami;

Sanderus nie mógł przyjść do siebie, a następnie zapadł w sen tak głęboki, że zaledwie na drugi dzień w południe zdołał go Czech rozbudzić.

Zbyszko, którego niecierpliwość paliła jak ogień, przyszedł do niego natychmiast. Z początku nie mógł się jednak niczego dowiedzieć, albowiem czy to ze strachu po strasznych przejściach, czy z folgi, jaka ogarnia zwykle słabe dusze, gdy grożące im niebezpieczeństwo przeminie, porwał Sanderusa płacz tak niepohamowany, iż próżno usiłował odpowiadać na zadawane mu pytania. Łkanie ścisnęło mu gardło, wargi się trzęsły, a z oczu płynęły łzy tak obfite, jakby życie miało razem z nimi wypłynąć.

Wreszcie, przemógłszy się nieco i pokrzepion kobyli mlekiem, którym Litwa nauczyła krzepić się od Tatarów, począł biadać, że go „synowie Beliala” zbili na leśne jabłko dzidami, że mu zabrali konia, na którym wiózł relikwie wyjątkowej mocy i ceny, a na koniec, że gdy go przykrępowano do drzewa, mrówki pogryzły mu tak nogi i całe ciało, iż czeka go na pewno śmierć, nie dziś, to jutro.

Lecz Zbyszka chwycił w końcu gniew, więc porwał się i rzekł:

– Odpowiadaj, powsinogo, na to, o co pytam, i bacz, aby cię coś gorszego nie spotkało!

– Jest tu opodal mrowisko czerwonych mrówek – ozwał się Czech.

– Każcie go, panie, na nim położyć, a wnet język w gębie odnajdzie.

Hława nie mówił tego szczerze i uśmiechał się nawet, albowiem w sercu miał dla Sanderusa życzliwość, lecz ów przeraził się i jał wołać:

– Miłosierdzia! miłosierdzia! Dajcie mi jeszcze tego pogańskiego napitku, a opowiem wszystko, com widział i czegom nie widział!

– Jeśli choć słowo zelżesz, wbiję ci klin między zęby! – odrzekł Czech.

Lecz zbliżył mu powtórnie do ust bukłak z kobyliim mlekiem, ów zaś chwycił go, przywarł do niego chciwie ustami jak dziecko do piersi matki i począł łykać, otwierając i zamykając na przemian oczy. Aż gdy wyciągnął ze dwie kwarty lub więcej, otrząsnął się, położył sobie na kolanach bukłak i rzekł, jakby się poddając konieczności:

– Paskudztwo!...

Po czym do Zbyszka:

– Ale teraz pytaj, zbawco!

– Była-li moja niewiasta w tym oddziale, z którym szedłeś? Na twarzy Sanderusa odbiło się pewne zdziwienie. Słyszał on był wprawdzie, że Danusia była żoną Zbyszka, ale że ślub był tajny i że zaraz ją porwano, więc w duszy zawsze myślał o niej tylko jako o Jurandowej córce. Jednakże odpowiedział z pośpiechem:

– Tak, wojewodo! była! ale Zygfryd de Lowe i Arnold von Baden przebili się przez nieprzyjaciół.

– Widziałeś ją? – pytał z bijącym sercem młodzian.

– Oblicza jej nie widziałem, panie, ale widziałem między dwoma końmi kolebkę z wikliny, całkiem zamkniętą, w której kogoś więzli, i strzegła jej ta sama jaszczurka, ta sama służka zakonna, która przyjeżdżała od Danvelda do leśnego dworu. A i śpiewanie słyszałem też żałosne z kolebki dochodzące...

Zbyszko aż pobladł ze wzruszenia, siadł na pniu i przez chwilę nie wiedział, o co pytać więcej. Maćko i Czech byli też wzruszeni niepomniernie, gdyż ważną i wielką usłyszeli nowinę. Czech pomyślał może przy tym o tej swojej kochanej pani, która została w Spychowie, a dla której wiadomość ta była jakby wyrokiem na niedolę.

Nastąpiła chwila milczenia.

Wreszcie chytry Maćko, który Sanderusa nie znał – i zaledwie coś o nim poprzednio zasłyszał, spojrział na niego podejrzliwie i spytał:

– Coś ty za jeden? i coś robił między Krzyżaki?

– Com za jeden, wielmożny rycerzu – odpowiedział włóczęga – niech i na to odpowiedzą: ten waleczny książę – tu wskazał Zbyszka – i ten mężny czeski hrabia, którzy mnie znają od dawna.

Tu widocznie kumys począł na niego działać, bo się ożywił i zwróciwszy się do Zbyszka, począł mówić donośnym głosem, w którym nie było już ani śladu poprzedniego osłabienia:

– Panie, ocaliliście mi podwójnie życie. Bez was byłiby mnie wilcy zjedli albo dosięgła kara biskupów, którzy wprowadzeni w błąd przez moich nieprzyjaciół (o, jak ten świat jest niegodziwy!), wydali rozkaz



ścigania mnie za sprzedaż relikwii, których podejrzewali prawdziwość. Ale ty, panie, przygarnąłeś mnie;

dzięki tobie i wilcy mnie nie strawili, i pościg nie mógł mnie dosięgnąć, albowiem brano mnie za jednego z twoich ludzi. Nigdy też nie zbrakło mi przy tobie ni jadła, ni napoju – lepszego niż to tu kobyle mleko, którym się brzydę, ale którego napiję się jeszcze, aby okazać, że ubogi, pobożny pielgrzym nie cofa się przed żadnym umartwieniem.

– Gadaj, skomorochu, żywo, co wiesz, i nie błaznuj! – zawołał Maćko.

Lecz ów podniósł powtórnie bukłak do ust, opróżnił go całkowicie i jakby nie słysząc słów Maćkowych, zwrócił się znów do Zbyszka:

– Za to też pokochałem cię, panie. Święci, jak mówi Pismo, dziewięć razy na godzinę grzeszyli, więc i Sanderusowi czasem zdarzy się zgrzeszyć, ale Sanderus nie był i nie będzie niewdzięcznikiem. Przeto gdy przyszło na cię nieszczęście, pamiętasz, panie, com ci rzekł: oto pójdę od zamku do zamku i nauczając ludzi po drodze, będę szukał twojej straty. Kogom nie pytałem! gdzieś nie byłem! – długo by mówić; dość, że znalazłem, i od tej chwili nie tak rzep przyczepiłem się do opończy, jako ja przyczepiłem się do starego Zygryda. Uczyniłem się sługą jego i od zamku do zamku, od komturii do komturii, od miasta do miasta chodziłem za nim bez przestanku aż do tej ostatniej bitwy.

Zbyszko tymczasem opanował wzruszenie i rzekł:

– Wdzięcznym ci jest i nie ominie cię nagroda. Ale teraz opowiadaj, o co zapytam: zali przysięgniesz mi na zbawienie duszy, że ona żyje?

– Przysięgam na zbawienie duszy! – odrzekł poważnie Sanderus.

– Czemu Zygryd opuścił Szczytno?

– Nie wiem, panie, jeno się domyślam: nie był ci on nigdy starostą w Szczytnie, a opuścił je, może bojąc się rozkazów mistrza, który jako mówiono, pisał do niego, aby brankę oddał księżnie mazowieckiej. Może przed owym pismem uciekał, gdyż dusza zapiekła się w nim od bóleści i pomsty za Rotgiera. Powiadają teraz, że to był jego syn. I nie wiem, jako tam było, jeno wiem, że aż mu się coś w głowie pomieszało z zaciekłości i że póki żyw, póty córki Jurandowej – chciałem rzec: młodej pani – z rąk nie popuści.

– Dziwne mi się to wszystko zdawa – przerwał nagle Maćko – bo gdyby ów stary pies taki był na całą Jurandową krew zawzięty, toby był Danuškę zabił.

– I chciał to uczynić – odparł Sanderus – ale coś ci go takiego potkało, że aż potem ciężko zachorzał i o mało ostatniej pary nie puścił. Siła o tym szepcą sobie jego ludzie. Niektórzy prawią, jako idąc nocą na wieżę, aby młodą panią zamordować, napotkał złego ducha – inni, że właśnie anioła. Dość, że go znaleziono na śniegu przed wieżą całkiem bez duszy. Teraz jeszcze gdy o tym wspomni, to mu włosy dębem stają na głowie, a przez to i sam nie śmie podnieść na nią ręki, i boi się innym rozkazać. Wozi z sobą niemowę, dawnego kata szczytnieńskiego, ale nie wiadomo dlaczego, bo ów się też boi jako i wszyscy.

Słowa te uczyniły wielkie wrażenie. Zbyszko, Maćko i Czech zbliżyli się do Sanderusa, który przeżegnał się i tak dalej mówił:

– Niedobrze tam być między nimi. Nieraz słyszałem i widziałem rzeczy, od których ciarki po skórze chodzą. Waszym miłościom mówiłem już, że staremu komturowi popsowało się coś w głowie. Ba, jako że inaczej miało być, kiedy go duchy z tamtego świata nawiedzają! Byle sam został, poczyną coś koło niego sapać tak właśnie, jakby komuś tchu nie stawało. A to jest ów Danveld, którego zabił straszny pan ze Spychowa. To Zygfyrd mówi mu: „Czego? Msze ci na nic, po cóż przychodzisz?” A tamten tylko zgrzytnie i potem znów sapie. Ale częściej jeszcze przychodzi Rotgier, po którym też siarką w izbie czuć, i z nim jeszcze więcej komtur rozmawia: „Nie mogę, mówi mu, nie mogę! Jak sam przyjdę, to wówczas, ale teraz nie mogę!” Słyszałem także, jak się go pytał: „Zali ci to ulży, synku?” I tak ciągle. A i to bywa, że przez dwa albo i trzy dni do nikogo słowem się nie odezwie, na twarzy zaś widać mu boleść okrutną. Kolebki onej pilnie strzeże i on, i ta służka zakonna, tak że młodej pani nikt nigdy dojrzeć nie może.

– Nie znęcają się nad nią? – spytał głucho Zbyszko.

– Szczerą prawdę waszej miłości powiem, zem bicia i krzyków nie słyszał, ale śpiewanie żalosne tom słyszał, a czasem jakoby ptak kwilił...

– Gorze! – ozwał się przez zaciśnięte zęby Zbyszko. Lecz Maćko przerwał dalsze pytania.

– Dość tego – rzekł. – Praw teraz o bitwie. Widziałeś? Jako-że uszli i co się z nimi stało?

– Widziałem – odpowiedział Sanderus – i wiernie opowiem. Bili się z początku okrutnie, ale gdy poznali, że ich oskoczono ze wszystkich stron, dopieroż poczęli myśleć, jakoby się wyrwać. I rycerz Arnold, który jest prawy olbrzym, pierwszy rozerwał koło i taką drogę

otworzył, że przedostał się przez nią i stary komtur razem z kilkoma ludźmi i z kolebką, która była między dwoma końmi przywiązana.

– A to pogoni nie było? Jakże się stało, że ich nie dościgli?

– Pogoń była, ale nie mogła nic poradzić, bo jak dotarła zbyt blisko, to rycerz Arnold zwracał się ku niej i potykał się ze wszystkimi. Boże broń każdego od spotkania się z nim, gdyż to jest człek tak strasznej siły, że nic mu to – i ze stoma się potykać. Trzy razy się tak zwracał, trzy razy pościg wstrzymał. Ludzie, co byli przy nim, poginęli – wszyscy. Sam on był, widzi mi się, że ranny i konia miał rannego, ale ocalał, a przy tym dał czas staremu komturowi do przepiecznej ucieczki.

Maćko, słuchając tego opowiadania, pomyślał jednak, że Sanderus prawdę mówi, przypomniał sobie bowiem, iż począwszy od miejsca, w którym Skirwoiło stoczył bitwę, droga na długiej przestrzeni w stronę odwrotną pokryta była trupami Zmujdzinów, pociętych tak strasznie, jakby ich pobiła ręka olbrzyma.

– Wszelako jakżeś ty to wszystko mógł widzieć? – zapytał Sanderusa.

– Widziałem to – odparł włóczęga – bom się chycił za ogon jednego z tych koni, które niosły kolebkę, i uciekałem razem, pókim nie dostał kopytem w brzuch. Naonczas mnie zemdlilo i dlatego się dostał w ręce waszmościów.

– Juźci, mogło się tak przygodzić – rzekł Hlawa – ale ty bacz, abys czego nie zełgał, gdyż źle byś na tym wyszedł!

– Znak jeszcze jest – odpowiedział Sanderus – kto chce, może go zobaczyć; wszelako lepiej jest na słowo uwierzyć niż być potępionym za niedowiarstwo.

– Choćbyś i prawdę czasem niechcący rzekł, będziesz wył za świętokupstwo.

I poczęli się przekomarzać, jak to mieli zwyczaj czynić dawniej, lecz dalszą rozmowę przerwał Zbyszko:

– Szedłeś tamtym krajem, więc go znasz. Jakież tam są w pobliżu zamki i gdzie, jak mniemasz, mogli się schronić Zygryd i Arnold?

– Zamków tam w pobliżu nijakich nie masz, gdyż wszystko tam jedna puszcza, przez którą niedawno przerąbany jest ów gościniec. Wsi i osad też nie ma, bo co było, to sami Niemcy popalili wskrós tej przyczyny, że jak się zaczęła ta wojna, to tamtejszy lud, który z tego samego plemienia co i tutejszy pochodzi, podniósł się także przeciw krzyżackiemu panowaniu. Ja myślę, panie, że Zygryd i Arnold tułają się teraz po boru i albo będą chcieli wrócić, skąd przyśli, albo przedostać

się ukradkiem do onej fortecy, do której ciągnęliśmy przed nią nie-szczęsną bitwą.

– Pewnikiem tak i jest! – rzekł Zbyszko.

I zamyślił się głęboko. Ze zmarszczonych jego brwi i skupionego oblicza łatwo było wymiarkować, z jakim rozmyśla wysiłkiem, ale nie trwało to długo. Po chwili podniósł głowę i rzekł:

– Hlawa! niech konie i pachołcy będą gotowi, bo wraz ruszamy w drogę.

Giermek, który nie miał nigdy zwyczaju zapytywać się o powody rozkazów, podniósł się i nie rzekłszy ni słowa, skoczył ku koniom; natomiast Maćko wytrzeszczył na bratanka oczy i zapytał ze zdumieniem:

– A... Zbyszko? Hej! A ty dokąd? Co?... Jakoże?... Lecz ów odpowiedział równie pytaniem:

– A wy co myślicie? Zalim nie powinien?

Na to zamilkł stary rycerz. Zdumienie gasło stopniowo na jego twarzy; ruszył głową raz i drugi, a wreszcie odetchnął z głębi piersi i rzekł, jakby odpowiadając sobie samemu:

– No! jużci... Nie ma rady!

I poszedł też ku koniom. Zbyszko zaś zwrócił się do pana de Lorche i za pośrednictwem umiającego po niemiecku Mazura rzekł mu:

– Tego od ciebie nie mogę chcieć, abyś mi przeciw tym ludziom pomagał, z którymi pod jedną chorągwią służyłeś, przeto jesteś wolny i jedź, gdzie chcesz.

– Nie mogę ci teraz mieczem przeciw czci mojej rycerskiej pomagać – odparł de Lorche – ale co do wolności, to też nie. Zostaję twoim jeńcem na słowo i stawię się na wezwanie, dokąd każesz. A ty w razie jakowejś przygody pamiętaj, że za mnie każdego jeńca Zakon wymieni, gdyż nie tylko z możnego, lecz i zasłużonego Krzyżakom rodu pochodzę.

I poczęli się żegnać, położywszy sobie wedle zwyczaju dłonie na ramionach i całując się w policzki, przy czym de Lorche rzekł:

– Pojadę do Malborga albo na dwór mazowiecki, abyś wiedział, że jeśli nie tu, to tam mnie znajdziesz. Poseł twój niech mi jeno powie dwa słowa: Lotaryngia–Geldria!

– Dobrze – odpowiedział Zbyszko. – Pójdę jeszcze do Skirwoiły, by ci dał znak, którego Żmujdzini szanują.

Po czym udał się do Skirwoiły. Stary wódz dał znak i nie czynił żadnych trudności co do odjazdu, wiedział bowiem, o co chodzi, lu-

bił Zbyszka, był mu wdzięczny za ostatnią bitwę i przy tym nie miał żadnego prawa zatrzymywać rycerza, który należał do innego kraju, a przyszedł tylko z własnej ochoty. Więc dziękując za znaczną usługę, jaką oddał, opatrzył go żywnością, która w opustoszałym kraju przydać się mogła, i pożegnał życzeniem, aby kiedyś w życiu mogli się jeszcze napotkać w jakiejś wielkiej i ostatecznej z Krzyżakami rozprawie.

Temu zaś śpieszno było, albowiem trawiła go jakby gorączka. Ale przyszedłszy do pocztu, zastał wszystko gotowe, a między ludźmi i stryja Maćka już na koniu, uzbrojonego w kolczugę i w hełmie na głowie. Więc zbliżywszy się do niego, rzekł:

– To i wy ruszacie ze mną?

– A zaś co mam robić? – spytał nieco opryskliwie Maćko. Na to Zbyszko nie odrzekł nic, pocałował tylko zbrojną prawicę stryja, po czym siadł na koń i ruszyli.

Sanderus jechał z nimi. Drogę aż do pobojuwiska wiedzieli dobrze, ale dalej on miał być przewodnikiem. Liczyli też i na to, że jeśli napotkają gdzie w lasach chłopów miejscowych, to ci, jako nienawidzący swych panów krzyżackich, pomogą im w tropieniu starego komtura i owego Arnolda von Baden, o którego nadludzkiej mocy i męstwie tyle Sanderus opowiadał.

## ROZDZIAŁ XXII

Do pobojowiska, na którym Skrwoiło wyciął Niemców, droga była łatwa, bo znajoma. Dotarli też do niego rychło, ale przejechali je pośpiesznie z przyczyny nieznośnego zaduchu, jaki wydawały nie pogrzebione ciała. Przejeżdżając, spędzili prócz wilków ogromne stada wron, kruków i kawek, po czym jęli szukać na szlaku śladów. Jakkolwiek przeszedł tą drogą poprzednio cały oddział, jednakże doświadczony Macko znalazł bez trudu na stratowanej ziemi wyciski olbrzymich kopyt idące w kierunku powrotnym i tak począł mniej biegłej w wojennych sprawach młodzieży rzecz objaśniać:

– Szczęście, iż od bitwy nie było deszczu. Baczcie jeno: koń Arnoldów jako niosący męża nad miarę wielkiego, musiał też być ogromny, a i to łącno wymiarkować, że cwałując w ucieczce, mocniej nogami bił w ziemię, niż idąc powoli w tamtą stronę, a przeto i większe powybijał doły. Patrz, któren masz oczy, jako na wilgotnych miejscach znać podkowy! Da Bóg, wysłakujemy psu bratów godnie, byle przedtem gdzie za murami ochrony nie znaleźli.

– Sanderus mówił – odpowiedział Zbyszko – że nie masz tu w pobliżu zamków, i tak to jest, gdyż kraj ten świeżo Krzyżacy zajęli i nie zdążyli się w nim pobudować. Gdzie im się schronić? Chłopi, którzy tu mieszkali, są w obozie u Skirwoiły, bo to ten sam lud, co i Żmujdzini... Wsie, jako mówił Sanderus, sami Niemcy popalili, a baby z dziećmi w głębiach borowych zatajone. Byle koni nie żałować, to ich dognamy.

– Koni trzeba żałować, bo choćby się nam i udało, to potem w nich zbawienie nasze – rzekł Macko.

– Rycerz Arnold – wtrącił Sanderus był w bitwie kiścieniem po plecach uderzon. Nie zważał na to, z początku bił się i zabijał, ale później musiało go rozebrać, bo tak zawsze bywa, że zrazu nic, a potem boli. Z tej przyczyny nie lża im zbyt prędko umykać, a może trzeba będzie i wypoczywać.

– A ludzi, mówiłeś, nie ma przy nich nijakich? – zapytał Macko.

– Jest dwóch, którzy między siodłami kolebkę wiozą, a prócz nich rycerz Arnold i stary komtur. Była spora garść i innych, ale tych Żmujdzini, dognawszy, pozabijali.

– Tak ma być – rzekł Zbyszko – że tych ludzi, co przy kolebce, nasi pacholki powiążą, wy, stryjku, chycicie starego Zygrydy, a ja na Arnolda uderzę.

– No! – odpowiedział Macko – jużci, Zygrydowi poradzę, bo za łaską Pana Jezusową moc w kościach żywie! Ale ty sobie zbyt nie du-faj, bo tamten ma być wielkolud!

– O wa! obaczmy! – odparł Zbyszko.

– Krzepkiś jest, tego nie przeczę, ale przecie są tężsi od ciebie. Za-liś to zabaczył o tych naszych rycerzach, którycheśmy w Krakowie wi-dzieli? A panu Powale z Taczewa dałbyś rady? a panu Paszkowi Zło-dziejowi z Biskupic, a tym bardziej Zawiszy Czarnemu? co? Nie pusz zbytnio i bacz, co chodzi.

– Rotgier był też nie ułomek – mruknął Zbyszko.

– A dla mnie znajdzie się robota? – spytał Czech. Lecz nie otrzymał odpowiedzi, gdyż myśl Maćka była zajęta czym innym.

– Jeśli nam Bóg pobłogosławi – rzekł – to byle się potem do puszczy mazowieckich dostać! Tam już będziemy przezpieczni i raz się wszystko skończy.

Lecz po chwili westchnął, pomyślawszy zapewne, że i wówczas jeszcze nie wszystko się skończy, trzeba bowiem będzie coś zrobić z nieszczęsną Jagienką.

– Hej! – mruknął – dziwne są wyroki boskie. Nieraz ja o tym my-śle, czemu też to nie przypadło na cię spokojnie się ożenić, a mnie spo-kojnie przy was siedzieć... Bo przecie najczęściej tak bywa – i wśród wszystkiej ślachty w naszym królestwie my jedni tylko włóczym się ot po różnych krajach i wertepach, miast doma gospodarzyć po bożemu.

– Ano! prawda jest, ale wola boska! – odpowiedział Zbyszko. I czas jakiś jechali w milczeniu, po czym znów stary rycerz zwrócił się do synowca:

– Ufasz ty temu powsinodze? Co to za jeden?

– Człek jest lekki i może nicpoń, ale dla mnie okrutnie życzliwy i zdrady się od niego nie boję.

– Jeśli tak, niechże jedzie naprzód, bo jeśli ich zgoni, tedy się nie spłoszą. Powie im, że z niewoli uciekł, czemu łącno uwierzą. Lepiej tak będzie, bo gdyby nas z dała ujrzeli, to alboby zdołali się gdzie zataić, albo obronę przygotować.

– W nocy on sam naprzód nie pojedzie, bo jest strachliwy – odrzekł Zbyszko – ale w dzień pewnie, że tak będzie lepiej. Powiem mu, żeby trzy razy w dzień zatrzymywał się i czekał na nas; jeśli zaś nie znajdziem go na postoju, to będzie znak, że już jest z nimi, i wtedy pojechawszy jego śladem, uderzymy na nich niespodzianie.

– A nie ostrzeże ich?

– Nie. Lepiej on mnie życzy niż im. Powiem mu też, że napadłszy na nich, zwiążem i jego, by się zaś ich pomsty później nie potrzebował bać. Niech się do nas wcale nie przyznaje...

– To ty myślisz tamtych żywych ostawić?

– Ajakoże ma być? – odpowiedział nieco frasobliwie Zbyszko. – Widzicie... Żeby to było na Mazowszu albo gdzie u nas, tobyśmy ich pozwali, jako Rotgiera pozwałem, i potykali się na śmierć, ale tu w ich kraju nie może to być... Tu chodzi o Danuškę i o pośpiech. Trzeba się duchem i cicho sprawić, aby biedy na się nie napytać, a potem, jakoście rzekli, co pary w koniach walić do puszczy mazowieckich. Uderzywszy zaś niespodzianie, może zaskoczym ich bez zbroi, ba i bez mieczów! To jakoże ich zabijać? Hańby mi strach! Obaśmy teraz pasowani, a i oni także...

– Jużci – rzekł Macko. – Ale może i do potkania się przyjść. Lecz Zbyszko zmarszczył brwi i w twarzy odbiła mu się głęboka zawziętość, wrodzona widocznie wszystkim mężom z Bogdańca, albowiem w tej chwili stał się, zwłaszcza ze spojrzenia, tak do Maćka podobny, jakby był jego rodzonym synem.

– Czego bym też chciał – rzekł głucho – to cisnąć tego krwawego psa, Zygryda, pod nogi Jurandowi! Dajże to Bóg!

– A dajże, daj – powtórzył zaraz Macko.

Tak rozmawiając, ujechali spory szmat drogi, gdyż zapadła noc pogodna wprawdzie, ale bez miesiąca. Trzeba się było zatrzymać, dać wytchnąć koniom i ludzi pokrzepić jadłem i snem. Przed spoczynkiem zapowiedział jednakże Zbyszko Sanderusowi, że nazajutrz ma sam jechać naprzód, na co ten zgodził się chętnie, wymówiwszy sobie tylko, by w razie niebezpieczeństwa od zwierza lub miejscowego ludu miał prawo ku nim uciekać. Prosił też, by nie trzy, ale cztery razy wolno było czynić postoje, gdyż w samotności ogarnia go zawsze jakowys niepokój, nawet w zbożnych krainach, a cóż dopiero w boru tak dzikim i szkaradnym jak ów, w którym znajdują się obecnie.

Rozłożyli się tedy na nocleg i pokrzepiwszy siły jadłem, pokładli się na skórach przy małym ognisku, nanieconym pod wykrotem o pół



stajania od drogi. Pacholicy pilnowali kolejno koni, które wytarzawszy się, drzemały po zjedzeniu obroków, zakładając sobie wzajem głowy na karki. Lecz zaledwie pierwszy brzask osrebrzył drzewa, zerwał się pierwszy Zbyszko, pobudził innych i o świcie ruszyli w dalszy pochód. Ślady olbrzymich kopyt Arnoldowego ogiera odnalazły się znów bez trudności, albowiem zaschły w niskim błotnistym zwykle gruncie i utrwaliły się od posuchy. Sanderus wyjechał naprzód i znikł im z oczu, wszelako na połowie czasu między wschodem słońca a południem znaleźli go na postoju. Powiedział im, że nie widział żywej duszy prócz wielkiego tura, przed którym jednakże nie umykał, ponieważ zwierz pierwszy zeszedł mu z drogi. Natomiast o południu, przy pierwszym posiłku, oświadczył, iż ujrzał chłopca, bartodzieja z leziwem, i nie zatrzymał go tylko z obawy, że w głębi boru mogło się ich znajdować więcej. Próbował go o to i owo wypytywać, ale nie mogli się rozmówić.

W czasie następnego pochodu Zbyszko począł się niepokoić. Co będzie, jeśli przyjadą w okolice wyższe i suchsze, gdzie na twardym szlaku znikną widoczne dotąd ślady? Również gdyby pościg trwał zbyt długo i doprowadził ich do kraju ludniejszego, w którym mieszkańcy przyzwyczaili się już z dawna do posłuszeństwa Krzyżakom, napad i odebranie Danusi stałoby się prawie niepodobnym, albowiem choćby Zygryda i Arnolda nie

ubezpieczyły mury jakiego zamku lub gródka, ludność miejscowa wzięłaby z pewnością ich stronę.

Lecz na szczęście obawy te okazały się płonne, gdyż na następnym postoju nie znaleźli o umówionej porze Sanderusa, a natomiast odkryli na sośnie, stojącej tuż przy drodze, wielki zacios w kształcie krzyża, świeżo widocznie uczyniony. Wówczas spojrzeli na się i spoważniały im twarze, a serca poczęły bić żywiej. Macko i Zbyszko zeskoczyli natychmiast z siodeł,

by zbadać ślady na ziemi, i szukali pilnie, ale niedługo, gdyż same rzucały się w oczy.

Sanderus widocznie zjechał z drogi w bór, idąc za wyciskami wielkich kopyt, nie tak głębokimi jak na gościńcu, ale dość wyraźnymi, grunt bowiem był tu torfiasty i ciężki koń wtlaczał za

każdym krokiem igliwie hacelami, po których zostawały czarniawe po brzegach dołki.

Przed bystrymi Zbyszkwymi oczyma nie ukryły się i inne wyciski, więc siadł na koń, a Maciek za nim i poczęli się naradzać z sobą i Czechem cichymi głosami, jakby nieprzyjaciel był tuż.

Czech radził, by zaraz pójść piechotą, ale oni nie chcieli tego czynić, nie wiedzieli bowiem, jak daleko przyjdzie im jechać borem. Piesi pacholkiwie mieli ich jednak poprzedzać i w razie dostrzeżenia czego dać im znać, aby byli w pogotowiu.

Jakoż niebawem ruszyli w bór. Drugi zacios na sośnie upewnił ich, iż nie stracili śladu Sanderusa. Wkrótce też dostrzegli, że są na dróżce, a przynajmniej na perci leśnej, którą nieraz ludzie musieli przechodzić. Wówczas byli już pewni, że znajdą jakąś osadę leśną, a w niej tych, których szukają.

Słońce zniżyło się już nieco i świeciło złotem między drzewami. Wieczór zapowiadał się pogodny. Bór był cichy, albowiem zwierz i ptactwo miało się ku spoczynkowi. Gdziekolwiek tylko wśród świecących w słońcu gałęzi migały wiewiórki, całkiem od wieczornych promieni czerwone. Zbyszko, Macko, Czech i pacholcy jechali jeden za drugim, gęsiego. Wiedząc, że piesi pacholcy znacznie są na przedzie i że w porę ostrzegą, stary rycerz mówił tymczasem do bratanka, nie tłumiąc zbytnio głosu:

– Porachujmy się ze słońkiem – mówił. – Od ostatniego postoju do miejsca, w którym był zacios, ujechaliśmy okrutny szmat drogi. Na krakowskim zegarze byłoby godzin ze trzy... To tedy Sanderus dawno jest między nimi i miał czas opowiedzieć im swoje przygody. Byle jeno nie zdradził.

– Nie zdradzi – odrzekł Zbyszko.

– I byle mu uwierzyli – kończył Macko – bo jeśli nie uwierzą, to będzie z nim źle.

– A czemu by zaś nie mieli uwierzyć. Albo to o nas wiedzą? A przecie jego znają. Nieraz zdarzy się brańcowi z niewoli uciec.

– Bo mnie o to chodzi, że jeśli powiedział im, iż z niewoli ucieka, to może pościgu się za nim bali i zaraz ruszyli.

– Nie. Potrafi on klimkiem rzucić. A to rozumieją, że pościg tak daleko by nie poszedł.

Na czas umilkli, lecz po chwili Maćkowi zdało się, że Zbyszko coś szepce do niego, więc się odwrócił i zapytał:

– Jako powiadasz?

Ale Zbyszko oczy miał wzniesione w górę i nie do Maćka szeptał, tylko polecał Bogu Danuskę i swoje śmiałe przedsięwzięcie.

Macko począł się też żegnać, ale zaledwie uczynił pierwszy znak krzyża, gdy jeden z posłanych naprzód pacholików wysunął się ku nim nagle z leszczynowych gąszczów:

– Smolarnia! – rzekł. – Są!

– Stój! – szepnął Zbyszko i w tej samej chwili zeskoczył z konia.

Za nim zeskoczył Macko, Czech i pacholikowie, z których trzech dostali rozkaz, aby zatrzymali się z końmi, mając je w pogotowiu i bacząc, aby broń Boże który z rumaków nie zarżał. Pięciu pozostałym rzekł Macko:

– Będzie tam dwóch masztalerzy i Sanderus, których w mig mi powiążecie, a gdyby któren zbrojny był i chciał się bronić, to go w łeb.

I ruszyli zaraz naprzód. Po drodze szepnął jeszcze Zbyszko stryjcowi:

– Bierzcie starego Zygfryda, a ja Arnolda.

– Pilnuj się jeno! – odpowiedział stary.

I mrugnął na Czecha, dając mu do zrozumienia, aby w każdej chwili gotów był nieść pomoc młodemu panu.

Ów zaś skinął głową, że tak i będzie, przy czym nabrał tchu w piersi i zmacał, czy miecz łatwo mu wychodzi z pochew.

Lecz Zbyszko spostrzegł to i rzekł:

– Nie! Tobie rozkazuję ku kolebce zaraz skoczyć i nie odstępować jej ni piędzią podczas bitki.

Szli szybko i cicho, ciągle wśród leszczynowej gęstwy, ale nie szli już daleko, gdyż najwyżej po dwóch stajaniach zarośla urywały się nagle, okalając małą polankę, na której widać było wygasłe kopce smolarne i dwie ziemne chaty, czyli numy, w których zapewne mieszkali smolarze, dopóki nie wygnała ich stąd wojna. Zachodzące słońce oświecało ogromnym blaskiem łąkę, kopiec i obie stojące dość daleko od siebie numy. Przed jedną z nich siedziało na kłodzie dwóch rycerzy, przed drugą – barczysty, czerwonołosy prostak i Sanderus. Ci obaj zajęci byli wycieraniem szmatami pancerzy, a u nóg Sanderusa leżały prócz tego dwa miecze, które widocznie miał zamiar oczyścić później.

– Patrz – rzekł Macko, cisnąc z całej siły ramię Zbyszka, aby go jeszcze przez chwilę powstrzymać. – Umyślnie im wziął miecze i pancerze. Dobrze! Ten z siwą głową musi być...

– Naprzód! – krzyknął nagle Zbyszko.

I wichrem skoczyli na polanę. Tamci zerwali się także, lecz nim zdolali dobiec do Sanderusa, chwycił groźny Macko starego Zygfryda za pierś, przegiął go w tył i w jednej chwili wziął go pod siebie. Zbysz-

ko i Arnold szczepili się z sobą jak dwa jastrzębie, opletli się ramionami i poczęli się zmagać straszliwie. Barczysty Niemiec, który siedział przedtem koło Sanderusa, porwał wprawdzie za miecz, ale nim zdołał nim machnąć, uderzył go pachołek Maćków, Wit, obuchem w rudą głowę i rozciągnął na miejscu. Rzucili się potem wedle rozkazu starego pana wiązać Sanderusa, ten zaś, choć wiedział, iż to rzecz była umówiona, jął tak ryczeć ze strachu jak ciele, któremu podrzynają gardło.

Lecz Zbyszko, chociaż tak krzepki, iż ścisnąwszy gałąź drzewa sok z niej wyciskał, poczuł, że dostał się jakby nie w ludzkie, ale niedźwiedzie łapy. Poczuł nawet i to, że gdyby nie pancierz, który miał na sobie, nie wiedząc, czy nie przyjdzie mu potykać się na ostre, olbrzymi Niemiec byłby mu pokruszył żebra albo może i kość pacierzową połamał. Uniósł go wprawdzie nieco młodzian w górę, ale ów podniósł go jeszcze wyżej i zebrawszy wszystkie siły chciał grzmotnąć nim o ziemię, tak aby więcej nie powstał.

Lecz Zbyszko ścisnął go również z tak okrutnym wysiłkiem, że aż oczy Niemca krwią zasły, po czym wsunął mu nogę między kolana, uderzył w zgięcie i zwałił na ziemię.

Zwalili się raczej oba, młodzian jednakże padł pod spód, ale w tej chwili baczny na wszystko Macko rzucił na wpół zgniecionego Zygryda w ręce pachołkom, sam zaś ruszył ku leżącym, w mgnieniu oka skrępował pasem nogi Arnolda, po czym skoczył, siadł na nim jak na zabitym dziku i przyłożył mu ostrze mizerykordii do karku.

Ów zaś krzyknął przeraźliwie i ręce osunęły mu się bezwładnie ze Zbyszkowych boków, a potem począł jęczeć, nie tyle od ukłucia, ile dlatego, że nagle uczul okrutny i niewypowiedziany ból w plecach, w które otrzymał był uderzenie maczugą jeszcze podczas bitwy ze Skirwoiłą.

Macko chwycił go obu rękoma za kołnierz i ściągnął ze Zbyszka, a Zbyszko przypodniósł się z ziemi i siadł, po czym chciał wstać i nie mógł, więc siadł znowu i przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu. Twarz miał bladą i spotniałą, oczy krwią nabiegłe i posiniałe usta – i spoglądał przed się jakby nie całkiem przytomnie.

– Coć jest? – zapytał z niepokojem Macko.

– Nic, jenom utrudzon bardzo. Pomóście mi stanąć na nogach. Macko zasunął mu ręce pod pachy i podniósł go od razu.

– Możesz stać?

– Mogę.

– Boli cię co?

– Nic. Jenó mi brak tchu.

Tymczasem Czech, ujrawszy widocznie, że na majdanie wszystko już ukończone, zjawił się przed numą, dzierząc za kark służkę zakonną. Na ten widok zapomniał Zbyszko o trudzie, siły wróciły mu od razu i jak gdyby nigdy nie zmagął się ze strasznym Arnoldem, skoczył do numy.

– Danuška! Danuška!

Ale na to wołanie nie odpowiedział żaden głos.

– Danuška! Danuška! – powtórzył Zbyszko.

I umilkł. W izbie było ciemno, zatem w pierwszej chwili nie mógł nic dojrzeć. Natomiast spoza kamieni przyładowanych pod ognisko doszedł go szybki i głośny oddech jakby przyczajonego zwierzątka.

– Danuška! prze Bóg! to ja! Zbyszko!

A wtem ujrzał w mroku i jej oczy, szeroko otwarte, przerażone, nieprzytomne. Więc skoczył ku niej i chwycił ją w ramiona, lecz ona nie poznała go zupełnie i wyrywając mu się z rąk, poczęła powtarzać zdyszczanym szeptem:

– Boję się! boję się! boję się!...

## ROZDZIAŁ XXIII

Nie pomogły łagodne słowa ni pieszczoty, ni zaklęcia – Danusia nie poznawała nikogo i nie odzyskała przytomności. Jedynym uczuciem, które opanowało całą jej istotę, był przestach podobny do takiego płochliwego przestachu, jaki okazują schwyte ptaki. Gdy przyniesiono jej posiłek, nie chciała przy ludziach jeść, jakkolwiek z chciwych jej spojrzeń rzucanych najadło znać było głód, może nawet zadawniony. Zostawszy sama, rzucała się na szyć z łakomstwem dzikiego zwierzątka, ale gdy Zbyszko wszedł do izby, w tej chwili skoczyła w kąt i skryła się za wiązką suchego chmielu. Próżno Zbyszko otwierał ramiona, próżno wyciągał ręce, próżno błagał, dusząc w sobie łzy. Nie chciała z tego ukrycia wyjść nawet wówczas, gdy naniecono ognia w świetlicy i gdy przy jego blasku mogła dobrze rozeznaczyć rysy Zbyszka. Zdawało się, że pamięć opuściła ją razem ze zmysłami. On za to patrzył na nią i na jej wychudłą twarz z zastygłym wyrazem przerażenia, na zapadłe oczy, na potargane strzępy odzieży, w które była przybrana, i serce skowyczało w nim z bólu i wściekłości na myśl, w jakich była rękach i jak się z nią obchodzono. Porwał go wreszcie szałem gniewu tak straszny, że chwyciwszy za miecz, skoczył z nim ku Zygfydowi i byłby go uśmiercił niechybnie, gdyby Maćko nie był go schwytał za ramię.

Poczęli się wówczas pasować z sobą prawie po nieprzyjacielsku, ale młodzian tak był osłabiony poprzednią walką z olbrzymim Arnoldem, że stary rycerz przemógł go i wykręciwszy mu rękę, zawołał:

– Wściekleś się czy co?

– Puście! – odpowiedział, zgrzytając, Zbyszko – bo się dusza podrze we mnie.

– Niech się podrze! Nie puszczę! Wolej łeb rozbij o drzewo, niżbyś miał pohańbić siebie i cały ród.

I ściskając jakoby w żelaznych cęgach dłoń Zbyszkową, począł mówić groźnie:

– Obacz się! Pomsta ci nie ucieknie, a pasowanyś jest rycerz. Jakże to? Związanego jeńca będziesz dźgał? Danuśce nie pomożesz, a co ci zostanie? Nic, jeno hańba. Rzekniesz, iż królom i książętom nieraz

przy godziło się jeńców mordować? Ba! nie u nas! I co im uchodzi, tobie nie ujdzie. Mają ci oni królestwa, miasta, zamki, a ty co masz? Rycerską cześć. Kto im nie przygani, tobie w oczy plunie. Opamiętaj się, prze Bóg!

Nastąpiła chwila milczenia.

– Puście – powtórzył ponuro Zbyszko – nie zadżgam go.

– Pójdź do ognia, naradzim się.

I powiódł go za rękę do ogniska, które pacholkiwie naniecili wedle smolistych kopców. Tam siadłszy, Maćko zamyślił się nieco, po czym rzekł:

– Wspomnij też i to, żeś tego starego psa Jurandowi obiecał. Ten ci się dopiero pomści nad nim i za swoją, i za Danusią mękę! Ten ci mu zapłaci, nie bój się! I powinienes w tym Jurandowi wygodzić. Należy mu się to. A czego tobie nie wolno, to Jurandowi będzie wolno, bo nie on jeńca wziął, jeno go w podarunku od ciebie dostanie. Bez hańby i bez przygany może go choć i ze skóry obłupić – rozumiesz mnie?

– Rozumiem – odpowiedział Zbyszko. – Słusznie mówicie.

– To ci widać rozum wraca. Jeśliby cię diabeł jeszcze kusił, pamiętaj także i na to, żeś ty przecie i Lichtensteinowi, i innym Krzyżakom ślubował, a gdybyś bezbronnego jeńca zarznął i gdyby się to przez pacholkiwów rozgłosiło, żaden rycerz nie chciałby ci stanąć i byłby praw. Boże uchwaj! Nieszczęśliwości i tak nie brak, niechże choć hańby nie będzie. Lepiej ot gadajmy o tym, co teraz należy czynić i jako nam się obrócić.

– Radźcie! – rzekł młodzian.

– Poradzę tak: tę żmiję, która była przy Danusi, można by zgładzić, ale że nie przystoi rycerzom niewieścią krwią się babrać, przeto ją księciu Januszowi oddamy. Knuła ona zdrady jeszcze w leśnym dworcu przy księciu i księżnie, niechże ją mazowieckie sądy sądzą, a jeśli jej kołem za to nie pokruszą, to chyba sprawiedliwość boską chcą obrazić. Póki innej jakiej niewiasty nie spotkamy, która by się przy Danusi starunku podjęła, póty ona potrzebna, potem się ją koniowi do ogona przywiąże. Ninie trzeba nam do puszczy mazowieckich jako najprędzej wykręcić.

– Jużci nie zaraz, bo noc. Może też Bóg da jutro Danuśce większe opamiętanie.

– Niech i konie dobrze wypoczną. Na świtanu ruszmy. Dalszą rozmowę przerwał im głos Arnolda von Baden, który leżąc opodal na plecach, związany w kij do własnego miecza, począł coś wołać po

niemiecku. Stary Maćko podniósł się i poszedł ku niemu, ale nie mogąc dobrze wyrozumieć jego mowy, począł się oglądać za Czechem.

Ale Hlawa nie mógł zaraz przyjść, albowiem zajęty był czym innym. Podczas ich rozmowy przy ognisku poszedł właśnie do służki zakonnej i położywszy jej dłoń na karku i potrząsnąwszy nią jak gruszką, rzekł:

– Słuchaj, suko! Pójdiesz do chaty i wymościsz dla pani posłanie ze skór, ale przedtem wdziejesz na nią swoje porządne szaty, a sama ubierzesz się w te łachmany, w których kazaliście jej chodzić... zatracona wasza mać!

I nie mogąc także pohamować nagłego gniewu, trząśł nią tak silnie, że aż oczy wylazły jej na wierzch. Byłby jej może skrzył kark, ale że widziała mu się jeszcze potrzebna, więc puścił ją wreszcie, rzekłszy:

– A potem wybierzem dla cię gałąź.

Ona chwyciła go w przerażeniu za kolana, ale gdy w odpowiedzi kopnął ją, skoczyła do chaty i rzuciwszy się do nóg Danusi, zaczęła skrzeczeć:

– Obroń mnie! nie daj!

Ale Danusia przymknęła tylko oczy, a z ust jej wyszedł zwykły, zdyszany szept:

– Boję się, boję się, boję się!

I następnie zdrętwiała całkiem, albowiem każde zbliżenie się do niej służki zakonnej wywoływało zawsze ten skutek. Pozwoliła się też rozebrać i oblec w nowe szaty. Służka, wymościwszy posłanie, położyła ją na nim jak figurkę drewnianą lub woskową, sama zaś siadła koło ogniska, bojąc się wyjść z izby.

Ale Czech wszedł po chwili i zwróciwszy się naprzód do Danusi, rzekł:

– Między przyjaciółmi jesteście, pani, więc w imię Ojca i Syna, i Ducha, śpijcie spokojnie!

I przeżegnał ją ręką, a następnie, nie podnosząc głosu, aby jej nie przeleknąć, rzekł do służki:

– Ty poleżysz związana za progiem, ale jeśli narobisz krzyku i przestraszysz, to ci zaraz szyję pokruszę. Wstań i chodź.

I wywiódłszy ją z izby, skępował tak, jako rzekł, mocno, po czym udał się do Zbyszka.

– Kazałem oblec panią w te szaty, które miała na sobie ta jaszczurka – rzekł. – Posłanie wymoszczone i pani śpi. Najlepiej nie chodźcie



tam już, panie, by się zaś nie przelekła. Da Bóg, jutro po spoczynku oprzytomnieje, a wy teraz pomyślcie też o jadle i spoczynku.

– Położę się przy progu izby – odrzekł Zbyszko.

– To odciągnę sukę na stronę do tego trupa z ryzymi kudłami, ale teraz musicie jeść, bo droga i trud niemały przed wami.

To rzekłszy, poszedł wydobyć z biesagów wędzone mięsiwo i wędzoną rzepeę, w którą zaopatrzyli się na drogę w obozie żmujdzkim, ale zaledwie złożył zapas przed Zbyszkiem, Maćko odwołał go do Arnolda.

– Wymiarkuj no rzetelnie – rzekł – czego chce ten waligóra, bo choć niektóre słowa wiem, nijak nie mogę go wyrozumieć.

– Poniosę go, panie, do ogniska, to się tam rozmówicie – odrzekł Czech.

I odpasawszy się, przeciągnął pas pod ramionami Arnolda, po czym zadał go sobie na plecy. Zgiął się pod ciężarem olbrzyma mocno, ale chłopem będąc krzepkim, doniósł go do ogniska i rzucił jak wór grochu obok Zbyszka.

– Zdejmijcie ze mnie pęta – rzekł Krzyżak.

– Mogłoby to być – odpowiedział przez Czecha stary Maćko – gdybyś na cześć rycerską poprzysiągł, że się za jeńca będziesz uważał. Jednakże i bez tego każę ci wyciągnąć miecz spod kolan i rozwiązać ręce, abys mógł siaść przy nas, zaś powrozów na nogach nie popuszczę, póki się nie rozmówim.

I skinał na Czecha, ten zaś przeciął Niemcowi pęta na rękę, a następnie pomógł mu usiąść. Arnold spojrzał hardo na Maćka, na Zbyszka i zapytał:

– Co wyście za jedni?

– A ty jak śmiesz pytać? Co ci do tego?! Wywiedz się sam.

– To mi do tego, że na cześć rycerską mógłbym tylko rycerzom przysięgać.

– To patrz!

I Maćko, uchyliwszy opończy, pokazał pas rycerski na biodrach.

Na to Krzyżak zdumiał się wielce i dopiero po chwili rzekł:

– Jakże to? I łotrzykujecie dla łupu po puszczy? i pogan przeciw chrześcijanom wspomagacie.

– Łzesz! – zawołał Maćko.

I w ten sposób poczęła się rozmowa, nieprzyjazna, harda, często do kłótni podobna. Gdy jednak Maćko zakrzyknął w uniesieniu, że właśnie Zakon nie dopuszcza do chrztu Litwy, i gdy przytoczył wszystkie

dowody, zdumiał się znów i zamilkł Arnold, gdyż prawda ta była tak oczywista, że niepodobna było jej nie widzieć lub jej zaprzeczyć. Uderzyły szczególnie Niemca te słowa, które Maćko wyrzekł, czyniąc przy nich zarazem znak krzyża: „Kto wie, komu wy w rzeczy służycie, jeśli nie wszyscy, to poniektórzy!” – a uderzyły go dlatego, że i w samym Zakonie był posąd na kilku komturów, że oddają cześć szatanowi. Nie czyniono im z tego sprawy ni żadnych procesów, aby hańby na wszystkich nie ściągać, ale Arnold wiedział dobrze, że szeptano sobie takie rzeczy między braćmi i że podobne słuchy chodziły. Przy tym Maćko, wiedząc z opowiadań Sanderusa o niepojętym zachowywaniu się Zygfyda, zaniepokoił do reszty prostodusznego olbrzyma.

– A ówże Zygfyd, z którym szedłeś w pochod na wojnę – rzekł – zali Bogu i Chrystusowi służy? Zaliś to nigdy nie słyssał, jak ze złymi duchami gadał, jako z nimi szeptał i śmiał się alibo zgrzytał?

– Prawda jest! – mruknął Arnold.

Ale Zbyszko, któremu żal i gniew napłynęły do serca nową falą, zakrzyknął nagle:

– I ty o czci rycerskiej prawisz? Hańba ci, boś katu i piekielnikowi pomagał! Hańba ci, boś na mękę bezbronnej niewiasty i rycerskiej córki spokojnie patrzył, boś może i sam ją dręczył. Hańba ci!

A Arnold wytrzeszczył oczy i czyniąc w zdumieniu znak krzyża, rzekł:

– W imię Ojca i Syna, i Ducha!... Jak to?... ta opętana dziewczka, w której głowie dwudziestu siedmiu diabłów mieszka?... ja?...

– Gorze! gorze! – przerwał chrapliwym głosem Zbyszko. I chwyciwszy za rękę mizerykordii, począł znów spoglądać dzikim wzrokiem w stronę leżącego opodal w mroku Zygfyda.

Maćko położył mu spokojnie dłoń na ramieniu i przycisnął z całej mocy, aby mu przytomność powrócić, sam zaś, zwróciwszy się do Arnolda, rzekł:

– Ta niewiasta – to córka Juranda ze Spychowa, a żona tego młodego rycerza. Rozumieszże teraz, dlaczego ślakowaliśmy was i dlaczego jeńcem naszym zostałeś!

– Prze Bóg! – rzekł Arnold. – Skąd? Jak? Ona ma rozum pomieszany...

– Bo ją Krzyżacy jako jagnię niewinne porwali i męką do tego ją przywiedli.

Zbyszko przy wyrazach „jagnię niewinne” przybliżył pięść do ust i ścisnął zębami knykieć, a z oczu poczęły mu kapać jedna za drugą

wielkie łzy niepohamowanej boleści. Arnold siedział w zamyśleniu. Czech zaś w kilku słowach opowiedział mu zdradę Danvelda, porwanie Danusi, mękę Juranda i pojedynek z Rotgierem. Gdy skończył, nastąpiła cisza, którą mącił tylko szum lasu i trzaskanie skier w ognisku.

I siedzieli tak przez chwil kilka; wreszcie Arnold podniósł głowę i rzekł:

– Nie tylko na rycerską cześć, lecz na krzyż Chrystusów przysięgam wam, że tej niewiasty prawie nie widział, że nie wiedział, kto ona, i że do jej męki w niczym i nigdy ręki nie przyłożył.

– To przysiężże jeszcze, że dobrowolnie pójdziesz za nami i że ucieczki nie będziesz próbował, a każę cię całkiem rozwiązać – rzekł Maćko.

– Niech i tak będzie, jak mówisz – przysięgam! Dokąd mnie powiedziecie?

– Na Mazowsze, do Juranda ze Spychowa.

To mówiąc, Maćko rozciął mu sam powróż na nogach, po czym wskazał mięsivo i rzepę. Zbyszko po jakimś czasie podniósł się i poszedł spocząć u progu chaty, przy którym nie znalazł już służki zakonnej, albowiem poprzednio zabrali ją pacholki między konie. Tam, położywszy się na skórze, którą mu przyniósł Hława, postanowił czekać bezsennie, czy świt jakiej szczęśliwej zmiany w Danusi nie przyniesie.

Czech zaś wrócił do ogniska, gdyż ciążyło mu na duszy coś takiego, o czym chciał pogadać ze starym rycerzem z Bogdańca. Został go pograżonego też w zadumie i nie zważającego na chrapanie Arnolda, który po spożyciu niezmiernie ilości wędzonej rzepy i mięsiva zasnął z utrudzenia snem kamiennym.

– A wy nie spoczniecie, panie? – spytał giermek.

– Sen ucieka mi z powiek – odrzekł Maćko. – Daj Bóg dobre jutro...

I to powiedziawszy, spojrział ku gwiazdom.

– Wóz widać już na niebie, a ja wciąż rozmyślam, jako to ono wszystko będzie.

– I mnie nie do spania, bo mi panienska ze Zgorzelic w głowie.

– Hej, prawda, nowa bieda! Toć przecie ona w Spychowie.

– A w Spychowie. Wywieźliśmy ją ze Zgorzelic nie wiadomo po co.

– Sama chciała do opata, a gdy opata nie stało, cóżem miał czynić?  
– odrzekł niecierpliwie Maćko, który nie lubił o tym mówić, bo w duszy poczuwał się do winy.

– Tak, ale co teraz?

– Ha! cóż? Odwiozę ją na powrót do domu i dziej się wola boska!...

Po chwili jednak dodał:

– Jużci, dziej się wola boska, ale żeby chociaż ta Danuśka była zdrowa i taka jako inni ludzie, byłoby przynajmniej wiadomo, co robić. A tak, lichy wie! Nuż nie ozdrowieje... i nie zamrze. Niechby Pan Jezus dał już na tę alibo na tamtą stronę.

Ale Czech myślał w tej chwili tylko o Jagience.

– Widzicie, wasza miłość – rzekł. – Panienska, gdym wyjeżdżał ze Spychowa i żegnał się z nią, powiedziała mi tak: „W razie czego przyjedziecie tu przed Zbyszkiem i przed Maćkiem, bo, powiada, mają przez kogo innego nowinę przysłać, to przyślą przez was i odwieziecie mnie do Zgorzelic”.

– Hej! – odpowiedział Maćko. – Pewnie, że jakoś nieskładne by jej było zostawać w Spychowie, gdy Danuśka przyjedzie. Pewnie, że trzeba jej teraz do Zgorzelic. Żal mi sieroteńki, szczerze żal, ale skoro nie było woli boskiej, to i trudno! Jeny jakoże to urządzić? Poczekaj... Powiadasz, że kazała ci wracać przed nami z nowiną, a potem odwieźć się do Zgorzelic?

– Kazała, jakom wam wiernie powtórzył.

– Ano! to może byś i ruszył przed nami. Staremu Jurandowi też by trza oznajmić, że się córka nalazła, aby go zaś nagła radość nie zabiła. Jak mi Bóg miły, nie ma nic lepszego do zrobienia. Wracaj! powiedz, żeśmy Danuśkę odbili i że niebawem z nią przyjedziem, a sam zabierz tamtą niebogę i wieź ją doma.

Tu westchnął stary rycerz, bo żal mu istotnie było i Jagienki, i tych zamiarów, które w duszy piastował. Po chwili znów spytał:

– Wiem, żeś chłop i roztropny, i mocny, ale potrafiszże ty ustrzec jej od jakiej krzywdy albo przygody? Bo to w drodze łatwie się może to i owo zdarzyć.

– Potrafię, choćby też przyszło i łbem nałożyć! Wezmę kilku dobrych pachołków, których mi pan spychowski nie pożałuje, i doprowadzę ją przezpiecznie choćby na koniec świata.

– No! zbytnio sobie nie dufaj. Pamiętaj też, że na miejscu, w samych Zgorzelicach, trzeba znów mieć oko na Wilków z Brzozowej i na Cztana z Rogowa... Ale prawda! Nie do rzeczy gadam, bo ich trzeba

było strzec, póki się miało co innego na myśli. A teraz nie żywie już nadzieja i będzie, co ma być.

– Wszelako ustrzegę ja panienki i od tamtych rycerzy, bo ta, pana Zbyszkowa nieboga, ledwie chudziątko zipie... nużby zmarła!

– Słusznie, jak mi Bóg miły: ledwie chudziątko zipie – nużby zmarła...

– Trzeba to na Pana Boga zdać, a teraz myślmymy jeno o panience zgorzelickiej.

– Po sprawiedliwości – rzekł Maćko – godziłoby się, abym sam ją do ojcowizny odprowadził. Ale trudna rada. Nie mogę ja teraz Zbyszka odstąpić, a to z różnych wielkich przyczyn. Widziałeś, jako zgrzytał i jako się do tego starego komtura rwał, by go zadźgać niby warchlaka. Niechże, jako powiadasz, ta dziewczka skapieje w drodze, to nie wiem, czy i ja go pohamuję. Ale jeśli mnie nie będzie, to nic go nie strzyma i hańba wiekuista spadnie na niego i na cały ród, czego nie daj Bóg, amen!

Na to zaś Czech:

– Ba! jest przecie prosty sposób. Dajcie mi jego katowską mać, a już ja go nie uronię i dopiero w Spychowie panu Jurandowi z worka go wytrząsnę.

– A niechże ci Bóg da zdrowie! O, to masz rozum! – zawołał z radością Maćko. – Prosta rzecz! prosta rzecz! Zabieraj go razem i byleś go żywięcym do Spychowa dowioź, rób z nim, co chcesz.

– To dajcie mi i onę sukę szczytnieńską! Jeśli mi nie będzie po drodze wadzić, to dowiozę ją też; a jeśli będzie, to na gałąź!

– Prędzej też może Danuškę strach opuści i prędzej się opamięta, gdy nie obaczy tych dwojga. Ale jeśli służkę zabierzesz, jakoże bez pomocy niewieściej się obejdzie?

– Nie bez tego, byście w puszczech nie spotkali jakich miejscowych albo zbiegłych chłopów z babami. Weźmiecie pierwszą lepszą, a już każda będzie lepsza od tej. Tymczasem pana Zbyszkowa opieka wystarczy.

– Dziś jakoś roztropniej mówisz niż zwyczajnie. Prawda i to. Może się prędzej obaczy, widząc Zbyszka wciąż przy sobie. Potrafi ci on być dla niej jako ojciec i matka. Dobrze. A kiedy ruszysz?

– Nie będę świtania czekał, ale teraz przy legnę trochę. Nie ma jeszcze chyba północkska.

– Wóz, jako mówiłem, już świeci, ale Kurki jeszcze nie wzeszły.

– Chwała Bogu, żeśmy cokolwiek uradzili, bo okrutnie było mi markotno.

I to rzekłszy, Czech wyciągnął się przy dogasającym ognisku, nakrył się kudłatą skórą i w mig zasnął. Niebo jednak nie pobielało jeszcze ani trochę i noc była głęboka, gdy zbudził się, wylazł spod skóry, spojrzął ku gwiazdom i przeciągnawszy zeszywniałe nieco członki, zbudził Maćka.

– Czas mi się zbierać! – rzekł.

– A dokąd? – zapytał na w pół przytomnie Maćko, przecierając pięściami oczy.

– Do Spychowa.

– A prawda! Kto tu tak chrapie obok? Umarłego by rozbudził.

– Rycerz Arnold. Dorzucę gałęzi na głównie i idę do pachółków.

Jakoż odszedł, po chwili wrócił jednak pośpiesznym krokiem i począł wołać z daleka cichym głosem:

– Panie, jest nowina – i to zła!

– Co się stało? – zawołał, zrywając się, Maćko.

– Służka uciekła. Wzięli ją pachółcy między konie i rozwiązali jej nogi, żeby ich pioruny zatrzaśły! a gdy się pospali, wyczołgała się jako wąż pomiędzy nich i uciekła. Pójdźcie, panie.

Zaniepokojony Maćko ruszył spieszenie z Hławą do koni, ale zastali przy nich jednego tylko pachółka. Inni rozbiegli się szukać zbiegłej. Głupie to jednak było szukanie w ciemnościach i w gęstwinie; jakoż popowracali wkrótce z po spuszczanymi głowami. Maćko począł ich okładać w milczeniu pięścią, po czym wrócił do ogniska, gdyż nie było nic innego do zrobienia.

Po chwili nadszedł Zbyszko, który strażował przed chatą i nie mógł spać, a usłyszawszy stapania, chciał wiedzieć, co to jest. Maćko opowiedział mu, co uradzili razem z Czechem, potem zaś oznajmił o ucieczce służki zakonnej.

– Niestety wielkie nie jest – rzekł – bo albo zdechnie z głodu w lesie, albo znajdą ją chłopci, którzy dadzą jej łupnia, jeśli wprawdzie nie znajdą jej wilcy. Żal jeno, że ją kara w Spychowie minęła.

Zbyszko żałował także, że ją kara minęła, ale zresztą przyjął wiadomość spokojnie. Nie sprzeciwił się również odjazdowi Czecha z Zygfydem, gdyż wszystko, co nie dotyczyło wprost Danusi, było mu obojętne. Zaraz też zaczął o niej mówić:

– Wezmę ją jutro przed się na koń i tak pojedziem – rzekł.

– A jakoże tam? śpi? – zapytał Maćko.

– Czasem kwili trochę, ale nie wiem, przez sen-li czy na jawie, a nie chcę wchodzić, aby się nie przelękała.

Dalszą rozmowę przerwał im Czech, który ujrawszy Zbyszka, zawołał:

– O, to i wasza miłość na nogach? No, czas mi! Konie gotowe i stary diabeł przywiązany do siodła. Wkrótce zaświta, bo teraz noc krótka. Ostawajcie z Bogiem, wasze miłości!

– Jedź z Bogiem, a zdrowo!

Ale Hława odciągnął jeszcze Maćka na bok i rzekł:

– Chciałem też pięknie prosić, w razie gdyby co zaszło... wiecie, panie..... niby jakowe nieszczęście albo co... aby pchnąć zaraz pachółka na łeb do Spychowa. Jeślibyśmy zaś już wyjechali, niech nas goni!

– Dobrze – rzekł Maćko. – Zahaczyłem ci też powiedzieć, byś Jagienkę do Płocka wiozł, rozumiesz! Idź tam do biskupa i powiedz mu, kto ona jest, że Opatowa chrześniaczka, dla której jest u biskupa testament, a dalej proś dla niej o opiekuństwo, bo to też stoi w testamencie.

– Jeśli zaś biskup każe nam ostać w Płocku?

– Słuchaj go we wszystkim i uczyn, jako poradzi.

– Tak i będzie, panie. Z Bogiem!

– Z Bogiem.

## ROZDZIAŁ XXIV

Rycerz Arnold, dowiedziawszy się nazajutrz o ucieczce służki zakonnej, uśmiechnął się pod wąsem, ale rzekł to samo, co Maćko: że albo ją wilcy zjedzą, albo Litwini zabiją. Jakoż było to prawdopodobne, albowiem ludność miejscowa, litewskiego pochodzenia, nienawidziła Zakonu i wszystkiego, co miało z nim styczność. Chłopi częścią puciekali do Skirwoiły, częścią poburzyli się i pomordowawszy tu i ówdzie Niemców, pokryli się razem z rodzinami i dobytkiem w niedostępnych głębiach leśnych. Szukano jednakże na drugi dzień służki, ale bez skutku, bo niezbyt gorliwie, a to z tej przyczyny, że Maćko i Zbyszko, mając głowy zajęte czym innym, nie wydali dość surowych rozkazów. Pilno im było jechać ku Mazowszu i chcieli zaraz o wschodzie słońca wyruszyć, ale nie mogli tego uczynić, gdyż Danuśka usnęła nade dniem głęboko i Zbyszko nie dał jej budzić. Słyszał ją, jak „kwiliła” w nocy, domyślał się, że nie spała, więc teraz wiele sobie dobrego z tego snu obiecywał. Dwukrotnie zakradał się do chaty i dwukrotnie widział przy świetle wpadającym przez szpary między bierwionami jej zamknięte oczy, otworzone usta i mocne rumieńce na twarzy, takie, jakie mają głęboko uspięne dzieci. Topniało w nim wówczas z rozrzewnienia serce i mówił do niej: „Daj ci Bóg wypoczynek i zdrowie, kwiatuszku najmilszy!” A potem mówił jeszcze:

„Skończona twoja niedola, skończone płkanie, a da Pan Jezus miłosierny, to szczęśliwość będzie jako te wody rzeczne nieprzepłynione”. Przy tym, mając prostą i dobrotliwą duszę, wznosił ją ku Bogu i zapytywał sam siebie: czym by się wywdzięczyć, czym by się wypłacić, co by jakiemu kościołowi ofiarować z dostatków, z ziarna, ze stad, z wosku albo z innych podobnych, miłych boskiej potędze rzeczy? Byłby nawet zaraz ślubował i wymienił dokładnie, co ofiaruje, ale wolał poczekać, nie wiedząc bowiem, w jakim zdrowiu Danuśka się rozbudzi i czy się rozbudzi przytomna, nie miał jeszcze pewności, czy będzie za co dziękować.

Maćko, chociaż rozumiał, że będą zupełnie bezpieczni dopiero w krajach księcia Janusza, był jednak także zdania, że nie należy Danusi



mącić tego spoczynku, który mógł być dla niej zbawieniem, więc trzymał wprawdzie w pogotowiu parobków i juczne konie, ale czekał.

Wszelako gdy minęło południe, a ona wciąż spała jeszcze, poczęli się niepokoić. Zbyszko, który ustawicznie zaglądał przez szpary i przez drzwi, wszedł wreszcie po raz trzeci do chaty i siadł na pieńku, który wczorajszego wieczoru służka przyciągnęła do posłania i na którym przebierała Danusię.

Siadł i wpatrzył się w nią, ona nie otworzyła wcale oczu, ale po upływie takiego czasu, jakiego potrzeba by na odmówienie bez pośpiechu „Ojczy nasz” i „Zdrowaś”, drgnęły nieco jej usta i wyszeptwała, jakby widząc przez zamknięte powieki:

– Zbyszko...

On zaś rzucił się w jednej chwili przed nią na kolana, chwycił jej wychudzone ręce i całując je z uniesieniem, jął mówić przerywanym głosem:

– Bogu dzięki! Danuśka! poznałaś mnie! Głos jego rozbudził ją zupełnie, więc siadła na posłaniu i z otwartymi już oczyma powtórzyła:

– Zbyszko...

I poczęła mrugać, a następnie rozglądać się naokoło jakoby ze zdziwieniem.

– Już ty nie w niewoli! – mówił Zbyszko. – Wydarłem cię im i do Spychowa jedziem!

Ale ona wysunęła dłonie z jego rąk i rzekła:

– To wszystko przez to, że tatusiowego pozwolenstwa nie było. Gdzie pani?

– Przebudźże ty się, jagódko. Księżna daleko, a my cię Niemcom odjęli.

Na to ona, jakby nie słysząc tych słów i jakby sobie coś przypominając:

– Zabrali mi też luteńkę i o mur rozbili – hej!

– Na miły Bóg! – zawołał Zbyszko.

I dopiero spostrzegł, że oczy jej są nieprzytomne i błyszczące, a policzki pałają. W tejże chwili mignęła mu przez głowę myśl, że ona może być ciężko chora i że wymówiła dwukrotnie jego imię tylko dlatego, że się jej majaczył w gorączce.

Więc zadrzało w nim serce z przerażenia i pot zimny pokrył mu czoło.

– Danuśka! – rzekł – widziszże ty mnie i rozumiesz? A ona odrzekła głosem pokornej prośby:

- Pić...Wody!
- Jezu miłosierny.

I wyskoczył z izby. Przed drzwiami potrącił starego Maćka, który szedł właśnie zobaczyć, jak tam jest – i rzuciwszy mu jedno słowo: „Wody!” – przebiegł pędem ku strumieniowi, płynącemu w pobliżu wśród gęstwy i mchów leśnych.

Po chwili wrócił z napełnionym naczyniem i podał je Danusi, która poczęła pić chciwie. Przedtem jeszcze wszedł do izby Maćko i popatrzywszy na chorą, spochmumiał widocznie.

- W gorętwie jest? – rzekł.
- Tak! – jęknął Zbyszko.
- Rozumie, co mówisz?
- Nie.

Stary zmarszczył brwi, po czym podniósł rękę i począł dłonią trzeć po karku i potylicy.

- Co robić?
- Nie wiem.
- Jedna jest tylko rzecz – zaczął Maćko.

Ale Danusia przerwała mu w tej chwili. Skończywszy pić, utkwiała w nim swe rozszerzone przez gorączkę źrenice, po czym rzekła:

- I wam też nie zawiniłam. Mieścież zmiłowanie!
- Mam ci ja zmiłowanie nad tobą, dziecko, i tylko dobra chcę twojego – odpowiedział z pewnym wzruszeniem stary rycerz. A potem do Zbyszka:

– Słuchaj! Na nic jej tu ostawać. Jak ją wiatr obwieje, a słońko ogrzeje – to może się jej lepiej zrobić. Nie traćże ty, chłopie, głowy, je-no ją bierz do tej samej kołyski, w której ją wieźli, albo też na kulbakę i w drogę! Rozumiesz?

To rzekłszy, wyszedł z izby, aby wydać ostatnie rozporządzenia, ale zaledwie spojrzął przed siebie, gdy nagle stanął jak wryty.

Oto silny zastęp pieszego ludu, zbrojnego w dzidy i w berdysze, otaczał z czterech stron jak murem chatę, kopce i polankę.

„Niemce!” – pomyślał Maćko.

Więc zgroza napełniła mu duszę, ale w mgnieniu oka chwycił za głownię miecza, zacisnął zęby i stał tak podobny do dzikiego zwierza, który niespodzianie przez psy osaczon gotuje się do rozpaczliwej obrony.

A wtem od kopca począł iść ku niemu olbrzymi Arnold z jakimś drugim rycerzem i zbliżywszy się, rzekł:

– Wartkie koło fortuny. Byłem waszym jeńcem, a teraz wyście moimi.

To rzekłszy, spojrzął z dumą na starego rycerza jakby na lichszą od siebie istotę. Nie był to człowiek całkiem zły ani zbyt okrutny, ale miał przywarę wspólną wszystkim Krzyżakom, którzy ludzcy, a nawet układni w nieszczęściu, nie umieli nigdy pohamować ani pogardy dla zwyciężonych, ani bezgranicznej pychy, gdy czuli za sobą większą siłę.

– Jesteście jeńcami! – powtórzył wyniośle.

A stary rycerz spojrzął ponuro naokół. W piersi jego biło nie tylko nie płochliwe, lecz aż nazbyt zuchwałe serce. Gdyby był we zbroi na bojowym koniu, gdyby miał przy sobie Zbyszka i gdyby obaj mieli w ręku miecze, topory albo owe straszne drzewa, którymi tak sprawnie władała ówczesna lechicka szlachta, byłby może próbował przełamać ów otaczający go mur dzid i berdyszów. Ale Maćko stał oto przed Arnoldem pieszo, sam jeden, bez pancerza, więc spostrzegłszy, że pacholkiwie porzucali już oręż, i pomyślawszy, że Zbyszko jest w chacie przy Danusi całkiem bez broni, zrozumiał, jako człek doświadczony i z wojną wielce obyty, że nie ma żadnej rady.

Więc wyciągnął z wolna kord z pochwy, a następnie rzucił go pod nogi owego rycerza, który stał przy Arnoldzie. Ów zaś z nie mniejszą od Arnoldowej dumą, ale zarazem z łaskawością ozwał się w dobrej polskiej mowie:

– Wasze nazwisko, panie? Nie każę was wiązać na słowo, boście, widzę, pasowany rycerz i obeszlście się po ludzku z bratem moim.

– Słowo! – odpowiedział Maćko.

I oznajmiwszy, kto jest, zapytał, czy wolno mu będzie wejść do chaty i ostrzec bratanka, „by zaś czego szalonego nie uczynił” – za czym uzyskawszy pozwolenie, zniknął we drzwiach, a po niejakiem czasie zjawił się znów z mizerykordią w ręku.

– Bratanek mój nie ma nawet miecza przy sobie – rzekł –i prosi, aby póki w drogę nie ruszycie, mógł zostać przy swojej niewieście.

– Niech zostanie – rzekł brat Arnoldów – przyślę mu jadło i napitek, bo w drogę nie ruszycie zaraz, gdyż lud utrudzon, a i nam samym pożywić się i spocząć potrzeba. Prosim też was, panie, do kompanii.

To rzekłszy, zawrócili i poszli ku temu samemu ognisku, przy którym Maćko noc spędził, ale bądź to przez pychę, bądź przez prostactwo dość między nimi powszechne, poszli przodem, dozwalając mu iść z tyłu. Ale on, jako wielki bywalec, rozumiejący, jaki ma być w każdym zdarzeniu zachowany obyczaj, zapytał:

– Proście, panie, jako gościa czy jako jeńca? Dopieroż zawstydził się brat Arnoldów, bo zatrzymał się i rzekł:

– Przejdźcie, panie.

Stary rycerz przeszedł, nie chcąc jednak ranić miłości własnej człowieka, na którym mogło mu dużo zależeć, rzekł:

– Widać, panie, że nie tylko znacie różne mowy, lecz i obyczaje macie dworne.

Na to Arnold, rozumiejąc zaledwie niektóre słowa, ozwał się:

– Wolfgang, o co chodzi i co on mówi?

– Do rzeczy mówi! – odpowiedział Wolfgang, któremu widocznie pochlebiły Maćkowe słowa.

Po czym zasiedli przy ognisku i przyniesiono jeść i pić. Nauka dana Niemcom przez Maćka nie poszła jednakże w las, gdyż Wolfgang od niego zaczynał poczęstunek. Z rozmowy dowiedział się przy tym stary rycerz, jakim sposobem wpadli w pułapkę. Oto Wolfgang, młodszy brat Arnolda, prowadził człuchowską piechotę także przeciw zbuntowanym Żmujdzinom do Gotteswerder, ta jednakże, jako pochodząca z dalekiej komturii, nie mogła nadażyć jeździe. Arnold zaś nie potrzebował na nią czekać, wiedząc, że po drodze napotka inne piesze oddziały z miast i zamków bliższych litewskiej granicy. Z tej przyczyny młodszy ciągnął o kilka dni drogi później – i właśnie znajdował się na szlaku w pobliżu smołami, gdy służka zakonna, zbiegłszy nocą, dała mu znać o przygodzie, jaka spotkała starszego brata. Arnold, słuchając tego opowiadania, które powtórzono mu po niemiecku, uśmiechnął się z zadowoleniem, a wreszcie oświadczył, że spodziewał się, że tak się może zdarzyć.

Ale przebiegły Maćko, który w każdym położeniu starał się znaleźć jakowąś radę, pomyślał, że z pożytkiem będzie zjednać sobie tych Niemców – więc po chwili rzekł:

– Ciężka to zawsze rzecz popaść w niewolę, wszelako Bogu dziękuję, że mnie nie w inne, jeno w wasze oddał ręce, bo, wiera, żeście prawi rycerze i czci przestrzegający.

Na to Wolfgang przymknął oczy i skinął głową, wprowadzie dość sztywnie, ale z widocznym zadowoleniem.

A stary rycerz mówił dalej:

– I że to mowę naszą tak znacie! Dał wam, widzę, Bóg rozum do wszystkiego!

– Mowę waszą znam, bo w Człuchowej naród po polsku mówi, a my z bratem od siedmiu lat pod tamtejszym komturem służym.

– A z porą i z czasem weźmiecie po nim i urząd! Nie może inaczej być... Wždy wasz brat nie mówi tak po naszymu.

– Rozumie trochę, ale nie mówi. Brat ma siłę większą, chociaż i ja nie ułomek, a za to dowcip tepszy.

– Hej! nie widzi mi się i on głupi! – rzekł Maćko.

– Wolfgang! co on powiada? – zapytał znów Arnold.

– Chwali cię – odpowiedział Wolfgang.

– Juźci, chwałę – dodał Maćko – bo prawy jest rycerz, a to grunt! Szczerze wam też powiem, że chciałem go dziś całkiem na słowo puścić, niechby był jechał, gdzie chciał, byle się chociażby i za rok stawił. Także to przecie między pasowanymi rycerzami przystoi.

I począł pilnie patrzeć w twarz Wolfganga, ale ów zmarszczył się i rzekł:

– Puściłbym może i ja was na stawiennictwo, gdyby nie to, żeście psom pogańskim przeciwko nam pomagali.

– Nieprawda jest – odparł Maćko.

I począł się znów taki sam ostry spór jak wczorajszego dnia z Arnoldem. Staremu rycerzowi jednak, chociaż miał słuszność, trudniej szło, gdyż Wolfgang bystrzejszy był istotnie od starszego brata. Wynikła wszelako z owego sporu ta korzyść, że i młodszy dowiedział się o wszystkich szczytnieńskich zbrodniach, krzywoprzysięstwach i zdradach, a zarazem o losach nieszczęsnej Danusi. Na to, na owe niegodziwości, którymi rzucał mu w oczy Maćko, nie umiał nic odpowiedzieć. Musiał przyznać, że pomsta była sprawiedliwą i że polscy rycerze mieli prawo tak czynić, jak czynili, a wreszcie rzekł:

– Na błogosławione kości Liboriusza! nie ja będę Danvelda żałował. Mówili o nim, że się czarną magią parał, ale moc i sprawiedliwość boska od czarnej magii mocniejsze! Co do Zygryda. nie wiem, czyli takoz diabłu służył, ale za nim nie pogonię, bo naprzód konnicy nie mam, a po wtóre, jeśli, jako powiadacie, ową dziewicę udręczył, to niechby też z piekła nie wyrzał!

Tu przeżegnał się i dodał:

– Boże, bądź mi ku pomocy i przy skonaniu!

– Aż ową nieszczęsną męczennicą jakoże będzie? – zapytał Maćko.

– Zali nie pozwolicie jej odwieźć do domu? Zali ma w waszych podziemiach konać? Wspomnijcie na gniew Boży!...

– Mnie do niewiasty nic – odpowiedział szorstko Wolfgang. – Niech jeden z was odwiezie ją ojcu, byle się potem stawił; ale drugiego nie puszcze.

– Ba, a gdybym na cześć i na włóczęgę świętego Jerzego zaprzy-  
siągnął?

Wolfgang zawahał się nieco, gdyż wielkie to było zakłęcie, ale w  
tej chwili Arnold spytał po raz trzeci:

– Co on powiada?

I dowiedziawszy się, o co chodzi, począł przeciwieć się zapalczywie  
i po grubiańsku wypuszczeniu obu na słowo. Miał on w tym swoje wy-  
rachowanie: oto był zwyciężon w większej bitwie przez Skirwoiłę, a w  
pojedynczej przez tych polskich rycerzy. Jako żołnierz wiedział także,  
że ta piechota brata musi teraz wracać do Malborga, bo chcąc iść dalej  
do Gotteswerder, szłaby po zniszczeniu poprzednich oddziałów jako na  
rzeź. Wiedział więc, że trzeba mu będzie stanąć przed mistrzem i mar-  
szałkiem, i rozumiał, że mniejszy mu będzie wstyd, gdy będzie miał do  
pokazania choć jednego znaczniejszego jeńca. Żywy rycerz, którego się  
przedstawia do oczu, więcej znaczy niż opowiadanie, że się takich  
dwóch wzięło w niewolę.

Jakoż Maćko, słuchając chrapliwego wrzasku i klątw Arnolda, po-  
jął od razu, że należy przyjąć, co dają, gdyż więcej nic nie wskóra, i  
rzekł, zwracając się do Wolfganga:

– To proszę was, panie, jeszcze o jedno: pewien ci jestem, iż mój  
bratanek sam będzie rozumiał, że jemu wypada zostać przy żonie, a  
mnie z wami. Ale na wszelki wypadek pozwólcie oznajmić mu, że nie  
ma o tym co gadać, bo taka wasza wola.

– Dobrze, wszystko mi to jedno – odpowiedział Wolfgang. – Po-  
mówmy jeno o okupie, który wasz bratanek za siebie i za was ma  
przywieźć, bo od tego wszystko zależy.

– O okupie? – zapytał Maćko, który wolałby był odłożyć tę roz-  
mowę na później. – Albo to mało mamy czasu przed sobą? Gdy z pa-  
sowanym rycerzem sprawa, to słowo tyle znaczy, co gotowe pieniądze,  
a i wedle ceny można się na sumienie zdać. My oto pod Gotteswerder  
wzięliśmy w niewolę znacznego waszego rycerza, niejakiego pana de  
Lorche, i bratanek mój (on to bowiem go pojmał) puścił go na słowo,  
wcale się o cenę nie umawiając.

– Wzięliście pana de Lorche? – zapytał żywo Wolfgang. – Ja go  
znam. Można to rycerz. Ale czemu to nie spotkaliśmy go w drodze?

– Bo widać tędy nie pojechał, jeno do Gotteswerder albo ku Ragne-  
cie – odparł Maćko.

– Można i znamienitego rodu to rycerz – powtórzył Wolfgang. – Suto się obłowicie! Ale dobrze, żeście o tym wspomnieli, bo teraz i was za byle co nie puszczę.

Maćko przygryzł wąsa, jednakże podniósł dumnie głowę:

– My i bez tego wiemy, ileśmy warci.

– Tym lepiej – rzekł młodszy von Baden. Ale zaraz potem dodał:

– Tym lepiej, nie dla nas, bośmy pokorni mnisi, którzy ubóstwo ślubowali, lecz dla Zakonu, który waszych pieniędzy użyje na chwałę Bożą.

Maćko nie odrzekł na to nic, spojrział tylko na Wolfganga tak, jakby mu chciał powiedzieć: „Powiedz to komu innemu” – i po chwili poczęli się układać. Była to dla starego rycerza ciężka i drażliwa rzecz, bo z jednej strony czuły był wielce na wszelką stratę, z drugiej zaś rozumiał, że nie wypada mu siebie i Zbyszka zbyt mało cenić. Wił się tedy jak piskorz, tym bardziej że Wolfgang, lubo niby ludzki i gładki w mowie, okazał się niepomernie chciwym i twardym jako kamień. Jedyną pociechą była Maćkowi myśl, że zapłaci za to wszystko de Lorche, ale i tak żałował straconej nadziei zysku, na przybytek zaś z wykupu Zygryda nie liczył, myślał bowiem, że Jurand, a nawet i Zbyszko za żadną cenę nie wyrzekną się jego głowy.

Po długich układach zgodził się wreszcie na ilość grzywien i na termin, i zawarowawszy wyraźnie, ilu pachółków i ile koni ma wziąć Zbyszko, poszedł mu to oznajmić, przy czym widocznie w obawie, aby Niemcom nie strzeliła jaka inna myśl do głowy, radził mu, aby wyjeżdżał natychmiast.

– Tak to w rycerskim stanie – mówił, wzdychając – wczora tyś za łeb trzymał, dzisiaj ciebie trzymają! Ano, trudno! Da Bóg, przyjdzie znów nasza kolej! Ale teraz czasu nie trać. Wartko jadący, zgonisz Hławę i przepieczniej wam będzie razem, a byle raz z puszczy się wydostać i w ludzkim kraju na Mazowszu stanąć, to przecie u każdego szlachcica alibo włodyki znajdziecie gościnę i pomoc, i starunek. Obcym ci tego u nas nie odmówią, a cóż dopiero swoim! Dla tej niebogi może też być w tym zbawienie.

Tak mówiąc, spoglądał na Danusię, która pogrążona w półśnie, oddychała szybko i rozgłośnie. Przezrocyste jej ręce leżące na ciemnej niedźwiadkowej skórze drgały gorączkowo.

Maćko przeżegnał ją i rzekł:

– Hej, bierz ją i jedź! Niechże to Bóg odmieni, bo widzi mi się, że cienko ona przedzie!

– Nie mówcie! – zawołał z rozpaczliwym przyciskiem Zbyszko.

– Moc boska! Każę ci tu konia podprowadzić, a ty jedź! I wyszedłszy z izby, zarządził wszystko do odjazdu. Turczynkowie, podarowani od Zawiszy, podprowadzili konie z kołyską wymoszczoną mchem i skórą, a pacholek Wit Zbyszki wierzchowca – i po chwili Zbyszko wyszedł z izby, trzymając na ręku Danusię. Było w tym coś tak wzruszającego, że obaj bracia von Baden, których ciekawość przywiodła przed chatę, ujrawszy na wpół dziecinną jeszcze postać Danuśki, jej twarz podobną istotnie do twarzy świętych pańienek z kościelnych obrazów i jej słabość tak wielką, że nie mogąc dźwignąć głowy, trzymała ją wspartą ciężko na ramieniu młodego rycerza, poczęli spoglądać po sobie ze zdziwieniem i burzyć się w sercach przeciw sprawcom jej niedoli. „Jużci, katowskie, nie rycerskie serce miał Zygfryd – szepnął do brata Wolfgang – ową żmiję, chociaż za jej przyczyną uwolnion, każę różgami osmagać”. Wzruszyło ich i to także, że Zbyszko niesie Danusię na ręku jak matka dziecko – i zrozumieli jego kochanie, gdyż obaj mieli jeszcze młodą krew w żyłach. On zaś zawahał się przez chwilę, czy chorą przed się wziąć na siodło i trzymać w drodze przy piersi, czy też złożyć w kołysce. Namyślił się wreszcie na to ostatnie, mniemając, że wygodniej jej będzie jechać leżący. Zatem zbliżywszy się do stryjca, pochylił się do jego ręki, aby ucałować ją na pożegnanie, ale Maćko, który w rzeczy miłował go jak źrenicę oka, jakkolwiek nie chciał okazywać przy Niemcach wzruszenia, nie mógł się jednak powstrzymać i objąwszy go mocno, przycisnął usta do jego bujnych złotych włosów.

– Boże cię prowadź! – rzekł. – A o starym przecie pamiętaj, bo niewola zawsze to ciężka rzecz.

– Nie zapomnę – odpowiedział Zbyszko.

– Daj ci Matko Najświętsza pociechę!

– Bóg wam zapłać i za to... i za wszystko.

Po chwili Zbyszko siedział już na koniu, ale Maćko przypomniał sobie jeszcze coś, gdyż skoczył ku niemu i położywszy mu dłoń na kolanach, rzekł:

– Słuchaj! A jeśli Hławę dogonisz, to co do Zygfryda, bacz, byś hańby i na się, i na mój siwy włos nie ściągnął. Jurand – dobrze, ale nie ty! Na miecz mi to przysięgnij i na cześć!

– Póki nie wrócić, to i Juranda pohamuję, aby się na was za Zygfryda nie pomścili – odpowiedział Zbyszko.

– Tak-że ci o mnie chodzi?



A młodzianek uśmiechnął się smutno:

– Przecie wiecie.

– W drogę! Jedź w zdrowiu!

Konie ruszyły i wkrótce przesłoniła je jasna leszczynowa gęstwina. Maćkowi stało się nagle okrutnie markotno i samotnie, a dusza rwała mu się ze wszystkich sił za tym umiłowanym chłopakiem, w którym była cała nadzieja rodu. Ale wraz otrząsnął się z żalu, gdyż był człowiekiem twardym i moc nad sobą mającym.

„Dziękować Bogu – rzekł sobie – że nie on w niewoli jest Jenojaj...”

I zwrócił się ku Niemcom:

– A wy, panie, kiedy ruszycie i dokąd?

– Kiedy nam się spodoba – odpowiedział Wolfgang – a ruszymy do Malborga, gdzie przed mistrzem naprzód musicie, panie, stanąć.

„Hej, jeszcze mi tam szyję gotowi za pomaganie Żmujdzinom uciąć!” – rzekł sobie Maćko.

Jednakże uspokajała go myśl, że jest w odwodzie pan de Lorche i że sami von Badenowie będą bronili jego głowy choćby dlatego, aby ich okup nie minął.

„Bo jużci – mówił sobie – że w takowym zdarzeniu Zbyszko nie potrzebowałby ni sam stawać, ni chudoby pomniejszać”. I myśl ta przyniosła mu pewną ulgę.

## ROZDZIAŁ XXV

Zbyszko nie mógł zgonić swego giermka, albowiem ów jechał dniem i nocą tyle tylko wypoczywając, ile było koniecznie trzeba, aby konie nie popadały, które jako żywione samą trawą mdłe były i nie mogły czynić tak wielkich pochodów jak w krajach, w których łatwiej było o owies. Sam siebie Hława nie szczędził, a na późny wiek i osłabienie Zygfyryda nie zważał. Cierpiał też stary Krzyżak okrutnie, tym bardziej że żylasty Maćko nadwerżył mu poprzednio kości. Ale najcięższe były dla niego komary rojące się w wilgotnej puszczy, od których, mając związane ręce, a przykrępowane do brzucha końskiego nogi, opędzać się nie mógł. Giermek nie zadawał mu wprawdzie żadnych osobnych mąk, ale i litości nad nim nie miał i uwalniał mu prawicę z więzów tylko na postojach przy jedle: „Jedz, wilcza mordko, abym cię żywiecego panu na Spychowie mógł dowieźć!” Takie były słowa, którymi go do posiłku zachęcał. Zygfyrydowi przysła wprawdzie z początku podróży myśl, by się głodem zamorzyć, ale gdy usłyszał zapowiedź, że będą mu zęby nożem podwazywać i przemocą w gardło lać, wolał ustąpić, aby do poniewierania swej godności zakonnej i czci rycerskiej nie dopuścić.

A Czech chciał koniecznie znacznie przed „panami” przybyć do Spychowa, aby swoją uwielbianą panienkę od wstydu uchronić. Prosty, ale roztroptym i nie pozbawionym uczuć rycerskich szlachetką będąc, rozumiał to jednak doskonale, że byłoby w tym coś upokarzającego dla Jagienki, gdyby znalazła się w Spychowie razem z Danusią. „Można będzie w Płocku biskupowi powiedzieć – myślał – że staremu panu z Bogdańca z opiekuństwa tak wypadło, że ją z sobą musiał brać, a potem niech się jeno rozgłosi, że ona pod biskupią opieką i że prócz Zgorzelic jeszcze i po opacie dziedzictwo na nią idzie – to choćby i wojewodziński syn nie będzie dla niej za dużo”. I ta myśl osładzała mu trudy pochodów, bo zresztą trafił się myślą, że ta szczęsna nowina, którą do Spychowa wiezie, będzie jednak dla panienki wyrokiem niedoli.

Często też stawała mu przed oczyma rumiana jak jabłuszko Sieciechówna. Naówczas, o ile drogi pozwalały, łechtał boki konia ostrogami, albowiem tak pilno było mu do Spychowa.

Jechali błędnymi drogami, a raczej bezdrożem przez bór, wprost przed siebie jak sierpem rzucił. Wiedział tylko Czech, że jadąc nieco ku zachodowi, a wciąż na południe, musi dojechać na Mazowsze, a wówczas wszystko już będzie dobrze. W dzień kierował się słońcem, a gdy pochód w noc się przeciągnął, gwiazdami. Puszcza przed nimi zdawała się nie mieć granic ni końca. Pływały im wśród mroków nocnych dni i noce. Nieraz myślał Hława, że nie przewiezie młody rycerz żywej niewiasty przez to okropne bezludzie, gdzie znikąd pomocy, znikąd żywności, gdzie nocami koni trzeba było strzec od wilków i niedźwiedzi, w dzień ustępować z drogi stadom żubrów i turów, gdzie straszne odyńce ostrzyły krzywe kły o korzenie sosen i gdzie często, kto nie przedział z kuszy albo nie przebódl dzidą cętkowanych boków jelonka lub warchlaka, ten całymi dniami jeść co nie miał.

„Jakże tu będzie – myślał Hława – jechać z taką niedomęczoną dziewczką, która ostatnim tchem goni!”

Przychodziło im raz po raz objeżdżać rozległe grzędawy lub głębokie parowy, na których dnie szumiały wzdęte wiosennymi dżdżami potoki. Nie brakło w puszczy i jezior, w których widywali przy zachodzie słońca pławiące się w rumianych, wygładzonych wodach całe stada łosiów lub jeleni. Czasem spostrzegali też dymy zwiastujące obecność ludzi. Kilkakrotnie Hława zbliżał się ku takim borowym osadom, ale wysypywał się z nich na spotkanie lud dziki, przybrany w skóry na gołym ciele, zbrojny w kiścienie i łuki, a patrzący tak złowrogo spod poskręcanych przez kołtun czupryn, że trzeba było korzystać co ducha z pierwszego zdumienia, w jaki ich wprawiał widok rycerzy, i odjeżdżać jak najspieszniej.

Dwa razy jednak świstały za Czechem groty i gonił go okrzyk:

„Wokili!” (Niemcy!), on zaś wolał umykać niż wywodzić się, kto jest. Nareszcie po kilku jeszcze dniach zaczął przypuszczać, że może już i przejechał granicę, ale na razie nie było się kogo spytać. Dopiero od osaczników mówiących polską mową dowiedział się, że na koniec stanął na ziemiach mazowieckich.

Tam szło już łatwiej, chociaż całe wschodnie Mazowsze szumiało również jedną puszcza. Nie skończyło się także bezludzie, ale tam, gdzie zdarzyła się osada, mieszkaniec mniej był nieużyty, może dlatego, że nie karmił się wciąż nienawiścią, a może i z tej przyczyny, że

Czech odzywał się zrozumiałym dla niego językiem. Bieda bywała tylko z niezmierną ciekawością tych ludzi, którzy otaczali gromadnie jeźdźców i zarzucali ich pytaniami, a dowiedziawszy się, że jeńca Krzyżaka wiodą, mówili:

– Podarujcież go nam, panie; już my go spravim! I prosili tak natarczywie, że Czech często musiał się gniewać albo tłumaczyć im, że jeniec jest ksiązęcy. To wówczas ustępowali. Później, w kraju już osiadłym, ze szlachtą i włodykami nie szło też łatwo. Wrzała tam nienawiść przeciw Krzyżakom, pamiętano bowiem żywo wszędzie zdradę i krzywdę wyrządzoną księciu wówczas, gdy w czasie największego spokoju porwali go Krzyżacy pod Złotoryją i zatrzymali jako więźnia. Nie chciano tam już wprawdzie „sprawiać” Zygfyryda, ale ten lub ów twardy szlachcic mówił: „Rozwiążcie go, to mu dam oręż i za miedzą pozwę go na śmierć”. Takim wkładał jako łopatą w głowę Czech, że pierwsze prawo do pomsty ma nieszczęsny pan spychowski i że nie wolno go jej pozbawiać.

Ale w osiadłych stronach łatwo już szła podróż, bo były jakie takie drogi i konie wszędy karmiono owsem lub jęczmieniem. Jechał też Czech żywo, nie zatrzymując się nigdzie, i na dziesięć dni przed Bożym Ciałem stanął w Spychowie.

Przyjechał wieczorem, jak wówczas, gdy go był Maćko ze Szczytyna z wiadomością o swoim odjeździe na Żmujdź przysłał, i tak samo jak wówczas zbiegła do niego, ujrawszy go z okna, Jagienka, a on jej do nóg padł, słowa przez chwilę nie mogąc przemówić. Ale ona podniosła go i pociągnęła co rychlej na górę, nie chcąc przy ludziach wypytywać.

– Co za nowiny? – spytała, drżąc z niecierpliwości i ledwie mogąc dech złapać. – Żywi są? Zdrowi?

– Żywi! Zdrowi!

– A ona znalazła się?

– Jest. Odbili ją.

– Pochwalony Jezus Chrystus!

Ale mimo tych słów twarz jej stała się jakby skrzepla, bo od razu wszystkie jej nadzieje rozsypały się w proch.

Siły wszakże nie opuściły jej i nie straciła przytomności, a po chwili opanowała się zupełnie i poczęła znów pytać:

– Kiedy zaś tu staną?

– Za kilka dni! Ciężka to droga – z chorą.

– Chora ci jest?

– Skatowana. Umysł się jej od męki pomieszał.

– Jezu miłosierny!

Nastało krótkie milczenie, tylko przybladłe nieco usta Jagienki poruszały się jakby w modlitwie.

– Nie obaczyłaże się przy Zbyszku? – spytała znowu.

– Może się i obaczyła, ale nie wiem, bom wraz wyjechał, aby wam, pani, oznajmić nowinę, nim tu staną.

– Bóg ci zapłać. Powiadaj, jako było?

Czech począł opowiadać w krótkich słowach, jak odbili Danusię i wzięli olbrzyma Arnolda razem z Zygfydem. Oznajmił też, że Zygfyda przywiózł z sobą, albowiem młody rycerz chciał go dać w podarunku i dla pomsty Jurandowi.

– Trzeba mi teraz do Juranda! – rzekła, gdy skończył, Jagienka. I wyszła, ale Hława niedługo pozostał sam, gdyż z alkierza wybiegła ku niemu Sieciechówna, a on, czy to dlatego, że nie całkiem był przytomny ze zmęczenia i trudów niezmiernych, czy że tęsknił do niej i zapamiętał się na razie na jej widok, dość że chwycił ją wpół, przycisnął do piersi i począł całować jej oczy, policzki, usta, tak jakby dawno już przedtem powiedział jej wszystko, co przed takim uczynkiem powiedzieć dziewczynie wypada.

I może, że istotnie wypowiedział jej to już w duchu w czasie podróży, bo całował i całował bez końca, a tulił ją do się z taką siłą, że aż w niej oddech zapierało, ona zaś nie broniła się, z początku ze zdumienia, a potem z omdłości tak wielkiej, że byłaby osunęła się na ziemię, gdyby trzymały ją mniej krzepkie ręce. Na szczęście, nie trwało to wszystko zbyt długo, gdyż na schodach dały się słyszeć kroki i po chwili wpadł do izby ojciec Kaleb.

Odskoczyli więc od siebie, a ksiądz Kaleb począł znów zarzucać Hławę pytaniami, na które ów, nie mogąc tchu złapać, z trudnością odpowiadał. Ksiądz myślał, że to z trudu. Usłyszawszy jednak potwierdzenie nowiny, że Danusia odbita i znaleziona, a kat jej przywiezion do Sychowa, rzucił się na kolana, aby Bogu dzięki uczynić. Przez ten czas uspokoiła się nieco krew w żyłach Hławy i gdy ksiądz wstał, mógł mu już spokojnie powtórzyć, jakim sposobem znaleźli i odbili Danusię.

– Nie po to ją Bóg wybawił – rzekł, wysłuchawszy wszystkiego, ksiądz – aby rozum jej i duszę w ciemnościach i we władaniu mocy nieczystych miał pozostawić! Położy Jurand na niej swoje święte ręce i jedną modlitwą przywróci jej rozum i zdrowie.

– Rycerz Jurand? – zapytał ze zdziwieniem Czech. – Takąż on ma moc? Świętym ci może już za życia został?

– Przed Bogiem jest już za życia, a gdy zemrze, będą mieli ludzie w niebiesiech jednego więcej patrona-męczennika.

– Powiedzieliście wszelako, wielebny ojcze, że położy ręce na głowie córki. Zaliby mu prawica odrosła? bo wiem, żeście o to Pana Jezusa prosili.

– Powiedziałem: „ręce”, jako się zwyczajnie mówi – odrzekł ksiądz – ale przy łasce boskiej i jedna wystarczy.

– Pewnie – odpowiedział Hława.

Ale w głosie jego było nieco zniechęcenia, gdyż myślał, że widomy cud zobaczy. Dalszą rozmowę przerwało wejście Jagienki.

– Oznajmiłam mu – rzekła – nowinę ostrożnie, aby go nagła radość nie zabiła, a on zaraz padł krzyżem i modli się.

– On i bez tego całymi nocami tak leży, a dziś tym bardziej pewnie do rana nie wstanie – powiedział ksiądz Kaleb.

Jakoż tak się stało. Kilka razy zaglądali do niego i za każdym razem znajdowali go leżącego, nie w uśpieniu, lecz w modlitwie tak gorliwej, że do zupełnego zapamiętania się dochodzącej.

Dopiero nazajutrz, znacznie po jutrzni, gdy Jagienka zajrzała znów do niego, dał znać, że chce widzieć Hławę i jeńca. Wyprowadzono wówczas z podziemia Zygfrйда ze skrępowanymi w krzyż na piersiach rękoma i wszyscy razem z Tolimą udali się do starca.

W pierwszej chwili Czech nie mógł mu się dobrze przyjrzeć, gdyż błoniaste okna mało przepuszczały światła, a dzień był ciemny z powodu chmur, które zawały całkiem niebo i zapowiadały groźną nawałnicę. Ale gdy bystre jego oczy przywykły do mroku, zaledwie go poznał, tak jeszcze wychudł i wynędzniał. Olbrzymi mąż zmienił się w olbrzymiego kościeja. Twarz miał tak białą, że nie różniła się wiele od mlecznej barwy włosów i brody, a gdy przechyliwszy się na poręcz krzesła, przymknął powieki, wydał się Hławie po prostu trupem. Przy krześle stał stół, a na nim krucyfiks, dzban z wodą i bochen czarnego chleba z utkwioną w nim mizerykordią, czyli groźnym nożem, którego rycerze używali do dobijania rannych. Innego pokarmu prócz chleba i wody od dawna już Jurand nie używał. Za odzież służyła mu gruba włosienica, przepasana powróstem, którą nosił na gołym ciele. Tak to od czasu powrotu ze szczecińskiej niewoli żył możny i straszny niegdyś rycerz ze Spychowa.

Posłyszawszy wchodzących, odsunął nogą oswojoną wilczycę, która ogrzewała mu bose stopy, i podał się w tył. Wtedy to właśnie wydał się Czechowi jak umarły. Nastąpiła chwila oczekiwania, spodziewano się bowiem, że uczyni jakiś znak, aby kto zaczął mówić, ale on siedział nieruchomy, biały, spokojny, z otwartymi nieco ustami, jakoby istotnie pogrążony w wiecznym uspieniu śmierci.

– Jest tu Hława – ozwała się wreszcie słodkim głosem Jagienka – chcecie-li go wysłuchać?

Skinął głową na znak zgody, więc Czech rozpoczął po raz trzeci opowiadanie. Wspomniał pokrótce o bitwach stoczonych z Niemcami pod Gotteswerder, opowiedział walkę z Arnoldem von Baden i odbicie Danusi, ale nie chcąc przydawać staremu męczennikowi boleści do dobrej nowiny i budzić w nim nowego niepokoju, zataił, że umysł Danusi pomieszał się przez długie dni okrutnej niedoli.

Natomiast mając serce zawzięte przeciw Krzyżakom i pragnąc, aby Zygfryd jak najniemiłosierniej był pokaran, nie zataił umyślnie, że znaleźli ją przełknięą, wynędzniałą, chorą, że znać było, że obchodzono się z nią po katowsku, i że gdyby była dłużej pozostała w tych strasznych rękach, byłaby uwiędła i zgasła tak właśnie, jako więdnie i ginie podeptane nogami kwiecie. Ponurej tej opowieści towarzyszył niemniej posępny pomruk zapowiadającej się burzy. Miedziane zwały chmur kłębiły się coraz potężniej nad Spychowem.

Jurand słuchał opowiadania bez jednego drgnienia i ruchu, tak że obecnym zdawać się mogło, iż pogrążony jest we śnie. Słyszał jednak i rozumiał wszystko, bo gdy Hława zaczął mówić o niedoli Danusi, wówczas w pustych jamach oczu zebrały mu się dwie wielkie łzy i spłynęły mu po policzkach. Ze wszystkich ziemskich uczuć pozostało mu jeszcze jedno tylko: miłość do dziecka.

Potem sinawe jego usta poczęły się poruszać modlitwą. Na dworze rozległy się pierwsze, dalekie jeszcze grzmoty i błyskawice jeły kiedy niekiedy rozświecać okna. On modlił się długo i znów łzy kapwały mu na białą brodę. Aż wreszcie przestał i zapadło długie milczenie, które przedłużając się nad miarę, stało się na koniec uciążliwe dla obecnych, bo nie wiedzieli, co mają z sobą robić.

Na koniec stary Tolima, prawa Jurandowa przez całe życie ręką, towarzysz we wszystkich bitwach i główny stróż Spychowa, rzekł:

– Stoi przed wami, panie, ten piekielnik, ten wilkołak krzyżacki, który katował was i dziecko wasze; dajcie znak, co mam z nim uczynić i jako go pokarać?

Na te słowa przez oblicze Juranda przebiegły nagle promienie – i skinął, aby mu przywiedziono tuż więźnia.

Dwaj pachołkowie chwycili go w mgnieniu oka za barki i przywiedli przed starca, a ów wyciągnął rękę, przesunął naprzód dłoń po twarzy Zygryda, jakby chciał sobie przypomnieć lub wrazić w pamięć po raz ostatni jego rysy, następnie opuścił ją na piersi Krzyżaka, zmacał skrzyżowane na nich ramiona, dotknął powrozów – i przymknąwszy znów oczy, przechylił głowę.

Obecni mniemali, że się namyślał. Ale cokolwiek bądź czynił, nie trwało to długo, gdyż po chwili ocknął się – i skierował dłoń w stronę bochenka chleba, w którym utkwiona była złowroga mizerykordia.

Wówczas Jagienka, Czech, nawet stary Tolima i wszyscy pachołkowie zatrzymali dech w piersiach. Kara była stokroć zasłużona, pomsta słuszna, jednakże na myśl, że ów na wpół żywy starzec będzie rzezał omackiem skrepowanego jeńca, wzdrygnęły się w nich serca.

Ale on, ująwszy w połowie nóż, wyciągnął wskazujący palec do końca ostrza, tak aby mógł wiedzieć, czego dotyka, i począł przecinać sznury na ramionach Krzyżaka.

Zdumienie ogarnęło wszystkich, zrozumieli bowiem jego chęć – i oczom nie chcieli wierzyć. Tego jednak było im zanadto. Hława jał pierwszy szemrać, za nim Tolima, za tymi pachołkowie. Tylko ksiądz Kaleb począł pytać przerywanym przez niepohamowany płacz głosem:

– Bracie Jurandzie, czego chcecie? Czy chcecie darować jeńca wolnością?

– Tak! – odpowiedział skinieniem głowy Jurand.

– Chcecie, by odszedł bez pomsty i kary?

– Tak!

Pomruk gniewu i oburzenia zwiększył się jeszcze, ale ksiądz

Kaleb, nie chcąc, by zmarniał tak niesłychany uczynek miłosierdzia, zwrócił się ku szemrzącym i zawołał:

– Kto się świętemu śmie sprzeciwić? Na kolana! I klękąwszy sam, począł mówić:

– Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje...

I odmówił „Ojczy nasz” do końca. Przy słowach: „i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”, oczy jego zwróciły się mimo woli na Juranda, którego oblicze zajaśniało istotnie jakimś nadziemskim światłem.



A widok ów w połączeniu ze słowami modlitwy skruszył serca wszystkich obecnych, gdyż stary Tolima o zatwardziałej w ustawicznych bitwach duszy, przeżegnawszy się krzyżem świętym, objął następnie Jurandowe kolano i rzekł:

– Panie, jeśli wasza wola ma się spełnić, to trzeba jeńca do granicy odprowadzić.

– Tak! – skinął Jurand.

Coraz częstsze błyskawice rozświecały okna; burza była bliżej i bliżej.

## ROZDZIAŁ XXVI

Dwaj jeźdźcy zdążali wśród wichru i nawalnego już chwilami dżdżu ku spychowskiej granicy: Zygfyrd i Tolima. Ten ostatni odprowadzał Niemca z obawy, aby po drodze nie zabili go chłopci czatownicy lub czeladź spychowska, płonąca ku niemu straszną nienawiścią i zemstą. Zygfyrd jechał bez broni, ale i bez pęt. Burza, którą gnał wicher, była już nad nimi. Kiedy niekiedy, gdy huknął niespodziany grzmot, konie przysiadły na zadach. Oni jechali w głębokim milczeniu zapadłym wądołem, nieraz z powodu ciasnoty drogi tak blisko siebie, że strzemień trącało o strzemień. Tolima, przywykły od całych lat do stróżowania jeńców, spoglądał i teraz chwilami na Zygfylda baczny okiem, jak gdyby mu chodziło o to, aby niespodzianie nie umknął – i dreszcz mimowolny przejmował go za każdym razem, albowiem wydawało mu się, że oczy Krzyżaka świecą w pomroce jak oczy złego ducha albo upiora. Przychodziło mu nawet do głowy, aby go przeżegnać, ale na myśl, że pod znakiem krzyża może mu zawyje niehumanym głosem i zmieniwszy się w szkaradny kształt pocznie kłapać zębami, zdejmował go strach jeszcze większy. Stary wojownik, który umiał bić w pojedynkę w całe kupy Niemców, jak jastrząb bije w stado kuropatw – bał się jednakże sił nieczystych i nie chciał mieć z nimi do czynienia. Wolałby też być pokazać Niemcowi po prostu dalszą drogę i zawrócić, ale wstyd mu było samego siebie, więc odprowadził go aż do granicy.

Tam, gdy dotarli do krańca spychowskiego lasu, nastąpiła przerwa w dżdżu i chmury zajaśniały jakimś dziwnym żółtym światłem. Uczyniło się widniej i oczy Zygfylda utraciły ów poprzedni niesamowity blask. Ale wówczas napadła na Tolimę inna pokusa:

„Kazali mi – mówił sobie – odprowadzić tego wściekłego psa bezpiecznie aż do granicy, tom go i odprowadził; ale zaliż ma on odjechać bez pomsty i kary, ów kat pana mojego i jego dziecka, i czy nie byłby to godny a miły Bogu uczynek zgładzić go? Ej! nużbym go pozwał na śmierć? Nie ma ci on wprawdzie broni, ale o milę zaraz, w pana Warcimowym dworzyszczu, dadzą mu przecie jaki miecz albo okszę – i będę się z nim potykał. Da Bóg, obalę go, a potem dorżnę jako przystoi i głowę w gnoju zakopię!” Tak mówił do siebie Tolima i spo-

glądając łakomie na Niemca, jał poruszać nozdrzami, jakby już zwierzył zapach świeżej krwi. I ciężko musiał walczyć z tą żądzą, ciężko łamać się z sobą, aż dopiero gdy pomyślał, że Jurand nie do granicy tylko darował życie i wolność jeńcowi i że w takim razie na nic by się nie przydał pański święty uczynek i zmniejszyłaby się za niego nagroda niebieska, przewyciężył się wreszcie i powstrzymawszy konia, rzekł:

– Oto granica nasza, a i do waszej niedaleko. Jedźże wolny, a jeśli cię zgryzota nie zdławi i piorun boski nie doścignie, to od ludzi nic ci nie grozi.

I to rzekłszy, zawrócił, a tamten pojechał przed siebie z jakąś dziką skamieniałością w twarzy, nie odezwawszy się ani jednym słowem i jakby nie słysząc, że ktoś do niego przemówił.

I jechał dalej szerszym już gościńcem, rzekłbyś, pograżon we śnie.

Krótką była przerwa w burzy i krótko trwało rozjaśnienie. Ściemniło się znów tak, iż rzekłbyś, na świat padł mrok wieczorny i chmury zstąpiły nisko, prawie nad sam bór. Z góry dochodził złowrogi pomruk i jakby niecierpliwy syk i warczenie piorunów, które hamował jeszcze anioł burzy. Ale błyskawice rozświecały już co chwila oślepiającym blaskiem groźne niebo i przerażoną ziemię i wówczas widać było szeroką drogę idącą wśród dwóch czarnych ścian boru, na niej zaś w poróżdoku samotnego jeźdźca na koniu. Zygryd jechał na wpół przytomny, trawiony przez gorączkę. Rozpacz żrąca mu duszę od czasu śmierci Rotgiera, zbrodnie popełnione przez zemstę, zgryzoty, przerażające widzenia, duszne targaniny zmały jego umysł już od dawna do tego stopnia, że z największym tylko wysiłkiem bronił się szaleństwu, a chwilami nawet mu się poddawał. Świeżo zaś – i trudy podróży pod twardą ręką Czecha, i noc spędzona w spychowskim więzieniu, i niepewność losu, a nade wszystko ów niesłychany, nadludzki niemal czyn łaski i miłosierdzia, który po prostu go przeraził, wszystko to potargało go do ostatka. Chwilami tężała i krzepła w nim myśl, tak że zupełnie tracił rozpoznanie, co się z nim dzieje, ale potem znów gorączka budziła go i zarazem budziła w nim jakieś głuche poczucie rozpacz, zatury, zguby – poczucie, że wszystko już minęło, zgasło, skończyło się, że nadszedł jakiś kres, że naokół jeno noc i noc, i nicość, i jakby jakaś otchłań okropna wypełniona przerażeniem, ku której musi jednak iść.

– Idź! idź! – szepnął mu nagle nad uchem jakiś głos. A on obejrzał się – i ujrzał śmierć. Sama kształtu kościotrupa, siedząc na kościotrupie końskim, sunęła tuż obok, biała i klekocąca kośćmi.

– Jesteś? – zapytał Krzyżak.

– Jestem. Idź! idź!

Ale w tej chwili spostrzegł, że z drugiej strony ma także towarzysza: strzemię w strzemię jechał jakiś twór ciałem podobny do człowieka, ale z nieludzką twarzą, głowę miał bowiem zwierzęcą, ze stojącymi uszami, długą, spiczastą i pokrytą czarną sierścią.

– Ktoś ty? – zawołał Zygryd.

Ów zaś, zamiast odpowiedzieć, pokazał mu zęby i począł głucho warczeć.

Zygryd zamknął oczy, ale natychmiast usłyszał potężniejszy chrzęst kości i głos mówiący mu w samo ucho:

– Czas! czas! śpiesz się! idź!

I odpowiedział:

– Idę!

Ale odpowiedź ta wyszła z jego piersi tak, jakby ją dał kto inny. Potem, rzekłbyś, popychany jakąś nieprzepartą zewnętrzną siłą, zsiadł z konia i zdjął z niego wysokie rycerskie siodło, a następnie uzdę. Towarzysze, zsiadłszy także, nie odstępili go ani na mgnienie oka – i zawiedli ze środka drogi na skraj boru. Tam czarny upiór pochylił mu gałąź i pomógł przywiązać do niej rzemień uzdy.

– Śpiesz się! – szepnęła śmierć.

– Śpiesz się! – zaszumiały jakieś głosy w wierzchołkach drzew.

Zygryd, pogrążony jakby we śnie, przewlókł drugi lejc przez sprzączkę, uczynił pętlę – i wstąpiwszy na siodło, które złożył poprzednio pod drzewem, założył ją sobie na szyję.

– Odepchnij siodło!... już! Aa!

Trącone nogą siodło potoczyło się o kilka kroków i ciało nieszczęsnego Krzyżaka zwisło ciężko.

Przez jedno mgnienie oka wydało mu się, że słyszy jakiś chrapliwy, stłumiony ryk i że ów ohydny upiór rzucił się na niego, zakołysał nim i począł zębami szarpać mu piersi, aby ukąsić go w serce. Ale potem gasnące jego źrenice ujrzały jeszcze co innego: oto śmierć rozplynęła się w jakiś białawy obłok, który z wolna posunął się ku niemu, objął go, ogarnął, otoczył i zakrył wreszcie wszystko okropną, nieprzenikliwą zasłoną.

W tej chwili burza rozszalała się z niezmierną wściekłością. Piorun huknął w środek drogi z tak straszliwym łoskotem, jakby ziemia zapadała się w posadach. Cały bór ugiął się pod wichrem. Szum, świst, wycie, skrzypienie pni i trzask łamanych gałęzi wypełniły głębie leśne. Fale dżdżu gnane wichrem przesłoniły świat – i tylko w czasie krótkich

krwawych błyskawic można było dojrzeć rozhuśtany dziko nad drogą trup Zygryda.

Nazajutrz tą samą drogą posuwał się dość liczny orszak. Na przedzie jechała Jagienka z Sieciechówną i Czechem, za nimi szły wozy, otoczone przez czterech zbrojnych w kusze i miecze pachołków. Z woźniców każdy miał też obok siebie oszczep i siekiere, nie licząc okutych wideł i innych narzędzi w drodze przydatnych. Potrzebne to było tak dla obrony od dzikiego zwierza, jak od kup rozbójniczych, które wiecznie grasowały na krzyżackiej granicy, a na które gorzko się skarżył wielkiemu mistrzowi Jagiełło i w listach, i osobiście na zjazdach w Raciążu.

Ale mając ludzi sprawnych i dobry sprzęt obronny, można się było ich nie lękać, poczet więc jechał ufny w siebie i wolny od obaw. Po wczorajszej burzy nastał dzień przecudny, rzeźwy, cichy i tak jasny, że tam, gdzie nie było cienia, oczy podróżnych mrużyły się od zbytniego blasku. Żaden liść nie poruszał się na drzewach, a z każdego zwieszały się wielkie krople dżdżu, mieniające się tęczą w słońcu. Wśród sosnowych igieł błyszcząły jakby wielkie diamenty. Ulewa potworzyła na gościńcu małe strumyki, które spływały z wesołym szelestem ku niższym miejscom, tworząc we wgłębieniach płytkie jeziora. Cała okolica była zroszona, mokra, ale śmiejąca się w porannej jasności. W takie poranki radość ogarnia i serce ludzkie, więc woźnice i parobcy podśpiewywali sobie z cicha, dziwiąc się milczeniu, które panowało między jadącymi na przedzie.

Oni zaś milczeli, bo na duszy Jagienki osiadła ciężka troska. W życiu jej coś się skończyło, coś złamało i dziewczyna, chociaż nie bardzo biegła w rozmyślanii i nie umiejąca wypowiedzieć sobie wyraźnie, co się w niej dzieje i co się jej wydaje, czuła jednak, że wszystko, czym dotychczas żyła, zawiodło i poszło na marne, że rozwiała się w niej wszelka nadzieja, jako poranna mgła rozwiewa się nad polami, że wszystkiego trzeba się będzie wyrzec, wszystkiego zaniechać, o wszystkim zapomnieć i zacząć życie jakby całkiem nowe. Myślała też, że choćby z woli Bożej nie było ono całkiem złe, jednakże nie może być inne, jeno smutne, a w żadnym razie nie tak dobre, jak mogłoby być to, które się właśnie skończyło.

I żal niezmierny ścisnął jej serce po owej zamkniętej raz na zawsze przeszłości i podnosił się strumieniem łez do oczu. Ale nie chciała płakać, bo i bez tego czuła jakby w dodatku do całego brzemienia, które jej gniotło duszę, jeszcze i wstyd. Wolałaby była nigdy nie wyjeżdżać

ze Zgorzelic, byle tak nie wracać teraz ze Spychowa. Bo że tu przyjechała nie tylko dlatego, że nie wiedziała, co czynić po śmierci opata, i nie tylko dlatego, by Cztanowi i Wilkowi odjąć przyczynę do napaści na Zgorzelice, tego nie mogła przed sobą zaprzec! Nie! Wiedział o tym i Maćko, który też nie z tego powodują brał, a dowie się niechybnie i Zbyszko. Na tę myśl zapalały jej policzki i gorycz zalała serce. „Nie byłam ci dość harda – mówiła sobie w duszy – a teraz mam, czego chciała”, I do troski, do niepewności jutra, do zgryźliwego smutku i do niezgłębionego żalu po przeszłości dołączyło się upokorzenie.

Ale dalszy przebieg ciężkich myśli przerwał jej jakiś człowiek nadchodzący z przeciwka. Czech, mający na wszystko baczne oko, ruszył też koniem ku niemu i z kuszy na ramieniu, z torby borsuczej i z piór sójki na czapce poznał w nim borowego.

– Hej, a ktoś jest? stój! – zawołał jednak dla pewności. Ów zbliżył się pośpiesznie i z obliczem poruszonym, jakie miewają zwykle ludzie, którzy chcą coś niezwykłego oznajmić, zawołał:

– Człowiek przed wami wisi nade drogą! Czech więc zaniepokoił się, czy to nie jakaś sprawa zbójcka, i począł pytać żywo:

– Daleko stąd?

– Na strzelenie z kuszy. Nad samą drogą.

– Nikogo przy nim?

– Nikogo. Spłoszyłem jeno wilka, który go obwąchiwał. Wzmianka o wilku uspokoiła Hławę, dowodziła bowiem, że w pobliżu nie było ludzi ni żadnej zasadzki. Tymczasem Jagienka rzekła:

– Obacz, co to jest.

Hława skoczył przed siebie, a po chwili powrócił jeszcze szybciej.

– Zygryd wisi! – zawołał, osadzając przed Jagienką konia.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha! Zygryd? Krzyżak?

– Krzyżak! Na uździenicy się powiesił!

– Sam?

– Sam, widać, bo siodło leży wedle niego. Gdyby to zbóje uczynili, byliby go po prostu zabili – i siodło byliby zabrali, bo zacne.

– Jakoże przejedziem?

– Nie jedźmy tam, nie jedźmy! – zaczęła wołać bojaźliwa Anula Sieciechówna. – Jeszcze się co do nas przyczepi!

Jagienka przelęknęła się nieco także, gdyż wierzyła, że koło trupa samobójcy zbierają się całymi gromadami duchy paskudne, ale Hława, który był zuchwały i niczego się nie bojący, rzekł:

– O wa! Byłem blisko niego, a nawet trąciłem go oszczepem – i jakoś nie czuję diabła na karku.

– Nie bluźnij! – zawołała Jagienka.

– Nie bluźnię – odpowiedział Czech – jeno ufam w moc Bożą. Wszelako, jeśli się boicie, to można borem objechać.

Sieciechówna poczęła prosić, by objechać, ale Jagienka, namyśliwszy się przez chwilę, rzekła:

– Ej! nie godzi się umarłego nie pogrześć! Krześcijański to uczynek, od Pana Jezusa nakazany, a to przecie człowiek.

– Ba, ale Krzyżak, wisielec i kat! Kruki i wilcy się nim zajmą.

– Nie powiedaj byle czego! Za winy Bóg go będzie sądził, my zaś uczynmy swoje. Nie przyczepi się też do nas nijakie zło, jeśli pobożne przykazanie spełnimy.

– Ha! to niech się i stanie wedle waszej woli – odrzekł Czech. I wydał odpowiedni rozkaz parobkom, którego posłuchali z ociąganiem się i ze wstrętem. Bojąc się jednakże Hławy, pobrali, w niedostatku łopat, widły i topory dla wybrania dołu w ziemi i poszli. Czech udał się też z nimi dla przykładu i przeżegnawszy się, przeciął własnoręcznie rzemień, na którym trup wisiał.

Zygfyda twarz zbłękitniała już na powietrzu i wyglądał dość okropnie, albowiem oczy miał nie zamknięte i przerażone, usta zaś otwarte jakby dla złapania ostatniego tchu. Prędko więc wykopali tuż obok dół i zepchnęli do niego ciało rękojęściami wideł, twarzą do ziemi, po czym przysypawszy je, poczęli szukać kamieni, był bowiem obyczaj odwieczny, że pokrywano nimi samobójców, inaczej bowiem wstawali nocami i przeszkadzali podróżnym.

Kamieni było dosyć i na drodze, i między mchami leśnymi, wkrótce więc urosła nad Krzyżakiem kopiasta mogiła, a potem Hława wyciął siekierą na pniu sosny krzyż, co uczynił nie dla Zygfyda, lecz aby złe duchy nie zbierały się w tym miejscu, i wrócił do orszaku.

– Dusza w piekle, a ciało już w ziemi – rzekł do Jagienki. – Możem teraz jechać.

I ruszyli. Jednakże Jagienka, przejeżdżając, udarła gałązkę sośniny i cisnęła ją na kamienie, a za przykładem pani uczynili tak samo wszyscy inni, bo i to nakazywał także obyczaj.

Długi czas jechali w zadumie, rozmyślając o tym złowrogim mnichu-rycerzu, o karze, jaka go dosięgła, a wreszcie Jagienka rzekła:

– Sprawiedliwość boska nie folguje. I nie godzi się nawet „Wieczny odpoczynek” za niego odmówić, bo dla niego nie masz zmiłowania.

– Litościwą macie i tak duszę, żeście kazali go pogrześć – odpowiedział Czech.

A następnie zaczął mówić z pewnym wahaniem:

– Ludzie prawią, ba! może i nie ludzie, jeno czarownice i czarownik!, że niby powróż albo też rzemień z wisielca daje jakoweś szczęście we wszystkim, ale nie wziąłem rzemienia z Zygryda, bo ja dla was nie od czamoksięstwa, tylko od Pana Jezusowej mocy szczęścia wyglądam.

Jagienka nie odrzekła na razie nic i po chwili dopiero, westchnąwszy kilkakroć, rzekła jakby sama do siebie:

– Hej! Moje szczęście za mną, nie przede mną!



## ROZDZIAŁ XXVII

Dopiero w dni dziewięć po wyjeździe Jagienki stanął Zbyszko na granicy Spychowa, ale Danusia była już tak bliska śmierci, że zupełnie stracił nadzieję, czyją żywą ojcu dowiezie. Zaraz następnego dnia, gdy poczęła nie do rzeczy odpowiadać, spostrzegł, iż nie tylko umysł jej jest zwichnięty, ale że przy tym i ciało ogarnia jakaś choroba, przeciw której nie ma już sił w tym wycieńczonym przez niewolę, więzienie, mękę, i ustawiczny strach dziecka. Może być, że odgłosy zacieklej walki, jaką Zbyszko i Maćko stoczyli z Niemcami, przepełniły ten kielich przerażenia i że właśnie w tej chwili napadła ją owa choroba, dość że gorączka nie opuszczała jej odtąd prawie aż do końca drogi. Była to nawet poniekąd okoliczność pomyślna, albowiem przez straszną puszcę, wśród niezmiernych trudów, wioził ją Zbyszko jak martwą, nieprzytomną i o niczym nie wiedzącą. Po przebyciu puszczy, gdy weszli do „zbożnego” kraju, między osady kmiecie i szlacheckie, skończyły się niebezpieczeństwa i trudy. Ludzie, dowiadując się, że to wiozą swojackie dziecko, odbite Krzyżakom, a do tego córkę sławnego Juranda, o którym „gądkowie” tyle śpiewali już pieśni po gródkach, dworzyszczach i chatach, prześcigali się w usługach i pomocy. Dostarczano zapasów i koni. Wszystkie drzwi stawały otworem. Nie potrzebował już Zbyszko wieść Danusi w kolebce między końmi, gdyż silni młodziankowie przynosili ją w noszach ode wsi do wsi tak troskliwie i ostrożnie, jakby jakąś świętość nieśli. Niewiasty otaczały ją najtkliwszą opieką. Mężowie, słuchając opowieści o jej krzywdach, zgrzytali zębami i niejeden nakładał zaraz żelazne blachy, chwycił za miecz, za topór albo za kopię i jechał dalej za Zbyszkiem, by pomścić się „z nawiązką”, bo nie dość wydawało się zawziętemu pokoleniu równo krzywdą za krzywdę zapłacić.

Ale Zbyszko nie myślał w tej chwili o zemście, tylko jedynie o Danusi. Żył między przeblyskami nadziei, gdy chwilowo czyniło się chorej lepiej, a głuchą rozpaczą, gdy stan jej pogarszał się widomie. A co do tego nie mógł się już łudzić. Nieraz z początku podróży przelatywała mu przez głowę zabobonna myśl, że może tam gdzieś po bezdrożach, które przebywali, jedzie za nimi ślad w ślad śmierć i czyha tylko

na sposobną chwilę, by się rzucić na Danusię i wyssać z niej ostatek życia. Widzenie to, a raczej poczucie, bywało zwłaszcza wśród ciemnych nocy tak wyraźne, że nieraz porywała go rozpaczliwa chęć zawrócić, wyzwać martwicę, jak się wyzywa rycerza, i potykać się z nią do ostatniego tchu. Ale przy końcu drogi było jeszcze gorzej, czuł bowiem śmierć nie za orszakiem, ale wśród samego orszaku, niewidzialną wprawdzie, ale tak bliską, iż obwiewało ich jej mroźne tchnienie. I rozumiał już, że przeciw temu nieprzyjacielowi na nic męstwo, na nic krzepka dłoń, na nic oręż, że trzeba będzie oddać bezradnie najdroższą głowę na łup bez walki.

I to było uczucie najstraszniejsze, albowiem łączył się z nim żal, niepohamowany jak wichra, bezdenne jak morze. Jakże nie miała jęczeć, jakże nie miała się rwać z boleści w Zbyszku dusza, gdy spoglądając na swoją kochaną, mówił jej jakby z mimowolną wymówką: „Na to żem cię miłował, na tom cię odszukał i odbił, aby cię Jutro ziemią przysypać i nie widzieć cię już nigdy?” A tak mówiąc, spoglądał na jej kwitnące gorączką policzki, na jej mętne, nieprzytomne oczy i znów ją pytał: „Ostawisz mnie? Nie żal ci? Wolisz ode mnie niż ze mną?” I wówczas myślał, że chyba i jemu samemu w głowie się pomiesza, pierś zaś rozpierał mu jakby płacz przeogromny, ale zapiekły i nie mogący wybuchnąć, albowiem tamowała mu ujście i jakaś złość, i jakiś gniew na tę bezlitosną siłę, która wywarła się na niewinne dziecko, ślepa i zimna. Gdyby złowrogi Krzyżak znajdował się wówczas w orszaku, byłby go poszarpał jak dziki zwierz.

Dobiwszy się do leśnego dworca, chciał się zatrzymać, ale tam na wiosnę było pusto. Od stróżów dowiedział się przy tym, że oboje księstwo wybrali się do brata Ziemowita do Płocka, poniechał więc zamiaru jechania do Warszawy, gdzie by dworski medyk mógł dać chorej ratunek. Trzeba mu było ciągnąć do Spychowa, co było straszne, albowiem zdawało mu się, iż wszystko już się kończy i że trupa tylko dowiezie Jurandowi.

Ale właśnie na kilka godzin drogi przed Spychowem padł znów na jego serce jaśniejszy promyk nadziei. Policzki Danusi poczęły blednąć, oczy stawały się mniej mętne, oddech nie tak głośny i mniej pośpieszny. Zbyszko spostrzegł to natychmiast i po jakimś czasie nakazał ostatni postój, aby mogła spokojnie oddychać. Byli o milę może od Spychowa, z dala od mieszkań ludzkich, na wąskiej drodze między polem a łąką. Ale stojąca w pobliżu dzika grusza dawała ochronę od słońca, zatrzymali się więc pod jej gałęziami. Pachołkowie, poślaziw-

szy z koni, rozkietznali je, aby łącniej im było szczypać trawę. Dwie niewiasty najęte do posług przy Danusi i młodziankowie, którzy ją nieśli, znużeni drogą i upałem pokładli się w cieniu i usnęli; tylko Zbyszko czuwał przy noszach i siadłszy tuż na korzeniach gruszy, nie spuszczał z chorej oczu.

A ona leżała wśród popołudniowej ciszy, spokojnie, z przymkniętymi powiekami. Zbyszkwowi wydawało się jednakże, że nie śpi. Jakoż gdy na drugim końcu rozległej łąki koszący siano chłop stanął i począł brzękać w kosę osełką, drgnęła lekko i otworzyła na chwilę powieki, po czym przymknęła je zaraz; pierś jej podniosła się jakby głębszym oddechem, a z ust wyszedł ledwie dosłyszalny szept:

– Kwiecie pachnie...

Były to pierwsze niegorączkowe i niebłędne słowa, jakie od początku podróży wymówiła, albowiem z przygrzanej słońcem łąki powiew przynosił istotnie mocną woń, w której czuć było i siano, i miód, i przeróżne pachnące zioła. Więc w Zbyszku na myśl, że przytomność wraca chorej, zadrżało z radości serce. W pierwszym uniesieniu chciał rzucić się do jej nóg, ale z obawy, by jej nie przestraszyć, pohamował się, klęknął tylko przy noszach i pochyliwszy się nad nią, jął wołać z cicha:

– Danusiu! Danusiu!

A ona otworzyła znów oczy; czas jakiś patrzyła na niego, po czym uśmiech rozjaśnił jej twarz i tak samo jako poprzednio w chacie smolarzy, ale daleko przytomniej, wymówiła jego imię:

– Zbyszko!...

I próbowała wyciągnąć ku niemu ręce, ale dla zbytnej słabości nie mogła tego uczynić; on natomiast objął ją ramionami, z sercem tak wezbranym, jakby jej dziękował za jakąś niezmierną łaskę.

– Przebudziłaś się! – mówił. – O, Bogu chwała... Bogu... Po czym zbrakło mu głosu – i przez czas jakiś patrzyli na siebie w milczeniu. Ciszę polną mącił tylko wonny powiew od strony łąki, którego szemrał w liściach gruszy, ksykanie koników w trawach i dalekie, niewyraźne śpiewanie kosiarza.

Danusia spoglądała coraz przytomniej i nie przestawała się uśmiechać, zupełnie jak dziecko, które we śnie widzi anioła. Powoli jednak w oczach jej poczęło się odbijać jakby pewne zdziwienie:

– Gdzie jest?... rzekła.

Wówczas z ust jego wyrwał się cały rój krótkich, przerywanych przez radość odpowiedzi.

– Przy mnieś jest! Pod Spychowem! Do tatusia jedziemy. Skończona twoja niedola! Oj! Danuśko moja! Oj, Danuśko! Szukałem cię i odbiłem. Nie w niemieckiej tyś już mocy. Nie bój się! Zaraz będzie Spychów. Chorzałaś, ale Pan Jezus się zmiłował! Ile było boleści, ile płakania! Danuśko!... Teraz już dobrze!... Nic, jeno szczęśliwość przed tobą. Ej, com się naszukał!... com się nawędrował!... Ej, mocny Boże!... Ej!

I odetchnął głęboko a prawie z jękiem, jakby ostatek ciężaru boleści zrzucił z piersi.

Danusia leżała spokojnie, coś sobie przypominając, coś rozważając, a na koniec spytała:

– Toś ty nie zabaczył mnie?

I dwie łzy, wezbrawszy jej w oczach, stoczyły się z wolna po twarzy na wezłowie.

– Ja miałbym ciebie zabaczyć! – zawołał Zbyszko. Było zaś w tym stłumionym okrzyku więcej mocy niż w największych zaklęciach i przysięgach, albowiem miłował ją zawsze całą duszą, a od czasu gdy ją odzyskał, stała mu się droższą niż cały świat.

Ale tymczasem zapadła ponownie cisza; w dali jeno chłop przestał śpiewać i jał raz drugi klepać osełką kosę.

Usta Danusi poczęły się znów poruszać, ale szeptem tak cichym, że Zbyszko nie mógł jej dosłyszeć, więc pochyliwszy się, zapytał:

– Co zaś, jagódko, mówisz? A ona powtórzyła:

– Kwiecie pachnie...

– Bośmy przy łące – odrzekł – ale wnet pojedziem dalej. Do tatusia, którego też z niewoli wybawion. I będziesz moja do śmierci. Słyszyszże ty mnie dobrze? i rozumiesz?

Wtem targnął nim nagły niepokój, spostrzegł bowiem, że twarz jej czyni się blada i coraz bledsza, a na twarzy osiadają gęsto drobne krople potu.

– Co ci jest? – spytał z okropnym przestraczem. I uczuł, jak włosy zjeżają mu się na głowie, a mróz przechodzi przez kości.

– Co ci jest? powiedz! – powtórzył.

– Ciemno! – szepnęła.

– Ciemno? Słonko świeci, a tobie ciemno? – zapytał zdyszczanym głosem. – Dopiero co mówiłaś przytomnie! Na imię Boskie, rzeknij choć słowo!

Poruszyła jeszcze ustami, ale nie mogła już nawet szeptać. Zbyszko odgadł tylko, że wymawia jego imię i że go woła. Wnet potem wychu-

dzzone jej dłonie jeły drgać i trzepotać się po kilimku, którym była okryta. Trwało to chwilę. Nie było już się co łudzić – konała!

A on w przerażeniu i rozpaczycy począł ją błagać, jakby prośba mogła coś wskórać:

– Danuśka! O Jezu miłosierny!... Poczekaj choć do Spychowa! poczekaj! poczekaj! O Jezu! Jezu! Jezu!

Podczas tego błagania rozbudziły się niewiasty i nadbiegli pachołkowie, którzy byli opodal przy koniach na łące. Ale zrozumiawszy od pierwszego rzutu oka, co się dzieje, poklękali i poczęli odmawiać w głos litanie.

Powiew ustał, przestały szemrać liście na gruszy i tylko słowa modlitwy rozlegały się wśród wielkiej, polnej ciszy.

Danusia przed samym końcem litanii otworzyła jeszcze oczy, jakby chcąc spojrzeć po raz ostatni na Zbyszka i na świat słoneczny, po czym zaraz zasnęła snem wiekuistym. \*

Niewiasty zamknęły jej powieki, a następnie poszły po kwiaty na łąkę. Pachołcy udali się ich śladem – i tak chodzili w słońcu wśród bujnych traw, podobni do duchów polnych, pochylając się co chwila i płacząc, albowiem w sercach mieli litość i żal. Zbyszko klęczał w cieniu, przy noszach, z głową na kolanach Danusi, bez ruchu i słowa, sam jak martwy, a oni krążyli to bliżej, to dalej, rwąc złoty kaczeniec i dzwonki, i obficie rosnące różowe smółki, i białą, pachnącą miodem drobniczkę. W wilgotnych dołkach znaleźli też lilie polne, a na miedzy przy ugorze janowiec. Aż gdy już mieli pełne naręcza, otoczyli smutnym korowodem nosze i poczęli je maieć. Pokryli więc prawie całkiem kwieciami i ziołmi zwłoki zmarłej, nie zasłaniając tylko twarzy, która wśród dzwonek i lilij bielala, cicha, ukojona snem nieprzespanym, pogodna i po prostu anielska.

Do Spychowa nie było nawet i mili, więc po jakimś czasie, gdy im smutek i boleść łzami spływały, podnieśli nosze i ruszyli ku borom, od których zaczynały się już Jurandowe ziemie.

Pachołcy wiedli za orszakiem konie. Sam Zbyszko niósł w głowach nosze, a niewiasty, obarczone zbywającymi pękami zioł i kwiatów, śpiewały na przedzie pieśni pobożne – i tak z wolna szli i szli między zieloną łąką a równym, szarym ugiorem, jakby jaka procesja żałobna.

Na modrym niebie nie było żadnej chmurki i świat cały wygrzewał się w złotym blasku słonecznym.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Przyszli na koniec ze zwłokami dziewczyny do borów spychowskich, na których granicy stróżowali dniem i nocą zbrojni pacholki Jurandowi. Jeden z nich skoczył z wieścią do starego Tolimy i do księdza Kaleba, inni poprowadzili orszak z początku krętą i zapadłą, a potem szeroką leśną drogą aż do miejsca, gdzie bór się kończył, a poczyły się rozległe wilgotne grudzie i grzaskie, rojne od błotnego ptactwa trzęsawy, za którymi na suchej wyżni leżał spychowski gródek. Poznali też wraz, że już żałobna wieść o nich doszła do Spychowa, gdyż zaledwie wychylili się z leśnego cienia na jasne błonie, doleciał do ich uszu odgłos dzwonu z gródkowej kaplicy. Wkrótce potem ujrzeli idącą z dali naprzeciw liczną drużynę ludzi, w której byli mężowie i niewiasty. Gdy gromada owa zbliżyła się na trzy lub dwa strzelenia z łuku, można już było rozróżnić osoby. Na czele szedł sam Jurand, podtrzymywany przez Tolimę i macający przed sobą koszturę. Łatwo go było poznać po ogromnym wzroście, po czerwonych jamach w miejsce oczu i po białych, opadających aż na ramiona włosach. Obok postępował z krzyżem i w białej komży ksiądz Kaleb. Za nimi niesiono chorągiew z Jurandowym znakiem, przy której szli zbrojni „woje” spychowscy, a za nimi niewiasty zameżne w nałęczkach na głowach i przetowłose panny. Na końcu gromady ciągnął wóz, na którym miano złożyć zwłoki.

Zbyszko, ujrawszy Juranda, kazał postawić nosze na ziemi, które sam niósł do tej chwili od strony wezglowia, za czym, posunawszy się ku niemu, jał wołać takim okropnym głosem, jakim woła niezmierna boleść i rozpacz:

– Szukałem ci jej, pókim nie znalazł, i odbiłem, ale ona wołała do Boga niż do Spychowa!

I boleść złamała go zupełnie, albowiem padłszy na piersi Juranda, objął go za szyję i począł jęczeć:

– O Jezu, o Jezu! o Jezu!...

Na ów widok wzburzyły się serca zbrojnej czeladzi spychowskiej i poczęli bić włóczniami o tarcze, nie wiedząc, jak inaczej swój ból i swoją chęć pomsty wyrazić. Niewiasty uczyniły lament i zawodząc

jedna przez drugą, podnosiły zapaski do oczu albo też całkiem pokrywały nimi głowy, wołając wniebogłosy:

„Hej! Dola! Dola! Tobie wesele, a nam płakanie. Śmierć cię skosiła, Kościej cię zabrał – oj! oj!”

A niektóre, przechylając w tył głowy i zamykając oczy, wołały znów:

„Źle ci tu było, kwiatuszku, z nami – źle? Ostał się rodzic w wielkiej żalobie, a ty już chodzisz po boskich pokojach – oj! oj!”

Inne na koniec wymawiały zmarłej, że się nie ulitowała tatkowego i mężowego sieroctwa i łez. A był ten lament i ten żal na wpół śpiewem, bo nie umiał ów lud inaczej swojego bólu wypowiadać.

Atoli Jurand, wysunawszy się z ramion Zbyszka, wyciągnął kosztur przed siebie na znak, że chce iść do Danusi. Wówczas Tolima ze Zbyszkciem chwycili go pod ramiona i przywiedli do noszów, a on klęknął przy zwłokach, powiódł po nich dłonią od czoła aż do złożonych w krzyż rąk zmarłej i pochylił kilkakrotnie głowę, jakby chciał rzec, że ona to jest, jego Danusia, nie kto inny –i że poznaje dziecko. Potem objął ją jednym ramieniem, a drugie, pozbawione dłoni, wznosił w górę, zaś obecni odgadli także i tę niemą skargę przed Bogiem, wymowniejszą od wszelkich słów boleści. Zbyszko, któremu po chwilowym wybuchu odrętwiała znów twarz zupełnie, klęczał z drugiej strony milczący, do kamiennego posągu podobny i naokół uczyniło się tak cicho, że słyhać było ksykanie koników polnych i brzęczenie każdej przelatującej muchy. Wreszcie ksiądz Kaleb pokropił święconą wodą Danusię, Zbyszka, Juranda i rozpoczął *Requiem aeternam*. A po ukończeniu pieśni długi czas modlił się głośno, przy czym ludziom zdawało się, że słyszą proroczy głos, gdy błagał, aby ta męka niewinnego dziecka była oną kroplą, która przepelnia naczynie nieprawości, i aby nastął dzień sądu, kary, gniewu i klęski.

Następnie ruszyli do Spychowa; ale nie położyli Danusi na wóz, tylko nieśli ją na przedzie orszaku na umajonych noszach. Dzwon, nie przestając bić, zdawał się ich wzywać i zapraszać ku sobie, a oni szli śpiewający szerokim błoniem, pod ogromną złotą zorzę wieczorną, jakby ich ta zmarła prowadziła naprawdę do odwiecznych blasków i jasności. Wieczór już był i trzody wracały z pól, gdy doszli. Kaplica, w której złożono zwłoki, jaśniała od pochodni i świec jarzących. Z rozkazu księdza Kaleba siedem panien odmawiało kolejno litanię nad ciałem aż do świtu. Do świtu również Zbyszko nie odstępował Danusi i sam o jutrzni wkładał ją w trumnę, którą biegli rzemieślnicy uciosali przez

noc z pnia dębowego, wprawiwszy w wieku nad głową szybę złotego bursztynu.

Juranda nie było przy tym, albowiem działały się z nim rzeczy dziwne. Zaraz po powrocie do domu utracił władzę w nogach, a gdy położono go na łożu, utracił ruch i świadomość, gdzie jest i co się z nim dzieje. Próżno ksiądz Kaleb przemawiał do niego, próżno zapytywał, co mu jest; nie słyszał, nie rozumiał, tylko leżąc na wznak, podnosił do góry powieki pustych oczu i uśmiechał się z twarzą rozjaśnioną i szczęśliwą, a czasem poruszał ustami, jak gdyby z kim rozmawiał. Ksiądz i Tolima rozumieli, że ze zbawioną córką rozmawia i do niej się śmieje. Rozumieli również, że już kona i własną wieczną szczęśliwość żrenicami duszy ogląda, ale w tym się pomylili, gdyż on, nieczuły i głuchy na wszystko, uśmiechał się tak całe tygodnie, i Zbyszko, wyjechawszy wreszcie z okupem za Maćka, zostawił go jeszcze przy życiu.



## ROZDZIAŁ XXIX

Po pogrzebie Danusi Zbyszko nie chorzał obłożnie, ale żył w odrętwieniu. Z początku, przez pierwsze dni, nie było z nim tak źle: chodził, rozmawiał o swojej zmarłej niewieście, odwiedzał Juranda i siedywał przy nim. Opowiedział też księdzu o niewoli Maćkowej i uradzili obaj wysłać do Prus i Malborga Tolimę, aby wywiedziały się, gdzie Maćko jest, i żeby go wykupił, zapłaciwszy zarazem i za Zbyszka tyle grzywien, na ile zgodzili się z Arnoldem von Baden i jego bratem. W spychowskich podziemiach nie brakło srebra, które Jurand bądź swego czasu wygospodarzył, bądź zdobył, przypuszczał więc ksiądz, że Krzyżacy, byle otrzymali pieniądze, łatwo i starego rycerza wypuszczą, i nie będą żądali, aby młody stawił się osobiście.

– Jedź do Płocka – rzekł na drogę Tolimie ksiądz – i weź od tamtejszego księcia glejt. Inaczej pierwszy lepszy komtur złupi cię i samego uwięzi.

– Ba! przecie ich znam – odrzekł stary Tolima. – Wzdyc umieją oni łupić nawet i tych, którzy z glejtami przyjeżdżają.

I pojechał. Ale niebawem pożałował ksiądz Kaleb, że samego Zbyszka nie wyprawił. Bał się on wprawdzie, że w pierwszych chwilach bólesci nie potrafi się młodzian sprawić jak należy lub może przeciw Krzyżakom wybuchnie i na niebezpieczeństwo się poda; wiedział również, że trudno mu będzie zaraz odjechać od kochanej trumny, w świeżym żalu, w świeżym osieroceniu i wnet po takiej strasznej a boleśnej podróży, którą gdzieś od Gotteswerder do Spychowa odbył. Potem jednak żałował, iż wziął to wszystko w rachubę, gdyż Zbyszkowi z każdym dniem czyniło się ciężej. Żył on aż do śmierci Danusi w okrutnym wysiłku, w okrutnym natężeniu wszystkich sił: jeździł na kraje świata, potykał się, odbijał swoją niewiastę, przeprowadzał się przez dzikie puszcze, i nagle to wszystko skończyło się, jakby kto mieczem uciął, a została tylko pamięć, że to wszystko poszło na marne, że trudy były daremne – i że wprawdzie przeszły, ale razem z nimi przeszła część życia, przeszła nadzieja, przeszło dobro, zginęło kochanie, a nie pozostało nic. Każdy żyje jutrem, każdy coś zamierza i coś układa sobie na przyszłość, a Zbyszkowi jutro stało się obojętne, co zaś do przy-

szłości, to miał takie poczucie, jakie miała Jagienka, gdy wyjeżdżając ze Spychowa, mówiła: „Moje szczęście za mną, nie przede mną”. Ale na domiar w jego duszy to poczucie bezradności, pustki i niedoli wyrażało na gruncie ogromnej boleści i coraz większego żalu po Danusi. Ów żal przejmował go, opanowywał i zarazem tężał w nim coraz bardziej, tak że w końcu nie było w Zbyszowym sercu miejsca na nic innego. Więc o nim tylko myślał i hodował go w sobie, i żył z nim jednym, nieczuły na wszystko inne, zamknięty w sobie, pogrążony jakby w półśnie, nieświadomy tego, co się naokół dzieje. Wszystkie władze jego duszy i ciała, jego dawna wartkość i dzielność przeszły w stan folgi. W spojrzeniu i w ruchach miał teraz jakąś ociężałość starca. Całymi dniami i nocami przesiadywał albo w podziemiu przy trumnie Danusi, albo na przyzbie, grzejąc się w południowych godzinach w blasku słonecznym. Chwilami zapamiętywał się tak, że nie odpowiadał na pytania. Ksiądz Kaleb, który go miłował, począł obawiać się, aby ów ból nie przeżarł go tak, jak rdza przeżera żelazo – i ze smutkiem myślał, że może lepiej było wyprawić Zbyszka, choćby do Krzyżaków z okupem. „Trzeba mówił do miejscowego klechy, z którym w braku kogo innego o swoich frasunkach rozmawiał – aby jakowaś przygoda targnęła nim jako wichler drzewem, bo inaczej gotów skapieć do szczętu”. A klecha przyświadczał roztropnie, mówiąc dla porównania, że gdy się człek kością udławi, to także najlepiej dać mu dobrze pięścią po karku.

Przygoda żadna nie przytrafiła się jednak, ale natomiast kilka tygodni później przyjechał niespodzianie pan de Lorche. Widok jego wstrząsnął Zbyszka, albowiem przypomniał mu wyprawę na Żmujdź i odbicie Danusi. Sam de Lorche bynajmniej nie wahał się potracać tych bolesnych wspomnień. Owszem, dowiedziawszy się o nieszczęściu Zbyszka, poszedł zaraz modlić się z nim razem nad trumną Danusi, mówił też o niej bez ustanku, a następnie, będąc przez pół minstrelem, ułożył o niej pieśń, którą śpiewał przy lutniach w nocy u kraty podziemia tak rzewliwie i żałośnie, że Zbyszka, chociaż słów nie rozumiał, od samej nuty chwycił ogromny płacz do samego świtania trwający.

A potem zmorzony tym płaczem i żalem, i niewywczasem, zapadł w długi sen, lecz gdy się zbudził, znacznie widać mu boleść łzami spłynęła, gdyż był rzeźwiejszy niż dni poprzednich i raźniej przed się spoglądał. Ucieszył się też wielce do pana de Lorche i począł mu za przybycie dziękować, a następnie wypytywać, skąd by się o jego nieszczęściu dowiedział.

A ów odpowiedział mu przez usta księdza Kaleba, że o śmierci Danusi dowiedział się dopiero w Lubawie od starego Tolimy, którego widział w więzach u tamtejszego komtura, ale że do Spychowa i tak jechał, by oddać się Zbyszku w niewolę.

Wiść o uwięzieniu Tolimy wielkie i na Zbyszku, i na księdzu uczyniła wrażenie. Zrozumieli, że okup przepadł, albowiem nie było trudniejszej rzeczy w świecie niż wydrzeć z gardła Krzyżakom raz zagrabione pieniądze. Wobec tego należało jechać z drugim okupem.

– Gorze! – zawołał Zbyszko. – To biedny stryjko czeka tam i myśli, że go przepomniał! Trzeba mi teraz co ducha do niego śpieszyć.

Potem zwrócił się do pana de Lorche:

– Wiesz, jako się zdarzyło? Wiesz, że on w rękach krzyżackich?

– Wiem – odpowiedział de Lorche – bom go widział w Malborgu i dlatego sam tu przyjechałem.

Tymczasem ksiądz Kaleb począł narzekać.

– Żleśmy postąpili – mówił – ale nikt głowy nie miał... Więcej się też po rozumie Tolimy spodziewałem. Czemu zaś nie jechał do Płocka i bez nijakiego glejtu między tych rozbójników się puścił!

A na to pan de Lorche ruszył ramionami:

– Co im tam glejty! Albo to sam księżę płocki, również jak i wasz tutejszy, mało od nich krzywd cierpią? Nad granicą wieczne bitwy i napaści – bo i wasi swego nie darują. Każdy też komtur, ba! każdy wójt robi, co chce, a w drapieżności to już

chyba jeden drugiego prześciga...

– Tym bardziej powinien był Tolima do Płocka jechać.

– Tak i chciał uczynić, ale go w drodze nad granicą z noclegu porwali. Byliby go zabili, gdyby im nie był rzekł, iż dla komtura do Lubawy pieniądze wiezie. Tym się ocalił, ale też komtur postawi teraz świadków, jako Tolima sam to mówił.

– A stryj Maćko jakoże się ma? zdrów? Nie nastają tam na jego szyję? – pytał Zbyszko.

– Zdrów jest – odrzekł de Lorche. – Zawziętość tam jest na „króla” Witolda i na tych, którzy pomagają Żmujdzinom, wielka – i pewnie by starego rycerza ścięli, gdyby nie to, że im żal okupu. Bracia von Baden także go z tej samej przyczyny bronią, a wreszcie chodzi kapitule o moją głowę, którą gdyby poświęcili, zawrzałoby przeciw nim rycerstwo i we Flandrii, i w Geldrii, i w Burgundii... Wiecie, jakożem jest krewny grafa geldryjskiego.

– A przecze o twoją głowę ma chodzić? – przerwał ze zdziwieniem Zbyszko.

– Bom jest przez ciebie pojman. Powiedziałem w Malborgu tak: „Weźmiecie gardło staremu rycerzowi z Bogdańca, to młody weźmie moje...”

– Nie wezmę! tak mi dopomóż Bóg!

– Wiem, że nie weźmiesz, ale oni się tego boją i przez to Maćko ostanie między nimi bezpieczny. Mówili mi, żeś i ty jest także w niewoli, bo cię tylko na rycerskie słowo Badenowie puścili, że zatem nie potrzebuję ci się stawiać. Ale ja odrzekłem im, że gdyś mnie w jeństwo brał, byłeś wolny, I ot mnie masz! A pókim w twoich rękach, nic oni ani tobie, ani Maćkowi nie uczynią. Ty okup von Badenom spłać, zaś za mnie zażądaj we dwoje alibo we troje tyle. Muszą zapłacić. Nie dlatego tak mówię, abym mniemał, żeś więcej od was wart, ale aby ich chciwość pokarać, którą pogardzam. Całkiem inne miałem o nich niegdyś pojęcie, ale teraz zbrzydli mi i oni, i ich gościna. Pójdę do Ziemi Świętej, tam szukać przygód, bo im dłużej służyć nie chcę.

– Albo też u nas, panie, ostanicie – rzekł ksiądz Kaleb. – A myślę, że tak i będzie, bo co do tego, żeby oni mieli okup za was dawać, to mi się nie wydaje.

– Jeśli nie zapłacą, to sam zapłacę – odrzekł de Lorche. – Przyjechałem tu z pocztem znacznym i wozy mam ładowne, a tego, co na nich jest, wystarczy...

Ksiądz Kaleb powtórzył Zbyszskowi te słowa, na które Maćko pewnie nie byłby pozostał nieczuły, ale Zbyszko, jako młody i mało o majątność dbający, odrzekł:

– Na moją cześć! nie będzie tak, jako mówisz. Byłeś mi jako brat i przyjaciel i okupu nijakiego od ciebie nie wezmę.

Po czym uściskali się, czując, że nowy węzeł został między nimi zawiązany. Ale de Lorche uśmiechnął się i rzekł:

– Dobrze. Niech jeno Niemce o tym nie wiedzą, bo się o Maćka będą droczyć. A widzicie, muszą zapłacić, gdyż będą się bali, że inaczej rozgłoszę po dworach i między rycerstwem, że radzi niby zapraszają i widzą rycerskich gości, ale gdy który w niewolę popadnie, to o nim zapominają. A Zakonowi o gości okrutnie teraz chodzi, bo mu Wiltolda strach, a jeszcze bardziej Polaków i ich króla.

– To niech tedy tak będzie – rzekł Zbyszko – że ty tu ostaniesz alibo gdzie chcesz na Mazowszu, a ja do Malborga po stryj ca pojedę i będę okrutną przeciw tobie udawał zawziętość.

– Na świętego Jerzego! uczyn tak! – odpowiedział de Lorche. – Ale wpierw wysłuchaj, co ci powiem. W Malborgu mówią, że ma zjechać do Płocka król polski i spotkać się z mistrzem w samym Płocku albo gdzie na granicy. Krzyżacy wielce tego pragną, albowiem chcą wymiarkować, czy król będzie pomagał Witoldowi, jeśli ów otwartą im wojnę o Żmujdź wypowie. Ha! chytry oni są jako węże, ale przecie w tym Witoldzie mistrza znaleźli. Zakon się go też boi, ponieważ nigdy nie wiadomo, co on zamyśla i co uczyni. „Oddał nam Żmujdź – mówią w kapitule – ale przez nią trzyma ciągle jakoby miecz nad naszymi karkami”. „Słowo – mówią – rzeknie i bunt gotów!” Jakoż tak jest. Muszę się kiedy wybrać na jego dwór. Może przygodzi się w szrankach u niego potykać, a prócz tego słyszałem, że i niewiasty tamtejsze anielskiej czasem bywają urody.

– Mówiliście, panie, o przyjeździe króla polskiego do Płocka? – przerwał ksiądz Kaleb.

– Tak jest. Niech Zbyszko przyłączy się do królewskiego dworu. Mistrz chce sobie króla ująć i niczego mu nie odmówi. Wiecie, że w potrzebie nikt nie umie być pokorniejszy od Krzyżaków. Niech się Zbyszko do orszaku przyłączy i niech się o swoje upomina, niech jak najgłośniej na bezprawie krzyczy. Inaczej go będą słuchali wobec króla i wobec krakowskich rycerzy, którzy sławni są w świecie i których wyroki szeroko rozchodzą się między rycerstwem.

– Przednia rada! na Pański Krzyż! przednia! – zawołał ksiądz.

– Tak – potwierdził de Lorche. – I sposobności też nie braknie. Słyszałem w Malborgu, że będą uczyty, będą turnieje, bo się goście zagraniczni koniecznie chcą z królewskimi rycerzami potykać. Na Boga! toż ma przyjechać i rycerz Jan z Aragonii, największy ze wszystkich w chrześcijaństwie. Nie wiecie? Przecie on podobno aż z Aragonii rękawicę waszemu Zawiszy przysłał, aby zaś nie mówiono po dworach, że jest drugi równy jemu na świecie.

Przyjazd pana de Lorche, jego widok i cała rozmowa tak jednak rozbudziła Zbyszka z owej bolesnej martwoty, w której był przedtem pogrążony, że z ciekawością słuchał jego nowin. O Janie z Aragonii wiedział, gdyż powinnością było wówczas każdego rycerza znać i pamiętać nazwiska wszystkich najślynniejszych wojowników, sława zaś szlachty aragońskiej, a szczególnie owego Jana, obiegła świat cały. Żaden rycerz nie sprostował mu nigdy w szrankach, a Maurowie pierzchali na sam widok jego zbroi i powszechnie było mniemanie, że on jest pierwszy w całym chrześcijaństwie.

Więc na wieść o nim ozwała się w Zbyszku bojowa rycerska dusza i począł wypytywać się z wielkim zajęciem:

– Pozwał ci Zawiszę Czarnego?

– Rok już podobno, jak przyszła rękawica i jak Zawisza odesłał swoją.

– To Jan z Aragonii na pewno już przyjedzie.

– Czy na pewno, nie wiedzą, ale są takowe posłuchy. Krzyżacy dawno posłali mu zaproszenie.

– Daj Bóg takie rzeczy widzieć!

– Daj Bóg! – rzekł de Lorche. – I choćby Zawisza był pokonan, co łatwo się może zdarzyć, wielka to chwała dla niego, że go taki Jan z Aragonii pozwał, ba! i dla całego waszego narodu.

– A obaczmy! – rzekł Zbyszko – mówię tylko: daj Bóg widzieć.

– A ja przywtarzam.

Jednakże życzenie ich nie miało się tym razem spełnić, gdyż stare kroniki wspominają, że pojedynek Zawiszy z przesławnym Janem z Aragonii odbył się dopiero w kilkanaście lat później w Perpignano, gdzie w obecności cesarza Zygmunta, papieża Benedykta XIII, a dalej króla aragońskiego i wielu książąt i kardynałów Zawisza Czarny z Garbowa zwałił z konia pierwszym uderzeniem kopii swego przeciwnika i świetnie nad nim odniósł zwycięstwo. Tymczasem wszelako i Zbyszko, i de Lorche cieszyli się w sercach, myśleli bowiem, że gdyby nawet Jan z Aragonii nie mógł się na ów termin stawić, to i tak ujrzą znamienite czyny rycerskie, bo w Polsce nie brakło zapaśników mało co Zawiszy ustępujących, a między gośćmi krzyżackimi można było zawsze znaleźć najprzedniejszych szermierzy francuskich, angielskich, burgundzkich i włoskich, gotowych z każdym iść o lepszą.

– Słuchaj – rzekł do pana de Lorche Zbyszko. – Cni mi się bez stryja Maćka i pilno mi go wykupić, przeto jutro zaraz do dnia do Płocka ruszę. Ale po co ty masz tu ostawać? Nibyś to u mnie w niewoli, więc jedź ze mną, a obaczysz króla i dwór.

– Chciałem cię właśnie o to prosić – odrzekł de Lorche – bom z dawna chciał widzieć waszych rycerzy, a przy tym słyszałem, że damy z dworu królewskiego więcej do aniołów niż do mieszkanki ziemskiego padole są podobne.

– Dopiero coś to powiedział o Witoldowym dworze – zauważył Zbyszko.

## ROZDZIAŁ XXX

Zbyszko wyrzucał sobie w duszy, iż w swej boleści o stryjcu zapomniiał, a że i bez tego prędko zwykł był wykonywać, co zamierzył, więc nazajutrz do dnia wyruszyli razem z panem de Lorche do Płocka. Nadgraniczne drogi nawet w czasach największego spokoju nie bywały bezpieczne z przyczyny łotrów, których liczne kupy wspierali i otaczali opieką Krzyżacy, co ostro wymawiał im król Jagiełło. Mimo skarg, które aż o Rzym się opierały, mimo pogróżek i srogiego wymiaru sprawiedliwości, komturowie sąsiedni pozwalali często zaciężnym knechtom zakonnym łączyć się ze zbójami, wypierając się wprawdzie tych, którzy mieli nieszczęście wpaść w ręce polskie, ale dając schronienie powracającym ze zdobyczą i jeńcami nie tylko we wsiach zakonnych, lecz i w zamkach.

W takie to właśnie zbójckie ręce dostawali się niejednokrotnie podróżni i mieszkańcy nadgraniczni, a zwłaszcza dzieci bogatych ludzi, które porywano dla okupu. Ale dwaj młodzi rycerze, mając znaczne poczty, złożone każdy, prócz woźniców, z kilkunastu oreźnych pieszych i konnych pachołków, nie obawiali się napadu i bez przygód dotarli do Płocka, gdzie zaraz na wstępie miła czekała ich niespodzianka.

Oto w gospodzie znaleźli Tolimę, który przybył na dzień przed nimi. Stało się to takim sposobem, iż starosta krzyżacki z Lubawy, zasłyszawszy, że wysłannik, w chwili gdy go napadnięto niedaleko Brodnicy, zdołał ukryć część okupu, odesłał go do tego zamku z poleceniem do komtura, aby go zmusił do wskazania, gdzie pieniądze zostały schowane. Tolima skorzystał ze sposobności i uciekł, gdy zaś rycerze dziwili się, iż udało mu się to tak łatwo, objaśnił im rzecz, jak następuje:

– Wszystko przez ich łakomstwo. Nie chciał komtur brodnicki przydawać mi znacznej straży, bo nie chciał, by się o pieniądzach rozgłosiło. Może ułożyli się z lubawskim, że się podziela, a bali się, iż gdy się rozgłosi, to trzeba będzie znaczną część do Malborga odesłać albo i wszystko owym Badenom oddać. Dodał ci mi tedy jeno dwóch ludzi: jednego zaufanego knechta, który musiał po Drwęcy razem ze mną wiosłować, i jakowego pisarza... A zaś chodziło im, by nikt nas nie

widział, więc było to pod noc, i wiecie, że granica tuż. Dali mi też wiosło dębowe... no – i łaska boska... bom jest oto w Płocku.

– Wiem, a tamci nie wrócili! – zawołał Zbyszko. Na to uśmiech rozjaśnił srogą twarz Tolimy.

– Wždy Drwęca do Wisły płynie – rzekł. – Jakoże im było pod wodę wracać? Znajdą ich Krzyżaki chyba w Toruniu. Po chwili zaś, zwróciwszy się do Zbyszka, dodał:

– Pieniędzy część mi komtur lubawski zagrabił, ale te, którym przy napaści ukrył, tom odnalazł i teraz dałem je, panie, waszemu giermkowi do schowania, bo on w zamku u księcia mieszka, a tam im przezpieczniej niż u mnie w gospodzie.

– To mój giermek jest tu w Płocku? a co on tu robi? – zapytał ze zdziwieniem Zbyszko.

– On przecie po przywiezieniu Zygryda odjechał z tą panną, która w Spychowie była, a teraz jest dwórką tutejszej księżny. Tak ci mi wczoraj gadał.

Ale Zbyszko, który przygłuszon boleścią po śmierci Danusi o nic w Spychowie nie pytał i o niczym nie wiedział, teraz dopiero przypomniał sobie, że Czech był naprzód z Zygrydem wyprawiony – i na to wspomnienie serce ścisnęło mu się żalem i pomstą.

– Prawda! – rzekł. – A gdzie zaś ów kat? Co się z nim stało?

– Nie powiadał wam ksiądz Kaleb? Zygryd powiesił się i przejeżdżaliście, panie, wedle jego mogiły. Nastąpiła chwila milczenia.

– Mówił giermek – rzekł wreszcie Tolima – iż się do was wybiera, a byłby to już dawno uczynił, jeno że panny musiał pilnować, która tu po powrocie ze Spychowa chorzała.

A Zbyszko spytał znów, otrząsnąwszy się z żalonych wspomnień jakby ze snu:

– Jakiej panny?

– No, tej – odrzekł stary – waszej siostry albo krewniaczki, która tu z rycerzem Maćkiem do Spychowa w pacholikowych szatkach przyjechała, a po drodze pana naszego omackiem idącego znalazła. Żeby nie ona, nie byłiby rycerz Maćko ani wasz giermek pana poznali. Miłował ci też ją potem nasz pan wielce, bo w takim go miała starunku jak córka i prócz księdza Kaleba – ona jedna mogła go wyrozumieć.

Więc młody rycerz otworzył ze zdumienia szeroko oczy.

– Nie powiadał mi ksiądz Kaleb o żadnej pannie i ja nijakiej krewniaczki nie mam...



– Nie powiadał, boście, panie, w zapamiętaniu od boleści żyli i o bożym świecie nie wiedzieli.

– A jakoże na ową pannę wołali?

– Wołali na nią: Jagienka.

Zbyszkowi wydawało się, że śni. Myśl, że Jagienka z odległych Zgorzelic mogła przyjechać aż do Spychowa, nie chciała mu się w głowie pomieścić. I po co? Dlaczego? Nie było mu wprawdzie tajemnym, że dziewczyna rada go widziała i Ignęła do niego w Zgorzelicach, ale on jej przecie wyznał, że był żonaty – więc wobec tego nie mógł żadną miarą przypuścić, aby stary Maćko zabrał ją do Spychowa w tym celu. aby ją za niego wydać. Zresztą i Maćko, i Czech nawet mu o niej nie wspomnieli... Wszystko to wydało mu się ogromnie dziwne i zupełnie niezrozumiałe, więc zaczął znów zarzucać pytaniami Tolimę, jak człowiek, który własnym uszom nie wierzy i chce, by mu powtórzono nieprawdopodobną nowinę.

Tolima jednak nie umiał mu nic więcej powiedzieć nad to, co poprzednio powiedział, ale natomiast poszedł na zamek szukać giermka i niebawem, jeszcze przed zachodem słońca, z nim powrócił. Czech witał młodego pana z radością, ale i ze smutkiem, bo się już był poprzednio o wszystkim, co zaszło w Spychowie, dowiedział. A Zbyszko również rad mu był z całej duszy, czując, iż to jest serce przyjazne i wierne, jedno z takich, jakich człowiek w nieszczęściu najbardziej potrzebuje. Rozrzewnił się też i roztkliwił, opowiadając mu o śmierci Danusi, i podzielił się z nim bólem, żalem, łzami tak właśnie, jak brat dzieli się z bratem. Długo to wszystko trwało, zwłaszcza że w końcu na prośbę Zbyszkową powtórzył im pan de Lorche ową pieśń żalosalną, którą był o zmarłej ułożył, i śpiewał ją przy cytrze w otwartym oknie, podnosząc oczy i twarz ku gwiazdom.

Aż gdy już im wreszcie znacznie ulżyło, poczęli mówić o sprawach, które czekały ich w Płocku.

– Wstąpiłem tu po drodze do Malborga – rzekł Zbyszko – bo to wiesz, że stryj Maćko w niewoli i że po niego z okupem jadę.

– Wiem – odparł Czech. – Dobrzeście zrobili, panie. Chciałem sam do Spychowa jechać, aby wam drogę na Płock doradzić; król w Raciążu ma układy z wielkim mistrzem prowadzić, przy królu zaś łatwiej się upomnieć, ile że wobec majestatu nie tacy Krzyżacy hardzi i udają poczciwość chrześcijańską.

– A mówił Tolima, że miałeś do mnie jechać, ale cię niezdrowie Jagienki Zychówny wstrzymało. Słyszałem, że ją stryj Maćko w te

strony przywiózł i że w Spychowiu też była? Okrutniem się dziwował! Ale gadaj, skroś jakiejże przyczyny stryj Maćko ją ze Zgorzelic zabierał?

– Siła było przyczyn. Bał się rycerz Maćko, że gdy ją bez nijakiej opieki zostawi, to rycerze Wilk i Cztań będą na Zgorzelice najeżdżali, przy czym mogła się stać i młodszym dzieciom krzywda. A bez niej jużci przepieczniej, bo w Polsce, jako wiecie: zdarzy się, iż szlachcic – nie mogąc inaczej – siłą dziewczkę bierze, ale na małe sieroty nikt ręki nie podniesie, gdyż za to i miecz katowski, i gorsza od miecza hańba! Była wszelako i druga takowa przyczyna, że opat umarł i pannę dziedziczką swych włości uczynił, nad którymi opiekę miał tutejszy biskup. Przetę rycerz Maćko pannę do Płocka przywiózł.

– Ale ją i do Spychowa brał?

– Brał, na czas wyjazdu biskupa i księstwa, gdyż nie było jej przy kim ostawić. I szczęście, że ją wziął. Gdyby nie panienka, bylibyśmy ze starszym panem przejechali wedle rycerza Juranda jak koło obcego dziada. Dopieroż jak się poczęła nad nim litować, uznaliśmy, kto ów dziad. Pan Bóg to wszystko zrządził przez jej miłosierne serce.

I począł opowiadać, jak następnie Jurand nie mógł się bez niej obyć, jak ją miłował i błogosławił, a Zbyszko, choć to już wiedział od Tolimy, słuchał tego opowiadania ze wzruszeniem i wdzięcznością dla Jagienki.

– Niech jej Bóg da zdrowie! – rzekł wreszcie. – Dziwno mi jeno, żeście mi nic o niej nie mówili.

A Czech zakłopotał się nieco i chcąc zyskać czas do namysłu nad odpowiedzią, zapytał:

– Gdzie, panie?

– A u Skirwoiły, tam, na Żmujdzi.

– Nie mówiliśmy? Jako żywo! Mnie się wydaje, żeśmy mówili, ale wam w głowie było co innego.

– Mówiliście, że Jurand wrócił, ale o Jagience nic.

– Ej! czyście nie zabaczyli? A wreszcie, Bóg raczy wiedzieć! Może rycerz Maćko myślał, że ja powiedziałem, a ja, że on. Na nic to było, panie, cokolwiek wam wtedy powiadać. I nie dziwota! Ale teraz rzekę co innego: Szczęście, że panienka tu jest, bo ona i rycerzowi Maćkowi się przyda.

– Cóż zaś może wskórać?

– Niech jeno słowo tutejszej księżnie powie, która okrutnie ją miłuje! A znów Krzyżacy niczego księżnie nie odmawiają, bo raz, że kró-

lewska rodzona, a po wtóre, wielka Zakonu przyjaciółka. Teraz, jakoście może słyszeli, książ Skirgiełł, tez rodzony brat królewski, podniósł się przeciw kniaziowi Witoldowi i do Krzyżaków uciekł, którzy chcą go wspomóc i na Witoldowym stolcu posadzić. Król bardzo księżnę nawidzi i rad, jako mówią, ucha jej podaje, więc Krzyżacy chcą, by na stronę Skirgiełła przeciw Witoldowi króla skłoniła. Rozumieją to – mać ich zatracona! – że byle się Witolda pozbyli, będą mieli spokój. Więc posły krzyżackie od rana do wieczora księżnie pokłony biją i każdą jej chęć zgadują.

– Jagienka miłuje wielce stryja Maćka i pewnie za nim się wstawi – rzekł Zbyszko.

– Jużci, że nie będzie inaczej! Ale chodźcie, panie, na zamek i powiedzcie jej, jak i co ma mówić.

– Mieliśmy i tak na zamek z panem de Lorche iść – odrzekł Zbyszko – i po tom tu przyjechał. Trzeba nam tylko włosy utrefić i przyodziać się przystojnie.

Po chwili zaś dodał:

– Chciałem z żalości włosy obciąć, alem przepomniał.

– To i lepiej! – rzekł Czech.

I wyszedł wołać służebnych pachołków, wróciwszy zaś z nimi, podczas gdy dwaj młodzi rycerze przyozdabiali się godnie na wieczorną ucztę do zamku, powiadał dalej, co się na królewskim i książęcym dworze dzieje.

– Krzyżacy – mówił – jako mogą, pod kniaziem Witoldem kopią, bo póki on żyw i z ramienia królewskiego potężną krainą władnie, póty nie zaznać im spokoju! Naprawdę jego jednego oni się boją! Hej! kopią też, kopią jako krety! Podburzyli już na niego tutejszych księstwa oboje, a ponoć dokazali także, że nawet i książę Janusz teraz na niego krzyw z przyczyny Wizny...

– A książę Janusz i księżna Anna też tu są? – zapytał Zbyszko. – Siła znajomych się znajdzie, bom przecie i w Płocku nie pierwszy raz.

– Jakże – odrzekł giermek – są oboje, mają oni niemało spraw z Krzyżakami, które to krzywdy chcą mistrzowi przy królu do oczu wymówić.

– A król co? za kim jest? Zali mu nie gniewne na Krzyżaków i mieczem nad nimi nie potrząsa?

– Król Krzyżaków nie kocha i mówią, że z dawna już wojną grozi... A co do kniazia Witolda, to woli go król od rodzzonego Skirgiełła, któren jest wicher i opój... I dlatego rycerze, którzy są przy majestacie,

powiadają, że król się przeciw Witoldowi nie opowie i nie obiecnie Krzyżakom, że go nie będzie wspomagał. I to może być, bo od kilku dni księżna tutejsza, Aleksandra, bardzo wedle króla zabiega i jakaś frasobliwa chodzi.

– Zawisza Czarny tu jest?

– Nie masz go, ale i tym, którzy są, napatrzeć się nie można, i gdyby co do czego przyszło, hej, mocny Boże! polecą też wióry i paździerze z Niemców, polecą!...

– Nie ja ich będę żałował.

W kilka pacierzy później, przybrawszy się pięknie, wyszli na zamek. Uczta wieczorna miała się odbyć tego dnia nie u samego księcia, lecz u starosty grodowego Andrzeja z Jasiońca, którego obszerne domostwo leżało w obrębie murów zamkowych przy Baszcie Większej. Z powodu przecudnej, aż nazbyt ciepłej nocy, starosta, bojąc się, aby gościom nie było duszno w izbach, rozkazał zastawić stoły na podwórku, na którym spomiędzy kamiennych płyt wyrastały jarzęby i cisy. Płonące beczki smolne oświecały je jasnym żółtym płomieniem, ale jeszcze jaśniej oświecał księżyc, który błyszczał na bezchmurnym niebie wśród rojów gwiazd jak srebrna tarcza rycerska. Koronowani goście jeszcze nie nadeszli, ale roiło się już od miejscowego rycerstwa, od duchownych, od dworzan zarówno królewskich, jak i książęcych. Zbyszko znał ich wielu, zwłaszcza z dworu księcia Janusza, a z dawnych znajomych krakowskich ujrzał Krzona z Kozichgłów. Lisa z Targowiska, Marcina z Wrocimowic, Domarata z Kobylan i Staszka z Charbimowic, a wreszcie i Powałę z Taczewa, którego widok szczególnie go ucieszył, pamiętał bowiem, jaką życzliwość okazał mu swego czasu ów sławny rycerz w Krakowie.

Nie mógł jednakże do żadnego z nich od razu dostąpić, albowiem miejscowi rycerze mazowieccy otaczali każdego z nich ciasnym kołem, wypytując się o Kraków, o dwór, o zabawy,

o różne przewagi bojowe, a zarazem przypatrując się ich świetnym szatom, ich trefieniu włosów, których cudne zwoje polepione były białkiem dla mocy, i biorąc z nich we wszystkim wzór dworności i obyczajów.

Wszelako Powałę z Taczewa dojrzał Zbyszka i rozsunąwszy Mazurów, zbliżył się ku niemu.

– Poznałem cię, młodzianku – rzekł, ściskając jego dłoń. – Jakoż się miewasz i skąd się tu znalazłeś? Dla Boga! widzę, że już pas i ostrogi

nosisz. Inni do siwych włosów na to czekają, ale ty widać godnie świętemu Jerzemu służysz.

– Szczęść wam Boże, szlachetny panie – odrzekł Zbyszko. – Gdybym najprzedniejszego Niemca z konia zwałił, nie tak bym się ucieszył jak z tego, że was we zdrowiu oglądam.

– Jam też rad. A rodzic twój gdzie?

– Nie rodzic, jeno stryj. W niewoli ci on u Krzyżaków i z wykupem za niego jadę.

– A oważ dziewczeczka, która cię nałęczką przykryła? Zbyszko nie odrzekł nic, tylko podniósł w górę oczy, które załzawiły mu się w jednej chwili, co widząc, pan z Taczewa rzekł:

– Padół to jest łez... nic, jeno prawy padół! Ale chodźmy na ławę podjarzęba, to mi opowiesz swoje rzewliwe przygody.

I pociągnął go w kąć dziedzińca. Tam Zbyszko, siadłszy obok niego, począł mu opowiadać o niedoli Juranda, o pochwyceniu Danusi i o tym, jako jej szukał i jako mu zmarła po odbiciu. A Powąła słuchał uważnie i na przemian to zdumienie, to gniew, to zgroza, to litość odbijały mu się na obliczu. Wreszcie, gdy Zbyszko skończył, rzekł:

– Opowiem to królowi, panu naszemu! Ma on i tak upomnieć się u mistrza o małego Jaśka z Kretkowa i srogiej domagać się kary na tych, którzy go porwali. A porwali dlatego, że bogaty i chcą wykupu. Nic to u nich na dziecko rękę podnieść.

Tu zamyślił się nieco, po czym mówił dalej jakby do siebie samego:

– Nienasycone to plemię, gorsze od Turków i Tatarów. Bo oni w duszy i króla, i nas się boją, a jednak od grabieży i mordów nie mogą się powstrzymać. Napadają wsie, rzezają kmieciów, topią rybaków, chwytają dzieci jako wilcy. Cóż by to było, gdyby się nie bali!... Mistrz na króla listy do obcych dworów wysyła, a w oczy mu się łasi, bo lepiej od innych naszą potęgę rozumie. Ale przebierze się w końcu miara!

I znów na chwilę ucichł, a potem położył dłoń na ramieniu Zbyszka.

– Powiem królowi – powtórzył – a w nim wre już z dawna gniew jak ukrop w garnku i tego bądź pewien, że kara okrutna nie minie sprawców twojej niedoli.

– Z tych, panie, już żaden nie żywie – odparł Zbyszko. A Powąła spojrzał na niego z wielką przyjacielską życzliwością:

– Bogdajże cię! To widać swego nie darujesz. Jednemu Lichtensteinowi jeszcześ nie odpłacił, bo wiem, żeś nie mógł. Myśmy mu także w

Krakowie ślubowali, ale z tym trzeba chyba wojny – którą daj Bóg – czekać, gdyż on bez pozwolenstwa mistrzowego stanąć nie może, a mistrzowi jego rozum potrzebny, dla którego ciągle go na różne dwory posyła, więc mu i niełatwo pozwoli.

– Pierwej muszę stryjca wykupić.

– Tak... i wreszcie pytałem się o Lichtensteina. Nie ma go tu i nie będzie w Raciążku, gdyż wysłan jest do króla angielskiego po łuczników. A o stryjca niech cię głowa nie boli. Gdy król albo tutejsza księżna słowo rzekną, to z okupem nie pozwoli mistrz kręcić.

– Tym bardziej że mam jeńca znacznego, rycerza de Lorche, którego jest pan możny i między nimi sławny. Rad by on się pewnie wam, panie, pokłonić i znajomość z wami uczynić, bo nikt więcej nad niego nie wielbi sławnych rycerzy.

To rzekłszy, skinął na pana de Lorche, którego stał w pobliżu, a ów rozpytawszy się już poprzednio, z kim Zbyszko rozmawia, zbliżył się skwapliwie, bo istotnie zapłonął chęcią poznania tak sławnego jak Powala rycerza.

Więc gdy ich Zbyszko zaznajomił, skłonił się wytworny Geldryjczyk jak najukładniej i rzekł:

– Jeden tylko byłby większy zaszczyt, panie, od uściśnięcia waszej dłoni, a to potykać się z wami w szrankach albo w bitwie.

Na to uśmiechnął się potężny rycerz z Taczewa, gdyż przy drobnym i szczupłym panu de Lorche wyglądał jak góra, i rzekł:

– A ja tam rad, że się spotkamy jeno przy pełnych konwiach i da Bóg, nigdy inaczej.

De Lorche zaś zawahał się nieco, a potem ozwał się jakby z pewną nieśmiałością:

– Gdybyście jednak, szlachetny panie, chcieli twierdzić, że panna Agnieszka z Długolasu nie jest najpiękniejszą i najcnotliwszą damą w świecie... Wielki byłby dla mnie honor... zaprzeczyć i...

Tu przerwał i począł patrzeć w oczy Powale z szacunkiem, ba! nawet z uwielbieniem, ale bystro i uważnie.

Ale ów, czy dlatego że wiedział, iż zgniótłby go w dwóch palcach jak orzech, czy dlatego że duszę miał niezmiernie dobrotliwą i wesołą, roześmiał się głośno i rzekł:

– Ba, ja swego czasu ślubowałem księżnie burgundzkiej, ale ona wówczas miała z dziesięć років więcej ode mnie; jeżelibyście więc, panie, chcieli twierdzić, że moja księżna nie jest starsza od waszej panny Agnieszki, to trzeba nam będzie zaraz na koń...

Usłyszawszy to, de Lorche popatrzał przez chwilę w zdumieniu na pana z Taczewa, po czym twarz poczęła mu drgać i wreszcie wybuchnęła i on szczerym śmiechem.

A Powąła pochylił się, otoczył mu biodra ramieniem, nagle podniósł go z ziemi i począł kołysać go z taką łatwością, jakby pan de Lorche był niemowlęciem.

– *Pax! pax!* – rzekł – jak mówi biskup Kropidło... Udaliście mi się, rycerzu, i prze Bóg, nie będziemy się potykali o żadne damy.

Za czym, uściskawszy go, postawił na ziemi, gdyż właśnie przy wejściu na dziedziniec huknęły nagle trąby – i wszedł ksiązę Ziemowit płocki z małżonką.

– Tutejsi księstwo przed królem i przed księciem Januszem przybywają – rzekł do Zbyszka Powąła – bo choć to ucztą u starosty, ale zawsze Płocku – oni gospodarze. Pójdź ze mną do pani boć ją znasz jeszcze z Krakowa, gdzie się do króla za tobą przyczyniała.

I wzięwszy go za rękę, powiodł przez dziedziniec. Za księciem i za księżną szli dworzanie i dwórki, wszyscy z powodu obecności króla bardzo strojni i świetni, że aż cały dziedziniec zajaśniał od nich jak od kwiatów. Zbyszko, zbliżając się z Powąłą, przepatrywał z dala twarze, czyli nie dojrzy między nimi znajomych, i nagle aż przystanął ze zdumienia.

Bo oto tuż za księżną ujrzał rzeczywiście znajomą postać i znajomą twarz, ale tak poważną, tak piękną i tak pańską, iż pomyślał, że go chyba oczy mylą.

– Jagienka-li to czyli może córka księstwa na Płocku?

Ale to była Jagienka Zychówna ze Zgorzelic, gdyż w chwili gdy oczy ich spotkały się, uśmiechnęła się do niego zarazem przyjaźnie i litościwie, a potem przybladła nieco i nakrywszy oczy powiekami, stała w złotej przepasce na ciemnych włosach i w niezmiernym blasku swej piękności, wysoka, smutna i cudna, nie tylko do księżniczki, ale do prawdziwej królowej podobna.

## ROZDZIAŁ XXXI

Zbyszko podjął panią na Płocku pod nogi i służby jej swoje ofiarował, ale ona nie poznała go w pierwszej chwili, gdyż nie widziała go od dawnego czasu. Aż dopiero, gdy jej powiedział, jako go wołają – rzekła:

– Prawdziwie! A ja myślałam, że kto z dworu królewskiego. Zbyszko z Bogdańca! Jakże! gościł tu u nas wasz stryjko, stary rycerz z Bogdańca, i pamiętam, jako i mnie, i moim dwórkom służy ciurkiem leciały, gdy nam o was pawił. A odnaleźliście waszą niewiastę? gdzie ona teraz?

– Zmarła mi, miłościwa pani...

– O miły Jezu! Nie mówcie, bo płakania nie strzymam. Jedno to pociecha, że pewnie w niebie, a wyście młodzi. Mocny Boże! mdłe to stworzenie – każda niewiasta. Ale w niebie za wszystko nagroda i tam ją znajdziecie. Zaś stary rycerz z Bogdańca jest tu z wami?

– Nie masz go, bo w niewoli u Krzyżaków, z której jadę go wykupić.

– To i jemu się nie poszczęściło. A zdawał się człek bystry i wszelaki obyczaj znający. Ale jak go wykupicie, zajedźcie też do nas. Radzi was ugościm, bo szczerze powiadam, że jemu na rozumie, a wam na gładkości nie zbywa.

– Uczynim tak, miłościwa pani, tym bardziej żem i teraz umyślnie tu przyjechał, aby waszą miłość o dobre słowo za nim prosić.

– Dobrze. Przyjdźcie jutro przed wyjazdem na łowy, to będę miała czas...

Dalsze jej słowa przerwał znowu huk trąb i kotłów oznajmujących przybycie księstwa Januszów Mazowieckich. Ponieważ Zbyszko z panią na Płocku stał tuż przy wejściu, więc księżna Anna Danuta spostrzegła go od razu i natychmiast zbliżyła się do niego, nie zważając na pokłony gospodarza starosty.

A w młodzianku rozdarło się na nowo serce na jej widok, więc klęknął przed nią i objąwszy rękoma jej kolana, klęczał w milczeniu, ona zaś pochyliła się nad nim i ścisnąwszy mu dłońmi skronie, ronila



łzę po łzie na jego jasną głowę, zupełnie jak matka, która płacze nad nieszczęściem syna.

I ku wielkiemu zdziwieniu dworzan i gości płakała tak długo, powtarzając: „O Jezu, o Jezu miłosierny!” – po czym podniosła Zbyszka z klęczek i rzeka:

– Płaczę po niej, po mojej Danuśce, i płaczę nad tobą. Bóg tak wszelako zrządził, że na nic były twoje trudy i na nic teraz nasze łzy. Ale ty mi praw o niej i jej śmierci, bo choćbym do północkska słuchała, nigdy nie będzie mi tego dosyć.

I wzięła go na stronę, tak jak poprzednio brał go pan z Taczewa. Ci z gości, którzy nie znali Zbyszka, poczęli dopytywać się o jego przygody i w ten sposób przez jakiś czas wszyscy rozmawiali tylko o nim, o Danusi i o Jurandzie. Dopytywali się także posłowie krzyżaccy, Frydrych von Wenden, komtur toruński, wysłany na spotkanie króla, i Jan von Schonfeld, komtur z Osterody. Ten ostatni, Niemiec, ale rodem ze Śląska, umiając dobrze po polsku, z łatwością dopytał, o co chodzi, i wysłuchawszy opowieści z ust Jaśka z Zabierza, dworzanina księcia Janusza, rzekł:

– Danveld i de Lowe byli samemu mistrzowi podejrzani – że zajmowali się czarną magią.

Po czym pomiarkował wnet, że jednak opowiadanie podobnych rzeczy mogło rzucić na cały Zakon cień taki. Jaki padł swego czasu na Templariuszów, i dodał prędko:

– Tak przynajmniej bajczarze prawili, ale to nie była prawda, bo takich nie masz między nami.

Lecz stojący w pobliżu pan z Taczewa odpowiedział:

– Komu wadził chrzest Litwy, tego może mierzić i krzyż.

– My krzyż na płaszczach nosim – odpowiedział z dumą Schonfeld.

Na to zaś Powąła:

– A trzeba go nosić w sercach.

Tymczasem zagrały trąby jeszcze rozgłośniej i nadszedł król, a z nim razem arcybiskup gnieźnieński, biskup krakowski, biskup płocki, kasztelan krakowski i kilku innych dygnitarzy i dworzan, między którymi był i Zyndram z Maszkowic, herbu Słońce, i młody książę Jamont, przyboczny pański. Król mało się zmienił od czasu, jak go Zbyszko nie widział. Na jagodach miał takie same mocne rumieńce, takie same długie włosy, które co chwila zakładał za uszy, i tak samo niespokojnie strzelające oczy. Zdawało się tylko Zbyszkowi, że więcej ma w sobie powagi i więcej majestatu, jak gdyby się już czuł pewniejszy na tym

tronie, który po śmierci królowej chciał być zrazu opuścić, nie wiedząc, czy się na nim osiedzi, i jak gdyby świadomszy teraz był swej niezmiernej potęgi i siły. Obaj książęta mazowieccy ustawili się zaraz przy bokach pana, od przodu bili powitalne pokłony Niemcy-posłowie, a naokół stanęli dygnitarze i przedniejsi dworzcy. Mury okalające dziedziniec drżały od nieustających okrzyków, od odgłosu trąb i grzmienia kotłów.

Gdy wreszcie nastąpiła cisza, poseł krzyżacki von Wenden począł coś mówić o sprawach Zakonu, ale król, gdy po kilku słowach zmiarkował, do czego zmierza przedmowa, machnął niecierpliwie ręką i ozwał się swym grubym, donośnym głosem:

– Milczałbyś! Na uciechę my tu przyszli – i jadło a napitek, nie twoje pergaminy, radzi obaczym.

Lecz uśmiechnął się przy tym dobrotliwie, nie chcąc, aby Krzyżak myślał, że mu gniewnie odpowiada, i dodał:

– O sprawach będzie czas gadać z mistrzem w Raciążku. Potem do księcia Ziemowita:

– A jutro do puszczy na łów – co?

Pytanie to było zarazem oznajmieniem, że tego wieczoru nie chce o czym innym mówić, jeno o łowach, w których z całej duszy się kochał i dla których rad na Mazowsze przyjeżdżał, gdyż Mało- i Wielkopolska mniej były lesiste, a w niektórych ziemiach tak już zaludnione, że im zgoła brakło lasów.

Więc poweselały oblicza, bo wiadano, że król przy rozmowie o łowach bywa także i wesół, i niezmiernie łaskaw. Książę Ziemowit począł też zaraz opowiadać, dokąd pojedą i na jakiego zwierza będą polowali, a książę Janusz posłał jednego z dworzan, aby sprowadził z miasta jego dwóch „brońców”, którzy żubry wywodzili z ostępów za rogi i łamali kości niedźwiedzim, pragnął ich bowiem królowi pokazać.

Zbyszko chciał bardzo pójść pokłonić się panu, ale nie mógł do niego dostąpić. Z dała tylko kniaź Jamont, zapomniawszy widocznie o ostrej odpowiedzi, jaką swego czasu młody rycerz dał mu w Krakowie, kiwnął mu przyjaźnie głową, dając zarazem znać na migi, aby się do niego przy sposobności zbliżył. Ale w tej chwili jakaś ręka dotknęła ramienia młodego rycerza i słodki, smutny głos ozwał się tuż przy nim:

– Zbyszku...

Młodzian odwrócił się i ujrzał przed sobą Jagienkę. Zajęty poprzednio powitaniem księżny Ziemowitowej, a następnie rozmową z

księżną Januszową, nie mógł dotychczas zbliżyć się do dziewczyny, więc ona sama, korzystając z zamieszania, jakie wywołało przybycie króla, przysłała ku niemu.

– Zbyszku – powtórzyła – niech cię pocieszy Bóg i Najświętsza Panna.

– Bóg wam zapłać – odpowiedział rycerz.

I spojrzął z wdzięcznością w jej modre oczy, które w tej chwili przesłoniły się jakby rosą. Po czym stali przed sobą w milczeniu, bo choć ona przysłała do niego jak dobra i smutna siostra, wydała mu się jednak w swej królewskiej postawie i w świetnych dworskich szatach tak inną od dawnej Jagienki, że w pierwszej chwili nie śmiał nawet mówić jej: ty, jak ongi w Zgorzelicach i w Bogdańcu. Ona zaś myślała, że po tych słowach, które wyrzekła, nie ma mu nic więcej do powiedzenia.

I aż zakłopotanie odbiło się na ich twarzach. Ale w tej chwili rum uczynił się na dziedzińcu, albowiem król zasiadł do wieczerzy. Do Zbyszka zbliżyła się znów księżna Januszowa i rzekła:

– Żałośliwa to będzie dla nas obojga uczta, ale mi służ, jakoś dawniej służywał.

Więc młody rycerz musiał odejść od Jagienki i gdy goście zasiedli, stanął przy ławce za plecami księżny, aby zmieniać miski i nalewać jej wody i wina. Służąc, mimo woli spoglądał kiedy niekiedy na Jagienkę, która będąc dwórką księżny na Płocku, siedziała tuż obok niej i – również mimo woli musiał podziwiać jej urodę. Jagienka od tych kilku lat urosła znacznie, ale zmienił ją jednak nie tyle wzrost, ile powaga, której nie miała przedtem ani śladu. Dawniej, gdy w kozuszkę i z liśćmi w roztrąganych włosach ganiała na koniu po borach i lasach, można ją było poczytać bogdaj za urodziwą chłopiankę, teraz na pierwszy rzut oka widać w niej było dziewczę znacznego rodu i wielkiej krwi – taki rozlewał się w jej twarzy spokój. Zbyszko zauważył też, że znikła jej dawna wesołość, ale temu mniej się dziwił, wiedział bowiem o śmierci Zycha. Dziwiła go natomiast najwięcej ta jakowaś jej godność, i z początku zdawało mu się, że to strój daje jej takie pozory. Więc spoglądał kolejno to na złotą przepaskę, która obejmowała jej białe jak śnieg czoło i ciemne włosy spadające w dwóch warkoczach na plecy, to na niebieską, obcisłą, a bramowaną purpurowym szlakiem szatę, pod którą rysowała się wyraźnie jej strzelista postać i dziewicza pierś i – mówił sobie: „Iście prawa księżniczka!” Ale potem uznał, że to nie tylko ubiór jest przyczyną odmiany i że choćby teraz wzięła na siebie prosty ko-

zuch, to już by nie potrafił jej tak lekko brać i tak być z nią śmiałym jak dawniej.

Zauważył następnie, że rozmaici młodzi, a nawet starsi rycerze wpatrują się w nią pilnie i łakomie, a raz, gdy zmieniał przed księżną misę, spostrzegł zapatrzoną i jakby wniebowziętą twarz pana de Lorche i na ten widok uczuł na niego gniew w duszy. Nie uszedł geldryjski rycerz baczności i księżny Januszowej, która poznawszy go nagle, rzekła:

– Widzisz: de Lorche! Pewnikiem znów się w kim kocha, bo całkiem olśnął.

Za czym pochyliła się nieco nad stołem i spojrzawszy w bok ku Jagience, rzekła:

– Wiera, że gasną inne świeczki przy tej pochodni. Zbyszka ciągnęło jednak do Jagienki, gdyż wydała mu się jakby kochająca i kochana krewna, i czuł, że lepszej spółniczki do smutku i większej litości w niczym sercu nie znajdzie, ale tego wieczora nie mógł do niej więcej przemówić, a to dlatego, że był zajęty służbą, a po wtóre, że przez cały czas uczy gądkowie śpiewali pieśni albo trąby czyniły tak hałaśliwą muzykę, że ci nawet, którzy koło siebie siedzieli, zaledwie mogli się dosłyszeć. Obie też księżne, a z nimi niewiasty, wstały wcześniej od stołów, od króla, książąt i rycerzy, którzy mieli zwyczaj do późna w noc zabawiać się kielichami. Jagience, która niosła poduszkę do siedzenia dla księżny, nijako się było zatrzymać, więc odeszła także, tylko na odchodnym uśmiechnęła się znów Zbyszkowi i skinęła mu głową.

Późno dopiero przede dniem młody rycerz, pan de Lorche i dwaj ich giermkowie wracali do gospody. Czas jakiś szli pogrążeni w myślach, ale gdy już byli niedaleko domu, de Lorche począł coś mówić do swego giermka, Pomorzanina, umiającego dobrze po polsku, a ten zwrócił się następnie do Zbyszka:

– Pan mój chciałby o coś waszą miłość zapytać.

– Dobrze – odpowiedział Zbyszko. Wówczas tamci znów pogadali chwilę z sobą, po czym Pomorzanin, uśmiechając się nieco pod wąsem, rzekł:

– Pan mój chciałby spytać: czy to jest pewna, że ta panna, z którą wasza miłość rozmawiała przed ucztą, jest śmiertelna, czyli też to jest właśnie anioł albo święta?

– Powiedz twemu panu – odpowiedział z pewną niecierpliwością Zbyszko – że już mnie drzewiej tak samo pytał i że aż mi cudnie tego słuchać. Bo jakże: w Spychowie mówił mi, że się na dwór księcia Wi-

toldowy dla urody Litwinek wybiera, potem skroś tejże przyczyny chciał jechać do Płocka, w Płocku dziś chciał rycerza z Taczewa dla Agnieszki z Długolasu pozywać, a teraz znów w inną godzi. Zali taka to u niego stateczność i taka rycerska wiara?

Pan de Lorche wysłuchał tej odpowiedzi z ust swego Pomorczyka, westchnął głęboko, popatrzył chwilę w błędące nocne niebo i tak na zarzuty Zbyszkowe odpowiedział:

– Słusznie mówisz. Ni statku, ni wiary! bom jest człek grzeszny i niegodny ostróg rycerskich nosić. Co do panny Agnieszki z Długolasu prawda – ślubowałem jej i Bóg da, że wytrwam, ale uważ, jak cię wzruszę, gdy ci opowiem, jak okrutnie ze mną w czerskim zamku postąpiła.

Tu znów westchnął, znów spojrzął w niebo, na którego wschodzie czyniła się coraz jaśniejsza smuga, i poczekawszy, dopóki Pomorzanin nie przetłumaczył jego słów, tak dalej po chwili mówił:

– Powiedziała mi, że wrogiem jej jest pewien czarnoksiężnik w wieży wśród lasów mieszkający, który corocznie smoka przeciw niej wysyła, a ów podchodzi każdej wiosny pod mury czerskie i patrzy, czyby jej pochwyć nie zdołał. Co gdy rzekła, wraz oświadczyłem, że będę walczył ze smokiem. Ach! uważ, co dalej opowiem: gdym stanął na wskazanym miejscu, ujrzałem okropną potworę czekającą mnie nieruchomie i radość załała mi duszę, bom myślał, że albo polegnę, albo dziewicę z plugawej paszczy ocalę i nieśmiertelną sławę pozyskam. Ale gdym natarł z bliska kopią na poczwagę, cóżem, jak mniemasz, ujrzał? Oto wielki wór słomy na drewnianych kołkach, z ogonem z powróseł! I śmiech ludzki, nie sławę, zyskałem, i aż dwóch mazowieckich rycerzy musiałem potem pozwać, od których obu ciężki szwank w szrankach poniosłem. Tak postąpiła ze mną ta, którą nad wszystkie uwielbił i jedną jedyną kochać chciałem...

Pomorzanin, tłumacząc słowa rycerza, wypychał językiem od środka policzki i chwilami przygryzał go, aby nie parsknąć, a i Zbyszko w innych czasach byłby się roześmiał z pewnością, ale że boleść i niedola wyszłamowały w nim do cna wesołość, więc odrzekł poważnie:

– Może z pustoty to jeno uczyniła, nie ze złości.

– Toteż jej przebaczyłem odpowiedział de Lorche – a najlepszy dowód masz w tym, że się z rycerzem z Taczewa chciał ojej piękność i cnotę potykać.

– Nie czyń tego – rzekł jeszcze poważniej Zbyszko.

– Ja wiem, że to śmierć, ale wolej mi polec niż w ciągłym smutku i strapieniu...

– Panu Powale już takie rzeczy nie w głowie. Pójdź lepiej jutro ze mną do niego i zawrzyj z nim przyjaźń.

– Tak i postąpię, bo mnie do serca przycisnął, ale on jutro na łowy z królem jedzie.

– To pójdziem z rana. Król miłuje łowy, atoli i wywczasem nie gardzi, a dziś do późna biesiadował.

I tak uczynili, ale na próżno, gdyż Czech, który jeszcze przed nimi na zamek pośpieszył, aby się widzieć z Jagienką, oznajmił im, że Powala spał nie u siebie tej nocy, jeno na pokojach królewskich. Opłacił im się wszelako zawód, bo spotkał ich księżę Janusz i kazał im się do swego orszaku przyłączyć, przez co mogli wziąć udział w łowach. Jadąc ku puszczy, znalazł też Zbyszko sposobność rozmówienia się z kniazem Jamontem, który powiedział mu dobrą nowinę.

– Rozbierając króla do łoża – rzekł – przypomniałem mu ciebie i twoją krakowską przygodę. A że był przy tym rycerz Powala, więc zaraz przydał, że ci stryj ca Krzyżaki chyciły, i prosił króla, aby się o niego upomniał. Król, który okrutnie jest na nich za porwanie małego Jaśka z Kretkowa i za inne napaści zagniewan, rozsierzdził się jeszcze więcej: „Nie z dobrym słowem – powiada – by do nich, ale z dzidą! z dzidą! z dzidą!” A Powala umyślnie drew na ów ogień dorzuczał. Rano też, gdy posłowie krzyżaccy czekali przy bramie, ani ci na nich król spojrział, chociaż się do ziemi kłaniali. Hej, nie wydobędą oni z niego teraz obietnicy, iż nie będzie kniazia Witolda wspomagał – i nie będą wiedzieli, co począć. Ale ty bądź pewien, że o twego stryjca nie zaniecha król samego mistrza przycisnąć.

I tak pocieszył jego duszę kniazik Jamont, a jeszcze bardziej pocieszyła ją Jagienka, która towarzysząc księżnie Ziemowitowej do puszczy, postarała się o to, aby z powrotem jechać obok Zbyszka. Podczas łowów bywała wielka swoboda, wracano przeto zwykle parami, a że nie chodziło o to żadnej parze, by być zbyt blisko drugiej, więc można się było rozmówić swobodnie. Jagienka dowiedziała się już poprzednio o Maćkowej niewoli od Czecha i nie straciła czasu. Na jej prośbę dała księżna list do mistrza, a prócz tego wymogła, że nadmienił o tym i komtur toruński von Wenden w piśmie, w którym zdawał sprawę z tego, co w Płocku się dzieje. Chwalił się on sam przed księżną, iż dopisał, że: „chcąc króla udobruchać, nie można mu w tej sprawie czynić trudności”. A mistrzowi chodziło wielce w tej chwili o to, aby jak naj-

bardziej potężnego władcę udobruchać i z całkowitym bezpieczeństwem obrócić wszystkie siły na Witolda, z którym Zakon istotnie nie umiał sobie dotychczas dać rady.

– I tak, com mogła, tom wskórała, bacząc, aby zaś nie było mitręgi – kończyła Jagienka – a że król, nie chcąc siostrze w wielkich sprawach ustąpić, będzie się pewnie starał wygodzić jej choć w mniejszych, przeto mam jako najlepszą nadzieję.

– Żeby nie z tak zdradliwymi ludźmi sprawa – odpowiedział Zbyszko – tobym po prostu odwiózł okup i na tym by się skończyło, z nimi wszelako może się przygodzić, jako się Tolimie przygodziło, że i pieniądze zagrabią, i temu, co je przywiózł, nie przepuszczą, jeśli za nim jakowaś potęga nie stoi.

– Rozumiem – odrzekła Jagienka.

– Wy teraz wszystko rozumiecie – zauważył Zbyszko – i pókim żyw, wdzięczen wam będę.

A ona, podniósłszy na niego swe smutne i dobre oczy, zapytała:

– Czemu zaś nie mówisz mi: ty, jako znajomce od małego.

– Nie wiem – odpowiedział szczerze. – Coś mi niełacno... i wyście już nie ten dawny skrzat, jakości e bywali, jeno... niby... coś całkiem...

I nie umiał znaleźć porównania, ale ona przerwała mu wysiłek i rzekła:

– Bo mi kilka roków przybyło... A Niemce i mnie rodzica na Śląsku zabiły.

– Prawda! – odrzekł Zbyszko. – Daj mu Boże światłość wiekuistą.

Czas jakiś jechali cicho obok siebie, zamyśleni i jakby zaszuchani w nieszporny szum sosen, po czym ona spytała znowu:

– A po wykupie Maćka ostaniecie w tych stronach? Zbyszko spojrział na nią jakby ze zdziwieniem, gdyż dotąd oddany był tak wyłącznie żalowi i smutkom, że ani do głowy nie przyszło mu pomyśleć o tym, co będzie później. Więc podniósł oczy w górę, jakby się namyślając, a po chwili odrzekł:

– Nie wiem! Chryste miłosierny! skądże mam wiedzieć? To jeno wiem, że gdzie powędruję, tam i dola moja pójdzie za mną. Hej! ciężka dola!... Stryja wykupię, a potem chyba do Witolda pójdę, ślubów przeciw Krzyżakom dopełnić – i może zginę.

A na to zamgliły się oczy dziewczyny i pochyliwszy się nieco ku młodziankowi, zaczęła mówić z cicha, jakby z prośbą:

– Nie giń, nie giń!

I znów przestali rozmawiać, aż dopiero pod samymi murami miasta Zbyszko otrząsnął się z myśli, które go gryzły, i rzekł:

– A wy... a ty – ostaniesz tu przy dworze?

– Nie – odpowiedziała. – Cni mi się bez braci i bez Zgorzelic. Cztan i Wilk musieli się tam już pożenić, a chociażby i nie, to się już ich nie boję.

– Da Bóg, że cię stryj Maćko do Zgorzelic odwiezie. Taki on ci przyjaciel, że we wszystkim możesz się na niego zdać. Ale i ty o nim pamiętaj...

– Święcie ci to przyrzekam, że mu będę jako rodzone dziecko...

I po tych słowach rozplakała się na dobre, bo w sercu uczyniło się jej ogromnie smutno.

Nazajutrz dzień Powała z Taczewa przyszedł do gospody Zbyszka i rzekł mu:

– Po Bożym Ciele król zaraz do Raciąża wyjeżdża na spotkanie z wielkim mistrzem, a tyś jest do rycerzy królewskich zaliczon i razem z nami ruszysz.

A Zbyszko aż się splotił z uciechy po tych słowach – nie tylko bowiem ubezpieczało go to zaliczenie do rycerzy królewskich od zdrad i podstępów krzyżackich, ale okrywało go chwałą niezmierną. Należał przecie do tych rycerzy i Zawisza Czarny, i bracia jego: Farurej i Kruczek, i sam Powała, i Krzon z Kozichgłów, i Stach z Charbimowic, i Paszko Złodziej z Biskupic, i Lis z Targowiska – i wielu innych strasznych, najślawniejszych, o których wiedziano w kraju i za granicą. Nie wielki ich zastęp wziął król Jagiełło z sobą, bo niektórzy w domu zostali, a inni szukali przygód w zamorskich, odległych krajach, ale to wiedział, że i z tymi mógł, nie lękając się zdrady krzyżackiej, choćby do Malborga jechać, gdyż w razie czego mury pokruszyliby potężnymi ramiony i wy siekli mu drogę wśród Niemców. Mogło też zapłonąć dumą młode Zbyszkowe serce na myśl, że takich będzie miało towarzyszków.

Więc Zbyszko w pierwszej chwili zapomniał nawet o swoim żalu – i ściskając ręce Powały z Taczewa, mówił do niego z radością:

– Wam to, nie komu, winienem, panie, wam! wam!

– Mnie w części – odrzekł Powała – w części tutejszej księżnie, ale najbardziej panu naszemu miłościwemu, którego idź zaraz podjąć pod nogi, by cię zaś o niewdzięczność nie posądził.

– Jakom dla niego zginąć gotów, tak mi dopomóż Bóg! – zawołał Zbyszko.



## ROZDZIAŁ XXXII

Zjazd na wyspie wiślanej w Raciążu, na który król udał się koło Bożego Ciała, odbywał się pod złą wróżbą i nie doprowadził do takiej zgody i załatwienia różnych spraw jak te, które w tym samym miejscu odbyły się we dwa lata później i na których odzyskał król zastawioną zdradliwie przez Opolczyka Krzyżakom ziemię dobrzyńską wraz z Dobrzyniem i Bobrownikami. Jagiełło przybył rozdrażnion wielce obmową, jakiej dopuszczali się względem niego Krzyżacy po dworach zachodnich i w samym Rzymie, a zarazem zgniewany nieuczciwością Zakonu. Mistrz nie chciał układów o Dobrzyń prowadzić, czynił zaś to umyślnie – i zarówno on sam, jak i inni dygnitarze zakonni powtarzali codziennie Polakom: „Wojny ni z wami, ni z Litwą nie chcemy, ale Żmujdź nasza, bo sam Witold nam ją oddał. Obiecnijcie, iż nie będziecie mu pomagali, to wojna z nim prędzej się skończy, a wówczas pora będzie gadać o Dobrzyniu, i siła wam ustępstw poczynimy”. Ale rajcy królewscy, mając bystry, doświadczony rozum i znając kłamstwo krzyżackie, nie dawali się zdurzyć: „Gdy w potęgę wzrosiecie, zuchwałości wam jeszcze przybędzie – odpowiadali mistrzowi. – Mówicie, że nic wam do Litwy, a Skirgiełłę chcecie na stolcu w Wilnie posadzić. Ależ na miły Bóg! wždy to Jagiełłowe dziedzictwo, który jeden, kogo chce, księciem na Litwie stanowi – przeto się hamujcie, aby was nie pokarał nasz wielki król!” Na co mistrz mówił, że jeśli król jest prawdziwym panem Litwy, niechże nakaże Witoldowi, by wojny zaniechał i Zakonowi Żmujdź wrócił – gdyż inaczej Zakon musi uderzyć w Witolda tam, gdzie go dosięgnąć i zranić może. I w ten sposób spory wlokły się od rana do wieczora jakoby błędną drogą idącą w kółko. Król, nie chcąc się do niczego zobowiązać, niecierpliwił się coraz bardziej i mówił mistrzowi, że gdyby Żmujdź była pod krzyżacką ręką szczęśliwa, nie poruszyłby się Witold i jednym palcem, bo nie znalazłby ni pozoru, ni przyczyny. Mistrz, który był człowiekiem spokojnym i lepiej od innych braci zdawał sobie sprawę z potęgi Jagiełłowej, starał się króla ułagodzić i nie zważając na szemranie niektórych zapalczywych i dumnych komturów, nie szczędził pochlebnych słów, a chwilami uderzał i w pokorę. Ale że nawet w tej pokorze nieraz odzywały

się ukryte pogrożki, przeto nie wiodło to do niczego. Układy o rzeczy ważne rozchwiały się prędko i drugiego już dnia poczęto mówić tylko o sprawach pomniejszych. Natarł król ostro na Zakon o utrzymywanie kup łotrów, o napaści i grabieże nad granicą, o porwanie Jurandówny i małego Jaśka z Kretkowa, o mordowanie kmieciów i rybaków. Mistrz wypierał się, wykręcał, przysięgał, że to było bez jego wiedzy, i wzajem wyrzuty czynił, że nie tylko Witold, ale i rycerze polscy pomagali pogańskim Żmujdzinom przeciw Krzyżakowi – na dowód czego przytoczył Maćka z Bogdańca. Szczęściem, wiedział już król przez Powagę, czego rycerze z Bogdańca szukali na Żmujdzi – i umiał na zarzut odpowiedzieć, tym łatwiej, że w orszaku jego był Zbyszko, a w mistrzowym obaj von Badenowie, którzy przybyli w tej nadziei, że zdarzy im się może z Polakami w szrankach potykać.

Ale nie było i tego. Chcieli Krzyżacy, w razie gdyby im gładko poszło, zaprosić wielkiego króla do Torunia i tam przez kilka dni wyprawiać na jego cześć uczty i igrzyska, ale wobec nieudałych układów, które zrodziły zobopólną niechęć i gniew, brakło do zabaw ochoty. Na boku tylko w porannych godzinach między sobą popisywali się nieco wzajem rycerze siłą i zręcznością, lecz jak mówił wesoły książę Jamont, poszło i to pod włos Krzyżakom, gdyż Powaga z Taczewa okazał się cięższym na rękę od Arnolda von Baden, Dobek z Oleśnicy kopią, a Lis z Targowiska skakaniem przez konie wszystkich przewyższył. Przy tej sposobności porozumiewał się Zbyszko z Arnoldem von Baden o okup. De Lorche, który jako grabia i pan wielkiego znaczenia patrzył na Arnolda z góry, sprzeciwiał się temu, twierdząc, iż sam wszystko na siebie bierze. Zbyszko jednak mniemał, że cześć rycerska nakazuje mu zapłacić tę ilość grzywien, do której się zobowiązał, i dlatego chociaż sam Arnold chciał spuścić z ceny, nie przyjął ani tego ustępstwa, ani pośrednictwa pana de Lorche.

Arnold von Baden był człowiekiem dość prostym, którego największą zaletę stanowiła olbrzymia siła ramienia, dość głupowatym, nieco na pieniądze łakomym, ale prawie uczciwym. Nie było w nim chytryści krzyżackiej i dlatego nie ukrywał przed Zbyszkiem, z jakiej przyczyny nie chce spuścić z umówionej ceny: „Do układów – mówił – między wielkim królem a mistrzem nie przyjdzie, ale przyjdzie do wymiany jeńców – a w takim razie będziesz mógł stryja darmo odebrać. Ja wolę wziąć coś niż nic, gdyż mieszek u mnie zawsze próżny i nieraz ledwie na trzy garnce piwa dziennie wstrzyma, zaś bez pięciu lub sześciu krzywda mi!” Lecz Zbyszko gniewał się na niego za takie słowa: „Pła-

cę, bom dał rycerskie słowo, a taniej nie chcę, abyś wiedział, żeśmy tyle warci”. Na to ścisnął go Arnold, a rycerze i polscy, i krzyżacy chwalili go, mówiąc: „Słuszna, iż w tak młodych latach pas i ostrogi nosi, bo się do czci i godności poczuwa”.

Tymczasem król z mistrzem ułożyli się istotnie o wymianę jeńców, przy czym ukazały się dziwne rzeczy, o których biskupi i dygnitarze Królestwa pisali później listy do papieża i różnych dworów: oto w rękach polskich sporo było wprawdzie jeńców, ale byli to mężowie dorośli, w sile wieku, wzięci zbrojną ręką w nadgranicznych bitwach i potyczkach. Tymczasem w rękach krzyżackich znajdowała się większość niewiast i dzieci, pojmanych wśród nocnych napadów dla okupu. Sam papież w Rzymie zwrócił na to swoją uwagę i pomimo całej przebiegłości Jana von Felde, prokuratora krzyżackiego w stolicy apostolskiej, głośno wyrażał swój gniew i oburzenie na Zakon.

Co do Maćka, były trudności. Nie czynił ich mistrz naprawę, ale tylko pozornie, aby każdemu ustępstwu przydać wagi. Twierdził więc, że rycerz chrześcijanin, który wojował razem ze Żmujdzinami przeciw Zakonowi, powinien być po sprawiedliwości skazan na śmierć. Próżno rajcy królewscy przytaczali na nowo wszystko, co im było wiadomym o Jurandzie i jego córce, oraz o straszliwych krzywdach, jakich się względem tych dwojga i względem rycerzy z Bogdańca dopuścili słudzy Zakonu. Mistrz w odpowiedzi przytoczył dziwnym trafem te same prawie słowa, które powiedziała w swoim czasie księżna Aleksandra Ziemowitowa do starego rycerza z Bogdańca:

– Za baranków się podajecie, a naszych za wilków. Tymczasem z tych czterech wilków, którzy w porwaniu Jurandówny wzięli udział, ani jeden nie żywie, a barankowie chodzą przezpiecznie po świecie.

I była to prawda, wszelako na tę prawdę odpowiedział obecny przy obradach pan z Taczewa następującym pytaniem:

– Tak, ale czy zabito którego zdradą? I zali ci, którzy polegli, nie polegli wszyscy z mieczami w rękę?

Mistrz nie miał co na to odrzec, a gdy spostrzegł przy tym, że król poczyną marszczyć się i błyskać oczyma, ustąpił, nie chcąc doprowadzić groźnego władcy do wybuchu. Uradzono potem, że każda strona wyśle postów po odbiór jeńców. Ze strony polskiej mianowani zostali w tym celu Zyndram z Maszkowic, który pragnął się potędze krzyżackiej z bliska przypatrzeć, i rycerz Powąła, a z nimi razem Zbyszko z Bogdańca.

Zbyszowski usługę tę oddał książę Jamont. Przyczynił się za nim do króla w tej myśli, że młodzian i zobaczy prędzej stryjca, i tym pewniej go odwiezie, gdy pojedzie po niego jako poseł królewski. A król nie odmówił prośbie książeczki, który z powodu swej wesołości, dobroci i cudnego oblicza był i jego, i całego dworu ulubieńcem, a przy tym nigdy o nic dla siebie nie prosił. Zbyszko dziękował mu też z całej duszy, gdyż teraz był już zupełnie pewien, że Maćka z rąk krzyżackich wydobędzie.

– Tobie niejedynemu zajrzy – mówił mu – że przy majestacie zostajesz, ale to sprawiedliwie tak jest, bo jeno na dobro ludzkie swojej podufałości z królem używasz i lepszego nad cię serca nikt chyba nie ma.

– Przy majestacie dobrze – odrzekł bojarzynek – ale ja bym jeszcze wolał w pole ku Krzyżakom i tego tobie zajrzę, żeś w nich już bijał.

Po chwili zaś dodał:

– Komtur toruński von Wenden przyjechał wczoraj, a dziś wieczór pojedziecie do niego na noc z mistrzem i z mistrzowym orszakiem.

– A potem do Malboga.

– A potem do Malboga.

Tu książę Jamont począł się śmiać:

– Niedaleka to będzie droga, ale kwaśna, bo nic od króla nie potrafili Niemce uzyskać, a z Witoldem nie będą mieli też uciechy. Zebrał ci on pono całą potęgę litewską i na Żmujdź idzie.

– Jeśli go król wspomógł, to będzie wielka wojna.

– Proszę o to Pana Boga wszyscy nasi rycerze. Ale choćby król z żalu nad krwią krześcijańską wielkiej wojny nie uczynił, wspomógł Witolda zbożem i pieniędzmi, a nie bez tego także, aby coś polskich rycerzy na ochotnika do niego nie poszło.

– Jako żywo – odpowiedział Zbyszko. – A może za to sam Zakon wypowie królowi wojnę?

– Ej, nie! – odpowiedział książę – póki dzisiaj mistrz żywie, nie będzie tego.

I miał słuszość. Zbyszko znał już mistrza dawniej, ale teraz, po drodze do Malboga, będąc razem z Zyndramem z Maszkowic i z Powalą prawie ciągle przy jego boku, mógł mu się lepiej przypatrzeć i lepiej go przeznaczyć. Owóż ta podróż utwierdziła go tylko w przekonaniu, że wielki mistrz Konrad von Jungingen nie był złym i zepsutym człowiekiem. Musiał on często postępować w sposób nieprawdy, gdyż cały Zakon krzyżacki stał na nieprawości. Musiał czynić krzywdy, bo cały Zakon zbudowany był na ludzkiej krzywdzie. Musiał kłamać, bo

kłamstwo odziedziczył razem z oznakami mistrzostwa, a od wczesnych lat przywykł uważać je tylko za polityczną przebiegłość. Ale nie był okrutnikiem, bał się sądu Bożego i ile mógł, hamował pychę i zuchwałość tych dygnitarzy zakonnych, którzy pchali umyślnie do wojny z potęgą Jagiełłową. Był jednakże człowiekiem słabym. Zakon tak dalece przywykł od całych wieków czyhać na cudze, grabić, zabierać siłą lub podstępem przyległe ziemie, że Konrad nie tylko nie umiał powściągnąć tego drapieżnego głodu, ale mimo woli, siłą nabytego pędu sam poddawał mu się i usiłował go zaspokoić. Dalekie też były już czasy Winrycha von Kniprode, czasy żelaznej karności, którą Zakon wprawiał w podziwienie świat cały. Już za poprzedniego przed Jungingenem mistrza, Konrada Wallenroda, Zakon upoił się własną coraz wzrastającą potęgą, której nie zdołały osłabić chwilowe klęski, odurzył się sławą, powodzeniem, krwią ludzką, tak że rozluźniły się karby, które trzymały go w sile i jedności. Mistrz przestrzegał, ile mógł, prawa i sprawiedliwości, ile mógł, łagodził osobiście żelazną ręką Zakonu ciążącą na chłopach, mieszczanach, a nawet na duchowieństwie i szlachcie siedzącej na prawie lennym w ziemiach krzyżackich, więc w pobliżu Malborka ten i ów kmieć albo mieszczanin mógł się pochwalić nie tylko dostatkiem, lecz i bogactwem. Ale w dalszych ziemiach samowola, srogość i rozpasanie komturów deptały prawa, szerzyły ucisk i zdzierstwa, wyciskały z pomocą nakładanych na własną rękę podatków albo i bez wszelkiego pozoru ostatni grosz, wyciskały łzy, często krew, tak że w całych obszernych krainach jeden był jęk, jedna nędza i jedna skarga. Jeśli nawet dobro Zakonu nakazywało, jak chwilami na Żmujdzi, większą łagodność – i takie nakazy szły wniwecz wobec niesforności komturów i przyrodzonego im okrucieństwa. Czuł się więc Konrad von Jungingen niby woźnicą, który rozhukanymi powodując końmi, wypuścił lejce z rąk i zdał wóz na wolę losu. Często też opanowywały jego duszę złe przeczucia, często przychodziły mu na myśl prorocze słowa:

„Postanowiłem ich pszczołami pożyteczności i utwierdziłem na progu ziem chrześcijańskich, ale oto powstali przeciw mnie. Bo nie dbają o duszę i nie litują się ciał tego ludu, który z błędu nawrócił się ku wierze katolickiej i ku mnie. I uczynili z niego niewolników i nie nauczając go przykazań Bożych, i odejmując mu Sakramenta święte, na większe jeszcze piekielne męki go skazują, niż gdyby był w pogaństwie pozostał. A wojny toczą ku rozpostarceniu swej chciwości. Przeto

przyjdzie czas, iżę wyłamane im będą zęby i będzie ucięta im ręka prawa, a prawa noga im ochromieje, aby uznali grzechy swoje”.

Mistrz wiedział, że owe wyrzuty, które tajemniczy Głos uczynił Krzyżakom w objawieniu świętej Brygidy, były słuszne. Rozumiał, że gmach zbudowany na cudzej ziemi i cudzej krzywdzie, wsparty na kłamstwie, podstępnie, srogości, nie może się długo ostać. Bał się, że podmywany od lat całych krwią i łzami, runie od jednego uderzenia potężnej ręki polskiej; przeczuwał, że wóz, który ciągną rozhukane konie, musi skończyć w przepaści, więc starał się, aby przynajmniej godzina sądu, gniewu, klęski i nędzy przyszła jak najpóźniej. Z tej przyczyny, pomimo swej słabości, w jednym tylko stawiał niezłomny opór swym dumnym i zuchwałym racjom: oto nie dopuszczał do walki z Polską. Próżno zarzucano mu bojaźń i niedołęstwo, próżno pogranicznicy komturowie parli wszelkimi siłami do wojny. On, gdy ogień miał już, już wybuchnąć, cofał się zawsze w ostatniej chwili, a potem Bogu czynił dzięki w Malborgu, że mu się udało miecz podniesiony nad głową Zakonu zatrzymać.

Ale wiedział, że do tego przyjść musi. Więc owo przeświadczenie, że Zakon stoi nie na prawie Bożym, ale na nieprawości i kłamstwie, i owo przeczucie bliskiego dnia zaguby czyniło go jednym z najbardziej nieszczęsnych ludzi w świecie. Byłby niechybnie dał życie i krew, gdyby mogło być inaczej i gdyby czas był jeszcze zawrócić na prawą drogę, ale sam czuł, że już nie czas! Zawrócić – to by znaczyło oddać prawym posiadaczom całe ziemie żyzne, bogate i pochwycone przez Zakon od Bóg wie jak dawna, a z nimi razem mnóstwo miast tak bogatych jak Gdańsk. I nie dość! To znaczyło wyrzec się Żmujdzi, wyrzec się zamachów na Litwę, włożyć miecze do pochew, wreszcie całkiem wynieść się z tych krain, w których Zakon nie miał już kogo nawracać – i osiąść chyba znów w Palestynie lub na której z wysp greckich, aby tam Krzyża od prawdziwych bronić Saracenów. Ale było to niepodobieństwem, gdyż równałoby się wyrokowi zagłady na Zakon. Kto by się na to zgodził? i jakież mistrz mógł czegoś podobnego zażądać? Konradowi von Jungingen zawłóczyła się cieniem dusza i życie, ale człowieka, który by z podobną radą wystąpił, on pierwszy skazałby, jako pozbawionego zmysłów, na ciemną izbę. Trzeba było iść dalej i dalej, aż do dnia, w którym sam Bóg kres naznaczy. Więc szedł, ale w dusznej trosce i smutku. Włos na brodzie i skroniach już mu się posrebrzył, a bystre niegdyś oczy pokryły się do połowy ociężałymi powiekami. Zbyszko ani razu nie dostrzegł na jego twarzy uśmiechu. Oblicze mi-

strzowe nie było groźne ani nawet chmurne, było tylko jakby zmęczone jakimś cichym cierpieniem. W zbroi, z krzyżem na piersiach, w środku którego był w czworokącie czarny orzeł – w białym wielkim płaszczu, również przyozdobionym krzyżem, czynił wrażenie powagi, majestatu i smutku. Konrad niegdyś wesoły był i kochał się w krotofilach, a i teraz nawet nie usuwał się od wspaniałych uczt, widowisk i turniejów – owszem, sam je wyprawiał, ale ani w natłoku świetnego rycerstwa, które przybywało w gości do Malbarga, ani w zgiełku radosnym, wśród huku trąb i szczęku oręża, ani przy pucharach przepełnionych małmazją – nie rozweselał się nigdy. Wówczas, gdy wszystko wokół niego zdawało się dyszeć potęgą, świetnością, nieprzebrany bogactwem, niezłomną mocą, gdy posłowie cesarza i innych królów zachodnich wykrzykiwali w uniesieniu, że Zakon sam starczy za wszystkie królestwa i za potęgę całego świata – on jeden się nie łudził – i on jeden pamiętał złowrogie słowa objawione świętej Brygidzie: „Przyjdzie czas, iż wyłamane będą ich zęby i będzie im ucięta ręka prawa, a prawa noga im ochromieje, aby uznali grzechy swoje”.

## ROZDZIAŁ XXXIII

Jechali suchą drogą na Chełmżę do Grudziądza, gdzie zatrzymali się na noc i dzień, gdyż wielki mistrz miał tam do osądzenia sprawę o rybołówstwo między zamkowym starostą krzyżackim a okoliczną szlachtą, której ziemie przylegały do Wisły. Stamtąd płynęli na szkuta-  
kach krzyżackich rzeką aż do Malbarga. Zyndram z Maszkowic, Powala z Taczewa i Zbyszko znajdowali się przez cały czas przy boku mistrza, który ciekawy był, jakie wrażenie uczyni, zwłaszcza na Zyndramie, widziana z bliska potęga krzyżacka. Chodziło zaś mistrzowi o to dlatego, że Zyndram z Maszkowic był nie tylko mężnym i strasznym w pojedynkę rycerzem, ale nadzwyczaj biegłym wojownikiem. W całym Królestwie nikt tak jak on nie znał się na prowadzeniu wielkich wojsk, na szykowaniu hufców do bitwy, na budowie i burzeniu zamków, na rzucaniu mostów przez szerokie rzeki, na „armacie”, to jest na uzbrojeniu u rozmaitych narodów, i na wszelkich wojennych sposobach. Mistrz, wiedząc, że na radzie królewskiej dużo zależało od zdania tego męża, mniemał, że jeśli zdoła go przerazić wielkość zakonnych bogactw i wojsk, to wojna odwlecze się jeszcze na długo. A przede wszystkim sam widok Malbarga mógł przejąć trwożą serce każdego Polaka, albowiem z twierdzą ową, licząc Wysoki Zamek, Średni i Przedzamacze, żadna inna w całym świecie nie mogła się nawet w przybliżeniu porównać. Już z dala, płynąc Nogatem, ujrzeli rycerze potężne baszty rysujące się na niebie. Dzień był jasny i przeźroczy, więc widać je było doskonale, a po niejakiem czasie, gdy szkuty zbliżyły się, jeszcze bardziej rozbłysły szczyty kościoła na Wysokim Zamku i olbrzymie mury piętrzące się jedne nad drugimi – w części barwy ceglanej, przeważnie jednak pokryte ową słynną szarobiałą zaprawą, którą przyrządzać umieli tylko mularze krzyżacy. Ogrom ich przewyższał wszystko, co w życiu widzieli polscy rycerze. Zdawać się mogło, że tam gmachy wyrastają na gmachach, tworząc w nizinym z natury miejscu jakby górę, której szczytem był Stary Zamek, a stokami – Średni i rozłożyste Przedzamacze. Biła od tego olbrzymiego gniazda zbrojnych mnichów moc i potęga tak nadzwyczajna, że nawet długa i zwykle posępna twarz mistrza wypogodziła się nieco na ów widok.



– *Ex luto Marienburg* – z błota Marienburg – rzekł, zwracając się do Zyndrama – ale tego błota moc ludzka nie pokruszy.

Zyndram nie odpowiedział – i w milczeniu obejmował oczyma wszystkie baszty i ogrom murów wzmocnionych potwornymi skarpami.

A Konrad von Jungingen dodał po chwili milczenia:

– Wy, panie, którzy się na twierdzach znacie, cóż nam o tej powiecie?

– Twierdza widzi mi się nie do zdobycia – odrzekł jakby w zamyśleniu polski rycerz – ale...

– Ale co? Co w niej możecie przyganić?

– Ale każda twierdza może zmienić panów. Na to mistrz zmarszczył brwi.

– W jakiejże to myśli mówicie?

– W tej, że zakryte są przed oczyma ludzkimi sądy i wyroki Boże.

I znów patrzył w zamyśleniu na mury, a Zbyszko, któremu Powąła przetłumaczył należycie odpowiedź, spoglądał na niego z podziwem i wdzięcznością. Uderzyło go przy tym w tej chwili podobieństwo między Zyndramem a zmujeńskim wodzem Skirwoiłą. Obaj mieli takie same ogromne głowy, jak gdyby wbite między szerokie ramiona, obaj równie potężne piersi i takie same pałkowate nogi.

Tymczasem mistrz, nie chcąc, by ostatnie słowo zostało przy polskim rycerzu, znów zaczął:

– Mówią – rzekł – że nasz Marienburg sześć razy większy od Wawelu.

– Tam na skale nie masz tyle miejsca, ile tu w równi – odparł pan z Maszkowic – ale serce, widzę, u nas na Wawelu większe. Konrad podniósł ze zdziwieniem brwi:

– Nie rozumiem.

– Bo cóż ci jest sercem w każdym zamku, jeśli nie kościół? A nasza katedra za trzy takie jak oto ów obstanie.

I to rzekłszy, wskazał na istotnie niewielki kościół zamkowy, na którego prezbiterium błyszczała na złotym tle olbrzymia mozaikowa figura Najświętszej Panny.

A mistrz znowu był nierad z takiego obrotu rozmowy.

– Prędkie, ale dziwne macie, panie, odpowiedzi – rzekł. W tymże czasie dojechali. Wyborna policja krzyżacka uprzedziła widocznie miasto i zamek o przyjeździe wielkiego mistrza, gdyż u przeprawy czekali już, prócz kilku braci, trębacze miejscy, którzy przygrywali zwykle

wielkiemu mistrzowi w czasie przewozu. Z drugiej strony czekały gotowe konie, na które siadłszy, przebył orszak miasto i przez Szewcką bramę, wedle Wróblej baszty wjechał do Przedzamcza. W bramie witali mistrza: wielki komtur Wilhelm von Helfenstein, który zresztą tytuł już tylko nosił, albowiem od kilku miesięcy obowiązki jego sprawował naprawdę Kuno Lichtenstein, wysłany podówczas do Anglii; a dalej: wielki szpitalnik, krewny Kunona. Konrad Lichtenstein. wielki szatny Rumpenheim i wielki podskarbi Burghard von Wobecke, i wreszcie mały komtur, przełożony nad warsztatami i nad zarządem zamku. Prócz tych dostojników stało tam kilkunastu braci wyświęconych, którzy zawiadowali rzeczami dotyczącymi Kościoła w Prusiech, i ciężko gnębili inne klasztory oraz świeckie duchowieństwo, zmuszając je nawet do robót przy drogach i przy łamaniu lodów – a z nimi gromada braci świeckich, to jest rycerzy nie obowiązanych do godzin kanonicznych. Roste i silne ich postawy (słabych nie chcieli Krzyżacy przyjmować), szerokie ramiona, kręte brody i srogie spojrzenia czyniły ich podobniejszymi do drapieżnych zbójówrycerzy niemieckich niż do mnichów. Z oczu patrzyła im odwaga, hardość i pycha niezmierna. Nie lubili oni Konrada za jego obawę wojny z potęgą Jagiełłową; nieraz na kapitułach otwarcie wyrzucali mu bojaźliwość, rysowali go na murach i podmawiali błaznów do wyśmiewania go w oczy. Jednakże na jego widok pochyłili teraz głowy z pozorną pokorą, zwłaszcza że mistrz wjeżdżał w towarzystwie obcych rycerzy, i poskoczyli hurmem, aby potrzymać mu konia za uzdę i strzemię.

Mistrz zaś, zsiadłszy, zwrócił się zaraz do Helfensteina i zapytał:

– Są-li jakie nowiny od Wenera von Tettingen? Wemer von Tettingen, jako wielki marszałek, czyli przywódca zbrojnych sił krzyżackich, był w tej chwili na wyprawie przeciw Żmujdzinom i Witoldowi.

– Ważnych nowin nie ma – odpowiedział Helfenstein – ale są szkody. Dzicz popaliła osady pod Ragnetą i miasteczka przy innych zamkach.

– W Bogu nadzieja, że jedna wielka bitwa złamie ich złość i ztwardziałość – odparł mistrz.

I to rzekłszy, podniósł oczy w górę, a usta jego poruszały się przez chwilę modlitwą, którą odmawiał za powodzenie wojsk zakonnych.

Po czym ukazał na polskich rycerzy i rzekł:

– To są wysłannicy króla polskiego: rycerz z Maszkowic, rycerz z Taczewa i rycerz z Bogdańca, którzy z nami dla wymiany jeńców

przybyli. Niechaj komtur zamkowy wskaże im gościnne komnaty i podejmie ich, i ugości, jako przystało.

Na te słowa bracia-rycerze poczęli spoglądać z ciekawością na wysłanników, a zwłaszcza na Powagę z Taczewa, którego imię, jako słynnego zapaśnika, było niektórym znane. Tych zaś, którzy nie słyszeli o jego czynach na dworze burgundzkim, czeskim i krakowskim, przejmowała podziwem jego ogromna postawa i jego ogier bojowy tak nadzwyczajnej wielkości, że bywalcom, którzy za młodych lat zwiedzili Ziemię Świętą i Egipt, przypominał wielbłądy i słonie.

Kilku poznało też Zbyszka, który swego czasu potykał się w szrankach w Malborgu, i ci witali go dość uprzejmie, pamiętając, że potężny i mający wielką wziętość w Zakonie brat mistrzów, Ulryk von Jungingen, okazywał mu szczerą przyjaźń i przychyłność. Najmniej zwracał uwagi i podziwu ten, który w niedalekiej już przyszłości miał być najstraszliwszym pogromcą Zakonu, to jest Zyndram z Maszkowic, albowiem gdy zsiadł z konia, wydawał się z powodu swej niezwyklej krępości i wysokich ramion prawie garbatym. Nazbyt długie jego ręce i pałakowate nogi budziły uśmiech w twarzach młodszych braci. Jeden z nich, znany krotofilnik, przystąpił nawet do niego, chcąc mu przymówić, ale spojrzawszy w oczy pana z Maszkowic, stracił jakoś ochotę i odszedł w milczeniu.

Tymczasem komtur zamkowy zabrał gości i powiódł ich z sobą. Weszli naprzód na niewielki dziedziniec, na którym prócz szkoły, starego lamusa i warsztatu siodlarskiego, znajdowała się kaplica Św. Mikołaja, po czym przez most Mikołajski wkroczyli na właściwe Przedzamcze. Komtur prowadził ich przez niejaki czas wśród potężnych murów, bronionych tu i ówdzie mniejszymi i większymi basztami. Zyndram z Maszkowic pilnie przypatrywał się wszystkiemu, przewodnik zaś, nawet nie zapytywany, chętnie pokazywał rozmaite budynki, jakby mu zależało właśnie na tym, aby goście przypatrzyli się wszystkiemu jak najdokładniej.

– Ten okrutny gmach, który wasze miłości widzicie przed sobą po lewej ręce – mówił – to nasze stajnie. Ubodzyśmy mnisi, a przecie ludzie mówią, że gdzie indziej i rycerze tak nie mieszkają jak u nas konie.

– Nie pomawiają was ludzie o ubóstwo – odrzekł Powaga – ale coś tu musi być więcej prócz stajni, bo gmach okrutnie wysoki, a koni przecie po schodach nie sprowadzacie.

– Nad stajnią, która jest w dole i w której czterysta koni się mieści – odrzekł komtur zamkowy – są śpichrze, a w nich zboża choćby na dziesięć lat, nie przyjdzie tu nigdy do oblężenia, ale gdyby przyszło, to głodem nas nie wezmą.

To rzekłszy, zawrócił w prawo i znów przez most między basztą Św. Wawrzyńca a basztą Pancerną wwiódł ich na inny dziedziniec, olbrzymi, leżący w samym środku Podzamcza.

– Zważcie, wasze moście – rzekł Niemiec – że to wszystko, co ku północy widzicie, jakkolwiek za łaską Bożą nie do zdobycia, jest tylko Vorburg – i utwierdzeniem nie może się porównać ani ze Średnim Zamkiem, do którego was prowadzę, ani tym bardziej z Wysokim.

Jakoż oddzielna fosa i oddzielny zwodzony most dzieliły Średni Zamek od dziedzińca i dopiero w bramie zamkowej, która leżała znacznie wyżej, rycerze, obróciwszy się za poradą komtura, jeszcze raz mogli objąć oczyma cały ów olbrzymi kwadrat zwany Podzamczem. Gmach tam wznosił się przy gmachu, tak iż wydawało się Zyndramowi, iż widzi przed sobą całe miasto. Były tam nieprzebrane zapasy drzewa ułożone w szychty tak wielkie jak domy, składy kul kamiennych sterczące na kształt piramid, cmentarze, lazarety, magazyny. Nieco z boku, wedle leżącego w środku stawu, czerwieniały potężne mury „templu”, to jest wielkiego magazynu z jadalnią dla najemników i czeładzi. Pod północnym wałem widać było inne stajnie dla koni rycerskich i dla wyborowych mistrzowskich. Wzdłuż młynówki wznosiły się koszary dla giermków i wojsk najemnych, a po przeciwległej stronie czworoboku mieszkania dla przeróżnych zawiadowców i urzędników zakonnych – znów składy, śpichrze, piekarnie, szatnie, ludwisarnie, niezmierny arsenał, czyli karwan, więzienia, stara puszkarnia, każdy gmach tak niezłomny i obronny, że w każdym można się było tak jak w osobnej twierdzy bronić, a wszystko otoczone murem i gromadą groźnych baszt, za murem fosą, za fosą wieńcem olbrzymich palisad, za którymi dopiero na zachód toczył żółte fale Nogat, na północ i wschód błyszczała toń ogromnego stawu, a od południa sterczały silniej jeszcze umocnione zamki: Średni i Wysoki.

Gniazdo straszne, od którego biła nieubłagana potęga i w którym skupiły się dwie największe znane wówczas w świecie siły: siła duchowna i siła miecza. Kto oparł się jednej, tego pokruszyła druga. Kto podniósł przeciw nim ramię, na tego krzyk powstawał we wszystkich krajach chrześcijańskich, że przeciw Krzyżowi je podnosi.

I wnet rycerstwo zbiegało się ze wszystkich stron na pomoc. Gniazdo też roiło się wiecznie rzemieślniczym i zbrojnym ludem i wrzało w nim ciągle jak w ulu. Przed gmachami, w przejściach, przy bramach, w warsztatach – wszędzie panował ruch jak na jarmarku. Echo roznosiło odgłos młotów i dźwięk krzesających kamienne kule, huczenie młynów i deptaków, rżenie koni, szczęk zbroi i oręża, dźwięk trąb i piszczałek, nawoływania i rozkazy. Na owych dziedzińcach słyszałeś wszystkie mowy świata i mogłeś napotkać żołnierzy ze wszystkich narodów: więc niechybnych łuczników angielskich, którzy o sto kroków przesywali gołębia uwiązanego na maszcie, a których groty przebijały pancerze tak łatwo jak sukno, i strasznych szwajcarskich piechurów walczących dwuręcznymi mieczami, i mężnych, choć niepomiarowanych w jedle i napoju Duńczyków, i skłonnych zarówno do śmiechu, jak zwady rycerzy francuskich, i małomówną a dumną szlachtę hiszpańską, i świetnych rycerzy włoskich, najbiegłej szych fechtmistrzów przybranych w jedwabie, aksamity, a na wojnę w niezłomne zbroje, kowane w Wenecji, Mediolanie i Florencji –i rycerzy burgundzkich, i Fryzów, i wreszcie Niemców ze wszystkich ziem niemieckich. Kręciły się między nimi „białe płaszcze”, jako gospodarze i zwierzchnicy. „Wieża pełna złota”, a ściślej: osobna izba zbudowana na Wysokim Zamku obok mieszkania mistrza, napełniona od dołu do góry pieniędzmi i sztabami z drogiego metalu, pozwalała Zakonowi na godne podejmowanie „gości”, również jak na zaciągi najemnego żołdactwa, które wysyłano stąd na wyprawy i do wszystkich zamków, do rozporządzenia wójtów, starostów i komturów. Tak to z siłą miecza i z siłą duchowną kojarzyło się tu niezmierne bogactwo, a zarazem żelazny ład, który lubo rozluźnion już po prowincjach przez zbytnią ufność i upojenie się własną potęgą, trzymał się jeszcze w samym Malborgu mocą dawnego wezwyczajenia. Monarchowie przybywali tu nie tylko walczyć z pogany lub pożyczać pieniędzy, lecz i uczyć się sztuki rządzenia, rycerze – uczyć się sztuki wojennej. W całym bowiem świecie nikt nie umiał tak rządzić i wojować jak Zakon. Gdy niegdyś przybył w te strony, prócz szczupłej okolicy i kilku zamków podarowanych przez niebacznego księcia polskiego, nie należała do niego ani piędź ziemi, teraz zaś władał obszerną, większą od wielu królestw krainą, pełną ziem żyznych, potężnych miast i niezdobytymi zamkami. Władał i czuwał, jak władca pajak rozpiętą siecią, której wszystkie nici dzierży pod sobą. Stąd, z tego Wysokiego Zamku, od mistrza i od białych płaszców rozbiegały się przez pocztowych pa-

chołków rozkazy na wszystkie strony: do lennejszacy, do rad miejskich, do burmistrzów, do wójtów, podwójcich i kapitanów najemnych wojsk, a co tu zrodziła i postanowiła myśl i wola, tam wnet wykonywały setki i tysiące żelaznych dłoni. Tu spływał pieniądz z całego kraju, tu zboże, tu wszelkiego rodzaju spyża, tu daniny od jęczącego pod srogim jarzmem świeckiego duchowieństwa i od innych klasztorów, na które patrzył niechętnym okiem Zakon; stąd wreszcie wyciągały się drapieżne ramiona ku wszystkim okolicznym krajom i ludom.

Liczne pruskie mówiące litewską mową narody starte już były z oblicza ziemi. Litwa czuła do niedawna żelazną stopę krzyżacką ciężącą jej na piersiach tak straszliwie, że za każdym tchnieniem oddawała zarazem krew spod serca; Polska, lubo zwycięska w straszliwej bitwie pod Płowcami, straciła jednak za Łokietkowych czasów swe dzierżawy na lewym brzegu Wisły razem z Gdańskiem, Tczewem, Gniewem i Świeciem. Rycerski Zakon Inflancki sięgał po ziemie ruskie, i szły oba te zakony jak pierwsza olbrzymia fala niemieckiego morza, które zalewało coraz szerzej i szerzej słowiańskie ziemie.

Aż nagle zaszło chmurą słońce krzyżacko-niemieckiej pomyślności. Litwa przyjęła chrzest z rąk polskich, a tron krakowski razem z ręką cudnej królowy odzierzył Jagiełło. Nie utracił wprawdzie Zakon przez to ani jednej ziemi, ani jednego zamku, ale uczuł, że przeciw sile stanęła siła, i stracił przyczynę, dla której istniał w Prusiech. Po chrzcie Litwy wrócić im było chyba do Palestyny i strzec pątników dążących do świętego miejsca. Ale wrócić

– to znaczyło wyrzec się bogactw, władzy, potęgi, panowania, miast, ziem i całych królestw. Więc począł miotać się Zakon w przerażeniu i wściekłości jak potworny smok, w którego boku utkwilo żeleźce. Mistrz Konrad bał się stawić wszystkiego na jeden rzut kości i drżał na myśl o wojnie z wielkim królem, władcą ziem polskich, litewskich i obszernych dzierżaw ruskich, które Olgierd wydarł z gardła Tatarom, ale większość rycerzy krzyżackich parła do niej, czując, że trzeba stoczyć bój na śmierć i życie, póki siły są nienaruszone, póki urok Zakonu nie zblednie, póki świat cały śpieszy mu na pomoc i póki gromy papieskie nie spadną na to ich gniazdo, dla którego rzeczą życia i śmierci było teraz – nie rozszerzanie chrześcijaństwa, lecz właśnie utrzymanie pogaństwa.

A tymczasem między narodami i po dworach oskarżano Jagiełłę i Litwę o chrzest pozorny i fałszywy, przedstawiając jako rzecz niepodobną, aby stać się mogło w ciągu roku to, czego miecz zakonny nie

mógł przez wieki dokonać. Burzono przeciw Polsce i przeciw jej władcy królów i rycerzy, jako przeciw opiekunom i obrońcom pogaństwa – a głosy te, którym jedynie w Rzymie nie dowierzano, rozchodziły się szeroką falą po świecie i ściągały ku Malborgowi książąt, grafów i rycerzy z Południa i Zachodu. Zakon nabierał ufności i poczuwał się w mocy. Marienburg ze swymi groźnymi zamkami i Przedzamczem olśniewał ludzi potęgą więcej niż kiedykolwiek i olśniewało bogactwo, olśniewał pozorny ład – i cały Zakon wydawał się być władniejszy i bardziej na wiek wieków niepożyty niż dawniej. I nikt z książąt, nikt z owych rycerskich gości – nikt – prócz mistrza – nawet spomiędzy Krzyżaków nie rozumiał, że od czasu chrztu Litwy stało się coś takiego, jak gdyby te fale Nogatu, które osłaniały z jednej strony straszną twierdzę – zaczęły podmywać cicho i nieubłaganie jej mury. Nikt nie rozumiał, że w owym olbrzymim ciele została jeszcze siła – ale uleciała z niego dusza; kto świeżo przybył i spojrzał na ów wzniesiony *ex luto Marienburg*, na owe mury, baszty, na czarne krzyże w bramach, na budynkach i na szatach, temu przede wszystkim przychodziło na myśl, że i bramy piekielne nie przemogą tej północnej Krzyża stolicy.

Z podobną też myślą patrzyli na nią nie tylko Powąła z Taczewa i Zbyszko, który tu już był poprzednio, lecz i wiele bystrzejszy od nich Zyndram z Maszkowic. I jemu, gdy w tej chwili spoglądał na to zbrojne rojowisko żołnierskie objęte w ramę baszt i olbrzymich tynów, zmierzchła twarz, a na pamięć nasunęły się mimo woli dumne słowa, którymi niegdyś Krzyżacy grozili królowi Kazimierzowi:

„Większą naszą moc i jeśli nie ustąpisz, do samego Krakowa mieczami naszymi ścigać cię będziem”.

Ale tymczasem komtur zamkowy powiodł rycerzy dalej, do Średniego Zamku, w którego wschodniej połaci leżały gościnne komnaty.

## ROZDZIAŁ XXXIV

Maćko i Zbyszko długi czas trzymali się w ramionach, gdyż miłowali się wzajem zawsze, a w ostatnich latach wspólne przygody i nieszczęścia uczyniły tę miłość jeszcze silniejszą. Stary rycerz od pierwszego wejrzenia na bratanka odgadł, że Danusi nie ma już na świecie, więc nie pytał o nic, jeno tulił do siebie młodzianka, chcąc przez moc tego uścisku pokazać mu, że nie został zupełnym sierotą i że ma jeszcze bliską żywą duszę, gotową podzielić się z nim niedolą.

Aż dopiero, gdy im smutek i boleść znacznie łzami spłynęły, zapytał po długim milczeniu Maćko:

– Zali wydarli ci ją znów, czyli też ci na rękę skołała?

– Na rękę mi skołała pod samym Spychowem – odrzekł młodzian.

I począł opowiadać, jak i co było, płaczem i wzdychaniami przerywając sobie opowiadanie, a Maćko słuchał uważnie, wzdychał także i w końcu znów jął wypytywać:

– A Jurand żywie jeszcze?

– Juranda żywiącemu odjechał, ale niedługo mu na świecie i pewnie go już nie obaczę.

– To może lepiej było nie odjeżdżać.

– Jakoże mi było was tu ostawiać?

– Parę niedziel wcześniej alibo później, wszystko jedno!

Ale Zbyszko popatrzył na niego bacznie i rzekł:

– I tak musieliście tu chorzeć?! Jako Piotrowin wyglądacie.

– Bo choć słonko na ziemi przygrzewa, w podziemiu zawsze zimno i wilgoć tam jest okrutna z takowej przyczyny, że tu naokół zamku wody. Myślałem, że do szczytu spleśnieję. Dychać też nie ma czym i od tego wszystkiego rana mi się odnowiła – ta, wiesz... co to mi w Bogdańcu dopiero po bobrowym sadle szczebrzuch wylazł.

– Pamiętam – rzekł Zbyszko – bośmy po bobra z Jagienką chodzili. A to was tu psubraty w podziemiu trzymali? Maćko poruszył głową i odpowiedział:

– Żeby ci tak szczerze rzec, to nieradzi oni mnie widzieli i już było ze mną źle. Wielka tu jest zawziętość na Witolda i Żmujdzinów, ale jeszcze większa na tych spomędzy nas, którzy im pomagają. Próżnom



gadał, dlaczegośmy między Żmujdzinów poszli. Byliby mi głowę ucięli i jeśli tak nie uczynili, to jeno dlatego, że im wykupu było żal, bo jako wiesz, pieniądz im nawet i od pomsty wdzięczniejszy, a po wtóre chcieli mieć w ręku dowód, że król Polaków poganom w pomoc posyła. Bo że Żmujdzini, niebożęta proszą się o krzest, byle nie z ich rąk, to wiemy, którzyśmy tam byli, ale Krzyżaki udają, że nie wiedzą, i skarżą ich po wszystkich dworach, a z nimi razem i naszego króla.

Tu porwała Maćka zadyszka, tak że musiał na chwilę umilknąć, i dopiero odsapnąwszy, mówił dalej:

– I byłbym może skapiał w podziemiu. Wstawiał ci się za mną po prawdzie Arnold von Baden, któremu też o okup chodziło. Ale on nie ma między nimi nijakiej powagi i nazywają go niedźwiedziem. Szczęściem de Lorche dowiedział się o mnie od Arnolda i okrutnego zaraz narobił warchołu. Nie wiem, czy ci o tym powiadał, bo on rad kryje swoje dobre uczynki... Jego oni tu to za coś mają, bo już jeden de Lorche wielkie niegdyś w Zakonie piastował godności, a ten jest znamienitego rodu i bogacz. Mówił im tedy, że sam jest naszym jeńcem i że gdyby mi tu gardło wzięli albo gdybym skapiał z głodu i wilgotności, to ty jemu szyję utniesz. Groził ci kapitule, że rozpowie po zachodnich dworach, jak Krzyżacy z pasowanymi rycerzami postępują. Aż złękli się i wzięli mnie do lazaretu, gdzie i powietrze, i strawa lepsza.

– Od Lorchego jednej grzywny nie wezmę, tak mi dopomóż Bóg!

– Miło od nieprzyjaciela brać, ale przyjacielowi słuszna rzecz przepuścić – rzekł Maćko – a skoro jako słyszę, ugoda z królem o wymianę jeńców stanęła, to i za mnie nie potrzebujesz płacić.

– Ba! a nasze słowo rycerskie? – zapytał Zbyszko. – Ugoda ugoda, a Arnold bezecność mógłby nam zadać.

Usłyszawszy to, zatroskał się Maćko, pomyślał nieco i rzekł:

– Ale można by coś odtargować?

– Samiśmy się cenili. Zaliśmy to teraz mniej warci? Maćko zatroskał się jeszcze bardziej, ale w oczach odbił się podziw i jakby jeszcze większa miłość dla Zbyszka.

– A czci potrafi strzec!... Taki ci się już urodził – mruknął sam do siebie.

I począł wzdychać. Zbyszko myślał, że z żalu o te grzywny, które mieli von Badenowi zapłacić, więc rzekł:

– Wiecie! Pieniądzy i tak jest dość, byle ona doła nie była taka ciężka.

– Bóg ci ją odmieni! – rzekł ze wzruszeniem stary rycerz. – Mnie tam niedługo już na świecie.

– Nie powiadajcie! Będziecie zdrowi, niech jeno was wiater prze-  
wieje.

– Wiater? Wiater młode drzewo przygnie, a stare złamie.

– Owa! nie próchnieją w was jeszcze gnaty i do starości wam dale-  
ko. Nie smućcie się!

– Żeby tobie było wesoło, to i ja bym się śmiał. Wszelako mam ci  
ja i inną do smutku przyczynę, a prawdę rzekłszy, nie tylko ja, ale i my  
wszyscy.

– Co zaś? – zapytał Zbyszko.

– A pamiętasz, jakom cię w obozie u Skirwoiły zgromił za to, żeś  
moc krzyżacką słaWił? W polu juści twardy jest nasz naród, ale tak z  
bliska, to ja się tutejszym psubratom dopiero teraz przypatrzył!...

Tu Maćko jakby w obawie, aby go kto nie dosłyszał, zniżył głos:

– I teraz widzę, żeś ty był praw, nie ja. Niech ręka boska broni, co  
to za moc, co to za potęga! Swędzą naszych rycerzy ręce i chce im się  
jak najprędzej k'Niemcom, a nie wiedzą, że Krzyżaków wszystkie nar-  
rody i wszyscy królowie wspomagają, że pieniędzy u nich więcej, że  
ćwiczenie lepsze, że zamki warowniejsze i sprzęt wojenny godniejszy.  
Niech ręka boska broni!... I u nas, i tu mówią, że do wielkiej wojny  
przyjść musi i przyjdzie, ale gdy przyjdzie, to niechże Bóg zmiłuje się  
nad naszym Królestwem i naszym narodem!

Tu objął dłońmi swą szpakowatą głowę, łokcie wsparł na kolanach  
i zamilkł.

Zbyszko zaś rzekł:

– A widzicie. W pojedynkę niejeden z naszych od nich tęższy, ale  
co do wielkiej wojny, pomiarkowaliście sami.

– Oj, pomiarkowałem! a da Bóg, i ci posłowie królewscy pomiark-  
kują także, a zwłaszcza rycerz z Maszkowic.

– Widziałem, jako spochmumiał. Wielki z niego sprawca wojenny i  
powiadają, że nikt na świecie nie rozumie się tak na wojnie.

– Jeśli prawda, to chyba jej nie będzie.

– Jeśli Krzyżacy obaczą, że mocniejsi, to właśnie będzie. I powiem  
wam szczerze: bogdaj już przyszedł wóz alibo przewóz, gdyż dłużej  
nie lża nam tak żyć...

I z kolei Zbyszko, jakby przygniecion niedolą własną i powszech-  
ną, opuścił głowę, a Maćko rzekł:

– Szkoda zanego Królestwa, a boję się, by nas Bóg za zbytnią zu-  
chwałość nie pokarał. Pamiętasz, jak to rycerstwo przed katedrą na  
Wawelu przede mszą, wtedy kiedy ci to mieli głowę uciąć i nie ucięli –  
samego Tymura Kuternogę wyzywało, którego czterdziestu królestw jest  
panem i którego góry z głów ludzkich uczynił... Nie dość im Krzyża-  
ków! wszystkich naraz chcieliby wyzwać – i w tym może być obraza  
boska.

A Zbyszko na owo wspomnienie chwycił się za płowe włosy, bo go  
niespodzianie ogarnął żal okrutny – i zakrzyknął:

– A któż mnie wówczas od kata zratował, jeśli nie ona! O Jezu!  
Danuśka moja!... O Jezu!...

I począł drzeć włosy, a następnie gryźć pięści, którymi łkanie  
chciał potłumić, tak rozskowyczało się w nim serce z nagłego bólu.

– Chłopie! miej Boga w sercu!... cichaj! – wołał Maćko. – Co  
wskórasz? Hamuj się! cichaj!...

Ale Zbyszko długi czas nie mógł się uspokoić i upamiętał się do-  
piero, gdy Maćko, który był istotnie jeszcze chory, zesłał tak bardzo,  
że zachwiał się na nogach i padł na ławę w zupełnym zmysłów zamro-  
czeniu. Wówczas młodzian położył go na tapczanie, pokrzepił winem,  
które przysłał komtur zamkowy, i czuwał nad nim, póki stary rycerz  
nie zasnął.

Nazajutrz zbudzili się późno, rzeświejsi i wypoczęci.

No – rzekł Maćko – chyba jeszcze na mnie nie czas, i tak myślę, że  
byle mnie wiatr polny przewiał, to i na koniu dosiedzę.

– Posłowie ostaną jeszcze kilka dni – odpowiedział Zbyszko –bo  
coraz to do nich ludzie przychodzą z prośbą o jeńców, którzy na Ma-  
zowszu albo w Wielkopolsce na rozboju schwytni, ale my możemy je-  
chać, kiedy chcecie i kiedy poczujecie się w siłach.

W tej chwili wszedł Hława.

– Nie wiesz zaś, co tam czynią posłowie? – spytał go stary rycerz.

– Zwiedzają Wysoki Zamek i kościół – odrzekł Czech. –Komtur  
zamkowy sam ich oprowadza, a potem pójda do wielkiego refektarza  
na obiad, na który i wasze miłości ma mistrz zaprosić.

– A ty coś od rana czynił?

– A ja przypatrywałem się niemieckiej najemnej piechocie, którą  
kapitanowie ćwiczyli, i przyrównywałem ją z naszą czeską.

– A ty czeską pamiętasz?

– Wyrostkiem mnie pojmał rycerz Zych ze Zgorzelic, ale pamiętam  
dobrze, bom od małego był do takich rzeczy ciekawy.

– No i cóż?

– A nic! Jużci tęga jest krzyżacka piechota i ćwiczona godnie, ale to są woły, a nasi Czesi wilcy. Gdyby tak przyszło co do czego, to przecie wasze miłości wiedzą: woły wilków nie jadają, a wilki okrutnie na wołowinę łakome.

– Prawda jest – rzekł Maćko, który widocznie coś o tym wiedział – kto się o waszych otrze, to jako od jeża odskoczy.

– W bitwie konny rycerz za dziesięciu piechoty stanie – rzekł Zbyszko.

– Ale Marienburga jeno piechota może dobyć – odpowiedział giermek.

I na tym skończyła się rozmowa o piechocie, gdyż Maćko, idąc za biegiem swych myśli, rzekł:

– Słysz, Hlawa, dziś, jak podjem i poczuję się w mocy – to pojedziemy.

– A dokąd? – spytał Czech.

– Wiadomo, że na Mazowsze. Do Spychowa – rzekł Zbyszko.

– I tam już ostaniem?...

Na to spojrział Maćko na Zbyszka pytającym wzrokiem, gdyż dotychczas nie było między nimi mowy o tym, co dalej uczynią. Młodzian może miał gotowe postanowienie, ale nie chciał nim widocznie stryjca zasmucić, więc rzekł wymijająco:

– Wpierw musicie wy dobrzeć.

– A potem co?

– Potem? Wróćcie do Bogdańca. Wiem, jako Bogdaniec miłujecie.

– A ty?

– I ja go miłuję.

– Nie mówię, żebyś do Juranda nie jechał – rzekł powoli Maćko – bo jeśli zamrze, to pogrześć go przystojnie należy, ale ty bacz, co powiem, gdyż, jako młody, rozumem mi nie dorównasz. Nieszczęśliwa to jakowaś ziemia ten Spychów. Co cię spotkało dobrego – to gdzie indziej, a tam nic, jeno strapienia ciężkie i frasunki.

– Prawdę mówicie – rzekł Zbyszko – ale tam Danusina truchełka...

– Cichaj! – zawołał Maćko w obawie, że Zbyszka chwyci taki sam niespodziany ból jak wczoraj.

Ale na twarzy młodzianka odbiło się tylko rozrzewnienie i smutek.

– Będzie czas uradzać – rzekł po chwili. – W Płocku i tak musicie odpocząć.

– Starunku waszej miłości tam nie zbraknie – wtrącił Hiawa.

– Prawda! – rzekł Zbyszko – wiecie, że tam jest Jagienka? Jest dwórką przy księżnie Ziemowitowej. Ba – ale przecie wiecie, boście ją sami tam przywieźli. Była i w Spychowie. Aż mi to dziwno, żeście mi nic o niej u Skirwoiły nie wspomnieli.

– Nie tylko była w Spychowie, ale bez niej Jurand albowy dotychczas macał koszturęm drogi, albowy zmarł gdzie przy drodze. Przywiozłem ją do Płocka wedle opatowego dziedzictwa, a nie wspomniałem ci o niej, bo choćbym był wspomniał, byłoby to samo. Na nic tyś, niebożę, wówczas nie baczył.

– Wielce ona was kocha – rzekł Zbyszko. – Chwalić Boga, że nijakie listy nie były potrzebne, ale ona od księżny dostała listy za wami i przez księżną od posłów krzyżackich.

– Niech Bóg za to dziewce błogosławi, bo lepszej na świecie nie ma! – rzekł Maćko.

Dalszą rozmowę przerwało im wejście Zyndrama z Maszkowic i Powały z Taczewa, którzy zasłyszawszy o wczorajszym omdleniu Maćka, przyszli go dziś odwiedzić.

– Pochwalony Jezus Chrystus! – rzekł, przestąpiwszy próg, Zyndram. – Jakoże wam dziś?

– Bóg zapłać! Pomału! Zbyszko prawi, że byle mię wiatery obwiał, to będzie całkiem dobrze.

– Co nie ma być?... będzie! Wszystko będzie dobrze – wtrącił Powala.

– Wywczasowałem się też na porządek! – odrzekł Maćko. – Nie tak jak wasze miłości, którzy, jako słyszę, ranoście wstali.

– Naprzód przychodzili do nas ludzie tutejsi mianować jeńców – rzekł Zyndram – a potem oglądaliśmy gospodarstwo krzyżackie: Przedzamcze i oba zamki.

– Tęgie gospodarstwo i tęgie zamki! – mruknął posepnie Maćko.

– Pewnie, że tęgie. Na kościele są arabskie ozdobności, o których powiadali Krzyżacy, że się takiego murowania od Saracenów w Sycylii nauczyli, a w zamkach komnaty ci osobliwe, na Słupcach w pojedynkę alibo gromadami stojących. Obaczycie sami wielki refektarz. Utwierdzenie też wszędy okrutne, jakiego nigdzie nie masz. Takich murów i kula kamienna, chociażby największa, nie ugryzie. Wiera, iż miło parzyć...

Zyndram mówił to tak wesoło, że Maćko spojrzał na niego zdziwiony i zapytał:

– A bogactwo ich, a porządki, a wojsko i gości – widzieliście?

– Wszystko nam pokazywali niby z gościności, a w rzeczy dlatego, aby serce w nas upadło.

– No i cóż?

– Ano, da Bóg, że jak przyjdzie wojna, wyżeniem ich het, za góry i morza – tam, skąd przyszli.

A Maćko, przepomniawszy w tej chwili o chorobie, aż zerwał się na równe nogi ze zdziwienia.

– Jak to, panie – rzekł. – Mówią, że rozum macie bystry... Bo mnie aż zemdliło, gdym się ich potęgi napatrzył... Dla Boga! z czegoż to miarkujecie?

Tu zwrócił się do bratanka:

– Zbyszku, każ zaś to wino, które nam przysłali, postawić. Siadajcie, wasze moście, i mówcie, bo lepszej driakwi żaden medyk na moje choróbsko nie wymyśli.

Zbyszko, zaciekawion też bardzo, sam postawił dzbaniec z winem, a przy nim kubki, po czym siedli naokół stołu i pan z Maszkowic tak mówić począł:

– Utwierdzenie to jest nic, bo co ręką ludzką stawiane, to ręką ludzką zburzyć zdoła. Wiecie, co trzyma w kupie cegły? –wapno! – A wiecie, co ludzi? – miłość.

– Rany boskie! miód wam, panie, z gęby płynie – zawołał Maćko.

A Zyndram uradował się w sercu tą pochwałą i tak dalej rzecz prowadził:

– Z tutejszych ludzi – ten ci ma u nas w pętach brata, ten syna, ten krewniaka, inny zięcia alibo kogo. Komturowie graniczni każą im na rozbój do nas chodzić – więc niejeden polegnie i niejednego nasi ułapią. Ale że tu już się zwiedzili ludzie o ugodzie między królem a mistrzem – przychodzili tedy do nas od samego rana podawać nazwiska jeńców, które nasz pisarz spisywał. Był naprzód bednarz tutejszy, możny mieszczanin, Niemiec, mający dom w Malborgu, który w końcu rzekł: „Bym mógł waszemu królowi i Królestwu w czym się przysłużyć, nie tylko bym majątność, ale i głowę oddał”. Odprawiłem go, myśląc, że Judasz. Ale potem przychodzi ksiądz świecki spod Oliwy, prosi o brata i tak powiada: „Prawda-li to, panie, że na naszych pruskich panów wojną nastąpiacie? bo wiezcie, że tu już cały naród, gdy mówi: „Przyjdź Królestwo Twoje”, to o waszym królu myśli”. Było potem o synów dwóch szlachty, co na lennych ziemiach wedle Sztumu siedzą; byli kupcy z Gdańska, byli rzemieślnicy, był, który dzwony w Kwidzynie leje, była różnych ludzi kupa – i wszyscy gadali to samo.

Tu przerwał pan z Maszkowic, wstał, obaczył, czy za drzwiami nikt nie podsłuchuje, i wróciwszy, kończył przyciszonym nieco głosem:

– Długom ja o wszystko wypytywał. Nienawidzą w całych Prusiech Krzyżaków i księża, i szlachta, i mieszczenie, i kmiecie. I nienawidzi ich nie tylko ten naród, którego naszą albo pruską mową mówi, ale nawet i Niemcy. Kto musi służyć, służy – ale zaraza każdemu miłsza niż Krzyżak. Ot, co jest...

– Ba, ale co się to ma do krzyżackiej mocy – rzekł niespokojnie Maćko.

A Zyndram pogładził dłonią swoje potężne czoło, pomyślał chwilę, jakby szukał porównania, a wreszcie uśmiechnął się i zapytał:

– Potykaliście się kiedy w szrankach?

– Jużci i nieraz – odrzekł Maćko.

– To jakże myślicie? Nie zwali ci się z konia przy pierwszym starciu rycerz, choćby najmocniejszy, ale taki, którego ma poderżnięty poprag u siodła i strzemiona?

– Jako żywo!

– No, widzicie: Zakon to taki rycerz.

– Prze Bóg! – zawołał Zbyszko. – Pewnie i w książce nic lepszego nie wyczytasz!

A Maćko aż wzruszył się i rzekł nieco drżącym głosem:

– Bóg wam zapłać. Na waszą głowę, panie, chyba umyślnie płatnerz musi hełm robić, bo gotowego na nią nigdzie nie masz.

## ROZDZIAŁ XXXV

Obiecywali sobie Maćko i Zbyszko wyjechać zaraz z Malborga, ale tego dnia, w którym tak bardzo pokrzepił ich dusze Zyndram z Maszkowic, nie wyjechali, gdyż był na Wysokim Zamku obiad, a potem wieczerza na cześć posłów i gości, na którą Zbyszko był zaproszony jako królewski rycerz, a dla Zbyszka i Maćko. Obiad odbywał się w mniejszym gronie, we wspianiałym wielkim refektarzu, który oświetlało dziesięć okien, a którego palczaste sklepienie wspierało się, rzadko widzianym kunsztem budowniczym, tylko na jednym słupie. Prócz królewskich rycerzy zasiadł do stołu z obcych tylko jeden graf szwabski i jeden burgundzki, który, lubo bogatych władców poddany, przyjechał w ich imieniu pożyczyć pieniędzy od Zakonu. Z miejscowych, obok mistrza, wzięło udział w obiedzie czterech dostojników zwanych filarami Zakonu, to jest wielki komtur, jałmużnik, szatny i podskarbi. Piąty filar, to jest marszałek, był w tym czasie na wyprawie przeciw Witoldowi.

Jakkolwiek Zakon ślubował ubóstwo, jedzono na złocie i srebrze, a popijano małmazją, albowiem mistrz chciał olśnić oczy posłów polskich. Lecz pomimo mnóstwa potraw i obfitego poczęstunku przykrzyła się nieco gościom ta uczta z powodu trudności rozmowy i powagi, jaką wszyscy musieli zachowywać. Natomiast wieczerza w olbrzymim refektarzu zakonnym (*Convents Remter*) wiele była weselsza, albowiem zgromadził się na nią cały konwent i wszyscy ci goście, którzy nie zdążyli jeszcze pociągnąć przeciw Witoldowi z wojskiem marszałka. Wesołości tej nie zmącił żaden spór ni żadna kłótnia. Wprawdzie rycerze zagraniczni, przewidując, że przyjdzie im się kiedyś spotkać z Polakami, patrzali na nich niechętnym okiem, ale Krzyżacy z góry zapowiedzieli im, że muszą się zachować spokojnie, i prosili ich o to bardzo usilnie, bojąc się w osobach posłów obrazić króla i całe Królestwo. Ale nawet i w tym wypadku okazała się nieżyczliwość Zakonu, przestrzegali bowiem gości przed zapalczywością Polaków: „że gdy ma w głowie, za każde ostrzejsze słowo wraz brodę ci wyszarpie albo cię nożem pchnie”. Więc goście zadziwieni byli potem dobroduszością i Powąły z Taczewa, i Zyndrama z Maszkowic, a bystrzejsi pomiarko-



wali, że nie obyczajaje polskie są grube, lecz języki krzyżackie złośliwe i jadawite.

Niektórzy, przywykli do wykwintnych zabaw na polerownych dworach zachodnich, nieszczerólnie nawet wynieśli pojęcie o obyczajach samychże Krzyżaków, gdyż była na tej uczcie wrzaskliwa nad miarę kapela, grubiańskie pieśni szpylmanów, grube żarty trefnisiów, płąsy niedźwiedzie i płąsy bosych dziewczek. A gdy dziwiono się obecności niewiast na Wysokim Zamku, wydało się, że zakaz łamano już od dawna, i że sam wielki Winrych Kniprode tańcował tu swego czasu z piękną Marią von Alfleben. Bracia tłumaczyli, że na Zamku niewiasty nie mogą tylko mieszkać, ale mogą przychodzić do refektarza na ucztę i że zesłęgo roku księżna Witoldowa, która mieszkała w urządzonej po królewsku starej Puszkami na Przedzamczu, przychodziła jednak tu codziennie grywać w złote arcaby, które jej każdego wieczora darowywano.

Grano i tego wieczora nie tylko w arcaby i w szachy, lecz i w kości; więcej tego nawet było niż rozmowy, którą głużyły pieśni i owa zbyt wrzaskliwa kapela. Jednakże wśród powszechnego gwaru zdarzały się chwile ciszy i raz, korzystając z takiej chwili, Zyndram z Maszkowic, niby to nie wiedząc o niczym, zapytał wielkiego mistrza, czyli poddani we wszystkich ziemiach bardzo miłują Zakon.

Na co Konrad von Jungingen rzekł:

– Kto miłuje Krzyż, ten i Zakon powinien miłować. Odpowiedź ta podobała się i zakonnikom, i gościom, więc poczęli go za nią chwalić, ów zaś, ucieszywszy się, tak mówił dalej:

– Kto nam przyjaciel, temu pod nami dobrze, a kto nieprzyjaciel, na tego mamy dwa sposoby,

– Jakież to? – pytał polski rycerz.

– Wasza cześć może nie wiesz, że ja tu z moich komnat schodzę do tego refektarza małymi schodami w murze, a przy tych schodach jest pewna sklepiona izba, do której gdybym waszą cześć zaprowadził, poznałbyś pierwszy sposób.

– Jako żywo! – zawołali bracia.

A pan z Maszkowic domyślił się, że mistrz mówi o owej „wieży” pełnej złota, którą się chlubil Krzyżacy, więc zastanowił się nieco i odpowiedział:

– Niegdyś – hej! okrutnie już temu dawno, pokazał pewien cesarz niemiecki naszemu posłowi, który zwał się Skarbek, taką komorę i rzekł: „Mam ja twojego pana czym pobić!” A Skarbek dorzucił ci mu

pierścień kosztowny i powiada: „Idź złoto do złota, my Polacy bardziej w żelazie się kochamy...” I wiecie, wasze czeście, co potem było? – potem było Hundsfield...

– Co to takiego Hundsfield? – zapytało kilkunastu naraz rycerzy.

– To – odpowiedział spokojnie Zyndram – takie pole, na którym nikt nie mógł nadażyć grześć Niemców i grzebli ich w końcu psi.

Więc stropili się bardzo i rycerze, i bracia zakonni, usłyszawszy taką odpowiedź, i nie wiedzieli, co mają mówić, a Zyndram z Maszkowic rzekł jakby na zakończenie:

– Złotem przeciw żelazu nie wskórasz.

– Ba! – zawołał mistrz – wždy to nasz drugi sposób – żelazo. Widziałeś wasza cześć na Przedzamczu płatnerskie majsternie. Kują tam młoty noc i dzień, i takich pancerzy, równie jak mieczów, na świecie nie masz.

Lecz na to znów Powąła z Taczewa wyciągnął rękę ku środkowi stołu, wziął długi na łokieć i szeroki więcej niż na pół piędzi tasak służący do rąbania mięsa, zwinął go lekko w trąbkę jak pergamin, podniósł w górę, tak aby wszyscy mogli go widzieć, a potem podał mistrzowi.

– Jeśli takie i w mieczach żelazo – rzekł – to niewiela nimi dokażecie.

I uśmiechnął się, rad z siebie, a duchowni i świeccy aż popodnosili się ze swych miejsc i hurmem zbiegli się do wielkiego mistrza, po czym jeden drugiemu podawał zwinięty w trąbkę tasak, ale milczeli wszyscy, mając na widok takiej mocy struchlałe w piersiach serca.

– Na głowę świętego Liboriusza! – zawołał w końcu mistrz – żelazne, panie, macie ręce. A grafburgundzki dodał:

– I z lepszego niż to żelaza. Tak ci zwinął ten tasak, jakby był z wosku.

– Nawet się nie spłonął i żyły mu nie nabrały! – zawołał jeden z braci.

– Bo – odpowiedział Powąła – prosty jest nasz naród, nie znający takich dostatków i wygod, jakie tu widzę, ale czerstwy.

A tu zbliżyli się ku niemu rycerze włoscy i francuscy i poczęli odzywać się do niego swym dźwiękliwym językiem, o którym stary Maćko mówił, że jest taki, jakby kto cynowe misy potrząsał. Podziwiali tedy jego siłę, on zaś trącał się z nimi kielichem i odpowiadał:

– Często u nas przy biesiadach takie rzeczy czynią, a zdarzy się, że mniejszy tasak to ci i poniektóra dziewczka zwinie.

Ale Niemcom, którzy lubili się chełpić między obcymi wzrostem i mocą, wstyd było – i brała ich złość, więc stary Helfenstein jął wołać przez cały stół:

– Hańba to dla nas! Bracie Arnoldzie von Baden, pokaż, że i nasze kości nie ze świec kościelnych uczynione! Dajcie mu tasak!

Służba przyniosła wnet tasak i położyła go przed Arnoldem, ale on, czy to że zmieszał go widok tylu świadków, czy że siłę w palcach miał istotnie mniejszą od Powały, zgiął wprawdzie tasak przez połowę, ale nie zdołał go skrócić.

Więc niejeden z gości zagranicznych, któremu nieraz poprzednio szeptali Krzyżacy, jako w zimie nastąpi wojna z królem Jagiełłą, zamyslił się mocno i przypomniał sobie w tej chwili, że zima w tym kraju okrutnie bywa ciężka i że lepiej by może wrócić póki czas pod łagodniejsze niebo, do rodzinnego zamku.

A było w tym to dziwnego, że podobne myśli poczęły im przychodzić do głowy w lipcu, czasu pięknej pogody i upałów.

## ROZDZIAŁ XXXVI

W Płocku Zbyszko i Maćko nie zastali nikogo z dworu, albowiem oboje księstwo razem z ośmiorgiem dzieci pojechali w odwiedziny do Czerska, dokąd ich zaprosiła księżna Anna Danuta. O Jagience dowiedzieli się od biskupa, że miała zostać w Spychowie przy Jurandzie aż do jego śmierci. Wiadomości te były im na rękę, bo i sami chcieli jechać do Spychowa. Maćko wysławiał przy tym bardzo pocziwość Jagienki, że wołała udać się do umierającego człowieka, który nie był nawet jej krewny, niż na zabawy czerskie, na których płasów i wszelakiej ochoty nie mogło zabraknąć.

– Może też uczyniła to i dlatego, aby się z nami nie zminąć – mówił stary rycerz. – Nie widziałem jej już dawno i rad ją obaczę, gdyż wiem, że i ona dla mnie życzliwa. Musiała mi dziewczka wyrosnąć – i pewno jeszcze gładsza, niż była.

A Zbyszko rzekł:

– Odmieniła się okrutnie. Gładka była zawsze, ale pamiętałem ją prostą dziewczką, a teraz to jej... choćby na pokoje królewskie.

– Tak że ci się odmieniła? Ba! ale to i stary ród tych Jastrzębców ze Zgorzelic, którzy się „Na gody!” czasu wojen wołają.

Nastała chwila milczenia, po czym znów ozwał się stary rycerz:

– Pewnie tak będzie, jakom ci mówił, że jej się zechce do Zgorzelic.

– Mnie i to dziwno było, że z nich wyjeżdżała.

– Bo chorego opata chciała doglądać, którego należytego starunku nie miał. Bała się przy tym Cztana i Wilka, a ja sam jej rzekłem, że przepieczniej będzie braciom bez niej niżeli przy niej.

– Wiera, że nijak im było sieroty najeżdzać. A Maćko zamyślił się.

– Ale czy się tam na mnie nie pomścili za to, że ją wywiózł, i czy z Bogdańca choć jedno drewno zostało, Bóg raczy wiedzieć! Nie wiem też, czy wróciwszy, podolał im się obronić. Chłopy młode i krzepkie, a ja stary.

– Ej! to, to już chyba mówcie temu, kto was nie zna – odpowiedział Zbyszko.

Jakoż Maćko nie mówił tego zupełnie szczerze, chodziło mu bowiem o co innego, ale na razie machnął tylko ręką:

– Żebym był nie chorzał w Malborgu, no, to jeszcze! – rzekł. – Ale o tym w Spychowie pogadamy.

I nazajutrz po noclegu w Płocku ruszyli do Spychowa. Dni były jasne, droga sucha, łatwa, a przy tym bezpieczna, gdyż z powodu ostatnich układów wstrzymali Krzyżacy rozboje na granicy. Zresztą dwaj rycerze należeli do takich podróżnych, którym i dla zbója lepiej się z dała pokłonić niż z bliska ich zaczepić, więc podróż szła wartko i piątego dnia po wyjeździe z Płocka stanęli rankiem bez trudu w Spychowie. Jagienka, która była przywiązana do Maćka jak do najlepszego w świecie przyjaciela, witała go niemal tak, jakby witała ojca, a on, choć nie byle co mogło go poruszyć, rozrzewnił się jednak tą życzliwością kochanej dziewczyny – i gdy w chwilę później Zbyszko, wypytawszy się o Juranda, poszedł do niego i do swojej „truchelki” – odetchnął stary rycerz głęboko i rzekł:

– Ano, kogo Bóg chciał wziąć, to wziął, a kogo chciał ostawić, to ostawił, ale tak myślę, że przecie skończone już te nasze mitregi i te nasze wędrowania po różnych mierzejach i wertepach.

Po chwili zaś dodał:

– Hej! gdzie to nas Pan Jezus przez te ostatnie lata nie nosił!

– Ale was ręka boska piastowała – odrzekła Jagienka.

– Prawda, że piastowała, wszelako szczerze rzekłszy, czas już do dom.

– Trzeba nam tu zostać, póki Jurand żywie – rzekła dziewczyna.

– Ajakoże z nim?

– Patrzy do góry i śmieje się; widać już raj ogląda, a w nim Danuškę.

– Pilnujesz go?

– Pilnuję, ale ksiądz Kaleb powiada, że i anieli go pilnują. Wczoraj gospodyni tutejsza dwóch widziała.

– Powiadają – rzekł na to Maćko – że szlachcicowi najprzystojniej w polu umierać, ale tak jak Jurand kona, to i na łożu dobrze.

– Nie je nic, nie pije, jeno się ciągiem śmieje – rzekła Jagienka.

– Pójdźmy do niego. Zbyszko też tam musi być. Ale Zbyszko krótko zabawił przy Jurandzie, który nikogo nie poznawał – i poszedł następnie do Danusinej trumny, do podziemia. Tam zabawił dopóty, dopóki stary Tolima nie przyszedł szukać go na posiłek. Wychodząc, zauważył przy blasku pochodni, że na trumnie pełno było wianuszków z

chabru i z nagietków, a naokół wymieciona czysto polepa przytrząśnięta była tatarakiem, kaczeńcem i kwiatem lipowym, który roznosił woń miodową. Więc wezbrało w młodzianku na ten widok serce i zapytał:

– Któż to tak zdoła tę truchelkę?

– Panna ze Zgorzelic – odpowiedział Tolima. Młody rycerz nie rzekł na to nic, ale w chwilę później, ujrawszy Jagienkę, pochylił się nagle do jej kolan i objąwszy je, zawołał:

– Bógże ci zapłać za twoją poczciwość i za one kwiecie dla Danuśki.

I to rzekłszy, rozplakał się rzewnie, a ona objęła mu rękoma głowę jak siostra, która pragnie kwilącego brata utulić, i rzekła:

– Oj, mój Zbyszku, rada by ja cię bardziej pocieszyć! Po czym łzy obfite puściły się i jej z oczu.

## ROZDZIAŁ XXXVII

Jurand umarł w kilka dni później. Przez cały tydzień odprawiał ksiądz Kaleb nabożeństwo nad jego ciałem, które nie psuło się wcale – w czym wszyscy cud Boży widzieli – i przez cały tydzień roiło się od gości w Spychowie. Potem przyszedł czas ciszy, jaki zwykle bywa po pogrzebach. Zbyszko chadzał do podziemia, a czasem też z kuszą do boru, z której zresztą nie strzelał do zwierza, jeno chodził w zapamiętaniu, aż wreszcie pewnego wieczora przyszedł do izby, w której dziewczyny siedziały z Maćkiem i Hławą – i niespodzianie rzekł:

– Posłuchajcie, co powiem! Nie płuży smutek nikomu, a przez to lepiej wam do Bogdańca i do Zgorzelic wracać niżeli tu w smutku siedzieć.

Nastało milczenie, wszyscy bowiem odgadli, że to będzie wielkiej wagi rozmowa – i dopiero po chwili ozwał się Macko:

– Lepiej nam, ale i tobie lepiej.

Lecz Zbyszko potrząsnął swymi jasnymi włosami.

– Nie! – rzekł – wróćę, da Bóg, i ja do Bogdańca, ale teraz w inną mi trzeba drogę.

– Hej! – zawołał Macko. – Mówiłem, że koniec, a tu nie koniec! Bójże ty się Boga, Zbyszku!

– Przecie wiecie, iżem ślubowałem.

– To to jest przyczyna? Nie masz Danuśki, nie masz i ślubowania. Śmierć cię od przysięgi zwolniła.

– Moja by mnie zwolniła, ale nie jej. Na rycerską cześć ja Bogu przysięgałem! Jakoże chcecie? Na rycerską cześć!

Każde słowo o rycerskiej czci wywierało na Maćku jakby czarodziejski wpływ. W życiu, prócz przykazań boskich i kościelnych, niewiele się innymi kierował, ale natomiast tymi kilkoma kierował się niezachwianie.

– Ja ci nie mówię, żebyś przysięgi nie dotrzymał – rzekł.

– Jeno co?

– Jeno to, żeś młody i że na wszystko masz czas. Jedź teraz z nami; wypoczniesz – z żalu i boleści się otrząśniesz – a potem ruszysz, dokąd zechcesz.

– To już wam tak szczerze jak na spowiedzi powiem – odrzekł Zbyszko. – Jeżdżę, widzicie, gdzie trzeba, gadam z wami, jem i piję jak każdy człowiek, a sprawiedliwie mówię, że we wnętrzu i w duszy rady sobie nijakiej dać nie mogę. Nic, jedno smutek we mnie, nic, jedno boleść, nic jedno te gorzkie słuzy – same mi z oczu płyną!

– To ci właśnie między obcymi będzie najgorzej.

– Nie? – mówił Zbyszko. – Bóg widzi, że do reszty bym skapiał w Bogdańcu. Kiedy wam mówię, że nie mogę, to nie mogę! Wojny mi trza, bo w polu łatwiej przepomnieć. Czuję, że jak ślubu dokonam, jak onej zbawionej duszy będę mógł rzec: wszystkim ci spełnił, com przyobiegał – dopiero mnie popuści. A pierwej – nie! Nie utrzymalibyście mnie i na powrozie w Bogdańcu...

Po tych słowach stało się w izbie cicho, tak że słycać było muchy latające pod pułapem.

– Ma-li skapieć w Bogdańcu, to niech lepiej jedzie – ozwała się wreszcie Jagienka.

Macko założył obie ręce na kark, jak miał zwyczaj czynić w chwilach wielkiego frasunku, po czym westchnął ciężko i rzekł:

– Ej, mocny Boże!... Jagienka zaś mówiła dalej:

– Zbyszku, ale ty przysięgnij, że jeżeli cię Bóg zachowa, to nie ostaniesz tutaj, jeno powrócisz do nas.

– Co bym nie miał wrócić! Jużci nie ominę Spychowa, ale tu nie ostanę.

– Bo – ciągnęła dalej cichszym nieco głosem dziewczyna – jeśli ci o tę truchelkę chodzi, to my ci ją zawiezieni do Krześni...

– Jaguś! – zawołał z wybuchem Zbyszko.

I w pierwszej chwili uniesienia i wdzięczności padł jej do nóg.



## ROZDZIAŁ XXXVIII

Stary rycerz pragnął koniecznie towarzyszyć Zbyszkowi do wojsk księcia Witoldowych, ale ów nie dał sobie nawet o tym mówić. Uparł się jechać sam, bez pocztu, bez wozów, z trzema tylko konnymi pacholcami, z których jeden miał wieźć spyżę, drugi zbroję i ubiory, trzeci niedźwiedzie skóry do spania. Próżno Jagienka i Maćko błagali go, by wziął z sobą chociaż Hławę, jako giermka wypróbowanej siły i wierności. Uparł się i nie chciał, mówiąc, że trzeba mu o tej boleści, która go toczy, zapomnieć, a obecność giermka przypominałaby mu właśnie wszystko, co było i przeszło.

Ale jeszcze przed jego wyjazdem toczyły się ważne narady nad tym, co uczynić ze Spychowem. Maćko radził tę majątność sprzedać. Mówił, iż to jest ziemia nieszczęsna, która nikomu nie przyniosła nic prócz klęsk i niedoli. W Spychowie dużo było wszelakiego bogactwa, począwszy od pieniędzy aż do zbroi, koni, szat, kożuchów, drogich skór, kosztownych sprzętów i stad, więc Maćkowi chodziło w duszy o to, aby owym bogactwem wspomóc Bogdaniec, który milszy był mu od wszystkich innych ziem. Radzili tedy nad tym długo, ale Zbyszko żadną miarą nie chciał się zgodzić na sprzedaż.

– Jakoże mi – mówił – Jurandowe kości przedawać? Tak ci to mu się mam wypłacić za one dobrodziejstwa, którymi mię obsypał?

– Obiecaliśmy ci wziąć Danusią truchłeczkę – odrzekł Maćko – możemy i Juranda ciało zabrać.

– Ba, on tu z ojcami, a bez ojców będzie mu się cniło w Krześni. Weźmiecie Danuskę, to on tu ostanie z dala od dziecka, weźmiecie i jego, to tu ojce sami ostaną.

– Bo ty nie baczysz, że Jurand w raju wszystkich co dzień ogląda, a ojciec Kaleb powiada, że on w raju – odpowiedział stary rycerz.

Ale ksiądz Kaleb, który był po stronie Zbyszka, rzekł:

– Dusza w raju, ale ciało na ziemi aż do dnia sądu. Maćko zaś zastanowił się nieco i idąc dalej za własną myślą, dodał:

– Jużci, takiego chyba Jurand nie widzi, któren nie został zbawion, na to wszelako nie ma rady.

– Co tu wyroków boskich dochodzić! – odrzekł Zbyszko. – Ale i tego nie daj Bóg, aby tu obcy człek nad tymi świętymi prochami mieszkał. Lepiej tu wszystkich ostawię, a Spychowa nie przedam, choćby mi za niego księstwo dawali.

Po tych słowach wiedział już Maćko, że nie ma rady, bo znał uporczywość bratanka i wielbił ją w głębi duszy na równi ze wszystkim, co tylko w młodzianku było.

Więc po chwili rzekł:

– Prawda jest, że pod włos mi chłop mówi, ale w tym, co mówi, to praw.

I zafrasował się, bo jednakże nie wiedział, co czynić. Ale Jagienka, która milczała dotychczas, wystąpiła z nową radą:

– Żeby tak znaleźć poczciwego człeka, co by tu rządził alibo dzierzawą Spychów wziął, toby była wyborna rzecz. Najśluszniej by wydzierzawić, bo nijakich nie mielibyście kłopotów, jeno gotowy grosz. Może by Tolima?... Stary on jest i więcej się na wojnie niż na gospodarstwie rozumie, ale jeśli nie on, to może ojciec Kaleb?...

– Miła panno! – odpowiedział na to ksiądz Kaleb – obu nam z Tolimą ziemia się patrzy, ale ta, która nas pokryje, nie ta, po której chodzimy.

I to rzekłszy, zwrócił się do Tolimy:

– Prawda, stary?

Więc Tolima ogarnął dłonią spiczaste ucho i zapytał:

– O co chodzi? – a gdy mu powtórzono głośniejszym głosem, rzekł:

– Święta to prawda. Nie do gospodarstwa ja! Topór głębiej orze od pługa... Pana i dziecko to bym rad jeszcze pomścić...

I wyciągnął chude, lecz żylaste dłonie z zakrzywionymi na kształt szponów drapieżnego ptaka palcami, po czym, zwracając swą siwą, podobną do wilczej głowę w stronę Maćka i Zbyszka, dodał:

– Na Niemców, wasze moście, mnie weźcie – to moja służba!

I miał słuszość. Przysporzył on niemało bogactwa Jurandowi, ale tylko drogą wojny i łupów – nie gospodarstwem.

Więc Jagienka, która przez czas tej rozmowy namyślała się, co ma powiedzieć, rzekła znów:

– Tu by się patrzył człek młody, a nie bojący, bo zaś ściana krzyżacka obok; taki, powiadam, co by się przed Niemcami nie tylko nie chował, ale jeszcze ich szukał, więc tak myślę, że nie przymierzając Hława – w sam raz by się do tego nadawał...

– Obaczcie, jak to uradza! – rzekł Maćko, któremu, pomimo całej miłości do Jagienki, nie chciało się w głowie pomieścić, by w takiej sprawie zabierała głos niewiasta, a do tego dziewczka przetowłosa.

Ale Czech podniósł się z ławy, na której siedział, i rzekł:

– Bóg na mnie patrzy, że rad bym z panem Zbyszkiem na wojnę iść, bośmy już razem trocha Niemców wyluskali – i jeszcze by się zdarzyło... Ale jeśli mam zostawać, tobym tu został... Tolima mi przyjaciel i on mnie zna... Ściana krzyżacka obok, to t co? To właśnie! A obaczym, komu się somszedztwo wpierv uprzykrzy! Miałbym się ja ich bać, to niech oni się mnie boją. Nie daj też. Panie Jezu, abym ja waszym mościom krzywdę w gospodarstwie czynił i k'sobie wszystko garnął. W tym panienka za mną poświadczy, bo wie, iżebym wolał szczeznąć sto razy niżli jej nierzetelne oczy pokazać... Na gospodarstwie tyle się znam, ilem się go w Zgorzelicach napatrzył, ale tak miarkuję, że więcej tu trzeba toporem i mieczem niż pługiem gospodarzyć. I to wszystko wielce mi jest po myśli, jeno, że przecie, tak... niby tu zostać...

– To i co? – zapytał Zbyszko. ~ Czego się ociągasz? A Hława zmieszał się wielce i tak dalej, zająkając się, mówił:

– Niby, że jak panienka odjedzie, to z nią i wszyscy odjadą. Wojować – dobrze i gospodarzyć też, ale tak samemu... bez nijakiej pomocy... Okrutnie by mi się tu cniło bez panienki i bez... tego, jako właśnie chciałem rzec... i jako że panienka nie sama jeździła po świecie... to jakby mi tu nikt nie pomógł... to nie wiem!

– O czym ten chłop gada? – spytał Maćko.

– Rozum macie bystry, a niceście nie pomiarkowali – odrzekła Jagienka.

– Bo co?

A ona zamiast odpowiedzi zwróciła się do giermka:

– A jakby tak Anula Sieciechówna z tobą ostała – wytrzymałbyś?

Na to Czech grzmotnął się do jej nóg, aż kurz powstał z polepy.

– I w piekle bym z nią wytrzymał! – zawołał, obejmując jej stopy.

Zbyszko, usłyszawszy ten okrzyk, patrzył ze zdumieniem na giermka, gdyż poprzednio o niczym nie wiedział i niczego się nie domyślał, a Maćko dziwił się także temu w duszy, ile to niewiasta znaczy we wszystkich ludzkich sprawach i jak przez nią każda rzecz może się udać albo też zgoła chybić.

– Bóg łaskaw – mruknął – że już ja do nich nie ciekaw. Jednakże Jagienka, zwróciwszy się znów do Hławy, rzekła:

– To teraz trzeba nam jeno wiedzieć, czy i Anula z tobą wytrzyma.

I zawołała Sieciechównę, a ta weszła, wiedząc lub domyślając się widocznie, o co chodzi, gdyż weszła z zasłoniętymi ramieniem oczyma i z głową spuszczoną tak, że widać było tylko rozbiór jej jasnych włosów, które rozjaśniał jeszcze bardziej padający na nie promień słońca. Naprzód zatrzymała się przy odrzwiach, potem, skoczywszy ku Jagience, padła przed nią na kolana i ukryła twarz w fałdach jej spódnicy.

A Czech klęknął koło niej i rzekł do Jagienki:

– Pobłogosławcie nas, panienko.

## ROZDZIAŁ XXXIX

Nazajutrz nadeszła chwila odjazdu Zbyszka. On sam siedział wysoko na roslym koniu bojowym, a swoi otaczali go dokoła. Jagienka, stojąc wedle strzemienia, wznosiła ku młodziankowi w milczeniu swe smutne niebieskie oczy, jakby chcąc przed rozstaniem napatrzeć się na niego dowoli. Maćko razem z księdzem Kalebem przy drugim strzemieniu, a tuż obok giermek z Sieciechówną. On zwracał głowę to w jedną, to w drugą stronę, zamieniając z nimi takie krótkie słowa, jakie zwykle wypowiada się przed długą podróżą: „Ostańcie zdrowi!” – „Niech cię Bóg prowadzi!” – „Czas już!” – „Hej, czas! czas!” Poprzednio już był pożegnał się ze wszystkimi i z Jagienką, którą pod nogi podjął, dziękując jej za życzliwość. A teraz, gdy spoglądał na nią z wysokiego rycerskiego siodła, miał ochotę powiedzieć jej jeszcze jakie dobre słowo, gdyż jej wzniesione oczy i twarz mówiły mu tak wyraźnie: „Wróć!” – że serce wzbierało mu rzetelną wdzięcznością.

I jak gdyby odpowiadając na tę jej niemą wymowę, rzekł:

– Jaguś, ku tobie jako ku siostrze rodzonej... Wiesz!... Nic więcej nie rzeke!

– Wiem. Bóg ci zapłać.

– I o stryjcę pamiętaj.

– I ty pamiętaj.

– Juźci, wróce, jeśli nie zginę.

– Nie giń.

Raz już, w Płocku, gdy wspomniał o wyprawie, powiedziała mu tak samo: „Nie giń”, ale teraz słowa te wyszły z jeszcze większej głębi jej duszy i może dla ukrycia łez pochyliła się przy tym tak, że czoło jej dotknęło na chwilę kolana Zbyszka.

A tymczasem pachołkowie konni przy bramie trzymający juczne konie, gotowi już do drogi, poczęli śpiewać:

*Nie zginie pierścień, złocisty pierścień*

*Nie zginie. Kruk go odniesie, z pola odniesie*

*Dziewczynie.*

– W drogę! – zawołał Zbyszko.

– W drogę.

– Boże cię prowadź! Matko Najświętsza!

Zatętniły kopyta na drewnianym zwodzonym moście, jeden z koni zarżał przeciągle, inne poczęły parskać i orszak ruszył.

Ale Jagienka, Maćko, ksiądz, Tolima oraz Czech ze swą niewiastą i ci słudzy, którzy zostawali w Spychowie, wyszli na most i patrzyli na odjeżdżających. Ksiądz Kaleb żegnał ich krzyżem czas długi, aż gdy wreszcie znikli za wysokimi krzami olszyny, rzekł:

– Pod tym znakiem nie dosięgnie ich zła przygoda. A Maćko dodał:

– Pewnie, ale i to też dobrze, że konie czyniły parskanie okrutne.

\*

Lecz i oni nie zostali już długo w Spychowie. Po dwóch tygodniach załatwił stary rycerz sprawę z Czechem, który osiadł dzierzawą na majątności, sam zaś na czele długiego szeregu wozów otoczonych zbrojną czeladzią ruszył z Jagienką w stronę Bogdańca. Niezupelnie radzi patrzyli na owe wozy ksiądz Kaleb i stary Tolima, bo, prawdę rzekłszy, Maćko złupił trochę Spychów – ale ponieważ Zbyszko całkiem zdał na niego rządy – nikt nie śmiał mu się sprzeciwić. Zresztą byłby zabrał jeszcze więcej, gdyby go nie była hamowała Jagienka, z którą sprzeczał się wprawdzie, wydziwiając na „babskie rozumy” – ale której słuchał jednak prawie we wszystkim.

Trumny Danusinej nie wieźli jednak, gdyż skoro Spychów nie został sprzedany, Zbyszko wolał, aby została z ojcami.

Wieźli natomiast moc pieniędzy i różnych bogactw, w znacznej części złupionych swego czasu na Niemcach w rozlicznych bitwach, które stoczył z nimi Jurand. Toteż Maćko, spoglądając teraz na ładowne, pokryte rogożami wozy, radował się w duszy na myśl, jak wspomocze i urządzi Bogdaniec. Zatruiła mu jednak tę radość obawa, że Zbyszko może polec, ale znając sprawność rycerską młodzianka, nie tracił jednak nadziei, że wróci szczęśliwie, i z rozkoszą o tej chwili rozmyślał.

– Może to Bóg tak chciał – mówił sobie – żeby wpiery dostał Zbyszko Spychów. a potem Moczydoly i wszystko, co po opacie zostało? Niech jeno wróci szczęśliwie, to mu kasztel godny w Bogdańcu wystawię; a wtedy obaczmy!...

Tu przypomniało mu się, że Cztań z Rogowa i Wilk z Brzozowej pewnie niezbyt mile go przyjmą i że może trzeba się będzie z nimi potykać, ale o to nie dbał, równie jak stary koń bojowy nie dba, gdy mu do bitwy iść przyjdzie. Zdrowie mu wróciło, czuł siłę w kościach i wiedział, że tym zabijakom, groźnym wprawdzie, ale nie mającym ni-

jakiego ćwiczenia rycerskiego, łatwo da rady. Wprawdzie co innego mówił przed niedawnym czasem Zbyszkowi – mówił to jednak tylko dlatego, by go do powrotu skłonić.

„Hej! szczuka ja, a oni kiełbie – myślał – niech mi lepiej od głowy nie zachodzą!”

Natomiast zaniepokoiło go co innego: Zbyszko Bóg wie kiedy oto wróci, a przy tym Jagienkę uważa całkiem tylko za siostrę. Nuż dziewczynka patrzy na niego też jak na brata i nuż nie zechce czekać na jego niepewny powrót?

Więc zwrócił się do niej i rzekł:

– Słuchaj, Jagna, nie mówię ja o Cztanie i Wilku, bo to grube chłopiska i nie dla ciebie. Tyś teraz dworka!... Ale wedle tego, że to roki ci są!... Już nieboszczyk Zych powiadał, że czujesz Bożą wolę, a to temu kilka lat... Boja tam wiem! Mówią, że jak dziewczce za ciasno we wianuszkę, to ci sama gotowa szukać takiego, co by jej go z głowy zdjął... Ma się rozumieć, że ni Cztan, ni Wilk... Ale jakoże miarkujesz?

– O co wy się pytacie?

– Nie wydasz-li ty się za kogo bądź?

– Ja?... Ja mniszką ostanę.

– Nie powiadaj byle czego! A jak Zbyszko wróci? Ale ona potrząsnęła głową:

– Mniszką ostanę.

– No, a jakby cię pokochał? Jakby cię prosił okrutnie? Na to dziewczyna odwróciła zarumienioną twarz do pola, ale wiatr, który właśnie od pola wiał, przyniósł Maćkowi cichą odpowiedź:

– To nie ostanę.

## ROZDZIAŁ XL

Zabawili czas jakiś w Płocku, aby się z dziedzictwem i z testamentem opatowym uładzić, a potem, zaopatrzeni w należyte dokumenta, ruszyli dalej, niewiele wypoczywając w drodze, która była łatwa i bezpieczna, gdyż upał osuszył błota, pozwężał rzeki, a gościńce szły krajem spokojnym, zamieszkałym przez lud swojacki i gościnny. Z Sieradza pchnął jednak ostrożny Maćko pachołka do Zgorzelic, ażeby o przybyciu swoim i Jagienkowym oznajmić, skutkiem czego Jaśko, brat Jagienki, wyskoczył ku nim na pół drogi i na czele dwudziestu zbrojnych parobków odprowadził ich do domu.

Było przy tym spotkaniu niemało radości, powitań i okrzyków. Jaśko podobny był zawsze do Jagienki jak dwie krople wody, ale już ją przerósł. Chłopak był na schwał: dziarski, wesoły jak nieboszczyk Zych, po którym ochotę do ciągłego śpiewania odziedziczył, a żywy jak skra. Poczul się też już w latach, w sile i za dojrzałego męża się uważał, bo rządził swymi pachołkami jak prawy wódz, a oni w mig każdy jego rozkaz spełniali, bojąc się widocznie jego powagi i władzy.

Dziwili się więc temu Maćko i Jagienka, a on dziwił się także z wielką uciechą urodzie i dwomości siostry, której od dawna nie widział. Mówił przy tym, że już się ku niej wybierał i że maluczko, a byliby go w domu nie zastali, gdyż i tak trzeba mu świat obaczyć, o ludzi się otrzeć, ćwiczenia rycerskiego nabrać i sposobność tu i owdzie znaleźć do potykania się z wędrownymi rycerzami.

– Świat i obyczaje ludzkie poznać – rzekł mu na to Maćko – dobra jest to rzecz, gdyż uczy to, jak się w każdej przygodzie znaleźć, co powiedzieć, i wzmaga przyrodzony rozum. Ale co do potykania się, lepiej, że ja ci powiem, iżeś na to jeszcze za młody, niż żeby ci to miał jaki obcy rycerz powiedzieć, któren by cię przy tym wyśmiać nie omieszkał.

– Toby po tym śmiechu zapłakał – odrzekł na to Jaśko – a jeśli nie on, to jego żona i dzieci.

I spojrzął z okrutną zuchwałością przed siebie, jakby chciał rzecz wszystkim wędrownym rycerzom na świecie: „Gotujcie się na śmierć!” Lecz stary rycerz z Bogdańca zapytał:



– A Cztań i Wilk ostawili tu was w spokoju? Bo to oni radzi na Jagienkę patrzyli.

– Ba! Wilk zabit na Śląsku. Chciał tam jednego kasztelu niemieckiego dobyć i dobył, ale że go kłoda z murów przywalili, więc po dwóch dniach ostatnią parę puścił.

– To go szkoda. Chadzał i jego ojciec na Niemców do Śląska, którzy tam nasz naród cisną – i łupy z nich brał... Najgorsze to dobywanie zamków, bo przy nim ni zbroja, ni ćwiczenie rycerskie nie pomoże. Da Bóg, że tam książe Witold nie będzie zamków dobywał, jeno w polu Krzyżaków gnębił... A Cztań? Co z nim słyhać?

Jaśko począł się śmiać:

– Cztań się ożenił! Wziął córkę kmiecia z Wysokiego Brzegu, sławną z urody. Hej! nie tylko gładka dziewczka, ale i zaradna, bo Cztańowi niejeden woli z drogi ustąpić, a ona go po włochatym pysku bije i za nozdrza ci go wodzi jako niedźwiedzia na łańcuchu.

Rozweselił się, usłyszawszy to, stary rycerz.

– Widzisz ją! wszystkie baby jednakie! Jagienka, i ty taka będziesz! Chwała Bogu, że nie było z tymi dwoma zabijakami kłopotu, bo szczerze mówiąc, aże mi to dziwno, że na Bogdańcu złości nie wywarli.

– Cztań chciał, ale Wilk, który był mądrzejszy, nie dał mu. Przyjechał do nas do Zgorzelic pytać, co się z Jagienką stało? Rzekłem, iż pojechała po opatowe dziedzictwo. A on powiada: „Czemu zaś mi Maćko o tym nie mówili?” Więc ja znów na to: „A cóż to, Jagienka twoja, żeby ci się mieli opowiadać?!” On też, pomyślawszy chwilę: „Prawda, mówi, że nie moja”. I jako to rozum miał bystry, zaraz widać pomiarkował, że was i nas sobie zjedna, jeśli Bogdańca będzie przed Cztańem bronil. Potykali się też na Ławicy wedle Piasków i poszczerbili się wzajem, a potem pili na umór, jak to im się zawdy przytrafiało.

– Panie świeć nad Wilkową duszą – rzekł Maćko. I odetchnął głęboko, rad, że w Bogdańcu nie znajdzie innych szkód nad te, których długa jego nieobecność mogła być przyczyną.

Jakoż i nie znalazł; owszem, pomnożył się nawet dobytek w stadach, a z niewielkiego stadka świerzop były już żrebaki dwulatki, niektóre – po bojowych fryzyjskich ogierach nad zwykłą miarę rosły i silne. Szkoda znalazła się tylko w tym, że kilku brańców uciekło, ale niewielu, bo mogli uciekać wyłącznie do Śląska, a tam niemieccy lub ziemczeni rabusie-rycerze gorzej obchodzili się z jeńcami niż szlachta polska. Stare, ogromne domisko pochyliło się jednakże znacznie do upadku. Popękały polepy, skrzywiły się ściany i pułapy, a modrzewio-

we belki zrębane przed dwustu albo i więcej laty poczęły próchnieć. We wszystkich izbach, które zamieszkiwał ongi liczny ród Gradów Bogdanieckich, zaciekało w czasie obfitych dżdżów letnich. Dach zdziurawiał i pokrył się całymi kępami zielonych i rudych mchów. Cała budowa przysiadła i wyglądała jak grzyb rozłożysty, ale zmurszała.

– Żeby był starunek. toby jeszcze trwało, bo od niedawna zaczęło się psować – mówił Maćko do starego karbowego Kondrata, który pod nieobecność panów zawiadował majątnością.

A po chwili:

– Ja bym i tak do śmierci domieszkał, ale Zbyszkowi kasztel się pa-trzy.

– O dla Boga! Kasztel?

– He! Albo co?

Była to ulubiona myśl starego postawić Zbyszkowi i przyszłym je-go dzieciakom kasztel. Wiedział, że szlachcica, który nie w zwykłym dworcu, ale za rowem i częstokołem siedzi, a przy tym czatownię ma, z której straż spogląda na okolicę, zaraz i sąsiedzi „za coś uważają” – i o urząd mu łatwiej. Dla siebie niewiele już żądał Maćko, ale dla Zbyszka i jego synów nie chciał na małym poprzestać, tym bardziej teraz, gdy majątność wzrosła tak znacznie.

„Niechby jeszcze Jagienkę wziął – myślał – a z nią Moczydoły i opatowe dziedzictwo: nikt by w okolicy nie był z nami na równi – co daj Boże!”

Ale to wszystko zależało od tego, czy Zbyszko wróci – a to była rzecz niepewna i zależna od łaski boskiej. Mówił sobie tedy Maćko, że trzeba mu być teraz z Panem Bogiem jak najlepiej i nie tylko w niczym mu się nie narazić, ale czym można, to go zjednać. W tej chęci nie żałował dla kościoła w Krześni ni wosku, ni odsepów, ni zwierzyny, a pewnego wieczora, przyjechawszy do Zgorzelic, tak rzekł do Jagienki:

– Do Krakowa ci jutro jadę, do grobu świętej naszej królowej Ja-dwigi.

A ona aż zerwała się z ławy ze strachu.

– Zaliście dostali jaką złą nowinę?

– Nijakiej nowiny nie było, bo i nie mogło jeszcze być. Ale ty pa-miętasz, jako wtedy, gdym chorzał od tego zadziora w boku –co toście, wiesz, po bobry ze Zbyszkiem chodzili – ślubowałem, że jeśli Bóg mi wróci zdrowie, to do tego grobu pójdę. Bardzo mi wonczas wszyscy tę chęć chwalili. I pewnie! Ma tam Pan Bóg dość świętej czeladzi, ale

przecie byle święty nie znaczy i tam tyle, co nasza Pani, której urazić nie chcę i wskroś tej przyczyny, że mi i o Zbyszka chodzi.

– Prawda! jako żywo! – rzekła Jagienka. – Ale żeście dopiero z takiej okrutnej wędrówki wrócili...

– To i co! Wolę już wszystko naraz odbyć, a potem siedzieć spokojnie doma aż do Zbyszkowego powrotu. Niech jeno królowa nasza wstawi się za nim do Pana Jezusa, to mu przy dobrej zbroi i dziesięciu Niemców nie poradzi... Będę potem z lepszą nadzieją kasztel budował.

– Ale też kości macie niepożyte!

– Pewnie, żem jeszcze jary. Powiem ci też i co innego. Niech Jaśko, któren się w drogę rwie, jedzie ze mną. Jam człek doświadczony i pohamować go potrafię. A gdyby przygoda się jaka trafiła – bo to chłopaka ręce swędzą – to wiesz przecie, że i potykać mi się nie nowina, zarówno pieszo, jak konno – na miecze alibo na topory...

– Wiem! Nikt go lepiej od was nie ustrzeże.

– Ale tak myślę, że nie przygodzi się potykać, bo póki królowa żyła, to pełno bywało w Krakowie obcych rycerzy, którzy jej urodę chcieli oglądać – ale teraz wolą do Malborga ciągnąć, bo tam becзки z małmazją pękatsze.

– Ba! przecie jest nowa królowa.

A Maćko skrzywił się i machnął ręką:

– Widziałem! – i nic więcej nie rzekę – rozumiesz. Po chwili zaś dodał:

– Za trzy albo cztery niedziele będziemy z powrotem. Jakoż tak się stało. Kazał tylko stary rycerz poprzysiąc Jaśkowi na rycerską cześć i na głowę świętego Jerzego, że się w żadną dalszą drogę nie będzie napierał – i wyjechali.

W Krakowie stanęli bez przygody, bo kraj był spokojny, a od wszelkich napadów ze strony zniemczonych książątek granicznych i zbójów-rycerzy niemieckich ubezpieczał go strach przed potęgą Królestwa i męstwem mieszkańców. Po odprawieniu ślubów dostali się przez Powagę z Taczewa i kniazika Jamonta na dwór królewski. Myślał Maćko, że i na dworze, i po urzędach będą go skwapliwie wypytywali o Krzyżaków, jako człeka, który ich przeznał dobrze i który im się z bliska przypatrywał. Ale po rozmowie z kanclerzem i z miecznikiem krakowskim przekonał się ze zdziwieniem, że wiedzą oni o Krzyżakach nie tylko nie mniej, ale więcej od niego. Wiedziano wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów, co się działo i w samym Malborgu, i w innych, choćby najodleglejszych zamkach. Wiedziano, jakie są komen-

dy, jaka gdzie liczba żołnierza, jaka ilość dział, ile czasu potrzeba na zebranie wojsk, jakie są zamiary Krzyżaków na wypadek wojny. Wiedzano nawet o każdym komturze, czy jest człowiek porywczy i zapalczywy, czy rozważny, a zapisywano wszystko tak troskliwie, jakby wojna miała jutro wybuchnąć.

Stary rycerz uradował się tym w sercu wielce, zrozumiał bowiem, że do owej wojny gotują się daleko rozważniej, rozumniej i potężniej w Krakowie niż w Malborgu. „Pan Jezus dał nam takie albo i większe męstwo – mówił sobie Maćko – a widać większy rozum i większą zapobiegliwość”. I tak wówczas było. Dowiedział się też niebawem, skąd pochodzą owe wiadomości: oto dostarczali ich sami mieszkańcy Prus, ludzie wszystkich stanów, zarówno Polacy jak i Niemcy. Zakon potrafił taką wzbudzić przeciw sobie nienawiść, że wszyscy w Prusiech wyglądali jak zbawienia przyjscia wojsk Jagiełłowych.

Maćkowi przypomniało się wówczas, co swego czasu mówił w Malborgu Zyndram z Maszkowic – i jał powtarzać sobie w duchu:

– Ten ci ma głowę! czysty ceber!

I rozpamiętywał każde jego słowo, a raz zapożyczył nawet od niego mądrości, bo gdy trafiło się, że młody Jaśko począł wypytywać o Krzyżaków, rzekł:

– Mocni oni, juchy, są, ale jakoże myślisz? zali nie wyleci z siodła rycerz najmocniejszy, jeśli ma poderżnięty poprąg i strzemiona?

– Wyleci, jako to prawda, że tu stoję! – odrzekł młodzianek.

– Ha! widzisz! – zawołał grzmiącym głosem Maćko. – Do tego cię chciał przywieść!

– Bo co?

– Bo Zakon to taki rycerz! A po chwili dodał:

– Z lada gęby tego nie usłyszysz – nie bój się! I – gdy młody rycerz nie mógł jeszcze wymiarkować dobrze, o co chodzi, począł mu rzecz wyjaśniać, zapomniał jednak dodać, że porównanie to nie sam wymyślił, ale że wyszło ono co do słowa z potężnej głowy Zyndrama z Maszkowic.

## ROZDZIAŁ XLI

W Krakowie niedługo zabawili a byliby zabawili jeszcze krócej, gdyby nie prośby Jaśka, który chciał się ludziom i miastu napatrzeć, albowiem wszystko wydawało mu się snem cudownym. Jednakże staremu rycerzowi śpieszyło się okrutnie do domowych pieleszy i do żniw, więc niewiele pomogły i prośby, tak że na Wniebowzięcie Najświętszej Panny byli już z powrotem – jeden w Bogdańcu, drugi w Zgorzelicach przy siostrze.

I od tej pory zaczęło im się życie wlec dość jednostajnie, zapełnione pracą gospodarczą i zwykłymi wiejskimi zabiegami. Żniwa w położonych nizinie Zgorzelicach, a zwłaszcza w Jagienkowych Moczydołach, wypadły wyśmienicie, ale w Bogdańcu z powodu suchego roku plon okazał się chudy i nie trzeba było dużo trudu, by go zebrać. W ogóle skąpo tam mieli ziemi uprawnej, bo majątność była pod borem, a wskutek długiej niebytności panów te nawet lechy, które już był karczunkiem przysposobił pod orkę opat, zapuszczono z braku rąk na nowo. Stary rycerz, jakkolwiek czuł na każdą stratę, nie brał tego zbyt do serca, wiedział bowiem, iż przy pieniądzach łatwo będzie wprowadzić we wszystkim ład i porządek – byle tylko było dla kogo trudzić się i pracować. Ale właśnie ta wątpliwość zatruwała mu pracę i dni. Rąk wprawdzie nie opuszczał, wstawał do dnia, jeździł do stad, doglądał robót polnych i leśnych, wybrał nawet miejsce na kasztel i przysposabiał budulec, ale gdy po dniu znojnym słońce roztapiało się w złotych i czerwonych blaskach zórz, nieraz chwytala go tęsknota okrutna, a obok niej i niepokój, jakiego przedtem nigdy nie doznawał. „Ja tu zabiegam, ja się tu mozolę – mówił sobie – a tam chłopisko mój leży może gdzie w polu włócznią przebodzion i wilcy mu zębami pozgonne dzwonią”. Na tę myśl ścisnęło mu się serce i wielką miłością, i wielkim bólem. Nasłuchiwał też wówczas pilnie, czy tętentu nie usłyszy, który zwiastował codzienne przybycie Jagienki, udając bowiem przy niej, że ma dobrą otuchę, nabierał jej sam i krzepił się nieco w strapionej duszy.

Ona zaś przyjeżdżała codziennie, zwykle pod wieczór, z kuszą przy siodle i z oszczepem, od wypadku w drodze powrotnej. Nie była to

rzecz wcale możliwa, aby mogła kiedy niespodzianie zastać Zbyszka już w domu, gdyż Maćko nie śmiał się go przed jakimś rokiem albo i półtora spodziewać – ale widocznie i ta nadzieja tała się w dziewczynie, gdyż przybywała nie tak jak niegdyś za dawnych czasów, w zaściągniętej tasiemką koszulinie, w kożuszku wełną do góry i z liśćmi w powichrzonych włosach, ale z pięknie splecionym warkoczem i z pierśią opiętą w barwne sieradzkie sukno. Maćko wychodził ku niej – i pierwsze jej pytanie było zawsze, jakby kto zapisał: „A co?” – a pierwsza jego odpowiedź: „A nic!” – potem wprowadzał ją do izby i gwarzyli przy ogniu o Zbyszku, o Litwie, o Krzyżakach i o wojnie – ciągle w kółko, ciągle o tym samym – a nigdy żadnemu z nich nie tylko nie naprzykrzyły się te rozmowy, ale nigdy nie mieli ich dosyć.

I tak było przez całe miesiące. Bywało, że i on jeździł do Zgorzelic, ale częściej ona do Bogdańca. Czasem jednak, gdy w okolicy zdarzały się jakieś niepokoje albo w porze rui niedźwiedzich, gdy stare samce, idąc rozwścieczone za samicą, skłonne bywały do zaczepki, Maćko odprowadzał dziewczynę do dom. Zbrojny dobrze, nie obawiał się stary żadnych dzikich zwierząt, był bowiem niebezpieczniejszy dla nich niż one dla niego. Jeździli tedy wówczas strzeżem w strzeżem – i często bór odzywał im się z głębin groźnie, lecz oni, zapominając o wszystkim, co im się mogło przygodzić, rozmawiali tylko o Zbyszku: gdzie jest? co robi? zali już nabił albo czy prędko nabije tyłu Krzyżaków, ilu nieboszczce Danusi i jej nieboszczce matce ślubował – i czyli rychło powróci? Jegienka zadawała przy tym Maćkowi pytania, które już ze sto razy zadawała poprzednio, a on odpowiadał na nie z taką uwagą i rozmysłem, jakby je pierwszy raz słyszał.

– To mówicie – pytała – że bitwa w polu nie tak dla rycerza straszna jak zamków dobywanie?

– A obacz, co się Wilkowi przygodziło? Przed kłoda, którą z wałów stoczą, żadna zbroja nie uchroni, a w polu, byle rycerz ćwiczenie należyte miał, może się i dziesięciu nie dać.

– A Zbyszko? Zali zacną ma zbroję?

– Ma ich kilka zacnych, a najlepszą tę zdobyczną po Fryzie, bo w Mediolanie kuta. Jeszcze przed rokiem była cośkolwiek na Zbyszka za luźna, ale ninie w sam raz.

– To już przeciw takiej żadna broń nie poradzi, prawda?

– Co ręka ludzka zrobiła, przeciw temu ręka ludzka poradzi. Na mediolańską zbroję – mediolański miecz albo też strzały Angielczyków.

– Strzały Angielczyków? – pytała z niepokojem Jagienka.

– A tom ci nie mówił? Nie masz nad nich w świecie łuczników... chyba Mazurowie puszczańscy, ale i ci tak godnego sprzętu nie mają. Angielska kusza przeszyje na sto kroków najlepszą zbroję. Widziałem pod Wilnem. I żaden z nich nie chybi, a znajdzie się poniekąd, co i jastrzębia w lot ustrzeli.

– O pogańscy synowie! Jakożeście sobie z nimi radzili?

– Nie było innej rady, jeno zaraz w nich! Dobrze psiajuchy i berdyszami obracają, ale z bliska to już nasz sobie poradzi.

– Piastowała was przecie ręka boska, to i teraz Zbyszka ustrzeże.

– Często ja też tak mówię: „Panie Boże, skoroś nas stworzył i w Bogdańcu osadził, to teraz pilnuj, abyśmy zaś nie szczyli!” Ha! boska to już sprawa. Po prawdzie, niemała to rzecz na cały świat dawać baczenie i o niczym nie zapomnieć, ale po pierwsze, człek się tam, czym może, przypomina, Kościołowi świętemu nie skąpiąc, a po wtóre, co boska głowa, to nie ludzka.

Tak to oni nieraz z sobą gwarzyli, dodając sobie wzajem otuchy i nadziei. Tymczasem jednak płynęły dni, tygodnie i miesiące. W jesieni zdarzyła się Maćkowi sprawa ze starym Wilkiem z Brzozowej. Był z dawna spór graniczny między Wilkami a opatem o leśne nowocie, które opat, trzymając zastawem Bogdaniec, wykarczował i zagarnął. W swoim czasie pozywał on nawet obu naraz Wilków w pole, na kopie albo na długie miecze, ci wszelako nie chcieli stawać z duchownym, w sądzie zaś nie mogli nic wskórać. Teraz stary Wilk upomniał się o owe grunta, Maćko zaś, który na nic w świecie nie był tak chciwy jak na ziemię, idąc zrazu za popędem swej natury, a zarazem podniecon myślą, że jęczmiona udają się doskonale na nowinach, ani chciał słyszeć o ich ustąpieniu. Byliby też niechybnie poszli do grodu, gdyby nie to, że wypadkiem zjechali się u proboszcza w Krześni. Tam gdy nagle stary Wilk rzekł w końcu srogiej kłótni: „Zanim ludzie rozsądzą, na Boga się zdaję, który na waszym rodzie za moją krzywdę się pomści” – zmiękł nagle zawzięty Maćko, pobladł, na chwilę umilkł, a potem tak ozwał się do kłótliwego sąsiada:

– Słuchajcie, nie ja począłem sprawę, jeno opat. Bóg wie, czyja sprawa słuszna, ale macie-li złorzeczyć Zbyszkowi, to bierzcie nowiny, a Zbyszkowi niech tak Bóg da zdrowie i szczęście, jako je wam z serca odstępuję.

I wyciągnął ku niemu dłoń, a ów, znając go z dawnych czasów, zdumiał się niezmiernie, ani bowiem domyślał się, jaka w tym twardym

pozornie sercu tkwiła miłość dla bratanka i jaki panował niepokój o jego losy. Przez długi też czas nie mógł i słowa przemówić, aż dopiero gdy ucieszony takim obrotem sprawy proboszcz krześniński przeżegnał ich znakiem krzyża – odrzekł:

– A kiedy tak, to co innego! Nie o zysk mi chodziło, bom stary i majątności nie mam komu ostawić – jeno o słuszność. Kto ze mną po dobroci – temu jeszcze i swego ustąpię. A waszemu bratankowi niech tam Bóg błogosławi – abyście na starość nie płakali po nim, jako ja po moim jedynym chłopie...

I rzucili się sobie wzajem w ramiona, a potem długi czas spierali się o to, kto weźmie nowiny. Maćko dał się wszelako w końcu przekonać – ile że Wilk sam był na świecie – i majątności nie miał istotnie komu zostawić.

Po czym zaprosił starego do Bogdańca, gdzie uczcił go obficie jałdłem i napojem – albowiem i sam miał w duszy radość wielką. Cieszyła go i nadzieja, że jęczmień na nowinach tego zejdzie, i zarazem myśl, że odwrócił od Zbyszka niełaskę Bożą.

„Byle wrócił, to mu ta ziemi i dobytku nie zbraknie!” – myślał.

Jagienka nie mniej była z tej zgody zadowolona.

– Jużci teraz – mówiła, wysłuchawszy, jak się wszystko odbyło – jeśli Pan Jezus miłosierny zechce okazać, że mu zgoda od swarów miłsza, to musi wam Zbyszka szczęśliwie powrócić.

Na to twarz Maćka pojaśniała, jakby padł na nią promień słońca.

– Tak i ja myślę! – rzekł. – Pan Bóg wszechmocny, bo wszechmocny, ale i na moce niebieskie są sposoby, trzeba jeno rozum mieć...

– Wam chytróści nigdy nie brakło – odpowiedziała dziewczyna, podnosząc w górę oczy.

I po chwili, jakby się nad czym namyśliwszy, ozwała się znowu:

– Ale też wy tego waszego Zbyszka miłujecie! miłujecie! hej!

– Kto by jego nie miłował! – odparł stary rycerz. – A ty? Niby to go nienawidzisz?

Jagienka nie odpowiedziała nic wprost, tylko jak siedziała na ławie w podle Maćka, tak przysunęła się do niego jeszcze bliżej i odwróciwszy głowę, poczęła go trącać z lekka łokciem:

– Dajcie spokój! com wam winna!



## ROZDZIAŁ XLII

Jednakże wojna o Żmujdź między Krzyżakami a Witoldem zbyt zajmowała ludzi w Królestwie, aby nie mieli dopytywać się o jej przebieg. Niektórzy pewni byli, że Jagiełło przyjdzie w pomoc stryjecznemu bratu i że walnej wyprawy przeciw Zakonowi rychło patrzeć. Rycerstwo rwało się do niej, a po wszystkich siedzibach szlacheckich powtarzano sobie, że i znaczna liczba panów krakowskich zasiadających w królewskiej radzie przechyla się na stronę wojny, mniemając, że raz trzeba skończyć z tym nieprzyjacielem, który nigdy nie chciał poprzestać na swoim, a o zagrabieniu cudzego myślał nawet wówczas, gdy ogarniała go bojaźń przed potęgą sąsiedzką. Lecz Maćko, który był człowiekiem rozumnym, a jako bywalec widział i przeznał wiele, nie wierzył w bliską wojnę i tak nieraz o tym mówił do młodego Jaśka ze Zgorzelic i do innych sąsiadów, których w Krześni spotykał:

– Póki mistrz Konrad żywie, nie będzie z tego nic, bo on mądrzejszy od innych i wie, że nie byłaby to zwyczajna wojna, ale jakoby rzecz: „twoja albo moja śmierć!” I do tego on, znając moc królewską, nie dopuści.

– Ba! a jeśli król pierwszy wojnę wypowie? – pytali sąsiedzi. Lecz Maćko kręcił głową;

– Widzicie... z bliska ja się wszystkiemu przypatrował i niejednom potrafił wymiarkować. Żeby to był król z naszego dawnego rodu królów od wiek wieków krześcijańskich, toby może i pierwszy na Niemców uderzył. Ale nasz Władysław Jagiełło (nie chcę ja mu czci umknąć, bo zacny to pan, którego niech Bóg w zdrowiu zachowa), niemeśmy go królem sobie obrali, był wielkim księciem litewskim i pogańcem; krześcijaństwo dopiero co przyjął, a Niemce szcękają po świecie, że dusza jeszcze w nim pogańska. Przeto okrutnie mu nie przystoi pierwszemu wojnę wypowiadać i krześcijańską krew rozlewać. Dla której przyczyny i Witoldowi w pomoc nie rusza, chociaż go ręce śwędzą, bo i to wiem, że nienawidzi on jak trądu Krzyżaków.

Takimi mowami jednał sobie Maćko sławę bystrego człowieka, którego każdą rzecz potrafił jako na stole położyć. W Krześni też otaczano go co niedziela po mszy kołem, a potem weszło w zwyczaj, że ten

lub ów sąsiad, zasłyszawszy jaką nowinę, zajeżdżał do Bogdańca, aby mu stary rycerz wytłumaczył to, czego zwykła szlachecka głowa nie mogła wyrozumieć. On zaś przyjmował wszystkich gościnnie i rozmawiał z każdym ochotnie, a gdy wreszcie gość, nagawędziwszy się, odjeżdżał, nie zapominał nigdy pożegnać go takimi słowy:

– Dziwujecie się mojemu dowcipowi, ale gdy Zbyszko, da Bóg, wróci, to się dopiero będziecie dziwowali! Jemu choćby w radzie królewskiej zasiadać, taka jucha łebska i przemyślna.

I wmawiając to gościom, wmówił na końcu sobie, a zarazem i Jagience. Zbyszko wydawał się im obojgu z dala jak królewicz w bajce. Gdy nadeszła wiosna, zaledwie już mogli usiedzieć w domu. Wróciły jaskółki, wróciły bociany; chruściele poczęły grać po łąkach, przepiórki odzywać się w zielonej runi zbóż; przyleciały przedtem jeszcze klucze żurawi i cyranek – Zbyszko jeden nie wracał. Ale gdy ptactwo ciągnęło z południa, natomiast z północy wicher skrzydlaty przynosił wieści o wojnie. Mówiono o bitwach i licznych potyczkach, w których obrotny Witold to zwyciężał, to bywał pobity; mówiono o wielkich klęskach, które poczyniła między Niemcami zima i choroby. Aż wreszcie rozgzmiała po całym kraju radosna wieść, że dzielny Kiejstutowicz wziął Nowe Kowno, czyli Gotteswerder, zburzył je, kamienia na kamieniu i belki na belce nie zostawił. Maćko, gdy doszła go ta wiadomość, siadł na koń i w te pędy poleciał do Zgorzelic.

– Ha! – mówił – znane mi to strony, bośmy tam ze Zbyszkiem i ze Skirwoiłą tego Krzyżaków potłukli. Tam wzięt był przez nas i ten poćciwy de Lorche. Oto Bóg dał, że się Niemiaszkom noga powinęła, bo to kasztel był do zdobycia trudny.

Jagienka jednak słyszała już była przed przybyciem Maćka o zburzeniu Nowego Kowna, a nawet słyszała i coś więcej, a mianowicie, że Witold rozpoczął układy o pokój. Ta ostatnia nowina więcej ją nawet obeszła od poprzedniej, albowiem gdyby pokój stanął, Zbyszko, jeśli został żyw – musiałby powrócić do domu.

Więc zaczęła wypytywać starego rycerza, czy to jest rzecz podobna do wiary, a ów, zastanowiwszy się, tak jej odrzekł:

– Z Witoldem wszystko jest do wiary podobne, gdyż to człek całkiem od innych różny i pewnie ze wszystkich panów krześcijańskich najchytrzejszy. Gdy mu trzeba ku Rusi swe panowanie rozszerzyć, to pokój z Niemcami czyni, a jak tam dokaże tego, co przed się zamierzył, znów Niemców za łeb! Nie mogą sobie oni dać rady ani z nim, ani z tą nieszczęsną Żmudzią. Raz on ją im odbiera, drugi raz oddaje – i nie

tylko oddaje, ale sam im ją pomaga pogłębić. Są tacy między nami, ba i na Litwie, którzy mu to za złe mają, że on ze krwią tego nieszczęsnego plemienia tak igra... I ja bym, szczerze mówiąc, za hańbę mu to miał, żeby to nie był Witold... Bo wždy tak sobie czasem myślę: a nuże on ode mnie mądrzejszy i wie, co robi? Jakoż słyshałem od samego Skirwoiłły, że on z tej krainy wrzód wiecznie ciekący w krzyżackim ciele uczynił, aby zaś nigdy do zdrowia nie przyszło... Matki na Żmujdzi zawdy będą rodziły, a krwi nie szkoda, byle nie szła na marne.

– Mnie tam jeno o to chodzi, czy Zbyszko wróci.

– Jak Bóg pozwoli, ale bogdajesz to, dziewczyno, w szczęśliwą godzinę powiedziała!

Jednakże upłynęło jeszcze kilka miesięcy. Doszły wieści, że pokój istotnie stanął; zboża stały się płowe, ciężarne kłosami, poletki zasiane gryką dobrze już zrudziały, a o Zbyszku nie było i słyhu.

Na koniec po pierwszych sprzętach nie mógł już wytrzymać Maćko i zapowiedział, że wyruszy do Spychowa, wieści tam, jako w bliższych stronach Litwy, zasięgnąć i zarazem gospodarstwo Czecha obejrzeć.

Jagienka naparła się z nim jechać, ale on jej nie chciał brać, więc poczęły się między nimi o to spory, które trwały przez cały tydzień. Aż gdy pewnego wieczoru sprzeczali się tak z sobą w Zgorzelicach, wpadł jak wichur na dworski podwórzec chłopak z Bogdańca boso, oklep, bez kapelusza na płowej czuprynie i zakrzyknął im przed przyłapem, na którym właśnie siedzieli:

– Młody pan wrócił!

Zbyszko wrócił istotnie, ale jakiś dziwny: nie tylko wychudły, spalony wichrem polnym, wynędzniały, lecz zarazem obojętny i mało-mówny. Czech, który przyjechał wraz z żoną z nim razem – gadał za niego i za siebie. Mówił tedy, że wyprawa widocznie się jednak udała młodemu rycerzowi, gdyż w Spychowie złożył na trumnach Danusi i jej matki cały pęk rycerskich pawich i strusich pióropuszków. Wrócił też ze zdobycznymi końmi i zbrojami, z których dwie były nadzwyczaj cenne, choć okrutnie razami miecza i topom pocięte. Maćko płonał z ciekawości, aby się o wszystkim dokładnie z ust bratanka wywiedzieć, ale ów machał tylko ręką i odpowiadał półsłówkami – a trzeciego dnia zachorzał i musiał się położyć. Pokazało się, że miał zbity lewy bok i złamane dwa żebra, które źle złożone „przeszkadzały” mu w chodzeniu i oddychaniu. Odezwały się także i te dolegliwości, na które swego czasu cierpiał po wypadku z turem – a do zupełnego poderwania jego sił przyczyniła się i droga ze Spychowa. Nie było to wszystko samo w

sobie groźne, bo chłop był młody i niepożyty jak dąb – ale na razie ogarnęło go jakieś niezmierne znużenie, jak gdyby wszystkie trudy, które poniósł, teraz dopiero zaczynały mu chodzić po kościach. Z początku myślał Maćko, że po dwóch albo trzech dniach odpoczynku w łóżu wszystko minie, a tymczasem stało się przeciwnie. Nie pomogły żadne smarowania ni okadzania ziółmi, które owczarz miejscowy zalecił, ni odwary przysyłane przez Jagienkę i księdza z Krześni: Zbyszko coraz był słabszy, coraz bardziej znużon i – coraz smutniejszy.

– Co ci jest? może byś czego chciał? – wypytywał go stary rycerz.

– Niczego nie chcę – i wszystko mi za jedno – odpowiadał Zbyszko.

I w ten sposób upływał dzień za dniem. Jagienka, wpadłszy na myśl, że to może jest coś więcej niżeli zwyczajna krzypota – i że młodzian ma chyba jakąś tajemnicę, która go gnębi, poczęła namawiać Maćka, aby raz jeszcze popróbował wypytać, co by to mogło być.

Maćko zgodził się bez wahania, jednak pomyślawszy chwilę, rzekł:

– A nużby tobie chętniej powiedział niż mnie? Bo – lubić – to on cię przecie lubi, a to też widziałem, że jak się tam kręcisz po izbie, to za tobą oczyma wodzi.

– Widzieliście? – zapytała Jagienka.

– Kiedy powiedziałem, że wodzi, to wodzi. A jak cię długo nie ma, to raz po raz na drzwi spogląda. Pytaj go ty.

I na razie na tym stańło. Jednakże pokazało się, że Jagienka nie umie i nie śmie. Dopiero gdy przyszło co do czego, zrozumiała, że trzeba by jej mówić o Danusi i o miłości Zbyszka do nieboszczki – a te rzeczy nie chciały się jej przez usta przecisnąć.

– Wyście chytrzejsi – rzekła do Maćka – i rozum a doświadczenie macie lepsze; wy mówcie, ja nie mogę.

Więc Maćko rad nierad zabrał się do rzeczy – i pewnego ranka, gdy Zbyszko zdawał się być nieco rzeźwiejszy niż zwykle, taką rozpoczął z nim rozmowę:

– Powiadał mi Hława, żeś godną wiązkę czubów pawich w Spychowie w podziemiu położył.

A ów, nie odejmując oczu od pułapu, na który, leżąc na wznak, patrzył – skinął tylko głową na znak potwierdzenia.

– No! Pan Jezus ci poszczęścił, bo przecie i na wojnie łatwiej o ciurów niż o rycerzy... Knechtów możesz nabić, ilu chcesz – ale za rycerzem trzeba się nieraz dobrze oglądać... Tak-że ci to sami leżli pod miecz?

– Pozywałem różnych kilkakroć na udeptaną ziemię, a raz otoczyli mnie w bitwie – odrzekł leniwie młodzian.

– I zdobycznego dobra dość przywiozłeś...

– W części kniaź Witold obdarzył.

– Zawsze taki hojny?

Zbyszko skinął znów głową, widocznie nie mając ochoty do dalszej rozmowy.

Ale Maćko nie dał za wygraną i postanowił przystąpić do rzeczy.

– Powiedz mi tak szczerze – rzekł. – Jakes już tam owymi czubami truchelkę nakrył – musiało ci okrutnie ulżyć?... Człek zawsze rad, gdy ślub spełni... Radeś był? co?

Zbyszko oderwał swe smutne oczy od pułapu, zwrócił je na Maćka – i odpowiedział jakby z pewnym zdziwieniem:

– Nie.

– Nie? Bójże się Boga! Bo ja myślałem, że jak tam te dusze w niebie ucieszysz, to już będzie i koniec.

A młodzian zamknął na chwilę oczy jakby w zamyśleniu i wreszcie odrzekł:

– Na nic widać zbawionym duszom krew ludzka. Nastała chwila milczenia.

– To po cóżeś na tę wojnę chodził? – zapytał wreszcie Maćko.

– Po co? – odpowiedział z pewnym ożywieniem Zbyszko – ja sam myślałem, że mi ulży! sam myślałem, że i Danuškę, i siebie ucieszę... A potem aże mi się dziwno uczyniło. Wszedłem z podziemia od tych truchel i tak samo mi ciężko było jako i przedtem. Tak ci to widać jest, że na nic zbawionym duszom krew ludzka.

– Musiał ci to ktoś powiedzieć, bo sam byś tego nie wymyślił.

– Samem wymiarkował z tego właśnie, że mi się świat nie wydał weselszy potem niż przedtem. Książd Kaleb tylko mi przytwierdził.

– Zabić nieprzyjaciela na wojnie nie grzech to żaden, ba! nawet chwalebna rzecz, a to przecie nieprzyjaciele naszego plemienia.

– Ja też za grzech sobie tego nie mam i nie żałuję ich.

– Jeno ciągle Danuški?

– Jużci: jako ją sobie wspomnę, to mi żal. Ale wola boska! Lepiej jej na dworcu niebieskim i – już ja do tego przywykł.

– To czemu się ze smutków nie otrząchniesz? Czego ci trzeba?

– Bo ja wiem...

– Wypocznienia ci nie brak, a krzypota cię rychło popuści. Idź do łaźni, wykap się, wypij ągiewkę miodu na poty – i hoc!

– No i co?

– I wnet wesołości nabierzesz.

– A skąd jej wezmę? W sobie ci jej nie znajdę, a pożyczyć mi jej – nikt nie pożyczycy.

– Bo ty coś skrywasz! Zbyszko ruszył ramionami.

– Nie mam wesołości, ale nie mam też nic do skrywania. I powiedział to tak szczerze, że Maćko od razu przestał posądzać go o tajemnicę, a natomiast począł się gładzić szeroką dłonią po siwej czuprynie, jak miał zwyczaj czynić zawsze, gdy się nad czymś mocno namyślał, i w końcu rzekł:

– To ja ci powiem, czego ci brak: tobie się jedno skończyło, a drugie się jeszcze nie zaczęło – rozumiesz?

– Nie bardzo, ale może być! – odpowiedział młodzianek. I przeciągnął się jak człowiek, którego ogarnia sen. Maćko jednak był pewien, że odgadł prawdziwą przyczynę, i rad był ogromnie, albowiem przestał się zupełnie niepokoić. Nabrał też jeszcze większej niż przedtem ufności do własnego rozumu i mówił sobie w duchu: „Nie dziwować się ludziom, że się mnie radzą!”

A gdy po owej rozmowie wieczorem tego samego dnia przyjechała Jagienka –jeszcze nim zdążyła zsiąść z konia, powiedział jej, że wie, czego Zbyszkowi brakuje.

Więc dziewczyna zsunęła się w jednej chwili z siodła i nuż dopytywać:

– No co? czego? mówcie!

– Ty właśnie masz dla niego lekarstwo.

– Ja? jakie?

A on objął ją wpół i począł szeptać jej coś do ucha, ale niedługo, gdyż po chwili odskoczyła od niego jak oparzona i ukrywszy między czaprakiem a wysokim siodłem splonioną twarz, zawołała:

– Idźcie sobie! Nie cierpię was!

– Jak mi Bóg miły, tak prawdę mówię – rzekł, śmiejąc się, Maćko.

## ROZDZIAŁ XLIII

Stary Maćko odgadł dobrze, ale tylko w połowie. Zbyszkowi istotnie jedna część życia skończyła się całkowicie. Za każdym wspomnieniem było mu Danusi żal, ale sam przecie powiadał, że lepiej jej musi być na dworcu niebieskim, niż było na księżęcym. Zżył się już z myślą, że jej na świecie nie ma, przywykł do niej i uważał, że wcale nie mogło być inaczej. Swego czasu w Krakowie podziwiał bardzo na szybach kościelnych wycięte ze szkła i poprawiane w ołów postaci różnych świętych panienek – barwne, przeświecające w słońcu, a teraz wyobrażał sobie tak samo Danusię. Widział ją niebieską, przezroczystą, odwróconą bokiem, ze złożonymi rączkami, ze wzniesionymi oczyma i grającą na luteńce, wśród różnych zbawionych Bożych skrzypaczek, którzy w niebie grywają Matce Boskiej i Dzieciątku. Nic już w niej nie było ziemskiego, a stała mu się duchem tak czystym i bezcielesnym, że gdy czasem wspominał sobie, jak w leśnym dworcu posługiwała księżnie, śmiała się, rozmawiała, siadała z innymi do stołu – przejmowało go jakby zdziwienie, że to być mogło. Już w czasie wyprawy, przy Witoldzie, gdy sprawy wojenne i bitwy pochłaniały jego uwagę, przestał tęsknić do swojej nieboszczki, tak jak tęskni mąż do niewiasty, a myślał tylko tak, jak myśli pobożny człowiek o swej patronce. W ten sposób miłość jego, tracąc stopniowo ziemskie pierwiastki, zmieniała się coraz bardziej tylko w słodkie, tak błękitne jak właśnie samo niebo, wspomnienie – i po prostu w cześć nabożną.

Gdyby był człkiem wężego ciała i głębszej myśli, byłby został mnichem – i w cichym życiu klasztornym byłby przechował jak świętość owo niebieskie wspomnienie aż do chwili, w której duch z więzów cielesnych ulata w nieskończone przestworza jak ptak z klatki. Ale jemu ledwie się zaczynał trzeci dziesiątek lat – i sok z surowego wióra w pięści wyciskał, i konia, ścisnąwszy udami, mógł tchu pozbawić. Był taki, jakimi byli wówczas powszechnie szlachta i włodykowie – którzy jeśli nie marli w dzieciństwie lub nie zostawali księżmi – to nie znając granic ni miary w zapędach cielesnych i sile, albo puszczali się na zbój, rozpustę i pijactwo – albo też, żeniąc się młodo, stawali, gdy wici wy-

szły na wojnę, z dwudziestu czterema albo i więcej synami do dzików siłą podobnymi.

Ale on nie wiedział, że był taki – tym bardziej że z początku chorzał. Powoli jednak źle ustawione żebra zrosły mu się, tworząc nieznaczną zaledwie z boku wyniosłość, która nie przeszkadzała mu w niczym i którą nie tylko pancerz, ale i zwykła szata mogła całkowicie pokryć. Znużenie mijało. Bujne, płowe włosy obcięte na znak żałoby po Danusi odrosły mu znów do wpół pleców. Wracała mu dawna nadzwyczajna uroda. Gdy kilka lat temu w Krakowie szedł na śmierć z ręki kata, wyglądał jak pacholę z wielkiego rodu – a teraz stał się jeszcze piękniejszy, istny królewicz, podobien z barków, z piersi, z lędźwi i ramion do olbrzyma, z twarzy zaś do dziewicy. Moc i życie kipiało w nim jak war w garnku – a spotężnione czystością i długim wypoczynkiem chodziło mu po kościach jak płomień. On nie wiedząc, co to jest, myślał, że wciąż chorzeje, i wylegiwał się w łożu, rad, że Maćko i Jagienka strzegą go, pilnują i dogadzają mu we wszystkim. Chwilami wydawało mu się, że mu jest tak dobrze jak w niebie, chwilami – zwłaszcza gdy nie było przy nim Jagienki – że źle, smutno, nieznośnie. Brało go wówczas ziewanie, ciągoty, gorączka, i zapowiadał Maćkowi, że wróciwszy do zdrowia, pójdzie znów na koniec świata, na Niemców, na Tatarów – albo na inną podobną dzicz – byle zbyć życia, które mu ciąży okrutnie. A Maćko, zamiast sprzeciwiać się, kiwał głową, przyświadczał – ale tymczasem posyłał po Jagienkę, za której przyjazdem topniały zaraz w Zbyszku myśli o nowych wyprawach wojennych, tak jak topnieją śniegi, gdy je wiosenne słońce przygrzeje.

Ona zaś przyjeżdżała skwapliwie i na wezwanie, i z własnej woli – gdyż pokochała Zbyszka ze wszystkich sił duszy i serca. Za czasów swego pobytu na dworze biskupim i książęcym w Płocku widywała rycerzy równie pięknych, równie sławnych z siły i męstwa, którzy nieraz klękali przed nią, ślubując jej wierność do zgonu, ale ten był jej wybrany, tego ukochała w zaraniu lat pierwszą miłością, a nieszczęścia, przez jakie przeszedł, wzmogły tylko jej kochanie do tego stopnia, że był jej miłszym i stokroć droższym nie tylko od wszystkich rycerzy, ale i od wszystkich książąt ziemi. Teraz, gdy przychodząc do zdrowia, stawał się z dnia na dzień cudniejszy, miłość jej zmieniła się niemal w zapamiętanie i przesłoniła jej cały świat.

Nie przyznawała się jednak do niej nawet sama przed sobą, a przed Zbyszkiem tała ją jak najstaranniej z obawy, aby nią znowu nie wzgardził. Nawet z Maćkiem, o ile dawniej skora była do zwierzeń, o



tyle teraz stała się ostrożna i milcząca. Mogła ją tylko zdradzić troskliwość, jaką okazywała w pielęgnowaniu Zbyszka, ale i tej troskliwości starała się inne nadać pozory – i w tym celu tak pewnego razu ozwała się przebiegle do Zbyszka:

– Bo, że cię tam trochę doglądam, to jeno z przychylności dla Maćka, a tyś zara co pomyślał? powiadaj!

I niby poprawiając włosy na czole, przysłoniła twarz dłonią i poczęła pilnie patrzeć na niego przez palce, on zaś, zaskoczony niespodzianym pytaniem, zaczerwienił się jak panna i dopiero po jakimś czasie odrzekł:

– Nicem nie pomyślał. Tyś teraz inna. Nastała znów chwila milczenia.

– Inna? – zapytała wreszcie dziewczyna jakimś cichym i miękkim głosem. – No! pewnie, że inna. Ale żeby cię już tak całkiem miała nie cierpieć, to tego też Boże nie daj!

– Bóg ci zapłać i za to – odrzekł Zbyszko.

I odtąd bywało im z sobą dobrze, tylko jakoś niezręcznie i niesporo. Nieraz mogło się zdawać, że oboje o czym innym mówią, a o czym innym myślą. Zapadało między nimi częste milczenie. Zbyszko, wylegując się wciąż w łożu, wodził wedle słów Maćka za nią oczyma, gdziekolwiek się ruszyła, albowiem, chwilami zwłaszcza, wydawała mu się tak cudna, że się jej napatrzeć nie mógł. Bywało także, że spojrzenia ich spotykały się nagle, a wówczas płonily im się twarze i wypukła pierś dziewczyny poruszała się śpiesznym oddechem, i serce jej biło jakby w oczekiwaniu, czy czegoś nie usłyszy, od czego stopnieje i rozplynie się w niej dusza. Ale Zbyszko milczał, albowiem stracił do niej dawną śmiałość i bał się ją spłoszyć niebaczny słowem, i wbrew temu, co widziały jego oczy, sam w sobie wmawiał, że ona mu tylko siostrzaną przychylnością gwoli Maćkowej przyjaźni okazuje.

I raz począł mówić o tym z Maćkiem. Starał się mówić niby spokojnie, a nawet obojętnie, i ani się spostrzegł, jak słowa jego stawały się coraz podobniejsze do skargi przez pół gorzkiej, przez pół smutnej. Maćko zaś wysłuchał cierpliwie wszystkiego, a w końcu rzekł tylko jedno jedyne słowo:

– Głupiś!

I wyszedł z izby.

Ale na oborze począł zacierać ręce i klepać się z wielkiej radości po udach.

„Ha! – mówił sobie – wtedy, kiedy ci tanio mogła przyjść, toś i parzyć na nią nie chciał, najedźże się teraz strachu, kiedyś głupi. Ja będę kasztel stawiał, a ty się przez ten czas oblizuj. Nic ci nie rzekę i bielma z oczu nie zdejmę, choćbyś rżał głośniejsz od wszystkich koni w Bogdańcu. Gdzie wióry na zarzewiu leżą, tam i tak prędzej czy później płomień buchnie, aleja ci nie będę na zarzewie dmuchał, bo tak myślę, że i nie trzeba”.

I nie tylko nie dmuchał, ale się nawet Zbyszkowi sprzeciwiał i drażnił go jako stary przechera, który rad igra z niedoświadczonym młodzieńcem. Więc razu pewnego, gdy Zbyszko znów mu powtórzył, że chyba na jaką daleką wyprawę pójdzie, aby się nieznośnego żywota pozbyć, rzekł mu:

– Pókiś goło miał pod nosem, tom tobą rządził, ale teraz –twoja wola. Chcesz-li koniecznie swojemu jeno rozumowi dufać i iść – to idź.

A Zbyszko aż zerwał się ze zdziwienia i siadł na łożu.

– Jak to? To już się nawet i temu nie przeciwicie?

– Co mam się przeciwiać? Żal mi tylko okrutnie rodu, który by razem z tobą zaginał, ale i na to może znajdzie się rada.

– Jaka rada? – pytał niespokojnie Zbyszko.

– Jaka? No! nie ma co gadać, że roki mi godne są – ale też i mocy w kościach nie brak. Jużci, Jagience patrzyłby się młodszy jakowys chłop – ale żem to jej nieboszczykowi ojcu był przyjacielem – to kto wie...

– Byliście jej ojcu przyjacielem – odrzekł Zbyszko – ale dla mnie nigdyście nie mieli życzliwości – nigdy, nigdy!... I przerwał, bo się mu poczęła broda trząść, a Maćko rzekł:

– Ba! skoro koniecznie chcesz ginać – to cóż mam robić?

– Dobrze! róbcie, co chcecie –ja jeszcze dziś w świat pojedę!

– Głupiś! – powtórzył Maćko.

I znów wyszedł z izby doglądać chłopów i bogdanieckich, i tych, których pożyczyla ze Zgorzelic i z Moczy dołów Jagienka, aby pomagali w kopaniu rowu mającego otaczać kasztel.

## ROZDZIAŁ XLIV

Zbyszko nie spełnił wprawdzie swej groźby i nie wyjechał, ale za to po upływie jeszcze tygodnia zdrowie wróciło mu zupełnie i nie mógł już dłużej wylegiwać się w łożu. Maćko powiedział, że wypada im teraz pojechać do Zgorzelic i podziękować Jagience za starunek, więc pewnego dnia, wyprażywszy się dobrze w łaźni, postanowił jechać, nie zwłócząc. W tym celu kazał wydobyć ze skrzyni piękne szaty, aby nimi zastąpić zwykłą odzież, którą miał na sobie – a następnie zajął się trefieniem włosów. Była to jednak czynność niełatwa i niemała, a to nie tylko z powodu bujności Zbyszkowej czupryny, która z tyłu spadała mu jak grzywa aż za łopatki. Rycerze w życiu codziennym nosili włosy w wąskich kształtu grzyba, co miało i tę dobrą stronę, że w czasie wypraw hełm daleko mniej ich uwierał, natomiast na rozmaite uroczystości, wesela lub jadąc w odwiedziny do domów, w których były panny, układali je w pięknie poskręcane zwoje, które często smarowano białkiem dla połysku i mocy. Tak to właśnie chciał utrefić się Zbyszko. Ale dwie niewiasty wezwane z czeladnej, nieprzywykłe do takiej roboty, nie umiały sobie dać rady. Wyszły i wzburzone po łaźni włosy nie chciały się układać i jeżyły się jako źle poszyta strzecha na chałupie. Nie pomogły ani zdobyczne na Fryzjach grzebienie ozdobnie z bawolego rogu wyrobione, ani nawet zgrzebło, po które jedna z niewiast poszła do stajni. Zbyszko począł się w końcu niecierpliwić i gniewać – gdy wtem do izby wszedł Maćko w towarzystwie Jagienki, która przez ten czas niespodzianie nadjechała.

– Pochwalony Jezus Chrystus! – rzekła dziewczyna.

– Na wieki wieków! – odpowiedział z rozpromienioną twarzą Zbyszko. – O, to dziwne! Bo myśmy właśnie chcieli do Zgorzelic jechać, a ty ś tu!

I oczy rozbłysły mu radością, bo już tak było, iż ilekroć ją zobaczył, tylekroć czyniło mu się w duszy tak jasno, jakby na wschód słońca patrzył.

A Jagienka, ujrawszy zakłopotane baby z grzebieniami w rękę, zgrzebło leżące na ławie wpodle Zbyszka i jego zwichrzoną czuprynę, poczęła się śmiać.

– Ej, wiecha też to, wiecha! – zawołała, ukazując spod koralowych ust cudne białe zęby. – W konopiach by cię albo w sadzie wiśniowym na strach ptactwu postawić!

On zaś zasepił się i rzekł:

– Chcieliśmy do Zgorzelic jechać, ale w Zgorzelicach nijak by ci było gościowi uchybiać, a tu możesz sobie ze mnie dworować, ile chcesz, co, wiera, zawsze rada czynisz.

– Ja rada to czynię? – zapytała dziewczyna. – Ej, mocny Boże! Toż przyjechałam prosić was na wieczerzę, a śmieję się nie

z ciebie, jeno z tych bab, bo żeby tak na mnie, wnet bym tu sobie dała rady.

– Nie wskórałabyś i ty!

– A Jaśkowi to niby kto to robi?

– Jasiek ci brat – odparł Zbyszko.

– Jużci!...

Lecz tu stary i doświadczony Maćko postanowił im przyjść z pomocą.

– Po domach – rzekł – gdy po postrzyżynach rycerskiemu pacholećciu włosy odrosną, trefi mu je siostra, a w żrałym wieku żona mężowi; ale obyczaj też jest, że gdy rycerz siostry albo żony nie ma, to mu dziewczki szlacheckie służą, nawet i całkiem obce.

– Zali istotnie jest taki obyczaj? – pytała, spuszczać oczy, Jagienka.

– Nie tylko po dworach, lecz i po zamkach, ba! nawet na królewskim dworze – odrzekł Maćko. Po czym zwrócił się do niewiast:

– Kiedyście do niczego, ruszajcie do czeladnej!

– To niech mi też grzanej wody przyniosą – dodała dziewczyna.

Maćko wyszedł razem z niewiastami, niby dla pilnowania, aby w posłudze nie było marudztwa – i po chwili wysłał grzaną wodę, którą gdy zostawiono w izbie, młodzi zostali sami. Jagienka, zamoczywszy naprzód nałęczkę, poczęła nią zwilżać silnie włosy Zbyszkowe, gdy zaś przestały się wicherzyć i opadły ciężarem wilgoci, wzięła grzebień i siadła na ławie obok młodzianka, aby zabrać się do dalszej roboty.

I tak siedzieli tuż koło siebie, oboje nad miarę śliczni i nad miarę w sobie rozkochani, ale stropieni i milczący. Jagienka poczęła wreszcie układać jego złote włosy, a on czuł bliskość jej wzniesionych ramion, jej dłoni i drżał od stóp do głowy, hamując się całą siłą woli, aby nie porwać jej wpół i nie przycisnąć ze wszystkich sił do piersi.

W ciszy słychać było przyspieszone ich oddechy.

– Możesz ty chory? – spytała po chwili dziewczyna. – Co ci jest?

– Nic! – odpowiedział młody rycerz.

– Bo jakoś tak dychasz.

– I ty dychasz...

Znów zapadła cisza. Policzki Jagienki zakwitły jak róże, czuła bowiem, że Zbyszko oczu nie odrywa ani na chwilę od jej twarzy, więc chcąc zagadać własne zakłopotanie, znów zapytała:

– Czego się tak patrzysz?

– Wadzi ci?

– Nie wadzi mi, jeno się pytam.

– Jagienka?

– Co...

Zbyszko nabrał w piersi powietrza, westchnął, poruszył ustami, jakby zabierając się do dłuższej rozmowy, ale widać nie starczyło mu jeszcze odwagi, bo tylko powtórzył znów:

– Jagienka?...

– Co?

– Kiedy się boję coś rzec...

– Nie bój się. Prosta ja dziewczyna, nie żaden smok.

– Jużci, nie smok! Ale że stryj Maćko powiada, że cię chce brać!...

– Bo chce, jeno nie dla siebie.

I zamilkła, jakby przestraszona własnymi słowy.

– Przemiły Bóg! Jaguś moja... A ty co na to, Jaguś? – zawołał Zbyszko.

Lecz jej niespodzianie oczy wezbrały łzami, śliczne usta poczęły drgać, a głos stał się tak cichy, że Zbyszko ledwo mógł dosłyszeć, gdy rzekła:

– Tatuś i opat chcieli... a ja – to... ty wiesz!... Na te słowa radość buchnęła mu w sercu jak nagły płomień – więc porwał dziewczynę na rękę, podniósł ją w górę jak piórko i począł krzyczeć w zapamiętaniu:

– Jaguś! Jaguś! złoto ty moje! słonko ty moje – hej! hej!... I krzyczał tak, że stary Maćko, myśląc, że stało się coś niezwykłego, wpadł do izby. Dopieroż, ujrawszy Jagienkę na rękę

Zbyszka, zdumiał się, że wszystko poszło tak niespodziewanie prędko, i zawołał:

– W imię Ojca i Syna! Miarkuj się, chłopie! A Zbyszko przypadł do niego, postawił Jagienkę na ziemi i oboje chcieli przykleknąć, lecz nim zdolali to uczynić, chwycił

ich stary w kościste ramiona i przycisnął ze wszystkich sił do piersi.

– Pochwalony! – rzekł. – Wiedziałem ci ja, że tak się skończy, ale mi przecie radość! Boże wam błogosław! Lżej będzie umierać... Dziewucha jako złoto najszczerze... Ku Bogu i ku ludziom! Prawdziwie! A niech ta już będzie, co chce, kiedym się takiej pociechy doczekał... Bóg doświadczył, ale i Bóg pocieszył. Trzeba jechać do Zgorzelic, Jaškowi oznajmić. Hej, żeby stary Zych żył!... i opat... Aleja wam za obu strzymam, bo żeby tak prawdę rzec, to was tak oboje miłuję, że i wstyd gadać.

I chociaż miał w piersi serce hartowne, wzruszył się tak, że aż ścisnęło go coś w gardle, więc ucałował jeszcze Zbyszka, a potem w oba policzki Jagienkę i wykrztusiwszy na wpeł przez łzy:

„Miód, nie dziewczyna!” – poszedł do stajen, aby kazać konie kulbaczyć.

Wyszędłszy, zatoczył się z radości na dziewanny, które rosły przed domem, i począł spoglądać na ich ciemne kręgi otoczone żółtymi liśćmi, zupełnie jak człowiek pijany.

– Ano! Kupa was – rzekł – ale da Bóg, Gradów Bogdanieckich będzie więcej.

Po czym, idąc ku stajni, jął znów mruzczyć i wyliczać:

– Bogdaniec, opatowe majątki, Spychów, Moczydoły... Bóg zawsze wie, do czego prowadzi, a przyjdzie czas na starego Wilka, toby i Brzozową warto kupić... Łęki godne!...

Tymczasem Jagienka i Zbyszko wyszli także przed dom, radośni, szczęśliwi Jaśniejący jak słońce.

– Stryjku! – ozwał się z dala Zbyszko.

A on zwrócił się ku nim, otworzył ręce i począł wołać jak w lesie:

– Hop! hop! By-waj-cie!!

## ROZDZIAŁ XLV

Oni mieszkali w Moczydołach, a stary Maćko wznosił dla nich kasztel w Bogdańcu. Wznosił mozolnie, gdyż chciał, żeby odsady były z kamienia na wapno, a czałownia z cegły, o którą trudno było w okolicy. W pierwszym roku wykopał rowy, co przyszło dość łatwo, albowiem wzgórze, na którym miał stanąć kasztel, było niegdyś okopane, może za czasów jeszcze pogańskich, należało więc tylko oczyścić owe wądoły z drzew i z głogowych gąszczów, którymi zarosły, a następnie umocnić je i pogłębić należycie. Przy pogłębianiu dokopano się też obfitego źródła, które w niedługim czasie napełniło fosę tak, że musiał Maćko obmyślać ujście dla zbytku wody. Potem na wale wznosił częstokół i począł zgromadzać budulec na ściany zameczku, bale dębowe tak grube, że trzech chłopów jednego objąć nie mogło, i modrzewiowe, nie gnijące ni pod glinianą polepą, ni pod przykryciem z darniny. Do wznoszenia tych ścian zabrał się pomimo stałej pomocy chłopów ze Zgorzelic i Moczydołów dopiero po roku, ale zabrał się tym gorliwiej dlatego, że przedtem jeszcze Jagienka powiła bliźnięta. Niebo otworzyło się wówczas przed starym rycerzem, miał już bowiem dla kogo pracować, zabiegać i wiedział, że ród Gradów nie zaginie, a Tępa Podkowa nieraz jeszcze ubroczy się we krwi nieprzyjacielskiej.

Bliźniakom dano imiona: Maćko i Jaśko. „Chłopy – mówił stary – na schwał, tak **że w** całym Królestwie nie masz podobnych, a przecie jeszcze nie wieczór”. I ukochał ich od razu wielką miłością, a za Jagienką świata nie widział. Kto mu ją w oczy słaawił, ten wszystko mógł u niego uzyskać. Zazdrozczono jej jednak Zbyszkowi szczerze i sławiono ją nie tylko dla korzyści, gdyż istotnie jaśniała ona w okolicy niby kwiat najpiękniejszy ze wszystkich na łące. Przyniosła mężowi wielkie wiano, ale i więcej niż wiano, bo wielkie kochanie i urodę olśniewającą oczy ludzkie, i dworność, i dzielność taką, że niejeden rycerz mógłby się nią pochłubić. Nic to dla niej było w kilka dni po połogu do gospodarstwa wstać, a potem z mężem na łowy jechać albo konno z Moczydołów do Bogdańca rano skoczyć i przed południem do Jaśka i Maćka wrócić. Kochał ją tedy jak żenicę oka mąż, kochał stary Maćko, kochała czeladź, dla której ludzkie miała serce, a w Krześni,

gdy w niedzielę wchodziła do kościoła, witał ją szmer podziwu i uwielbienia. Dawniejszy jej zalotnik, groźny Cztań z Rogowa, żeniaty z córką kmiecia, który po mszy pijał w karczmie ze starym Wilkiem z Brzozowej, mawiał, podpiwszy, do niego:

„Szczerbiliśmy się o nią nieraz z waszym synem i chcieliśmy ją brać, ale to tak właśnie było, jakby po miesiąc na niebie sięgać”.

Inni zaś głośno wyznawali, że takiej chybaby na dworze królewskim w Krakowie szukać. Bo obok bogactwa, urody i dworności czczono także niezmiernie jej czerstwość i siłę. I był o tym jeden głos, że „to dopiero niewiasta, co niedźwiedzia oszczepem w boru podeprze, a orzechów nie potrzebuje gryźć, jeno je na ławie ułoży i z nagła przysiedzie, to ci się wszystkie tak pokruszą, jakobyś je młyńskim kamieniem przycisnął”. Tak to ją sławiono i w parafialnej Krześni, i po sąsiednich wsiach, a nawet w wojewódzkim Sieradzu. Jednakże, zazdroszcząc Zbyszkowi z Bogdańca, nie dziwiono się zbytecznie, że ją dostał, albowiem opromieniła i jego taka chwała wojenna, jakiej nikt w okolicy nie miał.

Młodzi włodykowie i szlachta prawili sobie wzajem całe opowieści o Niemcach, których „nałuszczył” w bitwach pod wodzą Witolda i w pojedynkę, na udeptanej ziemi. Mówiono, że żaden mu się nigdy nie odjął, że w Malborgu dwunastu ich zbił z koni, między nimi brata mistrzowego Ulryka, wreszcie, że nawet z krakowskimi rycerzami mógł się potykać i że sam niezwyciężony Zawisza Czarny był mu życzliwym przyjacielem.

Niektórzy nie chcieli tak nadzwyczajnym klechdaniom wierzyć, ale i ci jednak, gdy była mowa o tym, kogo by okolica wybrała, gdyby polskim rycerzom przyszło z obcymi iść w zawód, mówili: „Juźci, Zbyszka” – a potem dopiero włochoatego Cztańa z Rogowa i innych miejscowych osiłków, którym pod względem ćwiczenia rycerskiego daleko było do młodego dziedzica z Bogdańca.

Wielka zamożność jednała mu na równi ze sławą szacunek ludzki. Bo że za Jagienką wziął Moczy doły i wielką majątność opatową, to nie była jego zasługa, ale on już przedtem miał Spychów wraz z ogromnymi skarbami zgromadzonymi przez Juranda, a prócz tego szeptali sobie ludzie, że samych łupów zdobytych i wziętych przez rycerzy z Bogdańca w zbrojach, koniach, szatach, klejnotach wstrzymałoby na trzy albo i cztery dobre wsie.

Widziano więc w tym jakąś szczególną łaskę Bożą nad rodem Gradów herbu Tępa Podkowa, który do niedawna podupadły, tak że prócz



pustego Bogdańca nic nie miał, wyrastał teraz nad wszystkie inne w okolicy. „Przecież w Bogdańcu ostało po pogorzeli jeno garbate domisko – mówili starzy ludzie – i samą majątność z braku rąk roboczych musieli krewnemu zastawić, a teraz kasztel wznoszą”. I podziw był wielki, ale że towarzyszyło mu ogólne, instynktowne poczucie, że cały naród idzie także niepowstrzymanym pędem do jakiegoś niezmiernego dorobku i że z woli Bożej taki ma być właśnie porządek *rzeczy*, więc nie było w tym podziwie złej zawiści. Owszem, chełpiła się okolica i była dumna z tych rycerzy z Bogdańca. Byli oni jakby oczywistym dowodem, do czego może doprowadzić szlachcica krzepkie ramię w połączeniu z mężnym sercem i rycerską pożądlivością przygód. Niejedni też na ich widok uczuwał, że mu za ciasno w domowych pieleszach, w rodzimych granicach, i że o ścianę są we wrażej mocy wielkie bogactwa i obszerne ziemie, które można zdobyć z niezmierną dla siebie i dla Królestwa korzyścią. A ów nadmiar sił, który odczuwały rody, rozpierał całą społeczność, tak iż była jakby war, który musi z naczynia wykypieć. Mogli mądrzy panowie krakowscy i miłujący pokój król hamować te siły do czasu i odkładać wojnę z odwiecznym wrogiem na długie lata, ale żadna moc ludzka nie mogła przytłumić ich całkowicie ani też powstrzymać tego pędu, którym idzie ku wielkości dusza powszechna.

## ROZDZIAŁ XLVI

Dożył Maćko szczęśliwych dni żywota. Nieraz mawiał też sąsiadom, że więcej dostał, niżli sam się spodziewał. Nawet starość ubieliła mu tylko włos na głowie i brodzie, ale nie odjęła mu dotychczas ni sił, ni zdrowia. Serce miał pełne tak wielkiej wesołości, jakiej dotychczas nie zaznał. Surowa niegdyś jego twarz stawała się coraz więcej dobroduszną, a oczy śmiały się do ludzi dobrym uśmiechem. W duszy miał przekonanie, że wszystko zło skończyło się na zawsze i że żadna troska, żadna niedola nie zmaci już płynących tak spokojnie jak jasny strumień dni życia. Do starości wojować, na starość gospodarzyć i majątność dla „wnęków” powiększać – to było przecie jego największe pragnienie we wszystkich czasach, a oto właśnie wszystko spełniło mu się doskonale. Gospodarka szła jak z płatka. Bory były znacznie wycięte; wykarczowane i obsiane nowocie zieleniły się co wiosna runią zbóż rozmaitych; mnożył się dobytek; na łąkach było czterdzieści świerzop ze źrebięty, które stary szlachcic codziennie oglądał; stada baranów i bydła pasły się po ugorach i zagaj ach;

Bogdaniec zmienił się całkowicie: z opustoszałej osady czynił się wsią ludną i zamożną, a kto się do niego zbliżał, tego oczy olśniewała widna z dala czatownia i nie poczerniała jeszcze ściany kasztelu, błyszczące złotem w słońcu, a purpurą zorzy wieczorem.

Więc radował się stary Maćko w sercu dobytkiem, gospodarstwem, pomyslną dolą – i nie przeczył, gdy ludzie mówili, że ma szczęsną rękę. W rok po bliźniętach przyszedł znowu na świat chłopak, którego Jagienka, na cześć i dla pamięci swego rodzica, nazwała Zychem. Maćko przyjął go z radością i nie zatroszczył się tym bynajmniej, że gdyby tak miało pójść dalej, majątność z takim trudem i zabiegliwością zebrana musiałaby się rozdrobnić: „Bo co my mieli? – mówił o tym pewnego razu do Zbyszka. – Nic! a przecie Bóg przysporzył. Stary Pakosz z Sulisławic – mówił – ma jedną wieś, synów zaś dwudziestu dwóch, a przecie głodem nie przymierają. Małoż to jest ziem w Królestwie i na Litwie? Małoż to wsi i zamków w psubrackich rękach Krzyżaków? Hej! nużby tak Pan Jezus zdarzył! Byłoby godne pomieszczenie, bo tam zamki całe z cegły czerwonej, z których by kasztelanie nasz

miłościwy król poczynił”. I była to rzecz godna uwagi, że Zakon stał przecie na szczycie potęgi, że bogactwy, siłą, mnogością ćwiczonych wojsk wszystkie zachodnie królestwa przewyższał, a jednak ten stary rycerz myślał o zamkach krzyżackich jako o przyszłych siedzibach dla swoich wnuków. I wielu zapewne tak samo myślało w Królestwie Jagiełłowym, nie tylko dlatego, że to były stare polskie ziemie, na których Zakon siedział, ale i w poczuciu tej siły potężnej, która burząc się w piersiach narodu, szukała na wszystkie strony ujścia.

W czwartym dopiero roku, licząc od małżeństwa Zbyszka, stanął kasztel, a i to z pomocą rąk roboczych nie tylko miejscowych, zgorzeleckich, moczydłowskich, lecz i sąsiedzkich, a szczególnie starego Wilka z Brzozowej, który zostawszy sam po śmierci syna na świecie, zaprzyjaźnił się bardzo z Maćkiem, a potem zwrócił serce ku Zbyszkowi i Jagience. Maćko przyozdobił komnaty łupami z wojen, które albo sami ze Zbyszkim wzięli, albo po Jurandzie ze Spychowa odziedziczyli, przydał do tego dostatki po opacie i to, co Jagienka z domu wywiozła, okna szklane sprowadził z Sieradza – i wspaniałą urządził siedzibę. Zbyszko z żoną i dziećmi przeniósł się jednak do kasztelu w piątym dopiero roku, gdy już i inne budowy, jak oto; stajnie, obory, kuchnie i łaźnie, były ukończone, a z nimi razem i sklepy podziemne, które stawiał stary na kamień i wapno, aby zaś trwałość miały niepożyta. Sam się jednak do zamku nie przeniósł; wolał zostać w starym domostwie, a na wszelkie prośby Zbyszka i Jagienki odpowiadał odmownie, w taki sposób myśl swoją wyluszczać:

– Tu już zamrę, gdzie się urodziłem. Widzicie, za czasów wojny Grzymalitów z Nałęczami spalony był do cna Bogdaniec – wszystkie budynki, wszystkie chałupy – ba! płoty nawet, jeno to domosko ostało. Ludzie gadali, że dla zbytku mchów na dachu nie chciało gorzeć – ale ja myślę, że była w tym i łaska Boża – i wola, abyśmy tu wrócili i stąd znowu wyrosli. Za czasów naszej wojaczki biadałem ja nieraz, że nie mamy do czego wracać, alem nie całkiem słusznie tak mówił, bo, wiera, nie było na czym gospodarzyć i co do gęby włożyć, ale było się gdzie schronić. Wy młodzi to co innego, ale ja tak już myślę, że skoro nas ów stary dom nie poniechał – to i mnie nie godzi się go poniechać.

I został. Lubił jednakże przychodzić do zameczku, aby oglądać jego wielkość i wspaniałość w porównaniu z dawną siedzibą, a zarazem patrzeć na Zbyszka, na Jagienkę i na „wnęków”. Wszystko, co tam widział, było w znacznej części jego dziełem, a jednak przejmowało go ono dumą i podziwem. Przyjeżdżał czasem do niego stary Wilk, aby z

nim „ugwarzyć” przy ognisku, albo też on sam odwiedzał go w tymże zamiarze w Brzozowej, więc raz tak mu swoje myśli o tych „nowych porządkach” wypowiedział:

– Wiecie! Aże mi czasem cudnie. Bo przecie wiadomo, że Zbyszko i w Krakowie na zamku u króla bywał (ba! mało mu tam głowy nie ucieli!), i na Mazowszu, i w Malborgu, i u księcia Janusza, a Jagienka też się w dostatku chowała, ale przecie własnego kasztelu nie mieli... Ale teraz to tak, jakby nigdy inaczej nie żywili... Chodzą, mówię wam, po komnatach, chodzą, chodzą – i służbie rozkazania dają, a jak się zmęczą, to sobie siedną. Prawy kasztelan i kasztelanowa! Mają ci też komnatę, w której z sołtysami, z karbowymi i czeladzią obiadują, a w niej ławy, dla niego i dla niej wyższe – inni zaś poniżej siedzą i czekają, póki państwo godnie mis nie nałożą. Taki to dworski obyczaj, aże człek musi sobie przypominać, że to nie żadne wielkie państwo, jeno bratanek i bratankowa, którzy po rękę starego boćkają, na pierwszym miejscu sadzą i dobrodziejem swoim zowią.

– Dlatego im też Pan Jezus błogosławi – zauważył stary Wilk.

Za czym, pokiwawszy smutnie głową, popił miodu, poruszył żelaznym pogrzebaczem głównie w ognisku i rzekł:

– A mojemu chłopu się szczęło!

– Wola boska.

– Ano! Starsi, których było pięciu, przedtem dawno polegli. Przecie wiecie. Juźci, wola boska. Ale ten był ze wszystkich najteższy. Prawy Wilk i gdyby nie był legł, toby dziś też może na własnym zamku siedział.

– Wolej by był Cztan poległ.

– Co ta Cztan! Niby to kamienie młyńskie na plecy bierze, a ile to razy mój go poszczerbił! Mój miał ćwiczenie rycerskie, a Cztana teraz żona po pysku pierze, bo choć jest chłop mocarny, ale głupi.

– Hej! jako podogonie! – przyświadczył Maćko. I przy sposobności wynosił pod niebo nie tylko ćwiczenie rycerskie, ale i rozum Zbyszka, że to w Malborgu z najprzedniejszymi rycerzami gonił na ostre, „a z książęty to ci wam tak będzie gadał, jakoby orzechy gryzł”. Chwalił też jego porządek w głowie i zabieглиwość w gospodarce, bez której prędko by kasztel majątność zjadł. Nie chcąc jednak, by stary Wilk myślał, że coś podobnego im może grozić, kończył przyciszonym głosem:

– No z łaski Boga jest ta wszelkiego dobra dosyć, więcej niż ludzie wiedzą, ale nie mówcie o tym nikomu.

Ludzie jednak domyślali się, wiedzieli i opowiadali sobie aż do przesady zwłaszcza o bogactwach, które Bogdanieccy mieli wywieźć ze Spychowa. Mówiono, że pieniądze solówkami wozili z Mazowsza. Wygodził też raz Maćko pożyczką kilkunastu grzywien możnym dzieciom na Konicopolu, co do ostatka utwierdziło okolicę w mniemaniu o jego „skarbach”. Z tego powodu rosło znaczenie Bogdanieckich, rósł szacunek ludzki i gości nigdy nie brakło w kasztelu, na co Maćko, choć oszczędny, nie patrzył niechętnym okiem, gdyż wiedział, że i to sławy rodowi przynajmniej.

Szczególnie chrzciny bywały sute, a raz na rok, po Matce Boskiej Zielnej, wyprawiał Zbyszko wielką ucztę dla sąsiedztwa, na którą i szlachcianki przyjeżdżały patrzeć na ćwiczenia rycerskie, słuchać gądek i płaszać z młodymi rycerzami przy smolnych pochodniach aż do rana. Wtedy to pasł oczy i radował się w sercu stary Maćko widokiem Zbyszka i Jagienki, tak wyglądali dwornie i pańsko. Zbyszko zmężniał, rozrósł się, a choć przy potężnej i wyniosłej postawie twarz jego wydawała się zawsze zbyt młoda, jednakże gdy bujny włos opiął przepaską z purpury, przybrał się w świetną, naszytą srebrnymi i złotymi nićmi szatę, to nie tylko Maćko, ale i niejedyn szlachcic mówił sobie w duszy: „Boga mi! iście księżę jakoweś na zamku swoim siedzące”. A przed Jagienką przyklękali nieraz rycerze znający zachodni obyczaj, prosząc, by chciała im być damą ich myśli – taki bił od niej blask zdrowia, młodości, siły i urody. Sam stary dziedzic na Konicopolu, który był wojewodą sieradzkim, zdumiewał się jej widokiem i z zorzą poranną, a nawet i z słońkiem ją porównywał, „które światu jasność daje, a nawet i stare kości żywszą gorącością napęlnia”.

## ROZDZIAŁ XLVII

Jednakże w piątym roku, gdy ład był wprowadzeń we wszystkich wsiach nadzwyczajny, gdy nad skończoną czatownią powiewała już od kilku miesięcy chorągiew z Tępą Podkową, a Jagienka powiła szczęśliwie czwartego syna, którego nazwano Jurandem – tak rzekł raz stary Maćko do Zbyszka:

– Wszystko się darzy i gdyby Pan Jezus jeszcze jedno zdarzył szczęśliwie – tobym już umarł spokojny.

A Zbyszko popatrzał nań pytającym wzrokiem i po chwili zapytał:

– Chyba o wojnie z Krzyżaki mówicie, bo czegoż by wam więcej trzeba?

– To ci rzekę, com drzewiej mówił – odpowiedział Maćko – że póki mistrz Konrad żywie, wojny nie będzie.

– Albo to mu wiecznie żyć?

– Ale i mnie niewiecznie i dlatego o czym innym myślę.

– A zaś o czym?

– Ii! lepiej nie zapowiadać. Tymczasem się do Spychowa wybieram, a może zdarzy się i książąt na Płocku i na Czersku odwiedzić.

Zbyszka nie zdziwiła zbytnio ta zapowiedź, albowiem w ciągu ostatnich lat kilkakrotnie stary Maćko wyjeżdżał do Spychowa, więc tylko zapytał:

– Długo zabawicie?

– Dłużej niż zwykle, bo się w Płocku zatrzymam.

Jakoż w tydzień później wyjechał Maćko, wzięwszy ze sobą kilka wozów i zbroję dobrą, „na wypadek, jeśli się przyjdzie w szrankach potykać”. Na odjezdnym zapowiedział, że może zabawi dłużej niż zwykle, i istotnie zabawił dłużej, gdyż przez pół roku nie było o nim żadnej wieści. Zbyszko począł się niepokoić i w końcu wyprawił umyślnego do Spychowa, ale ów spotkał Maćka za Sieradzem i wrócił z nim razem.

Stary rycerz wrócił jakiś chmurny, ale wypytawszy dokładnie Zbyszka o wszystko, co się podczas jego niebytności działo – i zaspokojon, że wszystko szło dobrze, rozpogodził się nieco – i pierwszy zaczął mówić o swej wyprawie.

– Wiesz, że byłem w Malborgu – rzekł.

– W Malborgu?

– A gdzie by indziej?

Zbyszko popatrzał na niego przez chwilę zdumionymi oczyma, po czym uderzył się nagle dłonią po udzie i rzekł:

– O prze Bóg! A ja na śmierć zapomniałem.

– Wolno było tobie zapomnieć, boś ślubów dopełnił – odrzekł Maćko – ale nie daj Bóg, abym ja przysiędze i czci własnej umknął. Nie nasz to obyczaj, aby czegoś zaniechać – i tak mi dopomóż Święty Krzyż, jako póki mi tchu w nozdrzach, póty ja go nie zaniecham.

Tu zmierzchnęła twarz Maćka i stała się tak groźną i zawziętą, jako ją Zbyszko widywał tylko za dawnych lat u Witolda i Skirwoiły, gdy miało przyjść do bitwy z Krzyżaki.

– No i co? – zapytał. – Odjął się wam?

– Nie odejmował się, bo mi nie stanął.

– Czemu zaś?

– Komturem wielkim został.

– Kuno Lichtenstein komturem ci wielkim został?

– Ba! Może go i wielkim mistrzem obiorą. Kto go wie! Ale on już i teraz z książęty się równym być mniema. Mówią, że wszystkim rządzi i że wszystkie sprawy Zakonu na jego głowie, a mistrz nic bez niego nie poczyna. Gdzie ci tam taki stanie na udeptaną ziemię! Na śmiech ludzki jeno zarobisz.

– Wyśmieli was? – zapytał Zbyszko, któremu oczy zaiskrzyły się nagle gniewem.

– Śmiała się księżna Aleksandra w Płocku: „Jedźże, powiada, i cesarza rzymskiego pozwdj! Jemu, powiada (niby Lichtensteinowi), jako wiemy, przysłali także pozwy i Zawisza Czarny, i Powała, i Paszko z Biskupic, a też nawet takim mężom nie odkazał nic, bo nie może. Przecie nie serca mu brak, jeno że jest zakonnik i że, prawi, urząd ma tak znaczny i godny, że mu te rzeczy nie w głowie – i że więcej by czci uchybił, przyjmując niżli na pozwy nie zważając”. Tak ci to pani mówiła.

– A wy co na to?

– Zafrasowałem się okrutnie, ale rzekłem, że i tak do Malborga muszę jechać, abym mógł powiedzieć Bogu i ludziom: „Co było w mojej mocy – tom uczynił”. Prosiłem tedy pani, żeby mi obmyśliła jakoweś poselstwo i dała pisanie do Malborga, bom wiedział, że inaczej głowy z tego wilczego gniazda nie wywiozę. W duszy zaś myślałem tak: „Jużci

nie chciał wyznaczyć zroku ni Zawiszy, ni Powale, ni Paszkowi, ale jeśli go wobec samego mistrza, wszystkich komturów i gości za gębę porwę, a wąsy i brodę mu wyszarpnę – to przecie stanie”.

– Bogdajże was! – zawołał z zapalem Zbyszko.

– Co? – rzekł stary rycerz, – Na wszystko jest rada, byle głowę na karku mieć. Ale tu Pan Jezus łaski umknął, bom go w Malborgu nie zastał. Powiedzieli, że do Witolda w posły pojechał. Nie wiedziałem wtedy, co czynić: czekać czy za nim jechać. Bałem się rozminąć. Ale żem to z mistrzem i wielkim szatnym miał z dawnych czasów znajomość – spuściłem im się z tajemnicy, dlaczegom przyjechał, oni zaś zakrzyknęli, że to nie może być.

– Czemu?

– Skroś tej samej przyczyny, którą księżna na Płocku wyłuszczyła. I mistrz przy tym rzekł: „Co byś o mnie myślał, gdybym ja każdemu rycerzowi z Mazowsza albo z Polski stawał?” No – i praw był, bo dawno by go już na świecie nie było. Cudowali się tedy obaj z szatnym – i opowiedzieli to przy stole na wieczerzy. To ci mówię. jakobyś w ul dmuchnął! A szczególnie między gośćmi podniosła się ich zaraz kupa: „Kuno – krzyczeli – nie może, ale my możemy!” Wybrałem sobie tedy trzech, chcąc się z nimi po kolei potykać, ale mistrz po wielkich prośbach pozwolił jeno z jednym, któremu na przyzwisko było też Lichtenstein i który był Kuna krewny.

– No i co? – zakrzyknął Zbyszko.

– Ano, juźci przywiozłem jego blachy, ale tak całkiem popękane, że i jednej grzywny nikt za nie nie da.

– Bójcie się Boga, toście przysięgę spełnili!

– Zrazu byłem rad, bom i sam tak mniemał, ale potem pomyślałem: „Nie! – to nie to samo!” I teraz spokoju nijakiego nie mam, bo nuż to nie to samo!

Lecz Zbyszko począł go pocieszać.

– Mnie też znacie, że w takich rzeczach ni sobie, ni komu nie folguję, ale gdyby mi się tak przygodziło, to miałbym dosyć. I to wam mówię, że najwięksi rycerze w Krakowie mi w tym przyświadczą. Sam Zawisza, który na czci rycerskiej najlepiej się zna, pewnie nie co innego powie.

– Tak mówisz? – zapytał Maćko.

– Pomyślcie jeno: oni sławni w całym świecie – i pozwalają go też, a żaden nie sprawił nawet i tyle, ile wyście sprawili. Ślubowaliście śmierć Lichtensteinowi – i przecie Lichtensteinaście zarżnęli.



– Może – rzekł stary rycerz.

A Zbyszko, który był ciekaw spraw rycerskich, zapytał:

– Nuże! mówcie: młody był czy stary? i jakże było: z konia czy piechtą?

– Było mu ze trzydzieści pięć roków i brodę miał do pasa, a było z konia. Bóg mi pomógł, że go kopią zmacałem, ale potem przyszło do mieczów. To tak, mówię ci, krew mu z gęby buchała, że cała broda była jakoby jeden sopol.

– A narzekaliście nieraz, że się starzejecie?

– Bo jak na koń siedę alboli się na ziemi rozkraczę, to się trzymam krzepko, ale już na siodło we zbroi całej nie skoczę.

– Ale i Kuno nie byłby się wam odjął. Stary machnął pogardliwie ręką na znak, że z Kunonem byłoby mu poszło znacznie łatwiej – po czym poszli oglądać zdobyczne „blachy”, które Maćko zabrał tylko na znak zwycięstwa, bo zresztą były zbyt potrzaskane i dlatego bez wartości. Tylko nabiodrza i nagolenniki były nietknięte i roboty bardzo przedniej.

– Wolałbym wszelako, żeby to były Kunona – mówił posepnie Maćko.

Na co Zbyszko:

– Wie Pan Bóg, co lepiej. Kunona, jeśli mistrzem zostanie, to już nie dostaniecie, chybaby w jakowej wielkiej bitwie.

– Nastawiałem ci ja ucha, co ludzie mówią – odrzekł Maćko. – Jedni tedy gadają, że po Kondracie będzie Kuno, a drudzy, że brat Kondratowy, Ulryk.

– Wolałbym, żeby był Ulryk – rzekł Zbyszko.

– I ja, a wiesz dlaczego? Kuno rozum ma większy i chytrzejszy, a Ulryk zapalczywszy. Prawy to jest rycerz, którego czi dochowuje, ale do wojny z nami aż drży. Powiadają też, że byle mistrzem ostał, to przyjdzie wnet taka nawałnica, jakiej na świecie nie bywało. A na Kondrata omdłałości pono już często przychodzą. Raz go zamroczyło i przy mnie. Hej! może doczekamy.

– Daj to Bóg! A są jakie nowe niezgody z Królestwem?

– Są stare i nowe. Krzyżak zawsze Krzyżakiem. Chociaż wie, żeś mocniejszy i że z tobą źle zadrzeć, będzie ci na twoje dybał, bo inaczej nie może.

– Przecie oni myślą, że Zakon od wszystkich królestw mocniejszy.

– Nie wszyscy, ale wielu, a między nimi i Ulryk. Bo w rzeczy, potęga to jest okrutna.

– A pamiętacie, co mówił Zyndram z Maszkowic?

– Pamiętam i tam z każdym rokiem gorzej. Brat brata tak nie przyjmie jako mnie tam przyjmowali, gdy żaden Krzyżak nie poglądał. Mają ich tam wszyscy dosyć.

– To i niedługo czekać!

– Niedługo albo i długo – rzekł Maćko. I po chwili zastanowienia dodał:

– A tymczasem trza harować – i majątności przysparzać, aby godnie w pole wystąpić.

## ROZDZIAŁ XLVIII

Mistrz Konrad zmarł jednak dopiero w rok później. Jaśko ze Zgorzelic, brat Jagienki, który pierwszy usłyszał w Sieradzu nowinę i o jego śmierci, i o obiorze Ulryka von Jungingen, pierwszy też przywiózł ją do Bogdańca, w którym zarówno jak i we wszystkich szlacheckich siedzibach wstrząsnęła ona do głębi dusze i serca. „Nastają czasy, jakich dotychczas nie było” – rzekł uroczyście stary Maćko, a Jagienka przyprowadziła w pierwszej chwili wszystkie dzieci przed Zbyszka i sama poczęła się z nim żegnać, jakby już nazajutrz miał wyruszyć. Maćko i Zbyszko wiedzieli wprawdzie, że wojna nie rozpala się tak od razu jak ogień w kominie, niemniej jednak wierzyli, że do niej przyjdzie – i poczęli się gotować. Wybierali konie, zbroje, ćwiczyli w wojennym rzemiośle giermków, czeladź, sołtysów ze wsi, siedzących na niemieckim prawie, którzy obowiązani byli konno stawać na wyprawę – i uboższą szlachtę – włodyków – ci bowiem radzi garnęli się do możniejszych. A to samo czyniono i po wszystkich innych dworach, wszędy biły młoty w kuźniach, wszędy czyszczono stare pancerze, nacierano stopionym w sałhanach sadłem łuki i rzemienie, kowano wozy, czyniono zapasy spyży w krupach i wędzonym mięsiwie. Przy kościołach w niedziele i święta wypytywano o nowiny i smucono się, gdy przychodziły pokojowe, albowiem każdy nosił w duszy głębokie poczucie, że raz trzeba skończyć z tym strasznym wrogiem całego plemienia i że nie zakwitnie w potędze, w spokoju i pracy Królestwo, póki wedle słów świętej Brygidy, nie będą wyłamane Krzyżakom zęby i nie będzie odcięta im prawa ręka.

W Krześni zaś szczególnie otaczano Maćka i Zbyszka, jako ludzi znających Zakon i świadomych wojny z Niemcami. Wypytywano się ich nie tylko o nowiny, ale i sposoby na Niemców: jak najlepiej w nich bić, jak mają zwyczaj się potykać, w czym od Polaków wyżsi, a w czym niżsi i czy po skruszeniu kopii łatwiej na nich zbroje łamać toporem czyli też mieczem. Oni zaś byli istotnie tych rzeczy świadomi, więc słuchano ich z wielką uwagą, tym bardziej że było przekonanie powszechne, że wojna to nie będzie łatwa, że przyjdzie się mierzyć z najprzedniejszym rycerstwem wszelkich krajów i nie poprzestawać na

tym, że tu i owdzie pokołacze się nieprzyjaciela, jeno uczynić to rzetelnie do „cna” albo też zginąć z kretesem. Mówili tedy między sobą wło-dykowie:

„Skoro trzeba, to trzeba – ich śmierć albo nasza”. I pokoleniu, które w duszach nosiło poczucie przyszej wielkości, nie odbierało to ochoty, owszem! rosła ona z każdą godziną i dniem, ale przystępowano do dzieła bez próżnej chwalby i chełpliwości, a raczej z pewnym zawziętym skupieniem i z gotową na śmierć powagą. – Nam alibo im śmierć pisana.

Ale tymczasem czas upływał i dłużył się, a wojny nie było. Mówiono wprawdzie o niezgodach między królem Władysławem a Zakonem – i jeszcze o ziemi dobrzyńskiej, choć była już przed laty wykupiona, i o sporach nadgranicznych, o jakowymś Drezdenku, o którym wielu po raz pierwszy w życiu słyszało, a o które spierały się jakoby obie strony, ale wojny nie było. Niektórzy poczęli nawet już wątpić, czy będzie, bo przecie spory bywały zawsze, ale kończyło się zwykle na zjazdach, układach i wysyłaniu poselstw. Owóż rozeszła się wieść, że i teraz przyjechali jacyś posłowie krzyżaccy do Krakowa, a polscy udali się do Malborga. Poczęto mówić o pośrednictwie królów czeskiego i węgierskiego, a nawet samego papieża. Z dała od Krakowa nie wiedziano niczego dokładnie, więc rozmaite, a często dziwaczne i niepodobne chodziły między ludźmi słuchy, ale wojny nie było.

W końcu i sam Maćko, za którego pamięci niemało przeszło gróźb wojennych i układów – nie wiedział, co o wszystkim myśleć, i wybrał się do Krakowa, aby jakiejś pewniejszej wieści zasięgnąć. Zabawił tam niedługo, bo szóstego tygodnia był już z powrotem – i wrócił z twarzą wielce wyjaśnioną. Gdy zaś w Krześni otoczyła go jak zwykle ciekawa nowin szlachta, na liczne pytania odpowiedział im pytaniem:

– A groty u kopij i topory macie wyostrzone?

– Albo co? Nuże! Na rany boskie! Jakie nowiny? Kogoście widzieli? – wołano ze wszystkich stron.

– Kogo widziałem? Zyndrama z Maszkowic! A jakie nowiny? Takie, że pono wraz konie siodłać przyjdzie.

– Prze Bóg! Jakże to? Powiadajcie!

– A słyszeliście o Drezdenku?

– Jużci, żeśmy słyszeli. Ale zameczek to, jakich wiele, i ziemi bogdaj tam nie więcej niżli u was w Bogdańcu.

– Mama to wojny przyczyna, co?

– Pewnie, że mama; bywały i większe, a przecie nic potem nie nastąpiło.

– A wiecie, jaką mi przypowieść Zyndram z Maszkowic z przyczyny Drezdenka powiedział?

– Prędeż mówcie, bo nam czapki na łbach zgorzeją!

– Powiedział mi tedy tak: „Szedł ślepy gościńcem i przewalił się przez kamień. Przewalił się, bo był ślepy, ale przecie kamień przyczyną”. Otóż Drezdenko to taki kamień.

– Jakże to? co? Jeszcze ci Zakon stoi.

– Nie rozumiecie? Tedy wam inaczej tak powiem: gdy naczynie zbyt pełne, to jedna kropla je przeleje.

Więc zapał ogarniał rycerstwo tak wielki, iż Maćko musiał go hamować, bo chcieli zaraz na koń siadać i do Sieradza ciągnąć.

– Bądźcie gotowi – mówił im – ale czekajcie cierpliwie. Już też i o nas nie zapomną

Więc trwali w gotowości, ale czekali długo, tak nawet długo, że niektórzy poczęli znów wątpić. Lecz Maćko nie wątpił, bo jako z przylotu ptactwa poznaje się nadejście wiosny, tak on, jako człek doświadczony, umiał z rozmaitych oznak wywnioskować, że zbliża się wojna – i to wielka.

Więc naprzód nakazano łowy we wszystkich borach i puszczach królewskich, tak ogromne, jakich najstarsi ludzie nie pamiętali. Zbierano tedy tysiącami osaczników na obławy, na których padały całe stada żubrów, turów, jeleni, dzików i różnej pomniejszej zwierzyny. Lasy dymiły przez całe tygodnie i miesiące, w dymach zaś wędzono solone mięswo, a następnie odsyłano je do miast wojewódzkich, a stamtąd na skład do Płocka. Oczywiście było, że szło o zapasy dla wielkich wojsk. Maćko wiedział dobrze, co o tym myśleć, bo takie same łowy nakazywał przed każdą większą wyprawą na Litwie Witold. Lecz były i inne oznaki. Oto chłopci poczęli całymi gromadami uciekać „spod Niemca” do Królestwa i na Mazowsze. W okolicę Bogdańca przybywali głównie poddani niemieckich rycerzy ze Śląska, ale wiedziano, że wszędzie dzieje się to samo, a zwłaszcza na Mazowszu. Czech gospodarzący w Spychowiu na Mazowszu przysłał stamtąd kilkunastu Mazurów, którzy schronili się do niego z Prus. Ludzie ci prosili, by im pozwolono wziąć udział w wojnie „na pieczę” – albowiem chcieli pomścić się swych krzywd na Krzyżakach, których nienawidzili duszą całą. Powiadali też, że niektóre nadgraniczne wsie w Prusiech prawie zupełnie opustoszały, albowiem kmiecie przenieśli się z żonami i

dziećmi do księstw mazowieckich. Krzyżacy wieszali wprawdzie schwytych zbiegów, ale nieszczęsnego ludu nic już nie mogło powstrzymać i niejeden wołał śmierć od życia pod straszliwym jarzmem niemieckim. Następnie poczęli się roić w całym kraju „dziadowie” z Prus. Ciągnęli oni wszyscy do Krakowa. Napływali z Gdańska, z Malborka, z Torunia, z dalekiego nawet Królewca, ze wszystkich pruskich miast i ze wszystkich komandorii. Byli między nimi nie tylko dziady, ale klechowie, organiści, różni słudzy klasztorni, a nawet klerycy i księża. Domyślano się, że znoszą wiadomości o wszystkim, co się dzieje w Prusiech: o przygotowaniach wojennych, o utwierdzaniu zamków, o załogach, o wojskach najemnych i gościach. Jakoż szeptano sobie, że wojewodowie po miastach wojewódzkich, a w Krakowie rajcy królewscy zamykali się z nimi całymi godzinami, słuchając ich i spisując ich wiadomości. Niektórzy wracali chyłkiem do Prus, a potem znowu zjawiali się w Królestwie. Dochodziły wieści z Krakowa, że król i panowie rada wiedzą przez nich o każdym kroku Krzyżaków.

Przeciwnie działo się w Malborku. Pewien duchowny, zbiegły z tej stolicy, zatrzymał się u dziedziców Koniecpola i opowiadał im, że mistrz Ulryk i inni Krzyżacy nie troszczą się o wieści z Polski i że pewni są, iż jednym zamachem zawojują i obalą na wieki wieków całe Królestwo, „tak, aby ślad po nim nie został”. Powtarzał przy tym słowa mistrza wypowiedziane na uczcie w Malborku: „Im ich więcej będzie, tym bardziej kozuchy w Prusiech potanieją”. Gotowali się więc do wojny w radości i upojeniu, durni we własną siłę i pomoc, którą im wszystkie najdalsze nawet królestwa nadeślą.

Lecz mimo tych wszystkich wojennych oznak, przygotowań i zbiegów, wojna nie przychodziła tak prędko, jak sobie ludzie życzyli. Młodemu dziedzicowi z Bogdańca „cniło się” już także w domu. Wszystko było od dawna gotowe, dusza rwała się w nim do sławy i do boju, przeto ciężki mu był każdy dzień zwłoki – i często czynił o to wymówki stryjcowi, tak jakby wojna lub pokój od niego zależały.

– Boście obiecywali na pewno, że będzie – mówił – a tu nic i nic!

Na to zaś Maćko:

– Mądryś, ale nie bardzo! A to nie widzisz, co się dzieje?

– A jak się król w ostatniej godzinie zgodzi? Mówią, że nie chce wojny.

– Bo nie chce, ale któż jak nie on zakrzyknął: „Chybabym nie był królem, gdybym Drezdenko zabrać pozwolił”, a Drezdenko Niemce jak wzięli, tak i dotychczas dzierżą. Ba! król nie chce rozlewu krwi chrze-

ścijańskiej, ale panowie rada, którzy rozum mają bystry, czując większą moc polską, przypierają Niemców do ściany – i to ci jeno rzekę, że gdyby nie było Drezdenka, toby się znalazło co innego.

– Bo jako słyszałem, to jeszcze mistrz Kondrat zabrał Drezdenko, a on się przecie króla bał.

– Bał się, gdyż lepiej od innych przeznał potęgę polską, ale chciwości zakonnej i on nie umiał pohamować. W Krakowie mówili mi tak: stary von Ost, dziedzic Drezdenka, w czasie gdy Krzyżacy zabierały Nową Marchię, pokłonił się jako hołdownik królowi, gdyż to ziemia była od wieków polska, więc chciał do Królestwa należeć. Ale zaprosili ci go Krzyżacy do Malbarga, spoiłi winem i uzyskali od niego zapis. Wtedy to zbrakło już do ostatka królowi cierpliwości.

– Wiera, że mogło mu zbraknąć – zawołał Zbyszko.

Lecz Maćko rzekł:

– Ale to tak jest, jako Zyndram z Maszkowic powiadał: Drezdenko to jeno kamień, przez który się ślepy przewalił.

– Gdyby zaś Niemce oddali Drezdenko, to co będzie?

– To znajdzie się inny kamień. Ale nie odda ci Krzyżak tego, co raz połknął, chyba mu brzuch rozplatasz, co daj Bóg, abyśmy prędko uczynili.

– Nie! – zawołał pokrzepiony na duchu Zbyszko. – Kondrat może by oddał, Ulryk nie odda. Prawy to rycerz, na którym skazy nijakiej nie masz, ale okrutnie zapalczywy.

Tak to oni ze sobą rozmawiali, a tymczasem zdarzenia staczały się, jakby kamienie potracone na stromych ścieżkach górskich nogą przechodnia, z coraz większym pędem ku przepaści.

Nagle rozgrzmiała po całym kraju wiadomość, że Krzyżacy napadli i zagrabili staropolski, zastawiony johannitom Santok. Nowy mistrz Uiryk, który gdy posłowie polscy przybyli, aby mu złożyć życzenia z powodu jego wyboru, wyjechał umyślnie z Malbarga i który od pierwszej chwili swych rządów nakazał, by w stosunkach z królem i Polską miasto łaciny używać języka niemieckiego – pokazał wreszcie, kim jest. Krakowscy panowie, którzy po cichu pchali do wojny, zrozumieli, że on do niej pcha głośno i nie tylko głośno, ale na oślep i z takim zuchwalem, jakiego względem polskiego narodu nie dopuszczali się nigdy mistrzowie nawet wówczas, gdy ich potęga była w istocie większą, a Królestwa mniejszą niż ninie.

Jednakże mniej zapalczywi a przebieglejsi od Ulryka dostojnicy Zakonu, którzy znali Witolda, starali się go sobie zjednać darami i po-

chlebstwy tak przechodzącymi wszelką miarę, iż podobnych trzeba było chyba szukać w tych czasach, gdy cesarom rzymskim wznoszono za życia świątynie i ołtarze. „Dwóch jest dobrodziejów Zakonu – mówili posłowie krzyżacy, bijąc czołem temu namiestnikowi Jagiełły – pierwszy Bóg, a drugi Witold;

przeto jest święte każde życzenie i każde słowo Witolda dla Krzyżaków”. I błagali go o rozjemstwo w sprawie o Drezdenko w tej myśli, że gdy jako podległy królowi podejmie się sądzić swego zwierzchnika, tym samym go obrazi – i dobre ich stosunki przerwą się, jeśli nie na zawsze, to przynajmniej na czas dłuższy. Lecz że panowie rada wiedzieli o wszystkim, co się w Malborgu dzieje i zamierza, przeto król wybrał także Witolda na rozjemcę.

I pożałował Zakon wyboru. Dostojnicy krzyżacy, którym zdawało się, że znają wielkiego księcia, znali go nie dość jeszcze, albowiem Witold nie tylko przysądził Drezdenko Polakom, lecz wiedząc zarazem i odgadując, na czym się sprawa skończyć musi – podniósł znów Żmujdź i coraz groźniejsze ukazując Zakonowi oblicze, jał wspomagać ludźmi, orężem i zbożem z żyznych ziem polskich nadsyłanym.

Co gdy się stało, wszyscy po wszystkich ziemiach olbrzymiego państwa zrozumieli, że wybiła stanowcza godzina. Jakoż wybiła.

Raz w Bogdańcu, gdy stary Maćko, Zbyszko i Jagienka siedzieli przed bramą kasztelu, zażywając cudnej pogody i ciepła – zjawił się nagle na spienionym koniu nieznany człowiek, osadził go przed bramą, cisnął coś na kształt wieńca splecionego z łozy i wierzbiny pod nogi rycerzy – i krzyknawszy: „Wici! wici!” – pomknął dalej.

A oni zerwali się na równe nogi w wielkim wzruszeniu. Twarz Maćka stała się groźna i uroczyista. Zbyszko skoczył, aby pchnąć giermka z wicią dalej, po czym wrócił z ogniem w żrenicach i zawołał:

– Wojna! Wreszcie Bóg dał! Wojna!

– I taka jakiejśmy przedtem nie widzieli! – dorzucił poważnie Maćko.

Następnie krzyknął na czeladź, która w mig zebrała się wokół państwa:

– Dać w rogi z czatowni na cztery strony świata! a inni niech skoczą na wsie po sołtysów. Konie ze stajen wywieść i wozy zaprzęgać! Duchem!

I głos jego jeszcze nie przegrzmiał, gdy czeladź kopnęła się w różne strony, aby spełnić rozkazy, które nie były trudne, gdyż wszystko z



dawna było gotowe: ludzie, wozy, konie, broń, zbroje, zapasy – tylko siadać i jechać!

Lecz przedtem Zbyszko jeszcze zapytał Maćka:

– A wy nie ostaniecie w domu?

– Ja? Co ci w głowie?

– Bo wedle prawa możecie, że to człowiek z was w leciech podeśzły, a byłaby jakowaś opieka nad Jagienką i dziećmi.

– No, to słuchaj: ja do białego włosa czekał na tę godzinę.

I dosyć było spojrzeć na jego zimne, zawzięte oblicze, aby poznać, że na nic wszelka namowa. Zresztą, mimo siódmego krzyżyka, chłop był jeszcze czerstwy jak dąb i ręce łatwo chodziły mu w stawach, a topór w nich aż warczał. Nie mógł już wprawdzie skoczyć w pełnej zbroi bez strzemion na konia, ale i wielu młodych, zwłaszcza między zachodnimi rycerzami, tego uczynić nie mogło. Natomiast ćwiczenie rycerskie posiadał ogromne i bardziej doświadczonego wojownika nie było w całej okolicy.

Jagienka też widocznie nie obawiała się sama zostać, gdyż usłyszawszy słowa męża, wstała i ucałowawszy go w rękę, rzekła:

– Nie frasuj się ty o mnie, miły Zbyszku, bo kasztel jest godny, a i to wiesz, że ja tam niezbyt płochliwa, i że ni kusza, ni sulica mi nie nowina. Nie czas o nas myśleć, gdy trza Królestwo ratować, a nad nami tu Bóg będzie opiekunem.

I nagle oczy jej wezbrały łzami, które stoczyły się w wielkich kroplach po cudnej liliowej twarzy. Więc ukazawszy gromadkę dzieci, tak dalej mówiła wzruszonym, drgającym głosem:

– Hej! żeby nie one pędraki, poty by ja ci u nóg leżała, póki byś mnie nie wziął na tę wojnę!

– Jaguś! – zawołał Zbyszko, chwytając ją w ramiona. A ona objęła mu też szyję i jęła powtarzać, tuląc się do niego z całej siły:

– Jeno mi ty wróć, mój złoty, mój jedyny, mój najmilejszy!

– A zaś co dzień dziękuj Bogu, że ci dał taką niewiastę! – dodał grubym głosem Maćko.

I w godzinę później ściągnięto z czatowni chorągiew na znak nieobecności panów. Zbyszko i Maćko zezwolili, aby Jagienka razem z dziećmi odprowadziła ich do Sieradza, więc po obfitym posiłku ruszyli wszyscy razem z ludźmi i całym taborem wozów.

Dzień był jasny, bez wiatru. Bory stały w ciszy nieruchome. Stada na polach i ugorach zażywały także południowego spoczynku, przeżuwając paszę powolnie i jakby w zamyśleniu. Jeno z powodu suchości

powietrza wznosiły się tu i ówdzie po drogach kłęby złotego kurzu, a nad owymi kłębami płonęły jakby ogniki niezmiernie w słońcu błyszczące. Zbyszko ukazywał je żonie i dzieciom, mówiąc:

– Wiecie, co to się tam tak łyska nad kurzawą? To groty kopij i sulic. Wszędy już widać wici doszły i zewsząd ciągnie naród na Niemca.

Jakoż tak było. Niedaleko za granicą Bogdańca spotkali brata Jagienki, młodego Jaśka ze Zgorzelic, który jako dziedzic dość możny szedł w trzy kopie, a luda prowadził z sobą dwudziestu.

Wkrótce potem na rozstaju wychyliło się ku nim z tumanów zarosłe oblicze Cztana z Rogowa, który nie był wprawdzie przyjacielem Bogdanieckich, ale teraz krzyknął z dala: „Bywaj na psubraty!” – i skłoniwszy się im życzliwie, pocwałował w siwym obłoku dalej. Spotkali także i starego Wilka z Brzozowej. Głowa już mu się trzęsła nieco ze starości, ale ciągnął i on, by pomścić śmierć syna, którego mu na Śląsku Niemcy zabili.

I w miarę jak zbliżali się do Sieradza, coraz częstsze były po drogach obłoki kurzawy, a gdy z dala ukazały się już wieże miejskie, cały gościniec roił się od rycerstwa, od sołtysów i od zbrojnych miejskich pachółków, którzy wszyscy ciągnęli na miejsce zbioru. Widząc tedy ów lud rojny a czerstwy i tęgi, w boju upomy, a na niewygody, słoty, chłody i wszelkie trudy nad wszystkie inne wytrzymały, krzepił się w sercu stary Maćko i pewne wróżył sobie zwycięstwo.

## ROZDZIAŁ XLIX

I wojna wybuchła wreszcie, nieobfita z początku w bitwy, ale w pierwszych chwilach niezbyt dla Polaków pomyślna. Nim nadciągnęły siły polskie, zdobyli Krzyżacy Bobrowniki, zrównali z ziemią Złotoryję – i znów zajęli nieszczęsną, a z takim trudem niedawno odzyskaną ziemię dobrzyńską. Lecz pośrednictwo czeskie i węgierskie przygasiło na czas burzę wojenną. Nastąpił rozejm, w czasie którego Wacław, król czeski, miał sądzić spory między Polską a Zakonem.

Nie przestano jednak gromadzić wojsk i posuwać ich ku sobie w czasie zimowych i wiosennych miesięcy, gdy zaś przekupiony król czeski wydał wyrok na korzyść Zakonu, wojna musiała wybuchnąć na nowo.

A tymczasem nadeszło lato, a z nim razem nadciągnęły „narody” pod Witoldem. Po przeprawie pod Czerwieńskiem połączyły się oba wojska i chorągwie książąt mazowieckich. Z drugiej strony w obozie pod Świeciem stało sto tysięcy zakutych w żelazo Niemców. Chciał król przepłynąć się przez Drwęcę i pójść krótką drogą ku Malborgowi, lecz gdy przeprawa okazała się niepodobną, zawrócił od Kurzętnika ku Działdowu i po skruszeniu zamku krzyżackiego Dąbrowna, czyli Gilgenburga, położył się tamże obozem.

Zarówno on, jak i dostojnicy polscy i litewscy wiedzieli, że walna rozprawa musi wkrótce nastąpić, nikt jednak nie sądził, żeby miało przyjść do niej prędzej niż za kilka dni. Przypuszczano, że mistrz, zabieżawszy drogę królowi, zechce dać wypoczynek swym zastępom, aby do śmiertelnej walki stanęły nieutrudzone i świeże. Tymczasem wojska królewskie zatrzymały się na noc w Dąbrownie. Wzięcie tej fortecy, lubo bez rozkazów, a nawet wbrew woli rady wojennej, napełniło otuchą serce króla i Witolda, zamek to bowiem był potężny, oblany jeziorem, o grubych murach i licznej załodze. A jednak rycerstwo polskie wzięło go niemal w mgnieniu oka, z zapalem tak niepohamowanym, że nim cały obóz nadciągnął, już z miasta i zamku pozostały tylko gruzy i zgliszcza, wśród których dzicy wojownicy Witolda i Tatarzy pod Saladynem wycinali ostatki broniących się z rozpaczą niemieckich knechtów.

Pożar jednakże nie trwał długo, gdyż zgasiła go krótko wprawdzie trwająca, ale ogromna ulewa. Cała noc z czternastego na piętnasty lipca była dziwnie zmienna i nawałnista. Wicher przypędzał burzę za burzą. Chwilami niebo zdało się całe płonąć od błyskawic i grzmoty roztaczały się ze straszliwym łoskotem między wschodem a zachodem. Częste gromy napełniały zapachem siarki powietrze, to znów szum dżdżu zagłuszał wszystkie inne odgłosy. A potem wiatr rozpędzał chmury i wpośród ich strzepów widać było gwiazdy i jasny, wielki księżyc. Po północy dopiero uciszyło się nieco, tak że można było przynajmniej ognie rozpalić. Jakoż w tej chwili zabłyśły ich tysiące i tysiące w niezmiernym polsko-litewskim obozie. Wojownicy suszyli przy nich przemokłe szaty i śpiewali pieśni bojowe.

Król czuwał również, albowiem w domu położonym na samym skraju obozów, do którego schronił się przed burzą, zasiadała rada wojskowa, przed którą zdawano sprawę ze zdobycia Gilgenburga. Ponieważ w szturmie brała udział chorągiew sieradzka, więc przywódca jej. Jakub z Koniecpola, wezwany był wraz z innymi do usprawiedliwienia się. dlaczego bez rozkazów dobywali miasta i nie zaniechali szturm, chociaż król wysłał dla powstrzymania ich swego podwojskiego i kilku podręcznych pachołków.

Z tej przyczyny wojewoda, nie będąc pewien, czy nie spotka go nagana albo nawet i kara, zabrał z sobą kilkunastu przedniej –szych rycerzy, a między nimi starego Maćka i Zbyszka, jako świadków, że podwojski dotarł do nich dopiero wówczas, gdy byli już na murach zamku i w chwili najzawziętszej bitwy z załogą. A co do tego, że uderzył na zamek: „Trudno, mówił, pytać o wszystko, gdy wojska na kilka mil się rozciągają”. Wysłany będąc w przodku, rozumiał, iż ma powinność kruszyć przeszkody przed wojskiem i bić nieprzyjaciela, gdzie go napotka. Więc wysłuchawszy tych słów, król, księżę Witold i panowie, którzy w duszy radzi byli temu, co się stało, nie tylko nie przyganili wojewodzie i Sieradzanom ich postępk, ale sławili jeszcze ich męstwo, że „tak wartko pożyli zamek i mężną załogę”. Mogli wówczas Maćko i Zbyszko napatrzeć się największym głowom w Królestwie, bo prócz króla i książąt mazowieckich znajdowali się tam dwaj przywódcy wszystkich zastępów: Witold, który Litwinom, Żmujdzi, Rusinom, Besarabom, Wołochom i Tatarom przywodził – i Zyndram z Maszkowic, herbu „tego samego co słońce”, miecznik krakowski, główny sprawca wojsk polskich, przewyższający wszystkich znajomością spraw wojennych. Oprócz nich byli w tej radzie wielcy wojownicy i statyści: kasz-

telan krakowski Krystyn z Ostrowa i wojewoda krakowski Jaśko z Tamowa, i poznański Sędziwój z Ostroroga, i sędomierski Mikołaj z Michałowie, i proboszcz od Św. Floriana, a zarazem podkanclerzy Mikołaj Trąba, i marszałek Królestwa Zbigniew z Brzezia, i Piotr Szafraniec, podkomorzy krakowski, i wreszcie Ziemowit, syn Ziemowita, księcia na Płocku, jeden między nimi młody, ale dziwnie „do wojny przemyślny”, którego zdanie wysoce sobie sam wielki król cenił.

A w przyległej obszernej izbie czekali, aby być pod ręką i w razie zapytania radą się przysłużyć, najwięksi rycerze, których sława grzmiała szeroko w Polsce i za granicą: więc ujrzeli tam Maćko i Zbyszko Zawiszę Czarnego Sulimczyka i jego brata Farureja, i Skarbka Abdanka z Gór, i Dobka z Oleśnicy, który swego czasu dwunastu niemieckich rycerzy w Toruniu na turnieju z siodła wysadził, i olbrzymiego Paszka Złodzieja z Biskupic, i Powalę z Taczewa, który życzliwym im był przyjacielem, i Krzona z Kozichgłów, i Marcina z Wrocimowic, który wielką chorągiew całego Królestwa nosił, i Floriana Jelitczyka z Korytnicy, i strasznego w ręcznym spotkaniu Lisa z Targowiska, i Staszka z Charbimowic, który w pełnej zbroi przez dwa rosłe konie mógł przeskoczyć.

Było i wielu innych słynnych rycerzy przedchorągiewnych z rozmaitych ziem z Mazowsza, których przedchorągiewnymi zwano dlatego, że w pierwszym szeregu stawali do bitwy. Lecz znajomkowie, a szczególnie Powalę, radzi witali Maćka i Zbyszka i zaraz poczęli z nimi o dawnych czasach i przygodach rozmawiać.

– Hej! – mówił do Zbyszka pan z Taczewa. – Juźci ciężkie ty masz z Krzyżaki rachunki, ale tak tuszę, że im teraz za wszystkie czasy zapłacisz.

– Zapłacę choćby krwią, jako i wszyscy zapłacim! – odrzekł Zbyszko.

– A wiesz, że twój Kuno Lichtenstein jest ninie wielkim komturem? – ozwał się Paszko Złodziej z Biskupic.

– Wiem i stryj wiedzą też.

– Daj mi go Bóg spotkać – przerwał Maćko – bo ja osobną mam z nim sprawę.

– Ba! Przecie pozywaliśmy go i my – odpowiedział Powalę – ale odrzekł, że urząd nie pozwala mu się potykać. No, teraz chyba pozwoli.

Na to zaś Zawisza, który zawsze mówił z powagą wielką, rzekł:

– Tego on będzie, komu go Bóg przeznaczy. Lecz Zbyszko z samej ciekawości wytoczył zaraz przed sąd Zawiszy sprawę stryjka i zapytał,

czy nie zadość się stało ślubowaniu przez to, że Maćko potykał się z krewnym Lichtensteina, który się ofiarował w zastępstwo, i takowego zabił. I wszyscy zakrzyknęli, że zadość. Sam tylko zawzięty Maćko, chociaż ucieszył się z wyroku, rzekł:

– Ba, przecież pewniejszy byłbym zbawienia, gdybym samego Kunona spotkał!

I następnie poczęli mówić o wzięciu Gilgenburga i o przyszłej wielkiej bitwie, której spodziewali się wkrótce, bo przecie nie miał mistrz nic innego do zrobienia, jeno królowi drogę zabiec.

Ale gdy właśnie łamali głowy nad tym, za ile dni spotkanie może nastąpić, zbliżył się ku nim chudy i długi rycerz, przybrany w czerwone sukno, z taką mycką na głowie i rozłożywszy ręce, rzekł miękkim, prawie niewieścim głosem:

– Pozdrowienie ci, rycerzu Zbyszku z Bogdańca!

– De Lorche! – zakrzyknął Zbyszko – tyś tu? I chwycił go w objęcia, gdyż wdzięczne pozostało mu o nim wspomnienie, a gdy ucałowali się jakby najbliżsi przyjaciele, począł wypytywać z radością:

– Tyś tu? po naszej stronie?

– Wielu może geldryjskich rycerzy znajduje się po tamtej stronie – odrzekł de Lorche – ale jam panu memu, księciu Januszowi, służby z Długolasu powinien.

– Toś ty dziedzicem po starym Mikołaju na Długolesie?

– Tak. Bo po śmierci Mikołaja i syna jego, któren pod Bobrownikami zabit, Długolas przypadł na cudną Jagienkę, a od lat pięciu moją niewiastę i panią.

– Dla Boga! – zawołał Zbyszko – powiadaj, jako ci to przyszło? Lecz de Lorche, powitawszy starego Maćka, rzekł:

– Dawny wasz giermek, Głowacz, powiedział mi, że was tu znajduję, a teraz czeka u mnie w namiocie i nad wieczerzą czuwa. Dalekość to wprawdzie, bo na drugim końcu obozu, ale końmi prędko się przejeździe – więc jedźcie ze mną.

Po czym, zwróciwszy się do Powały, którego poznał w dawniejszych czasach w Płocku, dodał:

– I wy, szlachetny panie. Będzie to dla mnie szczęście i honor.

– Dobrze – odparł Pował. – Miło ze znajomymi ugwarzyć, a po drodze jeszcze się obozowi przypatrzym.

Więc wyszli, by siaść na koń i jechać. Przedtem jednak sługa de Lorchego ponarzuczał im na ramiona opończe, które widocznie przy-

wiół umyślnie. Ów, zbliżywszy się do Zbyszka, pocałował go w rękę i rzekł:

– Pokłon i cześć wam, panie. Jam dawny sługa wasz, ale w ciemności nie możecie mnie rozeznąć. Czy pamiętacie Sanderusa?

– Prze Bóg! – zawołał Zbyszko.

I na chwilę odżyły w nim wspomnienia przeżytych smutków, bólów i dawnej niedoli, tak samo jak parę tygodni temu, gdy po połączeniu się wojsk królewskich z chorągwiami książąt mazowieckich spotkał po długim niewidzeniu dawnego swego giermka Hławę.

Więc rzekł:

– Sanderus! Hej! Pamiętam i te dawne czasy, i ciebie! Cóżes od onej pory porabiał i gdzieś się obracał? Zali już nie nosisz relikwii?

– Nie, panie. Aż do ostatniej wiosny byłem klechą przy kościele w Długolesie, ale że nieboszczyk ojciec mój wojennym rzemiosłem się zajmował, przeto gdy wojna wybuchła, zaraz mi zbrzydła miedź na kościelnych dzwonach, a zbudziła się chęćka do żelaza i stali.

– Co słyszysz! – zawołał Zbyszko, który jakoś nie mógł wyobrazić sobie Sanderusa stawającego z mieczem, rohatyną albo toporem do boju.

Ów zaś rzekł, podając mu strzemię:

– Rok temu z rozkazu biskupa płockiego chodziłem do pruskich krajów, przez co znaczną posługę oddałem, ale to później opowiem, a teraz siadajcie, wasza wielkość, na koń, gdyż ów grabia czeski, którego wołacie Hława, czeka na was z wieczszą w namiotach pana mego.

Więc Zbyszko siadł na koń i zbliżywszy się do pana de Lorche,jechał w pobok, aby swobodnie z nim rozmawiać, albowiem ciekawy był jego dziejów.

– Okrutniem rad – rzekł – iżeś po naszej stronie, ale mi to dziwne, boś przecie u Krzyżaków służył.

– Służą ci, którzy żołą biorą – odparł de Lorche – a jam go nie brał. Nie. Jam między Krzyżaków przyjechał w tym jeno celu, aby przygód szukać i pas rycerski pozyskać, który, jak ci wiadomo, z rąk polskiego księcia pozyskałem. I bawiąc długie lata w tych krajach, poznałem, po czyjej stronie słuszność, a gdym się przy tym tu ożenił i osiedlił, jakże mi było przeciw wam stawać? Jam już tutejszy i patrz, jakom się mowy waszej wyuczył. Ba! swojej już nieco zapomniałem.

– A twoja majątność w Geldrii? Bo jakom słyszał, toś tamtejszemu władcy pokrewny i dziedzic wielu zamków i włości.

– Dziedzictwo moje krewnemu, Fulkonowi de Lorche, ustąpiłem, który mi je spłacił. Pięć roków temu byłem w Geldrii i dostatki wielkie stamtąd przywiozłem, za którym się na Mazowszu okupił.

– A jakże się to stało, żeś się z Jagienką z Długolasu ożenił?

– Ach! – odpowiedział de Lorche – kto zdoła odgadnąć niewiaستę? Dworowała ci ona ze mnie zawsze, aż gdym, mając tego dosyć, oświadczył jej, że do Azji na wojnę z żalu pojedę i już nigdy nie wrócę, rozplakała się niespodzianie i rzekła: „To ja mniszka ostanę”. Padłem jej do nóg za te słowa, a we dwie niedziele później biskup płocki pobłogosławił nam w kościele.

– Dzieci zaś macie? – zapytał Zbyszko.

– Po wojnie Jagienka wybiera się do grobu waszej królowej Jadwigi, aby ją o błogosławieństwo uprosić – odrzekł, wzdychając, de Lorche.

– Dobrze. Powiadają, że to pewny sposób i że w tych rzeczach nie masz lepszej nad naszą świętą królową orędowniczki. Walne spotkanie nastąpi za kilka dni, a potem będzie spokój.

– Tak.

– Ale Krzyżacy pewnie cię za zdrajcę poczytują.

– Nie! – rzekł de Lorche. – Wiesz, jako czci rycerskiej przestrzegam. Jeździł Sanderus ze zleceniami biskupa płockiego do Malborga, więc posłałem przez niego pismo do mistrza Ulryka, w którym wypowiedziałem mu służbę i wyluszczyłem mu przyczyny, dla których po waszej stronie staję.

– Ha! Sanderus! – zawołał Zbyszko. – Mówił mi, że mu spiż na dzwonach zbrzydł i że do żelaza zbudziła się w nim chęćka, co mi i dziwne, bo zajęcze zawsze miał on serce. A pan de Lorche począł się śmiać:

– Sanderus tyle ma ze stalą albo z żelazem do czynienia, że mnie i moich giermków goli.

– Tak to? – zapytał rozweselony Zbyszko. Czas jakiś jechali w milczeniu, po czym de Lorche podniósł oczy ku niebu i rzekł:

– Prosiłem was na wieczerzę, ale nim zajedziem, to chyba będzie śniadanie.

– Miesiąć jeszcze świeci – odparł Zbyszko. – Jedźmy. Więc zrównawszy się z Maćkiem i Powałą, jechali dalej razem we czwórkę szeroką obozową ulicą, którą wytykano zawsze z rozkazu dowódców między namiotami i ogniskami, aby przejazd był wolny. Chcąc dostać się



do stojących na drugim końcu obozu chorągwi mazowieckich, musieli go cały wzdłuż przejechać.

– Jak Polska Polską – ozwał się Maćko –jeszcze takich wojsk nie widziała, bo spłynęły narody ze wszystkich krain ziemi.

– Żaden też inny król takich nie postawi – odpowiedział de Lorche – bo żaden tak potężnym państwem nie władcie. A stary rycerz zwrócił się do Powały z Taczewa:

– Ile, mówicie, panie, przyszło chorągwi z kniazem Witoldem?

– Czterdzieście – odrzekł Powała. – Naszych polskich wraz z Mazurami jest pięćdziesiąt, ale nie tak okryte jak Witoldowe, bo u niego czasem i kilka tysięcy ludzi pod jednym znakiem służy. Ha! Słyszeliśmy, iż mistrz rzekł, iż to hołota lepsza do łyżek niż do miecza, ale bogdajże w złą godzinę to wymówił, bo tak myślę, że litewskie sulice okrutnie się od krzyżackiej juchy zaczerwienią.

– A ci, wedle których teraz przejeżdżamy, którzy są? – zapytał de Lorche.

– To Tatarzy; przywiódł ich Witoldowy hołdownik, Saladyn.

– Dobrzyż do bitwy?

– Litwa umie z nimi wojować i znaczną ich część podbiła, z której przyczyny musieli na tę wojnę przyciągnąć. Ale zachodniemu rycerstwu ciężko z nimi, gdyż oni w ucieczce straszniejsi niż w spotkaniu.

– Przypatrzmy się im bliżej – rzekł de Lorche.

I pojechali ku ogniskom, które otaczali ludzie z nagimi całkiem ramionami, odziani mimo pory letniej w owcze tułuby, wełną do góry. Większa część ich spała wprost na gołej ziemi albo na mokrej i parującej od żaru słomie, lecz wielu siedziało w kuczki przy płonących stosach; niektórzy skracali sobie godziny nocne, podśpiewując przez nos dzikie pieśni i uderzając do wtóru jednym piszczelem końskim o drugi, co czyniło dziwny i nieprzyjemny łoskot; inni mieli małe bębny lub brzdąkali na naciągniętych cięciwach łuków. Inni żarli świeżo wyjęte z ognia, dymiące, a zarazem krwawe kawały mięsiwa, na które dmuchali wzdętymi, sinymi wargami. W ogóle wyglądali tak dziko i złowrogo, że łatwiej ich było wziąć za jakieś okropne stwory leśne niż za ludzi. Dymy ognisk były gryzące od końskiego i baraniego tłuszczu, który w nich topniał, a prócz tego rozchodził się naokół nieznośny swąd przypalonej sierści, przygrzanych tułubów i cikliwa woń świeżo zdartych skór i krwi. Z drugiej ciemnej strony ulicy, gdzie stały konie, zawiewało ich potem. Szkapę owe, których kilkaset trzymano dla rozjazdów w pobliżu, wygryzłszy trawę spod nóg, gryzły się między sobą, kwicząc

przeraźliwie i chrapiąc. Koniuchowie uśmierzali walkę głosem i batami z surowca.

Niebezpiecznie było zapuszczać się w pojedynek między nich, gdyż dzicz to była niesłychanie drapieżna. Tuż za nimi stały niewiele mniej dzikie watahy Besarabów, z rogami na głowach, długowłosych Wołochów, noszących miast pancerzy drewniane, malowane deski na piersiach i plecach, z niezgrabnymi wizerunkami upiorów, kościotrupów lub zwierząt; dalej Serby, których uśpiony teraz obóz rozbrzmiewał we dnie w czasie postojów jakby jedna wielka lutnia, tyle w nim było fletni, bałabajek, multanków i różnych innych narzędzi muzycznych.

Świeciły ognie, a z nieba wśród chmur, które mocny wiatr rozwiewał, świecił jasny wielki miesiąc i przy owych blaskach przypatrywali się nasi rycerze obozom. Za Serbami stała nieszczęsna Żmujdz. Niemcy wytoczyli z niej potoki krwi, a jednak na każde wezwanie Witolda zrywała się do nowych bojów. I teraz jakby w przeczuciu, że niedoła jej skończy się wkrótce raz na zawsze, przyciągnęła tu przejęta duchem tegoż Skirwoiły, którego samo imię przejmowało Niemców wściekłością i trwogą. Ogniska żmujdzkie stykały się wprost z litewskimi, gdyż ten sam był to naród, ten sam obyczaj i mowa.

Lecz przy wjeździe do litewskich obozów posepny obraz uderzył oczy rycerzy. Oto na zbitej z okrągłaków szubienicy zwieszały się dwa trupy ludzkie, które wiatr kołysał, huśtał, okręcał i podrzucał z taką siłą, że aż bale szubienicy skrzypiały żałośnie. Chrapnęły na widok trupów i przysiadły nieco na zadach konie, więc rycerze poczęli się żegnać pobożnie, a gdy przejechali, Powoła rzekł:

– Książę Witold był razem z królem, a ja byłem przy królu, gdy przywieziono tych winowajców. Już poprzednio skarżyli się nasi biskupi i panowie, że Litwa zbyt okrutnie wojuje i kościołów nawet nie oszczędza. Więc gdy ich przywieziono (a byli to znaczni ludzie, ale Najświętszy Sakrament nieszczęśnicy pono znieważyli), napęczał książę tak gniewem, że strach było nań spojrzeć – i powiesić im się kazał. To niebożęta sami szubienicę utwierdzić musieli i sami ci się powiesili, a jeszcze jeden drugiego naganiał: „Nuże, prędzej, bo książę się gorzej rozgniewa!” I strach padł na wszystkich Tatarów i Litwinów, bo oni nie śmierci, ale książęcego gniewu się boją.

– Ba, pomnę – rzekł Zbyszko – że gdy onego czasu w Krakowie król rozgniewał się na mnie o Lichtensteina, to młody książę Jamont, który był rękodajnym królewskim, też zaraz radził mi się powiesić. I z

dobrego serca dawał tę radę, chociaż byłbym go za nią pozwał na udep-taną ziemię, gdyby nie to, że i tak mieli mi, jako wiecie, szyję uciąć.

– Książ Jamont nauczył się już rycerskich obyczajów – odrzekł Powąła.

Tak rozmawiając, minęli wielki obóz litewski i trzy świetne pułki ruskie, z których najliczniejszy był smoleński, a wjechali do polskiego obozu. Stało tam pięćdziesiąt chorągwi – jądro i zarazem czoło wszystkich wojsk. Zbroje tu były lepsze, konie ogromniejsze, rycerstwo bardziej ćwiczona, w niczym zachodniemu nie ustępująca. Siłą członków ciała, wytrzymałością na głód, zimno i trudy przewyższali nawet ci dziedzice z Wielko- i Małopolski bardziej dbałych o wygodę wojowników z Zachodu. Obyczaj ich był prostszy, pancerze grubiej kowane, ale hart większy, a ich pogardę śmierci i niezmierną w boju uporczywość podziwiali już swego czasu nieraz przybyli z daleka francuscy i angielscy rycerze.

De Lorche, który znał polskie rycerstwo od dawna, tak też mówił:

– Tu cała siła i cała nadzieja. Pamiętam, jako w Malborgu nieraz narzekano, że w bitwie z wami każdą piędź ziemi trzeba rzeką krwi okupić.

– Rzeką też i teraz krew popłynie – odpowiedział Maćko. – Bo i Zakon nigdy dotychczas takiej potęgi nie zebrał. Na to zaś Powąła:

– Powiadał rycerz Korzbóg, który od króla do mistrza z listami jeździł, iż Krzyżacy mówią, że ni cesarz rzymski, ni żaden król nie ma takiej potęgi i że Zakon mógłby wszystkie królestwa zawojować.

– Ba, przecie nas więcej! – rzekł Zbyszko.

– Tak, ale oni lekko sobie Witoldowe wojsko ważą, że to lud byle jako zbrojny i że się od pierwszego uderzenia skruszy jako gliniany garnek pod młotem. A prawda-li to czy też nieprawda, nie wiem.

– I prawda, i nieprawda! – ozwał się roztropny Maćko. – My ze Zbyszkiem znamy ich, bośmy razem z nimi wojowali. Jużci, zbroja u nich gorsza i chmyzowate konie, przeto, często bywa, że się pod naporem rycerstwa ugną, ale serca mają tak chobre albo i mężniejsze niż Niemce.

– Niezadługo się to pokaże – rzekł Powąła. – Królowi ciągle służy do oczu płyną na myśl, że tyle się krwie chrześcijańskiej rozleje, i do ostatniej chwili rad by sprawiedliwy pokój zawrzeć, ale pycha krzyżacka do tego nie dopuści.

– Jako żywo! Znam ja Krzyżaków i wszyscy ich znamy – przytwierdził Maćko. – Bóg już tam wagi przyładował, na których położy krew naszą i nieprzyjaciół naszego plemienia.

Już byli niedaleko chorągwi mazowieckich, między którymi tkwiły namioty pana de Lorche, gdy wtem na środku „ulicy” spostrzegli sporą gromadę ludzi zbitych w kupę i patrzących na niebo.

– Stójcie tam! stójcie! – zawołał jakiś głos na środku gromady.

– A kto mówi i co tu robicie? – zapytał Powąła.

– Proboszcz kłobucki. A wy kto?

– Powąła z Taczewa, rycerze z Bogdańca i de Lorche.

– Ach, to wy, panie – rzekł tajemniczym głosem ksiądz proboszcz, zbliżając się do konia Powąły. – Spójrzycie jeno na miesiąc i patrzcie, co się na nim wyrabia. Wróżebna to i cudowna noc!

Więc rycerze podnieśli głowy i poczęli patrzeć na księżyc, który już zbladł i bliski był zachodu.

– Nie mogę nic rozeznąć! – rzekł Powąła. – A wy co widzicie?

– Mnich w kapturze potyka się z królem w koronie! Patrzcie! o tam! W imię Ojca i Syna, i Ducha! O, jakże się okrutnie zmagają... Boże, bądź miłościw nam grzesznym!

Naokół zapadła cisza, bo wszyscy wstrzymali oddech w piersiach.

– Patrzcie, patrzcie! – wołał ksiądz.

– Prawda! coś ci takiego jest! – rzekł Maćko.

– Prawda! prawda! – potwierdzili inni.

– Ha! król obalił mnicha – zakrzyknął nagle proboszcz kłobucki – nogę na nim postawił! Pochwalony Jezus Chrystus.

– Na wieki wieków!

W tej chwili duża, czarna chmura przykryła księżyc – i noc stała się ciemna – tylko blask ognisk drgał krwawymi pasmami w poprzek drogi.

Rycerze ruszyli dalej, a gdy już odjechali od gromady, Powąła spytał:

– Widzieliście co?

– Z początku nic – odpowiedział Maćko – ale potem widziałem wyraźnie i króla, i mnicha.

– I ja.

– I ja.

– Znak Boży – ozwał się Powąła. – Ha! to już mimo łez naszego króla nic widać z pokoju nie będzie.

– A bitwa będzie taka, jakiej świat nie pamięta – rzekł Maćko.

I jechali dalej w milczeniu, mając serca wezbrane i uroczyste. Lecz gdy już byli niedaleko namiotu pana de Lorche, zerwał się znów wicher z taką siłą, że w mgnieniu oka porozrzucił ogniska Mazurów. Powietrze zaroilo się tysiącami główki, płonących szczypek, skier, a zarazem przesłoniło się kłębamii dymu.

– Hej, dmie okrutnie! – mówił Zbyszko, ociągając opończę, którą mu wiatr na głowę zarzucił.

– A w wicherze jakoby jęki i płacz ludzki słyhać.

– Świt już niezadługo, ale nikt nie wie, co mu dzień przyniesie – dodał de Lorche.

## ROZDZIAŁ L

Nad ranem wichura nie tylko nie ustała, ale wzmogła się do tego stopnia, że niepodobna było rozpiąć namiotu, w którym król zwykł był od początku wyprawy słuchać codziennie trzech mszy świętych. Przybiegł wreszcie Witold z prośbami i błaganiem, aby nabożeństwo do stosowniejszej pory w zaciszach leśnych odłożyć i nie wstrzymywać pochodu. Jakoż stało się zadość jego życzeniu, bo i nie mogło być inaczej.

O wschodzie słońca ruszyły wojska ławą, a za nimi nieprzejrzany tabor wozów. Po godzinie pochodu wiatr uciszył się nieco, tak że można było rozwinąć chorągwie. I wówczas pola, jak okiem sięgnąć, pokryły się niby kwieciami stubarwnym. Żadne oko nie mogło objąć zastępów i tego lasu rozmaitych znaków, pod którymi pułki posuwały się naprzód. Szła więc ziemia krakowska pod czerwoną chorągwią z białym orłem w koronie, była zaś to chorągiew naczelna całego Królestwa, wielki znak dla wszystkich wojsk. Niósł ją Marcin z Wrocimowic, herbu Półkozy, rycerz potężny i w świecie sławny. Za nim szły hufce nadworne, jeden mając nad sobą podwójny krzyż litewski, drugi pod Pogonią. Zaś pod znakiem świętego Jerzego ciągnął potężny zastęp najemników i ochotników zagranicznych, przeważnie z Czechów i Morawców złożony. Tych wielu stanęło na tę wojnę, bo i cała czterdziesta dziewiąta chorągiew była wyłącznie z nich złożona. Lud to był zwłaszcza w piechocie, która ciągnęła za kopijnikami, dziki, niesforny, ale do bitwy tak zaprawny, a w spotkaniu tak zaciekły, iż wszelkie inne piechoty, gdy się o nich otarły, odskakiwały co prędzej jako pies od jeża. Berdysze, kosy, topory, a szczególnie żelazne cepy stanowiły ich broń, którą władali wprost strasznie. Najmowali się oni każdemu, kto ich płacił, albowiem żywiołem ich jedynym była wojna, grabież i rzeź.

W pobok Morawców i Czechów szło pod swymi znakami szesnaście chorągwi ziem polskich, w tym jedna przemyska, jedna lwowska i jedna halicka, i trzy podolskie, a za nimi piechoty tychże ziem, przeważnie zbrojne w rohatyny i w kosy. Książęta mazowieccy Janusz i Ziemowit wiedli chorągwie dwudziestą pierwszą, drugą i trzecią. Tuż szły biskupie, a potem pańskie w liczbie dwudziestu dwóch. Więc Jaś-

ka z Tamowa, Jędrka z Tęczyna, Spytka Leliwy i Krzona z Ostrowa, i Mikołaja z Michałowa, i Zbigniewa z Brzezia, i Krzona z Kozichgłów, i Kuby na Koniecpolu, i Jaśka Ligezy, i Kmity, i Zakliki, a oprócz nich rodowa Gryfitów, i Bobowskich, i Koźlich Rogów, i różnych innych, którzy w bitwach zbierali się pod wspólnym herbowym godłem i wspólne wykrzykiwali „zawołanie”.

I tak rozkwitła pod nimi ziemia, jak rozkwitają łąki na wiosnę. Szła fala koni, fala ludzi, nad nimi las kopij i z barwnymi „płachetkami” na kształt drobniejszych kwiatów, a z tyłu, w obłokach kurzawy, miejskie i kmiecie piechoty. Wiedzieli, że ku bitwie straszliwej idą, ale wiedzieli, że „trzeba”, więc szli z ochotnym sercem.

Na prawym zaś skrzydle płynęły Witoldowe watahy, pod chorągwiemi różnej barwy, ale z jednakim wyobrażeniem litewskiej Pogoni. Żaden wzrok nie mógł objąć wszystkich zastępów, ciągnęły się one bowiem wśród pól i lasów na szerokość przeszło mili niemieckiej.

Przed południem przyszedłszy wojska w pobliże wsi Logdau i Tannenberga, zatrzymały się na krawędzi lasu. Miejsce zdało się dobre na spoczynek i zabezpieczone od wszelkiej niespodzianej napaści, gdyż z lewej strony oblewała je łącha Jeziora Dąbrowskiego, z prawej zaś jezioro Lubeń, przed wojskami zaś otwierała się szeroka na milę przestrzeń polna. W środku owej przestrzeni, wznoszącej się ku zachodowi łagodnie w górę, zieleńły się łągi Grunwaldu, a nieco w dali szarzały słomiane dachy i puste, smutne ugory Tannenberga. Nieprzyjaciela, który by spuszczał się ku lasom z wyniosłości, łatwo było dostrzec, ale nie spodziewano się, aby mógł prędzej niż nazajutrz nastąpić. Zatrzymały się też tu wojska tylko na postój, że jednak biegły w rzeczach wojny Zyndram z Maszkowic nawet w pochodzie przestrzegał bojowego porządku, więc stanęły tak, aby w każdej chwili mogły być do sprawy gotowe. Z rozkazu wodza wysłano wnet na lekkich a ścigłych koniach gońców hen, przed się, w stronę Grunwaldu i Tannenberga, i dalej, aby zbadali okolicę, a tymczasem dla łaknącego nabożeństwa króla ustawiono na wysokim brzegu jeziora Lubeń namiot kapliczny, aby mógł zwykłych mszy wysłuchać.

Jagiełło, Witold, książęta mazowieccy i rada wojenna udali się do namiotu. Przed nim zaś zgromadziło się przedniejsze rycerstwo, już to dlatego, aby polecić się Bogu przed dniem stanowczym, już, aby na króla popatrzeć. I widziano go, jak szedł w szarej obozowej szacie, z twarzą poważną, na której osiadła wyraźnie ciężka troska. Lata mało zmieniły jego postać i nie pokryły mu zmarszczkami oblicza ani nie

ubielily mu włosow, ktore i teraz zakladal tak samo prędkim ruchem za uszy, jak wóczas gdy Zbyszko widzial go po raz pierwszy w Krakowie. Ale szedł jakby pochylony pod brzemieniem strasznej odpowiedzialności, która ciążyła na jego ramionach, jak gdyby pogrążon w wielkim smutku. W wojsku mówiono sobie, że król płacze ustawicznie nad tą krwią chrześcijańską, która ma być przelana, i tak było istotnie. Jagiełło wzdrygał się przed wojną, zwłaszcza z ludźmi, którzy na płaszczach i chorągwiach krzyż nosili, i z całej duszy pragnął pokoju. Próżno mu panowie polscy, a nawet pośrednicy węgierscy, Ścibor i Gara, wystawiali pychę i dufność krzyżacką, którą przepelnion mistrz Ulryk gotów był cały świat wyzwać do boju; próżno mu jego własny wysłannik Piotr Korzbóg przysięgał na Krzyż Pański i na swoje ryby herbowe, że Zakon ani chce słyszeć o pokoju i że jedynego komtura gniewskiego, hrabiego von Wende, który do pokoju nakłaniał, inni obrzucili szyderstwami i obelgami – on jeszcze miał nadzieję, że nieprzyjaciel uzna słuszność jego żądań, pożałuje krwi ludzkiej i sprawiedliwym układem straszliwą waśń zakończy.

Więc i teraz poszedł się modlić o to do kaplicy, gdyż prostą a dobrotną duszę jego dręczył ogromny niepokój. Nawiedzał już ongi Jagiełło ogniem i żelazem ziemie krzyżackie, ale czynił to jako pogański książę litewski, lecz teraz, gdy jako król polski i chrześcijanin ujrzał płonące sioła, zgliszcza, krew i łzy, ogarnęła go bojaźń gniewu Bożego, zwłaszcza że to był dopiero początek wojny. Gdyby choć na tym poprzestać! Ale oto dziś, jutro zetną się narody i ziemia rozmięknie od krwi. Jużci, nieprawdy jest ten nieprzyjaciel, ale jednak krzyże na płaszczach nosi i bronią go tak wielkie i święte relikwie, że myśl cofa się przed nimi przerażona. W całym wojsku myślano przecież o nich z obawą i nie grotów, nie mieczów, nie toporów, ale tych świętych szczątków obawiali się głównie Polacy. „Jakoże nam będzie na mistrza ramię podnosić – mówili nie znający trwogi rycerze – gdy na pancerzu u niego relikwiarz, a w nim i kości święte, i drzewo Krzyża Zbawiciela!” Witold gorzał wprawdzie wojną, pchał do niej i spieszył się do bitwy, lecz pobożne serce króla truchlało po prostu na wspomnienie tych mocy niebieskich, którymi Zakon osłaniał swą nieprawość.



## ROZDZIAŁ LI

Już właśnie ksiądz Bartosz z Kłobucka skończył jedną mszę, a Jarosz, proboszcz kaliski, miał wkrótce wyjść z drugą i król wyszedł przed namiot, aby rozprostować nieco zmęczone klęceniem kolana, gdy na spienionym koniu wpadł jak burza szlachcic Hanko Ostojczyk i nim z siodła zeskoczył, zakrzyknął:

– Niemce, miłościwy panie, idą!

Porwali się na te słowa rycerze, król zmienił się na twarzy, zamilkł przez mgnienie oka, po czym zawołał:

– Pochwalony Jezus Chrystus! Gdzieś ich widział i ile chorągwi?

– Widziałem jedną chorągiew przy Grunwaldzie – odpowiedział zdyszany głosem Hanko – ale zza wzgórza kurzawa szła, jakby ich więcej ciągnęło!

– Pochwalony Jezus Chrystus! – powtórzył król. A wtem Witold, któremu za pierwszym słowem Hanki krew uderzyła do twarzy i oczy poczęły się żarzyć jak węgle – zwrócił się do dworzan i zawołał:

– Odwołać drugą mszę i konia mi!

Król zaś położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

– Jedź ty, bracie, a ja ostanę i drugiej mszy wysłucham. Więc Witold i Zyndram z Maszkowic wskoczyli na konie, lecz właśnie w chwili gdy zawrócili ku obozom, przyleciał drugi goniec, szlachcic Piotr Oksza z Włostowa, i z dala już począł krzyżeć:

– Niemce! Niemce! Widziałem dwie chorągwie!

– Na koń!! – ozwały się głosy między dworzany i rycerstwem. A jeszcze Piotr mówić nie przestał, gdy znów rozległ się tętent i przypadł trzeci goniec, a za nim czwarty, piąty i szósty:

wszyscy widzieli chorągwie niemieckie, nadciągające w coraz większej liczbie. Nie było już wcale wątpliwości, że cała armia krzyżacka zastępuje drogę wojskom królewskim.

Rycerze porojeżdżali się w mgnieniu oka do swoich chorągwi. Z królem przy namiocie kaplicznym pozostała tylko garstka dworzan, księży i pachołków. Ale w tej chwili rozległ się dzwonek na znak, że proboszcz kaliski wychodzi z drugą mszą, więc Jagiełło wyciągnął ra-

miona, złożył pobożnie dłonie i wzniosłszy oczy ku niebu, wolnym krokiem udał się do namiotu.

\*

Lecz gdy po skończonej mszy wyszedł znowu przed namiot, mógł już własnymi oczyma przekonać się, że prawdę mówili gońce, gdyż na krańcach wznoszącej się coraz bardziej ku górze, rozległej równiny zaczerniało coś, jak gdyby bór wyrósł nagle na pustych polach, a nad tym borem grała i mieniła się w słońcu tęcza chorągwana. Jeszcze dalej, hen! za Grunwaldem i Tannenbergiem, wznosił się ku niebu olbrzymi obłok kurzawy. Król objął wzrokiem cały ten groźny widok, po czym zwróciwszy się do księdza podkanclerzego Mikołaja, zapytał:

– Jakiego dziś patrona?

– Dzień Rozesłania Apostołów – odrzekł ksiądz podkanclerzy.

A król westchnął:

– Więc dzień Apostołów będzie ostatnim życia dla wielu chrześcijan, którzy się dziś na tym polu zetrą.

I wskazał ręką na szeroką, pustą równinę, na której w pośrodku tylko, w połowie drogi do Tannenberga, wznosiło się kilka odwiecznych dębów.

Tymczasem jednak przyprowadzono mu konia, a w oddali ukazało się sześćdziesiąt kopii, które Zyndram z Maszkowic przysłał jako straż osoby królewskiej.

\*

Straży królewskiej przywodził Aleksander, młodszy syn księcia na Płocku, a brat tego Ziemowita, który, szczególną „przemysłnością” do wojny obdarzon, zasiadał w radzie wojskowej. Drugie po nim miejsce trzymał litewski synowiec monarchy Zygmunt Korybut, młodzian wielkich nadziei i wielkich przeznaczeń, ale niespokojnego ducha. Między rycerstwem najsłynniejsi byli:

Jaśko Mążyk z Dąbrowy, prawdziwy olbrzym, postawą niemal Paszkowi z Biskupic równy, a siłą niewiele samemu Zawiszy Czarnemu ustępujący, Żóława, baron czeski, drobny i chudy, ale sprawności niezmiernej, słynny na dworze czeskim i węgierskim z pojedynków, w których kilkunastu rycerzy rakuskich rozciągnął, i drugi Czech, Sokół, łucznik nad łuczniki, i Wielkopolanin Bieniasz Wierusz, i Piotr Mediolański, i bojarzyn litewski Sieńko z Pohosta, którego ojciec Piotr, jed-

nej chorągwi smoleńskiej przywodził, i krewny króla, książę Fieduszko, i książę Jamont, a zresztą sami polscy rycerze, „wybrani z tysięcy”, którzy wszyscy zaprzysięgli do ostatniej krwi króla bronić i od wszelkiej wojennej przygody go osłaniać. Zaś bezpośrednio przy osobie królewskiej znajdował się ksiądz podkanclerzy Mikołaj i sekretarz Zbyszko z Oleśnicy, młodzieńczyk uczony, biegły w sztuce czytania i w piśmie, ale zarazem siłą do dzika podobny. Nad zbroją pana czuwali trzej giermkowie: Czajka z Nowego Dworu, Mikołaj z Morawicy i Daniłko Rusin, który dzierżył łuk i sajdak królewski. Dopełniało orszaku kilkunastu dworskich, którzy na ścigłych biegunach mieli z rozkazami do wojska latać.

Giermkowie przybrali pana w świetną błyszczącą zbroję, po czym przywiedli mu również „wybranego z tysięcy” cisawego rumaka, który parskając nozdrzami na dobrą wróżbę spod stalowego naczółka i napędzając rzeniem powietrze, przysiadał nieco jak ptak, który się chce zerwać do lotu. Król, gdy uczuł pod sobą konia, a w rękę kopię, zmienił się nagle. Smutek znikł mu z oblicza, małe czarne oczy poczęły błyskać, a na twarzy zjawily się rumieńce; lecz była to chwila tylko, bo gdy ksiądz podkanclerzy począł go żegnać krzyżem, spoważniał znów i pochylił z pokorą przybraną w srebrzysty hełm głowę.

\*

Tymczasem armia niemiecka, zstępując z wolna z wyniosłej równiny, minęła Grunwald, minęła Tannenberg i zatrzymała się w zupełnym bojowym szyku w połowie pola. Z dołu, z polskiego obozu, widać było doskonale groźną ławę olbrzymich, zakutych w żelazne zbroje koni i rycerzy. Bystrzejsze oczy odróżniały nawet dokładnie, o ile wiatr targający chorągwie na to pozwalał, rozmaite znaki na nich wyszyte, jako: krzyże, orły, gryfy, miecze, hełmy, baranki, głowy zubrów i niedźwiedzi.

Stary Maćko i Zbyszko, którzy wojując poprzednio z Krzyżakami, znali ich wojska i herby, pokazywali swoim Sieradzanom dwie chorągwie mistrza, w których służył sam kwiat i dobór rycerstwa, i wałną chorągiew całego Zakonu, której przewodził Fryderyk von Wallenrod, i potężną świętego Jerzego, z krzyżem czerwonym w polu białym, i wiele innych zakonnych. Nie znane im były jeno znaki różnych gości zagranicznych, których tysiące nadciągały ze wszystkich stron świata: z Rakuz, z Bawarii, ze Szwabii, ze Szwajcarii, ze słynnej z rycerstwa Burgundii, z bogatej Flandrii, ze słonecznej Francji, o której rycerzach

opowiadał ongi Maćko, że nawet leżąc już na ziemi, jeszcze waleczne słowa mówią, z zamorskiej Anglii, ojczyzny celnych łuczników, i nawet z dalekiej Hiszpanii, gdzie wśród ustawicznych walk z Saracenami rozkwitło nad wszystkie inne kraje męstwo i honor.

A zaś onej twardej szlachcie spod Sieradza, z Koniecpola, z Krześni, z Bogdańca, z Rogowa i Brzozowej jak również z innych ziem polskich poczęła burzyć się krew w żyłach na myśl, że za chwilę przyjdzie im się związać z Niemcami i całym tym świetnym rycerstwem. Twarze starszych stały się poważne i surowe, ci bowiem wiedzieli, jak ciężka i okrutna będzie to praca. Atoli serca młodych poczęły skowycać tak właśnie, jak skowyczą trzymane na uwięzi psy myśliwe, gdy z daleka dzikiego zwierza ujrzą. Więc niektórzy, ściskając silniej w garściach kopie, rękojeście mieczów i toporzyska, osadzali na zadach konie jakby do skoku, inni płonili się na twarzach, inni poczęli oddychać szybko, jakby stało im się nagle za ciasno w pancerzach. Doświadczęsi jednak wojownicy uspokajali ich, mówiąc: „Nie minie was, a starczy dla każdego, daj Bóg, by nie było nadto”.

Lecz Krzyżacy, spoglądając z góry na lesistą nizinę, widzieli na krawędzi boru tylko kilkanaście polskich chorągwi i wcale nie byli pewni, czy to jest cała armia królewska. Wprawdzie na lewo, koło jeziora, widać było także szare gromady wojowników, a w kuszczach błyszczało coś na kształt grotów sulic, to jest lekkich dzid, których używali Litwini. Mógł to być jednak tylko znaczny podjazd polski. Dopiero zbiegowie ze zburzonego Gilgenburga, których kilkunastu sprowadzono przed mistrza, zaświadczyli, iż naprzeciw nich stoją wszystkie wojska polsko-litewskie.

Lecz próżno mówili o ich potędze. Mistrz Ulryk nie chciał im wierzyć, gdyż od początku tej wojny wierzył tylko w to, co było mu na rękę i wróżyło niechybne zwycięstwo. Zwiadów i gońców nie rozsyłał, rozumiejąc, że i bez tego wszystkiego musi przyjść do walnej bitwy, a bitwa owa nie może zakończyć się inaczej, jeno strasliwą klęską nieprzyjaciela. Dumy w siłę, jakiej żaden z mistrzów nie wyprowadził dotąd w pole, lekceważył też przeciwnika, a gdy komtur gniewski, który na swoją rękę czynił wywiady, przedstawił mu, że jednak wojska Jagiełły są liczniejsze – odpowiadał:

– Jakie tam wojska! Jeny z Polaki przyjdzie się nieco wysilić, a reszta, choćby ich było i najwięcej, pośledni to lud, lepszy do łyżki niż do oręza.

I dążąc wszelkimi siłami do bitwy, zapłonął teraz wielką radością, gdy nagle znalazł się przed nieprzyjacielem i gdy widok walnej chorągwi całego Królestwa, której czerwień spostrzeżono na ciemnym tle boru, nie pozwalał już dłużej wątpić, że tkwi przed nim główna armia.

Ale na stojących pod lasem i w lesie Polaków nijak było Niemcom uderzać, gdyż rycerstwo straszne tylko było w czystym polu, nie lubiło zaś i nie umiało walczyć w gęstwinie drzewnej.

Zebrano się więc na krótką naradę przy boku mistrza, jakim sposobem wywabić z zarośli nieprzyjaciela.

– Na świętego Jerzego! – zawołał mistrz. – Dwie mile ujechaliśmy, nie spoczywając, i upał doskwiera, a ciała oblewają się nam potem pod zbroją. Nie będziemy tu czekali, póki nieprzyjacielowi nie spodoba się wystąpić w pole.

A na to hrabia Wende, mąż poważny wiekiem i rozumem, rzekł:

– Zaiste, już wyśmiewano tutaj moje słowa – i wyśmiewali je tacy, którzy bogdaj że umkną z tego pola, na którym ja polegnę (i tu spojrzal na Wenera von Tettingen) – ale wždy powiem, co mi sumienie i miłość do Zakonu nakazuje. Nie serca brak Polakom, jeno, jako wiem, król do ostatka spodziewa się wysłanników pokoju.

Werner von Tettingen nie odrzekł nic, tylko parsknął wzgardliwym śmiechem, ale i mistrzowi niemiłe były słowa Wendego, więc ozwał się:

– Zali czas myśleć teraz o pokoju! Nad inną sprawą mamy radzić.

– Czas zawsze na dzieło Boże – odrzekł von Wende. Lecz okrutny komtur człuchowski Henryk, który zaprzysiągł, że każe nosić przed sobą dwa nagie miecze, dopóki ich w polskiej krwi nie ubroczy – zwrócił do mistrza swe tłuste, spotniałe oblicze i zakrzyknął z gniewem okrutnym:

– Milsza mi śmierć od hańby! i choćby sam jeden, tymi mieczami na całe wojsko polskie uderzę! Ulryk zmarszczył nieco brwi.

– Przeciw posłuszeństwu mówisz – rzekł. A potem do komturów:

– Radźcie jeno o tym, jak nieprzyjaciela z boru wyciągnąć. Więc różni różnie radzili, aż wreszcie podobało się i komturom, i przedniejszym gościom rycerskim zdanie Gersdorfa, aby wysłał dwóch heroldów do króla z oznajmieniem, że mistrz przysyła mu dwa miecze i wyzywa Polaków na bój śmiertelny, jeśli zaś mało im pola, to ustąpi nieco z wojskiem, aby im go przyczynić.

\*

Król zjechał właśnie z nadbrzeża jeziora i udał się na lewe skrzydło do polskich chorągwi, gdzie miał pasować całą gromadę rycerzy, gdy nagle dano mu znać, iż dwóch heroldów zjeżdża od krzyżackiego wojska.

Serce Władysława zabiło nadzieją.

– Nuże ze sprawiedliwym pokojem jadą!

– Daj Bóg! – odrzekli duchowni.

Król posłał po Witolda, ale ów zajęty już szykowaniem swych wojsk nie mógł przybyć, a tymczasem heroldowie, nie spiesząc się, zbliżali się do obozu.

W jasnym świetle słońca widziano ich doskonale, podjeżdżających na ogromnych, pokrytych kropierzami koniach bojowych; jeden miał na tarczy cesarskiego czarnego orła na złotym polu, drugi, który był heroldem księcia szczecińskiego, gryfa na białym polu. Szeregi rozstały się przed nimi, oni zaś, zsiadłszy z koni, stanęli po chwili przed wielkim królem i skłoniwszy nieco głowy dla okazania mu czci, tak odprawili swoje poselstwo:

– Mistrz Ulryk – rzekł pierwszy herold – wzywa twój majestat, panie, i księcia Witolda na bitwę śmiertelną i aby męstwo wasze, którego wam widać brakuje, podniecić, śle wam te dwa nagie miecze.

To rzekłszy, złożył miecze u stóp królewskich. Jaśko Mążyk z Dąbrowy wytłumaczył jego słowa królowi, ale ledwie skończył, wysunął się drugi herold z gryfem na tarczy i tak przemówił:

– Mistrz Ulryk kazał wam też oznajmić, panie, iż jeśli skąpo wam pola do bitwy, to się z wojskami wam ustąpi, abyście nie gnuśnieli w zaroślach.

Jaśko Mążyk znów przełożył jego słowa i nastąpiła cisza, tylko w orszaku królewskim rycerze poczęli zgrzytać z cicha zębami na takie zachwalstwo i zniewagę.

Ostatnie nadzieje Jagiełły rozwiały się jak dym. Spodziewał się poselstwa zgody i pokoju, a tymczasem było to poselstwo pychy i wojny.

Więc wzniósłszy załzawione oczy do góry, tak odrzekł:

– Mieczów ci u nas dostatek, ale i te przyjmuję jako wróżbę zwycięstwa, którą mi sam Bóg przez wasze ręce zsyła. A pole bitwy On także wyznaczy. Do którego sprawiedliwości ninie się odwołuję, skargę na moją krzywdę i waszą nieprawość a pychę zanosząc – amen.

I dwie wielkie łzy spłynęły mu po ogorzałych policzkach. Tymczasem głosy rycerskie w orszaku poczęły wołać:

– Cofają się Niemce. Dają pole!

Heroldowie odeszli i po chwili widziano ich znowu jadących pod górę na swych ogromnych koniach i błyszczących w świetle słonecznym od jedwabów, które po wierzchu zbroi nosili.

Wojska polskie wysunęły się z lasu i zarośli w składnym szyku bojowym. W przodku stał hufiec tak zwany „czelny”, złożony z najstarszych rycerzy, za nim walny – a za walnym piechoty i lud najemny. Utworzyły się przez to między hufcami dwie długie ulice, po których przelatywał Zyndram z Maszkowic i Witold. Ten ostatni bez hełmu na głowie, w świetnej zbroi, podobny do złowrogiej gwiazdy lub do gnanego wichrem płomienia.

Rycerze nabierali tchu w piersi i osadzali się mocniej w siodłach.  
Bitwa miała tuż, tuż nastąpić.

\*

Mistrz spoglądał tymczasem na wojska królewskie, które wysuwały się z boru.

Patrzył długo na ich ogrom, na rozpostarte jakby u olbrzymiego ptaka skrzydła, na poruszaną wiatrem tęczę chorągwi i nagle serce mu się ścisnęło jakimś nieznanym, strasznym uczuciem. Może ujrzał oczyma duszy stosy trupów i rzeki krwi. Nie lękając się ludzi, może zląkł się Boga trzymającego już tam na wysokościach niebios szale zwycięstwa...

Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, jaki to okropny nastał dzień, i po raz pierwszy uczył, jaką niezmierną odpowiedzialność wziął na swoje ramiona.

Więc twarz mu pobladła, wargi poczęły drżeć, a z oczu puściły się obfite łzy. Komturowie ze zdziwieniem spoglądali na swego wodza.

– Co wam jest, panie? – zapytał hrabia Wende.

– Zaiste stosowna to do łez pora! – ozwał się okrutny Henryk, komtur człuchowski.

A wielki komtur Kuno Lichtenstein wyjął wargi i rzekł:

– Otwarcie naganiam ci to, mistrzu, bo ci teraz podnosić serca rycerzy, nie zaś osłabiać przystoi. Zaprawdę, nie takiegośmy cię przedtem widywali.

Lecz mistrzowi wbrew wszelkim wysiłkom spływały tak ciągle łzy na czarną brodę, jakby w nim płakał kto inny.

Wreszcie pohamował się nieco i zwróciwszy surowe oczy na komturów, zawołał:

– Do chorągwi!

Więc skoczyli każdy do swojej, bo bardzo potężnie przemówił, a on wyciągnął rękę do giermka i rzekł:

– Daj mi hełm.

\*

Już serca w obu wojskach biły jak młoty, ale trąby nie dawały jeszcze znaku do boju.

Nastała cięższa może od samej bitwy chwila oczekiwania. Na polu między Niemcami a armią królewską wznosiło się od strony Tannenbergu kilka odwiecznych dębów, na które powłazili chłopci miejscowi, aby patrzeć na zapasy tych wojsk tak olbrzymich, jakich od niepamiętnych czasów świat nie widział. Lecz prócz tej jednej kępy całe to pole było puste, szare, przeraźliwe, do obumarłego stepu podobne. Chodził tylko po nim wiatr, a nad nim unosiła się cicho śmierć. Oczy rycerzy zwracały się mimo woli na tę złowrogą, milczącą równinę. Przelatujące po niebie chmury przesłaniały od czasu do czasu słońce, a wówczas padał na nią mrok śmiertelny.

Wtem wstał wichur. Zaszumiał w lesie, oberwał tysiące liści, wpadł na pole, chwycił suche źdźbła traw, wzbil tumany kurzawy i poniósł je w oczy wojsk krzyżackich. W tej również chwili wstrząsnął powietrzem przeraźliwy głos rogów, krzywuł, piszczałek, i całe skrzydło litewskie zerwało się na kształt niezmiernego stada ptactwa do lotu. Poszli od razu wedle zwyczaju w skok. Konie, wyciągnąwszy szyje i potuliwszy uszy, rwały ze wszystkich sił przed siebie; jeźdźcy, wymachując mieczami i sulicami, lecieli z krzykiem okropnym przeciw lewemu skrzydłu Krzyżaków.

Mistrz właśnie znajdował się przy nim. Wzruszenie jego już przeszło, a z oczu szły mu, zamiast łez, skry. Ujrzawszy więc rozpędzoną cme litewską, zwrócił się do Frydrycha Wallenroda, który na tej stronie dowodził, i rzekł:

– Witold pierwszy wystąpił. Poczynajcieże i wy w imię Boże! I skinieniem prawicy ruszył czternaście chorągwi żelaznego rycerstwa.

– *Gott mit uns!* – zakrzyknął Wallenrod.

Chorągwie, zniżywszy kopie, poczęły z początku iść krokiem. Lecz równie jak skała stoczona z góry, spadając, coraz większego pędu nabiera, tak i one: z kroku przeszły w rysią, potem w cwał, i szły straszne, niepoahamowane, jako lawina, która musi zetrzeć i zdruzgotać wszystko przed sobą.

Ziemia jęczała i gięła się pod nimi.



\*

Bitwa miała lada chwila rozciągnąć się i rozpaść na całej linii, więc polskie chorągwie poczęły śpiewać starą bojową pieśń świętego Wojciecha. Sto tysięcy pokrytych żelazem głów i sto tysięcy par oczu podniosło się ku niebu, a ze stu tysięcy piersi wyszedł jeden olbrzymi głos do grzmotu niebieskiego podobny:

*Bogurodzica, dziewica, Bogiem sławiona Maryja!  
Twego syna gospodzina, Matko zwolena, Maryja,  
Zyszczy nam, spuści nam... Kiryjelejzon!...*

I wraz moc zstąpiła w ich kości, a serca stały się na śmierć gotowe. Była zaś taka niezmierna zwycięska siła w tych głosach i w tej pieśni, jakby naprawdę grzmoty poczęły się roztaczać po niebie. Zadrżały kopie w rękach rycerzy, zadrżały chorągwie i chorągiewki, zadrżało powietrze, zakolebały się gałęzie w boru, a zbudzone echa leśne jęły odzywać się w głębinach i wołać, i jakby powtarzać jeziorom i łęgom, i całej ziemi jak długa i szeroka:

*Zyszczy nam, spuści nam. Kiryjelejzon!...*

A oni śpiewali dalej:

*Twego dzielą krzyciela, bożycze,  
Usłysz głosy, napeln myśli człowiecze,  
Słysz modlitwę, jaż nosimy,  
A dać raczy, jegoż prosimy,  
A na świecie zbożny pobyt,  
Po żywocie rajski przebyt.  
Kiryjelejzon!*

Echo powtórzyło w odpowiedzi: „Kiryjelejzooon!” – a tymczasem na prawym skrzydle wrzała już bitwa zacięta i zbliżała się ku środkowi coraz bardziej.

Łoskot, kwik koni, krzyki okropne mężów mieszały się z pieśnią. Ale chwilami krzyki cichły, jakby tym tam ludziom zbrakło tchu, i w jednej z takich przerw raz jeszcze można było dosłyszeć grzmiące głosy:

*Adamie, ty Boży kmieciu,  
Ty siedzisz u Boga w wiecu,  
Domieściż twe dzieci,  
Gdzie królują anieli!  
Tam radość,  
Tam miłość,*

*Tam widzenie Twórcy, anielskie, bez końca...  
Kiryjelejzon!*

I znów runęło echo po boru: „Kiryjelejzooon!” Krzyki na prawym skrzydle wzmożyły się jeszcze, lecz nikt nie mógł ni widzieć, ni rozemnieć, co się tam dzieje, albowiem mistrz Ulryk, który patrzył z góry na bitwę, stoczył w tej chwili pod wodzą Lichtensteina dwadzieścia chorągwi na Polaków.

A zaś do polskiego hufca „czelnego”, w którym stali najprzedniejsi rycerze, przypadł jak grom Zyndram z Maszkowic i ukazawszy ostrzem zbliżającą się chmurę Niemców, zakrzyknął tak donośnie, że aż konie poprzysiały w pierwszym szeregu na zadach:

– W nich! Bij!

Więc rycerze, pochyliwszy się na karki końskie i wyciągnawszy przed się włócznie, ruszyli.

\*

Lecz Litwa ugięła się pod straszliwą nawałą Niemców. Pierwsze szeregi, najlepiej zbrojne, złożone z możniejszych bojarów, padły mostem na ziemię. Następne zwały się z wściekłością z krzyżactwem, lecz żadne męstwo, żadna wytrwałość, żadna moc ludzka nie mogła ich od zguby i klęski uchronić. I jakże mogło być inaczej, gdy z jednej strony walczyło rycerstwo całkiem zakute w stalowe zbroje i na koniach stałą osłoniętych, z drugiej lud, rosły wprawdzie i silny, ale na drobnych konikach i skórą jeno okryty?... Próżno też szukał uporny Litwin, jak do skóry niemieckiej się dobrać. Sulice, szable, ostrza oszczepów, pałki nasadzone krzemieniem lub gwoździemi odbijały się tak o żelazne blachy jak o skałę lub jak o mury zamkowe. Ciężar ludzi i koni gniótł nieszczęsne Witoldowe zastępy, cięły ich miecze i topory, bodły i kruszyły kości berdysze, tratowały kopyta końskie. Książę Witold daremnie ciskał w tę paszczę śmierci coraz nowe watahy, daremny był upór, na nic zaciekłość, na nic pogarda śmierci i na nic rzeki krwi! Pierzchno naprzód tatarstwo, Besaraby, Wołochy, a wkrótce pękła ściana litewska i dziki popłoch ogarnął wszystkich wojowników.

Większa część wojsk pierzchno w stronę jeziora Lubeń i za nią pognały główne siły niemieckie, czyniąc kość tak straszną, że całe pobrzeże pokryło się trupami.

Druga atoli część wojsk Witoldowych, mniejsza, w której było trzy pułki smoleńskie, cofała się ku skrzydłu polskiemu, parta przez sześć chorągwi Niemców, a następnie i przez te, które wracały z pogoni.

Lecz lepiej zbrojni Smoleńszczanie skuteczniejszy stawili też opór. Bitwa zmieniła się tu w rzeź. Potoki krwi okupowały każdy krok, każdą niemal piędź ziemi. Jeden z pułków smoleńskich wycięto niemal co do nogi. Dwa inne broniły się z rozpaczą i wściekłością. Lecz zwycięskich Niemców nic już nie mogło powstrzymać. Niektóre ich chorągwie ogarnął jakby szal bojowy. Pojedynczy rycerze, bodąc ostrogami i wspinając rumaki, rzucali się na oślep ze wzniesionym toporem lub mieczem w największą gęstwinę nieprzyjaciół. Cięcia ich mieczów i berdyszów stały się niemal nadludzkie, cała zaś ława, prac i miażdząc konie i rycerzy smoleńskich, przysłała na koniec w bok czelnemu i walnemu hufcowi polskiemu, albowiem oba od godziny już przeszło zmagaly się z Niemcami, którym Kuno Lichtenstein przywodził.

\*

Nie poszło tu tak łatwo Kunonowi, gdyż większa była równość broni i koni, a jednakie ćwiczenia rycerskie. Wsparły nawet Niemców „drzewa” polskie i odrzuciły ich w tył, zwłaszcza że pierwsze uderzyły w nich trzy straszne chorągwie: krakowska, gończa pod Jędrkiem z Brochocic i nadworna, której Powąła z Taczewa przewodził. Jednakże bitwa rozgorzała najprzeróżliwsza dopiero wówczas, gdy po strzaskaniu kopij chwycono za miecze i topory. Tarcza uderzała wówczas o tarczę, mąż zwierzał się z mężem, padały konie, przewracały się znaki, pękały pod uderzeniem brzeszczotów i obuchów hełmy, naramienniki, pancerze, oblewało się krwią żelazo, walili się z siodła na kształt podciętych sosen witezie. Ci z rycerzy krzyżackich, którzy już pod Wilnem zaznali bitew z Polakami, wiedzieli Jaki to „nieużyty” i „natarczywy” jest ten lud, lecz nowaków i gości zagranicznych ogarnęło zrazu podobne do strachu zdumienie. Niejeden też wstrzymywał mimo woli koma, spoglądał przed się niepewnie i nim się namyślił, co czynić, ginął pod ciosem polskiej prawicy. I równie jak grad sypie się niemiłosiernie z miedzianej chmury na łan żyta, tak gęsto sypały się ciosy okrutne i biły miecze, biły oksze, biły topory, biły bez tchu i miłosierdzia, dźwięczały jak w kuźniach żelazne blachy, śmierć gasiła niby wichry żywoty, jęki rwały się z piersi, gasły oczy, a zbielełe młodzieńcze głowy pogrążały się w noc wiekiustą.

Leciały w górę skry skrzesane żelazem, złamki drzewców, proporce, pióra strusie i pawie. Kopyta rumaków obsuwały się po krwawych leżących na ziemi pancerzach i trupach końskich. Kto padł ranny, tego miażdżyły podkowy.

Lecz żaden jeszcze nie padł z przedniej szczyh rycerzy polskich i szli przed się w zgiełku i ciasnocie, wykrzykując imiona swych patronów lub zawołania rodowe, jak idzie ogień po suchym stepie, który pożera krze i trawy. Pierwszy tam Lis z Targowiska porwał mężnego komtura z Osterody, Gamrata, którego straciwszy tarczę, zwinął w kłęb swój biały płaszcz koło ramienia i płaszczem się od ciosów zasłaniał.

Ostrzem miecza przeciął Lis płaszcz i naramiennik, odwalił od pachy ramię, drugim zaś pchnięciem przebił brzuch, aż ostrze w kość paierzową zgrzytnęło. Krzyknęli z trwogi na widok śmierci wodza ludzie z Osterody, lecz Lis rzucił się między nich jak orzeł między żurawie, a gdy Staszko z Charbimowic i Domarat z Kobylan skoczyli mu na pomoc, poczęli ich we trzech łuskać okropnie, tak jak niedźwiedzie łuszczą strąki, gdy się na pole zasiane młodym grochem dostaną.

Tamże Paszko Złodziej z Biskupic zabił sławnego brata Kunca Adelsbacha. Kunc, gdy ujrzał przed sobą wielkoluda z krwawym toporem w dłoni, na którym wraz z krwią przylepły kudły ludzkie, zląkł się w sercu i chciał się oddać w niewolę. Ale Paszko, nie dosłyszawszy go wśród wrzawy, podniósł się w strzemionach i rozciął mu głowę wraz ze stalowym hełmem, jakby ktoś rozciął jabłko na dwoje. Wraz potem zgasił Locha z Meklemburgii i Klingensteina, i Szwaba Helmsdorfa z możnego hrabiowskiego rodu, i Limpacha spod Moguncji, i Nachterwita też z Moguncji, aż wreszcie poczęli się cofać przed nim przerażeni Niemcy, w lewo i w prawo, on zaś bił w nich jak w wałącą się ścianę i co chwila widziano go, jak wznosił się do cięcia na siodle, po czym widziano błysk topora i hełm niemiecki zapadający się w dół między konie.

Tamże potężny Jędrzej z Brochocic, złamawszy miecz na głowie rycerza, który miał sowę na tarczy i przyłbicę w kształt sowej głowy wykutą, chwycił go za ramię, skruszył je i wydarłszy mu brzeszczot, zaraz go nim życia pozbawił. On również młodego rycerza Dynheima wziął w niewolę, którego widząc bez hełmu, pożałował zabijać, gdyż ów prawie był dzieckiem jeszcze i dziecinnymi nań spoglądał oczyma. Rzucił go tedy Andrzej giermkom swoim, nie odgadując, że zięcia sobie bierze, albowiem rycerzyk ten córkę jego wziął później za żonę i na zawsze w Polsce pozostał.

Natarli atoli teraz ze wściekłością Niemcy, chcąc odbić młodego Dynheima, który z możnego rodu grafów nadreńskich pochodził, lecz przedchorągiewni rycerze: Sumik z Nadbroża i dwaj bracia z Płomykowa, i Dobko z Ochwia, i Zych Pikna, osadzili ich na miejscu, jak lew

osadza byka, i odepchnęli ku chorągwi świętego Jerzego, szerząc wśród nich zgubę i zniszczenie.

Zaś z rycerskimi gośćmi starła się chorągiew królewska nadworna, której Ciołek z Żelechowa przywodził. Tam Powąła z Taczewa siłą nadludzką mający obalał ludzi i konie, kruszył żelazne hełmy jak skorupy jaj, bił sam jeden w całe gromady, a obok niego szli Leszko z Goraja, drugi Powąła z Wyhucza i Mści sław ze Skrzynna, i dwóch Czechów: Sokół i Zbysławek. Długo toczyła się tu walka, gdyż na tę jedną chorągiew uderzyły trzy niemieckie, lecz gdy dwudziesta siódma Jaśka z Tarnowa przysłała w pomoc, siły zrównały się mniej więcej i odrzuciono Niemców prawie na pół strzelania z kuszy od miejsca, w którym nastąpiło pierwsze spotkanie.

Lecz jeszcze dalej odrzuciła ich wielka krakowska chorągiew, której sam Zyndram przywodził, a na czele między przedchorągiewnymi szedł najstraszniejszy ze wszystkich Polaków Zawisza Czarny herbu Sulima. W pobok walczyli: brat jego Farurej i Florian Jelitczyk z Korytnicy, i Skarbek z Gór, i właśnie ów sławny Lis z Targowiska, i Paszko Złodziej, i Jan Nałęcz, i Stach z Charbimowic. Pod okropną ręką Zawiszy ginęli bitni mężowie, jakby w tej czarnej zbroi sama śmierć szła im naprzeciw, on zaś walczył z namarszczoną brwią i ściśniętymi nozdrzami, spokojny, uważny, jakby zwykłą odbywał robotę; czasem równo poruszał tarczą, odbijał cios, lecz każdemu błyskowi jego miecza odpowiadał krzyk straszny porażonego męża, a on nie oglądał się nawet i szedł, pracując, naprzód jak czarna chmura, z której co chwila piorun wypada.

Poznańska chorągiew, mająca w znaku orła bez korony, walczyła też na śmierć i życie, a arcybiskupia i trzy mazowieckie szły z nią w zawody. Ale i wszystkie inne przesadzały się wzajem w zawziętości i natarczywym męstwie. W sieradzkiej młody Zbyszko z Bogdańca rzucał się jak dzik w najgęstsze tłumy, zaś przy boku jego szedł stary, straszny Maćko, walcząc rozważnie, jak walczy wilk, który inaczej niż na śmierć nie ukąsi.

Szukał on wszędy oczyma Kunona Lichtensteina, ale nie mogąc go w tłoku dostrzec, upatrywał tymczasem innych, takich, którzy świetniejsze mieli na sobie stroje, i nieszczęsny był każdy rycerz, któremu się z nim potkać przyszło. Niedaleko od obu rycerzy bogdanieckich ciskał się nieznośnie złowrogi Cztań z Rogowa. Po pierwszym spotkaniu rozbito mu hełm, więc walczył teraz z gołą głową, strasząc swą

zakrwawioną włochatą twarzą Niemców, którym się zdało, że nie człowieka, ale jakąś poczwarę leśną mają przed sobą.

Jednakże setki, a potem tysiące rycerzy zaległy z obu stron ziemię, aż wreszcie pod razami zaciekłych Polaków poczęła się chwiać niemiecka nawała, gdy wtem zaszło coś takiego, co losy całej bitwy mogło w jednej chwili przeważać.

Oto wracając z pogoni za Litwą, rozgorzałe i upojone zwycięstwem chorągwie niemieckie uderzyły w bok polskiego skrzydła.

Sądząc, że wszystkie wojska królewskie już rozbite i bitwa stanowczo wygrana, wracały one w wielkich, bezładnych gromadach z krzykiem i śpiewaniem, gdy nagle ujrzały przed sobą srogą rzeź i Polaków prawie już zwycięskich, ogarniających zastępy niemieckie.

Więc Krzyżacy, zniżając głowy, spoglądali ze zdumieniem przez kraty przyłbic na to, co się dzieje, a potem, jak który stał, wbijał koniowi ostrogi w boki i puszczał się w zamęt bojowy.

I tak gromada uderzała po gromadzie, aż wkrótce tysiące ich zwaliły się na znużone walką chorągwie polskie. Krzyknęli Niemcy radośnie, widząc przybywającą pomoc, i z nowym zapałem poczęli bić Polaków. Okropna bitwa zawrzała na całej linii, ziemia spłynęła potokami krwi, zachmurzyło się niebo i odezwały się głuche grzmoty, jakby sam Bóg chciał mieszać się między walczących.

Lecz zwycięstwo poczęło chylić się ku Niemcom... Już, już zaczynała się zamieszka w ławie polskiej, już rozszalałe w boju zastępy krzyżackie poczęły jednym głosem śpiewać pieśń tryumfu:

*Christ ist erstanden!...*

.....

A wtem stało się coś jeszcze okropniejszego. Oto jeden leżący na ziemi Krzyżak rozpruł nożem brzuch konia, na którym siedział Marcin z Wrocimowic trzymający wielką, świętą dla wszystkich wojsk chorągiew krakowską z orłem w koronie. Rumak i jeździec zwalili się nagle, a wraz z nimi zachwiała się i padła chorągiew.

W jednej chwili setki żelaznych ramion wyciągnęło się po nią, a ze wszystkich piersi niemieckich wyrwał się ryk radości. Zdało im się, że to koniec, że strach i popłoch ogarną teraz Polaków, że przychodzi czas klęski, mordy i rzezi, że już uciekających tylko przyjdzie im ścigać i wycinać.

Ale oto właśnie czekał ich straszny i krwawy zawód. Krzyknęły wprawdzie z rozpaczą jak jeden mąż wojska polskie na widok upadającej chorągwi, lecz w tym krzyku i w tej rozpaczce był nie strach, ale

wściekłość. Rzekłbyś, żywy ogień spadł na pancerze. Rzucili się jak lwy rozżarte ku miejscu najstraszniejsi mężowie z obu armii i rzekłbyś, burza rozpętała się koło chorągwi. Ludzie i konie zbili się w jeden wir potworny, a w tym wirze śmigwały ramiona, szczękały miecze, warczały topory, zgrzytała stal o żelazo, łomot, jęki, dziki wrzask wyrzynanych mężów zlały się w jeden przeokropny głos, taki, jakby potępieńcy odezwali się nagle z głębi piekła. Wstała kurzawa, a z niej wypadły tylko ośleplę z przerażenia konie bez jeźdźców, z krwawymi oczyma i rozwianą dziko grzywą.

Lecz trwało to krótko. Ni jeden Niemiec nie wyszedł żywy z tej burzy i po chwili powiała znów nad polskimi zastępami odbita chorągiew. Wiatr poruszył ją, rozwinął i rozkwitła wspaniale jak olbrzymi kwiat, jako znak nadziei i jako znak gniewu Bożego dla Niemców, a zwycięstwa dla polskich rycerzy.

Całe wojsko powitało ją okrzykiem tryumfu i uderzyło z taką zapamiętałością w Niemców, jakby każdej chorągwi przybyło w dwójnasób sił i żołnierzy.

A Niemcy, bici bez miłosierdzia, bez wytchnienia, bez takiej nawet przerwy, jakiej piersiom trzeba dla złapania oddechu, parci ze wszystkich stron, naciskani, rażeni nieubłaganie ciosami mieczów, siekier, toporów, maczug, poczęli znów chwiać się i ustępować. Tu i owdzie ozwały się głosy o litość. Tu i owdzie wypadał ze skrzytu jakiś zagraniczny rycerz z twarzą zbielełą ze strachu i zdumienia i uciekał w zapamiętaniu, gdzie go niósł niemniej przerażony rumak. Większość białych płaszczów, które na zbrojach nosili bracia zakonni, leżała już na ziemi.

Więc ciężki niepokój ogarnął serca przywódców krzyżackich, gdyż zrozumieli, że cały ich ratunek tylko w mistrzu, który dotychczas w pogotowiu stał na czele szesnastu odwodowych chorągwi.

On zaś, patrząc z góry na bitwę, zrozumiał także, że chwila nadeszła, i ruszył swe żelazne hufce, tak jak wicher porusza ciężką, niosącą klęskę chmurę gradową.

Lecz wcześniej jeszcze, przed trzecią linią polską, która dotąd nie brała udziału w boju, zjawił się na rozhukanym rumaku, czuwający nad wszystkim i baczny na przebieg bitwy, Zyndram z Maszkowic.

Stało tam wśród polskiej piechoty kilka rot zaciężnych Czechów. Jedna z nich zachwiała się jeszcze przed spotkaniem, ale zawstydzona w porę, została na miejscu i rzuciwszy swego dowódcę, płonęła teraz żądzą bitwy, aby wynagrodzić męstwem chwilową słabość. Lecz głów-

ne siły składały pułki polskie, złożone z konnych, ale nie pancernych, ubogich włodyków, z piechot miejskich i najliczniejszych kmiecych, zbrojnych w rohatyny, w ciężkie oszczepy i w kosy, osadzone sztorcem na drągach.

– Gotuj się! gotuj! – wołał ogromnym głosem Zyndram z Maszkowic, przelatując jak błyskawica wzdłuż szeregów.

– Gotuj się! – powtórzyli mniejsi przywódcy. Więc kmiecie, zrozumiawszy, że przychodzi na nich czas, poopierali drągi od dzid, cepów i kos o ziemię i przeżegnawszy się krzyżem świętym, poczęli popluwać w pracowite, ogromne dłonie.

I dało się słyszeć przez całą linię to złowrogie popluwanie, po czym chwycił każdy broń i nabrał tchu. W tej chwili przyleciał do Zyndrama pachołek z rozkazem od króla i szepnął mu coś zdyszonym głosem do ucha, a on, zwróciwszy się do piechurów, machnął mieczem i zakrzyknął:

– Naprzód!

– Naprzód! ławą! równo! – rozległy się wołania przywódców.

– Bywaj! Na psubraty! W nich!

Ruszyli. By zaś iść krokiem równym i nie łamać szeregów, poczęli wszyscy razem powtarzać:

– Zdro – waś – Ma – ry – ja – Łas – kiś – peł – na – Pan – z To – bą!...

I szli jak powódź. Szły pułki najemne i pachołkowie miejscy, kmiecie z Małopolski i Wielkopolski i Ślązacy, którzy przed wojną schronili się do Królestwa, i Mazury spod Ełku, którzy od Krzyżaków uciekli. Zajaśniało i rozblęzło od grotów na oszczepach i od kos całe pole.

Aż doszli.

– Bij! – zakrzyknęli dowódcy

– Uch!

I stęknął każdy jako krzepki drwal, gdy się pierwszy raz toporem zamachnie, a potem jął walić, ile mu sił i pary w piersiach starczyło.

Wrzask i krzyki wzbity się aż ku niebiosom.

\*

Król, który z wyniosłego miejsca zawiadował całą bitwą, rozsyłał pachołków i aż ochrypnął od dawania rozkazów, gdy ujrzał wreszcie, że już wszystkie wojska pracują, począł i sam rwać się do boju.



Nie puszczali go dworzanie, bojąc się o świętą osobę pańską. Żóława chwycił za cugle konia i choć król uderzył go włócznią po rękę, nie puścił. Inni zastąpili też drogę, prosząc, błagając i przedstawiając, że i tak losów bitwy nie przeważą.

A tymczasem największe niebezpieczeństwo zawisło nagle nad królem i nad całym jego orszakiem.

Oto mistrz, idąc za przykładem tych, którzy wrócili po rozgromie Litwy, i chcąc także zajechać z boku Polakom, zatoczył koło, skutkiem czego jego szesnastcie wyborowych chorągwi musiało przechodzić właśnie nie opodal wzgórza, na którym stał Władysław Jagiełło.

Spostrzeżono wraz niebezpieczeństwo, ale nie było czasu się cofać. Zwinięto tylko znak królewski, a jednocześnie pisarz królewski Zbigniew z Oleśnicy skoczył co siły w koniu do najbliższej chorągwi, która gotowała się właśnie na przyjęcie nieprzyjaciela, a której rycerz Mikołaj Kielbasa przywodził.

– Król w obierzy. Na pomoc! – zawołał Zbigniew. Lecz Kielbasa, straciwszy poprzednio hełm, zerwał całą mokrą od potu i pokrwawioną myckę z głowy i pokazując ją gońcowi, zakrzyknął z gniewem okrutnym:

– Patrz, jeśli tu próżnujem! Szalony! Zali nie widzisz, że na nas idzie ta chmura i że właśnie naprowadzilibyśmy ją na króla; za czym ruszaj precz, bo cię tu mieczem przebodę.

I niepomny, z kim mówi, zziąjany, uniesion gniewem, zmierzył się istotnie na gońca, ów zaś, widząc z kim sprawa, a co większa, że stary wojownik ma słuszność, skoczył na powrót do króla i powtórzył mu, co usłyszał.

Więc straż królewska murem wysunęła się naprzód, aby pana pierściami zasłonić. Tym razem jednak król nie dał się powstrzymać i stanął w pierwszym szeregu. Lecz ledwie się ustawili, chorągwie niemieckie były już tak blisko, że herby na tarczach można było doskonale odróżnić. Widok ich dreszczem mógł przejąć najodważniejsze serca, był to bowiem sam kwiat i wybór rycerstwa. Przybrani w świetne zbroje, na ogromnych jak tury koniach, nie uznojeni w boju, w którym dotychczas nie brali udziału, wypoczęci, szli jak huragan z tętentem, z hukiem, z szumem chorągwi i chorągiewek, a sam wielki mistrz leciał przed nimi w białym szerokim płaszczu, który rozpuszczony na wiatr wyglądał jak olbrzymie skrzydła orła.

Mistrz minął już orszak królewski i biegł ku głównej bitwie, bo co mu tam znaczyła jakaś garstka rycerzy stojących na uboczu, między

którą nie domyślał się i nie rozpoznał króla! Ale spod jednej chorągwi oderwał się olbrzymi Niemiec i czy to poznavszy Jagiełłę, czy też znęcony srebrzystą zbroją królewską, czy wreszcie chcąc popisać się odwagą rycerską, schylił głowę, wyciągnął kopię i skoczył wprost na króla.

Król zaś spał ostrogami konia i nim go zdołano zatrzymać, skoczył także ku niemu. I byliby się niechybnie starli śmiertelnie, gdyby nie ten sam Zbigniew z Oleśnicy, młody sekretarz królewski, zarówno biegły w łacinie, jak i w rycerskim rzemiośle. Ten, mając ziomek kopii w ręku, zajechał Niemca z boku i grzmotnąwszy go w łeb, skruszył mu hełm i zwałił na ziemię. „W tej chwili sam król uderzył go ostrzem w odkryte czoło i własną ręką zabił go raczył”.

Tak zginął sławny rycerz niemiecki, Dypold Kikieritz von Dieber. Konia jego pochwycił książę Jamont, a on sam leżał śmiertelnie porażony, w swej białej jace na stalowej zbroi i w pozłocistym pasie. Oczy zaszyły mu bielmem, lecz nogi kopały jeszcze czas jakiś ziemię, póki największa ludzka uspokoiicielka, śmierć, nie pokryła mu nocą głowy i nie uspokoiła go na zawsze.

Skoczyli rycerze spod chełmińskiej chorągwi, chcąc pomścić śmierć towarzysza, lecz sam mistrz zabiegł im drogę i krzycząc:

*Herum! herum!* – zaganiał ich tam, gdzie miały rozstrzygnąć się losy tego krwawego dnia, to jest do głównej bitwy.

I znów zdarzyła się rzecz dziwna. Oto najbliżej od pola stojący Mikołaj Kielbasa poznał wprawdzie nieprzyjaciół, ale w kurzawie nie poznały ich inne polskie chorągwie i myśląc, że to Litwa wraca do boju, nie pośpieszyły na ich przyjęcie.

Dopiero wyskoczył Dobko z Oleśnicy naprzeciw pędzącego w przedzie wielkiego mistrza i poznał go po płaszczu, po tarczy i po złotym wielkim relikwiarzu, który on nosił na piersiach, na pancerzu. Ale nie śmiał uderzyć kopią polski rycerz w relikwiarz, choć niezmiernie siłą mistrza przewyższał, więc ów podbił mu ostrze do góry, zranił nieco konia, po czym, minąwszy się, zatoczyli koło i rozbiegli się, każdy ku swoim. – Niemce! Sam mistrz! – zakrzyknął Dobko. Usłyszawszy to, kopnęły się z miejsca największym pędem ku wrogom chorągwie polskie. Pierwszy uderzył ze swymi Mikołaj Kielbasa i znów rozgorzała bitwa.

Lecz czy to, że rycerstwo ziemi chełmińskiej, między którymi wielu było ludzi polskiej krwi, nie uderzyło szczerze, czy też, że zaciekłości Polaków nic już nie mogło powstrzymać, dość że ten nowy napad

nie wywarł takiego skutku, jakiego się mistrz spodziewał. Zdawało mu się bowiem, że to będzie ostatni cios zadany potędze królewskiej, a tymczasem spostrzegł wkrótce, że to Polacy prą, idą naprzód, biją, rażą, biorą jakoby w żelazne cęgi te hufce, a jego rycerstwo raczej się broni, niż naciera.

Próżno zachęcał głosem, próżno zapędzał mieczem w bój. Bronili się wprawdzie i bronili mocno, ale nie było w nich ni tego rozmachu, ni tego zapału, który porywa wojska zwycięskie i którym rozgorzały serca polskie. W zbrojach potłuczonych, we krwi, w ranach, z poszczerbioną bronią, bez głosu w piersi, rwali się jednak w zapamiętaniu polscy rycerze ku najgęstszym kupom Niemców, a ci poczęli to zdzierać konie, to oglądać się za siebie, jakby chcąc wiedzieć, czy nie zamknęły się jeszcze te żelazne cęgi, które obejmowały ich coraz okropniej, i ustępowali z wolna, ale ciągle, jakby pragnąc wydostać się nieznacznie z morderczego skrzyżowania. A wtem od strony lasu zagrzmiały naraz nowe okrzyki. To właśnie Zyndram wprowadził i puścił kmieciów do boju. Zazgrzytały wnet po żelazie kosy, zagrzmiały pod cepami pancerze, trup jął padać coraz gęstszy, krew lała się strumieniem na zdeptaną ziemię i bitwa stała się jak jeden płomień niezmierny, gdyż Niemcy, poznawszy, że tylko w mieczu ratunek, poczęli się bronić rozpaczliwie.

\*

I zmagali się tak jeszcze w niepewności zwycięstwa, dopóki olbrzymie kłęby kurzawy nie wzbiły się niespodzianie po prawej stronie bitwy.

– Litwa wraca! – huknęły radośnie głosy polskie. I odgadli. Litwa, którą łatwiej było rozbić niż zwyciężyć, wracała teraz i z wrzawą nie-ludzką pędziła jak wichur na swych ścigłych koniach do boju.

Wówczas kilku komturów, a na ich czele Wemer von Tettingen, przyskoczyło do mistrza.

– Ratuj się, panie! – wołał pobladłymi ustami komtur Elbląga. – Ratuj siebie i Zakon, póki się koło nie zawrze.

Ale rycerski Ulryk spojrzawszy na niego ponuro i wzniosłszy rękę ku niebu, zawołał:

– Nie daj Bóg, abym ja opuścił to pole, na którym tylu mężnych poległo! Nie daj Bóg!

I krzyknawszy na ludzi, aby szli za nim, rzucił się w war bitwy. Nadbiegła tymczasem Litwa i stał się taki zamęt, taki wir i kotłowanie, że oko ludzkie nic już w nich rozróżnić nie mogło.

Mistrz, uderzon ostrzem litewskiej sulicy w usta i dwukrotnie raniiony w twarz, odbijał przez jakiś czas mdlejącą prawicą ciosy; wreszcie, pchnięty rohatyną w szyję, zwałił się jak dąb na ziemię.

Mrowie przybranych w skóry wojowników pokryło go zupełnie.

\*

Wemer Tettingen z kilku chorągwiami pierzchł, lecz naokół wszystkich pozostałych chorągwi zamknęło się żelazne koło wojsk królewskich. Bitwa zmieniła się w rzeź i w klęskę krzyżacką tak niesłychaną, że w całych dziejach ludzkich mało zdarzyło się podobnych. Nigdy też w czasach chrześcijańskich, od walki Rzymian i Gotów z Attylą i Karła Młota z Arabami, nie walczyły z sobą wojska tak potężne. Ale teraz jedno z nich leżało już po większej części jak zżęty łąn zboża. Poddały się te chorągwie, które ostatnie wprowadził do boju mistrz. Chełmińczycy pozatykali w ziemię proporce. Inni niemieccy rycerze pozeskakiwali z koni na znak, że chcą iść w niewolę, i poklękali na obluźganej krwią ziemi. Cała chorągiew świętego Jerzego, pod którą służyli goście zagraniczni, uczyniła razem ze swym dowódcą to samo.

\*

Lecz bitwa trwała jeszcze, albowiem wiele chorągwi krzyżackich wołało umierać niż błagać o litość i o niewolę. Zbili się teraz Niemcy wedle swego wojennego zwyczaju w ogromne kolisko i bronili się tak, jak broni się stado dzików, gdy je gromady wilków otoczą. Pierścień polsko-litewski opasał owo kolisko, jak wąż opasuje ciało byka, i zacieśniał się coraz bardziej. I znów śmigały ramiona, grzmiały cepy, zgrzytały kosy, cięły miecze, bodły oszczepy, chlastały topory i oksze. Wycinano Niemców jak bór, a oni marli w milczeniu, posepni, ogromni, nieustraszeni.

Niektórzy, popodnosiwszy przyłbice, żegnali się z sobą, dając sobie ostatni przed śmiercią pocałunek; niektórzy rzucali się na oślep w ukrop bojowy jakby zdjęci szaleństwem, inni walczyli jak przez sen, inni na koniec mordowali się sami, wbijając sobie w gardło mizerykordię lub porzuciwszy naszyjniki, zwracali się do towarzyszków z prośbą: „Pchnij!”

Zaciekłość polska rozbiła wkrótce wielkie kolisko na kilkanaście mniejszych kup i wtedy znów łatwiej było wymykać się pojedynczym

rycerzom. Ale w ogóle i te rozbite gromady były się ze wściekłością i rozpaczą.

Mało kto klękał, prosząc o litość, a gdy straszny zapęd Polaków rozplószył wreszcie i mniejsze kupy, nawet pojedynczy rycerze nie chcieli oddawać się żywcem w ręce zwycięzców. Dzień był dla Zakonu i dla wszystkiego zachodniego rycerstwa największej klęski, ale i chwały największej. Pod olbrzymim Arnoldem von Baden otoczonym przez piechotę kmiecią utworzył się wał polskich trupów, on zaś, potężny i niezwalczony, stał nad nim, jak stoi słup graniczny wkopany na wzgórzu, i kto zbliżył się do niego na długość miecza, marł jakby piorunem rażony.

Najechał go wreszcie sam Zawisza Czarny Sulimczyk, lecz widząc rycerza bez konia i nie chcąc przeciw rycerskiemu prawu z tyłu nań uderzać, zeskoczył także z rumaka i począł nań wołać z daleka:

– Zwróć, Niemcze, głowę i poddaj się alibo spotkaj ze mną!

A Arnold zwrócił się i poznawszy Zawiszę po czarnej zbroi i po Sulimie na tarczy, rzekł sobie w duszy:

„Śmierć idzie i moja godzina wybiła, albowiem jemu nikt nie odejmie się żywy. Gdybym jednakże go zwyciężył, zyskałbym chwałę nieśmiertelną, a może i życie ocalił”.

To rzekłszy, skoczył ku niemu i starli się jak dwie burze na ziemi trupami zasłanej. Lecz Zawisza tak okrutnie siłą nad wszystkimi górował, że nieszczęśni to byli rodzice, których dzieciom wypadło się z nim spotkać w boju. Jakoż pod cięciem jego miecza pękła kuta w Malborgu tarcza, pękł jak gliniany garnek stalowy hełm i mężny Arnold padł z rozciętą na dwoje głową...

\*

Henryk, komtur człuchowski, ten sam najzawziętszy wróg polskiego plemienia, który zaprzysiągł, że póty dwa miecze każe przed sobą nosić, póki obu w krwi polskiej nie ubroczy, wymykał się teraz chyłkiem z pola, jako lis wymyka się z otoczonego przez myśliwców ostępu, gdy wtem zajechał mu drogę Zbyszko z Bogdańca. Krzyknął komtur, widząc nad sobą wzniesiony brzeszczot:

*Erbarme dich meiner!* (oszczędź mnie) – i złożył z przestachu ręce, co usłyszawszy, młody rycerz nie zdołał już wprawdzie wstrzymać ręki i rozmachu, ale zdołał jeszcze przekreślić miecz i płazem tylko w spały, spotniały pysk komtura uderzył. I rzucił go potem swemu

giernkowi, który założywszy mu powróż na szyję, powłókł go jak wołu tam, dokąd spędzano wszystkich jeńców krzyżackich.

A stary Maćko szukał wciąż na krwawym poboju Kunona Lichtensteina – i szczęśny we wszystkim dnia tego los dla Polaków wydał go wreszcie w jego ręce w zaroślach, w których przytała się garść uchodzących ze straszego pogromu rycerzy. Blask słońca, który odbił się w zbrojach, zdradził ich obecność przed pościgiem. Padli wraz wszyscy na kolana i poddali się natychmiast, lecz Maćko, dowiedziawszy się, iż wielki komtur Zakonu znajduje się między jeńcami, kazał go stawić przed sobą i zdjawszy hełm z głowy, zapytał:

– Kunonie Lichtensteinie, zali poznajesz mnie? A on zmarszczył brwi i utkwivszy oczy w oblicze Maćka, rzekł po chwili:

– Widziałem cię na dworze w Płocku.

– Nie – odpowiedział Maćko – widziałeś mnie przedtem. Widziałeś mnie w Krakowie, gdym cię błagał o życie mego bratanka, który za nierozważny napad na ciebie na utratę gardła był skazan. Wówczas to ślubowałem Bogu i zaprzysiągłem na rycerską cześć, iż cię odnajdę i spotkam się z tobą śmiertelnie.

– Wiem – odparł Lichtenstein i wydał dumnie usta, chociaż zarazem pobladł mocno – ale jeńcem twoim teraz jestem i zhańbiłbyś się, gdybyś miecz na mnie podniósł.

Na to twarz Maćka ściągnęła się złowrogo i stała się zupełnie do paszczy wilczej podobna.

– Kunonie Lichtenstein – rzekł – miecza na bezbronnego nie wzniosę, ale to ci powiadam, że jeśli mi walki odmówisz, tedy cię każę jak psa na powrozie powiesić.

– Nie mam wyboru, stawaj! – zawołał wielki komtur.

– Na śmierć, nie na niewolę – zastrzegł raz jeszcze Maćko.

– Na śmierć.

I po chwili starli się z sobą wobec niemieckich i polskich rycerzy. Młodszy i zręczniejszy był Kunon, lecz Maćko tak dalece siłą rąk i nóg przeciwnika przewyższał, że w mgnieniu oka obalił go na ziemię i kolaniem brzuch mu przycisnął.

Oczy komtura wyszły z przerażenia na wierzch.

– Daruj! – jęknął, wyrzucając ślinę i pianę ustami.

– Nie! – odpowiedział nieubłagany Maćko.

I przyłożywszy mizerykordię do szyi przeciwnika, pchnął dwukrotnie, a tamten zacharczał okropnie; fala krwi buchnęła mu ustami,

drgawki śmiertelne wstrząsnęły jego ciałem, po czym wyprężył się i wielka uspokoielka rycerzy uspokoiła go na zawsze.

\*

Bitwa zmieniła się w rzeź i pościg. Kto nie chciał się poddać, zginął. Wiele bywało w owych czasach na świecie bitew i spotkań, ale nikt z żywych ludzi nie pamiętał tak straszliwego pogromu. Padł pod stopami wielkiego króla nie tylko Zakon krzyżacki, ale i całe Niemcy, które najświetniejszym rycerstwem wspomagały oną „przednią straż” teutońską, wżerającą się coraz głębiej w ciało słowiańskie.

Z siedmiuset „białych płaszczów” przodujących, jako wodzowie tej germańskiej powodzi, zostało ledwie piętnastu. Czterdzieści przeszło tysięcy ciał leżało w wiekiustym śnie na onym krwawym boisku.

Rozliczne chorągwie, które w południe jeszcze powiewały nad niezmiernym wojskiem krzyżackim, wpadły wszystkie w krwawe i zwycięskie ręce Polaków. Nie ostała, nie ocalała się ani jedna i oto rzucali je teraz polscy i litewscy rycerze pod nogi Jagiełły, który wznosząc pobożnie oczy ku niebu, powtarzał wzruszonym głosem: „Bóg tak chciał!” Stawiano też przed majestatem pana przedniej szych jeńców. Abdank Skarbek z Gór przywiódł szczecińskiego księcia Kazimierza, Trocnowski, rycerz czeski, księcia na Oleśnicy Konrada, a Przedpełko Kopidłowski, herbu Dryja, mdlejącego z ran Jerzego Gersdorfa, który pod chorągwią świętego Jerzego wszystkim gościom rycerskim przywodził.

Dwadzieścia dwa narody uczestniczyły w tej walce Zakonu przeciw Polakom, a teraz pisarze królewscy spisywali jeńców, którzy kłękając przed majestatem, błagali o miłosierdzie i o powrót za okupem do domu.

Cała armia krzyżacka przestała istnieć. Pogoń polska zdobyła też ogromny obóz krzyżacki, a w nim, prócz niedobitków, nieprzeliczoną ilość wozów wyładowanych pętami na Polaków i winem przygotowanym na wielką ucztę po zwycięstwie.

\*

Słońce chyliło się ku zachodowi. Spadł krótki, obfity deszcz i połumił kurzawę. Król, Witold i Zyndram z Maszkowic gotowali się właśnie zjechać na pobojuwisko, gdy poczęto zwozić przed nich ciała poległych wodzów. Litwini przynieśli skłute sulicami, pokryte kurzem i posoką ciało wielkiego mistrza Ulryka von Jungingen i położyli je

przed królem, a ów westchnął żałośnie i spoglądając na ogromne zwłoki leżące na wznak na ziemi, rzekł:

– Oto jest ten, który jeszcze dziś rano mniemał się być wyższym nad wszystkie mocarze świata.

Za czym łzy poczęły mu spływać jak perły po policzkach i po chwili ozwał się znowu:

– Ale że śmiercią walecznych poległ, przeto słać będziem jego męstwo i godnym chrześcijańskim uczymy go pogrzebem.

Jakoż zaraz wydał rozkaz, by ciało obmyto starannie w jeziorze, by przybrano je w piękne szaty i przysłoniono, nim trumna będzie gotowa, zakonnym płaszczem.

Tymczasem przynoszono coraz nowe zwłoki, które rozpoznawali jeńcy. Przyniesiono wielkiego komtura Kunona Lichtensteina, z gardłem okropnie mizerykordią rozciętym, i marszałka Zakonu Fryderyka Wallenroda, i wielkiego szatnego, grafa Alberta Szwarcberga, i wielkiego skarbnika Tomasza Mercheima, i grafa Wendego, który legł z ręki Powały z Taczewa, i przeszło sześćset ciał znakomitych komturów i braci. Czeladź kładła ich jednego przy drugim, a oni leżeli na kształt zrąbanych pni, ze zwróconymi ku niebu i białymi jak ich płaszcze twarzami, z otwartymi szklanymi oczyma, w których zastygł gniew, duma, wściekłość bojowa i przerażenie.

Nad ich głowami pozatykano zdobyte chorągwie – wszystkie!! Wieczorny powiew to zwijał, to rozwijał barwne płótna, one zaś szumiały jakby do snu poległym. Z dala pod zorzą widać było oddziały litewskie ciągnące zdobyte armaty, których po raz pierwszy użyli Krzyżacy w bitwie polnej, ale które nie przyczyniły żadnej szkody zwycięzcom.

Na wzgórzu koło króla skupili się najwięksi rycerze i dysząc utrudzonymi pierściami, spoglądali na te chorągwie i na te trupy leżące u ich stóp, jak spoglądają uznojeni żeńcy na zżęte i powiązane snopy. Ciężki był dzień i straszny plon tego żniwa, ale oto nadchodził wielki, Boży, radosny wieczór.

Więc niezmiernie szczęście rozjaśniło twarze zwycięzców, bo rozumieci wszyscy, że to był wieczór kładący koniec nędzy i trudom nie tylko dnia tego, ale całych stuleci.

A król, chociaż zdawał sobie sprawę z ogromu klęski, jednakże patrzył jakby w zdumieniu przed siebie i w końcu spytał:

– Zali cały Zakon tu leży?



Na to podkanclerzy Mikołaj, który znał przepowiednie świętej Brygidy, rzekł:

– Nadszedł czas, iż wyłamane są ich zęby i odcięta jest ich ręka prawa!!...

Po czym podniósł dłoń i począł żegnać nie tylko tych, którzy leżeli najbliżej, ale i całe pole między Grunwaldem a Tannenbergiem. W jasnym od blasku zorzy i oczyszczonym przez deszcz powietrzu widać było doskonale olbrzymie, dymiące, krwawe pobojojisko, zjeżone ułamkami włóczy, rohatyn, kos, stosami trupów końskich i ludzkich. Wśród których sterczały do góry martwe ręce, nogi, kopyta – i ciągnęło się owo żalosne pole śmierci z dziesiątkami tysięcy ciał dalej, niż wzrok mógł sięgnąć.

Czeladź uwijała się na tym niezmiernym cmentarzu, zbierając broń i zdejmując zbroje z poległych.

A w górze, na rumianym niebie, wicherzyły się już i zataczały koła stada wron, kruków i orłów, kracząc i radując się rozgłośnie na widok żeru.

I nie tylko przeniewierczy Zakon krzyżacki leżał oto pokotem u stóp króla, ale cała potęga niemiecka zalewająca dotychczas jak fala nieszczęsne krainy słowiańskie rozbiła się w tym dniu odkupienia o piersi polskie.

\*

Więc tobie, wielka, święta przeszłości, i tobie, krwi ofiarna, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy!

## ROZDZIAŁ LII

Maćko i Zbyszko wrócili do Bogdańca. Stary rycerz żył jeszcze długo, a Zbyszko doczekał się w zdrowiu i sile tej szczęsnej chwili, w której jedną bramą wyjeżdżał z Malborga ze łzami w oczach mistrz krzyżacki, drugą wjeżdżał na czele wojsk polski wojewoda, aby w imieniu króla i Królestwa objąć w posiadanie miasto i całą krainę aż po siwe fale Bałtyku.

KONIEC